

DAVID MORRELL

Ostre cięcie



*Niniejsza książka jest dedykowana
Richardowi Schoeglerowi i Elizabeth Gutierrez.
którzy wprowadzili nas do Miasta Odmiennego*

Jak ja cię kocham? Na wiele sposobów.
ElizabethBarret Browning

Rozdział pierwszy

1

Decker oświadczył włoskiemu urzędnikowi imigracyjnemu, że przyjechał w interesach.

- Jakiego rodzaju?

- Handel nieruchomościami.

- Czas trwania pańskiej wizyty?

- Dwa tygodnie. Urzędnik podstemplował mu paszport.

- Grazie - podziękował Decker. Wziął swoją walizkę i wyszedł z lotniska Leonardo da

Vinci. Mimo że bez problemu mógł załatwić, żeby ktoś go odebrał, wolał pokonać dwadzieścia sześć kilometrów do Rzymu autobusem. Gdy autobus utknął w gęstym śródmiejskim ruchu, co było do przewidzenia, Decker poprosił kierowcę, żeby go wypuścił i, zadowolony, że nikt oprócz niego nie wysiadł, poczekał, aż autobus pojedzie dalej. Zszedł do metra i pierwszym lepszym pociągiem przejechał jedną stację. Na ulicy zatrzymał taksówkę. Dziesięć minut później opuścił taksówkę i wrócił do metra, na następnej stacji wysiadł i ponownie zatrzymał taksówkę, tym razem mówiąc kierowcy, żeby go zawiózł do Panteonu. Prawdziwym celem jego podróży był hotel, który znajdował się o pięć przecznic dalej. Te środki ostrożności mogły wydawać się zbędne, ale Decker był przekonany, że udało mu się tak długo utrzymać przy życiu dzięki zwyczajowi zacierania śladów. Problem polegał na tym, że te wysiłki męczyły go. Decker doszedł do wniosku, że utrzymywanie się przy życiu i życie, to nie to samo. Jutro, w sobotę, miał obchodzić czterdzieste urodziny i ostatnio, z niepokojem, zaczął sobie zdawać sprawę z upływu czasu. Nie miał żony, dzieci ani domu. Dużo podróżował, ale gdziekolwiek się znalazł, zawsze czuł się obco. Rzadko widywał się z kilkoma przyjaciółmi. Jego życie sprowadzało się do pracy zawodowej. To już przestało mu wystarczać. Kiedy tylko zameldował się w hotelu, z kolumnami i z pluszowymi dywanami, wziął prysznic, żeby zwalczyć zmęczenie spowodowane podróżą i różnicą czasu, i włożył czyste ubranie. Adidasy, dżinsy, drelichowa koszula oraz granatowa bluza były odpowiednie na łagodny czerwcowy dzień w Rzymie. Poza tym tak ubierało się wielu innych amerykańskich turystów w jego wieku, więc nie będzie ściągał na siebie uwagi. Wyszedł z hotelu, wmieszał się w tłum przechodniów i przez pół godziny szedł ruchliwymi ulicami, starając się zdobyć pewność, że nikt go nie śledzi. Dotarł do najbardziej zatłoczonego miejsca w Rzymie, do placu Weneckiego, gdzie schodzą się główne arterie miasta. Gdy rozmawiał z budki telefonicznej, w tle słyszał zgiełk ruchu ulicznego.

- Halo - odpowiedział męski głos.

- Czy to Anatole? - spytał Decker po włosku.

- Nigdy o kimś takim nie słyszałem.

- Ale powiedział mi, że będzie pod tym numerem. - Decker wyrecytował numer inny niż ten, który wykręcił.

- Nie zgadzają się dwie ostatnie cyfry. To jest pięćdziesiąt siedem. Połączenie zostało przerwane. Decker odwiesił słuchawkę, sprawdził, czy nikt go nie obserwuje, i wmieszał się w tłum. Jak na razie żadnych problemów. Podając określone cyfry, głos w słuchawce przekazał Deckerowi wiadomość, że ma działać dalej. Ale gdyby głos powiedział mu: „To pomyłka”, znaczyłoby, że ma się trzymać z dala, gdyż wszystko bierze w łeb. Mieszkanie, niedaleko Via Salaria, znajdowało się na pierwszym piętrze i nie było ani nadto zbyt dobre, ani skromne.

- Jak minął lot? - spytał lokator. Jego głos z lekkim nowoangielskim akcentem brzmiał tak samo jak przez telefon. Decker wzruszył ramionami i rozejrzał się po skromnych meblach.

- Znasz stary żart: najlepsze jest to, co porzucasz - dokończył, zgodnie z umówionym kodem spotkania. - Przespałem większość czasu.

- Więc nie jesteś zmęczony po podróży? Decker potrząsnął głową.

- Nie chcesz się przespać? Decker stał się niezwykle czujny. Dlaczego ten facet robi taki problem ze zmęczenia po podróży? Drzemka? Czy jest jakiś powód, dla którego nie chce, żebym mu towarzyszył przez resztę dnia? Człowiek, z którym rozmawiał, nigdy wcześniej nie był jego współpracownikiem. Brian McKittrick, trzydzieści lat, sześć stóp i jeden cal wzrostu, potężna budowa ciała, krótkie blond włosy, mocne ramiona i kwadratowa szczęka - wszystko to Decker zawsze utożsamiał z graczami amerykańskiego futbolu ligi uniwersyteckiej. Właściwie McKittrick miał wiele cech, które przywoływały Deckerowi na myśl piłkarza - dławiona energia, chęć działania.

- Żadnej drzemki - oświadczył Decker. - Chcę uaktualnić kilka spraw. - Spojrzał na lampy i wtyczki w ścianach uznając, że nie należy przyjmować niczego za pewnik. - Jak ci się tu mieszka? W niektórych starych mieszkaniach jest problem z robactwem.

- Tutaj nie. Codziennie sprawdzam, czy nie ma pluskiew. Sprawdziłem tuż przed twoim przyjściem.

- W porządku. - Zadowolony, że w pokoju nie ma elektronicznego podsłuchu, Decker ciągnął dalej: - Z twoich raportów wynika, że poczyniłeś postępy.

- Jasne, znalazłem tych drani.

- To znaczy, znaleźli ich twoi kontaktowi?

- Właśnie. To miałem na myśli.

- W jaki sposób? - spytał Decker. - Reszta naszych ludzi szukała wszędzie.

- To jest w moich raportach.

- Przypomnij mi.

- Dzięki semteksowi. - McKittrick wymienił nazwę wymyślnego środka wybuchowego. - Moi kontaktowi puścili plotkę w miejscach, w których te skurczybyki lubią przebywać, że istnieje możliwość kupienia semteksu, jeśli ktoś jest w stanie odpowiednio dużo zapłacić.

- A jak zwerbowałeś swoich kontaktowych?

- W podobny sposób. Puściłem w obieg plotkę, że hojnie wynagrodzę osoby, które dostarczą mi informacje, jakich szukam.

- To Włosi?

- Do diaska, jasne, że tak. Czy nie o to właśnie chodzi? Zawory bezpieczeństwa.

Wiarygodne usprawiedliwienie. Amerykanin, taki jak ja, ma tylko puścić piłkę w ruch, ale cała drużyna musi się składać z osób pochodzących z kraju, w którym pracujemy. W ten sposób po akcji nie pozostanie trop prowadzący do nas.

- Tak jest napisane w podręcznikach.

- A ty co uważasz?

- Miejscowi muszą być godni zaufania.

- Sugerujesz, że moi kontaktowi mogą nie spełniać tych wymagań? - McKittrick zapytał podejrzliwie.

- Powiedzmy, że pieniądze zachęcą ich do sumienności.

- Na miłość boską, tropimy terrorystów - powiedział McKittrick. - Czy wydaje ci się, że powinienem zdobyć informatorów, apelując do ich obywatelskiego obowiązku? Decker pozwolił sobie na uśmiech.

- Nie, wierzę w staromodne metody. Apelując do ich słabości.

- No właśnie.

- Ale chciałbym ich poznać - dodał Decker. McKittrick wyglądał, jakby czuł się nieswojo.

- Po prostu, żeby się zorientować, z kim mamy do czynienia - dodał Decker.

- Przecież to wszystko jest w moich raportach.

- Które stanowią pasjonującą lekturę. Tak się jednak składa, że zawsze lubiłem trzymać rękę na pulsie. Na kiedy możesz zorganizować spotkanie? McKittrick wahał się chwilę, po czym odparł:

- Dzisiaj, o dwudziestej trzeciej.

- Gdzie?

- Powiadomię cię. Decker wręczył McKittrickowi kawałek specjalnego papieru.

- Zapamiętaj ten numer telefonu. Już? W porządku. - Decker zaniósł papier do kuchni, polał go wodą i popatrzył, jak się rozpuszcza i znika w odpływie zlewu. - Żeby potwierdzić spotkanie, zadzwoń pod ten numer dzisiaj o dwudziestej albo, począwszy od tego czasu, co pół godziny, aż do dwudziestej drugiej. Po dziesiątej daj sobie spokój. Będzie to znaczyło, że nie udało ci się zebrać kontaktowych. W takim wypadku spróbuj umówić ich na jutro wieczór albo na pojutrze. Za każdym razem obowiązuje taki sam sposób dzwonięcia. Poproś Baldwina. Moja odpowiedź będzie brzmiała „Edward”.

- To jest telefon w twoim hotelu?

- Zaczynasz mnie niepokoić. Nie, ten telefon nie jest w moim hotelu. Poza tym, kiedy będziesz dzwonił pod ten numer, nie telefonuj stąd,

- Znam przepisy.

- Zadzwoń z automatu, którego nigdy wcześniej nie używałeś.

- Powiedziałem, że znam przepisy.

- Niemniej jednak nigdy nie zaszkodzi trochę sobie przypomnieć.

- Słuchaj, wiem, co myślisz - stwierdził McKittrick.

- Doprawdy?

- Po raz pierwszy prowadzę akcję. Chcesz mieć pewność, że się do tego nadaję.

- Masz rację, wiesz, co myślę - zgodził się Decker.

- Więc nie musisz się martwić.

- Czyżby?

- Potrafię sobie dać radę. Decker opuścił budynek, przeszedł przez ruchliwą ulicę i dał znak kierowcy taksówki, żeby zatrzymał się za rogiem. Gdy już znalazł się poza zasięgiem wzroku McKittricka, który mógł go obserwować z mieszkania, przeprosił taksówkarza i powiedział mu, że zmienił zdanie i zdecydował pójść kawałek piechotą. Gdy taksówkarz odjechał, mamrocząc z niezadowoleniem pod nosem, Decker wrócił do rogu, ale nie wyłonił się zza niego. Narożna kawiarnia miała okna, które wychodziły zarówno na główną, jak i na boczną ulicę. Kryjąc się za rogiem, Decker mógł patrzeć przez boczne i frontowe okna kawiarni jednocześnie, co pozwalało mu obserwować budynek McKittricka. Słońce, które odbijało się we frontowej szybie, jeszcze skuteczniej skrywało Deckera. McKittrick wyszedł z budynku wcześniej, niż Decker się spodziewał. Postawny mężczyzna przecesał dłonią krótkie blond włosy, nerwowo popatrzył na obie strony ulicy, energicznym ruchem zatrzymał pustą taksówkę i wsiadł do niej. Czekać, Decker musiał znaleźć sobie jakieś zajęcie, żeby nie wyglądać podejrzanie. Odpiął przypięty łańcuchem do lampy motorower, który wcześniej wynajął. Otworzył niewielki bagażnik, wepchnął do niego swoją granatową bluzę, wyjął kurtkę z brązowej skóry i kask z ciemną osłoną twarzy i założył je na siebie. Zmienił w ten sposób wygląd wystarczająco, żeby McKittrick nie był w stanie go poznać, gdyby sprawdzał, czy ktoś go nie śledzi. Decker wsiadł na motorower i pojechał za taksówką. Nie uspokoiło go to spotkanie. Kłopoty, które wyczuł czytając raporty McKittricka, teraz stały się bardziej prawdopodobne. Nie chodziło wyłącznie o to, że McKittrick po raz pierwszy znalazł się na samodzielnym stanowisku. W końcu, jeśli ktoś ma zacząć karierę, kiedyś musi być pierwszy raz. Decker też miał kiedyś swój pierwszy raz. Niepokoił się tym, że McKittrick był zanadto pewny siebie i nie wykazywał się najlepszą znajomością rzemiosła, a przy tym nie grzeszył skromnością, nie zdawał sobie więc sprawy ze swojej niedoskonałości. Zanim Decker przyleciał do Rzymu, poradził przełożonym, żeby przydzielili McKittricka do innej, nie tak delikatnej akcji, ale stary McKittrick był legendą w tym zawodzie (OSS, członek założyciel CIA, dawny zastępca dyrektora do spraw akcji). Oczywiście chłopaka nie dało się przenieść, tak żeby ojciec nie zażądał wyjaśnień, dlaczego synowi zamyka się możliwości rozwoju. Wysłano więc Deckera, żeby się przyjrzał młodemu McKittrickowi i sprawdził, czy wszystko jest w należytym porządku. W roli piastunki,

pomyślał Decker. Jechał za taksówką w gęstym ruchu, aż w końcu zatrzymał się, gdy McKittrick wysiadł przy Schodach Hiszpańskich. Decker szybko przypiął motorower łańcuchem do lampy i ruszył za nim. Było tylu turystów, że McKittrickowi nie powinno sprawiać kłopotów wmieszanie się w tłum, ale jego blond włosy, które należało ufarbować na ciemny, nie przyciągający uwagi kolor, rzucały siew oczy. Kolejne uchybienie w rzemiośle, pomyślał Decker. Mrużąc oczy przed popołudniowym słońcem, Decker poszedł za McKittrickiem obok kościoła Trinita dei Mond i w dół Schodów Hiszpańskich, do placu Hiszpańskiego. Teren ten niegdyś zajmowali sprzedawcy kwiatów, teraz pełno tu było ulicznych handlarzy, którzy rozłożyli przed sobą biżuterię, ceramikę i obrazy. Nie rozpraszały one uwagi Deckera. Szedł za McKittrickiem, skręcając w prawo obok fontannyłódki Beminięgo, przepychając się przez tłum, mijając dom, w którym w 1821 roku zmarł Keats. W końcu zobaczył, że chłopak wchodzi do kawiarni. Kolejny błąd w rzemiośle, pomyślał Decker. Nierozsądne było skrycie się w miejscu, gdzie na zewnątrz kłębi się tak wielu ludzi. Gdyby ktoś go obserwował, byłby trudny do zauważenia. Decker wybrał częściowo osłonięte miejsce i przygotował się na czekanie, ale i tym razem McKittrick wyszedł wcześniej, niż Decker się spodziewał. Nie sam, lecz z Włoszką, nieco ponad dwudziestoletnią, wysoką i szczupłą, zmysłową, o owalnej twarzy otoczonej krótkimi ciemnymi włosami, z okularami zatkniętymi na czubku głowy. Była ubrana w kowbojskie buty, obcisłe džinsy i czerwoną koszulkę, która podkreślała jej piersi. Nawet z odległości trzydziestu jardów Decker mógł zauważyć, że nie nosi stanika. McKittrick obejmował ją ramieniem. Ona z kolei otoczyła go ręką w biodrach i zatknęła kciuk w tylną kieszeń jego spodni. Ruszyli Via dei Condotti, weszli w zacienioną ulicę na prawo, zatrzymali się na schodach jakiegoś budynku, pocałowali łączywie i zniknęli w środku.

Telefon zadzwonił o 21.00. Decker powiedział McKittrickowi, że numer, który mu podał, nie jest do jego hotelu. Był to numer automatu telefonicznego w hotelu położonym kawałek dalej, przy tej samej ulicy, gdzie Decker mógł bez ściągania niczyjej uwagi czekać w holu recepcyjnym i czytać gazetę. Poczawszy od ósmej, co pół godziny podchodził do aparatu, czekał pięć minut, po czym wracał do swojego wygodnego fotela. Gdy telefon w końcu zadzwonił o dziewiątej, Decker stał obok, gotów podnieść słuchawkę.

- Halo?

- Baldwin? - dało się poznać lekki, nowoangielski akcent McKittricka.

- Edward?

- Aktualne dzisiaj o dwudziestej trzeciej.

- Gdzie? McKittrick podał mu miejsce. Decker zmarszczył brwi, gdy usłyszał, gdzie ma się odbyć spotkanie.

- Do zobaczenia. - Zaniepokojoyony, odwiesił słuchawkę i wyszedł z hotelu. Był jednak zmęczony po podróży i wolałby tego wieczoru odpocząć, tym bardziej że pracował przez całe popołudnie; wcześniej udał się do międzynarodowej agencji handlu nieruchomościami, w której rzekomo został zatrudniony, i zameldował się w niej, potwierdzając w ten sposób swoją przykrywkę. Jego kontaktowy w agencji dał mu paczkę wielkości książki, którą przysłano dla Deckera. Po powrocie do pokoju hotelowego Decker sprawdził, czy półautomatyczny pistolet, walthera .380 znajdujący się w paczce, jest sprawny. Mógł wybrać silniejszą broń, ale wolał walthera. Niewiele większego od dłoni, z kaburą, którą można było przypiąć do pasa džinsów, przy kręgosłupie. Gdy miał rozpiętą bluzę, broń nie odznaczała się pod ubraniem. Nie dawała mu jednak poczucia całkowitego bezpieczeństwa. Było ich pięcioro - wysoka, atrakcyjna kobieta, którą Decker widział wcześniej z McKittrickiem, i czterech mężczyzn; wszyscy Włosi, w wieku od dwudziestu do trzydziestu lat, szczupli, o włosach gładko zaczesanych do tyłu. Ich wygląd świadczył, że mają takie same upodobania - kowbojskie buty, džinsy, klamry od pasków w stylu Dzikiego Zachodu. Palili nawet ten sam rodzaj papierosów - malboro. Ale łączyło ich jeszcze coś silniejszego - duże podobieństwo

rysów. Byli rodzeństwem. Towarzystwo siedziało w prywatnej sali nad kawiarnią, niedaleko Piazza Colonna jednej z najruchliwszych, handlowych części Rzymu. Deckera niepokoiło, że mają się spotkać właśnie w tym miejscu. Nie tylko było ono zbyt ruchliwe, ale również wydawało się niemożliwe, żeby McKittrick mógł zarezerwować salę w tak popularnym klubie nocnym, z tak małym wyprzedzeniem. Liczne puste butelki po winie i piwie stojące na stole nie pozostawiały wątpliwości, że towarzystwo przebywało w tym miejscu już dość długo przed przybyciem Deckera. McKittrick przyglądał się wszystkim z kąta sali, a Decker przywitał się i od razu przeszedł do sedna sprawy.

- Ludzie, których ścigamy, są niezwykle niebezpieczni - powiedział po włosku. - Nie chcę, żebyście robili cokolwiek, co stanowiłoby dla was ryzyko. Jeśli któreś z was ma choćby najmniejsze podejrzenia, że ściągnął na siebie ich uwagę, niech się wycofa. Niech zgłosi to mojemu przyjacielowi. - Wskazał na McKittricka. -1 zniknie.

- Czy w takim wypadku wciąż należałaby się nam premia? - spytał jeden z braci.

- Oczywiście.

- To bardzo uczciwe postawienie sprawy. - Młody człowiek dopił piwo ze szklanki. Od gęstego dymu w pomieszczeniu, Deckera zaczęło drapać w gardle. Dym pogłębił również ból głowy, który był efektem zmęczenia po podróży.

- Skąd macie pewność, że znaleźliście właściwych ludzi? Jeden z braci parsknął śmiechem.

- Czy powiedziałem coś zabawnego? - spytał Decker.

- Ty nie. Oni - ta grupa, którą mieliśmy znaleźć. Od razu wiedzieliśmy, kim są. Studiowaliśmy z nimi na uniwersytecie. Zawsze gadali jak szaleńcy.

- Włochy dla Włochów - odezwała się siostra. Decker spojrzał na nią. Do tej pory niewiele mówiła. Zmieniła koszulkę na niebieską. Mimo że na wierzch włożyła drelichową kurtkę, było jasne, że dziewczyna nadal nie ma stanika.

- Nie mówili o niczym innym. Włochy dla Włochów. - Dziewczyna miała na imię Renata. Na chłopięcych, krótkich czarnych włosach nadal pozostawiła zatknięte okulary. - Ciągłe uskarżali się na Wspólnotę Europejską. Twierdzili, że zniesienie granic narodowych sprawi, że obcy zaleją Włochy. Oskarżali Stany Zjednoczone, że popierają ruch dążący do zjednoczenia Europy, że starają się zorganizować nowe, rozległe rynki dla amerykańskich towarów. Jeśli reszta Europy chce być skorumpowana, świetnie, ale Włochy muszą walczyć, żeby Stany Zjednoczone nie zdominowały ich gospodarczo i kulturowo. Więc gdy w zamachach bombowych zaczęli ginąć amerykańscy dyplomaci, właśnie ci ludzie najpierw przyszli nam na myśl. Szczególnie po telefonach na policję, gdy nazwali się Dziećmi Mussoliniego. Mussolini był jednym z ich bohaterów.

- Skoro ich podejrzewaliście, dlaczego nie posłaliście na policję? - spytał Decker. Renata wypuściła dym i wzruszyła ramionami.

- Dlaczego? Ci ludzie byli kiedyś naszymi przyjaciółmi. Nam nie robią krzywdy. Ale gdyby wypuszczono ich z więzienia, z powodu niewystarczających materiałów dowodowych...

- Może władze byłyby w stanie znaleźć wystarczające dowody? Renata zaśmiała się kpiąco. Gdy poruszyła szczupłym, zmysłowym ciałem, piersi pod koszulką zafalowały.

- Zapewniam cię, że ci ludzie nie są głupcami. Nie zostawiliby żadnych dowodów.

- Więc powtórzę swoje pytanie. Skoro nie ma dowodów, skąd wiecie, że znaleźliście właściwych ludzi?

- Ponieważ od czasu gdy Brian zaczął nam płacić - wskazała na McKittricka, a Decker zaniepokoił się, że McKittrick podał swoje prawdziwe imię bacznie obserwowaliśmy naszych przyjaciół. Pewnej nocy śledziliśmy ich. Jechali samochodem kilkaset metrów za limuzyną ambasadora, gdy odwożono go do ambasady po przedstawieniu operowym, w chwilę potem ambasador zginął w zamachu bombowym. Na pewno użyli zdalnie sterowanego detonatora. Decker skrzył napięcie, które na chwilę odebrało mu głos. Zamach na ambasadora Robbinsa

był atakiem, który sprawił, że najbardziej wpływowe osoby w Waszyngtonie pozbyły się swej zwyczajowej powściągliwości i zaczęły domagać się, żeby uczynić coś, co powstrzymałoby te potwory - w jakikolwiek sposób. McKittrick zdobył tak wiele przychylniej uwagi przelożonych Deckera, gdyż ktoś wywierał na nich presję. Jeśli kontaktowi McKittricka umieliby rozpoznać terrorystów odpowiedzialnych za zamach, rozwiązałoby to połowę problemu. Druga połowa, to co zrobić z pozyskaną informacją.

- Może akurat przypadkowo tam byli? - zauważył Decker.

- Odjechali śmiejąc się. Decker poczuł, jak coś go ściska za gardło.

- Wiecie, gdzie mieszkają?

- Renata podała mi ich adres - wtrącił McKittrick. - Ale oczywiście nie będą tam siedzieć wiecznie. - Wykonał wymowny gest ręką. - Trzeba się z nimi szybko rozprawić. Kolejny błąd w sztuce, zauważył Decker z obawą. Kontaktowi nigdy nie powinni znać myśli koordynującego. I co McKittrick miał na myśli mówiąc: „rozprawić się”?

- Renata mówiła mi, że jest pewien klub, do którego często chodzą - powiedział McKittrick. - Gdyby udało nam się zebrać ich wszystkich...

- Coś ty, do cholery, wyrabiał? - spytał ze złością Decker, gdy szedł z McKittrickiem po zakończonym spotkaniu.

- Nie wiem, o czym mówisz. Decker rozejrzał się uważnie. Zmrużył oczy przed reflektorami licznych, mijających ich samochodów, chwycił McKittricka za lewe ramię i skierował w boczną uliczkę, z dala od hałaśliwego nocnego życia.

- Przez ciebie możemy nie wykonać zadania - wyszeptał ochryple Decker, kiedy tylko wydostali się z tłumu przechodniów. - Podałeś im swoje prawdziwe imię. McKittrick wydawał się zażenowany i nie odpowiedział.

- Sypiasz z tą kobietą kontynuował Decker. - Czy twój instruktor nie wyjaśnił ci, że nigdy nie wolno wchodzić w osobiste układy z kontaktowymi?

- Dlaczego sądzisz, że sypiam z...?

- Dziś po południu usiłowałeś na stojąco naśladować sztuczne oddychanie ustausta.

- Śledziłeś mnie?

- Nie było to specjalnie trudne. Łamiesz tyle zasad, że nie mogę nadażyć z wyliczaniem... Piłeś z nimi, zanim przyszedłem - czuć od ciebie alkohol.

- Chciałem, żeby nie byli przy mnie skrepowani.

- Forsa - oświadczył Decker. - To sprawia, że nie są skrepowani. Nie twoja uroczą osobowość. To jest biznes, a nie klub towarzyski. I co miałeś na myśli mówiąc: „rozprawić się z nimi”?

- „Rozprawić się”? Nie pamiętam, żebym coś takiego powiedział...

- Dla mnie brzmiało to, jakbyś w obecności obcych sugerował, że ludzie, których ścigamy, będą... - Mimo cichego tonu głosu i ustronności uliczki Decker nie mógł zdobyć się na wypowiedzenie tych obciążających słów.

- Ostre cięcie - odezwał się McKittrick.

- Co?

- Czyż nie tak brzmi nowy eufemizm? Kiedyś mówiło się: „powstrzymać za pomocą ekstremalnych środków”. Teraz jest: „zastosować ostre cięcie”.

- Gdzie, do diabła, słyszałeś...?

- Czy nie o to chodzi w tej akcji? Te sukinsyny będą zabijały, aż ktoś w końcu definitywnie położy temu kres. Decker odwrócił się gwałtownie, wpatrując się w przechodniów spacerujących po oświetlonej ulicy, zaniepokojony, że ktoś mógł ich podsłuchać.

- Czyś ty zwariował? Czy mówiłeś jeszcze komuś to, co właśnie powiedziałeś mnie? McKittrick zawahał się nieznacznie.

- Tej kobiecie? - dopytywał się Decker. - Powiedziałeś tej kobiecie?

- Cóż, musiałem jej przedstawić, o co chodzi. Jak inaczej miałem ich pozyskać dla sprawy?

- Jezu! - wymamrotał Decker.

- Zawór bezpieczeństwa. Wymyśliłem konkurencyjną szajkę. To oni zlikwidują właściwych ludzi, zadzwonią na policję i podadzą się za Dzieci Mussoliniego.

- Mów ciszej, do cholery.

- Nikt nie będzie mógł udowodnić, że maczaliśmy w tym palce.

- Ta kobieta będzie mogła - zauważył Decker.

- Nie, jeśli zniknę, a ona nie będzie miała dowodów materialnych.

- Wie, jak się nazywasz.

- Zna tylko moje imię - odparł McKittrick. - Kocha mnie. Zrobi dla mnie wszystko.

- Ty... - Decker w ciemności nachylił się blisko w stronę McKittricka, żeby być pewnym, iż tylko on może usłyszeć jego gniewny szept. - Posłuchaj mnie uważnie. Rząd Stanów Zjednoczonych nie ucieka się do zamachów. Nie tropi i nie zabija terrorystów. Zbiera dowody i zleca sądom wymierzenie odpowiedniej kary.

- Tak, pewnie, oczywiście. Tak jak Izraelici nie wysłali drużyny komandosów, żeby zlikwidować terrorystów, którzy zabili jedenastu żydowskich sportowców na olimpiadzie w Monachium w 1972 roku.

- To, co zrobili Izraelici, nie ma z nami nic wspólnego. My nie zajmujemy się zamachami.

- Świetnie. Teraz ty mnie posłuchaj - powiedział McKittrick. - Jeśli pozwolimy tym sukinsynom zwiać, bo zabraknie nam ikry, żeby zrobić, co należy, obydwaj wylecimy z pracy.

- Jutro w południe.

- Co?

- Idź do swojego mieszkania i pozostań tam - powiedział Decker. Nic nie rób. Nie kontaktuj się z tą kobietą. Nie wychodź po gazetę. Nie rób absolutnie nic. Punktualnie w południe zapukam do twoich drzwi i powiem ci, jaka jest w twojej sprawie decyzja przełożonych. Na twoim miejscu już spakowałbym rzeczy. Szczęśliwych czterdziestych urodzin, powiedział Decker sam do siebie. Jego zmizerowana twarz odbijająca się w łazienkowym lustrze świadczyła o tym, jak kiepsko spał. Nawet podczas snu myślał o McKittricku. Nasilał się ból głowy spowodowany dławiącym smrodem dymu papierosowego, który musiał wdychać poprzedniego wieczoru. W żąłdku ciążył mu posiłek, dostarczony przez obsługę hotelu do pokoju późnym wieczorem, a składający się z fettucine i z kurczaka marsala. Na nieregularnej twarzy wyraźnie pojawiło się kilka nowych zmarszczek. Obok intensywnie niebieskich oczu widać było kurze łapki. Na domiar złego znalazł siwy włos w swojej przydługiej, falistej jasnej czuprynie. Sobotni poranek. Dla większości ludzi to początek weekendu, pomyślał Decker, ale nie w moim zawodzie. Nie pamiętał, kiedy po raz ostatni miał wolny czas. Nie wiadomo z jakiego powodu, nagle przypomniał sobie, jak śledził McKittricka na Hiszpańskich Schodach i mijał dom, w którym zmarł Keats. Wyobraził sobie umierającego Keatsa, dławionego i obezwładnianego przez gruźlicę. Taki młody, a tyle już osiągnął. Potrzebuję trochę wolnego czasu. Decker włożył dres i starając się nie zwracać uwagi na spaliny i zatłoczone chodniki, pobiegł do międzynarodowej firmy konsultującej handel nieruchomościami, w której zameldował się dzień wcześniej. Był zadowolony, że jego uniki powstrzymają kogoś, kto by chciał go śledzić. Pokazał przepustkę i wpuszczono go do gabinetu, w którym znajdował się telefon z szyfratorem. Pięć minut później rozmawiał ze swoim kierownikiem w podobnej, międzynarodowej firmie konsultującej handel nieruchomościami, w Aleksandrii, w Wirginii. Rozmowa trwała piętnaście minut i jeszcze bardziej go zdenerwowała. Dowiedział się, że ojciec McKittricka wie o zamiarach Deckera. Prawdopodobnie młody McKittrick zadzwonił do ojca późno wieczorem poprzedniego dnia (Decker mógł tylko mieć nadzieję, że

rozmawiał z automatu ulicznego i zachował dyskrecję). McKittrick senior, który był nie tylko legendą środowiska wywiadowczego, ale również pełnił dawniej funkcję prezesa Rady Bezpieczeństwa Narodowego, i wciąż posiadał znaczne wpływy polityczne, podał w wątpliwość profesjonalizm Deckera i oskarżył go, że ten usiłuje odesłać jego syna, a jego zasługi w odnalezieniu terrorystów przypisać sobie. Mimo że przełożony Deckera oświadczył, iż prywatnie trzyma jego stronę, rozważa i wizja przyszłej emerytury zmuszają go do zignorowania ostrzeżeń Deckera i pozostawienia McKittricka na miejscu.

- Nianóż go - nakazał przełożony. - Ustrzeż go przed popełnianiem błędów. Sprawdź pozostałe informacje z jego raportów. Przekażemy je wszystkim władzom włoskim i ściągniemy was obydwóch. Przrzekam, że już nigdy nie będziesz musiał z nim pracować.

- Nie martwię się o przyszłość, tylko o to, co się dzieje teraz. Decker wrócił do hotelu biegiem, ale to nie rozładowało jego zdenerwowania. Na podłodze w pokoju hotelowym rozłożył ręczniki, zrobił sto pięćdziesiąt pompek i tyle samo przysiadów. Z silnych ramion, wąskich bioder i muskularnych nóg spływał mu pot. Przecwiczył kilka ruchów wschodnich sztuk walk, wziął prysznic i włożył świeże dżinsy i czystą płócienną koszulę. Pod brązową skórzaną kurtką skrył pistolet. Nadal dokuczał mu żołądek. Było dokładnie południe, kiedy, zgodnie z planami, Decker zapukał do drzwi McKittricka. Nikt nie odpowiedział. Decker zapukał ponownie, poczekał chwilę, zmarszczył brwi, zapukał po raz trzeci, odczekał, rozejrzał się w obydwie strony korytarza i wyjął wytrych ukryty w kołnierzu kurtki. Dziesięć sekund później znalazł się w mieszkaniu z bronią gotową do strzału. Zamknął za sobą drzwi. Czy McKittrick go nie posłuchał, czy też coś mu się stało? Decker zaczął z uwagą przeszukiwać mieszkanie. W salonie nie było nikogo. Łazienka, kuchnia i sypialnia, łącznie z szafami w ścianie, również okazały się puste. Decker nienawidził szaf nigdy nie wiadomo, co może się w nich czaić. W napięciu dokończył przeszukiwanie, usiadł na wyściełanym krześle w salonie i przeanalizował możliwości. Wszystko w mieszkaniu znajdowało się na właściwym miejscu, ale to o niczym nie świadczyło. McKittrick mógł gdzie indziej wpaść w kłopoty. Albo, po raz drugi przyszło na myśl Deckerowi, ten sukinsyn mnie nie posłuchał. Decker postanowił poczekać i w tym czasie jeszcze raz przeszukał mieszkanie McKittricka, tym razem szczegółowo. Przejrzał każdą szufladę, zaglądając pod nią i za nią; sprawdził pod materacem i pod łóżkiem; pod fotelami i pod kanapą; w żyrandolach; w sedesie i za nim. To, co znalazł, wprawiało go w osłupienie. McKittrick nie tylko nie zniszczył notatek po wysłaniu raportów, ale ukrył je w miejscu łatwym do przewidzenia pod papierem, na półce w kuchni. Decker obok nazwisk członków grupy, których poznał poprzedniej nocy, znalazł tam adresy, między innymi adres budynku, do którego McKittrick wszedł poprzedniego dnia z Renatą. Znalazł również informację, gdzie znajduje się Klub Tybru. Decker nauczył się wszystkiego na pamięć. Włożył notatki do salaterki, spalił je, roztarł popiół na proszek, wyrzucił przez niewielkie okno kuchenne, zobaczył ceglany mur po drugiej stronie zaułku i wyrzucił popiół, tak żeby rozwiął go wiatr. Oprócz dolegliwości żołądkowych doskwierał mu głód. Odkroił sobie kromkę chleba, wrócił do salonu i zjadł ją powoli, cały czas obserwując drzwi. Dochodziła już czternasta. Decker miał coraz więcej obaw. Cóż innego mogą zrobić? zastanawiał się. Mógł wrócić do międzynarodowej firmy handlu nieruchomościami i wykonać alarmujący telefon, żeby ostrzec swojego kierownika, iż McKittrick nie stawiał się na umówione spotkanie. Ale co by to dało, oprócz wrażenia, że Decker koniecznie chce się czepiać McKittricka? Ten facet był do kitu i nie znał się na rzemiośle - Decker już wcześniej zwrócił na to uwagę. Prawdopodobnie więc mogło się okazać, że McKittrick zapomniał albo samowolnie zignorował spotkanie. Może w tej chwili był w łóżku z Renatą? Jeśli tak, to może jest bardziej bystry niż ja, pomyślał Decker. Kiedy to ja poszedłem z kimś ostatnio do łóżka? Nie mógł sobie przypomnieć. Ponieważ tak wiele podróżował, miał niewiele przyjaciółek i wszystkie parały się tym samym zawodem. Przypadkowe randki nie wchodziły w rachubę - nawet zanim zaczął się rozprzestrzeniać AIDS, Decker unikał przygód na jedną noc, uważał bowiem, że zażyłość równa się odsłonięciu słabych punktów i nie ma sensu

odkrywać się przed kimś, o kim nic nie wie. Ta cholerna praca, pomyślał Decker. Nie tylko wpędza człowieka w paranoję, ale również robi z niego zakonnika. Rozejrzał się po przygnębiającym salonie. Zapach stęchlizny drażnił go. Nadal dokuczał mu żołądek. Szczęśliwych czterdziestych urodzin, powtórzył sobie w myśli jeszcze raz. Zanim w zamku zachrobotał klucz, Decker zdążył zjeść cały chleb, jaki był w mieszkaniu. Była niemal 21.00. McKittrick wpadł bez tchu i zamarł, gdy zobaczył Deckera.

- Zamknij drzwi - powiedział Decker.

- Co tu...

- Byliśmy umówieni na spotkanie, nie pamiętasz? Zamknij drzwi.

- Nie powiedzieli ci? Czy mój ojciec nie...

- Owszem, przekazał mi swoje posłanie. Ale to nie był wystarczający powód, żeby odwołać naszą pogawędkę. - Decker wstał. - Gdzie, do cholery, byłeś?

- Nie wiesz?

- O czym mówisz?

- Nie oglądałeś?

- Gadaj do rzeczy. McKittrick podszedł szybko do telewizora i włączył go.

- Były tam trzy różne ekipy telewizyjne. Na pewno jakaś stacja jeszcze nadaje transmisję z... - Ręka mu drżała, gdy przerzucał kanały. - Jest. Z początku do Deckera nie docierało, co ogląda. Nagle zrozumiał, widząc głośnie, pełne zamieszania sceny. Czarny dym zasnuwał niebo. Z okien buchały płomienie. Strażacy siłowali się z sikawkami obok fragmentu zawalanej ściany i lali wodą w stronę wielkiego płonącego budynku. Wozy strażackie z wyciem syren zatrzymywały się obok pojazdów pozostałych służb specjalnych; samochodów policyjnych, karetok pogotowia i innych wozów strażackich. Decker, zaszokowany, zdał sobie sprawę, że zawiodą nie tylko syreny, ale też poparzeni ludzie, których wynoszono na noszach. Mieli zwęglone twarze, wykrzywione z bólu, niemal nieludzkie. Policjanci powstrzymywali tłum, a nieruchome ciała leżały przykryte kocami.

- Co to jest? Co się, na Boga, stało? Zanim McKittrick zdążył odpowiedzieć, reporter zaczął mówić o terrorystach, o Dzieciach Mussoliniego, o najgorszym przypadku przemocy antyamerykańskiej, o dwudziestu trzech zabitych amerykańskich turystach i czterdziestu trzech rannych w potężnym zamachu bombowym. Byli członkami grupy wycieczkowej z Salt Lake City i bawili się na bankiecie w Klubie Tybru, żeby uczcić swoją ostatnią noc w Rzymie.

- Klub Tybru? - Decker przypomniał sobie tę nazwę z listy, której nauczył się na pamięć.

- Renata mówiła mi, że terroryści lubią tam chodzić. - Skóra McKittricka przybrała kolor popiołu. - Powiedziała, że ten plan jest nie do przejrzenia. Nic nie mogło go popsuć. To nie miało być tak! Renata przyrzekała mi, że...

- Przestań bredzić! - Decker złapał McKittricka za ramię. - Rozmawiaj ze mną. Co zrobiłeś?

- Zeszłej nocy. - McKittrick przerwał i odetchnął kilka razy głęboko. Po spotkaniu, po tym jak się posprzeczaliśmy. - Pierś McKittricka falowała. - Wiedziałem, że mam niewiele czasu, zanim odbierzesz mi akcję i przypiszesz sobie moje zasługi.

- Ty naprawdę wierzysz w te bzdury, których nagadałeś swojemu ojcu? Sądzisz, że ci zazdroszczę?

- Musiałem coś zrobić. Nie miałem pewności, czy mój telefon do ojca rozwiąże problem. Istniał plan, o którym od dawna rozmawialiśmy z Renatą. Plan doskonały. Gdy rozstałem się z tobą, wróciłem do kawiarni. Renata i pozostali wciąż byli w sali na piętrze. Zdecydowaliśmy się wprowadzić plan w życie.

- Bez autoryzacji? - osłupiał Decker.

- Od kogo miałem ją otrzymać? Od ciebie? Nie pozwoliłbyś mi. Zrobiłbyś wszystko, żeby mnie przydzielili do innego zadania. Sam byś wykorzystał ten plan.

- Bardzo staram się, żeby nie stracić cierpliwości - powiedział Decker. W telewizji zobaczył, że z drzwi budynku buchają płomienie i zawalił się kolejny fragment muru.

Strażacy musieli się wycofać. Wzmógł się skowyt syren. Ratownicy, w kłębach dymu, ładowali ciała do karet. - Ten plan. Opowiedz mi o waszym wspaniałym planie.

- Był tak prosty, że aż doskonały.

- Och, w to nie wątpię.

- Renata i jej grupa mieli czekać, aż terroryści zbiorą się wszyscy w jednym miejscu - może w mieszkaniu albo w Klubie Tybru. Wtedy ktoś z grupy Renaty ukryłby teczkę z ładunkiem wybuchowym w pobliżu miejsca, przez które terroryści musieliby przejść. Kiedy by się tylko pojawili, Renata miała zdalnie uruchomić detonator, powodując wybuch. Wyglądałoby tak, jakby terroryści przynosili ładunek wybuchowy i jakby bomba wybuchła niechcący. Decker słuchał kompletnie osłupiały. Pokój zaczął mu się kołysać przed oczami. Twarz mu odrętwiała. Nie miał pewności, czy jest przy zdrowych zmysłach. To nie może się dziać naprawdę, powiedział do siebie. Niemożliwe, żebym to słyszał na własne uszy.

- Prosty? Doskonały? - Decker potarł obolałe czoło. - Nie przyszło ci do głowy, że mogłeś wysadzić w powietrze niewłaściwych ludzi?

- Jestem absolutnie pewien, że grupa Renaty znalazła terrorystów.

- Nie przyszło ci również do głowy, że wraz z nimi mogłeś wysadzić masę niewinnych osób?

- Ostrzegłem Renatę, żeby nie ryzykowała. Gdyby były jakiegokolwiek wątpliwości, że ktoś jeszcze znajduje się w rejonie wybuchu, miała poczekać.

- Ona? - Decker miał ochotę potrząsnąć McKittrickiem. - Gdzie jest twój zdrowy rozsądek? Większość ludzi nie byłaby zdolna do detonacji ładunku. Dlaczego ona miała się do tego nadawać?

- Bo ją poprosiłem.

- Co?

- Kocha mnie.

- Chyba śnię. To jakiś koszmar - powiedział Decker. - Za chwilę się obudzę. Nic z tych rzeczy nie dzieje się naprawdę.

- Zrobiłaby dla mnie wszystko.

- Łącznie z zabójstwem?

- To nie zabójstwo, zlikwidować terrorystów.

- A jak to, do diabła, nazwiesz?

- To egzekucja.

- Jesteś niesamowity - stwierdził Decker. - Zeszłej nocy mówiłeś: „ostre cięcie”. Twórz nazwy, jakie ci się podobają, ale to wciąż pozostaje zabójstwem i jeśli ktoś podejmuje się podobnego zadania, trzeba sobie zadać pytanie, co nim kieruje. Na pewno nie miłość.

- Nie uwierzę, że robi wszystko tylko dla pieniędzy.

- Skąd mieli otrzymać ładunek wybuchowy?

- Ode mnie. Decker poczuł się, jakby ktoś wymierzył mu policzek.

- Ty go dostarczyłeś?

- Otrzymałem semteks na początku akcji, żeby grupa Renaty mogła dzięki mnie spróbować dotrzeć do terrorystów.

- Ty dostarczyłeś...? - Decker z jeszcze większym przerażeniem wpatrywał się w telewizję: wyjące syreny, dym, płomienie, zniszczenie, trupy. - To ty jesteś odpowiedzialny za...

- Nie! To był błąd! Z jakiegoś powodu teczka wybuchła w złym momencie! Z jakiegoś powodu klub był wypełniony Amerykanami! W jakiś sposób... ja... Renata musiała... błąd. - McKittrickowi zabrakło słów. Usta mu się poruszały, lecz nie wydawał żadnego dźwięku.

- Nie otrzymałeś wystarczającej ilości semteksu, żeby spowodować takie zniszczenia - powiedział Decker beznamiętnym tonem. McKittrick zamrugnął, nie bardzo rozumiejąc.

- Miałaś tylko próbkę - dodał Decker. - Tyle, żeby skusić terrorystów i żeby im się wydawało, że otrzymają więcej. Renata musiała mieć dostęp do znacznie większej ilości, by zniszczyć ten cały budynek.

- O czym ty mówisz?

- Myśl rozsądnie! Nie zwerbowałeś grupy studentów, którzy mieli ci pomóc wytropić terrorystów! Ty idioto, zwerbowałeś samych terrorystów! Wzrok McKittricka stał się pusty od szoku. Zaczął gwałtownie potrząsać głową.

- Nie! To niemożliwe!

- Patrzyli ci prosto w twarz! Cud, że powstrzymali się, żeby ci się nie śmiać w nos. Klasyczne sidła. Przez cały czas pieprzyłeś Renatę, ona zadawała ci pytania, a ty opowiadałeś jej o naszych planach, o wszystkim, co robimy, żeby spróbować ich złapać. Twarz McKittricka jeszcze bardziej poszarzała.

- Nie myślę się, prawda? - spytał Decker. - Wszystko jej mówiłeś.

- Jezu!

- Zeszłej nocy, gdy ostrzegłeś ich, że możesz zostać odwołany, zdecydowali, że czas zakończyć grę i zabrać się z powrotem do pracy. Czy to ty zasugerowałeś wprowadzenie w życie tego planu i podjęcie działania przeciwko terrorystom, czy Renata?

- Ona... - McKittrick przełknął ślinę. - Ona.

- Żeby ci pomóc zrobić karierę?

- Tak.

- Ponieważ cię kocha?

- Tak.

- Czy plan był przede wszystkim jej pomysłem?

- Tak.

- I wykorzystała próbkę semteksu, którą jej dałeś. Założę się, że mają zdjęcia i nagrania, które udowadniają twój współudział. Zmieszała próbkę ze swoim semteksem i wysadziła w powietrze amerykańską wycieczkę. Chciałeś robić karierę? Cóż, chłopie, twoja kariera właśnie się skończyła.

- Ale bałagan! - Decker, siedząc w międzynarodowej agencji pośrednictwa handlu nieruchomościami, słuchał w telefonie z szyfratorem zmęczonego głosu swojego przełożonego.

- Ci wszyscy zabici ludzie. Okropne. Aż się niedobrze robi. Dzięki Bogu, nie jestem już za to odpowiedzialny. Dopiero w chwilę później ta uwaga dotarła do Deckera. Wyprostował się na krześle i mocniej ścisnął słuchawkę.

- Nie jesteś za to odpowiedzialny? A kto jest? Ja? Zrzucasz to na mnie?

- Pozwól sobie wyjaśnić.

- Nie miałem z tym nic wspólnego. Wysłałeś mnie tutaj w ostatniej chwili. Doniosłem, iż uważam, że akcja jest zagrożona. Zignorowałeś moje uwagi i...

- Nie ja zignorowałem twoje uwagi - odparł przełożony Deckera. - Sprawę przejął ojciec McKittricka. On jest teraz szefem.

- Co?

- On jest odpowiedzialny za tę akcję. Kiedy tylko dostał telefon od swojego syna, zaczął dobijać się do wszystkich, którzy winni mu byli jakieś przysługi. W tej chwili jest w drodze do Rzymu. Powinien tam dotrzeć o...

Ośmiomiejscowy, służbowy odrzutowiec astra galaxy, dla niepoznaki stanowiący prywatną własność, wylądował na lotnisku Leonardo da Vinci tuż po północy. Decker czekał za stanowiskami celnymi i migracyjnymi, aż wysoki mężczyzna o siwych włosach i patrycjuszowskim wyglądzie załatwi formalności. Na pokładzie odrzutowca Decker nie dostrzegł innych pasażerów. Jason McKittrick miał siedemdziesiąt dwa lata, ale był

przystojny i w zadziwiająco dobrej formie. Opalony, miał szerokie barki i zdecydowany wyraz twarzy. Ubrany w trzyczęściowy szary garnitur z materiału z domieszką wełny, po którym, podobnie jak po nim samym, nie widać było skutków długiej, zaplanowanej w ostatniej chwili podróży. Decker wcześniej już trzy razy miał okazję spotkać się z tą legendą CIA i gdy McKittrick się zbliżył, zaszczyił Deckera powściągliwym skinieniem głowy na znak rozpoznania.

- Czy miał pan dobry lot? Wezmę pańską walizkę - zaoferował Decker. Ale McKittrick nie puścił walizki, minął Deckera i ruszył w stronę wyjścia z lotniska. Decker dogonił go. Odgłos ich kroków rozbrzmiewał echem w ogromnej hali. O tak późnej porze było niewiele osób. Decker wynajął wcześniej samochód, fiata. Gdy znaleźli się na parkingu, McKittrick przyglądał się, jak Decker przeszukuje auto, żeby upewnić się, że podczas jego pobytu na lotnisku nie zostały zainstalowane żadne urządzenia podsłuchowe. Wielki człowiek odezwał się dopiero, gdy już znalazł się w aucie, a Decker poprowadził samochód poprzez ponurą mżawkę w stronę miasta.

- Gdzie jest mój syn?

- W hotelu - odparł Decker. - Wykorzystał zapasowy paszport z innym nazwiskiem. Po tym, co zaszło... Domyślałam się, że opowiedziano panu wszystko po drodze?

- O eksplozji? - McKittrick przytaknął ponuro. Decker wpatrywał się przed siebie ponad klapiącymi wycieraczkami.

- Po wybuchu doszedłem do wniosku, że nie będzie bezpiecznie dla pańskiego syna, żeby pozostał w swoim mieszkaniu. Terrorysty wiedzą, gdzie mieszka.

- Podejrzewasz, że mogli go zaatakować?

- Nie. - Decker spojrzął na liczne światła w lusterku wstecznym. W ciemności i w deszczu trudno było się zorientować, czy ktoś ich śledzi. Ale domyślałam się, że przekażą policji informacje i dowody przeciwko niemu. Jestem pewien, że o to chodziło - żeby powiązać agenta amerykańskiej służby wywiadowczej z zamachem terrorystycznym przeciwko Amerykanom. Twarz McKittricka stężała.

- Jak tylko się upewnię, że nikt nas nie śledzi, zawiozę pana do niego powiedział Decker.

- Myślisz o wszystkim.

- Staram się.

- A więc pomyślałeś już, kto będzie za to odpowiedzialny? - spytał McKittrick.

- Przepraszam? Deszcz stukał o dach samochodu.

- Na przykład ty? - spytał McKittrick.

- Nie ma mowy, żebym przyjął odpowiedzialność za...

- To pomyśl o kimś innym. Co do jednego możesz mieć pewność, że mój syn nie będzie w to zamieszany.

Skromny hotel był położony przy skromnej ulicy - niezauważalny. Decker skłonił się nocnemu portierowi i pokazał mu klucz hotelowy, żeby udowodnić, że tutaj mieszka, po czym poprowadził McKittricka przez niewielką recepcję, obok windy, po wykładanych dywanem schodach. Pokój McKittricka juniora znajdował się tylko parę pięter wyżej. Decker, jeśli to było możliwe, unikał potencjalnych pułapek w postaci wind. Wydawało się, że McKittrick przyjął te środki ostrożności za oczywiste. Mimo że niósł walizkę, po tym wysokim, starszym mężczyźnie nie było widać żadnych oznak zmęczenia. Doszli do pokoju 312. Decker zapukał cztery razy, zgodnie z kodem, który miał uprzedzić syna McKittricka, kto przyszedł, i otworzył drzwi własnym kluczem. Zaniepokoiła go panująca w pokoju ciemność. Włączył światło i srogo zmarszczył brwi, gdy spostrzegł, że nikt nie śpi w łóżku.

- Cholera!

- Gdzie on jest? - dopytywał się McKittrick. Decker zajrzał do łazienki i do salonu, wiedząc, że są to próżne wysiłki.

- Pański syn ma zły nawyk niewykonywania poleceń. Już drugi raz dzisiaj nie wykonał rozkazu.

- Musiał mieć bardzo ważny powód.

- To by było coś nowego. Zostawił walizkę. Prawdopodobnie ma zamiar wrócić. - Decker zauważył kopertę na nocnym stoliku. - Proszę. Jest adresowana do pana. McKittrick wydawał się zdenerwowany.

- Mówił mu pan, że przyjeżdżam?

- Oczywiście. Co się stało?

- Może to nie było najmądrzejsze posunięcie.

- A co złego widzi pan w tym, że mu powiedziałem, iż przyjeżdża jego ojciec? McKittrick zdążył już otworzyć kopertę. Zmrużył oczy. Poza tym nie dał po sobie nic poznać. W końcu opuścił kartkę i westchnął.

- I co? McKittrick nie odpowiadał.

- Co to jest? McKittrick wciąż milczał.

- Niech mi pan powie.

- Nie jestem pewien. - Głos McKittricka był ochrypliwy. - Być może jest to list samobójcy.

- Samobójcy? O czym... - Decker wziął od niego list. Był napisany odręcznie, z nagłówkiem, który przywiódł mu na myśl rozpieszczonego studenta, wieczne dziecko.

Tatku... Chyba znowu narozrabiałem. Przykro mi. Zdaje się, że często to powtarzam, prawda? Przykro mi. Chcę, żebyś wiedział, że tym razem naprawdę się starałem. Szczerze. Wydawało mi się, że wszystko rozwikłałem. Że jestem kryty. Że już wygrałem tę rozgrywkę. Jak to się można mylić, co? Nie wiem, co gorsze - to, że Cię zawstydzę, czy to, że nie będę taki jak Ty. Ale przyrzekam Ci, tym razem nie ucieknę przed swoim błędem. To ja odpowiem za wszystko. I poniosę karę. Jak zrobię to, co należy, nie będziesz się mnie już musiał wstydzić. Bry McKittrick odchrząknął, jakby mówienie sprawiało mu kłopot.

- Tak zdrobniale nazywałem Briana. Bry. Decker ponownie przeczytał notkę.

- „To ja odpowiem za wszystko. I poniosę karę”. Co on chce przez to powiedzieć?

- Obawiam się bardzo, że ma zamiar się zabić - powiedział McKittrick.

- I to ma spowodować, żeby się pan za niego nie wstydził? Myśli pan, że to właśnie znaczy jego ostatnie zdanie? - Decker potrząsnął głową. Samobójstwo może zmaszałoby jego wstyd, ale nie pański. Pana syn nie mówi, że ma zamiar się zabić. To nie byłoby wystarczająco teatralne.

- Nie wiem, o czym...

- On musi być na trybunie. „Nie ucieknę przed swoim błędem. To ja odpowiem za wszystko. I poniosę karę.” On nie pisze o samobójstwie. Pisze o wyrównaniu rachunków. Ruszył za nimi.

Decker zamasyżycie wjechał fiatem z Via dei Condotti w boczną uliczkę. Reflektory przebiły się przez uporczywy deszcz i oświetliły dwa samochody policyjne z migającymi światłami na dachach. W wejściu do budynku mieszkalnego stali dwaj policjanci w sztormiakach i rozmawiali w holu z kilkoma nieszczęśliwie wyglądającymi osobami, ubranymi w piżamy lub szlafroki. W wielu oknach paliły się światła.

- Do licha, miałem nadzieję, że się myślę.

- Co to za miejsce? - spytał McKittrick.

- W piątek śledziłem tutaj pańskiego syna i pewną kobietę - odparł Decker. - Ma na imię Renata. Nie znam jej nazwiska. To pewnie i tak pseudonim. Jest przywódczynią grupy, którą zwerbował pański syn, co znaczy, że jest przywódczynią grupy, która wysadziła Klub Tybru. Innymi słowy, terrorystów.

- Cóż za przypuszczenie. Nie możesz mieć pewności, że te dwie grupy to jedno i to samo - stwierdził McKittrick.

- Jak to mawia pański syn, chodzi tutaj o... ostre cięcie. Decker zwolnił i przejechał ostrożnie obok samochodów policyjnych, stojących w wąskiej ulicy. Kałuże rozprysnęły się pod kołami, policjanci spojrzeli na fiata i wrócili do rozmowy z ludźmi w holu.

- I nie możesz mieć pewności, że ci policjanci w jakikolwiek sposób interesują się Brianem - powiedział McKittrick.

- Wie pan równie dobrze jak ja... nie możemy uważać tego, co tu się stało, za zbieg okoliczności. Gdybym był Brianem, to zgodnie z logiką tu przyszedłbym najpierw, żeby spróbować wyrównać rachunki z kobietą, która mnie zdradziła. Można się upewnić tylko w jeden sposób. Mam się zatrzymać, żeby mógł pan wrócić i porozmawiać z policją?

- Nie! Jedź dalej. Chcieliby się dowiedzieć, dlaczego mnie to interesuje, skoro jestem Amerykaninem. Zadawaliby tyle pytań, że musiałbym pokazać im dokumenty.

- Właśnie. Gdyby odkryli, że Brian jest jakoś powiązany z tym, co się wydarzyło w tej kamienicy, i jeśli przyjmemy, że terroryści przesłali policji dowody dotyczące jego zaangażowania w zamach, podejrzenia spadłyby na pana. Powstałby niezły bałagan, prawda?

- Sądziś, że Brian znalazł tę kobietę? - W głosie McKittricka dało się wyczuć głęboką troskę.

- Wątpię. Nie było karetki pogotowia. - Decker popędził na inną ulicę.

- Martwisz się, że był na tyle wściekły, że mógł ją zabić?

- Nie. Martwię się, że mogło się stać odwrotnie.

- Nie rozumiem.

- Że ona mogła go zabić - wyjaśnił Decker. - Pana syn w ogóle się w tym wszystkim nie orientuje. Co gorsza, nie ma na tyle pokory, żeby zdać sobie z tego sprawę. Ci ludzie to doświadczeni zabójcy. Nie tylko dobrze wykonują swoją pracę. Uwielbiają ją. Podniecało ich igranie z Brianem, ale jeśli przyjdzie im do głowy, że może stanowić dla nich poważne zagrożenie, będzie martwy w okamgnieniu. McKittrick w napięciu wyprostował się bardziej w fotelu.

- Jak możemy go powstrzymać?

- Pana syn lubi rozsiewać po mieszkaniu różne dokumenty... na przykład listę kontaktowych wraz z adresami.

- Mój Boże, mówisz, że jest aż tak kiepski w tym rzemiośle?

- Mam wrażenie, że pan mnie nie słuchał. Dwadzieścia trzy osoby są martwe, a czterdzieści trzy ranne. Właśnie taki jest kiepski w tym rzemiośle.

- Lista - powiedział McKittrick poruszony. - Dlaczego wspomniałeś listę?

- Zanim ją spaliłem, nauczyłem się jej na pamięć - odparł Decker. - Na samej górze znajdowało się imię i adres Renaty. Nic dziwnego, że udał się najpierw tam. Sądzę, że również jest logiczne, że sprawdzi każdy z tych adresów, aż w końcu ją znajdzie.

- Ale jeśli to są naprawdę terroryści, nie będzie ich tam.

- Rzecz jasna - Decker znowu zamasyście skreślił - to są zawodowcy. Renata prawdopodobnie traktowała to miejsce, gdzie przed chwilą byliśmy, jako tymczasowe lokum, jako część gry. Ale zdaje się, że Brian tego nie pojął. Jest zbyt wściekły. Chce zemsty. Ludzie, których terroryzuje i którzy mieszkają pod tymi adresami, nie mają najmniejszego pojęcia, o co chodzi. Może Renata liczyła na to, że tak się będzie zachowywał. Może to jej pożegnalny dowcip.

- Gdzie jest następne mieszkanie z listy, położone najbliżej nas? - zapytał McKittrick niespokojnym głosem.

- Po drugiej stronie rzeki. Ale nie ma sensu tam jechać. Osiągnął zbyt dużą przewagę czasową nad nami. - Decker przyspieszył. Opony zasyczały na mokrym asfalcie. - Do tej pory może być już pod trzecim lub czwartym adresem. Mam zamiar sprawdzić je w odwrotnej kolejności i liczyć na to, że nasze ścieżki się skrzyżują.

Deszcz się wzmógł. Jedyna rzecz na naszą korzyść, pomyślał Decker, to że jest środek nocy. Nie ma korków, które by nas zatrzymały. Przede wszystkim musiał się skoncentrować, żeby jechać szybko i jednocześnie bezpiecznie po śliskim asfalcie. Niespokojny sen poprzedniej nocy nie wystarczył, żeby zwalczyć zmęczenie po podróży. Teraz efekt braku snu stał się silniejszy, zaczęły go kłuć oczy i boleć głowa. Poczul ucisk za uszami. McKittrick nie okazywał zupełnie żadnych oznak zmęczenia, co było zadziwiające, szczególnie biorąc pod uwagę jego wiek.

- Co to za wysokie budynki tam, z przodu? - wskazał.

- Uniwersytet Miejski. - Decker zatrzymał się, żeby spojrzeć na mapę, wjechał w boczną uliczkę, potem w następną, jeszcze węższą i bardziej ponurą, próbując odczytać numery na stłoczonych budynkach. Zatrzymał się przed jakąś bramą.

- To tutaj. McKittrick wyjrzał przez okno.

- Panuje spokój. Nie palą się światła. Nie ma policji.

- Wygląda na to, że go tu jeszcze nie było. - Decker usłyszał jakiś odgłos w samochodzie i odwrócił się szybko. McKittrick chwycił ręką klamkę. Wysiadł i stanął przy krawężniku. Był słabo widoczny w ciemności i w deszczu.

- Co pan...

- Minęło już parę lat - powiedział McKittrick dostojnie - ale wciąż pamiętam, jak prowadzić poszukiwania. Zostaw mnie tutaj. Jedź pod następny adres.

- Ale...

- Może mój syn już tu jest, a może jest w drodze. Łatwo się minąć, nawet o tym nie wiedząc.

- Nie sądzę, aby to był dobry pomysł - zauważył Decker.

- Gdybym miał tyle lat co ty, czy kwestionowałbyś moje postępowanie?

- ...Nie.

- Sam widzisz. - McKittrick miał właśnie zamknąć drzwi.

- Chwileczkę - powstrzymał go Decker.

- Nie dam ci się od tego odwieść.

- Nie o to chodzi. Niech pan to lepiej weźmie. Kiedy się dowiedziałem, że pan przylatuje, poprosiłem, aby przysłali paczkę do biura. Nie dałem go panu od razu, bo nie wiedziałem, czy to będzie konieczne.

- Pistolet? - McKittrick zareagował ze zdziwieniem. - Czy naprawdę sądzisz, że przyda mi się pistolet, aby rozmówić się z własnym synem?

- Mam bardzo złe przeczucia co do wydarzeń dzisiejszego wieczora.

- Odmawiam...

- Niech pan to weźmie albo pana tu nie zostawię. McKittrick przyjrzał mu się uważnie. Jego ciemne oczy były przenikliwe. Przyjął broń.

- Wrócę jak najszybciej - powiedział Decker. - Jak pana znajdę?

- Jedź powoli po okolicy. Ja ciebie znajdę. - McKittrick zatrzasnął drzwi, wepchnął pistolet pod marynarkę i odszedł w ciemność. Decker ruszył dalej dopiero, gdy sylwetka starszego mężczyzny przestała być widoczna w reflektorach fiata.

Dotarcie do przedostatniego adresu na liście zajęło Deckerowi osiem minut. Po drodze zastanawiał się, co zrobi, jeśli nie będzie oznak, że Brian już odwiedził to miejsce. Powinien zostać, czy pojechać dalej? To, co się wydarzyło chwilę potem, rozwiązało jego dylemat. Już z odległości kilku przecznic Decker usłyszał ryk syren w ciemności. Nad przysłoniętymi przez deszcz budynkami zobaczył karmazynową lunę. W podnieceniu napiął mięśnie brzucha, skręcił w ulicę, do której zmierzał, i zahamował tuż przed jarzącymi się światłami pędzących wozów strażackich oraz innych pojazdów służb pierwszej pomocy. Z okien budynku wypełzały płomienie. Kłębił się dym. Strażacy usiłowali ugasić ogień, a pielęgniarki z karetok pogotowia zajęły się pogorzalcami, okrywając ich kocami i podając tlen. Decker,

zdziwiony, wysiadł z fiata i podszedł na tyle blisko płonącego budynku, żeby upewnić się, że to właśnie kamienica, którą miał sprawdzić, po czym pospieszył poprzez zbierający się tłum z powrotem do samochodu, zawrócił i popędził w deszcz. Serce mu waliło. Co się, do diabła, dzieje? - pomyślał. Czy Brian próbuje wyrównać rachunki, podkładając ogień pod budynki, w nadziei że terroryści są wewnątrz? Z pewnością nawet komuś tak nieokrzesanemu jak Brian przyszłoby do głowy, że również inni ludzie, nie tylko terroryści, mogą odnieść rany. Jeśli terroryści w ogóle byliby na tyle nierozsądni, żeby pozostać w miejscach, które znał Brian. Decker postanowił wrócić tam, gdzie rozstał się z ojcem Briana. Jadąc szybko poprzez deszczową noc, co chwila wpadał w poślizg i ponownie odzyskiwał kontrolę nad autem. Koło uniwersytetu znowu skręcił w boczną uliczkę, potem w jeszcze jedną, czując się w wąskich enklawach jak w pułapce. Miejsce, gdzie pozostawił ojca McKittricka, było odległe już tylko o pół przecznicy, kiedy Decker wcisnął gwałtownie pedał hamulca. Samochodem rzuciło i niemal uderzył wysoką, krzepką postać, która niespodziewanie pojawiła się w świetle reflektorów. Mężczyzna był przemoknięty i stał zwrócony twarzą w stronę burzowych chmur. Wygrażał pięściami i wrzeszczał. To był Brian. Decker miał zamknięte okna. Dopiero kiedy się wygramolił z fiata i pognał przez kałuże, żeby powstrzymać Briana, usłyszał, co tamten wykrzykuje.

- Kłamcy! Dranie! Decker zostawił włączone światła. Deszcz, spływający po twarzy Briana, błyszczał w ich blasku.

- Tchorze! W oknach zapaliły się światła.

- Muszę cię zabrać z ulicy - odezwał się Decker.

- Bijcie się ze mną! - Brian wrzasnął bezsensownie w stronę ciemności. Zapaliło się więcej światel.

- BIJCIE SIĘ ZE MNĄ! Deszcz zmoczył włosy Deckera i oziębził mu szyję.

- Policja będzie cię szukała. Nie możesz tu zostać. Muszę cię stąd zabrać. - Pociągnął Briana w stronę samochodu. Brian opierał się. W kolejnych oknach zabłysły światła.

- Na miłość boską, chodź - powiedział Decker. - Widziałeś swojego ojca? Zostawiłem go tutaj.

- Sukinsyny!

- Brian, posłuchaj mnie. Czy widziałeś swojego ojca? Brian wyrwał się z uścisku Deckera i znowu zaczął wygrażać pięścią w stronę nieba.

- Boicie się!

- Co tam się dzieje? - wykrzyknął po włosku jakiś mężczyzna z górnego piętra. Decker chwycił Briana.

- W tym zamieszaniu, jakie robisz, twój ojciec nie mógł cię nie zauważyć. Powinien już do nas dołączyć. Słuchaj mnie. Muszę się dowiedzieć, czy go widziałeś. Nagle jakieś przecucie wstrząsnęło Deckerem.

- O Jezuu, nie. Twój ojciec. Czy coś mu się stało? Brian nie odpowiedział i Decker uderzył go w twarz. Głowa młodego człowieka odwróciła się na bok, a z twarzy poleciały krople deszczu. Był w szoku. Światła fiata odbijały jego zdziechały wzrok.

- Powiedz mi, gdzie jest twój ojciec! Brian ruszył ciężko przed siebie. Decker podążył za nim, pełen obaw, ciekaw dokąd tamten go prowadzi. Nawet w deszczowym mroku Decker zauważył, że w budynku, który stary McKittrick zamierzał obserwować, brama jest otwarta. Próbuując powstrzymać przyspieszony oddech, Decker wyciągnął pistolet spod skórzanej kurtki. Gdy Brian wszedł do środka, Decker zmusił go do przykucnięcia i sam, pochylony, podążył za nim. Jego oczy przywykły do ciemności na tyle, że spostrzegł, iż znaleźli się na wewnętrznym dziedzińcu. Zauważył na prawo drewnianą skrzynię i popchnął w tamtą stronę Briana. Klęcząc na mokrym bruku, Decker wycelował ponad skrzynką i wpatrywał się w niewyraźne zarysy ledwo dostrzegalnych barierek balkonów, uważnie rozglądał się na wszystkie strony.

- Brian, gdzie? - wyszeptał. Przez chwilę nie był pewien, czy Brian usłyszał. Po chwili tamten poruszył się i Decker spostrzegł, że coś mu pokazuje. Gdy wzrok Deckera jeszcze lepiej oswoił się z ciemnością, zauważył niepokojącą białą plamę w odległym kącie dziedzińca.

- Zostań tu - nakazał Brianowi i rzucił się w stronę drugiej skrzyni. Celując bronią, rozejrzał się nerwowo wokół siebie i znowu ruszył, tym razem do czegoś, co mogło być starą studnią. Mokre ubranie przyłgnęło mu do ciała i krępowało mięśnie. Był na tyle blisko, że poznał, iż biała plama, którą wcześniej zauważył, to włosy Jasona McKittricka. Starszy mężczyzna leżał oparty plecami o ścianę, z rękoma wzdłuż tułowia i z brodą złożoną na piersi. Decker rozejrzał się jeszcze raz i pognał przez deszcz, dopadł do McKittricka, ukucnął przy nim i usiłował wyczuć puls. Mimo ciemności widać było, że miejsce po prawej stronie jego szarej marynarki było ciemniejsze niż mokre plamy od deszczu. Krew. Decker usiłował znaleźć puls, macając nadgarstek, szyję i pierś McKittricka. Wyczuł go i odetchnął z ulgą. Odwrócił się gwałtownie i wycelował w nieoczekiwanie zbliżającą się postać. To był Brian, który przedarł się przez dziedziniec i upadł obok ojca, przyciskając twarz do jego głowy.

- Nie chciałem.

- Pomóż mi - powiedział Decker. - Musimy go zanieść do samochodu.

- Nie wiedziałem, że to on.

- O czym ty mówisz?

- Nie zdawałem sobie sprawy.

- Co?

- Myślałem, że to jeden z nich - łkał Brian.

- Ty to zrobiłeś? - Decker schwycił Briana i w kieszeni jego kurtki odkrył rewolwer.

- Musiałem to zrobić. Wyszedł z ciemności.

- Jezu!

- Musiałem strzelić.

- Boże dopomóż...

- Nie chciałem go zabić.

- Nie zabiłeś.

- Mówię ci, ja...

- On żyje! Brian zdziwił się.

- Musimy go zanieść do samochodu. Trzeba szybko jechać do szpitala. Złap ojca za nogi.

Gdy Decker schylił się w stronę ramion McKittricka, obok głowy przeleciało mu coś jak trzmiel. Pocisk uderzył w ścianę za nim. Decker pochylił się i popędził w stronę skrzyni. Strzał - z broni z tłumikiem - padł z góry. Decker gwałtownie wycelował ponad siebie, deszcz zalewał mu oczy i nie widział celu w ciemności.

- Nie pozwól ci - odezwał się Brian.

- Oni?

- Są tutaj. Gdy Decker zdał sobie sprawę, dlaczego Brian wydzierał się na ulicy, coś go ścisnęło za serce. Nie krzychał na niebiosy, na Boga czy żywoły. Krzychał na terrorystów. Brian pozostał przy ojcu, w nie osłoniętym miejscu.

- Chodź tutaj - nakazał mu Decker.

- Jestem bezpieczny.

- Na miłość boską, chodź tutaj, za skrzynię.

- Nie zastrzelą mnie.

- Przestań gadać jak szaleniec.

- Zanim tu przyjechałeś, Renata rozmawiała ze mną. Powiedziała, że najlepszym sposobem, żeby mnie zranić, jest pozwolić mi żyć.

- Co?

- Żebym mógł cierpieć przez całe życie wiedząc, że zabiłem własnego ojca.

- Twój strzał go nie zabił! On żyje!

- Ale to tak jakby był martwy. Renata nigdy nie pozwoli nam go stąd zabrać. Za bardzo mnie nienawidzi. - Brian wyciągnął rewolwer z kieszeni. W mroku wydawało się, że celuje w siebie.

- Brian! Nie! Zamiast strzelić, poderwał się, zaczął bluźnić i zniknął w ciemności, w tylnej części dziedzińca. Pośród bębniącego deszczu Decker, oniemiały, usłyszał kroki Briana, który wbiegał po drewnianych schodach zewnętrznych.

- Brian, ostrzegałam cię! - krzyknęła z góry jakaś kobieta. Był to ochryply głos Renaty. - Zostaw mnie! Kroki Briana słychać było coraz wyżej. W oknach balkonowych zapaliły się światła.

- Dałam ci szansę! - krzyknęła Renata. - Trzymaj się z daleka albo zrobię to co w innych kamienicach!

- Zapłacisz za to, że zrobiłaś ze mnie głupca!

- Sam zrobiłeś z siebie głupca! - roześmiała się Renata.

- Zapłacisz za mojego ojca!

- To też zrobiłeś sam! Kroki Briana zadudniły jeszcze wyżej.

- Nie bądź idiotą! - krzyknęła Renata. - Ładunki są podłożone! Nacisnę detonator!

Szybkie kroki Briana nadal dudniły na schodach. Ich tupot został zagłuszony przez grzmot, nie burzy, ale eksplozji, której oślepiający błysk zajaśniał w mieszkaniu przy czwartym balkonie od tyłu. Ogłuszający ryk odrzucił Deckera do tyłu. Posypały się odłamki, rozszalałe płomienie oświetliły dziedziniec. Decker dostrzegł ruch po swojej lewej stronie i odwrócił się szybko. Zza pojemników na śmieci wysunął się szczupły, ciemnowłosy mężczyzna, około dwudziestki, jeden z braci, których Decker poznał ubiegłej nocy w kawiarni. Decker zeszywniał. Czają się tu pewnie wokół mnie, ale w ciemności nawet tego nie dostrzegłem! Młody człowiek nie był przygotowany na to, że Renata detonuje bombę. Mimo że miał pistolet, jego uwagę całkowicie pochłonął krzyk po drugiej stronie dziedzińca. Oczami szeroko otwartymi z przerażenia młody mężczyzna patrzył, jak jeden z jego braci próbuje stłumić płomienie na ubraniu i we włosach, które zajęły się od spadających, palących się odłamków. Deszcz nie ograniczał rozmiarów pożaru. Płonący mężczyzna krzyczał przeraźliwie. Decker oddał dwa strzały do pierwszego z braci i trafił go w pierś i w głowę. Gdy mężczyzna z bronią padł, Decker odwrócił się na pięcie i strzelił dwukrotnie do człowiekopochodni, jego również powalając na ziemię. Trzaski i huk ognia, który rozprzestrzenił się z czwartego balkonu, niemal całkowicie zagłuszyły strzały. Spadało jeszcze więcej odłamków. Decker przykucnął za skrzynią i lustrował teren w poszukiwaniu innych celów. Brian. Gdzie jest Brian? Kątem oka zauważył ruch w najdalszym, lewym krańcu podwórka, w pobliżu bramy, przez którą dostał się z Brianem do środka. Ale to nie był Brian, tylko Renata. Trzymała pistolet z tłumikiem i strzelała nieprzerwanie w stronę dziedzińca, biegnąc w kierunku otwartej bramy. Wyciszone strzały, na ogół słyszalne nie bardziej niż uderzenie pięścią w poduszkę, teraz były zupełnie nieme z powodu huczącego, ognistego zamętu. Decker położył się na mokrym bruku za skrzynią i zaczął czołgać się na kolanach i łokciach. Dotarł do krawędzi skrzyni, zauważył Renatę przy bramie, wycelował poprzez deszcz i oddał jeszcze dwa strzały. Pierwszy pocisk uderzył w ścianę za nią. Drugi trafił ją w gardło. Chwyciła się za krtań, krew trysnęła obficie. Za chwilę jej gardło się zaciśnie. Śmierć, spowodowana uduszeniem, nastąpi najdalej za trzy minuty. Mimo trzasku płomieni Brian usłyszał histeryczny krzyk. Ukazał się jeden z braci Renaty, podbiegł od strony zewnętrznych schodów, przemknął przez dziedziniec, chwycił Renatę i pociągnął ją do bramy. Natychmiast znowu strzelił, jednak nie w Deckera, ale w stronę klatki schodowej w tylnej części dziedzińca, jakby osłaniał się przed pociskami, które nadlatywały z tamtego kierunku. Decker wycelował, lecz pojawił się ostatni z braci, strzelił kilka razy w stronę Deckera i pomógł wyprowadzić siostrę na ulicę, poza zasięg jego wzroku. Decker opróżnił pistolet, spieszenie wymienił magazynek. Terrorysty zdążyli już jednak uciec. Pot mieszał mu się z deszczem na twarzy. Otrząsnął się i odwrócił, żeby sprawdzić, czy nie ma jakichś innych

celów, i zauważył, jak Brian zeskakuje z kilku ostatnich stopni zewnętrznych schodów z tyłu dziedzińca. Brian trzęsącą się dłonią ścisnął rewolwer.

- Musimy się stąd wynosić! - wrzasnął Decker. Od wybuchu upłynęło nie więcej niż minuta. Ludzie w piżamach, a niektórzy półnaczy, wypadali na balkony i zbiegali schodami w dół, uciekając przed ogniem. Decker uchylił się przed spadającym, płonącym odłamkiem i ruszył w stronę Briana, który właśnie podnosił swojego ojca, otaczając go ramieniem.

- Czuję, że oddycha! - powiedział Brian.

- Wezmę go za nogi. Gdy wraz z Brianem nieśli McKittricka przez dziedziniec w stronę otwartej bramy, Decker słyszał, jak ludzie w panice zbiegają po schodach.

- Poczekaj - powiedział Decker. Opuścił nogi McKittricka i wycelował ostrożnie w stronę ulicy. Zobaczył szybko odjeżdżający od krawężnika samochód. Jego czerwone tylne światła zmniejszyły się w błyskawicznym tempie, pojazd wpadł kilka razy w poślizg na kałużach, skręcił za róg i zniknął. Decker był na tyle daleko od huczących płomieni, że usłyszał pulsujące wycie zbliżających się syren. Jeden z terrorystów mógł pozostać, skryć się gdzieś za samochodem i próbować zastawić pułapkę. Decker jednak wiedział, że wycie syren było dla terrorystów dźwiękiem równie kłopotliwym jak dla niego. Zdecydował się zaryzykować.

- Chodźmy! - odezwał się do Briana. Szybko zanieśli McKittricka do fiata i umieścili go na tylnym siedzeniu. Brian usiadł z tyłu wraz z ojcem, a Decker wsunął się za kierownicę i szybko odjechał, o włos mijając ludzi zebranych na ulicy. W tej samej chwili liczne syreny rozległy się głośniejsz za fiatem. Decker przycisnął stopą pedał gazu, spojrzął nerwowo w lusterko wsteczne i zobaczył błyskające światła pojazdów służb miejskich, które pojawiły się za nim na zalanej deszczem ulicy. A co z przodu? - zastanawiał się, trzymając kurczowo kierownicę. Ulica była tak wąska, że jeśli wóz strażacki albo samochody policyjne wyjadą zza rogu naprzeciwko Deckera, nie będzie ich można wyminąć. Fiat utknie w pułapce. Zamajaczyło skrzyżowanie i Decker skręcił zamaszyście. Znaleźli się na szerszej ulicy. W ciemności przed samochodem nie zbliżały się żadne migające światła. Syreny zostały dalej z tyłu.

- Chyba umkneliśmy - stwierdził Decker. - Jak tam twój ojciec?

- Jeszcze żyje. Tyle tylko mogę stwierdzić. Decker starał się wolniej oddychać.

- Co Renata miała na myśli mówiąc, że zrobi to samo co w innych kamienicach?

- Powiedziała mi, że podłożyła bomby pod niektóre z nich. Kiedy tam dotarłem, szukając jej i pozostałych... - Brian nie mógł mówić.

- Kiedy tylko opuszczałeś teren, detonowała ładunki?

- Tak.

- Robiłeś tyle zamieszania dobijając się do mieszkań, że inni mieszkańcy wyglądali, żeby sprawdzić, co się dzieje? Skojarzyliby cię z eksplozjami?

- Tak.

- Renata chciała, żeby wina spadła na Amerykanina?

- Tak.

- Do diabła, znów dałeś jej się wykorzystać - powiedział Decker.

- Ale jesteśmy kwita.

- Kwita?

- Widziałeś, co zrobiłem? Postrzeliłem ją.

- Ty...? - Decker nie wierzył własnym uszom. Poczuł, jakby ulica zafalowała. - Nie ty ją postrzeliłeś.

- W gardło - stwierdził Brian.

- Nie.

- Chcesz mi wmówić, że to ty? - dopytywał się Brian. Boże, on jest naprawdę stuknięty, pomyślał Decker.

- Nie ma się tu czym chwalić, Brian. Gdybyś to nawet ty ją postrzelił, wcale z tego powodu nie miałbym gorszego zdania o sobie ani lepszego o tobie. Jeśli już, to byłoby mi cię żal. To okropność żyć ze wspomnieniem...

- Żal? O czym ty, do licha, mówisz? Wydaje ci się, że jesteś lepszy ode mnie? Dlaczego uzurpujesz sobie prawo do takiej wyniosłości?

- Nieważne, Brian.

- Żal? Czy chcesz stwierdzić, że dokonałeś tego, co naprawdę ja zrobiłem?

- Uspokój się - powiedział Decker.

- Tak mnie nienawidzisz, że za chwilę jeszcze uznasz, że to ja postrzeliłem swojego ojca. Poczucie realizmu Deckera zostało tak zachwiane, że na chwilę zakręciło mu się w głowie.

- Niech będzie, jak mówisz, Brian. Chcę go tylko dowieźć do szpitala.

- I masz cholerną rację. Decker usłyszał wibrującą syrenę. W jego stronę zbliżały się szybko migające światła samochodu policyjnego. Spocily mu się dłonie oparte na kierownicy. W końcu wóz patrolowy przeniknął obok i popędził w kierunku, z którego podążał fiat.

- Daj mi swój rewolwer, Brian.

- Bądź poważny.

- Nie żartuję. Oddaj mi swój rewolwer.

- Ty chyba...

- Posłuchaj mnie chociaż raz, na miłość boską. Będzie więcej policji. Ktoś im powie, że jakiś fiat odjechał w pośpiechu. Możliwe, że nas zatrzymają. I tak już jest niedobrze, że wieziemy w samochodzie rannego człowieka. Ale jeśli policja znajdzie broń...

- Co masz zamiar zrobić z moim rewolwerem? Wydaje ci się, że mając go w garści, udowodnisz, że to ja postrzeliłem ojca? Boisz się, że będę chciał się pozbyć swojego rewolweru?

- Nie, sam mam zamiar się go pozbyć. Brian, zdziwiony, przekrzywił głowę.

- Robię to bardzo niechętnie. - Decker zatrzymał się przy krawężniku w ciemnej ulicy, odwrócił się i spojrzał na Briana. - Daj... mi... swój... rewolwer. Brian zmrużył oczy i przyglądał mu się uważnie. Powoli sięgnął do kieszeni kurtki i wyciągnął broń. Decker wyjął swój pistolet. Dopiero kiedy Brian podał mu rewolwer, kolbą do przodu, Decker odprężył się trochę. Jeszcze na dziedzińcu zabrał pistolet McKittricka seniora. Teraz wziął pistolet swój i McKittricka oraz rewolwer Briana. Wysiadł z fiata na lodowaty deszcz, rozejrzał się w ciemności, czy nikt go nie obserwuje, podszedł do krawężnika, schylił się, jakby sprawdzał ciśnienie w oponie, i ukradkiem wrzucił broń do studzienki kanalizacyjnej. Szybko wsiadł do fiata i odjechał.

- A więc załatwione, co? - odezwał się Brian.

- Tak - odpowiedział Decker z rozgoryczeniem. - Załatwione.

- Stracił bardzo dużo krwi - powiedział po włosku lekarz dyżurny. Ma słaby i nierówny puls. Ciśnienie jest niskie. Nie chciałbym być pesymistą, ale musicie się przygotować na wszelką ewentualność.

- Rozumiem - powiedział Decker. - Syn tego człowieka i ja będziemy wdzięczni za wszystko, co pan dla niego zrobi. Lekarz skinął poważnie głową i wrócił do sali operacyjnej. Decker odwrócił się w stronę dwóch zmęczonych pracowników administracji szpitala, czekających dyskretnie w kącie poczekalni.

- Dziękuję za współpracę w tej sprawie - odezwał się do nich. - Moi przełożeni będą jeszcze bardziej wdzięczni. Oczywiście wszyscy zaangażowani mogą liczyć na odpowiedni gest wdzięczności.

- Pana przełożeni zawsze byli bardzo hojni. - Jeden z urzędników zdjął okulary. - Zrobimy co w naszej mocy, żeby władze nie zostały poinformowane o prawdziwej przyczynie zranienia pacjenta.

- Mam całkowite zaufanie do waszej dyskrecji. - Decker uściśnął im ręce. Pieniądze, które wsunął im w dłonie, zniknęły w kieszeniach. - Grazie. Kiedy tylko urzędnicy odeszli, Decker usiadł obok Briana.

- W porządku. Trzymałeś język za zębami.

- Mamy jakąś umowę z tym szpitalem? Decker przytaknął.

- Czy to dobry szpital? - spytał Brian. - Wydaje się strasznie mały.

- Jest najlepszy.

- To się okaże.

- Nie zaszkodzi się jednak pomodlić. Brian zmarszczył brwi.

- Chcesz powiedzieć, że jesteś wierzący?

- Lubię pozostawić sobie kilka wyjść. - Decker spojrzał na swoje mokre ubranie, które przylgnęło mu do ciała. - To, co robią dla twojego ojca, trochę potrwa. Najlepiej jeśli wrócimy do twojego hotelu i włożymy suche ubrania.

- A jeśli coś się stanie, kiedy nas tu nie będzie?

- To znaczy, jeśli on umrze? - spytał Decker.

- Tak.

- To bez znaczenia, czy zostaniemy w tej sali, czy nie.

- To wszystko twoja wina.

- Co? - Decker poczuł nagły ucisk za uszami. - Moja wina?

- Ty nas w to wszystko wrobiłeś. Gdyby nie ty, nic by się nie stało.

- Jak, do licha, do tego doszedłeś?

- Gdybyś nie pojawił się w piątek i nie popędzał mnie, świetnie poradziłbym sobie z Renatą i z jej grupą.

- Może porozmawiamy o tym w drodze do hotelu?

- Twierdzi, że kiedy tylko wyszliście ze szpitala, wciągnąłeś go w jakiś zaułek i mu wtłukłeś - powiedział przełożony Deckera.

- Niech twierdzi, co mu się podoba. - Był poniedziałek. Decker znowu znajdował się w jednym z biur międzynarodowej firmy pośrednictwa handlu nieruchomościami, ale tym razem rozmawiał ze swoim przełożonym osobiście, a nie przez telefon z szyfratorem. Przełożony, mężczyzna o siwych włosach i obwisłych policzkach, rumianych z napięcia, pochylił się nad stołem.

- Zaprzeczasz tym oskarżeniom?

- Brian został ranny podczas incydentu w kamienicy. Nie mam pojęcia, skąd ten wymysł, że go pobiliśmy.

- Twierdzi, że mu zazdrościsz.

- Pewnie.

- Że jesteś wściekły, ponieważ to on odnalazł terrorystów.

- Oczywiście.

- Że chcesz się na nim zemścić twierdząc, iż niechcący postrzelił swojego ojca.

- Jak najbardziej.

- I że chcesz przypisać sobie zasługę zastrzelenia terrorystów, których w istocie on zastrzelił.

- Posłuchaj - powiedział Decker - wiem, że chcesz dotrzeć do emerytury. Wiem, że jest dużo nacisków politycznych i że musisz chronić własny tyłek. Ale dlaczego uszlachetniasz śmieszne oskarżenia tego dupka, powtarzając je mnie?

- Dlaczego sądzisz, że są śmieszne?

- Zapytaj ojca Briana. Jest bardzo słaby. To cud, że z tego wyszedł. Ale będzie mógł...

- Już go pytałem. Deckerowi nie spodobał się poważny ton głosu przełożonego.

- I co?

- Jason McKittrick potwierdził wszystkie oświadczenia Briana powiedział przełożony. - Terroryci go postrzelili, ale wcześniej zdążył zobaczyć, jak jego syn położył trójkę z nich. Oczywiście testy balistyczne mogłyby zweryfikować to, co mówi Jason McKittrick, ale ty uznałeś za stosowne pozbyć się wszelkiej broni, jakiej używano tej nocy. Wzrok Deckera był równie nieruchomy jak wzrok przełożonego.

- Tak wygląda ta historyjka?

- Co masz na myśli?

- Jason McKittrick ostrzegł mnie na samym początku - jego syn nie będzie za nic odpowiedzialny. Na tyle polubiłem tego staruszka, że nie potraktowałem ostrzeżenia poważnie. Powinienem bardziej uważać. Wróg nie czaił się w ciemności. Stał obok mnie.

- Nie będziemy tutaj kwestionować reputacji Jasona McKittricka

- Oczywiście, że nie. Bo nikt nie chce, aby Jason McKittrick był jego wrogiem. I nikt nie chce wziąć na siebie odpowiedzialności za to, że staruszek pozwolił swojemu niekompetentnemu synkowi spartaczyć ważną akcję. Ale ktoś musi być winien, tak? Przełożony nie odpowiedział.

- Jak ci się udało ukryć współudział Briana w tym wszystkim? - spytał Decker. - Czy terroryci nie przysłali na policję obciążających go dowodów?

- Gdy zadzwoniłeś i ostrzegłeś mnie przed taką ewentualnością, zaalarmowałem naszych kontaktowych w wydziale policji. Przyszła przesyłka. Nasi kontaktowi ją przechwycili.

- A co z mediami? Oni nie otrzymali żadnej przesyłki?

- Jedna stacja telewizyjna, ta sama, z którą terroryci już wcześniej się kontaktowali. Tę przesyłkę też przejęliśmy. Udało się opanować kryzys.

- Wyłączywszy dwudziestu trzech martwych Amerykanów - dodał Decker.

- Czy chcesz dokonać jakichś zmian w swoim sprawozdaniu?

- Tak. Porządnie wtłukłem temu dupkowi. Żałuję, że nie więcej.

- Czy jeszcze jakieś zmiany?

- Powinienem jeszcze coś dodać - powiedział Decker.

- Tak? Co takiego?

- W sobotę obchodziłem czterdzieste urodziny. Przełożony potrząsnął głową.

- Obawiam się, że nie widzę w tej uwadze nic istotnego dla sprawy.

- Jeśli chwilę poczekaasz, napiszę swoją rezygnację.

- Swoją...? Ale nie chcemy, żebyś posuwał się aż tak daleko. Co możesz zyskać dzięki rezygnacji?

- Życie.

* * *

Rozdział drugi

Decker leżał na łóżku w pokoju hotelowym w Nowym Jorku. Prawą ręką trzymał szklankę wypełnioną Jackiem danielsem. Lewą celował pilotem w stronę telewizora i nieustannie zmieniał kanały. Dokąd się udać, skoro już wszędzie się było? - zadawał sobie pytanie. Nowy Jork zawsze mu służył. Automatycznie tutaj zmierzał, jeśli tylko mu się zdarzył wolny weekend. Broadway, Metropolitan Opera, Muzeum Sztuki Nowoczesnej - zawsze zapraszały go, jak starzy przyjaciele. W ciągu dnia najpierw uprawiał jogging w Central Parku, zjadał obiad w Camegie Dęli, potem wertował książki w księgarni Strand. Wieczorami lubił sprawdzać, kto śpiewa w sali Algonquin. W Radio City Music Hall. W Madison Square Garden. Zawsze miał wiele roboty. Ale teraz, ku własnemu zaskoczeniu, nie miał ochoty na żadną z tych rzeczy. W MichaePs Pub występował Mel Tomie. Zazwyczaj Decker byłby pierwszy w kolejce, żeby zdobyć miejsce. Nie tym razem. W Blue Note grał Maynard Ferguson, jego ulubiony trębacz, ale Deckerowi nie chciało się wstać, ogarnąć i wyjść. Jedyne na co miał ochotę, to dolewać sobie burbona do szklanki i zmieniać kanały pilotem telewizora. Gdy przyleciał z Rzymu, nie przyszło mu do głowy, żeby pojechać do swojego małego mieszkania w Aleksandrii, w Wirginii. Nic go nie łączyło z niewielką sypialnią, salonem, kuchnią i łazienką. To nie był jego dom, tylko miejsce do przechowywania rzeczy i spania w przerwach pomiędzy zadaniami. Od kurzu, który go witał, ilekroć tam wracał, zawsze swędziało go w nosie i bolała głowa. Nie mógł pozwolić sobie na złamanie zasad i wynajęcie sprzątaczkę, która przed jego przyjazdem doprowadziłaby to miejsce do porządku. Na samą myśl, że ktoś obcy grzebałby w jego rzeczach, dostawał gęziej skórki, choć nigdy nie zostawiał w mieszkaniu żadnych istotnych materiałów. Nie powiadomił swojego przełożonego - źle powiedziane, swobodnego przełożonego - dokąd się wybiera po złożeniu rezygnacji. Nowy Jork był oczywiście łatwy do przewidzenia i z całą pewnością ktoś go rutynowo śledził, żeby sprawdzić, dokąd odlatuje jego samolot. Gdy dotarł do Nowego Jorku, postąpił zgodnie ze zwyczajową procedurą unikową. Zatrzymał się w hotelu, w którym nigdy przedtem nie mieszkał - w St Regis. Niemniej jednak dziesięć minut po tym, jak wprowadził się do swojego pokoju, zadzwonił telefon i oczywiście był to jego przełożony - znowu poprawka, do diabła, dawny przełożony - który prosił, żeby Decker jeszcze raz przemyślał swoją decyzję.

- Doprawdy, Steve - powiedział zmęczonym głosem - doceniam teatralne gesty, tak jak inni, ale skoro już masz to za sobą, i skoro już odreagowałeś, zapomnijmy o wszystkim. Wracaj do załogi. Zgadzam się, że sprawa w Rzymie stała się naszą totalną klęską, ale rezygnacja tego nie zmieni. Nic tym nie naprawisz. Z pewnością zdajesz sobie sprawę z daremności swojego posunięcia.

- Boisz się, że jestem na tyle wściekły, że mogę powiedzieć niewłaściwym osobom, co zaszło. O to chodzi? - spytał Decker.

- Oczywiście, że nie. Wszyscy wiedzą, że potrafisz milczeć jak głaz. Nie zrobiłbyś nic nieprofesjonalnego. Nie zawiódłbyś nas.

- Więc nie masz się o co martwić.

- Jesteś zbyt dobry, żebyśmy cię mieli stracić, Steven.

- Mając takich facetów jak Brian McKittrick, nawet nie zauważył, że odszedłem. - Decker odłożył słuchawkę na widełki. Minutę później telefon zadzwonił ponownie i tym razem był to przełożony jego dawnego przełożonego.

- Jeśli chcesz podwyżki pensji...

- Nigdy nie mogłem wydać nawet tego, co mi płaciliście - odparł Decker.

- Może więcej wolnego czasu?

- A po co?

- Żeby podróżować.

- Jasne. Obejrzyć świat. Na przykład Rzym. Tyle latam, że wydaje mi się, że coś jest nie w porządku z łóżkiem, jeśli nie ma kształtu fotela lotniczego.

- Steve, posłuchaj, każdy ma prawo się wypalić. To część tej pracy. Po to utrzymujemy zespół specjalistów, którzy wiedzą, jak zwalczyć stres. Szczerze mówiąc, uważam, że świetnie by ci zrobiło, gdybyś w tej chwili wsiadł w samolot do Waszyngtonu i porozmawiał z nimi.

- Czy ty mnie nie słuchałeś? Powiedziałem ci, że mam dosyć latania.

- To pojedź pociągiem. Decker ponownie odłożył słuchawkę na widelki. Nie miał wątpliwości, że gdyby spróbował wyjść, podeszłoby do niego dwóch mężczyzn czekających w recepcji. Przedstawiliby się, wyjaśniliby mu, że przyjaciele Deckera martwią się jego reakcją na to, co zaszło w Rzymie, i zaproponowaliby, że zawiozą go do spokojnego baru, gdzie będą mogli omówić, co go trapi. Do diabła z tym, pomyślał Decker. Sam mogę się napić w pokoju. Poza tym wcale nie zawieźliby mnie do baru. Właśnie wtedy Decker podniósł słuchawkę, zamówił butelkę Jacka Danielsa i dużo lodu, wyłączył telefon, włączył telewizor i zaczął przerzucać kanały. Dwie godziny później, gdy za szczelnie zasłoniętymi oknami gęstniała ciemność, miał już za sobą jedną trzecią butelki i nadal zmieniał kanały. Równomiernie przeskakujące obrazy na ekranie były odbiciem jego myśli. Dokąd się udać? Co zrobić? - pytał sam siebie. Pieniądze nie stanowiły na razie problemu. Przez dziesięć lat, kiedy pracował jako agent operacyjny, znaczną część swojej pensji deponował w lokatach. Do tej sumy należało dodać pokaźny kapitał zebrany z pensji spadochroniarza, nurka, fachowca od rozbierania budynków, bojówkarza, i z płacy specjalistycznej, którą otrzymywał jako członek wykwalifikowanego wojskowego oddziału antyterrorystycznego. Gdy tylko osiągnął wiek, kiedy jego ciało nie mogło już sprostać tak doskonale wymaganiom akcji specjalnych - w przypadku Deckera było to trzydzieści lat, po złamaniu nogi, trzech żeber i po dwóch ranach postrzałowych, otrzymanych podczas różnych misji specjalnych - podobnie jak wielu wysoce wyszkolonych żołnierzy, ściągnięto go do wywiadu. Oczywiście, mimo że Decker nie był już tak dobry fizycznie, żeby pracować w swoim oddziale antyterrorystycznym, wciąż pozostawał w lepszej formie niż większość cywili. Jego inwestycje wzrosły do wartości trzystu tysięcy dolarów. Poza tym miał zamiar wycofać pięćdziesiąt tysięcy dolarów, które dodał do swojej emerytury rządowej. Ale mimo niezależności finansowej nie czuł się wolny w wielu innych aspektach. Miał do wyboru cały świat, ale ograniczył się do tego pokoju hotelowego. Gdyby jego rodzice jeszcze żyli (przez krótką chwilę wyobraził sobie, że tak jest), złożyłby im długo odwlekaną wizytę. Jednak jego matka zginęła przed trzema laty w wypadku samochodowym, a ojciec zmarł na atak serca kilka miesięcy później. Oboje odeszli, gdy Decker brał udział w misji. Ostatni raz widział ojca na pogrzebie matki. Decker nie miał rodzeństwa. Nigdy się nie ożenił, po części dlatego, że nie chciał narzucać komuś, kogo kochał, swojego spartańskiego stylu życia, a po części dlatego, że taki styl życia nie dawał mu możliwości znalezienia kogoś, w kim mógłby się bez przeszkód zakochać. Jego jedynymi przyjaciółmi byli koledzy po fachu. Teraz, kiedy zrezygnował z pracy wywiadowczej, kontrowersyjne okoliczności tej rezygnacji sprawiają, że przyjaciele zaczną czuć się skrępowani w jego towarzystwie, nie wiedząc na jakie tematy można bezpiecznie rozmawiać. Może popełniłem błąd, rozmyślał Decker sącząc alkohol. Może nie powinienem zrezygnować, dumam zmieniając kanały. Praca agenta dawała mi oparcie. Zabijała cię, przypomniał sobie Decker, i niszczyła dla ciebie każdy kraj, w jakim kiedykolwiek byłeś z misją. Wyspy greckie, Alpy szwajcarskie, francuska Riwiera i hiszpańskie wybrzeże śródziemnomorskie - to tylko niektóre z terenów, gdzie pracował. Ale nosiły skazę poprzednich doświadczeń, przez jakie tam przeszedł, i nie miał zamiaru wracać i sobie ich przypominać. Właściwie teraz, kiedy o tym rozmyślał, uderzyło go, że większość ludzi uważa te miejsca za wspaniałe. Podobnie jak dawny zawód Deckera, który w powieściach często przedstawiano jako profesję niezwykle bohaterską. Decker odnosił się do niego jednak jak do męczącej, pochłaniającej, niebezpiecznej pracy. Może nawet ściganie narkotykowych królów i terrorystów było szlachetne, ale całe zło, jakie w nich tkwiło, spadało na ich łowcę. Z pewnością spadło na

mnie, pomyślał Decker. A jak dało się zauważyć, niektórzy z przełożonych też nie byli bez skazy. Co robić? - powtarzał Decker w myśli. Rozespany od alkoholu, spojrzął w telewizor przez zmrużone powieki i nagle zobaczył coś, co spowodowało, że zmarszczył brwi. Nie bardzo wiedział, co to było. Zaciekawiony, uniósł się nieco i zaczął cofać programy, wracając do tego, który właśnie minął. Gdy już znalazł obraz, który go zaintrygował, nie mógł pojąć, dlaczego tak się stało. Wiedział jedynie, że coś w tym programie podświadomie go zainteresowało. Oglądał film dokumentalny o zespole budowniczych, którzy odnawiali stary dom. Dom był niezwykle, podobny do lepianek w stylu pueblo, jakie spotkał w Meksyku. Ale gdy wzmacnił dźwięk w telewizorze, dowiedział się, że ten dom, zadziwiająco elegancki mimo swego prostego wyglądu, znajduje się w Stanach Zjednoczonych, w Nowym Meksyku. Był zbudowany z gliny, jak wyjaśnił jeden z konserwatorów, a dokładniej z dużych cegieł wykonanych ze słomy i błota. Te cegły, z których budowano wyjątkowo trwałe, dźwiękoszczelne ściany, pokrywano stiukami z barwionej gliny. Brygadzysta wyjaśniał dalej, że taki dom ma płaski, acz nieco pochyły dach, żeby woda mogła spływać rynienkami zwanymi canales. Nie ma tu ostrych krawędzi; wszystkie narożniki są zaokrąglone. Przed wejściem często znajduje się wsparte kolumnami zadaszenie. Okna są cofnięte w głąb muru. Faktura i kolor glinianych domów pasowały wspaniale do odcieni pomarańczy, czerwieni i żółci rozciągającej się wokół wyniosłej pustynnej panoramy. Reporter wygłosił końcowy komentarz na temat lokalnego rzemiosła i spuścizny kulturowej, podczas gdy kamera rejestrowała obrazy z okolicy. U podnóża gór, w otoczeniu jałowców i drzewek piniowych, we wszystkie strony ciągnęły się gliniane domy, każdy ekscentrycznie wykończony, tak że sprawiały wrażenie niezwyklej różnorodności. Ale, jak wyjaśnił reporter, w pewnym sensie gliniane domy były czymś niezwykle w Nowym Meksyku, ponieważ w takiej liczbie znajdowały się tylko w jednym mieście. Decker pochylał się, żeby usłyszeć nazwę tego miasta. Dowiedział się, że jest ono jedną z najstarszych osad w Stanach Zjednoczonych, pochodzącą z szesnastego wieku, z czasów hiszpańskich podbojów i wciąż zachowało swój hiszpański charakter. Miasto, którego nazwa oznaczała świętą wiarę, w dzisiejszych czasach nazywane popularnie „Miastem Odmiennym” - Santa Fe. Decker nie mylił się w swoich podejrzeniach - dwóch mężczyzn naprawdę czekało na niego w recepcji. Było tuż po ósmej. Odwrócił się od kontuaru recepcji, zauważył ich i zdał sobie sprawę, że nie ma sensu starać się ich uniknąć. Uśmiechnęli się, gdy ruszył w ich stronę przez zatłoczony hol. Deckerowi przyszło na myśl, że przynajmniej wybrano do tego zadania odpowiednich ludzi. Ich kierownictwo najwyraźniej liczyło na to, że Decker w pewnej chwili opuści gardę, ponieważ obydwo mężczyzn dobrze znał; wspólnie brali udział w specjalnych akcjach wojskowych.

- Steve, kupę czasu. Się masz? - odezwał się jeden z nich. Zarówno on, jak jego towarzysz byli zbliżeni wzrostem i wagą ciała do Deckera - sześć stóp, sto dziewięćdziesiąt funtów, wąskie biodra i tors przechodzący w potężne ramiona, które nadawały tułowi siłę niezbędną przy wykonywaniu zadań specjalnych. Mieli również tak jak on około czterdziestki. Ale w tym miejscu kończyło się ich podobieństwo do Deckera. Jego włosy były piaskowego koloru i lekko falowane, natomiast mężczyzna, który się do niego odezwał, miał włosy rude i ścięte krótko przy głowie. Włosy drugiego kolegi były ciemne, zaczesane gładko do tyłu. Obydwaj mieli, nie pasujące do ich uśmiechów i eleganckich garniturów, grube rysy twarzy i przeszywający wzrok.

- Świetnie, Ben - odpowiedział Decker rudowłosemu mężczyźnie. - A ty?

- Nie narzekam.

- A ty. Hal? - Decker skierował pytanie do drugiego mężczyzny.

- Też nie narzekam. Nikt nie wyciągnął ręki.

- Mam nadzieję, że nie musicieście tu czuwać całą noc.

- Przyjechaliśmy dopiero o siódmej. Przyjemna służba - odparł Hal. Wyprowadzasz się?

- Wskazał na walizkę Deckera.

- Tak, zmieniłem swoje plany w ostatniej chwili.

- Dokąd jedziesz?
- Na lotnisko La Guardia - odparł Decker.
- Może cię odwieziemy? Decker napiął mięśnie.
- Nie chciałbym sprawiać wam kłopotu. Złapię taksówkę.
- To żaden kłopot - zaprotestował Hal. - Co by z nas byli za kumple, gdybyśmy ci nie pomogli, widząc cię po tylu latach. To potrwa tylko chwilę. - Hal sięgnął do kieszeni marynarki, wyjął płaski telefon komórkowy i wybrał numer. - Nigdy byś nie uwierzył, na kogo się przed chwilą natknęliśmy - powiedział do telefonu. - Tak, właśnie rozmawiamy z nim w recepcji. Dobrze, czekamy. Hal rozłączył się i schował telefon.
- Pomóc ci nieść walizkę?
- Poradzę sobie.
- Więc może wyjdziemy na zewnątrz i poczekamy na samochód? Na zewnątrz panował już spory ruch, huczały klaksony.
- Widzisz - odezwał się Ben. - Mógłbyś mieć kłopoty ze złapaniem taksówki. - Zauważył, że w ich stronę zmierza ubrany w liberię portier. Wszystko w porządku - powiedział do niego i gestem dał mu znak, żeby odszedł. Spojrzał na zaciągnięte chmurami niebo. - Może padać.
- Tak mówili w prognozie - potwierdził Hal.
- Strzykanie w lewym łokciu, to dla mnie najlepsza prognoza. Jest samochód - dodał Ben. Przed hotelem zatrzymał się szary pontiac. Kierowca wydał się Deckerowi znajomy. Z tyłu samochód miał przyciemniane szyby i trudno było zajrzeć do środka.
- Nie mówiłem? - ucieszył się Ben. - Tylko chwilę. - Otworzył drzwi i gestem zaprosił Deckera do środka. Decker, z łomoczącym sercem, przeniósł wzrok z Bena na Hala i nie poruszył się nawet.
- Czy jakiś problem? - spytał Hal. - Lepiej wsiadaj. Musisz zdążyć na samolot.
- Zastanawiałem się tylko, co zrobić z walizką.
- Włożymy ją do bagażnika. Otwórz bagażnik - zwrócił się do kierowcy. Chwilę później z tyłu szcęknął zwalniany zamek. Ben podniósł klapę, wrzucił walizkę Deckera do środka i zamknął bagażnik. - No, to zrobione. Gotów? Decker znów zawahał się przez chwilę. Puls miał coraz szybszy. Przytaknął i usiadł na tylnym siedzeniu pontiaca. Poczul, jak robi mu się zimno w żołądku. Ben usiadł koło niego, a Hal zajął miejsce pasażera z przodu, odwrócił się i spojrzał na Deckera.
- Zapnijcie pasy - odezwał się kierowca o krępej szyi.
- Racja, bezpieczeństwo przede wszystkim - powiedział Ben. Metal uderzył o metal, gdy zapinali pasy. Kierowca zablokował centralnie drzwi. Zawarczał silnik pontiaca i kierowca włączył się do ruchu.
- Nasz wspólny znajomy powiedział mi wczoraj wieczorem przez telefon, że masz dosyć latania - odezwał się Ben.
- Zgadza się. - Decker spojrzał przez przyciemnioną szybę w stronę przechodniów, którzy nieśli teczek, torebki, złożone parasole i różne inne rzeczy, szli żwawo do pracy. Wydawali się bardzo obcy.
- Więc dlaczego chcesz lecieć samolotem? - spytał Hal.
- To decyzja podjęta pod wpływem impulsu.
- Tak jak twoja rezygnacja.
- Tamto było przemyślane.
- Nasz wspólny znajomy twierdzi, że nie.
- Nie zna mnie za dobrze.
- Zaczyna się zastanawiać, czy k t o k o l w i e k cię zna. Decker wzruszył ramionami.
- Nad czym jeszcze się zastanawia?
- Dlaczego wyłączyłeś telefon.
- Nie chciałem, żeby mi przeszkadzano.

- I dlaczego nie odpowiedziałeś, kiedy jeden z chłopaków z naszego zespołu pukał do ciebie wczoraj wieczorem.

- Ależ odpowiedziałem. Tylko nie otworzyłem. Spytałem kto to, i usłyszałem, że pokojowy. Oznajmił, że przyszedł, żeby posłać mi łóżko. Odparłem, że sam posłałem sobie łóżko, a on na to że ma świeże ręczniki. Ja zaś uznałem, że niepotrzebne mi są świeże ręczniki. Wtedy uparł się, że chce uzupełnić miętówki na stoliku nocnym. Odpowiedziałem mu więc, żeby sobie wsadził te miętówki w dupę.

- To nie było zbyt uprzejme.

- Chciałem być sam i przemyśleć sobie pewne sprawy.

- Jakie sprawy? - spytał Ben. Pontiac zatrzymał się na światłach. Decker spojrzał w lewo, na rudowłosego mężczyznę.

- Życie.

- Niezły temat. Rozgryzłeś go?

- Doszedłem do wniosku, że sedno życia stanowią zmiany.

- I o to chodzi? Przechodzisz życiową zmianę? - spytał Hal. Decker spojrzał przed siebie, w stronę ciemnowłosego mężczyzny na siedzeniu pasażera. Pontiac znowu ruszył i przejeżdżał przez skrzyżowanie.

- Właśnie - powiedział Decker. - Życiowa zmiana.

- I dlatego udajesz się w podróż?

- Właśnie tak.

- A dokąd, dokładnie?

- Do Santa Fe, w Nowym Meksyku.

- Nigdy tam nie byłem. Jak tam jest?

- Nie jestem pewien. W każdym razie wydaje się, że przyjemnie.

- Wydaje się, że przyjemnie?

- Zeszłej nocy oglądałem program o budowlanych, pracujących tam przy restauracji glinianego domu. Pontiac przejechał przez następne skrzyżowanie.

- I dlatego zdecydowałeś się tam jechać? - przerwał Ben. Decker odwrócił się w jego stronę.

- Właśnie.

- Tak po prostu?

- Tak po prostu. Właściwie zastanawiam się nad możliwością osiedlenia się tam.

- Tak po prostu. Wiesz, właśnie tym niepokoi się nasz wspólny znajomy. Te nieoczekiwane zmiany. Jak sądzisz, jak on zareaguje, gdy mu powiemy, że pod wpływem impulsu zdecydowałeś się wyjechać do Santa Fe, w Nowym Meksyku, ponieważ zobaczyłeś w telewizji, jak odnawiają tam stary dom?

- Gliniany dom.

- Niech będzie. Jak sądzisz, co sobie pomyśli na temat dojrzałości, z jaką podejmowałeś inne, nie przemyślane decyzje?

- Powiedziałem wam już, moja rezygnacja była przemyślaną decyzją. Myślałem o tym już od jakiegoś czasu.

- Nigdy nikomu nic nie wspominałeś.

- To moja sprawa.

- To była sprawa wielu ludzi. Więc co cię przekonało? Co cię skłoniło do podjęcia tej decyzji? Incydent w Rzymie? Decker nie odpowiedział. Na szybie pojawiły się krople deszczu.

- Widzicie, mówiłem, że będzie padać - zauważył Ben. Deszcz zaczął padać mocniej i na dachu pontiaca rozległo się bębnienie. Przechodnie rozkładali parasole albo biegli do bram. Przyciemnione okna z tyłu sprawiały, że szara ulica wydawała się jeszcze mroczniejsza.

- Porozmawiajmy o Rzymie - zaproponował Ben.

- Nie mam zamiaru z nikim rozmawiać o Rzymie. - Decker usiłował spokojnie oddychać. - Domyślam się, że to sedno tej rozmowy. Możecie wrócić do naszego wspólnego znajomego i zapewnić go, że nie jestem na tyle oburzony, żeby się z kimkolwiek dzielić moim oburzeniem. Jestem po prostu cholernie zmęczony. Nie interesuje mnie żadne expose ani robienie zamieszania. Wręcz przeciwnie, pragnę jedynie spokoju i ciszy.

- W Santa Fe, w miejscu, w którym nigdy nie byłeś. Decker znowu nie odpowiedział.

- Wiesz - odezwał się Hal - jak wspomniałeś o Santa Fe, pierwsze co przyszło mi na myśl, to że w tamtym rejonie jest wiele ściśle tajnych instalacji - laboratorium Sandia dla testów z bronią w Albuquerque, laboratorium nuklearne w Los Alamos. Zaraz potem przyszedł mi do głowy Edward Lee Howard. Decker poczuł ucisk w piersi. Howard był agentem CIA, który sprzedał Rosjanom ściśle tajne szczegóły na temat oddziały moskiewskiego. Po nieudanych teście na prawdomówność, CIA nabrało podejrzeń i wyrzucono go. FBI prowadziło w jego sprawie dochodzenie, a on przeniósł się do Nowego Meksyku, przechytrzył pilnujące go zespoły i zdołał zbiec do Rosji. Mieszkał właśnie w Santa Fe.

- Sugerujesz, że zrobię coś podobnego? - Decker wyprostował się. - Insynuujesz, że mógłbym zrobić coś na szkodę mojego kraju? - Tym razem Decker nawet nie usiłował zapanować nad swoim oddechem. - Powiedz naszemu wspólnemu znajomemu, żeby przejrzał sobie moją kartotekę i spróbował znaleźć coś, co mogłoby sugerować, że nagle zapomniałem znaczenie słowa „honor”.

- Jak sam zauważyłeś, ludzie poddają się zmianom.

- I w obecnych czasach ludzie mają przynajmniej trzy kariery zawodowe.

- Nie bardzo rozumiem twój tok myślenia, Decker.

- Mam za sobą karierę wojskową, drugą w służbie rządowej. Teraz czas na trzecią.

- I jaka to będzie kariera?

- Jeszcze nie wiem. Nie chciałbym podejmować żadnych decyzji pod wpływem impulsu.

Dokąd mnie wieziecie? Hal nie odpowiedział.

- Zadałem ci pytanie - przypomniał Decker. Hal wciąż nie odpowiadał.

- Lepiej, żeby nie była to klinika rehabilitacyjna CIA, w Wirginii.

- Kto mówił o Wirginii? - Hal chyba już podjął decyzję. - Wieziemy cię tam, gdzie chciałeś. Na lotnisko La Guardia.

Decker kupił bilet w jedną stronę. Podczas sześciogodzinnego lotu, z międzylądowaniem w Chicago, miał masę czasu, żeby przemyśleć swoje postępowanie. Zachowywał się na tyle dziwnie, że mógł pojąć, iż jego dawni przełożeni są zaniepokojeni. Do diabła, sam niepokoił się swoim zachowaniem. Cała jego kariera zawodowa opierała się na opanowaniu, a teraz nagle poddał się kapryswi. Lotnisko w Santa Fe było zbyt małe dla wielkich odrzutowców pasażerskich. Najbliższe duże lotnisko znajdowało się w Albuquerque i gdy MD-80 American Airlines podchodził do lądowania, Deckera zdumiał widoczny w dole pusty, wypalony przez słońce, żółty krajobraz. Piasek i skały ciągnęły się w stronę surowych gór. A czego oczekiwałeś? - zadał sobie pytanie. Nowy Meksyk to pustynia. Przynajmniej niewielkie, czteropoziomowe lotnisko w Albuquerque, ozdobione kolorowymi indiańskimi wzorami, miało urok. Obsługa lotniska była również zadziwiająco sprawna. Minęło zaledwie dziesięć minut, a Decker miał już swoją walizkę, stał przed ladą firmy Avis i wynajmował dodge'a intrepid. Dodge „nieustraszony”. Spodobała mu się nazwa tego samochodu.

- Jak najlepiej dojechać do Santa Fe? - spytał młodą kobietę za ladą. Była Latynoską i miała szczery uśmiech, który podkreślał wyrazistość jej oczu.

- To zależy, czy chce pan się tam dostać najszybszą, czy najbardziej malowniczą drogą.

- Warto jechać tą malowniczą?

- Jak najbardziej. Jeśli ma pan czas.

- Mam mnóstwo czasu.

- To jest właściwy stosunek do wakacji w Nowym Meksyku. Niech pan trzyma się tej trasy - powiedziała. - Proszę pojechać kilka mil na północ drogą międzystanową dwadzieścia pięć. Następnie trzeba skrócić w czterdziestkę, na wschód. Po jakichś dwudziestu pięciu milach musi pan skrócić na północ, na Turkusowy Szlak. - Urzędniczka cienkopisem zaznaczyła trasę. - Lubi pan margaritę?

- Uwielbiam.

- Niech się pan zatrzyma w miasteczku o nazwie Madrid. - Zaakcentowała pierwszą sylabę, jakby chciała podkreślić, że nazwę tę wymawia się inaczej niż nazwę stolicy Hiszpanii. - Trzydzieści lat temu to miasteczko było niemal całkowicie opuszczone. Teraz to kolonia artystów. Jest tam stara, rozpadająca się tawerna o nazwie Mineshaft, której właściciele utrzymują, że serwują najlepszą margaritę na świecie.

- I naprawdę jest najlepsza? Kobieta szczerze się uśmiechnęła i wręczyła mu kluczyki. Gdy Decker minął metalową rzeźbę przedstawiającą dwa konie wyścigowe stojącą przed lotniskiem i pojechał zgodnie ze wskazówkami urzędniczki, zauważył, że budynki w Albuquerque nie różnią się niczym od tych w pozostałej części kraju. Od czasu do czasu mignęła mu jakaś konstrukcja o płaskim dachu, ze stiukami, jak domy z gliny, które widział w telewizji, ale przeważały ostro zakończone dachy i zewnętrzne okleiny imitujące cegłę albo drewno. Obawiał się, że reportaż mógł być przesadzony, że Santa Fe okaże się miejscem jak każde inne. Szosa międzystanowa numer czterdzieści powiodła go wzdłuż potężnych, postrzępionych gór. Następnie skrócił na Turkusowy Szlak i widoki zmieniły się nagle. Co jakiś czas mijał odosobnione chaty lub domki w kształcie litery A. Po chwili nie było już żadnych budynków. Pojawiło się więcej roślinności jałowców i drzewek piniowych, różnych odmian niskopiennych kaktusów i krzaków przypominających bylicę, które wyrastały na wysokość sześciu stóp. Wąska droga wiała się pod górę, którą Decker widział z Albuquerque. Przypomniał sobie, że stewardesa w MD-80 wspomniała mu, że Albuquerque, podobnie jak Denver, znajdowało się pięć tysięcy stóp, czyli milę, nad poziomem morza, a Santa Fe było położone jeszcze wyżej, na siedmiu tysiącach stóp, więc jechało się tam pod górę. Stewardesa ostrzegła go, że przez pierwszych kilka dni goście mogą mieć kłopoty z oddychaniem i narzekać na spowolnione reakcje. Zażartowała, że jakiś pasażer kiedyś zapytał ją, czy Santa Fe leży siedem tysięcy stóp nad poziomem morza przez cały rok. Decker nie odczuł żadnej fizycznej reakcji na wysokość, ale tego można się było spodziewać. W końcu szkolili go, żeby nic sobie nie robił ze skoków spadochronowych z dużych wysokości, kiedy to spadochron otwierał się bardzo nisko, na dwudziestu tysiącach stóp. Zauważył natomiast, jak przejrzyste było tu powietrze, jak niebieskie niebo, jak jasne słońce i zrozumiał, dlaczego na plakacie na lotnisku nazwano Nowy Meksyk „krajem tańczącego słońca”. Wjechał na płaskowyż i to, co zobaczył, zaparło mu dech w piersiach. Gdy spojrział w lewo, ujrzał pagórkowaty, pustynny pejzaż, który zdawał się rozciągać setki mil na północ i na południe. Na zachód widoczność ograniczały odległe góry, które wydawały się wyższe i szersze niż te, które obserwował w Albuquerque. Stopniowo wspinająca się droga powiodła go przez ostre zakręty. Decker poczuł się, jakby stanął na szczycie świata. Madrid, Decker wciąż musiał przypominać sobie, że nazwę tę wymawia się z akcentem na pierwszą sylabę, był miasteczkiem składającym się z baraków i drewnianych domków, w większości zajętych przez ludzi, którzy wyglądali jak niedobitki kontrkultury lat sześćdziesiątych. Miasteczko ciągnęło się wzdłuż wąskiego, zalesionego jaru, który po prawej stronie ograniczał stok pokryty węglem. Właśnie z powodu węgla miasto zostało założone na przełomie wieku. Tawerna Mineshaft, rozklekotana, dwupiętrowa drewniana konstrukcja, która bardzo potrzebowała malowania, była chyba najwyższym budynkiem w mieście. Znajdowała się tuż po prawej stronie, u podnóża zbocza, z którego wjeżdżało się do miasta. Decker zaparkował i zamknął samochód. Przyjrzał się grupie mijających go motocyklistów, odzianych w skórzane kurtki. Zatrzymali się koło domu przy końcu ulicy, odpięli poskładane sztalugi i na wpół dokończone obrazy czy płótna i wnieśli je do środka. Decker z szerokim uśmiechem wszedł

po schodach do zabudowanej werandy tawerny. Jego kroki wywołały głuchy, głośny odgłos. Otworzył skrzypiące drzwi i wszedł do miniaturowej wersji saloonu z przełomu wieku, w którym nawet była scena. Na ścianie za barem wisiały poprzyczepiane banknoty z całego świata. W zaciemnionym pomieszczeniu połowa miejsc była zajęta. Ludzie prowadzili ożywione rozmowy. Decker usiadł przy pustym stoliku i rozejrzał się po kowbojskich kapeluszach, tatuażach i naszyjnikach z paciorków. W przeciwieństwie do sprawności obsługi lotniska w Albuquerque, tutaj czekał długo, zanim mężczyzna z włosami ściągniętymi w kucyk, ubrany w fartuch, z tacą w ręce pochylił się nad stołem. Cierpliwości, Decker, powiedział do siebie w myśli. Przyjmij, że to pewien rodzaj kabiny dekompresyjnej. Kelner miał dzinsy podarte na kolanach.

- Ktoś mi powiedział, że macie najlepszą margaritę na świecie - odezwał się Decker. - To pewnie nieprawda.

- Można się przekonać.

- Podaj mi jedną.

- Coś do jedzenia?

- A co polecacie?

- W południe fajitas z kurczaka. Ale późno po południu? Może nachos?

- Niech będzie. Nachos były nadziewane serem z Monterey, zieloną salsą, fasolą pinto, sałatą, pomidorami i papryką jalapeno. Od papryki Deckerowi popłynęły z oczu łzy. Czuł się jak w niebie i zdał sobie sprawę, że gdyby dwa dni temu zjadł coś takiego, jego żołądek strasznie by ucierpiał. Margarita naprawdę była najlepsza, jaką kiedykolwiek próbował.

- Na czym polega jej sekret? - spytał kelnera.

- Uncja i ćwierć najlepszej teguili, która musi być zrobiona w stu procentach z błękitnej agawy. Trzy czwarte uncji cointreau. Półtorej uncji świeżo wyciśniętego soku z cytryny. Cząstka świeżej limonki. Drink sprawił, że Decker z radością ściągnął usta. Do warg przykleiła mu się sól z obrzeża szklanki. Zlizął ją i zamówił jeszcze jedną margaritę. Gdy skończył i tę, miał ochotę zamówić kolejną, ale nie wiedział, jak zareaguje na alkohol na takiej wysokości. Nie chciał nikogo zranić, prowadząc samochód. A poza tym miał ochotę odnaleźć Samta Fe. Dał kelnerowi dwadzieścia pięć procent napiwku i wyszedł, czując się tak błogo, jak nie czuł się od lat. Zmrużył oczy przed zniżającym się słońcem, spojrzął na wodoszczelny zegarek - prawie czwarta trzydzieści - założył okulary przeciwsłoneczne i wsiadł do samochodu. Teraz powietrze wydawało się jeszcze bardziej przejrzyste, niebo jeszcze bardziej niebieskie, a słońce jeszcze bardziej błyszczące. Odjechał wąską, krętą drogą, znowu mijając jałowce, drzewka piniowe i te zarośla, podobne do bylicy, których nazwę miał zamiar sprawdzić. Zauważył, że zmienił się kolor ziemi; do panującej do tej pory żółci dołączyły odcienie czerwieni, pomarańczy i brązu. Roślinność stała się bardziej zielona. Na szczycie zakręt wygiął się łukiem w lewo i przed Deckerem roztoczył się widok, ciągnący się całe mile. Z przodu, w oddali, na wzniesieniu widać było malutkie budynki, przytulone wśród gór, które wyglądały jak miniatutki w miasteczku z klocków. Za nimi ciągnęły się oszalałymi piękne góry, na mapie Deckera nosiły nazwę Sangre de Cristo, Krwi Chrystusowej. Słońce ozłacało zabudowania, jakby były zaczarowane. Decker zauważył, że na tablicach rejestracyjnych Nowego Meksyku widnieje napis „kraina oczarowania”. Ten pejzaż, otoczony zielenią drzewek piniowych, zapraszał go i Decker nie miał już żadnej wątpliwości, że to miejsce jego przeznaczenia. Wjechał do miasta, mijając tablicę z napisem: SANTA FE. 62 424 MIESZKAŃCÓW. Skierował się w stronę placu Historycznego. Ruchliwe ulice śródmieścia stawały się coraz węższe, a ich układ zmieniał się w labirynt, jakby to czterechsetletnie miasto rozwijało się zupełnie na oślep. Gliniane budynki były wszechobecne i każdy wydawał się inny, jakby również zostały postawione tutaj bez planu. W większości zabudowania były niskie, ale dostrzegł także kilka trzypiętrowych - mieściły się w nich hotele. Ich styl pueblo przypominał mu mieszkania skalne. Nawet piętrowy śródmiejski parking był utrzymany w stylu pueblo. Decker zamknął samochód i ruszył

wolno ulicą ocienioną arkadami. Na końcu ujrzał katedrę, która przywiodła mu na myśl kościoły hiszpańskie. Ale zanim do niej doszedł, po lewej stronie pojawił się główny plac - prostokątny, wielkości niewielkiego kwartału ulicznego, z trawnikiem, z białymi metalowymi ławkami, z wysokimi drzewami i pomnikiem upamiętniającym wojnę domową. Zauważył jadalnię o nazwie Plaža Cafe i restaurację Ore House, z jej balkonu zwieszały się pęki suszonej papryki. Przed długim, niskim, starym budynkiem z gliny, zwanym pałacem rządowym, siedzieli oparci o ścianę Indianie. Przed nimi na chodniku rozpostarte były koce, a na nich ułożona srebrna i turkusowa biżuteria, przeznaczona na sprzedaż. Gdy Decker rozsiadł się na jednej z ławek, błogi wpływ margarity zaczął mijać. Naszło go jakieś złe przeczucie i zaczął się zastanawiać, jak wielki błąd popełnił. Przez minione dwadzieścia lat, najpierw w wojsku, a potem gdy pracował jako agent wywiadu, zawsze ktoś się nim zajmował, inni układali mu życie. Teraz nie miał żadnego zabezpieczenia, mógł liczyć tylko na siebie. Chciał zacząć od początku, odezwało się w nim coś. Ale co będzie robił? Na dobry początek warto by znaleźć jakiś pokój. A potem? Spróbuj wykreować się na nowo. Denerwowało go, że nie może się pozbyć swoich zawodowych nawyków - gdy przechodził przez plac w stronę hotelu o nazwie La Fonda, nie mógł się powstrzymać, żeby nie sprawdzić, czy ktoś go nie obserwuje. Kilkudziesięcioletni hol recepcyjny hotelu, z wpływami latynoskimi, był utrzymany w ciepłych, kojących, ciemnych odcieniach, ale instynkt Deckera kazał mu się skoncentrować na ludziach wokół. Załatwił pokój i gdy szedł z powrotem na parking, znowu sprawdził, czy nikt go nie obserwuje. Trzeba z tym skończyć, powiedział do siebie. Już nie muszę żyć w taki sposób. Na podjazd prowadzący do piętrowego parkingu wszedł za nim mężczyzna z brodą w kolorze soli z pieprzem, w spodniach khaki i niebieskim letnim swetrze, na tyle obszernym, że z łatwością można było ukryć pod nim pistolet. Decker przystanął obok swojego samochodu, wyjął kluczyki, gotów ich użyć jako broni. Odetchnął, gdy mężczyzna wszedł do Rangę rovera i odjechał. Trzeba z tym skończyć, powtórzył sobie. Celowo nie patrzył za siebie, gdy jechał na parking La Fondy i niósł walizkę do pokoju. Specjalnie jadł kolację siedząc plecami do wejścia do jadalni. Z rozmysłem poszedł na wieczorny bezcelowy spacer po centrum, wybierając kiepsko oświetlone miejsca. W małym, zalesionym parku, w pobliżu wybetonowanego kanału, z cienia wyłoniła się jakaś postać.

- Dawaj portfel. Deckera zamurowało.

- Mam pistolet. Powiedziałem, dawaj ten pieprzony portfel. Decker przyglądał się młodemu ulicznikowi, którego ledwo było widać. Nie mógł się powstrzymać. Zaczął się śmiać.

- Co cię tak, kurwa, śmieszy?

- Napadasz mnie? Chyba sobie żartujesz. Po tym wszystkim co przeszedłem, po tym zmuszaniu się do tego, by nie zachowywać ostrożności.

- Nie będzie cię to tak kurewsko śmieszyło, jak ci wsadzę pieprzoną kulkę.

- Dobra, dobra, to mi się należy. - Decker wyciągnął portfel i sięgnął do środka. - To są wszystkie pieniądze, jakie mam.

- Powiedziałem, że chcę twój pieprzony portfel, a nie tylko pieniądze.

- Nie pozwalaj sobie za dużo. Mogę sobie darować pieniądze, ale potrzebne mi jest prawo jazdy i karta kredytowa.

- Przestań, kurwa, bredzić. Dawaj go. Decker połamał dzieciakowi obie ręce, schował pistolet do kieszeni i popchnął złodziejaszka na brzeg kanału. Trzasnęły gałęzie, gdy dzieciak wylądował w krzakach. Decker pochylił się nad krawędzią i usłyszał, jak małolat jęczy w ciemności poniżej.

- Za dużo przeklinasz. Zapamiętał nazwy najbliższych ulic, znalazł aparat telefoniczny, wykręcił 911 i poinformował dyżurnego, dokąd przysłać karetkę, wrzucił pistolet do ścieku i wrócił do La Fondy. W barze hotelowym napił się koniaku, żeby obniżyć poziom adrenaliny. Jego uwagę przykuł znak na ścianie.

- To jakiś żart? - spytał barmana. - Noszenie tutaj broni jest niezgodne z prawem?
- W Nowym Meksyku bary są chyba jedynymi miejscami, gdzie nie wolno nosić broni.
Można ją mieć na ulicy, tylko musi być widoczna.
- A niech mnie.
- Oczywiście wielu ludzi łamie prawo. Domyślam się, że noszą broń w ukryciu.
- A niech mnie jeszcze raz powiedział Decker.
- I wszyscy, których znam, trzymają broń w samochodzie. Decker popatrzył na niego tak oniemiały, jak wtedy, gdy dzieciak w parku próbował go napaść.
- Wygląda na to, że trzeba tutaj przedsięwziąć środki ostrożności.
- The Frontiersman to chrześcijański sklep z bronią wyjaśnił ekspedient To stwierdzenie zdziwiło Deckera.
- Doprawdy? - tylko tyle zdołał wykrztusić.
- Uważamy, że Jezus każe nam być odpowiedzialnym za nasze własne bezpieczeństwo.
- Sądzę, że Jezus ma rację. - Decker rozejrzał się po stojakach pełnych karabinów i strzelb. Oglądał pistolety zamknięte pod szkłem kontuaru. Sklep pachniał słodko oliwą do smarowania broni.
- Myślałem o waltherze .380.
- Nie da rady. Wszystkie wyprzedane.
- A może sigsauer 928?
- Doskonała broń - stwierdził ekspedient. Miał na sobie adidas, džinsy, czerwoną kraciatą koszulę roboczą, a przy pasku półautomatycznego colta .45. Postawny, po trzydziestce, jego twarz była poparzona od słońca. Gdy dziewięćmilimetrowa beretta stała się standardową bronią wojska amerykańskiego, grube ryby zdecydowały, że jakaś mniejsza, łatwa do ukrycia broń byłaby przydatna dla służb wywiadowczych.
- Naprawdę? - zdziwił się znowu Decker. Ekspedient otworzył szklaną gablotkę, uniósł pokrywę i wyjął pistolet rozmiaru dłoni Deckera.
- Używa się do niego takiej samej amunicji jak do beretty, dziewięć milimetrów. Ma trochę mniejszy magazynek - trzynaście naboji w magazynku i jeden w komorze. Jest samopowtarzalna, tak że wystarczy tylko pociągać za spust. Ale jeśli kurek jest odwiedziony, a zrezygnuje pan ze strzału, można go bezpiecznie opuścić za pomocą tej dźwigi z boku. Doskonale wykonany. Świetna broń. Ekspedient wyjął magazynek i odciągnął zamek, demonstrując, że pistolet jest nie załadowany. Dopiero wtedy podał go Deckerowi, który udawał, że celuje w portret Saddama Husajna.
- Już mi go pan sprzedał - powiedział Decker.
- Oficjalna cena wynosi dziewięćset pięćdziesiąt. Dam go panu za osiemset. Decker położył na ladzie kartę kredytową.
- Przykro mi - powiedział ekspedient. - Jesteśmy pod kontrolą Wielkiego Brata. Mogę panu wydać pistolet dopiero wtedy, gdy pan wypełni ten formularz i policja sprawdzi, że nie jest pan terrorystą ani jakimś strasznym wrogiem publicznym. Dzięki władzom federalnym mamy trochę dodatkowych papierków. Kosztuje to dziesięć dolarów. Decker przejrzał formularz z pytaniami, czy jest nielegalnym imigrantem, czy jest uzależniony od narkotyków i czy popełnił wcześniej jakieś przestępstwo. Czy ten, kto ułożył ten formularz, naprawdę myślał, że ktokolwiek wpisze w odpowiedzi na te pytania „tak”?
- Kiedy będę mógł odebrać pistolet?
- Według prawa, za pięć dni. Tu ma pan kopię ustawy George'a Willa o prawie do posiadania broni. Do ustawy dopięty był cytat z Pisma Świętego i wtedy Decker zdał sobie sprawę, jak bardzo odmienne jest to Odmienne Miasto. Gdy wyszedł w jaskrawe poranne słońce, z podziwem spojrział na góry, które wznosiły się groźnie tuż za wschodnim obrzeżem miasta. Wciąż jeszcze nie mógł uwierzyć, że przyjechał do Santa Fe. Przez całe życie nigdy nie był tak pełen wigoru. Kiedy ruszył samochodem, przypomniał sobie swój pracowity poranek i różne działania, które przedsięwziął. Otworzył konto bankowe, przelał pieniądze z

placówki w Wirginii, skontaktował się z miejscowym oddziałem ogólnokrajowej firmy maklerskiej, z której usług korzystał, zadzwonił do właściciela domu, jaki wynajmował w Aleksandrii, i zgodził się zapłacić karę za zerwanie kontraktu, w zamian za to, że właściciel spakuje i przyśle mu jego skromne rzeczy. Podejmowanie różnorodnych decyzji wyczerpało go i sprawiło, że naprawdę zaczęło docierać do niego, iż jest w Santa Fe. Im więcej spraw załatwiał, tym bardziej przekonywał się, że pozostanie tutaj. A tyle jeszcze trzeba było podjąć decyzji. Musiał oddać wynajęty pojazd i kupić sobie własny, znaleźć jakieś mieszkanie, jakoś rozwiązać sprawę swojego przyszłego zatrudnienia. W samochodzie wysłuchał audycji radiowej: „Poranne wydanie”. Zainteresował go reportaż o trendzie panującym wśród biznesmenów w średnim wieku i należących do klasy średniej, którzy porzucają swoje stresujące posady (jeszcze zanim w ich firmach nastąpią redukcje i zostaną zlikwidowane ich stanowiska pracy) i przenoszą się do zachodnich, górskich stanów, gdzie zakładają swoje własne interesy i żyją, zdając się na własne możliwości, a praca na własny rachunek przysparza im ogromnej radości i satysfakcji. Reporter nazwał ich „samotnymi orłami”. W tej właśnie chwili Decker na pewno czuł się samotny. Muszę znaleźć coś zamiast hotelowego pokoju. Wynająć mieszkanie? Kupić segment? W jakim stopniu jestem zdecydowany? Co będzie dobrym interesem? Czy mam po prostu przejrzeć ogłoszenia w gazecie? W tej niepewności nagle spostrzegł znak agencji handlu nieruchomościami przed jednym z glinianych domów na zadrzewionej ulicy, którą jechał, i nieoczekiwanie okazało się, że znalazł odpowiedź na więcej pytań, niż to, gdzie się zameldować.

- Zakała na rynku - powiedziała kobieta. Miała prawie sześćdziesiąt lat, krótkie siwe włosy, wąską, pomarszczoną od słońca twarz i masę turkusowej biżuterii. Nazywała się Edna Freed i była właścicielką agencji, której znak Decker dostrzegł przy drodze. To była już czwarta posiadłość, jaką mu pokazała. - Jest wystawiona na sprzedaż już od ponad roku. Nikt tam nie mieszka. Podatki, ubezpieczenia i opłaty za utrzymanie to tylko kłopot dla właścicieli. Pozwolili mi powiedzieć, że są skłonni przyjąć kwotę niższą od ceny wywoławczej.

- A jaka jest cena wywoławcza? spytał Decker.

- Sześćset trzydzieści pięć tysięcy. Decker uniósł brwi.

- Nie żartowała pani mówiąc, że to kosztowny rynek.

- I co roku staje się coraz droższy. - Edna wyjaśniła, że w Santa Fe dzieje się to, co dwadzieścia lat temu miało miejsce w Aspen, w Kolorado. Do Aspen napływali zamożni turyści, zakochiwali się w tej malowniczej górskiej miejscowości, kupowali tam nieruchomości, windując ich wartość i wypychając miejscowych, którzy, w swoim własnym mieście, musieli się przenieść do domów, na jakie ich było stać. Santa Fe stawało się równie drogie, przede wszystkim z powodu zamożnych przybyszów z Nowego Jorku, Teksasu i Kalifornii.

- Dom, który sprzedałam w ubiegłym roku za trzysta tysięcy, dziewięć miesięcy później znowu był wystawiony na sprzedaż i poszedł za trzysta sześćdziesiąt - powiedziała Edna. Miała na sobie kapelusz stetson i okulary z tasiemką. - Jak na domy w Santa Fe, nie było w nim nic niezwykłego. Nawet nie był z glinianej cegły. Budowniczy dodał jedynie nowe stiuki.

- A ten jest z gliny?

- Oczywiście. - Edna poprowadziła go zwirowaną ścieżką od swojego BMW do wysokiej metalowej bramy, umieszczonej w równie wysokim murze, pokrytym stiukami. Na bramie widniały imitacje indiańskich rysunków. Za nią znajdował się dziedziniec i portal. - Budynek jest niezwykle trwały. Niech pan popuka w tę ścianę obok drzwi frontowych. Decker popukał. Kostki zabolowały go, jakby pukał w kamień. Przyjrzał się fasadzie domu.

- Widać trochę wyschniętego grzyba na kolumnach, które podtrzymują ten portal.

- Jest pan spostrzegawczy.

- Dziedziniec jest zarośnięty. Wewnętrzny mur potrzebuje nowych stiuków. Ale te naprawy nie tłumaczą pani określenia „zakała na rynku” - zauważył Decker. - Co stanowi

prawdziwy problem? Teren ma dwa akry powierzchni, w dzielnicy, która jak pani mówiła, jest dobra do mieszkania - okolice muzeum. Ma okna na wszystkie strony. Jest atrakcyjny. Dlaczego nikt go nie chce kupić? Edna zawahała się chwilę.

- Bo to nie jest jeden duży dom, tylko dwa małe połączone wspólną ścianą.

- Co takiego?

- Żeby dostać się z jednej części do drugiej, trzeba wyjść na zewnątrz i wejść przez drugie drzwi.

- Komu, do diabła, było potrzebne takie utrudnienie? Edna nie знаła odpowiedzi.

- Obejrzyjmy resztę.

- Mimo niewygodnego rozkładu może być pan nadal zainteresowany?

- Najpierw muszę coś sprawdzić. Proszę mi pokazać pralnię. Zdziwiona Edna zaprosiła go do środka. Pralnia przylegała do garażu. W podłodze była kłapa, która prowadziła do niskiego podpiwniczenia budynku. Gdy Decker wyszedł stamtąd, z zadowoleniem strzepnął kurz z ubrania.

- Instalacja elektryczna wygląda na jakieś dziesięć lat, miedziane rurki na trochę mniej. Jedno i drugie jest w dobrym stanie.

- Naprawdę jest pan spostrzegawczy - powiedziała Edna. - I wie pan, co należy najpierw sprawdzić.

- Nie ma sensu przerabiać domu, jeśli trzeba ruszać też instalacje.

- Przerabiać? - Edna była jeszcze bardziej zdumiona.

- Posiadłość jest rozplanowana w taki sposób, że garaż znajduje się pomiędzy dwoma przyległymi do siebie domami. Ale można przerobić garaż na pokój, za nim poprowadzić korytarz i usunąć część wspólnej ściany, tak że ten korytarz prowadziłby do drugiego domu, scalając obie części.

- A niech mnie... - Edna spojrzała na garaż. - Nigdy tego nie zauważyłam. Decker rozważał coś w myślach. Nie planował kupna tak drogiego domu. Pomyślał o swoich trzystu tysiącach dolarów w oszczędnościach, o początkowej wpłacie i o ratach, i rozmyślał, czy chce się stać biednym właścicielem domu. Jednocześnie intrygowały go możliwości inwestycyjne.

- Mogę zaoferować sześćset tysięcy.

- mniej niż cena wywoławcza? Za taką wartościową posiadłość?

- Za coś co, zdaje się, określiła pani jako „zakałę na rynku”. Czy też może moja uwaga nagle sprawiła, że dom stał się atrakcyjniejszy?

- Dla odpowiedniego kupca. - Edna przyjrzała mu się uważnie. - Coś mi się wydaje, że zajmował się pan sporo negocjowaniem cen nieruchomości.

- Pracowałem kiedyś w tej branży jako konsultant międzynarodowych inwestycji. - Decker podał jej wizytówkę, którą sprawiło mu CIA. - Agencja RawleyHackman, z siedzibą główną w Aleksandrii, w Wirginii. Nie jest to Sotheby International, ale zajmują się całkiem sporą liczbą szczególnych posiadłości. Moją specjalnością było wyszukiwanie nieruchomości, które mają większą wartość, niż się może wydawać.

- Tak jak ta - zauważyła Edna. Decker wzruszył ramionami.

- Szkopuł tkwi w tym, że nie mogę zaoferować więcej niż sześćset tysięcy.

- Przekażę wszystko mojemu klientowi.

- Proszę położyć na to nacisk. Standardowe dwadzieścia pięć procent wkładu początkowego to sto dwadzieścia pięć tysięcy. Przy bieżącej stopie ośmioprocentowej, trzydziestoletni kredyt na resztę wynosi...

- Przyniosę z samochodu tabelę oprocentowania.

- Nie ma potrzeby. Potrafię liczyć. - Decker pisał w notesie. - Jakies trzy tysiące pięćset miesięcznie. Trochę ponad czterdzieści dwa tysiące rocznie.

- Nigdy nie widziałam, żeby ktoś tak szybko liczył. Decker znowu wzruszył ramionami.

- Jest jeszcze jeden problem - nie będę mógł pozwolić sobie na ten dom, jeśli nie znajdę pracy.

- Na przykład przy sprzedaży nieruchomości? - Edna wybuchła śmiechem. - Próbuje pan mnie się sprzedać?
- Może trochę.
- Podoba mi się pański styl - uśmiechnęła się Edna. - Jeśli jest pan w stanie to zrobić, da pan radę sprzedać wszystko. Tylko skąd pan weźmie pieniądze na renowację?
- To proste. Tania siła robocza.
- A gdzie, u licha, chce pan ją znaleźć?
- Tutaj.

Biorąc udział w specjalnych operacjach wojskowych, a potem służąc jako agent wywiadu, Decker nieraz doświadczył strachu - nieudane misje, zagrożenia, których nie dało się przewidzieć - ale nic nie mogło się równać z przerażeniem, z jakim obudził się następczej nocy. Serce mu łomotało, aż zrobiło mu się słabo. Koszulka i spodnie od potu przykleiły mu się do ciała. Przez chwilę czuł się dezorientowany, tłamsiła go ciemność. To nie był jego pokój w La Pondzie. Natychmiast przypomniał sobie, że przeniósł się do wynajmowanego lokum, którym zarządzała Edna. Było jeszcze mniejsze niż jego mieszkanie w Aleksandrii, ale przynajmniej tańsze niż La Fonda, a oszczędzanie stało się teraz dla Deckera najważniejsze. Wyszły mu usta. Nie mógł znaleźć kontaktu. Idąc po omacku do umywalki w małej łazience, uderzył się biodrem o stół. Musiał wypić kilka szklanek wody, żeby zaspokoić swoje niesamowite pragnienie. Wymacał drogę do jedynej okna w pokoju i otworzył okiennice z listewek. Zamiast majestatycznego krajobrazu, zobaczył księżyc oświetlający plac parkingowy. Co ja, do licha, zrobiłem? - spytał sam siebie, znowu zaczynając się pocić. Nigdy w życiu nie byłem właścicielem niczego dużego. I właśnie podpisałem dokumenty na kupno domu za sześćset tysięcy dolarów, na który muszę wydać od razu sto dwadzieścia tysięcy dolarów i spłacać co roku raty w wysokości czterdziestu dwóch tysięcy dolarów. Czy ja oszalałem? Co pomyśli sobie CIA, kiedy się dowiedzą, że inwestuję tyle forsy w nieruchomości? Będą się zastanawiali, jakim cudem mogę sobie na to pozwolić. Prawda jest taka, że nie mogę, ale oni nie będą tego wiedzieć. Decker ciągle myślał o niedawnym skandalu z udziałem agenta Aidricha Amesa, który przekazał Rosjanom tajne informacje o sieci moskiewskiej, w zamian za dwa i pół miliona dolarów. Skutki były katastrofalne - zaprzepaszczone misje, straceni agenci. Minęły lata, zanim jednostka kontrwywiadowcza zaczęła podejrzewać podwójnego agenta i w końcu zainteresowała się Amesem. Jednostka kontrwywiadowcza odkryła wówczas, że podczas rutynowych sprawdzianów Ames niemal oblał dwa testy na prawdomówność, ale ponieważ ich wyniki określono jako dwuznaczne, więc oceniono testy na jego korzyść. Dalej jednostka dowiedziała się, że Ames poczynił ogromne inwestycje - kupował nieruchomości: kilka domów letniskowych i gospodarstwo o powierzchni dziesięciu tysięcy akrów w Ameryce Południowej oraz że ma setki tysięcy dolarów na różnych kontach bankowych. Skąd, do licha, wzięły się te pieniądze? Wkrótce potem Amesa i jego żonę aresztowano pod zarzutem szpiegostwa. CIA, która dość mocno zaniedbała obserwacje prywatnego życia agentów, przyjęła nowe, bardziej rygorystyczne środki bezpieczeństwa. A ja stanę się niebawem obiektem ich zainteresowania, Decker ostrzegł sam siebie. Już mnie obserwują z powodu mojej postawy, kiedy składałem rezygnację. Dokumenty, które dzisiaj podpisałem, uruchomią alarmy. Z samego rana muszę zadzwonić do Langley. Muszę wyjaśnić to, co robię. No właśnie. A c o ja robię? Decker wyczuł za sobą krzesło i rozsiadł się na nim. W umowie kupna jest klauzula o rezygnacji, przypomniał sobie. Gdy jutro dom będzie oglądał rzeczoznawca, wymyślę defekt, dzięki któremu będę mógł się wycofać. Świetnie. Byłem zbyt ambitny. Ostrożnie - tego się trzymaj. Powoli i rozważnie. Unikaj robienia czegokolwiek niezwykłego. Przyhamuj trochę. Miej w zanadrzu różne plany alternatywne. Nie podejmuj spektakularnych posunięć. Nie pozwól emocjom przejąć nad sobą kontroli. Na miłość boską, tak żyłem przez ostatnie dziesięć lat. Właśnie przed chwilą dokonałem charakterystyki

swojego życia, tak funkcjonowałem jako agent wywiadu. Uderzył dłonią o brzeg krzesła. Już wcześniej dawałem sobie radę ze strachem. Co mam do stracenia? Szansę na życie. Trzy tygodnie później przejął dom. Santa Fe to były Julian's, El Nido, Zia Diner, Pasqual's, Tomasita's i niezliczone inne, cudowne restauracje. To także margarity, nachos, czerwona i zielona salsa. Widowiskowe poranki, świetliste popołudnia i wspaniałe wieczory. Przybierające co chwila inny odcień światło słońca i niestrudzenie zmieniające się kolory wysoko wzniesionej pustyni. Góry ciągnące się we wszystkie strony. Powietrze tak czyste, że widać było wszystko na setki mil wokół. Krajobrazy podobne do płócien Georgii o'Keeffe. To był także główny plac, galerie przy Canyon Road, Targ Hiszpański i Targ Indiański i fiesta. To było wreszcie obserwowanie, jak w kotlinie narciarskiej żółknie jesienią osika. Śnieg, który nadał miastu wygląd karty świątecznej. Świecek wetkniętych w piasek w papierowych torbach, okalające główny plac i rozświetlające Wigilię. Wspaniałe polne kwiaty na wiosnę. To było więcej kolibrów naraz, niż widział kiedykolwiek wcześniej, delikatny deszcz, który padał w lipcu codziennie późnym popołudniem. Słońce, które prażyło w plecy, pot i zdrowy ból mięśni podczas pracy przy domu. To był spokój.

* * *

Rozdział trzeci

Steve, dzisiaj ty pełnisz obowiązki w biurze, zgadza się? - spytała Edna. Decker podniósł wzrok znad oferty kupna, którą przygotowywał dla jednego z klientów w swoim gabinecie.

- Do dwunastej. Wszyscy pośrednicy byli na ogół tak zajęci prezentowaniem nieruchomości, że rzadko pojawiali się w biurze, ale Edna wymagała, aby ktoś zawsze pozostawał do dyspozycji klientów, którzy przychodzili do agencji, i tych, którzy dzwonili. Każdy agent zatem był zobowiązany spędzać pół dnia, raz na dwa tygodnie, „pełniąc obowiązki w biurze”.

- Ktoś przyszedł i szuka agenta - powiedziała Edna. - Zajęłabym się nim, ale za piętnaście minut muszę sfinalizować sprawę w notariacie Santa Fe.

- W porządku. - Decker schował ofertę kupna do segregatora, wstał i skierował się w stronę biura obsługi klientów. Był lipiec, trzynaste miesiący po tym, jak sprowadził się do Santa Fe, i wszelkie wątpliwości, czy sobie poradzi, już dawno zniknęły. Mimo że co roku wykruszało się kilku konsultantów handlu nieruchomościami i wypadali z biznesu, jemu szło nieźle. Techniki nawiązywania kontaktu, jakie stosował, żeby zdobyć zaufanie agentów, nad którymi sprawował pieczę, okazały się przydatne w zjednywaniu klientów. Jego sprzedaż wynosiła już cztery miliony dolarów, co dawało sześcioprocentową prowizję w wysokości stu dwudziestu tysięcy. Oczywiście musiał się podzielić tą sumą z Edną, do której należały pomieszczenia biurowe. Na nią też spadał obowiązek zajmowania się reklamą i wszelkimi niedogodnościami związanymi z prowadzeniem interesu, nie wspominając, że to właśnie ona dała Deckerowi możliwość wtopienia się w zespół. Niezależnie od tego, przez całe życie nigdy nie zarobił aż sto dwadzieścia tysięcy dolarów w ciągu roku. Wyłonił się z za przepierzenia, podszedł do biurka i ujrzał stojącą przy nim kobietę, która przeglądała kolorowy prospekt z ofertami domów na sprzedaż. Miała opuszczoną głowę, więc Decker nie mógł dojrzeć jej rysów, ale gdy się zbliżył, zobaczył bujne kasztanowe włosy, śniadą cerę i zgrabną sylwetkę. Była wyższa niż większość kobiet. Miała jakieś pięć stóp, siedem cali i świetną figurę. Ubrana była wyraźnie w stylu Wschodniego Wybrzeża; dobrze leżący granatowy kostium od Calvina Kleina, buty na niskim obcasie, o modnym fasonie, perłowe kolczyki i pleciana czarna torebka z włoskiej skóry.

- Czy mogę pani pomóc? - spytał Decker. - Chciała pani porozmawiać z agentem? Kobieta spojrzała sponad prospektu.

- Tak. - Uśmiechnęła się i Decker poczuł, jak coś się w nim poruszyło. Nie miał czasu, żeby głębiej zastanowić się nad tym wrażeniem, zdążył jedynie porównać je do nagłej zmiany rytmu serca, takiej jak w chwilach strachu. W tym wypadku jednak to doznanie było czymś zupełnie przeciwnym niż strach. Kobieta po trzydziestce wydała mu się niezwykle piękna. Miała zdrową, lśniącą cerę. W jej szaroniebieskich oczach błyskała inteligencja i coś jeszcze, co trudno było określić; coś atrakcyjnie tajemniczego. Miała regularne rysy twarzy. I uśmiechała się promiennie. Mimo że Deckerowi płuca odmówiły posłuszeństwa, zdołał się przedstawić.

- Steve Decker. Pracuję jako pośrednik handlu nieruchomościami w tej firmie. Kobieta uścisnęła mu rękę.

- Beth Dwyer. Jej palce były tak cudownie gładkie, że Decker nie chciał wypuścić jej dłoni.

- Mój gabinet jest tuż za przepierzeniem. Gdy ją tam prowadził, miał czas, żeby przyzwyczaić się do przyjemnego ucisku w piersi. Z całą pewnością są gorsze sposoby zarabiania pieniędzy, pomyślał. Gabinety agencji były obszernymi pomieszczeniami, a oddzielające je sześciostopowe przepierzenia imitowały ściany z glinianych cegieł. Beth rzuciła zaciekawione spojrzenie na górną krawędź przepierzenia, ozdobioną lśniącą czarną ceramiką i misternie plecionymi koszami wyrabianymi w okolicznych osadach indiańskich.

- Te siedzenia pod oknem, które wyglądają jak gipsowe ławki jak one się nazywają? Bancos? - Mówiła głębokim, dźwięcznym głosem.

- Tak. Bancos - potwierdził Decker. - Większość tutejszych terminów architektonicznych pochodzi z hiszpańskiego. Napije się pani czegoś? Kawy? Wody mineralnej?

- Nie, dziękuję. Beth przyglądała się z zainteresowaniem indiańskiemu dywanikowi oraz innym ozdobom z Południowego Zachodu. Zwróciła szczególną uwagę na kilka reprodukcji z pejzażami Nowego Meksyku. Podeszła do nich i nachyliła się w ich stronę.

- Piękne.

- Najbardziej lubię ten obraz, na którym widać spienione katarakty w wąwozie Rio Grande - powiedział Decker. - Ale tutaj niemal każdy pejzaż jest piękny.

- mnie też się podoba. - W jej radosnym głosie zabrzmiała dziwna nuta melancholii. - Nawet na reprodukcji idealnie widać delikatne pociągnięcia pędzla.

- Tak? Zna się pani na malarstwie?

- Próbowałam się go nauczyć przez większą część życia, ale nie jestem pewna, czy kiedykolwiek mi się to uda.

- Cóż, jeśli jest pani artystką, to Santa Fe wydaje się odpowiednim miejscem dla pani.

- Kiedy tylko przyjechałam, zauważyłam, że jest tutaj jakieś szczególne światło. - Beth potrząsnęła głową tak, jakby chciała dać do zrozumienia, że nie ceni siebie jako malarki. - Nie uważam się za artystkę. „Malarstwo robocze” byłoby lepszym określeniem.

- Kiedy pani tu przyjechała?

- Wczoraj.

- Skoro jednak chce pani kupić nieruchomość, domyślam się, że była już tu pani wcześniej.

- Nigdy. Decker poczuł jakąś iskrę. Starał się nie dać poznać po sobie, ale przypomniał sobie swoje własne doświadczenia, kiedy przyjechał do Santa Fe, i wyprostował się na krześle.

- Po jednym dniu pobytu na tyle się pani tutaj spodobało, iż jest pani zainteresowana kupnem nieruchomości?

- Bardziej niż zainteresowana. Wariactwo, co?

- Nie nazwałbym tego w ten sposób. - Decker popatrzył na swoje dłonie. - Znam jeszcze parę osób, które zdecydowały się tutaj osiedlić pod wpływem impulsu. - Znowu popatrzył na nią i uśmiechnął się. - Santa Fe sprawia, że ludzie zachowują się zupełnie nieoczekiwanie.

- Właśnie dlatego chcę tutaj mieszkać.

- Proszę mi wierzyć, rozumiem to. Nie wypełniłbym jednak sumiennie swojego obowiązku, gdybym nie ostrzegł, aby nie postępowała pani pochopnie. Proszę obejrzeć różne nieruchomości i zostawić miejsce na oddech, zanim podpiszemy dokumenty. Beth, zdziwiona, zmrużyła oczy.

- Nigdy bym nie przypuszczała, że pośrednik handlu nieruchomościami będzie mi doradzał, żebym czegoś nie kupowała.

- Z przyjemnością sprzedam każdemu dom - powiedział Decker - ale skoro jest pani tutaj po raz pierwszy, może byłoby lepiej coś wynająć, żeby się upewnić, czy Santa Fe to naprawdę odpowiednie miejsce. Niektórzy przeprowadzają się tutaj z Los Angeles i nie mogą znieść powolnego tempa życia. Chcą przekształcić miasto w taki sposób, żeby odpowiadało ich nerwowej energii.

- Nie przyjechałam z Los Angeles - odparła Beth - a ostatnio moje życie układało się w taki sposób, że powolne tempo brzmi dla mnie bardzo zachęcająco. Decker zastanowił się nad jej ostatnimi słowami. Postanowił poczekać, zanim dowie się czegoś więcej.

- Niezbyt natarczywy pośrednik - powiedziała Beth. - To mi się podoba.

- Ja się określam mianem „uszcześliwacza”. Nie tyle usiłuję sprzedawać nieruchomości, ile uszcześliwić klienta. Nie chciałbym, żeby za rok musiała pani żałować swojej decyzji, niezależnie czy zdecyduje się pani na kupno, czy też nie.

- No to trafiłam w dobre ręce. - Jej niebieskoszare oczy, Decker nigdy nie widział takich oczu, wyjaśniały. - Chciałabym jak najszybciej zacząć oględziny.

- Do drugiej jestem zajęty. Czy to będzie wystarczająco szybko?

- Nie zaspokoi pan natychmiast moich wymagań? - Zaśmiała się lekko. Ten śmiech przywiódł Deckerowi na myśl dzwonki, które wieszają się na wietrze, ale wyczuł w jego dźwięku jakiś smutek. - W takim razie chyba będzie musiała pozostać druga.

- W tym czasie, gdyby pani zechciała mi powiedzieć, jaki to ma być przedział cenowy... jak mam się do pani zwracać? Panno Dwyer? Beth? Czy...? - Decker spojrzał na jej lewą dłoń. Nie zauważył obrączki. Ale to nie zawsze coś znaczyło.

- Nie jestem zameżna. Decker skinął głową.

- Może pan się zwracać do mnie po imieniu. Decker znowu skinął głową.

- Świetnie, Beth. - Coś ścisnęło go za gardło.

- A jeśli chodzi o przedział cenowy, to między sześćset a osiemset tysięcy. Decker zmobilizował się podświadomie, nie spodziewając się takiej wysokiej kwoty. Na ogół, kiedy zjawiali się potencjalni klienci, zainteresowani domami o cenach zbliżających się do miliona, mieli do niego taki stosunek, jakby mu oddawali ogromną przysługę. Dla kontrastu Beth była naturalna i bezpretensjonalna.

- Mamy kilka świetnych nieruchomości w tej cenie - powiedział Decker. - Do drugiej jest trochę czasu, możesz więc sobie przejrzeć ten wykaz. Są w nim ujęte ceny i opisy. - Zdecydował się wyciągnąć od niej więcej informacji. - Będziesz pewnie chciała je przedyskutować z osobą, która ci towarzyszy w przenosinach do naszego miasta. Nie ma przeszkód, żebyś przyjechała na oględziny z przyjacielem.

- Nie. Będziemy tylko we dwójkę.

- Jak sobie rzyczysz.

- Jestem sama.

- Cóż, Santa Fe to dobre miejsce, żeby być samemu i nie czuć się samotnie. Beth zdawała się wpatrywać w coś bardzo odległego.

- Właśnie na to liczę. Decker odprowadził Beth do wyjścia z budynku, został przy otwartych drzwiach i patrzył, jak idzie chodnikiem pod arkadami. Miała w sobie grację, z jaką poruszały się sportsmenki, jeśli nie trenowały zbyt dużo. Zanim doszła do rogu, schował się z powrotem do budynku, na wypadek gdyby spojrzała w tę stronę, zmieniając kierunek. Przecież nie chciał, żeby wiedziała, że się jej przypatruje. W odpowiedzi na jej pytanie doradził, że dobrym miejscem na lunch jest Casa Sena, restauracja ze stolikami na zewnątrz, pod majestatycznymi, cienistymi drzewami, w ogrodzie na dziedzińcu należącym do dwupiętrowej latynoskiej posiadłości, pochodzącej z 1860 roku. Zapewnił, że będzie jej tam przyjemnie wśród ptaków, kwiatów i fontann, i żałował teraz, że nie poszedł z nią, zamiast jechać do klienta z ofertą kupna, nad którą pracował, gdy Beth przyszła do biura. Na ogół okazja sfinalizowania kolejnej transakcji kompletnie zdominowałaby myśli Deckera i pochłonęłaby go bez reszty. Ale dzisiaj interesy nie wydawały się aż tak ważne. Przedstawił ofertę i, tak jak się spodziewał, usłyszał, że sprzedający chciałby wykorzystać gwarantowany w niej czas, żeby się nad nią zastanowić, po czym poszedł na kolejne, umówione spotkanie - lunch z członkiem Rady Odnowy Historycznej Architektury Santa Fe. Ledwo spróbował tajitas z kurczakiem. Jakoś udało mu się śledzić wątek rozmowy, ale tak naprawdę rozmyślał o Beth Dwyer, o ich spotkaniu o drugiej i o tym, jak wolno płynie czas. Niezwykle, tęskniąc za nią, pomyślał zaskoczony. W końcu zapłacił za lunch, wrócił do agencji i poczuł, jak opadły z niego emocje, gdy zobaczył, że Beth nie czeka na niego.

- Ta kobieta, która była u mnie dziś rano - spytał recepcjonistkę. Bujne kasztanowe włosy. Dość wysoka. Atrakcyjna. Była tutaj później?

- Niestety, Steve. Rozczarowany ruszył korytarzem. Może weszła, gdy recepcjonistka nie patrzyła, pomyślał. Może czeka na mnie w biurze? Ale nie czekała i podekscytowanie opadło do reszty. Zagłębił się w fotelu za biurkiem i zapytał sam siebie: Co się ze mną dzieje?

Dlaczego pozwalam sobie na takie odczucia? Jakiś ruch ściągnął jego uwagę. W wejściu do gabinetu stała Beth.

- Cześć. - Uśmiechała się tak, jakby to ona tęskniła za nim. Decker poczuł, jak kurczy mu się serce. Jakby ze strachu, pomyślał znowu, a jednocześnie zupełnie inaczej.

- Mam nadzieję, że się nie spóźniłam - powiedziała.

- W samą porę. - Decker miał nadzieję, że zabrzmiało to szczerze. Jak się udał lunch?

- Był jeszcze lepszy, niż wynikało z twojej rekomendacji. Czułam się na tym dziedzińcu, jakbym się znalazła gdzieś za granicą.

- Santa Fe robi na ludziach takie właśnie wrażenie.

- Jak północna Hiszpania albo żyzne części Meksyku zauważyła Beth. - Ale jednocześnie to miasto jest odmienne od nich. Decker przytaknął.

- Gdy przyjechałem tu po raz pierwszy, poznałem kogoś, kto pracował w dziale rezerwacji w hotelu. Powiedział mi, że często dzwonią do niego ludzie ze Wschodniego Wybrzeża i pytają, jakie są przepisy celne, ograniczenia co do ilości towarów wolnocłowych, jaką mogą wywieźć i tym podobne rzeczy. Mówił, że miał problemy z przekonaniem ich, że jeśli są Amerykanami, nie obowiązują ich żadne przepisy celne, że Nowy Meksyk stanowi część Stanów Zjednoczonych. Tym razem śmiech Beth przywiódł mu na myśl szampana.

- Poważnie? Naprawdę sądzili, że to inny kraj?

- Z ręką na sercu. To dobry argument, żeby utrzymać w szkołach średnich naukę geografii. Miałaś okazję przejrzeć wykaz ofert, który ci dałem?

- Tak, zrobiłam to, kiedy tylko przestałam pochłaniać najlepsze enchillady, jakie kiedykolwiek jadłam. Nie mogłam zdecydować, która salsa smakuje mi bardziej - zielona czy czerwona. W końcu je zmieszałam.

- Miejscomi nazywają taką mieszankę „Boże Narodzenie”. - Decker włożył kurtkę i podszedł do Beth. Podobał mu się delikatny aromat mydła o zapachu drzewa sandałowego, jakiego używała. - Jedziemy? Mój samochód stoi z tyłu. Był to jeep cherokee z napędem na cztery koła, niezbędnym zimą albo w czasie wypraw w góry. Decker najbardziej lubił biały kolor, ale gdy rok wcześniej kupował samochód, jego długoletnie doświadczenie agenta wywiadu wzięło górę, przypomniało mu, że ciemny kolor nie rzuca się w oczy, i zmusiło do wyboru ciemnej zieleni. Jakaś jego cząstka chciała się sprzeciwić i miał ochotę kupić białe auto, ale trudno było zerwać ze starymi nawykami. Jechał z Beth na pomoc Bishop's Lodge Road i wskazał na prawo, nad niskimi krzakami i skąpanymi w słońcu glinianymi domami, w stronę gór Sangre de Cristo.

- Pierwszą rzeczą, jaką powinnaś wiedzieć, to że ceny tutejszych posiadłości w dużej mierze wynikają z jakości widoków górskich. Część najdroższych domów znajduje się tutaj, na wschodzie, w pobliżu Sangre de Cristo. Stąd jest też dobry widok na góry Jemez, na zachodzie. W nocy widać światła Los Alamos. Beth spojrzała w stronę podnóża gór.

- Jestem pewna, że stamtąd też są piękne widoki.

-- Obawiam się, że to zabrzmi trochę jak morał, ale uważam, że nie powinno się tam wznosić domów - stwierdził Decker. - Zakłócają piękno gór. Ludzie, którzy tam mieszkają, mają wspaniały widok kosztem pozostałych mieszkańców. Zaintrygowana Beth zwróciła wzrok w stronę Deckera.

- Mam rozumieć, że właściwie zniechęcasz klientów do kupowania domów na wzgórzach? Decker wzruszył ramionami.

- Nawet jeśli ucieka ci okazja sfinalizowania sprzedaży? Decker znowu wzruszył ramionami.

- ...Zaczynam cię lubić coraz bardziej. Decker zawiózł ją do domów, które wydały jej się atrakcyjne na podstawie wykazu: jednego w pobliżu Bishop's Lodge, dwóch po drodze do kotliny narciarskiej, dwóch przy Acequia Mądre.

- Ta nazwa oznacza „Kanałmatkę” - wyjaśnił. - Odnosi się do tego strumienia, który płynie wzdłuż ulicy. Stanowi część systemu nawadniania, przekopanego kilkaset lat temu.

- Dlatego drzewa są takie wysokie. - Beth rozejrzała się zachwycona. Piękna okolica. Ale nie ma ideałów. Jakie są kiepskie strony mieszkania tutaj?

- Małe działki i obostrzenia dotyczące modernizacji budowli historycznych. Bardzo duży ruch.

- Szkoda. - Jej entuzjazm zmalął. - W takim razie szukajmy dalej.

- Jest prawie piąta. Na pewno nie jesteś zmęczona? Może zakończymy już na dzisiaj?

- Nie jestem zmęczona, jeśli ty możesz dalej mi towarzyszyć. Do diaska, pomyślał Decker, jeśli chcesz, mogę z tobą jeździć nawet do północy. Zawiózł ją do innej dzielnicy.

- Ja mieszkam niedaleko stąd. Na wschodnim krańcu miasta. Blisko linii wzniesień przedgórza. Najbliższe większe wzniesienia nazywają się Słońce i Księżyc. Powinnaś posłuchać, jak kojoty wyją do nich w nocy.

- Chciałabym.

- To jest moja ulica. Beth wskazała na tabliczkę na rogu.

- Camino Lindo. Jak to przetłumaczyć?

- „Piękna droga”.

- Bo taka jest. Domy są wtopione w krajobraz. Duże działki.

- A to mój dom, tam, na prawo. Gdy go mijali, Beth pochyliła się i odwróciła głowę.

- Jestem pod wrażeniem.

- Dzięki.

- I jestem zazdrosna. Szkoda, że twój dom nie jest na sprzedaż.

- Włożyłem w niego masę pracy. Ale agencja może ci sprzedać sąsiedni dom. Przeszli zwirowanym podjazdem, obok sięgających do pasa roślin, które tak zaintrygowały Deckera, gdy przyjechał do Santa Fe. Rzeczywiście była to jakaś odmiana bylicy, jak się dowiedział, i bardzo spodobała mu się jej łacińska nazwa artemisia, której tu używano. Atrakcyjny dom był podobny do domu Deckera - rozłożysty, jednokondygnacyjny, z glinianej cegły, z murem okalającym dziedziniec.

- Ile kosztuje? - spytała Beth.

- Siedemset tysięcy. Beth nie zareagowała.

- Wprowadzono w nim wiele ulepszeń. Ogrzewanie podłogowe. Okna z tyłu, akumulujące promienie słoneczne. Beth skinęła milcząco, jakby nie trzeba było usprawiedliwiać ceny.

- Jak duża jest działka?

- Taka jak moja. Dwa akry. Spojrzała w jedną i w drugą stronę.

- Nawet nie widać sąsiadów.

- Sąsiedzi w tym wypadku to ja. Popatrzyła na niego dziwnie.

- O co chodzi? - spytał Decker.

- Chyba chciałabym mieszkać obok ciebie. Decker poczuł, że się rumieni.

- Sądzisz, że właściciel nie miałby nam za złe, gdybyśmy mu zakłócili spokój o tej porze?

- Z tym nie ma problemu. Starszy pan, który tutaj mieszkał, miał atak serca.

Przeprowadził się do Bostonu, gdzie ma krewnych. Zależy mu na szybkiej sprzedaży. Decker pokazał jej frontowy dziedziniec z pustynnymi kwiatami i krzewami, przyduszonymi lipcowym upałem. Otworzył rzeźbione drzwi frontowe, wszedł do chłodnego przedpokoju i wskazał ręką korytarz, który wiódł prosto do obszernych pokoi.

- Dom wciąż jest umeblowany. Terakota na podłodze. Na wszystkich sufitach vigi i latiiiie.

- Wgi i...?

- Duże belki i mniejsze, poprzeczne - to najbardziej popularny rodzaj stropu w Santa Fe. Wiele banco i kominków kiva. W trzech łazienkach kolorowe meksykańskie kafelki.

Przestronna kuchnia. Pośrodku bufet i zlew. Piec konwekcyjny. Świetliki i... - Decker przerwał, gdyż zdał sobie sprawę, że Beth nie słucha. Oczarował ją górski widok z okna salonu.

- Może skończę to wyliczanie. Nie spiesz się i rozejrzyj dokładnie. Beth spacerowała

powoli, patrząc tu i tam, oceniając każdy pokój, kiwając głową. Decker szedł za nią i znowu poczuł się skrępowany - nie było w tym nic z niepewności czy nieśmiałości, tylko skrępowanie dotykiem dzinsów i kurtki, powietrzem ogarniającym mu dłonie i policzki. Poczuł, że istnieje fizycznie, że Beth jest obok i że są sami. Nagle uświadomił sobie, że Beth mówi do niego.

- Słucham? Przepraszam. Nie zrozumiałem - powiedział Decker. - Zamyśliłem się przez chwilę.

- Czy w cenę wliczone jest umeblowanie?

- Tak.

- Kupuję. Decker i Beth tręcili się kieliszkami.

- Ten dom jest cudowny. Nie mogę uwierzyć, że właściciel tak szybko przystał na moją propozycję. - Beth dla uczczenia tej chwili napiła się łyk swojej margarity. Na górnej wardze pozostało jej nieco piany i soli. Zlizła je. - To jest jak sen. Siedzieli przy stoliku, przy oknie, na piętrze latynoskiej restauracji Garduno's. Miejsce było ozdobione w taki sposób, żeby przypominało hiszpańską hacjendę. W tle, po sali chodziła kapela mariaci i przygrywała rozentuzjzowanym gościom. Beth nie wiedziała, gdzie najpierw patrzeć; za okno, na jedną z malowniczych ulic Santa Fe, na kapelę, na drinka czy na Deckera. Pociągnęła jeszcze łyk.

- Jak sen. W głębi sali klienci klaskali gitarzystom i trębaczom. Beth uśmiechnęła się i wyjrzała przez okno. Gdy spojrzała z powrotem na Deckera, już się nie uśmiechała. Miała smutny wyraz twarzy.

- Dziękuję.

- Nie zrobiłem wiele. Jedynie cię obwiozłem i...

- Sprawileś, że poczułam się pewniej. Że się odprężyłam. - Beth zaskoczyła go, gdy ponad stołem dotknęła jego dłoni. - Nie masz pojęcia, ile ta decyzja wymagała odwagi. Uwielbiał gładkość jej dłoni.

- Odwagi?

- Pewnie się zastanawiałeś, skąd wzięłam siedemset tysięcy dolarów, żeby zapłacić za dom.

- Nie jestem wścibski. Jeśli ufam, że klienta na to stać... - nie dokończył zdania.

- Powiedziałam ci, że jestem malarką, i naprawdę z tego się utrzymuję. Ale... powiedziałam ci też, że nie jestem zamężna. Decker zeszywniał.

- Byłam. Decker słuchał zażenowany.

- Kupuję ten dom za pieniądze z... Pieniądze z alimentów, pomyślał.

- ...polisy na życie dokończyła Beth. - Mój mąż zmarł sześć i pół miesiąca temu. Decker odstawił szklankę i przyjrzał się Beth dokładnie. Zauroczenie ustąpiło miejsca współczuciu.

- Przykro mi"

- To jest chyba jedyny komentarz, który cokolwiek znaczy.

- Co się stało?

- Rak. - Słowa więzły Beth w gardle. Wypiła jeszcze trochę drinka i spojrzała na kieliszek. - Ray miał znamie, z tyłu na szyi. Decker czekał.

- Zeszłego lata znamie zmieniło kształt i kolor, ale Ray nie chciał iść do lekarza. Znamie zaczęło krwawić. Okazało się, że to najgorszy rodzaj nowotworu skóry - czerniak. Decker nadal czekał. Beth mówiła zdławionym głosem:

- Wycięli Rayowi to znamie, ale nie na tyle wcześnie, żeby powstrzymać przerzuty... Naświetlania i chemioterapia nie pomogły... Zmarł w styczniu. Kapela mariaci zbliżyła się do ich stolika i muzyka grała tak głośno, że Decker ledwo słyszał, co Beth mówi. Zniecierpliwiony odprawił kapelę gestem dłoni. Muzykanci zauważyli srogi wyraz oczu Deckera i zastosowali się do jego życzenia.

- Tak to wyglądało - powiedziała Beth. - Byłam zagubiona. Wciąż jestem. Mieliśmy dom koło Nowego Jorku, w okręgu Westchester. Nie mogłam tam dłużej mieszkać. Wszystko

wokół przypominało mi Raya, to co straciłam. Ludzie, których uważałam za przyjaciół, nie bardzo wiedzieli, jak ustosunkować się do mojego smutku, i odsunęli się. Wydawało mi się, że nie można być już bardziej samotnym. - Spojrzała na swoje dłonie. - Kilka dni temu byłam u swojego psychoanalityka i w poczekalni zwróciłam uwagę na czasopismo krajoznawcze. Chyba było to Conde Nast Traveller. Według niego Santa Fe to jedna z najpopularniejszych miejscowości turystycznych na świecie. Spodobały mi się zdjęcia i opis miasta. Pod wpływem impulsu... - zamilkła. Do stolika podeszła kolorowo ubrana kelnerka.

- Czy są państwo gotowi do złożenia zamówienia?

- Nie - odparła Beth. - Chyba straciłam apetyt.

- Potrzebujemy jeszcze chwilę - powiedział Decker. Odczekał, aż kelnerka znalazła się poza zasięgiem ich głosów. - Sam podjąłem kilka decyzji pod wpływem chwilowego impulsu. Właściwie przyjazd do Santa Fe był jedną z nich.

- I była to dobra decyzja?

- Lepsza niż się spodziewałem.

- Boże, mam nadzieję, że też będę mogła to powiedzieć. - Beth przesunęła palcem po stopce kieliszka.

- Jak zareagował twój psychoanalityk na tę nieoczekiwaną decyzję?

- Nie powiedziałam mu. Nie poszłam na wizytę. Odłożyłam czasopismo i wróciłam do domu, żeby się spakować. Kupiłam bilet w jedną stronę do Santa Fe. Decker próbował nie wpatrywać się w nią zanadto, zdumiony jak podobne były ich doświadczenia.

- Nie żałuję - powiedziała Beth stanowczym głosem. - Przyszłość nie może okazać się gorsza niż miniony rok. Decker zaparkował swojego jeepa cherokee na podjeździe za domem. Wysiadł i już miał zapalić światło, żeby bez trudności otworzyć tylne drzwi, ale zrezygnował i oparł się na metalowej barierce, patrząc w gwiazdy. Ulice w tej części miasta nie były oświetlone. Większość okolicznych mieszkańców wcześniej chodziła spać. Czyste i przejrzyste powietrze sprawiało, że nad drzewkami piniowymi dało się obserwować niezwykle jasne gwiazdozbiory. Zaczął wschodzić księżyc w trzeciej kwadrze. Powietrze było słodkie i chłodne. Jaka piękna noc, pomyślał. U podnóża gór wyły kojoty. Decker uświadomił sobie, że wspomniął o nich wcześniej Beth, i zapragnął, żeby była przy nim i żeby słuchali ich razem. Wciąż czuł dotyk jej dłoni. Podczas obiadu udało im się unikać przygnębiających tematów. Gdy odprowadzał Beth kawalek do hotelu Inn of the Anasazi, starała się być radosna. Przy wejściu uścisnęli sobie dłonie. Teraz, patrząc nadal w gwiazdy, Decker wyobrażał sobie, jak by to było, gdyby odwiózł ją z restauracji. Minęliby ciemne galerie na Canyon Road, mury odgradzające ogrody domów na Camino del Monte Soi i w końcu przyjechaliby na Camino Lindo, do domu sąsiadującego z jego posiadłością. Poczul pustkę w piersi. Naprawdę źle z tobą, pomyślał. Cóż, od bardzo dawna się nie zakochałem. Ze zdziwieniem uprzytomnił sobie, że ostatni raz czuł się tak, gdy nie miał jeszcze dwudziestu lat, przed wstąpieniem do wojska. Jakże często sobie powtarzał, że wojskowe misje specjalne i późniejsza kariera jako agenta wywiadu nie sprzyjały romantycznym związkom. Od przyjazdu do Santa Fe umawiał się z kilkoma kobietami - nic poważnego; po prostu niezobowiązujące, przyjemne wieczory. W jednym z tych związków w grę wchodził seks, jednak nie wyniknęło z tego nic trwałego. Lubił bardzo tę kobietę, ale doszedł do wniosku, że nie chce spędzić z nią reszty życia. To uczucie najwyraźniej było wzajemne. Kobieta, pośredniczka z innej agencji handlu nieruchomościami, spotykała się obecnie z kimś innym. Ale uczucie, które teraz ogarnęło Deckera, tak różniło się od wszystkich innych, że aż go zaniepokoiło. Przypomniawszy sobie, że starożytni filozofowie nazywali miłość chorobą, niezrównoważonym stanem umysłu i ducha. I tak właśnie jest, pomyślał. Ale jak to możliwe, do licha, żeby stało się to tak szybko? Zawsze sądziłem, że miłość od pierwszego wejrzenia to mit. Kiedyś czytał o delikatnych, seksualnych sygnałach chemicznych, zwanych feromonami, które wydawały zwierzęta i ludzie. Nie czuło się ich. Wychwytywało się je raczej nieświadomie. Odpowiednia osoba mogła wydawać feromony, które potrafiły

doprowadzić kogoś do szaleństwa. Decker pomyślał, że w jego wypadku ta odpowiednia osoba jest niezwykle piękna i wydziela feromony, które idealnie mu odpowiadają. No więc, co zrobisz? - zapytał siebie. Oczywiście ta sytuacja nastrecza problemy. Została wdową niedawno. Jeśli zaczniesz bawić się w romantycznego kochanka, poczuje się zagrożona. Odrzuci cię za to, że spróbujesz zniszczyć jej lojalność w stosunku do zmarłego męża. Wtedy nie będzie to miało znaczenia, czy mieszka po sąsiedzku - potraktuje cię, jakbyś mieszkał w innym stanie. Posuwaj się codziennie po troszeczkę, powiedział do siebie. Nie uczynisz fałszywych kroków, jeśli będziesz postępował jak jej oddany przyjaciel.

- Steve, ktoś do ciebie - powiedziała sekretarka przez interkom.

- Już idę.

- Nie trzeba. - Deckera zaskoczyło, że w interkomie zabrzmiał inny kobiecy głos, którego zmysłowe brzmienie natychmiast rozpoznał. - Znam drogę. Decker wstał z przyspieszonym biciem serca. Kilka sekund później Beth weszła do gabinetu. Jej dzisiejszy strój był zupełnie odmienny od wczorajszego ciemnego kostiumu. W płóciennych spodniach i pasującym do nich beżowym żakiecie, który podkreślał kolor jej kasztanowych włosów, wyglądała jeszcze piękniej.

- Jak się miewasz? - spytał Decker.

- Jestem podekscytowana. Dzisiaj się wprowadzam. Decker nie zrozumiał, o czym Beth mówi.

- Wczoraj wieczorem doszłam do wniosku, że nie mogę dłużej czekać, aby się tam wprowadzić - powiedziała Beth. - Dom jest już umeblowany. To wstyd, żeby stał pusty. Więc zadzwoniłam do właściciela i spytałam, czy mogłabym wynająć dom do czasu, aż zostaną przygotowane wszystkie dokumenty i będę go mogła kupić.

- I zgodził się?

- Był przemity. Powiedział, że klucz mogę dostać od ciebie.

- Oczywiście, że możesz. Nawet cię tam zawiozę. Na ruchliwej ulicy przed biurem Decker otworzył jej drzwi jeepa.

- Przewracałam się w łóżku przez całą noc i zastanawiałam się, czy dobrze robię - powiedziała Beth.

- Dokładnie jak ja, gdy przyjechałem do tego miasta.

- I jak sobie z tym poradziłeś?

- Zapytałem siebie, jaki mam inny wybór.

- I co?

- Nie miałem - odparł Decker. - Przynajmniej nie taki, który nie oznaczałby poddania się temu, co mnie wykańczało.

- Znam to uczucie - stwierdziła patrząc mu w oczy. Gdy Decker wsiadał do samochodu, spojrzął na drugą stronę ulicy i poczuł, jak coś w nim się napięło. Zauważył pośród tłumu spacerujących turystów stojącego nieruchomo mężczyznę i natychmiast jego instynkt obronny został postawiony w stan gotowości. W Deckerze obudziły się podejrzenia, ponieważ mężczyzna ten przyglądał mu się, ale odwrócił się natychmiast, gdy Decker spojrzął w jego kierunku. Teraz człowiek ten stał plecami do ulicy udając, że interesuje go wystawa z biżuterią, wzrok jednak miał skierowany raczej przed siebie, a nie w dół, co wskazywało, że naprawdę przygląda się odbiciu w szybie. Decker spojrzął w lusterko wsteczne i zauważył, że gdy odjeżdżał, mężczyzna patrzył w jego stronę. Włosy średniej długości, przeciętny wzrost i waga, po trzydziestce, nie rzucające się w oczy rysy twarzy, stonowane barwy. Decker wiedział z doświadczenia, że tego rodzaju anonimowość nie jest przypadkowa. Jediną charakterystyczną cechą tego mężczyzny były jego szerokie barki, których nie skrywała nawet luźna koszula. Nie był turystą. Decker zmarszczył brwi. Więc znowu mnie sprawdzają? - zadał sobie pytanie. Zdecydowali się mnie śledzić, żeby

sprawdzić, jak się zachowuję; czy rozrabiam, czy też jestem grzeczny. Czy stanowią jakieś zagrożenie? Beth mówiła coś o operze. Decker spróbował nadgonić temat.

- Tak?

- Bardzo ją lubię.

- Ja jestem fanatykiem jazzu.

- Więc nie chcesz iść? Słyszałam, że opera w Santa Fe jest jedną z najlepszych. Do Deckera w końcu dotarło, o czym Beth mówi.

- Zapraszasz mnie do teatru? Beth zachichotała.

- Wczoraj jakoś łapałeś szybciej.

- Jaka to opera?

- Tosca.

- Niech będzie - zgodził się Decker. - Dlatego, że to Puccini. Gdyby to był Wagner, tobym nie poszedł.

- Bystry chłopak. Decker przybrał rozbawiony wyraz twarzy i skręcając za róg spojrzął w lustro, żeby sprawdzić, czy ktoś go nie śledzi. Nie zauważył nic niezwykłego. Może ten facet wcale mu się nie przyglądał. Bzdura.

Jechali do opery krętą drogą za sznurem samochodów pnących się w górę. Zachód słońca zaczynał ciemnieć, więc wszyscy włączyli światła.

- Jaka piękna okolica. - Beth przyglądała się niskim, ciemnym, porośniętym piniami wzgórzom po obydwu stronach samochodu. Była jeszcze bardziej oczarowana, gdy dotarli do szczytu stromizny, zaparkowali samochód w świetle zmierzchu i poszli do amfiteatru wbudowanego w tylną ścianę urwiska. Zadziwił ją wygląd otaczających ich ludzi.

- Nie wiem, czy jestem ubrana za bardzo, czy za mało elegancko. Miała na sobie koronkowy szal narzucony na czarną sukienkę z cienkimi ramiączkami i perłowy naszyjnik.

- Niektórzy ubrani są w smokingi i w suknie wieczorowe. Ale niektórzy wyglądają, jakby wybrali się na wyprawę kempingową: w traperkach, džinsach, wełnianych koszulach. Tamta kobieta ma plecak i wiatrówkę. Nie bardzo wiem, co tu się dzieje. Czy wszyscy idziemy w to samo miejsce? Decker, ubrany w sportową marynarkę i bawełniane spodnie, roześmiał się.

- Amfiteatr nie ma bocznych ścian i dach również jest otwarty. Gdy słońce zachodzi, na pustyni robi się chłodno. Czasami temperatura spada aż do siedmiu stopni Celsjusza. Jeśli zerwie się wiatr, to ta dama w wieczorowej sukni będzie bardzo żałowała, że nie ma wspomnianej przez ciebie wiatrówki. W czasie przerwy wiele osób będzie kupowało koce na stoisku. Dlatego niosę pod pachą tę narzutkę. Może nam się przydać. Oddali bilety, przeszli przez otwarte foyer i zgodnie ze wskazówkami biletera, wmieszali się w tłum zdążający na górę, do rzędu szerokich drewnianych drzwi, które prowadziły do rozmaitych sektorów miejsc na balkonie.

- To nasze wejście - powiedział Decker. Przepuścił Beth przodem i gdy wchodziła, wykorzystał ten naturalnie zaaranżowany moment, żeby spojrzeć przez ramię i zlustrować foyer poniżej. Czy wciąż go obserwowano? Z pewnym rozgoryczeniem zdał sobie sprawę, że to nawrót starych nawyków. Dlaczego go to obchodziło? Ich zabiegi niczego nie dadzą. O jaką szkodliwą działalność w operze mógł podejrzewać Deckera jego dawny pracodawca? Podjęte środki ostrożności nie przyniosły rezultatów. Poniżej nie zauważył nikogo, kogo bardziej interesowałaby osoba Deckera, niż dostanie się do opery. Decker usiadł z Beth po prawej stronie balkonu, pilnując, by nie zdradzić się przed nią swoim zatroskaniem. Zauważył, że nie mają najlepszych miejsc w teatrze, ale z całą pewnością nie mogą narzekać. Przede wszystkim ten fragment amfiteatru nie znajdował się pod gołym niebem, więc mieli częściowo widok na gwiazdy przez otwartą przestrzeń nad środkowymi miejscami, a jednocześnie nie byli tak bardzo narażeni na chłodne, nocne powietrze.

- Tam jest otwarta przestrzeń pośrodku zadaszenia - stwierdziła Beth. - Co się dzieje, jeśli pada? Czy wstrzymują spektakl?

- Nie. Śpiewacy są osłonięci.
- A co z publicznością na środkowych miejscach?
- Moknie.
- To jest coraz dziwniejsze.
- To nie wszystko. W przyszłym roku będziesz musiała pójść na otwarcie sezonu operowego, na początku lipca. Publiczność urządza imprezę na parkingu przed teatrem.
- Imprezę na parkingu? Tak jak na meczach futbolowych?
- Tak, tylko tutaj piją szampana i są ubrani w smokingi. Beth wybuchnęła śmiechem. Jej wesołość była zaraźliwa. Decker z zadowoleniem zauważył, że przestał się przejmować swoimi obserwatorami; że śmieje się razem z nią. Przygasły światła. Rozpoczęła się Tosca. Był to dobry spektakl. Gdy pierwszy akt dobiegł końca, Decker klaskał zapamiętale. Jednak kiedy spojrzął na niższy poziom, w stronę bufetu po lewej stronie od środkowych miejsc, zamarł nagle.
- Co się stało? - spytała Beth. Decker nie odpowiedział. Wpatrywał się w okolice bufetu.
- Steve? Decker poczuł ucisk za uszami i odpowiedział w końcu:
- Dlaczego sądzisz, że coś się stało?
- Po twoim wyrazie twarzy. Jakbyś zobaczył ducha.
- Nie ducha. Człowieka z branży, który zerwał umowę. - Decker zauważył mężczyznę, który obserwował go wcześniej. Mężczyzna, ubrany w nie rzucającą się w oczy, sportową marynarkę, stał na dole, obok bufetu i patrzył w stronę Deckera. Chce sprawdzić, czy tu zostanie, czy też wyjdę na zewnątrz, pomyślał Decker. Jeśli wyjdę, pewnie w klapie marynarki ma mikrofon i będzie mógł przekazać partnerowi wyposażonemu w słuchawkę, że idę w jego stronę.
- Zapomnijmy o nim. Nie chcę, żeby popsuł nam wieczór - odezwał się do Beth. - Chodź, napijesz się gorącej czekolady? Opuścili miejsca i zeszli schodami do zatłoczonego foyer. Decker, prowadząc Beth na lewą stronę teatru, w kierunku bufetu, przy którym widział podejrzanego mężczyznę, nie był w stanie wykrzyć, kto jeszcze może go obserwować. Mężczyzny przy bufecie już nie było. W czasie przerwy Deckerowi udało się podtrzymać towarzyską rozmowę i w końcu zaprowadził Beth z powrotem na miejsce. Nie dawała po sobie poznać, że wyczuwa jego napięcie. Gdy rozpoczął się drugi akt Toski, Decker na jakiś czas pozbył się ciężaru odpowiedzialności za udany wieczór Beth i mógł teraz w pełni skoncentrować swoją uwagę na tym, co się, do diabła, działo. - Pomyślał, że z pewnego punktu widzenia cała ta sytuacja ma jakiś sens - CIA wciąż była zaniepokojona jego impulsywną reakcją na katastrofalną misję w Rzymie i chciała się upewnić, że nie daje upustu swojemu rozgoryczeniu poprzez znalezienie jakiegoś sposobu, żeby ich zdradzić, sprzedać informacje o tajnych operacjach. Jedną z oznak, czy ktoś mu płaci za informacje, mogło być porównanie, czy nie wydaje więcej pieniędzy, niż zarabia. W porządku, pomyślał Decker. Oczekiwałem, że się mną ponownie zainteresują. Ale z pewnością zrobiliby to wcześniej i na odległość, kontrolując moje transakcje w handlu nieruchomościami, rachunki akcyjne i stan moich oszczędności w banku. Dlaczego po upływie ponad roku tak bacznie mnie obserwują? I to w operze, na miłość boską. Decker zmrużył w ciemności oczy, wpatrując się w misternie zdobione dekoracje imitujące dziewiętnastowieczne Wiochy. Był tak pochłonięty myślami, że ledwo słyszał płynącą muzykę Pucciniego. Nie mogąc oprzeć się instynktowi, odwrócił głowę i przyglądał się skrytemu w mroku bufetowi, gdzie ostatnio widział człowieka, który go obserwował. Deckerowi zeszywniały mięśnie karku. Mężczyzna znowu się tam pojawił i nie mogło być mowy o pomyłce co do jego intencji. Obserwator nie zwracał uwagi na operę, tylko patrzył do góry, w stronę Deckera. Najwyraźniej mężczyzna doszedł do wniosku, że nie został zauważony i że cienie, które go otaczają, stanowią wystarczającą osłonę, żeby pozostać niewidocznym. Nie zdawał sobie sprawy, że w jego stronę padają światła ze sceny. Następnie Decker zareagował na coś, co postawiło jego system nerwowy w stan absolutnego alarmu. Nie spostrzegł ducha, ale pojawienie się

drugiego mężczyzny było tak szokujące, tak zaskakujące, tak nieprawdopodobne, że wywarło na nim piorunujące wrażenie. Drugi obserwator wyłonił się z cienia, stanął obok pierwszego i o czymś z nim dyskutował. Decker wmawiał sobie, że to musi być pomyłka, że to przywidzenie z powodu znacznej odległości. To, że ten mężczyzna miał około trzydziestu lat, krótkie blond włosy, lekką nadwagę, potężne ramiona i wyraziste, kwadratowe rysy twarzy, o niczym nie świadczyło. Wielu ludzi tak wygląda. Decker widział wielu zawodników drużyn futbolowych ligi uniwersyteckiej, którzy... Blondyn gestykulował gwałtownie prawą ręką, żeby podkreślić coś, co mówił do drugiego mężczyzny, i Decker poczuł ucisk na żołądku, gdyż zdał sobie sprawę, iż jego podejrzenia są absolutnie pewne. Ten blondyn na dole był człowiekiem odpowiedzialnym za śmierć dwudziestu trzech Amerykanów w Rzymie. To z jego powodu Decker odszedł z CIA. Agentem nadzorującym obserwację Deckera był Brian McKittrick.

- Przepraszam. - Decker odezwał się do Beth. - Muszę iść do toalety. Przepchnął się obok pary siedzącej obok niego i zniknął w ciemnościach. Gdy znalazł się na opustoszałym balkonie, natychmiast rzucił się biegiem. Jednocześnie lustrował oświetloną przez księżyc przestrzeń poniżej, ale nie dostrzegł we foyer nikogo z drużyny obserwacyjnej. Nie było czasu na dokładność. Znowu ogarnął go gniew, jaki odczuwał w Rzymie. Chciał dopaść McKittricka, przycisnąć go do ściany i zażądać wyjaśnień, co tu się dzieje. Gdy biegł wzdłuż ściany budynku opery, męczeńska muzyka rozbrzmiewała w pustynnej nocy. Decker liczył, że zagłuszy jego spieszne kroki na betonowych stopniach. Nagle ostrożność wzięła górę. Zwolnił. Trzymając się blisko ściany, przekradł się obok toalet i wpatrywał się w cienie koło bufetu; ostatnie miejsce, gdzie widział McKittricka. Nie było tam nikogo. Jak mogłem ich nie zauważyć? - pomyślał. Gdyby ruszyli wzdłuż ściany opery, wpadlibyśmy na siebie. Chyba że mieli miejsca w amfiteatrze, uświadomił sobie Decker. Albo usłyszeli, że się zbliżam, i się ukryli. Gdzie? W toalecie? Za bufetem? Za murem, który odgradza amfiteatr od pustyni? Mimo muzyki grzmiącej z amfiteatru, usłyszał jakieś odgłosy za spowitymi nocą piniami po drugiej stronie muru. Czy McKittrick i ten drugi obserwują mnie stamtąd? Po raz pierwszy Decker poczuł się zagrożony. Ukucnął tak, żeby się skryć za niskim murkiem. Przyszło mu do głowy, żeby przeskoczyć przez ściankę i pognać za tymi odgłosami. Natychmiast jednak pomyślał, że za murkiem panuje głębsza ciemność i byłoby to dla niego taktycznie niekorzystne, a odgłos jego kroków ostrzegłby McKittricka. Jedynym rozwiązaniem było popędzić chodnikiem obok amfiteatru i czekać z przodu, aż McKittrick i jego partner wyłonią się z pustyni. A może po prostu pójdą na parking i odjadą? A może te szmery to odgłosy łap dzikich psów? A może, do diabła, powinienem sobie przestać zadawać pytania i zażądać w końcu jakichś odpowiedzi.

- Decker, czy wiesz, która jest godzina? jęknął jego były przełożony. Telefon Deckera obudził go i mężczyzna mówił zaspanym głosem. - Czy nie mogłeś poczekać z tym do rana zamiast...

- Odpowiedz mi - nalegał Decker. Dzwonił z automatu w mrocznym kącie opustoszałego dziedzińca przed operą. - Dlaczego mnie obserwują?

- Nie wiem, o czym mówisz.

- Dlaczego wasi ludzie mnie obserwują? - Decker ścisnął słuchawkę tak, że zaboląły go kostki. Z teatru rozbrzmiewała huczna muzyka i odbijała się echem wokół.

- Cokolwiek się dzieje, nie mam z tym nic wspólnego. - Jego dawny przełożony miał na imię Edward. Decker przypomniał sobie obwisłe policzki tego sześćdziesięcioletniego mężczyzny, które zawsze czerwieniały mu, gdy był pod wpływem stresu. - Gdzie jesteś?

- Dobrze wiesz, gdzie jestem.

- Wciąż w Santa Fe? Jeśli naprawdę jesteś pod obserwacją...

- Czy sądzisz, że mógłbym się co do tego mylić? - Mimo podniecenia w głosie Decker starał się, żeby jego słowa nie rozbrzmiewały na dziedzińcu, w nadziei że wzmagający się, gniewny śpiew stłumi jego własny gniew.

- Przesadzasz - powiedział Edward zmęczonym głosem po drugiej stronie słuchawki. - To prawdopodobnie jedynie rutynowa kontrola.

- Rutynowa? - Decker wpatrywał się w opustoszały dziedziniec, żeby się upewnić, czy nikt nie nadchodzi. - Myślisz, że częścią rutyny jest to, iż ten dupek, z którym pracowałem trzynaście miesięcy temu, sprawuje nadzór nad zespołem obserwacyjnym?

- Trzynaście miesięcy temu? Mówisz o...?

- Czy mam ci to opisać dokładniej przez telefon? - spytał Decker. Mówiłem ci wtedy i przypomnę ci jeszcze raz - z mojej strony nie będzie przecieku informacji.

- Ten facet, z którym pracowałeś przed odejściem - on cię obserwuje?

- Ty chyba naprawdę jesteś tym zaskoczony.

- Posłuchaj mnie. - Starzejący się, chrapliwy głos Edwarda stał się głośniejszy, jakby zaczął mówić bliżej słuchawki. - Musisz coś zrozumieć. Ja już tam nie pracuję.

- Co? - Teraz Decker był zaskoczony.

- Sześć miesięcy temu odszedłem na wcześniejszą emeryturę. Deckerowi załomotało w skroniach.

- Zaczęło mi dokuczać serce. Wypadłem z obiegu - powiedział Edward. Decker dostrzegł ruch na balkonie teatru i wyprostował się gwałtownie. Z naprężoną piersią patrzył, jak ktoś przeszedł wzdłuż balkonu i zatrzymał się u podnóża schodów prowadzących do foyer.

- Jestem z tobą absolutnie szczerzy - odezwał się Edward po drugiej stronie słuchawki. - Jeśli obserwuje cię człowiek, z którym pracowałeś w zeszłym roku, nie mam pojęcia, kto mu to zlecił i dlaczego.

- Powiedz im, że żądam, żeby tego zaprzestali! - oznajmił Decker. Osoba na balkonie - była to Beth - zmarszczyła brwi patrząc w jego stronę. Opatulając się szalem, zeszła po schodach. Muzyka wzmagала się coraz bardziej.

- Nie mam już tam żadnych wpływów - odparł Edward. Beth zbliżała się coraz bardziej do Deckera.

- Tylko im powiedz, że mają przestać. Beth podeszła do niego i Decker przerwał połączenie.

- Martwiłam się o ciebie. - Chłodny powiew rozwiewał jej włosy i sprawiał, że drżała. Ciaśniej otuliła się szalem. - Nie wracałeś, więc...

- Przepraszam. Interesy. Naprawdę nie chciałem cię tam zostawiać samej. Beth przyglądała mu się zaskoczona. Śpiew docierający z teatru osiągnął apogeum bólu i desperacji. Beth odwróciła się w tamtą stronę. Deckerowi od kłamstwa wyschły usta. Miał wrażenie, jakby posmakował popiołu.

- Chcesz zostać i wysłuchać do końca, czy wolisz wrócić do domu? zapytała Beth smutnym głosem.

- Do domu? Na Boga, nie. Przyjechałem tu, żeby się z tobą rozerwać.

- Świetnie - odparła Beth. - Cieszę się. Gdy ruszyli z powrotem do teatru, muzyka osiągnęła punkt kulminacyjny. Po krótkiej ciszy wybuchły brawa. Otworzyły się drzwi. Publiczność zaczęła wychodzić na kolejną przerwę.

- Napijesz się jeszcze gorącej czekolady? - spytał Decker.

- Właściwie to teraz mam ochotę na wino.

- Ja również.

Decker odprowadził Beth przez ocienioną nutkę jej domu na wypełniony kwiatami dziedziniec, zatrzymał się pod portalem oświetlonym lampą nad frontowymi drzwiami, którą Beth zostawiła zapaloną. Nadal opatulala się szczerze szalem. Decker nie wiedział, czy to z zimna, czy ze zdenerwowania.

- To nie były żarty, gdy mówiłeś, jak tu się może robić w nocy zimno; nawet w lipcu. - Beth, delektując się, wciągnęła głęboko powietrze. - Co to za zapach unosi się w powietrzu? Pachnie trochę jak szałwia.

- To pewnie zapach krzewów artemisia, które rosną wzdłuż podjazdu. Beth przytaknęła i Decker teraz był już pewien, że jest zdenerwowana.

- Cóż. - Wyciągnęła rękę. - Dziękuję za cudowny wieczór.

- Cała przyjemność po mojej stronie. - Decker uściśnął jej dłoń. I jeszcze raz przepraszam, że zostawiłem cię samą. Beth wzruszyła ramionami.

- Nie obraziłam się. Właściwie to jestem do tego przyzwyczajona. Mój mąż zawsze tak robił. Zawsze przerywał sobie wieczory towarzyskie, żeby odbierać jakieś telefony w interesach albo gdzieś dzwonić.

- Przykro mi, jeśli obudziłem bolesne wspomnienia.

- To nie twoja wina. Nie przejmuj się tym. - Beth spojrzała w dół i podniosła wzrok. - To był dla mnie wielki krok. Wczoraj i dzisiaj wieczorem, pierwszy raz od śmierci Raya... zawahała się ... wyszłam gdzieś z innym mężczyzną,

- Rozumiem.

- Często zastanawiałam się, czy kiedykolwiek się na to zdobędę powiedziała Beth. - Nie chodzi tylko o niezręczność sytuacji, w której umawiam się na randki po dziesięciu latach małżeństwa, ale o coś więcej... Znowu się zawahała. - Castrach, że będzie to nielojalne względem Raya.

- Mimo że nie żyje - dodał Decker. Beth skinęła głową.

- Duch uczucia - stwierdził Decker.

- Właśnie.

- I co? - spytał Decker. - Jak się teraz czujesz?

- Pomijając to, że przypomina mi się, jak byłam zdenerwowaną nastolatką, która przed drzwiami żegnała się ze swoim pierwszym chłopakiem. Beth zachichotała. - Myślę, że... - Spoważniała. - To skomplikowane.

- Na pewno.

- Cieszę się, że to zrobiłam. - Beth wzięła głęboki oddech. - Nie żałuję. Mówię szczerze. Dziękuję za cudowny wieczór. - Wyglądała na zadowoloną. - Wiesz co, zachowałam się nawet na tyle dorośle, że sama podjęłam pierwszy krok. To ja ciebie zaprosiłam. Decker roześmiał się.

- Lubię, kiedy mnie ktoś zaprasza. Jeśli pozwolisz, chciałbym się odwzajemnić.

- Tak - odparła Beth. - Jak przyjdzie czas.

- Jak przyjdzie czas - powtórzył Decker, rozumiejąc, że chodzi jej o zachowanie pewnego dystansu. Beth wyciągnęła z małej torebki klucz i włożyła go do zamka. Kojoty wyły na wzgórzach.

- Dobranoc.

- Dobranoc.

Gdy Decker wrócił do domu, uważnie sprawdził, czy nie jest pod obserwacją. Wszystko wyglądało normalnie. W ciągu następnego paru dni czujnie rozglądał się, czy ktoś go nie śledzi, ale jego wysiłki nie przyniosły efektów. McKittrick i jego zespół nie pokazali się więcej. Może Edward przekazał przesłanie Deckera? Obserwację odwołano.

* * *

Rozdział czwarty

Deckerowi wydawało się, że to nastąpiło powoli, ale gdy się nad tym zastanowił, było to tak szybkie, jakby czas ich ponagłał. W ciągu następnych dni często widywał Beth. Dawał jej rady dotyczące codziennych spraw; gdzie są najlepsze sklepy spożywcze, jak dotrzeć do najbliższej poczty i czy oprócz drogich butików dla turystów wokół placu są jeszcze jakieś inne sklepy z przystępnymi cenami. Decker zabrał Beth na pieszą wycieczkę wzdłuż arroyo, obok uczelni St John, przez osiedle Wildemess Gate, na szczyt góry Atalaya. To, że wytrwała tę trzygodzinną wędrówkę, było miarą, w jak dobrej jest kondycji fizycznej, mimo że jej organizm nie zaaklimatyzował się jeszcze w pełni do wysokości. Decker zabrał ją na ogromny pchli targ, który podczas weekendów odbywał się na placu poniżej opery. Odwiedzili indiańskie domy skalne w parku narodowym Bandelier. Grali w tenisa w klubie tenisowym Sangre de Cristo. Gdy znudziła im się meksykańska kuchnia, chodzili na zawijasy z indyka w sosie, w restauracji Harry's Roadhouse. Często po prostu smażyli kurczaka na grillu u Beth albo u Deckera. Chodzili na zagraniczne filmy do kino-kawiarni Jean Cocteau. Byli na targu indiańskim i na związanej z nim aukcji w Muzeum Wheelwrighta, niedaleko Camino Lindo. Bywali na wyścigach konnych i w kasynie Pojoaque Pueblo. W końcu, w czwartek, pierwszego września, Beth spotkała się z Deckerem w biurze notarialnym Santa Fe, podpisała dokumenty, wręczyła czek i stała się właścicielką domu.

- Uczcijmy to - zaproponowała Beth.

- Zezłosisz się na mnie, ale mam kilka spotkań, na których koniecznie muszę być.

- Niekoniecznie teraz. - Beth trąciła go łokciem. - Kradnę ci cały twój czas, ale przyznaję, że niekiedy musisz zarabiać na życie. Miałam na myśli dzisiejszy wieczór. Mam już dosyć żywienia się białym mięsem bez tłuszczu. Pogrzeszmy trochę i upieczmy na grillu dwa soczyste steki. Upiekę do tego kilka ziemniaków i zrobię sałatkę.

- Tak sobie wyobrażasz świętowanie - zamiast pójść gdzieś?

- Co ty! To będzie moja pierwsza noc, właścicielki posiadłości w Santa Fe. Chcę zostać w domu i podziwiać, co nabyłam.

- Przyniosę czerwone wino.

- I szampana - dodała Beth. - Mam ochotę rozbić butelkę szampana o bramę, tak jakbym chrzcila statek.

- Dom perignon wystarczy? Gdy Decker, zgodnie z umową, przybył o szóstej, ze zdziwieniem zauważył na podjeździe nie znany samochód. Pomyślał, że gdyby to był ktoś z fachowców, przyjechałby furgonetką albo samochodem z logo firmy, i zastanowiło go, kto też może składać wizytę o tej porze. Zaparkował obok obcego samochodu, wysiadł i zauważył, że na przednim siedzeniu niebieskiego chevroleta cavalier leży prospekt firmy wynajmu samochodów Avis. Gdy zbliżał się zwirowanym podjazdem w stronę frontowej furtki, otworzyły się rzeźbione drzwi i pod portalem pojawiła się Beth z mężczyzną, którego Decker nigdy przedtem nie widział. Mężczyzna był szczupły, średniego wzrostu, miał delikatne rysy twarzy, rzadzące, częściowo posiwiałe włosy i wyglądał na nieco ponad pięćdziesiąt lat. Ubrany w granatowy, dobrze skrojony, ale niezbyt drogi garnitur, białą koszulę, która podkreślała bladość skóry mężczyzny. Nie wyglądał chorowicie. Po prostu jego garnitur i brak opalenizny stanowiły oznakę, że nie był z Santa Fe. W ciągu piętnastu miesięcy, które Decker spędził w tej okolicy, widział nie więcej niż tuzin mężczyzn w garniturach i połowa z nich przyjechała do miasta w interesach. Mężczyzna przerwał w pół zdania ...kosztowałyoby zbyt wiele za... i odwrócił się w stronę Deckera, unosząc w zdziwieniu brwi, gdy ten otworzył frontową furtkę i dołączył do nich pod portalem.

- Steve. - Beth pocałowała go w policzek. - To jest Dale Hawkins. Pracuje dla galerii w Nowym Jorku, która sprzedaje moje obrazy. Dale, to jest mój dobry przyjaciel, o którym ci opowiadałam - Steve Decker. Hawkins uśmiechnął się przyjaźnie.

- Z opowieści Beth wynika, że nie dałaby sobie tutaj bez pana rady. Dzień dobry. - Wyciągnął dłoń. - Jak się pan miewa?

- Skoro Beth dobrze o mnie mówi, jestem w świetnym nastroju. Hawkins roześmiał się i wymienił z Deckerem uścisk dłoni.

- Dale miał przyjechać wczoraj, ale zatrzymały go jakieś interesy w Nowym Jorku - powiedziała Beth. - W tym całym podnieceniu finalizowania sprawy z domem zapomniałam ci powiedzieć, że ma mnie odwiedzić.

- Nigdy tu przedtem nie byłem - oświadczył Hawkins. - Ale już zauważyłem, że zbyt długo zwlekałem z tą wizytą. Gra słońca jest niesamowita. Gdy jechałem z Albuquerque, góry zmieniły kolor chyba z sześć razy. Beth wyglądała niezwykle radośnie.

- Dale przywiózł dobre wieści. Udało mu się sprzedać trzy moje obrazy.

- Wszystkie nabył ten sam człowiek - powiedział Hawkins. - Ten klient niezwykle entuzjastycznie odnosi się do prac Beth. Chce mieć możliwość obejrzenia jako pierwszy wszystkich jej nowych prac.

- I zapłacił za ten przywilej pięć tysięcy dolarów - dodała Beth rozgorączkowanym głosem - że już nie wspomnę stu tysięcy za te trzy obrazy.

- Sto... tysięcy? - Decker uśmiechnął się szeroko. - To fantastycznie. Przytulił ją z emocji. Oczy Beth błyszczały.

- Najpierw dom, teraz to - odwzajemniła uścisk Deckera. - Muszę uczcić masę rzeczy. Hawkins wyglądał, jakby czuł się nie na miejscu.

- Cóż - odchrząknął. - Powinienem już jechać, Beth. Do zobaczenia jutro rano, o dziewiątej.

- Tak, śniadanie w Pasqual's. Pamiętasz moje wskazówki, jak tam dojechać?

- Jeśli zapomnę, zapytam kogoś w hotelu.

- Potem oprowadzę cię po galeriach - powiedziała Beth. - Mam nadzieję, że lubisz spacerować. Galerii jest ponad dwieście. Decker poczuł się zobowiązany do złożenia propozycji.

- Może chciałby pan zostać i zjeść z nami obiad? Hawkins, rozbawiony, podniósł rękę.

- Na Boga, nie. Wiem, kiedy zawadzam.

- Skoro jest pan pewien.

- Jak najbardziej.

- Odprowadzę cię do samochodu - zaproponowała Beth. Decker czekał pod portalem, a Beth poszła i przez chwilę rozmawiała z Hawkinsem na podjeździe. Hawkins wsiadł do samochodu, pomachał i odjechał. Beth wróciła do Deckera, podskakując radośnie, promieniejąc. Wskazała na papierową torbę, którą trzymał w dłoni.

- Czy tam masz to, o czym myślałem?

- Czerwone wino i dom perignon. Szampan chłodził się całe popołudnie.

- Nie mogę się doczekać, żeby go otworzyć.

Bąbelki w szampanie podrażniły jej nos i zmarszczyła go.

- Chciałbyś zobaczyć niespodziankę?

- Znowu? - Dom perignon rozpływał mu się przyjemnie po języku.

- Jednak jestem trochę skrepowana. Decker nie bardzo wiedział, o czym mówi.

- Skrepowana?

- To bardzo intymna rzecz. Teraz Decker już naprawdę nie wiedział, o czym mówi.

- Jeśli chcesz, pokaż. Beth podjęła decyzję i przytaknęła zdecydowanie.

- Chcę. Chodź ze mną. Opuścili kuchnię z uroczymi kafelkami, przeszli przez kolorowy bawełniany dywanik w salonie i ruszyli korytarzem ze świetlikami do przedniej części domu. Minęli drzwi do pralni i doszli do następnych zamkniętych drzwi. Ilekroć Decker odwiedzał ten dom, Beth nie otwierała ich. Teraz zawahała się, spojrzała głęboko w intensywnie niebieskie oczy Deckera i odetchnęła głośno.

- Proszę bardzo. Gdy otworzyła drzwi, Deckera najpierw uderzyła czerwień i zieleń, błękit i żółć. Jakby rozbłysła jaskrawa tęcza i roztoczyła przed nim miliardy barw. Zaraz potem dotarły do niego kształty, wyobrażenia i faktury, które łączyły się w całość, jakby jednoczyła je wspólna wola, jakaś siła witalna. Decker na chwilę zaniemówił. Był pod takim wrażeniem, że nie mógł się ruszyć. Beth przyjrzała mu się bardziej badawczo.

- Co o tym sądzisz?

- „Sądzisz” nie jest odpowiednim słowem. Raczej co odczuwam. Jestem oczarowany.

- Naprawdę?

- Są piękne. - Decker podszedł bliżej, patrząc na obrazy na sztalugach, obrazy oparte o ściany i jeszcze inne, zawieszane nad nimi. - Niesamowite.

- Ulżyło mi.

- Ale jest ich tutaj - Decker policzył szybko - ponad tuzin. I wszystkie dotyczą Nowego Meksyku. Kiedy ty...

- Codziennie, od dnia kiedy się sprowadziłam. Kiedy tylko byłam sama.

- Ale nie powiedziałaś mi o nich ani słowa.

- Za bardzo się bałam. Co by było, gdyby ci się nie spodobały? Albo gdybyś powiedział, że są takie jak prace wszystkich innych, miejscowych artystów?

- Ale nie są. Na pewno nie. - Decker spacerował powoli od obrazu do obrazu, pochłaniając ich koncepcje, podziwiając je. Szczególnie jeden przyciągnął jego uwagę. Przedstawiał wyschnięte koryto strumienia, na którego krawędzi rósł jałowiec i polne kwiaty. Obraz był prosty, niepretensjonalny. Ale Decker nie mógł pozbyć się wrażenia, że kryje się w nim coś szczególnego.

- Co o nim myślisz? - spytała Beth.

- Obawiam się, że łatwiej mi oglądać obrazy, niż o nich rozmawiać.

- To nie takie trudne. Co najpierw zauważasz? Co dominuje?

- Czerwone kwiaty.

- Tak - zgodziła się Beth. - Zaintrygowała mnie ich nazwa - indiańskie pędzle.

- Wiesz, one naprawdę wyglądają jak pędzle malarskie - zauważył Decker. - Proste i wysmukłe, z czerwonym włosiem na końcu. - Zastanowił się przez chwilę. - Obraz ukazujący kwiaty zwane pędzlami.

- Zaczynasz rozumieć - stwierdziła Beth. - Jest to malarstwo na temat malarstwa.

- To może wyjaśnić jeszcze jedną rzecz, jaką tutaj dostrzegam - powiedział Decker. - Koliste ruchy pędzla. Sposób, w jaki wszystko się ze sobą miesza. Jak się nazywa taka technika? Tak robili impresjoniści? Przypomina mi Cezanne'a i Moneta.

- Żeby już nie wspomnieć o Renoirze, Degasie i przede wszystkim o van Goghu - dodała Beth. - Van Gogh był mistrzem w prezentowaniu światła słonecznego, więc przyszło mi do głowy, że ten obraz będzie bardziej wyrazisty, jeśli dla oddania niepowtarzalności Nowego Meksyku wykorzystam techniki van Gogha.

- „Kraina tańczącego słońca”.

- Szybko pojmujesz. Usiłuję uchwycić tę szczególną jakość światła słonecznego w Santa Fe. Ale jeśli się przyjrzyz dokładniej, w pejzażu odnajdziesz także ukryte symbole.

- ...A niech mnie.

- Koła, fale, figury w formie słońca - symbole Indian Navajo i innych plemion z Południowego Zachodu, używane do przedstawienia przyrody.

- Symbole zawarte w symbolach - stwierdził Decker.

- A wszystko po to, żeby oglądający poczuł, że nawet na pozór proste koryto strumienia obrośnięte jałowcami i polnymi kwiatami może być skomplikowane.

- Piękne.

- Tak się bałam, że ci się nie spodobają.

- A co powiedział o nich twój agent? - spytał Decker.

- Dale? Jest przekonany, że uda mu się sprzedać je wszystkie.

- Więc jakie znaczenie ma moja opinia?
- Ma, wierz mi. Decker odwrócił się, żeby popatrzeć na Beth. Serce łomotało mu jak oszalałe. Nie mógł się opanować.
- Jesteś piękna. Zamrugła zdziwiona.
- Co? Słowa wylewały się z niego jak potok.
- Rozmyślałam o tobie bez przerwy. Cały czas zaprzątasz mi umysł. Opalenizna Beth zbladła.
- Jestem pewien, że to największy błąd, jaki kiedykolwiek zrobiłem stwierdził Decker. - Potrzebujesz poczucia wolności. Potrzebna ci jest przestrzeń i... Pewnie od tej chwili będziesz mnie unikać. Ale muszę to powiedzieć. Kocham cię. Beth przyglądała się Deckerowi przez chwilę, która wydała mu się niezwykle długa. Naprawdę narozrabiąłem, pomyślał. Dlaczego nie mogłem utrzymać języka na wodzy? Beth patrzyła skupionym wzrokiem.
- Chyba wybrałem niewłaściwą porę - odezwał się Decker. Beth nie odpowiedziała.
- Czy możemy udawać, że to nigdy nie zostało powiedziane? - spytał Decker.
- Nic nie da się cofnąć.
- Tak myślałem.
- I to zostało powiedziane.
- Masz rację.
- Pożalujesz tego - powiedziała Beth.
- Czy mam odejść?
- Do diabła, nie. Masz mnie pocałować. Nagle Decker zdał sobie sprawę, że ją obejmuje. Kark łaskotał go od dotyku jej dłoni. Gdy się pocałowali, poczuł się tak, jakby ktoś odebrał mu oddech. Z początku miała zamknięte usta i czuł, jakby poddawały go próbie. Rozchyliła je. Ich języki spotkały się i nigdy przedtem nie odczuwał tak niezwykle intymnego dotyku. Pocałunek stawał się coraz dłuższy i coraz głębszy. Decker zaczął drżeć. Nie mógł opanować tej reakcji. Serce łomotało mu, rozsadzało pierś. Gdy opuścił ręce, żeby objąć jej pośladki, zadrżał jeszcze mocniej. Przycisnął usta do jej szyi, podniecony unoszącym się aromatem delikatnego mydła i głębszym, naturalnym zapachem soli, ziemi, upału i nieba. Ten zapach wypełnił mu nozdrza. Rozpiął jej bluzkę i wsunął dłonie pod stanik. Dotknął jej piersi; sutki Beth zaczęły rosnąć, twardniejąc pod jego dotykiem. Nogi nie chciały już go dłużej utrzymać. Opadł na kolana, całując jej jedwabistą skórę na brzuchu. Z drżeniem osunęła się jeszcze niżej i pociągnęła go na podłogę. Obejmowali się i przetaczali, całując coraz zachłanniej. Wydawało mu się, że opuścił ciało i dryfuje. Jednocześnie był świadom wyłącznie swojego ciała, które jednocześnie stawało się ciałem Beth. Miał ochotę całować ją i dotykać bez końca. Dotykać jej w coraz to nowych miejscach. Szybko, pożądliwie, rozebrali się nawzajem. Gdy w nią wszedł, przeniósł się w inny wymiar. Miał ochotę wejść w nią jeszcze głębiej. Chciał się z nią absolutnie zjednoczyć. Osiągnęli szczyt rozkoszy i poczuł się jak zawieszony w chwili pomiędzy oszalałym biciem ich serc. Ta chwila przeciągała się, wzbierała, aż w końcu wybuchła.

Decker otworzył oczy i popatrzył na vigi i latiii na belkowanym suficie. Wieczne słońce wpadało do pokoju karmazynową poświatą. Beth w milczeniu leżała obok niego. Właściwie nie odzywała się już od kilku minut, od momentu gdy osiągnęła spełnienie. Cisza przeciągała się i Deckerowi zrobiło się nieswojo. Martwił się, że dręczą ją wyrzuty sumienia, że żałuje i obwinia się, iż nie dochowała wierności zmarłemu mężowi. Powoli odwróciła się do niego i dotknęła policzka Deckera. A więc chyba wszystko w porządku, pomyślał. Beth usiadła, naga. Miała jędrne piersi wielkości zaciśniętej męskiej dłoni. Przypomniawszy sobie niezwykle twardość jej sutków. Spojrzała w dół, na terakotową podłogę, na której siedziała. Wciąż znajdowali się w pokoju, gdzie przechowywała obrazy, w otoczeniu ich wspaniałych barw.

- Namiętność jest piękna. Ale czasami trzeba za nią zapłacić. - Znowu zachichotała. - Ta posadzka. Założę się, że mam siniaki na plecach.

- Zdarłem sobie naskórek z kolan i z łokci - powiedział Decker.

- Pokaż. Och! - zaśmiała się Beth. - Gdybyśmy jeszcze trochę poszaleli, skończyłoby się na pogotowiu. Decker też zaczął się śmiać. Nie mógł się powstrzymać. Wciąż wybuchał nowymi salwami śmiechu. Łzy kapały mu z oczu. Śmiali się razem; wybuch radości, który uwalnia duszę. Pochyliła się nad nim i znów go pocałowała, ale tym razem pocałunek był delikatny i uczuciowy. Dotknęła jego silnego podbródka.

- To, co powiedziałaś zanim... mówiłaś to poważnie?

- Jak najzupełniej poważnie. Nie sposób tego wyrazić słowami. Kocham cię - powiedział Decker. - Kocham cię tak bardzo, że wydaje mi się, iż do tej pory nic o sobie nie wiedziałem, że właściwie do tej chwili nie żyłem.

- Nie mówiłaś, że oprócz krytyki sztuki zajmujesz się poezją.

- Jeszcze wielu rzeczy o mnie nie wiesz - stwierdził Decker.

- Nie mogę się doczekać, żeby się wszystkiego dowiedzieć. - Beth znowu go pocałowała i podniosła się z podłogi. Decker popatrzył z podziwem na jej nagie ciało i poczuł ucisk w gardle. Cieszył się, że nie kryła się przed jego wzrokiem. Stała przed nim z rękoma opuszczonymi wzdłuż bioder. Jej nagie ciało było lekko pochylone na bok; jedną stopę wysunęła do przodu i ustawiła pod kątem prostym, w pozie przypominającej baletnicę, naturalnie, bez śladu zażenowania. Jej pępek układał się w malutkie wklęsnięcie na brzuchu. Ciemne włosy łonowe były miękkie i zwinięte w kępki, ciało miało sprężysty rys sylwetki sportsmenki. Deckerowi przyszedł na myśl zmysłowy sposób, w jaki starożytni greccy rzeźbiarze portretowali nagie kobiety.

- Co to jest, tam, po lewej stronie? - spytała Beth.

- Co takiego?

- Ta blizna. Decker spojrzał na nią. Wyszczerbione nacięcie miało wielkość opuszka palca.

- Ach, to tylko...

- Masz jeszcze jedną, na prawym udzie. - Beth zmarszczyła czoło i ukłękła, żeby im się przyjrzeć. - Nie bardzo się znam, ale wyglądają jak... Decker nie miał pojęcia, jak uniknąć tego tematu.

- Są po ranach postrzałowych.

- Po ranach postrzałowych? Jakim cudem...

- Nie wiedziałem, że trzeba dać nura na ziemię.

- O czym ty mówisz?

- Byłem w amerykańskiej jednostce desantowej, która dokonała inwazji na Grenadę w 1983 roku. - Decker znowu pożałował, że musi kłamać. - Gdy zaczęła się strzelanina, nie padłem na ziemię wystarczająco szybko.

- Dali ci medal?

- Za głupotę? - Decker zachichotał. - Dostałem odznakę Purpurowego Serca.

- Pewnie bolało.

- Wcale.

- Mogę dotknąć?

- Nie krępuj się. Delikatnie wsunęła palec w zagłębienie na boku, a następnie w to na udzie.

- Naprawdę nie bolą?

- Czasami, w wilgotne, zimowe noce.

- Jak by tak było, powiedz mi. Wiem, jak je ukoić. - Beth pochyliła się i pocałowała najpierw jedną, następnie drugą. Decker poczuł, jak jej piersi przesuwają się po jego brzuchu w kierunku ud. - No i co, pomaga? - spytała.

- Bardzo pomaga. Szkoda, że gdy zabrali mnie do szpitala wojskowego, nie było tam takich pielęgniarek jak ty.

- Nie miałbyś kiedy się wyspać. - Beth przytuliła się do niego.

- Sen to nie wszystko - stwierdził Decker. Wystarczyło, że leżał blisko niej, że delektował się jej ciepłem. Przez kilka minut żadne z nich nie poruszyło się ani nie odezwało. Za oknem pogłębiał się odcień karmazynowego zachodu słońca.

- Chyba czas wziąć prysznic - powiedziała Beth. - Możesz wykorzystać ten przy pokoju gościnnym albo...

- Tak?

- Możemy razem pójść pod mój. Lśniaca, biała, obszerna kabina prysznicowa służyła również jako sauna. Była w nią wbudowana ławeczka z kafelków i bicz wodne po obydwóch stronach. Namydlili się wzajemnie i tarli gąbkami pod gorącymi strumieniami wody, całowali się i dotykali, pieścili, głaskali i odkrywali wzajemnie w kłębach piany. Ich śliskie ciała ocierały się o siebie. Opadli na ławeczkę i drząc, z łomoczącymi sercami, jeszcze raz dopełnili aktu miłości. Był to najniezwykleszy wieczór w życiu Deckera. Nigdy nie odczuwał takiego uznania - właściwie podziwu - dla osoby, z którą dzielił namiętność. Gdy skończyli się kochać po raz drugi, wzięli wreszcie prysznic i ubrali się, zdał sobie sprawę z innych, obcych mu do tej pory doznań, z poczucia spełnienia, przynależności. Tak jakby w wyniku ich dwukrotnego fizycznego zjednoczenia powstała inna jedność; niepojęta, mistyczna. Gdy znajdował się w pobliżu Beth, czuł, że ona jest w nim, a on w niej. Nie musiała być w zasięgu jego dotyku. Wystarczyło, że ją widział. Odczuwał jedność. Zgodnie z życzeniem Beth, piekł na grillu steki popijając czerwone wino i spoglądał w gwiazdy, które zaczęły się pojawiać na niebie. Ich wieczorny kolor niezwykle przypominał kolor oczu Beth. Spojrzał w dół zalesionego stoku za domem, w stronę rozciągających się poniżej świateł Santa Fe. Czując spełnienie, jakiego nie doznawał nigdy przedtem, zajrzał przez drzwi z siatki do oświetlonej kuchni i przyglądał się, jak Beth przygotowuje sałatkę. Nucila sobie. Zauważyła go.

- Na co tak patrzysz?

- Na ciebie. Uśmiechnęła się z zadowoleniem.

- Kocham cię - powtórzył Decker. Beth podeszła do niego, otworzyła drzwi, wychyliła się i pocałowała go. Poczul się, jakby przeskoczyła z niej jakaś iskra.

- Jesteś dla mnie najważniejszą osobą na świecie. W tym momencie Decker uświadomił sobie, że pustka, jaką odczuwał przez tyle lat, wypełniła się nagle. Wrócił pamięcią do Rzymu piętnaście miesięcy wcześniej i do swoich czterdziestych urodzin, do znudzenia i próżni jakie odczuwał. Pragnął żony, rodziny, domu i teraz będzie to wszystko miał.

- Będę chyba musiała wyjechać na kilka dni - oznajmiła Beth.

- Tak? - Decker prowadził samochód wzdłuż obrośniętych piniami zakrętów Tano Road, na północ od miasta. Spojrzał na Beth zmieszany. Był piątek, dziewiąty września, koniec sezonu turystycznego, pierwszy wieczór fiesty. Byli z Beth kochankami już od ośmiu dni. - Czy to coś nagłego? Nie wspominałaś o tym wcześniej.

- Nagłego? I tak, i nie - odparła Beth wpatrując się ponad skąpanymi w słońcu pagórkami, w stronę gór Jemez na zachodzie. - Nagle jest to, że dowiedziałam się, iż muszę jechać pojutrze. Ale wiedziałam, że kiedyś mnie to czeka. Muszę wrócić do Westchester. Spotkanie z prawnikami i tego typu rzeczy. Dotyczy to majątku mojego zmarłego męża. Wzmianka o zmarłym mężu wprawiała Deckera w zakłopotanie. Ilekroć to było możliwe, unikał tego tematu, gdyż obawiał się, że wspomnienie o tamtym mężczyźnie mogło obudzić w Beth wątpliwości co do ich związku. Jesteś zazdrosny o nieboszczyka? - zastanawiał się.

- Na kilka dni? Kiedy masz zamiar wrócić? - spytał Decker.

- Właściwie to może na dłużej. Może nawet tydzień. To taka przyziemna sprawa, ale jest ważna. Mój mąż miał współników i są z nimi kłopoty w kwestii wyceny jego udziału w interesie.

- Rozumiem - odparł Decker. Miał ochotę zadać jej masę pytań, ale nie chciał być wścibski. Jeśli Beth miałyby ochotę na dzielenie się z nim przeszłością, to opowiedziałyby mu wszystko. Za wszelką cenę nie chciał, żeby czuła się stłamszona. Poza tym to miał być radosny wieczór. Jechali na przyjęcie z okazji fiesty, wydawane w domu producenta filmowego, któremu Decker świadczył swoje usługi jako pośrednik handlu nieruchomościami. Beth najwyraźniej nie miała ochoty rozmawiać o swoich problemach prawnych, więc po co ją do tego zmuszać? - Będę za tobą tęsknił.

- Ja też - odparła Beth. - Czeka mnie strasznie długi tydzień.

- ...zmarł młodo.

Decker, popijając margaritę i słuchając tercetu jazzowego grającego w kącie obszernej sali, usłyszał fragment rozmowy, którą prowadziła zanim grupka kobiet. Ubrany w smoking pianista niezłe interpretował wariacje Henry'ego Manciniego, eksponując linię melodyczną utworu Moon River.

- Na gruźlicę - usłyszał Decker za plecami. - Miał zaledwie dwadzieścia pięć lat. Zaczął pisać dopiero, kiedy miał dwadzieścia jeden. To niezwykle, ile zdołał osiągnąć w tak krótkim czasie. Decker odwrócił się od pianisty i ogarnął wzrokiem dwustu gości, których jego klient, producent filmowy, zaprosił na przyjęcie z okazji fiesty. Kelnerzy w liberiach wnosili koktajle i przystawki, a goście przemierzali się po całym domu i podziwiali wspaniałą rezydencję. Miejscowe sławy integrowały się w swobodnej atmosferze. Jednak jedyną w sali osobą, która przykuwała uwagę Deckera, była Beth. Gdy Decker spotkał ją po raz pierwszy, ubierała się zawsze w stroje ze Wschodniego Wybrzeża. Jej styl jednak stopniowo ulegał zmianie. Dzisiaj miała na sobie wesoły strój z widocznymi wpływami latynoskimi. Spódnica i góra były z aksamitu, a ich głęboki granat podkreślał jej szaroniebieskie oczy i kasztanowe włosy. Związała włosy w koński ogon i spięła go srebrną spinką, której blask pasował do srebrnego naszyjnika w formie kwiatów dyni. Siedziała z grupą kobiet wokół stolika, którego nogi z kutego żelaza podtrzymywały blat z dwustuletnich drzwi. Sprawiała wrażenie zrelaksowanej, swobodnej, jakby mieszkała w Santa Fe od dwudziestu lat.

- Nie czytałam go od czasu, gdy studiowałam na uniwersytecie w Los Angeles - odezwała się jedna z kobiet.

- A skąd to zainteresowanie poezją? - spytała inna, jakby sama myśl o tym napawała ją zdumieniem.

- I dlaczego Keats? - spytała trzecia. Decker intuicyjnie wy tężył uwagę. Do tej chwili nie wiedział, o jakim pisarzu rozprawia ta grupka. Wspomnienie Keatsa rozbłysło mu iskrą w umyśle i przez cały szereg skojarzeń ściągnęło jego myśli z powrotem do Rzymu.

Powstrzymał się od zmarszczenia brwi, gdy wróciło żywe wspomnienie, jak śledził Briana McKittricka na Hiszpańskich Schodach i obok domu, w którym zmarł Keats.

- Dla przyjemności. Chodzę na zajęcia na Uniwersytet St John's - odparła kobieta. - Kurs nazywa się: „Wielcy poeci romantyczni”.

- Ach - odezwała się druga. - Chyba wiem, które słowo w tej nazwie do ciebie przemawia.

- To nie jest to, o czym myślisz - odpowiedziała pierwsza. - To się różni od romansów, które tak lubisz czytać. Zresztą przyznam się, że ja też. Keats pisał o mężczyznach, kobietach i namiętnościach, ale co innego stanowi sedno jego twórczości. Powtórzenie nazwiska Keatsa sprawiło, że Decker pomyślał nie tylko o McKittricku, ale również o dwudziestu trzech martwych Amerykanach. Zmartwił się, że poeta, utożsamiany z prawdą i pięknem, w jego myślach wiąże się z restauracją pełną zwęglonych trupów.

- Pisał o uczuciach - powiedziała kobieta. - O pięknie, które postrzega się jak namiętność. O... to trudno wyjaśnić. Ciemności słucham; i już nie jednokroć na wpół się zakochałem w Śmierci ukojeniu. Deckerowi nieoczekiwanie przyszły na myśl te żalobne wersy. Zanim zdał sobie sprawę z tego, co robi, włączył się do rozmowy.

- O pięknych rzeczach, które wydają się jeszcze boleśniej piękne komuś bardzo młodemu i śmiertelnie choremu. Oprócz Beth, która przyglądała mu się dyskretnie rozkochanym wzrokiem przez cały czas trwania rozmowy, cała grupka odwróciła wzrok w jego stronę.

- Steve, nie wiedziałam, że w ogóle orientujesz się w poezji - odezwała się kobieta. - Tylko mi nie mów, że gdy nie pomagasz ludziom w znajdowaniu tak pięknych domów, jak ten, też chodzisz na wykłady w St John's.

- Nie. Keatsa pamiętam jeszcze ze studiów - skłamał Decker.

- Teraz to już naprawdę rozbudziłeś moją ciekawość - powiedziała jedna z kobiet. - Czy Keats, gdy pisał te wszystkie, wspaniałe wiersze, naprawdę miał nieco ponad dwadzieścia lat i umierał na gruźlicę? Decker przytaknął, myśląc o strzałach oddawanych w ciemności deszczowego dziedzińca.

- Miał dwadzieścia pięć lat - powtórzyła uczestniczka kursu o poezji romantycznej. - Jest pochowany w Wenecji.

- Nie, w Rzymie - sprostował Decker.

- Jesteś pewien?

- Dom, w którym zmarł, stoi obok fontannyłódki Beminięgo, po prawej stronie, jak się idzie od Hiszpańskich Schodów.

- Mówisz, jakbyś tam był. Decker wzruszył ramionami.

- Czasami wydaje mi się, że ty już wszędzie byłeś - odezwała się atrakcyjna kobieta. - Kiedyś cię zmuszę do opowiedzenia fascynującej historii twojego życia, zanim sprowadzisz się do Santa Fe.

- Sprzedawałem nieruchomości gdzie indziej. Obawiam się, że nie było to nic szczególnie ciekawego. Jakby wyczuwając, że Decker chce się wycofać, Beth przyszła mu z pomocą; wstała i wzięła go za rękę.

- Jeśli ktoś będzie miał wysłuchać historii życia Steve'a, to na pewno ja. Wdzięczny, że wybawiła go od dalszych pytań, Decker wyszedł z Beth na rozległe ceglane patio. Stali pośród chłodnej nocy i spoglądali na rozgwieżdżone niebo. Beth objęła go. Decker poczuł jej perfumy i pocałował ją w policzek. W gardle czuł przyjemny ucisk. Wyprowadził Beth z patio, z dala od tłumu i świateł, ukryli się w cieniu drzewek piniowych i Decker pocałował ją namiętnie. Gdy Beth wyciągnęła ramiona i spłotła palce na jego szyi, odwzajemniając pocałunek, poczuł, jakby ziemia pod nim zafalowała. Beth miała ekscytujące, miękkie, ajednocześnie jędrne usta. Przyciskała się do niego sutkami, które wyczuł pod jej bluzką. Zabrakło mu tchu.

- No więc dalej... Opowiedz mi fascynującą historię swego życia.

- Kiedy indziej. - Decker całował jej szyję i wdychał jej aromat. - Teraz mam lepsze rzeczy do roboty. Ale nie mógł przestać myśleć o Rzymie, o McKittricku i o tym, co zaszło na tamtym dziedzińcu. Wciąż wracało to mroczne widmo. Miał nadzieję zapomnieć o wszystkim, co uosabiał McKittrick. Teraz, podobnie jak dwa miesiące temu, nie mógł przestać zastanawiać się, dlaczego McKittrick przyjechał wtedy do Santa Fe, żeby go obserwować.

- Przywieźli je?

- Dziś po południu - powiedział Decker. - Nie miałem kiedy ci pokazać. - Po przyjęciu wracali samochodem zacienioną Camino Lindo.

- Pokaż mi je teraz.

- Nie jesteś zmęczona?

- Jeśli się nawet zmęczone, zawsze mogę zostać u ciebie i z niego skorzystać - powiedziała Beth. Tajemnicza rzecz, o której rozprawiali, to było łóżko, które Decker zamówił u miejscowego artysty, Johna Massey'a, specjalisty od prac w metalu. Korzystając z kuźni,

młota i kowadła, Massey uformował metalowe ramy łóżka w misterne wzory, które przypominały rzeźbione drewno.

- Piękne - oświadczyła Beth, gdy Decker zaparkował jeepa na podjeździe i weszli do środka. - Jeszcze bardziej niezwykle, niż je opisywałeś. Dotknęła gładkiego, czarnego, wypolerowanego metalu. - I te figurki wyrzeźbione za wezglowiem. Te postacie wyglądają, jakby były żywcem wzięte z ludowej sztuki Indian Navajo, ale jednocześnie, ze stopami skierowanymi w jedną stronę, a dłońmi w drugą, przypominają rysunki egipskie. Właściwie to wyglądają, jakby były pijane.

- John ma poczucie humoru. Nie wzoruje się na niczym. Wymyśla je.

- W każdym razie podobają mi się - stwierdziła Beth. - Zmuszają mnie do uśmiechu.

Decker i Beth podziwiali łóżko ze wszystkich stron.

- Wygląda naprawdę solidnie - ocenił Decker. Beth przycisnęła dłonią materac. Figlarnie uniosła brwi.

- Chcesz je wypróbować?

- Jasne - odparł Decker. - Jeśli je połamiemy, każę Johnowi zwrócić pieniądze. Zgasił światło. Powoli, pomiędzy długimi pocałunkami, rozebrali się nawzajem. Drzwi sypialni były otwarte. Przez wysokie, szerokie, akumulujące światło okna w korytarzu obok sypialni sączyło się światło księżyca. Poświata na piersi Beth przywiodła Deckerowi na myśl kość słoniową. Na klęczkach, jakby oddając cześć, powędrował ustami w dół.

- Musieli przejść przez tylny mur. Było to siedem minut po trzeciej. Decker znał czas absolutnie dokładnie, ponieważ miał staromodny budzik ze wskazówkami i tuż przedtem sprawdził, która godzina. Nie mógł spać. Leżał na boku i podziwiał twarz Beth w świetle księżyca, wyobrażając sobie, że już wróciła z tej podróży w interesach, a ich rozłąka dobiegła końca. W oddali usłyszał przytłumiony terkot sztucznych ogni, odpalanych na prywatnych zabawach, które ciągnęły się nieprzerwanie z okazji fiesty. Jutro rano wiele osób obudzi się z kacem, pomyślał. Masa nie wyspanych sąsiadów straci humor z powodu imprez za płotem. Policja będzie miała pełno roboty z odpowiadaniem na skargi. Która to już godzina? - zastanowił się i odwrócił w stronę zegarka. Nie mógł dojrzeć podświetlanego cyferblatu. Podejrzewając, że zasłonił go jakąś częścią garderoby Beth, sięgnął, żeby usunąć przeszkodę, ale dłoń natrafiła na budzik. Zmarszczył brwi ze zdumienia. Dlaczego wyłączony był podświetlacz zegara? Terkot strzelających w dali fajerwerków nasilał się coraz bardziej. Hałas jednak nie zagłuszył cichego tarcia metalu o metal. Decker usiadł zaniepokojony. Odgłos dochodził od strony stóp łóżka, z końca słonecznego korytarza obok sypialni, od drzwi na prawo. Te drzwi prowadziły do niewielkiego ogródka kwiatowego i na patio. Nadal docierało ledwo słyszalne tarcie metalu o metal. W pośpiechu położył dłoń na ustach Beth. W świetle księżyca dostrzegł przerwania, z jakim otworzyła oczy. Zaczęła się wrywać. Przyłgął głową do jej lewego ucha i wyszeptał napiętym głosem:

- Nic nie mów. Posłuchaj. Ktoś próbuje się włamać do domu. Zaskrzypiał metal.

- Wyjdź z łóżka i schowaj się w garderobie. Szybko. Beth nago wygramoliła się z łóżka i rzuciła się do garderoby po prawej stronie pokoju. Garderoba była obszerna, dziesięć na dwanaście stóp, i bez okien. Panowała tam jeszcze bardziej nieprzenikniona ciemność niż w sypialni. Decker zamasyżuje otworzył dolną szufladę nocnego stolika i wyjął pistolet sigsauer 928, który kupił zaraz po przyjeździe do Santa Fe. Ukucnął przy łóżku, wykorzystując je jako osłonę, i złapał za telefon stojący obok, ale natychmiast zorientował się, że nie ma sensu wykręcać 911 - nie było sygnału. Nagła cisza spotęgowała napięcie Deckera. Tarcie metalu o metal ustało. Decker rzucił się do garderoby. Nie mógł dojrzeć Beth. Skrył się obok niewielkiej toaletki. Celował w stronę korytarza za otwartymi drzwiami sypialni, drżąc ze zdenerwowania. Był nagi i czuł, że jest mu zimno, mimo że się spocił. Tylnie drzwi po prawej stronie, które miał zamiar naoliwić, skrzypnęły przy otwieraniu. Kto, do diabła, może się tu włamywać? - spytał siebie. Złodziej? Może. Ale prawie był

przekonany, że ma to związek z życiem, jakie prowadził uprzednio. Nie mógł odepchnąć od siebie lodowatej myśli, że doścignęły go nie dokończone sprawy zawodowe. Alarm przeciwwłamaniowy natychmiast rozpoczął rytmicznie pulsować; krótkie ostrzeżenie, w jakie wyposażony był system alarmowy, zanim rozlegnie się pełny donośny dźwięk syreny. I tak alarm na nic się nie przyda skoro telefon jest odcięty, sygnał alarmowy nie dotrze do firmy ochroniarskiej. Gdyby detektor nie był podłączony do baterii na wypadek przerwy w dopływie prądu, nawet nie rozległby się sygnał ostrzegawczy. Pulsujący sygnał nagle przeszedł w jednostajne wycie. Do sypialni wbiegły jakieś cienie. Szybkie błyski przekłuły ciemność, a od równomiernego terkotu karabinów maszynowych Deckera zaboląły bębrenki w uszach. Błyski oświetliły pustoszona niezliczonymi pociskami pościel; fruwało pierze z poduszek, wypadała wyściółka materaca. Zanim zamachowcy zdążyli uświadomić sobie swoją pomyłkę, Decker wystrzelił, kilkakrotnie naciskając spust. Dwaj zamachowcy zachwiali się i padli. Trzeci wydostał się z sypialni. Decker strzelił za nim, ale spudłował. Pocisk roztrzaskał okno, a mężczyzna zniknął w głębi korytarza. Decker miał mokre ręce. Na szczęście pistolet był wyposażony w chropowatą kolbę. Gołe ciało Deckera wydzielalo coraz więcej potu. W uszach dźwięczało mu boleśnie od obezwładniającego huku wystrzałów. Ledwo słyszał wycie systemu alarmowego. Nie byłby w stanie usłyszeć teraz żadnego ruchu zamachowców. Nie wiedział, czy ta trójka to jedyni intruzi w domu, i nie był pewien, jak ciężko ranił dwóch mężczyzn, którzy leżeli na podłodze sypialni. Czy wciąż mogli do niego strzelać przy próbie opuszczenia garderoby? Czekał niecierpliwie, aż wzrok znów przyzwyczai mu się do ciemności. Niepokoiło go, że nie wie, gdzie ukryła się Beth. Na pewno gdzieś w obszernej garderobie. Ale gdzie? Może za cedrową komodą? Nie mógł ryzykować i szukać w ciemności jej niewyraźnego kształtu. Musiał skupić swoją uwagę na sypialni, gotów do reakcji, gdyby ktoś z niej znowu zaatakował. W tym samym momencie uświadomił sobie, że do garderoby jest drugie wejście, drzwi z tyłu prowadzące do pralni, i poczuł plamę zimna na plecach. Gdyby zamachowiec zakradł się tam i zaatakował z tamtej strony... Nie jestem w stanie upilnować dwóch stron naraz, pomyślał Decker. Może pozostali uciekli? Czy ty byś uciekł? Może. Nie ma mowy. Zesztywniał z lęku. Środek nocy, odcięty telefon i prąd, żadnej możliwości wezwania pomocy, żadnej nadziei, że sygnał alarmowy zostanie odebrany na policji. Zamachowcy zawsze musieli się martwić, czy sąsiedzi nie zbudzą się, słysząc odgłosy strzałów. Ale czy te odgłosy mogły dotrzeć do najbliższego domu o grubych ścianach z glinianych cegieł, który znajdował się kilkaset jardów dalej? Taka odległość wytłumiała hałas. Wystrzały z karabinu mogły brzmieć jak odległe fajerwerki, które Decker słyszał wcześniej. Intruz miał prawo przypuszczać, że zostało mu jeszcze trochę czasu. Atak nie nastąpił od strony pralni. Automatyczna broń zahuczała od strony wejścia do sypialni, jaśniejąc błyskami z lufy. Pociski rozszarpywały framugę drzwi garderoby, bombardując ich prześwit, uderzając w ścianę z tyłu, rozdzierając ubrania wiszące na wieszakach, rozsadzając pudełka z butami i torby z dodatkami, rozpryskując kawałki materiałów, drewna i dykty, które uderzały Deckera w gołe plecy. Powietrze wypełnił drażniący zapach kordytu. Terkot karabinów ustał równie niespodziewanie, jak się zaczął, i jedynym dźwiękiem było teraz wycie systemu alarmowego. Decker nie ośmielił się strzelać w kierunku błysków z luf. Zamachowcy prawdopodobnie zmienili pozycje i czekali, żeby zacząć celować w błysk z pistoletu, gdyby Decker odpowiedział ogniem. Nagle Decker zdał sobie sprawę, że w garderobie coś się rusza. Z ciemnego kąta wyskoczyła naga Beth. Znała rozkład domu. Wiedziała o drzwiach do pralni. Gdy przekreśliła klamkę i popchnęła drzwi, zagrzmiął półautomatyczny karabin i posypały się za nią pociski. Deckerowi zdawało się, że usłyszał jej jęk. Było tak głośno, że nie był pewien, ale gdy zniknęła w ciemności pralni, trzymała się za prawe ramię. Decker chciał za nią pobiec, lecz nie ośmielił się poddać temu samobójczemu impulsowi. Zamachowiec liczył na to, że Decker straci panowanie, że się pokaże. Decker jednak przycisnął się bliżej małej toaletki, gotowy do strzału, licząc, że to tamten straci cierpliwość. Proszę, myślał. Boże drogi, proszę. Niech Beth nie będzie ranna. Wysilał wzrok,

żeby dojrzeć wejście do sypialni. Żałował, że nie słyszy, czy atakujący się tam porusza, ale w uszach dźwięczało mu jeszcze boleśniej. Pomyślał, że skoro on ma przytępiony słuch, osoba, która usiłowała go zabić, prawdopodobnie również nie słyszy zbyt dobrze. Może jest sposób, żeby wykorzystać tę obopólną niedogodność z pożytkiem dla siebie. Obok komódki, za którą się ukrywał, stała metalowa, metrowej długości drabinka. Używał jej do sięgania rzeczy z górnej półki. Miała w przybliżeniu szerokość ramion dorosłego mężczyzny. Decker złapał koszulę, którą zostawił na komódce, i udrapował ją na niskiej drabince. W ciemności wyglądała jak kucająca postać. Wypchnął drabinkę przed siebie, modląc się, żeby zamachowiec też miał przytępiony chwilowo słuch, żeby wycie systemu alarmowego nie pozwoliło mu usłyszeć dźwięku, jaki wydawała drabinka przesuwana po podłodze. Z całej siły wypchnął drabinkę z garderoby, rzucając ją ślizgiem do góry, w kierunku sypialni, w stronę, gdzie ostatnio widział zamachowców. Eksplozja ognia porozrywała koszulę i przewróciła drabinkę. W tym samym momencie Decker wystrzelił kilkakrotnie w stronę błysków w korytarzu. Błyski gwałtownie zniżyły się do poziomu podłogi, oświetlając zgiętego z bólu mężczyznę, który półautomatycznym karabinem wylupywał dziury w terakocie. Mężczyzna upadł i ogłuszające strzały ustały. Decker przeturlał się w obawie, że błyski z jego własnej broni wskażą zamachowcom cel. Przykucnął po drugiej stronie wejścia do garderoby, jeszcze raz wystrzelił w stronę mężczyzny, którego przed chwilą trafił, następnie w stronę ludzi, których dosięgnął wcześniej, i szybko wycofał się w ciemność pralni. Beth. Musi znaleźć Beth. Musi sprawdzić, czy Beth nie jest ranna. Musi ją powstrzymać, żeby znowu nie rzuciła się na oślep i nie odsłoniła, zanim Decker upewni się, że w domu nie ma już nikogo więcej. Słodki zapach detergentów w pralni podkreślał drażniący odór kordytu. Wyczuł ruch między termą i urządzeniem zmiękczającym wodę, rzucił się w tamtą stronę i znalazł Beth. W tym samym momencie zaskoczył go ognisty podmuch z broni palnej i zamknięte drzwi do pralni wpadły do środka. Aż oniemiał od wstrząsu. Rzucił się z Beth na podłogę. Wzrok Deckera, już oślepiony od bliskiego błysku broni, oślepił kolejny wystrzał i jeszcze jeden błysk. Ujrzał kształt potężnego mężczyzny, który wpadł do pomieszczenia strzelając po raz trzeci. Decker wycelował wysoko i leżąc na brzuchu, strzelił z tej pozycji w górę. Oblał go strumień ciepłej cieczy. Krew? Ale ta ciecz wręcz parzyła. I nie był to strumień, ale cały potok. Musieliśmy trafić w termę, pomyślał Decker z rozpaczą, usiłując nie zwracać uwagi na ból, jaki sprawiała mu pryskająca na niego gorąca woda. Koncentrował się na ciemności po drugiej stronie pomieszczenia, gdzie kilka sekund wcześniej błyski z lufy oświetliły mężczyznę z karabinem. Słyszał obok siebie oddech przerażonej Beth. Węchem wyczuł krew, rozpoznał jej miedziany zapach. Silny zapach. Dochodził nie tylko od strony człowieka z karabinem. Wydawało mu się, że czuje go też obok siebie. Nie opuszczała go przeraźliwa myśl: czy trafili Beth? Gdy wzrok ponownie przywykł do ciemności, Decker dostrzegł na podłodze, przy wejściu do pralni, niewyraźny kontur ciała. Beth drżała obok niego. Czuł jej spazmy przerażenia. Policzył, ile razy wystrzelił, i jego również ogarnęło przerażenie, gdy zdał sobie sprawę, że został mu tylko jeden nabój. Nękany niemilosiernie gorącą wodą, przytknął palec do ust Beth, gestem nakazując jej milczenie, po czym przeczołgał się po mokrej podłodze pralni w stronę wyjścia. Księżycowe światło, które wpadało przez świetlik w korytarzu, pomogło mu dojrzeć karabin leżący obok nieboszczyka. Decker miał przynajmniej nadzieję, że to nieboszczyk. Gotów do wystrzelenia ostatniego pocisku, spróbował wyczuć puls. Nie znalazł go i nieco się rozluźnił, grzebiąc lewą ręką pod wiatrówką trupa. Znalazł rewolwer. Natychmiast popchnął karabin po podłodze pralni, w stronę Beth, wrócił do niej i wzięwszy broń, podniósł opuszczaną klapę do niskiego podpiwniczenia, które biegło pod domem, po czym wprowadził tam Beth. Większość domów w Santa Fe była budowana na betonowych podestach i nie miała piwnic. W niektórych, jak w domu Deckera, znajdowały się pod podłogą tunele naprawczy wysokości czterech stóp. Beth opierała się przed zejściem po drewnianych schodach. Z mroku docierał zapach kurzu. W końcu, drżąc, zeszła szybko do podpiwniczenia. Za nimi

ściekał potok wody. Decker ścisnął ją za prawe ramię, w nadziei że doda jej to otuchy, i zamknął klapę. Nadal denerwowało go wycie systemu alarmowego. Podpełzł w stronę najdalszego kąta i usadowił się za piecem centralnego ogrzewania. Z tego miejsca miał na linii ognia wszystkie wejścia do pralni. W prawej ręce trzymał rewolwer zamachowca, w lewej własny pistolet i jako ostatnią deskę ratunku, położył przy sobie jego karabin, który przyciągnął tu zastanawiając się, czy zamachowiec nie zużył całej amunicji. Ale jeszcze coś nie dawało mu spokoju, napawając go chęcią natychmiastowego działania. Wiedział, że cierpliwość jest kluczem do przetrwania. Gdyby zechciał przejrzeć dom, mógłby odsłonić się przed kimś, kto się tam krył. Roztropniej było pozostać na miejscu i poczekać, aż ten ktoś się odsłoni. Jednak Decker nie mógł powstrzymać się przed potrzebą przyspieszenia wydarzeń. Wyobrażał sobie narastające poczucie klaustrofobii Beth, kucającej nago w ponurej ciemności podpiwniczenia, i wzmagający się ból. Gdy dotknął jej prawego ramienia, żeby podtrzymać ją na duchu, palce pokryła mu lepka ciecz, która była ciepła i pachniała krwią. Trafili Beth. Muszę ją zabrać do lekarza, pomyślał Decker. Nie mogę dłużej czekać. Wyczołgał się zza pieca, zbliżył do drzwi na korytarz, przygotowany do ruszenia przed siebie i celowania w obie strony. Nagle zamarł, gdy na trupa, który leżał przed nim, padło światło latarki. Przyłgął do ściany. Pot mieszał się ze spływającą po ciele wodą. Skoncentrował się na wyjściu z pralni, po czym zerknął nerwowo na drugą stronę, w kierunku drzwi prowadzących do garderoby. Dlaczego świecą latarką? Postępują bez sensu, dając mi znak, gdzie są. Ta latarka to musi być jakaś sztuczka, pomyślał, próba odwrócenia mojej uwagi, podczas gdy ktoś zaatakuję z drugiej strony, z ciemności garderoby. Zaskoczony zobaczył, że światło latarki oddaliło się z powrotem w kierunku drzwi frontowych. To też nie miało sensu. Chyba że... Czy mógł mieć taką nadzieję? Może sąsiad domyślił się, że przytłumiony, równomierny terkot nie jest odgłosem fajerwerków. Może zadzwonił pod 911. Latarka mogła należeć do policjanta. Tak właśnie zachowałby się policjant - kiedy tylko zobaczyłby ciało, nie wiedząc z czym ma do czynienia, być może ze strzelaniną, wycofałby się i wezwał przez radio posiłki. Obezwładniająco szybkie bicie serca Deckera stało się jeszcze szybsze. W innych okolicznościach nie zaryzykowałby opuszczenia kryjówki. Ale postrzelili Beth. Bóg jeden wiedział, jak poważna była ta rana. Jeśli będzie się jeszcze zastanawiał, Beth może się wykrwawić w tym podpiwniczeniu na śmierć. Musi coś zrobić.

- Poczekaj! - wrzasnął Decker. - Jestem w pralni! Potrzebuję pomocy! Promień latarki przestał się oddalać, ktoś poświecił znowu w stronę wejścia do pralni. Decker natychmiast uświadomił sobie ryzyko, jakie podjął. W uszach dzwoniło mu tak boleśnie, że nie był pewien, czy ktoś odkrzyknął. Jeśli nie odpowie albo jeśli nie odpowie tego, co trzeba na pytanie policjanta (przyjmując, że to naprawdę jest policjant), wzbudzi jego podejrzenia.

- Mieszkam tu! - wrzasnął Decker. - Jacyś ludzie się włamali! Nie wiem, kim jesteś! Boję się pokazać! Latarka zmieniła pozycję, jakby ten, kto ją trzymał, szukał jakiejś osłony w wejściu.

- Nie słyszę cię! Była strzelanina! Jestem ogłuszony! - krzyknął Decker. - Jeśli jesteś policjantem, popchnij swoją odznakę po podłodze w korytarzu, tak żebym mógł ją zobaczyć! Decker czekał, nerwowo badając wzrokiem przestrzeń od wyjścia, do drzwi wiodących do garderoby, świadomy że wystawia się na atak. Musiał zaryzykować. Beth, nie przestawał myśleć. Muszę pomóc Beth.

- Proszę! - krzyknął Decker. - Jeśli jesteś policjantem, popchnij odznakę! Ponieważ nie słyszał jej brzęku, zaskoczyło go nagle pojawienie się odznaki na ceglanej podłodze korytarza. Zatrzymała się na ciele zamachowca.

- W porządku! - Deckera bolało gardło. Przełykał z trudem. - Pewnie zastanawiasz się, co się stało! Masz takiego samego stracha jak ja! Wyjdę z podniesionymi rękoma! Najpierw ci je pokażę! Odłożył broń na blat po prawej stronie. Gdyby się okazało, że źle ocenił sytuację, mógł się podkraść i chwycić ją ponownie.

- Wychodzę! Powoli! Najpierw pokażę ręce! - W chwili gdy wyszedł zza drzwi, z rękoma wysoko nad głową, światło latarki oślepiło go. Poczul się jeszcze bardziej bezbronny. Zdawało mu się, że czas zatrzymał się w miejscu. Policjant, jeśli nim naprawdę był (mimo odznaki na podłodze, Decker nie mógł się pozbyć wątpliwości), nie ruszał się, tylko mu się przypatrywał. A może to był zamachowiec, który właśnie do niego celował? Światło latarki kłuło Deckera w oczy. Miał ochotę opuścić rękę i osłonić wzrok, ale nie śmiał wykonać żadnego ruchu, żeby nie zdenerwować przyglądającej mu się osoby. Światło latarki opadło na jego nagość i powróciło na oczy. Nagle czas ruszył znowu. Światło poruszyło się i zbliżyło. Decker miał okropnie wyschnięte usta i wzrok tak oślepiiony, że nie był w stanie dostrzec wyłaniającej się, ciemnej postaci, nie widział, jak ta osoba jest ubrana, nie mógł jej zidentyfikować. Postać zbliżała się, ale Decker nadal nie wiedział, kto przed nim stoi. Zdrętwiały mu podniesione ręce. Poczul, że tamten mówi do niego, ale nie słyszał co. Niespodziewanie człowiek nachylił się blisko i Decker, jak przez mgłę, zaczął odróżniać wykrzykiwane do niego słowa.

- Nie słyszysz? Wreszcie dostrzegł przed sobą postawnego Latynosa ubranego w mundur.

- Niemal ogłuchłem! - Huk alarmu i dzwonięcie w uszach były rozdzierające.

- ...jesteś?

- Co? - Deckerowi wydawało się, że jego własny głos dociera z jakiegoś źródła daleko poza nim.

- Kim jesteś?

- Stephen Decker! Jestem właścicielem tego domu! Czy mogę opuścić ręce?

- Tak. Gdzie masz ubranie?

- Spałem, gdy się włamali! Nie mam czasu na wyjaśnienia! Moja przyjaciółka jest w podpiwniczeniu!

- Co? - W tonie policjanta zabrzmiało nie tyle niezrozumienie, co zdziwienie.

- Podpiwniczenie! Muszę ją stamtąd wyciągnąć! - Decker rzucił się w stronę pralni, światło latarki zakolysało się wraz z nim. Ręce mu drżały, gdy chwycił metalowe kółko wgłębione w klapę. Gwałtownie ją podciągnął i po omacku rzucił się w ciemność, po drewnianych schodach, wyczuwając woń ziemi i wilgoci oraz niepokojący zapach krwi.

- Beth! Nie mógł jej dostrzec.

- Beth! Od góry komórkę rozjaśniło światło latarki i Decker zobaczył Beth zwiniętą, trzęsącą się w kacie. Ruszył w jej stronę, niemal uciekając z kręgu światła, ale zdążył zauważyć, jak blada jest twarz Beth. Prawe ramię i pierś miała umazane krwią.

- Beth! Uklęknął i przytulił ją nie zwracając uwagi na brud i pajęczyny, które się do niego przykleiły. Poczul, jak Beth łka.

- Wszystko dobrze. Jesteś bezpieczna. Jeśli nawet odpowiedziała, nie dotarło to do niego. Nie słyszał i był zbyt pochłonięty wyprowadzeniem jej po stopniach na górę. Policjant również pomagał Beth, zaskoczony jej nagością. Decker okrył ją brudną koszulą z kosza w pralni. Beth ledwo trzymała się na nogach i musiał ją podtrzymywać, gdy szli korytarzem do frontowych drzwi. Deckerowi zdawało się, że policjant coś do niego krzyczy, ale nadal nie słyszał.

- Wyłącznik alarmu jest koło drzwi frontowych! Wyłączę go! Sięgnął do wyłącznika na ścianie przy wyjściu z korytarza i przez chwilę zastanawiał się, dlaczego wyłącznik jest podświetlony, skoro prąd został odcięty. Przypomniało mu się, że system alarmowy ma baterię, która wspomaga główne zasilanie. Wcisnął cyfry kodu, i gdy alarm ucichł, z ulgą rozluźnił ramiona.

- Dzięki Bogu - wymamrotał, gdyż teraz dokuczało mu już tylko dzwonięcie w uszach. Wciąż podtrzymywał Beth. Z przerażeniem poczul, że Beth wymiotuje. - Potrzebna jej karetka pogotowia.

- Gdzie jest telefon?krzyknął policjant.

- Nie działa! Prąd jest odcięty! Telefony są nieczynne! - Deckera nie bolały już tak bardzo uszy, słyszał troszkę lepiej.

- Co tu się stało? Beth osunęła się bezwładnie. Decker przytrzymał ją i opuścił na ceglaną podłogę w przedpokoju. Poczłł chłodny wiatr od otwartych drzwi frontowych.

- Sprowadź pomoc! Ja z nią zostanę!

- Wykorzystam radio w wozie patrolowym! - Policjant ruszył szybko do auta. Decker spojrzł w tamtą stronę i ujrzał dwa nieruchome światła reflektorów świecące za bramę dziedzińca. Kiedy policjant zniknął w ciemności, Decker uklęknął przy Beth i gładził jej czoło.

- Trzymaj się. Nic ci nie będzie. Zaraz sprowadzimy karetkę. Następnie dotarło do niego, że policjant wrócił i że pochyła się nad nim, mówiąc coś, czego Decker nie słyszał.

- Karetka przyjedzie lada chwila. - Decker odezwał się do Beth. Jej czoło było wilgotne i zimne. - Wszystko będzie dobrze. - Muszę ją okryć, przeszło Deckerowi przez myśl. Musi być jej ciepło. Szybko otworzył szafę, chwycił płaszcz i rozłożył go na Beth. Policjant pochylił się bliżej Deckera i mówił głośniej. Teraz Decker usłyszał.

- Gdy przyjechałem, drzwi frontowe były otwarte! Co się stało? Mówiłeś, że ktoś się włamał?

- Tak. - Decker nadal gładził włosy Beth, pragnąc, by policjant zostawił go w spokoju. - Musieli się włamać od przodu i od tyłu.

- Oni?

- Ten facet w korytarzu. Pozostali.

- Pozostali?

- W mojej sypialni.

- Co?

- Trzech. Może czterech. Wszystkich zastrzeliłem.

- Jezu! - powiedział policjant.

* * *

Rozdział piąty

Na obszernym zwirowanym podjeździe przed domem Deckera lśniły krzyżujące się reflektory. Warczały silniki. Trzeszczały radia. Niesamowicie oświetlone sylwetki samochodów zdawały się panoszyć wszędzie; radiowozy, furgonetki, ogromna ciężarówka serwisowa z Wydziału Robót Publicznych Nowego Meksyku, karetka pogotowia odjeżdżająca szybko. Decker, nagi pod płaszczem, który nie zakrywał mu kolan, oparł się, drżąc, o stiukowy mur obok bramy prowadzącej na otwarty dziedziniec i wpatrywał bezradnie w oddalające się światła karetki. Nie zwracał uwagi na policjantów, którzy migotając latarkami, przeszukiwali teren wokół domu, podczas gdy ekipa śledcza przenosiła obok niego swój sprzęt.

- Przykro mi - odezwał się jeden z policjantów, postawny Latynos, który przybył pierwszy, i który w końcu przedstawił się jako oficer Sanchez. Wiem, jak bardzo chciałby pan pojechać ze swoją przyjaciółką do szpitala, ale jest pan tutaj potrzebny, żeby odpowiedzieć jeszcze na kilka pytań. Decker się nie odezwał, tylko nadal wpatrywał się w stronę świateł karetki znikających w ciemności.

- Pielęgniarki z karetki powiedzieli, że nic jej nie będzie - ciągnął dalej Sanchez. - Pocisk przeszedł przez prawe ramię. Zdaje się, że nie uszkodził kości. Powstrzymali krwawienie.

- Szok - oświadczył Decker. - Moja przyjaciółka jest w szoku. Policjant stracił pewność siebie, nie bardzo wiedząc co odpowiedzieć.

- No tak, jest w szoku.

- A od szoku można umrzeć. Światła karetki zniknęły. Decker odwrócił się i dostrzegł nerwowe poruszenie pomiędzy furgonetką i potężną ciężarówką serwisową Wydziału Robót Publicznych Nowego Meksyku. Zesztywniał, gdy zobaczył, jak policjanci popędzają dwóch cywilów. Ta dziwna grupka zdążyła w jego kierunku. Czyżby policja złapała kogoś, kto miał związek z napadem? Decker z wściekłością podszedł bliżej w stronę otwartej bramy, ignorując Sancheza i przyglądając się postaciom prowadzonym w jego stronę. Gdy najbliższe reflektory ostro oświetliły ich twarze, Decker zobaczył, że jest to mężczyzna i kobieta, i natychmiast jego złość zelżała. Gdy się zbliżali, dwóch obstawiających ich policjantów miało zdecydowany wyraz twarzy.

- Znaleźliśmy ich przy drodze. Twierdzą, że są sąsiadami.

- Tak. Mieszkają po drugiej stronie ulicy. - W uszach Decker nadal odczuwał tępe dzwonienie, ale już nie tak dokuczliwe. - To państwo Hanson.

- Usłyszeliśmy strzały - odezwał się Hanson, niski mężczyzna z brodą.

- I pański alarm dodała siwowłosa żona Hansona. Oboje mieli na sobie zmiętoszone ubrania i wyglądali, jakby ubierali się w pośpiechu. Z początku myśleliśmy, że się mylimy. Że te strzały nie mogą dochodzić z pańskiego domu. Trudno było w to uwierzyć.

- Ale wciąż nas to martwiło - powiedział Hanson. - Zadzwoniliśmy na policję.

- I całe szczęście, że zadzwoniliście - odparł Decker. - Dziękuję.

- Czy nic się panu nie stało?

- Chyba nie. - Ciało bolało Deckera od napięcia. - Nie jestem pewien.

- Co tu zaszło?

- Ja też chciałbym zadać to pytanie - wtrącił się jakiś głos. Decker zaskoczony spojrzął za bramę, gdzie pojawił się jakiś mężczyzna i zbliżał się pomiędzy reflektorami. Był wysoki, muskularny, ubrany w kowbojski kapelusz, płócienną koszulę, wyblakłe dżinsy i zakurzone buty kowbojskie. Gdy oficer Sanchez poświecił w jego stronę latarką, Decker zauważył, że mężczyzna jest Latynosem. Miał szczupłą, przystojną twarz, zamyślony wzrok i ciemne włosy, które opadały mu na ramiona. Wyglądał na jakieś trzydzieści pięć lat.

- Cześć, Luis. - Mężczyzna skinął na powitanie głową w stronę Sancheza.

- Cześć, Federico. - Sanchez odwzajemnił ukłon. Nowo przybyły przyglądał się Deckerowi.

- Jestem detektywem, sierżant Esperanza. - Mówił z hiszpańskim akcentem, z ostrym, brzmącym „r”. Przez krótką chwilę Deckerowi przypomniało się, że esperanza znaczy po hiszpańsku „nadzieja”.

- Wiem, że to było dla pana potworne doświadczenie, panie...?

- Decker. Stephen Decker.

- Jest pan pewnie przerażony. Nie wie pan, co się dzieje. Martwi się pan o swoją przyjaciółkę. Ona się nazywa...?

- Beth Dwyer.

- Czy mieszka tutaj z panem?

- Nie - odparł Decker. - Mieszka tuż obok. Esperanza zastanowił się nad tym, próbując wyciągnąć logiczne wnioski.

- Im prędzej dojdę do tego, co się stało, tym szybciej będzie pan mógł odwiedzić ją w szpitalu. Więc gdyby zechciał się pan udać ze mną, żebym mógł zadać kilka pytań... Nagle nad frontowymi drzwiami zapaliło się światło sterowane czujnikiem ruchu. Jednocześnie rozbłysła lampa w przedpokoju i rzuciła blask przez otwarte drzwi frontowe. Decker usłyszał odgłosy zadowolenia ze strony policjantów przeszukujących teren na zewnątrz domu.

- Wreszcie - powiedział Esperanza. - Wygląda na to, że Wydział Robót Publicznych Nowego Meksyku w końcu rozwiązał problem braku prądu. Czy mógłby pan powiedzieć oficerowi Sanchezowi, gdzie znajdują się włączniki oświetlenia zewnętrznego? Deckera drapało w gardle, jakby wdychał kurz.

- Tuż za frontowymi drzwiami. Sanchez włożył gumowe rękawiczki i wszedł do środka. Po chwili wzdłuż ogrodzenia dziedzińca i pod portalem prowadzącym do drzwi frontowych rozbłysły światła. Następnie Sanchez zapalił światło w salonie i przyjemny blask oświetlił również dziedziniec.

- Świetnie - stwierdził Esperanza. W świetle widać było, że przy pasie ma dziewięćmilimetrową beretkę. Wyglądał jeszcze szczuplej niż w skąpym świetle reflektorów i latarki. Miał smagłą twarz człowieka, który dużo przebywa na powietrzu. Śniada skóra pocięta była drobnymi zmarszczkami. Właśnie miał zadać pytanie, gdy przyszedł policjant i wskazał gestem na człowieka stojącego za otwartą bramą, który miał na kombinezonie wymalowany napis: ROBOTY PUBLICZNE STANU NOWY MEKSYK.

- Tak, chcę z nim porozmawiać. Przepraszam - zwrócił się do Deckera i odszedł w stronę robotnika. Hansonowie zdawali się zdezorientowani w całym tym zamieszaniu.

- Zechcą państwo pójść za mną? - spytał ich oficer. - Muszę zadać kilka pytań.

- Jeśli moglibyśmy w czymś pomóc.

- Dziękuję - powtórzył Decker. - Jestem wam bardzo wdzięczny. Esperanza minął ich wracając.

- Będzie panu wygodniej, jeśli porozmawiamy o tym wewnątrz - odezwał się do Deckera.

- Na pewno jest panu zimno w nogi.

- Co? W nogi?

- Nie ma pan butów. Decker spojrzał na swoje bosa stopy.

- Tyle się działo, że zapomniałem.

- I pewnie chce pan włożyć na siebie coś zamiast tego płaszcza.

- W sypialni była strzelanina. Esperanzę zaskoczyła nagła zmiana tematu.

- I w garderobie - dodał Decker.

- Tak? - Esperanza przyglądał mu się badawczo.

- Tylko tam trzymam ubrania. Teraz Esperanza zrozumiał.

- Racja. Dopóki zespół z laboratorium nie skończy pracy w sypialni, obawiam się, że nie będzie pan tam mógł niczego dotknąć. - Przyjrzał się Deckerowi jeszcze uważniej i gestem zaprosił go do domu.

- Odciepli prąd przy słupie, obok pańskiego domu - oznajmił Esperanza. Siedział z Deckerem przy stole kuchennym, a policjanci, zespół śledczy i specjalista medyczny badali

sypialnię i pralnię. Błyskały flesze; fotografowie policyjni robili zdjęcia. Deckera wciąż bolały bębenki w uszach, ale dzwonięcie osłabło. Słyszał chrapliwe tarcie rozpakowywanego sprzętu, paplaninę głosów, jakiegoś mężczyznę mówiącego coś o „polu bitewnym”

- Słup znajduje się trzydzieści jardów od drogi, za drzewami - powiedział Esperanza. - Nie ma latarni. Domy stoją w dużych odległościach od siebie. W środku nocy nikt nie zauważył, że ktoś wspiał się na słup i odciął dopływ prądu. To samo dotyczy linii telefonicznej. Przecięli ją w skrzynce z boku domu. Mimo płaszcza, który narzucił na siebie, Decker wciąż trząsł się po odpływie fali adrenaliny. Spojrzał w stronę salonu, gdzie wchodzili i wychodzili członkowie ekip. Nie przestawał myśleć o Beth. Co się dzieje w szpitalu? Czy Beth nic nie jest?

- Włamywacze mieli w portfelach dowody osobiste - oświadczył Esperanza. - Sprawdzimy ich tożsamość. Może to nam coś wyjaśni. Ale... Panie Decker, jak pan myśli, o co w tym chodzi? Niezłe pytanie, prawda? pomyślał Decker. O co, na Boga, w tym wszystkim chodzi? Podczas ataku tak był pochłonięty tym, żeby nie dać się zaskoczyć i żeby ochronić Beth, że nie miał czasu przemyśleć wydarzeń. Kim, do diabła, byli ci ludzie? Dlaczego się włamali? Mimo oszołomienia wiedział na pewno dwie rzeczy - atak miał coś wspólnego z jego wcześniejszym trybem życia i ze względu na bezpieczeństwo kraju nie mógł Esperanzie nic na ten temat powiedzieć.

- Pewnie to byli złodzieje - oświadczył.

- Złodzieje na ogół pracują pojedynczo lub parami - zauważył Esperanza. - Czasami we trójkę. Ale nigdy, jak mi mówi doświadczenie, we czwórkę. Chyba że chcą ukraść coś wielkiego - na przykład meble, ale w takim wypadku używają furgonetki, a nie znaleźliśmy tu żadnej. Właściwie to nie znaleźliśmy w okolicy ani jednego pojazdu, który by wzbudzał podejrzenia. Co więcej, wybrali kiepski okres na włamanie. Wczoraj wieczorem rozpoczęła się fiesta. Większość ludzi wychodzi, żeby się zabawić. Ze strony złodziei mądrze byłoby obserwować dom, poczekać, aż pan wyjdzie, i wtedy włamać się, natychmiast gdy zapadnie ciemność. Ci faceci byli na tyle bystrzy, że odcięli prąd i telefon. Nie rozumiem, dlaczego nie starczyło im rozsądku, żeby dobrze zaplanować to w czasie. Decker czuł zmęczenie. Napięty i wyczerpany, pomasaował sobie czoło,

- Może nie myśleli rozsądnie? Może byli pod wpływem narkotyków? Kto, do licha, może wiedzieć, jaki jest sposób rozumowania włamywaczy?

- Włamywacze z karabinem z upiłowaną lufą, z dwoma uzi i z MAC-10. Czy ci faceci przypuszczali, że będą tu musieli stawić czoło drużynie antyterrorystycznej?

- Sierżancie, pracowałem przedtem w Aleksandrii, w Wirginii. Często jeździłem do Waszyngtonu. Z tego co słyszałem w telewizji i co czytałem w gazetach, podobno każdy handlarz narkotykami i złodziej samochodów ma MAC-10 albo uzi. Karabiny półautomatyczne są dla nich symbolem statusu.

- Na wschodzie. Ale to jest Nowy Meksyk. Od jak dawna pan tu mieszka?

- Od jakichś piętnastu miesięcy.

- Więc wciąż się pan uczy. Albo może już się pan zorientował, że nie bez powodu mówi się na to miejsce „odmienne miasto”. Tutaj pod wieloma względami wciąż mamy Dziki Zachód. Postępujemy według staromodnych zasad. Jeśli chcemy kogoś zastrzelić, używamy pistoletu albo broni myśliwskiej. Przez piętnaście lat pracy w policji nigdy nie miałem do czynienia z zamachem, w którym użyto by wiele broni. Przy okazji, panie Decker...

- Tak?

- Służył pan kiedykolwiek w jakiejś organizacji paramilitarnej?

- W organizacji paramilitarnej? Nie. Sprzedaję nieruchomości. A czemu pan sądzi, że...?

- Oficer Sanchez mówił, że gdy was znalazł, zachowywał się pan tak, jakby znał pan zasady postępowania policyjnego i wiedział, co może odczuwać policjant w potencjalnie groźnej sytuacji. Mówił, że położył pan nacisk na fakt, iż będzie pan miał ręce podniesione

do góry w chwili wychodzenia z pralni, z dłońmi odwróconymi w jego stronę. To bardzo niezwykle zachowanie. Decker tarł obolałe czoło.

- To mi się wydawało po prostu logiczne. Obawiałem się, że oficer pomyśli, iż to ja stanowię zagrożenie.

- A gdy powiedziałem, żeby się pan ubrał, było dla pana jasne, że nie można iść do sypialni po ubranie, dopóki zespół śledczy nie skończy pracy.

- To też wydawało się logiczne. Chyba oglądałem dużo kryminałów w telewizji.

- A gdzie nauczył się pan tak dobrze strzelać?

- W wojsku.

- Ach tak - powiedział Esperanza.

- Niech pan posłucha, muszę się dowiedzieć, co się dzieje z moją przyjaciółką. Esperanza skinął głową.

- Tak się o nią martwię, że ledwo mogę się skupić. Esperanza ponownie skinął głową.

- Mam pomysł. Może zatrzymamy się w szpitalu po drodze na posterunek?

- Na posterunek? - powtórzył Decker.

- Żeby mógł pan złożyć zeznanie.

- Czy to, co teraz robię, to nie jest składanie zeznania?

- Na posterunku będzie oficjalne. Telefon, pomyślał Decker. Muszę dostać się do telefonu i skontaktować ze swoim dawnym pracodawcą. Muszę ich poinformować, co zaszło. Muszę się dowiedzieć, jak mam postępować. Do kuchni wszedł policjant.

- Sierzancie, specjalista medyczny twierdzi, że pan Decker może już wejść do sypialni i wziąć ubranie. Decker wstał.

- Skoro już tam idziemy, to rozejrzyjmy się trochę - zaproponował Esperanza. -

Pomógłby nam pan pokazując dokładnie, jak to było. Również...

- Tak?

- Wiem, że to będzie trudne, ale to jest nadzwyczajna sytuacja. Oszczędziłoby nam masę czasu, gdybyśmy się dowiedzieli od razu, zamiast czekać do jutra.

- Nie rozumiem, o co chodzi - powiedział Decker. - Czego pan ode mnie oczekuje?

- Żeby pan spojrział na twarze.

- Co?

- Zabitych. Tutaj, a nie w kostnicy. Może będzie ich pan mógł rozpoznać. Przedtem, w ciemności, na pewno nie widział pan, jak wyglądają. Teraz, kiedy jest widno... Decker chciał spojrzeć na ciała i przekonać się, czy je poznaje, ale udawał, że sprawia mu to trudności.

- Nie wiem, czy mój żołądek wytrzyma... Mogę wymiotować.

- Nie będziemy pana zmuszać. Są inne metody. Ekipa śledcza robi zdjęcia. Albo może pan obejrzy ciała później, w kostnicy. Ale zdjęcia nie zawsze wychodzą naturalnie, zeszywnienie pośmiertne może zniekształcić rysy tak, że ludzie ci nie będą się panu wydawali znajomi, nawet jeśli już ich pan wcześniej widział. Jednak teraz, tuż po napadzie, zawsze jest szansa, że... Decker nie mógł przestać myśleć o Beth. Musi dostać się do szpitala. Nadal markując niechęć powiedział:

- Boże dopomóż. Zgoda, obejrzę ich.

Decker, ubrany w dzinsy i szary bawełniany sweter, usiadł na twardym krześle w prawie opustoszałej poczekalni izby przyjęć szpitala St Vincent's. Zegar na ścianie wskazywał prawie wpół do siódmej. Światłówki pod sufitem raziły w oczy. Po lewej stronie, za drzwiami poczekalni, Esperanza rozmawiał z policjantem, który stał obok nastolatka z posiniaczoną twarzą, przypiętego do noszy na kółkach. W zniszczonych butach, spranych dzinsach, z włosami do pasa i w skórzanym kapeluszu kowbojskim, Esperanza w ogóle nie wyglądał na oficera policji. Pielęgniarka popchnął wózek przez automatyczne drzwi wahadłowe na oddział pierwszej pomocy, Esperanza wszedł do jasno oświetlonego pomieszczenia. Długie nogi i

chuda sylwetka sprawiały, że poruszał się sprężysto, krokiem, który przywodził Deckerowi na myśl panterę. Detektyw wskazał dłonią na nosze.

- Ofiara wypadku. Jazda po pijanemu. Weekend fiesty. Typowe. Czy są jakieś wieści o pana przyjaciółce?

- Nie. Recepcjonistka powiedziała, że lekarz zaraz do mnie zejdzie. Decker osunął się niżej na krześle. Miał wrażenie, jakby ktoś ścisnął mu głowę pasem. Pomasażował twarz z drapiącym zarostem. Poczował na dłoniach zapach prochu. Wciąż myślał o Beth.

- Czasami, w chwili stresu, następują zaniki pamięci - powiedział Esperanza. - Jest pan pewien, że te ciała nikogo panu nie przypominały?

- Wydaje mi się, że nie widziałem ich nigdy przedtem. - Decker wciąż czuł zapach krwi. Zabici mężczyźni wszyscy wyglądali na ponad dwadzieścia lat. Byli krzepcy, w ciemnych ubraniach i mieli śródziemnomorskie rysy wyglądali na Greków lub Francuzów. A może...? Zeszłej nocy, na przyjęciu z okazji fiesty, Decker rozmyślał nad swoją ostatnią misją, zleconą przez CIA. Rzym. Czy ci zamachowcy o oliwkowej cerze mogli pochodzić z Włoch? Czy atak na dom mógł mieć coś wspólnego z wydarzeniami w Rzymie, piętnaście miesięcy temu? Gdyby tylko Esperanza zostawił go samego wystarczająco długo, żeby zdążył zadzwonić.

- Panie Decker, pytałem pana, czy służył pan kiedyś w jakichś oddziałach paramilitarnych, ponieważ nie mogę pojąć, jak pan zdołał tego dokonać. Włamuje się czterech mężczyzn z bronią maszynową. Ostrzeliwiają cały dom. A panu udaje się zabić całą czwórkę z pistoletu. Czy nie sądzi pan, że to dziwne?

- Wszystko w tej sprawie jest dziwne. Wciąż nie mogę uwierzyć...

- Większość ludzi byłaby tak sparaliżowana strachem, że ukryliby się, gdyby usłyszeli, że ktoś się włamuje.

- Właśnie dlatego pobiegliśmy z Beth do garderoby.

- Ale najpierw złapał pan z szuflady pistolet. Wspominał pan, że jest pan pośrednikiem handlu nieruchomościami.

- Tak.

- Dlaczego odczuwał pan potrzebę trzymania pistoletu przy łóżku?

- Ochrona domu.

- Cóż, z doświadczenia wiem, że pistolety do ochrony domu nie na wiele się zdają powiedział Esperanza. Dlatego, że ich właściciele nie bardzo potrafią się nimi posługiwać. Kończy się to ranami postrzałowymi członków rodziny. Zostają ranni niewinni świadkowie. Och, mamy w okolicy pełno klubów strzeleckich. I jest bardzo wielu myśliwych. Ale to nieważne, jak często trenował pan strzały z pistoletu na strzelnicy ani jak często chodzi pan na polowania - kiedy na kogoś napada czterech mężczyzn z ciężką bronią, to ma szczęście, jeśli jeszcze zdąży zsiąść ze strachu w spodnie, zanim go zabiją.

- Nie przeczę, że się bałem.

- Ale to nie ograniczyło pana zdolności. Gdyby służył pan wcześniej w jakiejś organizacji paramilitarnej, przechodziłby pan szkolenia z bronią palną, wtedy to wyjaśniałoby wiele.

- Mówiłem panu, że byłem w wojsku.

- Tak. - Zmarszczki wokół oczu Esperanzy pogłębiły się. - Mówił mi pan o tym. W jakiej jednostce pan służył?

- W wojskach desantowych. Nie wiem, do czego pan zmierza - zniecierpliwiał się Decker.

- W wojsku nauczono mnie, jak się posługiwać pistoletem, i gdy nadszedł właściwy moment, miałem szczęście, że pamiętałem, jak się go używa. Kiedy z panem rozmawiam, czuję się, jakbym źle postąpił. Czy to zbrodnia bronić siebie i przyjaciółkę przed zgrają, która włamuje się do domu i zaczyna strzelać? Wszystko jest postawione na głowie. Te dranie są dobrymi facetami, a porządni obywatele...

- Panie Decker, nie twierdzą, że postąpił pan źle. Będzie dochodzenie, a potem złożą pan zeznania przed sądem. Takie jest prawo. We wszystkich przypadkach zgonów, których przyczyną było użycie broni palnej, nawet tych uzasadnionych, należy przeprowadzić bardzo

szczegółowe śledztwo. Ale prawda jest taka, że podziwiam pańską pomysłowość i przytomność umysłu. Niewielu jest obywateli, którzy przetrwaliby to, przez co pan przeszedł. Powiem więcej, nie wiem, czyja potrafiłbym lepiej dać sobie radę w pańskiej sytuacji.

- Więc nie rozumiem. Skoro nie twierdzi pan, że postąpiłem źle, to o co panu chodzi?

- Po prostu czynię obserwacje.

- Powiem panu wobec tego, jaka jest moja obserwacja. Jestem żywy tylko dlatego, że się zezłościłem. Wściekłem się. Te dranie włamały się do mojego domu. Sukinsyny. Postrzeliły moją przyjaciółkę. Te... tak się wkurzyłem, że przestałem się bać. Zależało mi jedynie na tym, żeby ocalić Beth i, na Boga, udało mi się. Jestem z tego dumny. Nie wiem, czy powinienem panu o tym mówić, ale jestem dumny. I być może czegoś takiego również nie należy mówić oficerowi policji, ale powiem. Do diabła, gdybym musiał, zrobiłbym jeszcze raz dokładnie to samo i nadal byłbym z tego dumny. Bo powstrzymałem tych łotrów od zabicia Beth.

- Jest pan niezwykłym człowiekiem, panie Decker.

- Gdzie tam, nie jestem bohaterem.

- Tego nie powiedziałem.

- Miałem po prostu cholerne szczęście.

- Zgadza się. W drzwiach poczekalni pojawił się lekarz w zielonym szpitalnym kubraku ze stetoskopem przewieszonym na szyi. Był niski i szczupły, miał ponad trzydzieści lat. Nosił małe, okrągłe okulary.

- Czy jeden z panów to Stephen Decker? Decker wstał szybko.

- Może mi pan powiedzieć, jak się czuje moja przyjaciółka?

- Postrzał naruszył tkankę mięśniową, tuż poniżej ramienia. Powstrzymaliśmy krwawienie. Wyczyściliśmy i zszyliśmy ranę. Dobrze zniosła zabiegi. Jeśli nie nastąpią nieprzewidziane komplikacje, powinna bez przeszkód wrócić do zdrowia. Decker zamknął oczy i wymamrotał:

- Dzięki Bogu.

- Tak, jest za co dziękować - dodał lekarz. - Gdy pana przyjaciółka przybyła do szpitala, była w stanie szoku. Miała niskie ciśnienie krwi, nierówny puls. Na szczęście te czynności organizmu są już takie jak zwykle. Jak zwykle? - pomyślał Decker. Bał się, że już nigdy nie będzie jak zwykle.

- Kiedy wróci do domu?

- Zobaczymy, w jakim tempie polepszy się jej stan.

- Czy mogę się z nią zobaczyć?

- Musi odpocząć. Nie może pan zostać zbyt długo. Esperanza zrobił krok do przodu.

- Czy jest na tyle przytomna, żeby złożyć zeznanie? Lekarz potrząsnął głową.

- Gdybym nie uważał, że wizyta pana Deckera może być pomocna w jej rekonwalescencji, nawet jemu nie zezwoliłbym na odwiedzinę.

Beth była blada. Jej kasztanowe włosy, zawsze tak puszyste, były poplątane, bez połysku. Oczy miała zapadnięte. Ale Deckerowi nigdy nie wydawała się piękniejsza. Gdy lekarz wyszedł, Decker zamknął drzwi, żeby stłumić odgłosy z korytarza. Przyglądał się Beth jeszcze przez chwilę, poczuł ucisk w gardle, podszedł do łóżka, wziął jej rękę, pochylił się i pocałował.

- Jak się czujesz? - Uważał, żeby nie dotknąć rurki kroplówki, która prowadziła do lewego ramienia Beth. Obojętnie wzruszyła ramionami. Najwyraźniej była pod wpływem środków przeciwbólowych.

- Lekarz mówi, że dochodzisz do siebie bez problemów - pocieszył ją Decker. Beth usiłowała coś powiedzieć, ale Decker nie mógł zrozumieć co. Spróbowała jeszcze raz,

polizała suche usta i wskazała na plastikowy kubek z wodą. Do kubka była wetknięta zginana rurka, którą Decker wsadził Beth do ust. Napila się.

- Jak ty się czujesz? - spytała ochryplym głosem.

- Wstrząśnięty.

- Właśnie - powiedziała Beth z wysiłkiem.

- Jak tam twoje ramię?

- Boli. - Miała ciężkie powieki.

- Nie wątpię.

- Aż nie chcę myśleć, jak to będzie - wykrzywiła się - gdy przestaną działać środki przeciwbólowe. - Zdołała na moment zacisnąć palce na jego dłoni. Jej uścisk zelżał. Z trudem utrzymywała otwarte oczy. - Dziękuję.

- Nigdy nie pozwolę, żeby coś ci się stało.

- Wiem - odparła Beth.

- Kocham cię. Decker ledwo dosłyszał, co powiedziała.

- Kto...? Decker dokończył pytanie, które pewnie chciała zadać.

- Kto to zrobił? Nie wiem. - Poczul, jakby miał w ustach popiół. Myślał jedynie o tym, że gdyby nie on, kobieta, dla której był gotów poświęcić życie, nie znalazłaby się w szpitalu. - Ale wierz mi, mam zamiar się dowiedzieć. Beth go nie słyszała. Opadły jej powieki. Zasnęła. Z niewyspania oczy bolały Deckera od blasku porannego słońca, gdy Esperanza wiozł go Camino Lindo. Była niemal 9.30. Ostatnie dwie godziny spędzili na posterunku policji. Teraz Esperanza odwoził go do domu.

- Przepraszam za te niewygody powiedział detektyw ale sędzia śledczy sprawdzi, czy wyeliminowałem wszystkie, nawet najbardziej bzdurne możliwości. Decker starał się nie zdradzić ze swoimi obawami. Był zatrzważająco pewien, że zagrożenie wcale nie minęło, mimo że zastrzelił czterech mężczyzn, którzy dokonali zamachu. Musiał się dowiedzieć, kto i dlaczego ich przysłał. Był przekonany, że inna drużyna zamachowców już go obserwuje. Gdy minęła ich furgonetka z ekipą wiadomości telewizyjnych, prawdopodobnie filmowali dom, Decker pomyślał, że nie będzie w tym nic podejrzanego, jeśli się odwróci i popatrzy, jak auto znika u wylotu ulicy. Taka taktyka była dobrym sposobem sprawdzenia, czy nie jest śledzony, bez jednoczesnego prowokowania dalszej dociekliwości Esperanzy.

- Na przykład istnieje taka bzdurna hipoteza, że Stephen Decker jest handlarzem narkotyków, który zdecydował się odciąć od swoich przyjaciół - powiedział Esperanza. - Nie dotrzymał składanych obietnic. Nie oddał im pieniędzy. Więc decydują się dać mu nauczkę i wysyłają czterech facetów, żeby go sprzątnęli. Ale Stephen Decker jest myślącym gościem. Dopada ich pierwszy. A potem ustawia wszystko w taki sposób, żeby wyglądało, że jest niewinnym człowiekiem, który ledwo uszedł z życiem.

- Trzeba doliczyć jeszcze fakt, że moja przyjaciółka została postrzelona.

- To jest tylko hipotetyczna możliwość. - Esperanza machnął ręką. - To jedna z wielu teorii. Sędzia sprawdzi, czy wszystkie je wziąłem pod uwagę. Detektyw zatrzymał wóz policyjny na ulicy przed domem Deckera. Nie mógł zaparkować na podjeździe, ponieważ blokowała go furgonetka i dwa inne radiowozy. - Zdaje się, że ekipa śledcza jeszcze nie skończyła. Na wymarzony prysznic będzie pan musiał jeszcze trochę poczekać.

- I to z kilku powodów. Właśnie sobie przypomniałem, że jeden z włamywaczy rozwalił strzałem termę. Lepiej niech mnie pan podwiezie do następnego domu. Na twarzy Esperanzy przez chwilę malowało się zdziwienie. Po chwili skinął ze zrozumieniem głową.

- Racja, wspominał pan, że pańska przyjaciółka mieszka obok.

- Mam klucz - powiedział Decker. Gdy przejeżdżali obok kilku gapiów, którzy zebrali się na skraju ulicy i z nie skrywanym zainteresowaniem przyglądali się radiowozowi, Decker myślał bezustannie, z napiętymi mięśniami, czy ktoś z tego tłumu nie stanowi dla niego zagrożenia.

- Gdy pan mieszkał w Aleksandrii, w Wirginii, jak się nazywała agencja handlu nieruchomościami, dla której pan pracował? - spytał Esperanza.

- Agencja RawleyHackman.

- Pamięta pan ich numer telefonu?

- Nie używałem go chyba od roku, ale sądzę, że tak. - Decker udał, że szuka w pamięci, i podał numer, który Esperanza zapisał. - Jednak nie widzę powodu, żeby ich w to mieszać.

- To tylko rutynowe sprawdzenie wszystkich danych.

- Sierzancie, przez pana zaczynam się czuć jak kryminalista.

- Przeze mnie? - Esperanza popukał palcami w kierownicę. - Jeśli przypomniałoby się panu coś, czego mi pan nie powiedział, będę w pańskim domu. Decker, wyczerpany, zamknął za sobą drzwi domu Beth i oparł się o nie. W napięciu wsłuchiwał się w spokój glinianych ścian. Natychmiast poszedł do salonu i podniósł słuchawkę telefonu. W normalnych okolicznościach poczekałby, aż nadarzy się sposobność, by skorzystać z automatu, ale nie mógł sobie pozwolić na dalszą zwłokę, a poza tym, to już nie były normalne okoliczności. Próbując się zabezpieczyć, zadzwonił na koszt abonenta, żeby numer jego rozmówcy nie został ujęty w rachunku telefonicznym Beth.

- Agencja RawleyHackman - odezwał się uprzejmy męski głos.

- Rozmowa na pański koszt od pana Martina Kowalsky oznajmiła telefonistka. - Czy pan ją przyjmie? Martin Kowalsky, nazwisko, które Decker podał telefonistce, było hasłem w nagłej sytuacji.

- Tak - odparł natychmiast głos. - Przyjmę.

- Proszę mówić, panie Kowalsky. Decker nie był pewien, czy telefonistka się wyłączyła.

- Czy masz wyświetlony na konsolecie numer, spod którego dzwonię? zapytał.

- Oczywiście.

- Oddzwoń zaraz. Dziesięć sekund później zadzwonił telefon.

- Halo?

- Martin Kowalsky?

- Mój numer identyfikacyjny: osiem siedem cztery cztery pięć. Decker usłyszał dźwięk, który brzmiał, jakby ktoś wystukiwał cyfry na klawiaturze komputera.

- Stephen Decker?

- Tak.

- Z twoich danych wynika, że porzuciłeś pracę u nas w czerwcu w ubiegłym roku.

Dlaczego ponawiasz kontakt?

- Ponieważ zeszłej nocy czterech ludzi próbowało mnie zabić. Głos przez moment nie odpowiadał.

- Powtórz to. Decker powtórzył.

- Przełączam cię. W innym męskim głosie brzmiała nuta władzy.

- Opowiedz mi wszystko. Z wytrenowaną zwięzłością Decker zdał szybko relację, dokładnie i żywo opisując szczegóły, podkreślając ich znaczenie zdecydowanym tonem.

- Uważasz, że ten napad jest powiązany z twoją dawną pracą u nas? spytał pracownik CIA.

- To najbardziej oczywiste wyjaśnienie. Możliwe, że zamachowcy byli Włochami. Moja ostatnia misja miała miejsce we Włoszech. W Rzymie. Skończyła się absolutnym niepowodzeniem. Przejrzyjcie akta.

- Mam je w tej chwili na monitorze. Twoje powiązanie napadu, jaki miał miejsce zeszłej nocy, i tego, co zdarzyło się w Rzymie, jest bardzo kruche.

- Jest to jedyne powiązanie, jakie w tej chwili przychodzi mi do głowy. Chcę, żebyście to sprawdzili. Nie mam środków, aby... - Już nie jesteśmy za ciebie odpowiedzialni - powiedział głos zdecydowanie.

- Nie mówiliście tak, gdy odchodziłem. Obstawiliście mnie ze wszystkich stron. Myślałem, że wasze obserwacje ze względów bezpieczeństwa nigdy się nie skończą. Do

diabła, dwa miesiące temu wciąż jeszcze mnie śledziliście. Więc przestań chrzanić i posłuchaj przez chwilę. Sprawą zamachu na mnie zajmuje się pewien detektyw. Nazywa się Esperanza i wyraźnie coś mu nie pasuje w mojej historyjce. Jak na razie udało mi się go zwieść, ale jeśli coś mi się stanie, jeśli inna grupa zamachowców zdoła skończyć robotę zaczęłą przez tę zgraję, utwierdzi go to w podejrzeniach.

- Prześledzimy tę sprawę.

- Im szybciej, tym lepiej dla was - powiedział Decker i dodał z naciskiem: - Zawsze pozostałem lojalny. Oczekuję tego samego od was. Zabezpieczcie mnie w jakiś sposób. Dowiedzcie się, kto nasłał na mnie tych ludzi. Głos przez chwilę nie odpowiadał.

- Mam na monitorze numer twojego telefonu. Czy to miejsce jest wystarczająco bezpieczne, żebym mógł tam do ciebie zadzwonić?

- Nie. Ja będę musiał zadzwonić do was.

- Za sześć godzin. - Mężczyzna rozłączył się szybko. Decker od razu odłożył słuchawkę i zaskoczyło go, że telefon zadzwonił natychmiast. Zmarszczył brwi i odebrał go.

- Tak?

- Domyślam się, że jeszcze nie zdążył pan wziąć prysznic. - Rytmiczny, niemal śpiewny głos rozmówcy łatwo było rozpoznać. - Mówi Esperanza.

- Zgadza się. A skąd pan wie?

- Telefon był zajęty. Od jakiejś chwili usiłuję się z panem skontaktować.

- Musiałem zadzwonić do kilku klientów i odwołać oględziny domów.

- I skończył pan już? Mam nadzieję, że tak, bo chciałbym się z panem zobaczyć w pańskim domu. Mam pewne informacje, które pana zainteresują.

- Według dowodów tożsamości, ludzie, których pan zastrzelił, pochodzili z Denver - powiedział Esperanza. Znajdował się z Deckerem w salonie. Z tyłu pakowała się ekipa dochodzeniowa, wynosząc sprzęt do furgonetki i dwóch samochodów policyjnych.

- Ale Denver leży pięćset mil stąd ciągnął dalej Esperanza. To strasznie daleko, żeby przyjechać tylko po to, aby włamać się do czyjegoś domu i coś ukraść. Mogli to zrobić w Kolorado.

- Może przejeżdżali przez Santa Fe i zabrakło im pieniędzy? - zauważył Decker.

- To wciąż nie wyjaśnia, dlaczego posłużyli się bronią maszynową ani dlaczego tak szybko otworzyli ogień.

- Może zaskoczyło ich, że ktoś jest w domu?

- A może Denver to zły trop - powiedział Esperanza. - Policja z Denver sprawdziła dla mnie kilka rzeczy. Nikt o nazwiskach widniejących w tych dowodach nie mieszka pod tymi adresami. Właściwie trzy z tych adresów nie istnieją. Czwarty, to dom pogrzebowy.

- Ktoś miał wisielcze poczucie humoru.

- I dostęp do dobrze podrobionych kart kredytowych i praw jazdy. Musimy więc pogrzebać głębiej - stwierdził Esperanza. - Wysłałem do FBI ich odciski palców. Minie dzień lub dwa, zanim dowiemy się, czy federalni są w stanie dopasować te odciski do czegoś, co mają w kartotece. Powiadomiłem też Urząd do Spraw Alkoholu, i Broni Palnej. Numery seryjne na tych dwóch uzi i na MAC-10 zostały wypalone kwasem, ale oni mają sposoby na odtwarzanie numerów. Jeśli im się uda, może te numery wskażą nam właściwy kierunek działania. Na przykład, gdzie ta broń została kupiona. Albo, co bardziej prawdopodobne, skradziona. Ale nie dlatego chciałem z panem porozmawiać. Decker czekał z uwagą.

- Przejdźmy się. Chcę pokazać panu coś w tylnej części domu. Co pokazać? - zastanawiał się Decker. Zaniepokojony, poszedł z Esperanza korytarzem, mijając drzwi głównej sypialni. Ciało już usunięto. W powietrzu wciąż unosił się odór kordytu. Przez akumulujące światło okna w korytarzu, z których jedno zostało rozbite pociskiem, ostro świeciło słońce. Oświetlało poczerniałą i zakrzepłą na kafelkach krew. Decker spojrzął w stronę sypialni i zobaczył podziurawiony przez kule materac i poduszki. Czarny grafitowy proszek do

zdejmowania odcisków palców był wszechobecny. Przykleił się Esperanzie do ręki, gdy ten przekreślał klamkę drzwi na końcu korytarza.

- Słyszał pan, jak dobierają się do tego zamka. - Esperanza wyszedł do niewielkiego ogródka z jukami, różami i z niskimi, wiecznie zielonymi krzewami. - To było po tym, jak przedostali się przez ogrodzenie. Esperanza ruchem ręki przywołał Deckera, żeby wyjrzał ponad sięgający piersi mur.

- Widzi pan, gdzie jest zdeptana trawa po drugiej stronie? Na piasku poza trawą jest pełno śladów stóp. Te ślady pasują do obrysów butów, które mieli na sobie włamywacze. Esperanza poszedł dalej wzdłuż muru i przeskoczył na drugą stronę w miejscu, gdzie nie groziło zatarcie śladów. Począł, aż Decker do niego dołączy. Mrużąc oczy przed oślepiającym słońcem, Decker zeskoczył obok dwóch pasków żółtej taśmy do oznaczania miejsca zbrodni, którą policja rozwiesiła między piniami, żeby oddzielić odciski stóp.

- Ma pan dużą działkę. - Gdy szli wzdłuż śladów w dół zbocza, buty Esperanzy wydawały na kamienistym gruncie skrzypiący odgłos. Mijali juki, pinie i gęste zarośla sięgających do pasa krzaków artemisia, których nasiona nabrały musztardowego koloru, typowego dla nich we wrześniu. Esperanza przez cały czas wskazywał ślady. Schodzili z Deckerem pomiędzy jałowcami, po coraz bardziej stromym zboczu. Na dole ślady wiodły wzdłuż kanału, aż do obrośniętej topolami drogi, którą Decker poznał jako Fort Connor Lane. Ślady stały się niewidoczne, ale na żwirze widniały dwa wgłębienia jakby jakiś pojazd odjechał szybko.

- Ten spacer zajął nam więcej czasu, niż myślałem - powiedział Esperanza. - Kilka razy niewiele brakowało, abyśmy się poprzewracali. Decker przytaknął czekając, żeby policjant przeszedł do sedna.

- Za dnia. Niech pan sobie wyobrazi, jakie to musiało być trudne w nocy. Dlaczego zadali sobie tyle trudu? Niech pan spojrzysz na tę drogę. Tutejsze domy są kosztowne. Bardzo oddalone od siebie. Łatwy cel. Więc dlaczego ci czterej mężczyźni przyjechali tutaj, wysiedli z samochodu, i zamiast ułatwić sobie życie, zdecydowali się na spacer po najgorszych wertepach, jakie stworzył Bóg? Stąd nawet nie widać, czy nad nami są jakieś domy.

- Nie rozumiem, do czego pan zmierza - powiedział Decker.

- Nie wybrali pana domu przypadkowo. Do niego właśnie zdążali. Pan był ich celem.

- Co? Przecież to szaleństwo. Dlaczego ktoś mógłby chcieć mnie zabić?

- Właśnie - ciemny wzrok Esperanzy stał się przenikliwy. - Coś pan ukrywa.

- Ależ skąd - upierał się Decker. - Powiedziałem panu wszystko, co mi przyszło do głowy.

- To niech się pan zastanowi nad takim faktem. Ktoś odjechał ich samochodem.

Powiedzmy, że wróci z inną grupą ludzi, żeby dokończyć robotę.

- Sierżancie, czy pan próbuje mnie nastraszyć?

- Ustawię policjanta na straży przy pana domu. Decker nigdy nie czuł się tak nagi, jak wtedy, gdy zdjął ubranie i wszedł pod prysznic. Nie chciał już opuszczać swojego domu, jeśli nie było to absolutnie konieczne. Porzucił pomysł ponownego udania się do domu Beth, żeby tam się doprowadzić do porządku. Musiał zadowolić się zimną wodą płynącą z jego prysznic, co było niewielką niedogodnością wobec palącej potrzeby pozbycia się lepkiego uczucia potu i śmierci, które do niego przyłgnęło. Trzęsąc się, najszybciej jak mógł, umył włosy i całe ciało. Miał boleśnie nadwężone mięśnie. Ogolił się prędko. Ostrze podrażniło mu twarz. Włożył mokasyny, spodnie khaki i jasnobłękitną koszulę. Wybrał te kolory, ponieważ były stonowane i nie ściągały na niego uwagi. Żałował, że policja skonfiskowała mu pistolet i że nie kupił dwóch. Wziął reklamówkę pełną ubrań, które przyniósł z garderoby Beth w jej domu. Gdy wszedł do salonu, w którym czekał oficer Sanchez, starał się nie patrzeć na zaschniętą krew na podłodze w korytarzu.

- Muszę jechać do szpitala, żeby odwiedzić przyjaciółkę - powiedział Decker.

- Zawiozę pana. Postawny policjant ruszył przez dziedziniec i wszedł na podjazd.

Rozejrzał się i dał znak, że Decker może wsiąść do wozu policyjnego. Deckera martwiła grupa gapiów zebranych po drugiej stronie ulicy i pokazujących sobie jego dom, ale

ostrożność Sancheza była lepsza niż nic. Gdybym tylko miał pistolet, pomyślał Decker. Nie zwiodło go wyjaśnienie Esperanzy, dlaczego ma być pilnowany przez policję. Sanchez nie został z Deckerem tylko po to, żeby mu zapewnić bezpieczeństwo. Obecność policjanta stanowiła gwarancję, że Decker nie opuści miasta, zanim Esperanza znajdzie odpowiedź na trapiące go pytania. Pracownik wywiadu, z którym Decker rozmawiał przez telefon, powiedział: sześć godzin. Ale sześć godzin wydawało się wiecznością. Gdy Sanchez skręcał w St Michael's Drive, kierując się do szpitala, Decker spojrzął przez tylne okno, żeby sprawdzić, czy ktoś za nimi jedzie.

- Nerwy? - spytał Sanchez.

- Przez Esperanzę boję się cienia. A pan nie jest zdenerwowany? Teraz wydaje mi się pan trochę potężniejszy, niż gdy widzieliśmy się pierwszym razem. Coś mi się wydaje, że pod mundurem ma pan kamizelkę kuloodporną.

- Nosimy je cały czas.

- Oczywiście wierzę w to. Przed szpitalem Sanchez nie zatrzymał się na parkingu, lecz przed bocznym wejściem i rozejrzał się, zanim oznajmił, że można bezpiecznie wysiadać. Na trzecim piętrze potężny policjant podciągnął pas z bronią i stanął na warcie przed pokojem Beth, a Decker wszedł do środka.

- Jak się czujesz? - Decker przyglądał się Beth leżącej w szpitalnym łóżku. Serce wypełniało mu współczucie i żal. Znów zaczął się obwiniać, że pośrednio jest odpowiedzialny za to, co się stało. Beth zdołała się uśmiechnąć.

- Trochę lepiej.

- Wyglądasz znacznie lepiej. - Decker pocałował ją w policzek starając się nie potrącić temblaka na jej prawym ramieniu. Zauważył, że usunięto kroplówkę.

- Kłamczuch - powiedziała Beth.

- Naprawdę. Wyglądasz pięknie.

- Naprawdę wiesz, jak się zachować przy łóżku chorego. Mimo że włosy Beth nadal były matowe, sploty zostały rozczesane. Z opalonych policzków zniknęła bladość, jak również ciemne plamy wokół oczu. Szaroniebieskie oczy też odzyskały nieco blasku. Wracał jej urok.

- Nie masz pojęcia, jak się o ciebie martwiłem. - Decker dotknął jej policzka.

- Niepotrzebnie, jestem silna.

- To mało powiedziane. Jak tam ból?

- Boli jak diabli. Dowiedziałeś się czegoś? Czy policja doszła do tego, kto się włamał do domu?

- Nie. - Decker unikał jej wzroku.

- Opowiedz mi wszystko - nalegała Beth.

- Nie wiem co.

- Znam cię lepiej, niż ci się zdaje - powiedziała Beth. - Coś przede mną ukrywasz.

- ...To nie jest najwłaściwsza chwila na rozmowę na ten temat.

- Proszę cię, żebyś niczego przede mną nie taił. Decker westchnął.

- Detektyw, który prowadzi dochodzenie, nazywa się Esperanza. Uważa, że to nie był przypadek, że ci ludzie włamali się, żeby mnie zabić. Beth otworzyła szeroko oczy.

- Nie mam pojęcia, dlaczego ktoś mógłby chcieć to zrobić - skłamał Decker. - Ale Esperanza uważa, że... powinienem na siebie uważać przez ten czas, dopóki nie uda mu się ustalić, o co tu chodzi. Jest tu ze mną policjant. Na zewnątrz, w korytarzu. Przywiózł mnie tutaj. Jest kimś w rodzaju... Można by go chyba nazwać...

- Jak?

- Moim ochroniarzem. I...

- Powiedz mi wszystko. Decker spojrzął jej głęboko w oczy.

- Zbyt wiele dla mnie znaczysz. Nie chcę po raz drugi narazić cię na niebezpieczeństwo. Uważam, że gdy wyjdiesz ze szpitala, przez jakiś czas nie powinniśmy się widywać.

- Nie powinniśmy się widywać? - Beth zamrugnęła i wyprostowała się na łóżku.

- Co będzie, jeśli znowu dosięgnie cię pocisk wymierzony we mnie? To jest zbyt niebezpieczne. Musimy trzymać się z dala od siebie, do czasu aż Esperanza znajdzie odpowiedzi na swoje pytania; aż niebezpieczeństwo minie.

- Przecież to szaleństwo. Drzwi otworzyły się i ktoś wszedł bez pukania. Decker odwrócił się gwałtownie, nie wiedząc czego się spodziewać, i odetchnął z ulgą, gdy ujrzał niskiego, szczupłego lekarza, którego poznał, gdy przywieziono Beth do szpitala.

- Ach - odezwał się lekarz. - Pan Decker. Poprawa stanu pani Dwyer pewnie cieszy pana tak samo jak mnie. Decker starał się skryć emocje, które wzbudziła w nim konwersacja z Beth.

- Tak, jej stan poprawia się szybciej, niż sądziłem. Lekarz podszedł do Beth.

- W zasadzie jestem tak zadowolony, że panią wypuszczę. Beth wyglądała, jakby nie rozumiała, o czym lekarz mówi.

- Wypuści mnie pan? - Zamrugowała oczami. - Teraz? Mówi pan poważnie?

- Najzupełniej. Dlaczego? Nie cieszy się pani, że...

- Strasznie się cieszę. - Beth spojrzała znacząco na Deckera. - Tylko że to, co się stało, było tak przygnębiające...

- No to teraz w końcu dostała pani jakąś dobrą wiadomość - powiedział lekarz. - Będzie pani wypoczywać we własnym łóżku, w otoczeniu znajomych przedmiotów, dojdzie pani do szczytowej formy, zanim się pani obejrzy.

- Zanim się obejrzę - powtórzyła Beth, spoglądając na Deckera.

- Zatrzymałem się po drodze u ciebie i przywiozłem ci ubranie. - Decker podał jej reklamówkę, którą trzymał. - Nic szalowego. Dżinsy. Sweter. Tenisówki i skarpetki. Bielizna. - Ostatnia część garderoby wprawiła go w lekkie zażenowanie.

- Poproszę pielęgniarkę, żeby przyjechała z wózkiem - oznajmił lekarz.

- Ależ ja mogę chodzić - zaproponowała Beth. Lekarz potrząsnął głową.

- Zasady ubezpieczenia są takie, że mogę pozwolić pani na opuszczenie szpitala jedynie na wózku. Potem może już pani robić, co pani chce.

- Czy mogę chociaż ubrać się bez pomocy pielęgniarki?

- Z rannym ramieniem? Jest pani pewna, że da sobie radę?

- Tak. - Beth sprawdziła, czy ma porządnie zawiązany szlafrok szpitalny, i pozwoliła lekarzowi i Deckerowi pomóc sobie wstać z łóżka. - Proszę. Widzi pan? - Beth stała samodzielnie, lekko się chwiejąc, z temblakiem na prawym ramieniu. - Dam sobie radę.

- Pomogę ci się ubrać - powiedział Decker.

- Steve, ja...

- Co?

- Nie czuję się w tej chwili szczególnie atrakcyjnie. Właściwie to jestem taka zaniedbana, że aż mi wstyd. - Zaczerwieniła się. - Chętnie skorzystałabym z chwili prywatności.

- Nie ma czego się wstydzić. Ale jeśli chcesz, nie ma sprawy, poczekam na korytarzu. Kiedy będziesz gotowa, policjant odwiezie nas do domu. Gdybyś jednak potrzebowała pomocy...

- Z pewnością cię poproszę.

Sanchez sprawdził plac parkingowy i Decker nerwowo poprowadził Beth przez boczne drzwi szpitala. Bacząc na wszelkie podejrzane ruchy z boku dziedzińca, pomógł Beth wstać z wózka i usadzić się na tylnym siedzeniu samochodu policyjnego, cicho zamknął drzwi i zajął miejsce z przodu.

- Dlaczego zostawiłeś mnie tu samą z tyłu? - spytała Beth, gdy samochód ruszył - Decker nie odpowiedział.

- Och - głos jej przycichł, gdy się domyśliła. - Na wszelki wypadek zachowujesz między nami dystans.

- Nie daje mi spokoju nawet fakt, że jadę z tobą jednym samochodem stwierdził Decker.
- Jeśli Esperanza ma rację, będzie na mnie kolejny zamach i nie chcę narażać cię na niebezpieczeństwo. Nie mogę znieść myśli, że przeze mnie coś ci się może stać. - Kątem oka obserwował samochody z tyłu.

- A ja nie mogę znieść myśli, że będę od ciebie odseparowana - powiedziała Beth. - Czy jesteś naprawdę zdecydowany, że nie powinniśmy się widywać, dopóki to się nie skończy?

- Gdybym mógł wymyślić coś innego, aby cię nie narażać, wolalbym nie rozstawać się z tobą - zapewnił ją Decker.

- Możemy uciec i gdzieś się ukryć. Sanchez spojrział na nią do tyłu.

- Sierżantowi Esperanzie to by się nie spodobało. Mogę właściwie panią zapewnić, że zrobiliby wszystko, żeby odwieść panią od takiego zamiaru.

- To część pańskiego obecnego zadania, prawda? - spytał Decker. Pilnować, żebym nie opuścił terenu? Nie było odpowiedzi.

- Może lepiej zrobimy, jeśli nie będziemy wracać St Michael's Drive zaproponował Decker. - Niech pan pojedzie inną drogą, żebyśmy nie zachowywali się według łatwych do przewidzenia zasad. Sanchez popatrzył na niego dziwnie.

- Brzmi to, jakby nie pierwszy raz wydawało się panu, że ktoś pana obserwuje.

- Inna droga wydaje się logicznym środkiem ostrożności. - Decker odwrócił się do Beth.

- Wysadzimy cię koło twojego domu. Mówiłaś, że masz sprawy do załatwienia na wschodzie i że jutro wyjeżdżasz. To bardzo dobry termin. Wiem, że z ramieniem w takim stanie nie bardzo masz ochotę na podróż, ale kiedy dotrzesz do Nowego Jorku, będziesz mogła odpocząć. To nawet niezły pomysł, żebyś została z rodziną do czasu, aż skończą się twoje spotkania w interesach. Nie spiesz się z powrotem. Powinnaś wyjechać już dziś po południu. Beth była zaskoczona.

- To jest jedyny pewny sposób - stwierdził Decker. - Wciąż nie jestem przekonany, że Esperanza ma rację, ale jeśli tak jest, ktoś, kto chce mnie dopaść, mógłby cię wykorzystać jako broń. Może mógłby cię porwać?

- Porwać mnie?

- Trzeba wziąć taką możliwość pod uwagę.

- Jezu, Steve.

- Możemy się kontaktować przez telefon, a kiedy tylko Esperanza stwierdzi, że to bezpieczne, będziesz mogła wrócić.

- Mam się trzymać z dala?

- Może to nie będzie trwało długo. Może to okaże się krótką chwilą. Zapadła kłopotliwa cisza, a Sanchez wjechał na podjazd domu Beth i dla bezpieczeństwa zaparkował limuzynę bokiem przed bramą prowadzącą na kryty dziedziniec. Beth skrzywiła się z bólu, gdy Decker pomagał jej wydostać się z tylnego siedzenia. Sanchez czekał w samochodzie, a oni weszli na dziedziniec i zatrzymali się w cieniu portalu, spoglądając sobie w oczy.

- To musi być jakaś pomyłka - stwierdziła Beth. - Czuję się, jakbym miała jakiś okropny sen, za chwilę obudzę się w twoich ramionach i okaże się, że żadna z tych rzeczy się nie wydarzyła. Decker potrząsnął głową.

- Czy przychodzi ci do głowy jakikolwiek powód, dla którego ktoś mógłby chcieć cię zabić? - spytała Beth.

- Zadawałem sobie to pytanie setki razy. Tysiące razy. Nie przychodzi mi na myśl żadna odpowiedź - skłamał Decker. W skupieniu się jej przyglądał. - Skoro przez jakiś czas nie będę cię widział, chcę zapamiętać każdy szczegół twojej twarzy. Nachylił się blisko i pocałował ją w usta, starając się być delikatnym i nie urazić jej rannego ramienia. Nie bacząc na ranę, Beth przyciągnęła go do siebie wolną ręką i całowała, jakby go chciała posiąść, mimo bólu wywołanego naciskiem na ramię. Przytuliła się swoim policzkiem do jego i wyszeptała szybko:

- Ucieknij ze mną.

- Nie. Nie mogę. Odsunęła się. Jej oczy błagały równie usilnie jak głos.

- Proszę.

- Sanchez powiedział ci przed chwilą; zatrzymałaby nas policja.

- Gdybyś mnie naprawdę kochał...

- Właśnie dlatego, że cię kocham, nie mogę ryzykować narażania cię na niebezpieczeństwo. Powiedzmy, że nawet udałoby się nam okpić policję i uciec. Powiedzmy, że ten, kto na mnie dybie, ruszyłby naszym tropem. Zawsze musielibyśmy oglądać się przez ramię. Nie zrobię ci tego. Za bardzo cię kocham, żeby zrujnować ci życie.

- Proszę cię ostatni raz - chodź ze mną. Decker stanowczo pokręcił głową.

- Będę za tobą tęskniła bardziej, niż ci się wydaje.

- Przypomnij sobie wtedy, że to nie jest na stałe - powiedział Decker. Za jakiś czas - jeśli dopisze nam szczęście, to już wkrótce - znowu będziemy razem. Kiedy już dotrzesz na miejsce, zadzwoń do mnie z automatu. Wymyślimy coś, żeby się porozumiewać ze sobą. I... - Decker oddychał ciężko. - Trzeba ustalić tyle szczegółów. Poproszę Esperanzę, żeby jakiś policjant odwiózł cię na lotnisko. Również... Beth położyła mu palec na ustach.

- Jestem przekonana, że zajmiesz się wszystkim. - Dodała z ociąganiem: - Zadzwońię do ciebie, kiedy już załatwię bilet na samolot.

- Będziesz potrzebowała pomocy przy pakowaniu?

- Większość rzeczy już spakowałam wcześniej. Decker pocałował ją po raz ostatni.

- Zapamiętaj najlepszy dzień, jaki razem przeżyliśmy - powiedziała Beth.

- Będzie ich znacznie więcej. - Decker poczekał, aż Beth znikła w domu. Dopiero gdy zamknęła drzwi, odwrócił się i poszedł z powrotem do wozu policyjnego.

- Chciałbym z panem porozmawiać. - Gdy radiowóz zatrzymał się obok domu Deckera, na podjeździe czekał Esperanza. Jego na ogół spokojne, szczupłe rysy twarzy były napięte z wściekłości. - Chciałbym wiedzieć, dlaczego pan skłamał!

- Skłamałem? Esperanza spojrział obok Deckera, w stronę gapiów na ulicy.

- Do środka.

- Gdyby pan mi zechciał powiedzieć, co pana trapi.

- Do środka. Decker podniósł ręce, jakby się poddawał.

- Jak pan sobie życzy. Gdy weszli, Esperanza trzasnął drzwiami. Stanęli w salonie, zwrócenii twarzami do siebie.

- Pytałem, czy o czymś mi pan nie powiedział. Usłyszałem, że nic więcej nie przychodzi panu do głowy. - Esperanza oddychał głośno.

- Zgadza się.

- Więc powinien pan się zgłosić do lekarza - z rozpoznaniem poważnych zaburzeń pamięci - stwierdził Esperanza. - W przeciwnym razie nie pominąłby pan czegoś tak ważnego, jak powiązania z FBI.

- Z FBI? - zapytał Decker szczerze zdziwiony.

- Do licha, ma pan również problemy ze słuchem? Tak! Z FBI! Szef ich biura w Santa Fe zadzwonił do mnie godzinę temu i powiedział, że chce ze mną odbyć małą pogawędkę. O co też może mu chodzić? - zastanawiałem się. Czy coś się dzieje w Los Alamos albo w laboratorium Sandia? Kłopoty natury bezpieczeństwa kraju? A może międzystanowa sprawa kryminalna? Więc niech pan sobie wyobrazi, jak się zdziwiłem, gdy poszedłem do jego biura, a on zaczął mówić o zamachu na pański dom. Decker bał się odezwać.

- Teraz to sprawa federalna - słyszał pan? Federalna. Ledwo byłem zdolny utrzymać szczękę, żeby mi nie opadła, jak mi opowiedział wszystko, co zaszło ubiegłej nocy. Znał szczegóły, o których wiedziałem jedynie ja, Sanchez i kilku innych policjantów. Jak, do licha, zdobył te informacje? Nie pytał o zeszłą noc, on mi o niej opowiadał. A potem dodał coś jeszcze - że FBI byłoby wdzięczne, gdybym od tej chwili pozwolił im się zająć sprawą. Decker stał bez ruchu w obawie, że jakakolwiek reakcja jeszcze bardziej rozjuszy Esperanzę.

- Atak na pana dom dotyczy niezwykle czułych spraw; tak mi powiedziano. Informacja o zainteresowaniu FBI kwestią tego zamachu jest przekazywana tylko osobom, dla których jest absolutnie konieczna, i zapewniono mnie, że ja się do nich nie zaliczam. Ostrzeżono mnie, że jeśli będę upierał się przy zajmowaniu tą sprawą, wyrządę niewypowiedziane krzywdy śledztwu. - Oczy Esperanzy płonęły ogniem. - Powiedziałem, w porządku. Nigdy w życiu nie chciałbym wyrządzić niewypowiedzianych krzywd śledztwu. - Esperanza zbliżył się do Deckera. - Ale to nie znaczy, że nie mogę węszyć nieoficjalnie i z całą pewnością nie znaczy, że nie mogę się domagać od pana prywatnego wyjaśnienia! Kim pan, do diabła, jesteś? Co tu się naprawdę stało zeszłej nocy? Dlaczego pozwoliłeś pan, żebym zrobił z siebie głupka, i nie powiedziałeś "od razu, że mam pogadać z FBI? BUM! Dom zatrzęsł się z hukiem. Deckera i Esperanzę przeszył ogłuszający huk.

- Co to, do... - Zatrzęsły się okna. Zabrzęczały naczynia. Decker poczuł zmianę ciśnienia, jakby ktoś wsadził mu do uszu waciki.

- Coś wybuchło! - powiedział Esperanza. - Od strony...

- W dole ulicy! Jezu, chyba nie myśli pan... - Decker rzucił się w stronę frontowych drzwi, otworzył je gwałtownie właśnie w chwili, gdy Sanchez, który czekał na zewnątrz, wbiegał na dziedziniec.

- To w domu obok! - powiedział poruszony Sanchez, wskazując ręką. - To... Wstrząsnął nimi następny huk. Fala uderzeniowa drugiej eksplozji zwała Deckera z nóg.

- Beth! - Zerwał się na nogi i rzucił obok Sancheza, przez otwartą bramę, na podjazd. Na prawo, nad piniami i jałowcami, które obrastały dom Beth, kłębił się czarny dym. Spadały odłamki. Nawet z odległości stu jardów Decker słyszał syk płomieni.

- Beth! - Ledwo świadom tego, że Sanchez i Esperanza biegną tuż obok niego, Decker pędził najkrótszą drogą, żeby jej pomóc. Gardło miał obolałe od wykrzykiwania imienia Beth. Rzucił się w prawo, przebiegł przez dziedziniec i przedzierał się pośród drzewek piniowych.

- BETH! - Gałęzie drapały mu ramiona. Piasek chrzęścił pod butami. Esperanza krzyczał do niego. Ale Decker słyszał jedynie swój gwałtowny oddech. Wyminął kolejne drzewo. Płomień i ciemny dym szalały bliżej. Drzewa się skończyły, dobiegł do drewnianego ogrodzenia sięgającego do pasa, przeskoczył przez nie i wylądował na działce Beth. Przed sobą ujrzał płonąca, zasłoniętą dymem ruinę domu. Gorzki zapach płonącego drewna podrażnił mu węch, sadze wpadły do gardła i do płuc, zaczął kaszleć.

- BETH! - Syk płomieni był tak głośny, że Decker nie słyszał sam siebie, gdy wołał jej imię. Wszędzie leżały popękane gliniane cegły. Potykał się o nie. Nagle wiatr rozwiął kłęby gryzącego w oczy dymu i Decker spostrzegł, że nie cały dom się pali. Ogień nie dosięgnął jeszcze narożnej części, z tyłu. Tam znajdowała się sypialnia Beth. Esperanza złapał go za ramię i próbował powstrzymać. Decker odepchnął jego rękę i rzucił się ku tylnej części domu. Przełaził przez niewysoki murek, przebiegł przez zasypane odłamkami patio i dopadł do jednego z okien sypialni. Siła eksplozji wytrąciła szkło; pozostały jedynie ostre kawałki przy brzegach, które Decker wytlukł kawałkiem cegły znalezionej pod nogami. Dyszał ciężko z wysiłku. Dym wylatywał kłębami. Decker usiłował powstrzymać kaszel i zajrzeć przez okno.

- Beth! Esperanza znowu go schwycił, a Decker ponownie się wyszarpnął.

- Zostaw! - wrzasnął. - Beth mnie potrzebuje! - Wskoczył przez okno, upadł na podłogę i uderzył ramieniem o gruz. Otaczał go dym. Na ślepo dotarł do łóżka, ale było puste. Kaszłac coraz gwałtowniej, macał podłogę, w nadziei znalezienia Beth, jeśli upadła. Odszukał drogę do łazienki, uderzył o zamknięte drzwi i ożywiła go myśl, że Beth mogła się tam schronić. Jednak kiedy szarpnięciem otworzył je, z bólem serca zobaczył, zanim dym wpadł do środka, że wanna i kabina prysznicowa są puste. Zmącił mu się wzrok. Poczł gorąco i cofnął się przed płomieniami, które wypełniły wejście do łazienki. W tym samym momencie dosięgły go inne płomień, które buchnęły z sufitu. Upadł na podłogę i zaczął się czołgać

walcząc o oddech. Dotarł do okna, wstał z trudem i wsunął głowę w otwór okienny, próbując się wydostać. Coś za nim pękło. Nogi owionęło mu gorąco. Za chwilę znowu coś pękło. Belki puszczają, pomyślał bezsilnie. Zaraz zawali się dach. Przerażony podciągnął się i wyleciał przez okno. Chwyciły go jakieś ręce i powlokły gwałtownie po gruzie. Za Deckerem z okna buchnęły płomienie. To Esperanza złapał Deckera za kurtkę, poderwał na nogi i przerzucił przez murek. Decker poczuł, że leci. Za chwilę wylądował twardo po drugiej stronie ogrodu, potoczył się i uderzył o pień drzewka piniowego. Esperanza padł obok niego, poganiany przez płomienie, które zapaliły drzewko. Gałęzie trzaskały, ogień się rozprzestrzeniał, a Esperanza ciągnął Deckera dalej. Zapaliło się następne drzewo.

- Nie możemy się zatrzymywać! - wrzasnął Esperanza. Decker obejrzał się na dom. Dymiące zgliszczka żarzyły się od wysokiej temperatury.

- Tam jest Beth!

- Nie da się nic zrobić, żeby jej pomóc! Musimy stąd uciekać! Decker przechylił się i spróbował zaczerpnąć powietrza. Stłumił odruch wymiotny i zaczął przedzierać się z Esperanzą w dół zadrzewionego zbocza, z tyłu domu Beth. Znowu spojrzął na lunę.

- Chryste, co ja zrobię? Beth! - krzyczał. - BETH!

* * *

Rozdział szósty

Decker siedział sztywno na mocno ubitej nawierzchni Camino Lindo, oparty plecami o tylne koło ambulansu, i oddychał przez maskę tlenową. Gaz był suchy i gorzki, a może Decker czuł gorycz z powodu dymu, którego się nałykał - nie był pewien. Usłyszał syk tlenu wydobywający się z butli obok. Pielęgniarz sprawdzał ciśnienie na górnym zaworze. Do Deckera docierał hałas silników, wozów strażackich, samochodów policyjnych oraz innych pojazdów pierwszej pomocy. Słyszał, jak nawoływali się strażacy, lejąc wodą z licznych węży na dymiące szczątki domu Beth. To moja wina, pomyślał. To wszystko moja wina. Chyba wypowiedział to na głos, ponieważ pielęgniarz spytał:

- Co? - Zmarszczył troskliwie brwi i zdjął maskę z twarzy Deckera. - W porządku? Chce pan zwymiotować? Decker potrząsnął głową. Ruch ten jeszcze bardziej wzmógł potężny ból głowy, aż Decker wykrzywił twarz.

- Co nam pan chciał powiedzieć?

- Nic.

- To nieprawda - odezwał się obok niego Esperanza. - Powiedział pan: „To moja wina. To wszystko moja wina”. - Na brudnej twarzy detektywa widniała owalna obwódka wokół nosa i ust od maski tlenowej, którą przed chwilą zdjął. - Niech się pan nie wini. To nie była pana wina. Tego pan nie mógł przewidzieć.

- Bzdura. Martwiłem się, że coś jej grozi z mojego powodu. - Decker wypluł flegmę nakrapianą sadzą. - Nie powinienem jej pozwolić iść do domu. Cholera, nie powinienem...

- Niech się pan nie rusza - odezwał się pielęgniarz. Podciągnął nogawki spodni Deckera i badał jego łydki. - Ma pan szczęście. Ogień osmalił panu spodnie, ale się nie zapaliły. Tylko przypaliły się panu włosy na nogach. Również na rękach i na głowie. Spędziłby pan tam parę sekund więcej i... Ja chyba nie wykazałbym się taką odwagą.

- Odwaga. Cholerna odwaga. Nie uratowałem jej - odrzekł Decker tonem pełnym samokrytycyzmu.

- Ale niemal pan zginął, usiłując ją uratować. Zrobił pan wszystko, co było możliwe - podkreślił Esperanza.

- Wszystko? - Deckerem wstrząsnął głęboki, bolesny kaszel. - Gdybym myślał rozsądnie, to uparłbym się, żeby została pod strażą w szpitalu.

- Proszę, niech pan to wypije - powiedział pielęgniarz. Decker napił się wody z butelki. Po brodzie spływały mu krople płynu, zostawiając bruzdy w sadzy na twarzy.

- Powinienem przewidzieć, jak łatwo będzie im się dostać do jej domu, skoro wszyscy obserwowali mój dom. Gdybym wszedł do środka, kiedy ją odprowadzałem, eksplozja dosięgłaby nas oboje. Ciemne oczy Esperanzy stały się poważne. Martwiło go wyznanie Deckera. Właśnie miał odpowiedzieć, ale przerwało mu wycie syreny następnego samochodu policyjnego i wozu strażackiego, które przybywały na miejsce zdarzenia. Decker napił się jeszcze wody i patrzył na zamieszanie wśród strażaków polewających zgliszcza.

- Chryste! - Rzucił butelkę z wodą i skrył twarz w dłoniach. Ramiona drgały mu w udreće, a z oczu płynęły łzy. Miał wrażenie, jakby się dławił. Pierś przygniatał mu smutek. - Chryste, Beth, co ja bez ciebie zrobię? Poczul, że Esperanza otoczył go ramieniem.

- To wszystko moja wina. Moja wina - powtórzył Decker przez łzy. Usłyszał, jak pielęgniarz z karetki szepce:

- Lepiej zabierzmy go do szpitala.

- Nie! - zaprotestował Decker zdecydowanym głosem. - Chcę tu zostać i pomóc odnaleźć tych skurwieli, którzy to zrobili!

- Jak pan sądzi, jak detonowali bomby? - spytał Esperanza.

- Co? - Oszołomienie przytępiło zmysły Deckera. Starał się skupić na pytaniu Esperanzy. Skoncentruj się, mówił do siebie. Odzyskaj kontrolę. Nie uda ci się dowiedzieć, kto to zrobił, jeśli będziesz działał histerycznie. Jakieś urządzenie zdalnie sterujące.

- Elektroniczne detonatory uruchamiane za pomocą sygnału radiowego.

- Tak. - Decker wytarł łzy z podrażnionych, czerwonych oczu. Beth, myślał wciąż. Boże drogi, co ja bez ciebie zrobię? To wszystko moja wina. Urządzenie zegarowe w takiej sytuacji jest niepraktyczne. Nie wiedzieliby, jaki czas zaprogramować, żeby wybuch nastąpił, kiedy ktoś będzie w domu. Esperanza wyglądał na jeszcze bardziej zatroskanego.

- Ktoś musiał obserwować dom trzymając detonator i czekać na odpowiedni moment - powiedział Decker. - Może ktoś z lornetką, na górze Słońce. Może ktoś z ludzi kręcących się po ulicy, kto udawał, że jest ciekawy, co tu zaszło ubiegłej nocy.

- Policjanci przesłuchują wszystkich w okolicy - wtrącił Esperanza.

- Za późno. Ktokolwiek to zrobił, już dawno zniknął.

- A może sygnał elektroniczny w tym rejonie akurat miał taką samą częstotliwość, na jaką były nastawione detonatory. Może bomby wybuchły przez przypadek - zasugerował Esperanza.

- Nie. Żeby uaktywnić detonatory, potrzeba dwóch różnych częstotliwości. I na pewno były nastawione na częstotliwość, która nie jest używana w tym rejonie.

- Strasznie dużo pan wie na ten temat - zauważył Esperanza.

- Gdzieś o tym czytałem. Wystarczy logicznie pomyśleć, by się domyślić wielu rzeczy.

- Czyżby? Ktoś się zbliżał ciężkimi krokami. Decker podniósł głowę i zobaczył, że przed nimi stanął Sanchez.

- Szef strażaków mówi, że zgliszczą na tyle ostygły, że można się zbliżyć. - Sanchez poinformował Esperanzę. - Uważa, że to były bomby zapalne, inaczej nie wywołałyby takiego ognia.

- Do tego już sam zdążyłem dojść. - Esperanza podniósł się z wysiłkiem. Jego długie włosy były przypalone. Kurtka i płócienna koszula brudne, podziurawione przez iskry. - Czy szef strażaków może nam powiedzieć coś, czego nie wiemy?

- Zaczął wraz ze swoją ekipą szukać ciała. Twierdzi, że domy o ścianach z glinianych cegieł i z ceglanyymi oraz kafelkowymi podłogami ogień niszczy w mniejszym stopniu niż domy o drewnianej konstrukcji. Dzięki temu łatwiej będzie szukać. Na razie nie znaleźli po niej ani śladu.

- Czy jeszcze coś? - spytał Esperanza zawiedzionym głosem.

- Tak, ale... - Sanchez spojrzął na Deckera, wyraźnie nie chcąc mówić w jego obecności.

- O co chodzi? - Decker podniósł się raptownie. Adrenalina gwałtownie przelała się przez niego. - Czego nie chce pan powiedzieć? Sanchez odwrócił się do Esperanzy.

- Może lepiej będzie, jeśli pójdziemy do samochodu. Musimy o czymś porozmawiać.

- Nie - sprzeciwił się Decker. - Nie będziecie nic przede mną ukrywać. Jeśli ma pan coś do powiedzenia, niech pan to powie tutaj. Sanchez popatrzył niepewnie na Esperanzę. ~ Zgadzasz się? Esperanza wzruszył ramionami.

- Może pan Decker podzieli się z nami tym, co wie, jeśli my podzielimy się naszymi informacjami z nim. Co tam masz?

- Coś dziwnego. Kazałeś mi rozesłać policjantów, żeby przesłuchali okolicznych mieszkańców - sąsiadów, którzy może akurat byli na zewnątrz, przypadkowych przechodniów, gapiów, którzy się tu kręcili, ciekawi, co się zdarzyło ubiegłej nocy. Kogokolwiek, kto mógł widzieć wybuch.

- I nasi ludzie znaleźli kogoś, kto może nam pomóc? - zapytał Esperanza.

- Wydaje mi się, że to może raczej skomplikować sprawy, zamiast pomóc - stwierdził Sanchez.

- Do licha, czegoś się pan dowiedział? - Decker podszedł bliżej. - Co usiłuje pan przede mną ukryć?

- Na Fort Connor Lane, ulicy położonej niżej, za tymi domami, jakaś kobieta szukała zaginionego psa. Tuż przed wybuchem ze zdziwieniem zauważyła, że ktoś zbiega po zboczu pomiędzy drzewami i krzakami.

- Ten, kto detonował bomby - domyślił się Decker. - Czy kobieta pamięta tego człowieka na tyle dobrze, żeby go opisać?

- Tak. To była kobieta. Decker poczuł, jakby ktoś go dźgnął.

- Niosła walizkę - dodał policjant.

- Co? Decker oparł się ręką o karetkę pogotowia. Wydało mu się, że ziemia się poruszyła. Zakręciło mu się w głowie, ugięły się pod nim nogi, zwątpił w zdrowy rozsądek.

- Ale przecież pan opisał...

- Beth Dwyer. Właśnie - powiedział Sanchez. - Kobieta, która szukała psa, zeznała, że na Fort Connor Lane stał zaparkowany samochód. W środku siedział jakiś mężczyzna. Kiedy dostrzegł kobietę z walizką, wysiadł szybko, schował jej walizkę do bagażnika i pomógł jej wsiąść do samochodu. Właśnie wtedy wybuchły bomby. Gdy odjeżdżali.

- Nie rozumiem - zdumiał się Decker. - To nie ma sensu. Jak to możliwe, żeby...? Podszedł strażak i zdjął metalowy hełm o szerokim obrzeżu. Z pokrytej sadzą twarzy kapał mu pot. Sięgnął po butelkę z wodą, którą podał mu pielęgniarz.

- Wciąż nie ma śladu ofiary - powiedział do Esperanzy. Serce Deckera zaczęło bić niesłychanie szybko. Myśli kotłowały mu się w głowie.

- Ale dlaczego...? Beth żyje? Co robiła na zboczach? Kto, do diabła, czekał w samochodzie? To się wydawało niemożliwe. Beth nie zginęła. Owładnęła nim ulga i nadzieja. Ale jednocześnie niepewność i konsternacja związana z jej tajemniczym zachowaniem.

- Jak pan poznał Beth Dwyer? - spytał Esperanza. Stali naprzeciw siebie w salonie Deckera.

- Zjawiała się w moim biurze. Chciała kupić dom. - To nie może się dziać naprawdę, pomyślał Decker, opadając na kanapę.

- Kiedy to było?

- Dwa miesiące temu. W lipcu. - Chyba zaczynam wariować, zastanawiał się Decker.

- Pochodziła stąd?

- Nie.

- Skąd przyjechała?

- Ze wschodu. - Ból głowy był trudny do zniesienia.

- Z jakiego miasta?

- Gdzieś koło Nowego Jorku.

- Dlaczego przeprowadziła się do Santa Fe?

- W styczniu zmarł jej mąż. Rak. Chciała uciec przed złymi wspomnieniami, zacząć nowe życie. - Tak jak ja, pomyślał.

- To droga dzielnica - zauważył Esperanza. - Skąd miała pieniądze na kupno tego domu?

- Jej mąż miał dobrą polisę na życie.

- Musiała być naprawdę dobra. Czym się trudnił?

- Nie wiem. Esperanza przybrał zdumiony wyraz twarzy.

- Rozumiem, że utrzymywaliście bliskie stosunki.

- Tak.

- A mimo to jest kilka podstawowych rzeczy na temat jej przeszłości, o których pan nie wie?

- Nie chciałem zadawać jej zbyt wielu pytań - usprawiedliwiał się Decker. - Jej mąż zmarł przed niespełna rokiem i nie chciałem, by wracała do niemiłych wspomnień.

- Takich jak miejsce jej wcześniejszego zamieszkania? Czy gdyby panu to powiedziała, byłoby to dla niej aż tak niemiłe?

- Po prostu nie przyszło mi do głowy, żeby zapytać. - Znowu kłamstwo. Decker dokładnie pamiętał, dlaczego nie zadał jej tego pytania. W swoim dawniejszym życiu zawsze starał się wiedzieć jak najwięcej o ludziach, z którymi się stykał, nigdy nie wiadomo, co może się przydać. Ale od chwili gdy przybył do Santa Fe, gdy zaczął nowe życie, gdy wykreował się od nowa, zdecydowanie zerwał z dawnymi, wyrachowanymi metodami.

- Czy polisa ubezpieczeniowa męża była na tyle wysoka, że pani Dwyer mogła się z niej utrzymać, po tym jak kupiła dom obok pańskiego?

- Zarabiała na życie jako malarka - powiedział Decker.

- Aha. W jakiej galerii?

- W Nowym Jorku.

- Ale jak się nazywa?

- Nie wiem - ponownie odparł Decker.

- Taka odpowiedź była do przewidzenia.

- Poznałem człowieka, który prowadzi tę galerię. Przyjechał w odwiedziny. Nazywa się Dale Hawkins.

- Kiedy to było?

- We czwartek. Pierwszego września.

- Skąd ta dokładność?

- To działo się zaledwie dziewięć dni temu. Pamiętam, bo w ten dzień Beth sfinalizowała sprawę kupna domu. - Ale Decker pamiętał ów dzień tak dokładnie z jeszcze innego powodu tej nocy po raz pierwszy kochał się z Beth. Beth! - wykrzyknął w myślach. Co się tu, na Boga, dzieje? Dlaczego zbiegałaś po zboczach za domem? Kim jest mężczyzna, który czekał na ciebie w samochodzie?

- Panie Decker.

- Przepraszam. Ja... - Decker zamrugnął, uświadamiając sobie, że myśli o czymś innym, choć Esperanza nadal mówi do niego.

- Powiedział pan, że ktoś ze zdalnie sterowanym detonatorem musiał obserwować dom.

- Zgadza się.

- Dlaczego ta osoba nie detonowała ładunków, gdy był pan w środku z panią Dwyer?

- Nie wszedłem do domu, więc nie mogłem mieć stuprocentowej pewności, że bomby spełnią swoje zadanie.

- Więc obserwator zdecydował się poczekać, aż pan wyjdzie, i dopiero detonował ładunki? - spytał Esperanza. - Czy taka taktyka ma sens? Decker poczuł, że robi mu się zimno.

- Jeśli to pan stanowił cel - dodał Esperanza.

- Beth stanowiła cel? - Uczucie zimna stało się tak intensywne, że Deckerem wstrząsnął dreszcz. - Chce pan powiedzieć, że dziś po południu i zeszłej nocy nie czyhali na mnie?

- Wyraźnie się czegoś bała. W przeciwnym razie nie zbiegałaby po zboczach za domem. Decker poczuł mrowienie na twarzy.

- Oni chcieli dopaść Beth? Chryste! - Żadne z jego wcześniejszych doświadczeń - ani podczas specjalnych misji wojskowych, ani w antyterrorystycznej pracy wywiadowczej - nie mogło się równać z tym, co teraz przechodził. Nigdy jeszcze nie czuł się tak rozchwiany emocjonalnie. Ale też, zanim przyjechał do Santa Fe, nigdy nie zrezygnował z mechanizmów obronnych i nie pozwolił sobie na taką szczerość uczuć.

- Jakiś czas temu mówił pan o częstotliwościach radiowych, używanych do detonowania bomb za pomocą zdalnego sterowania - przypomniał Esperanza. - Gdzie się pan nauczył tylu rzeczy, jak wysadzić w powietrze budynek? Decker nie potrafił się skupić. Był zbyt pochłonięty analizą zdarzeń. Przez ponad rok żył zupełnie nowym życiem, przekonany, że do szczęścia potrzeba mu jedynie absolutnej, szczerzej otwartości i równie absolutnego odrzucenia pełnych wyrachowania dawnych zwyczajów. Teraz wracał do nich ze zdecydowaniem, które aż go dziwiło. Wziął książkę telefoniczną, odnalazł numer, którego szukał, i szybko go wykreślił.

- Panie Decker, co pan robi?

- Dzwonię do szpitala St Vincent's. Esperanza był zbity z tropu. Gdy zgłosiła się recepcjonistka, Decker odezwał się:

- Proszę mnie połączyć z pokojem pielęgniarek odpowiedzialnych za pokój 3116. Gdy zgłosił się ktoś inny, Decker powiedział:

- Leżała u was ofiara postrzału, Beth Dwyer, którą niedawno wypisano. Chciałbym porozmawiać z jakąś pielęgniarką, która się nią zajmowała.

- Chwileczkę. Ktoś inny podniósł słuchawkę.

- Tak, ja pomagałam się opiekować Beth Dwyer - odezwał się przyjemny kobiecy głos. - Oczywiście przyszedłam na dyżur dopiero o siódmej. Wcześniej zajmowały się nią inne pielęgniarki.

- Mówi officer, który prowadzi dochodzenie w sprawie tej strzelaniny.

- Hej! - zareagował Esperanza. - Co pan robi? Decker podniósł dłoń, dając Esperanzie znak, żeby nie odbierał mu szansy.

- Czy ktoś ją odwiedzał?

- Tylko jej przyjaciel. To pewnie ja, pomyślał Decker. Ale teraz już niczego nie przyjmował za pewnik.

- Jak ten człowiek wyglądał?

- Wysoki, dobrze zbudowany, około czterdziestki.

- O jasnych włosach?

- Chyba tak. Był na swój sposób przystojny. Nikogo więcej nie widziałam.

- A rozmowy telefoniczne?

- Och, tak. Rozmawiała bardzo dużo.

- Co?

- Parę razy też ktoś dzwonił do niej. Raz telefon dzwonił bardzo długo. Byłam w pokoju i nie chciała rozmawiać z tą osobą, dopóki nie wyszłam. Decker poczuł ucisk w piersi.

- Dziękuję - powiedział z trudem do pielęgniarki. - Bardzo nam pani pomogła. - W zamyśleniu odłożył słuchawkę.

- A to niby co miało być? - spytał Esperanza. - Wie pan, jaka jest kara za fałszywe podawanie się za funkcjonariusza policji?

- Beth dzwoniła kilka razy i parę razy dzwoniło do niej. Jestem jej jedynym bliskim przyjacielem w tym mieście. Więc do kogo dzwoniła i kto dzwonił do niej?

- Jeśli to były rozmowy zamiejscowe i nie dzwoniła na koszt abonenta, numery, pod które telefonowała, znajdą się na wykazie - powiedział Esperanza.

- Niech go pan zdobędzie. Ale podejrzewam, że to były rozmowy miejscowe - że rozmawiała z mężczyzną, który czekał na Fort Connor Lane, żeby ją odebrać. Gdy przyniosłem jej ubranie, żeby miała co na siebie włożyć, kiedy wychodziła ze szpitala, powiedziała mi, że czuje się tak zaniebana, że wstydzi się ubierać przy mnie. Poprosiła, żebym poczekał na zewnątrz, w korytarzu. Pomyślałem, że z powodu rany może potrzebować pomocy i że to nie najlepszy moment na taką skromność, ale się nie upierałem. Teraz domyślam się, że skorzystała z tej chwili, żeby po raz ostatni zadzwonić do tego mężczyzny i poinformować go, że wychodzi - i potwierdzić godzinę, o której ma na nią czekać. Ale kto to jest, do licha? Do sprzecznych, gnębiących go odczuć - ulgi, że Beth żyje, zaskoczenia z powodu jej zachowania - nagle doszło jeszcze jedno: zazdrość. Boże drogi, czy to możliwe? - pomyślał. Czy Beth mogła mieć kochanka? Czy przez cały czas naszej znajomości spotykała się z kimś innym? Chaotyczne pytania nie dawały mu spokoju. Jak go poznała? Czy przyjechał za nią ze wschodu? Czy był to ktoś z jej dawnego życia?

- Ten człowiek, który siedział w samochodzie; czy kobieta, która go widziała, przyjrzała się wystarczająco dobrze, żeby go opisać? - spytał Decker.

- Sanchez będzie wiedział. Decker ruszył do drzwi frontowych, gdzie Sanchez trzymał straż. Nagle ku zaskoczeniu Deckera drzwi otworzyły się gwałtownie i pojawił się Sanchez.

- Chce się z panem zobaczyć dwóch mężczyzn, którzy podają się za pańskich przyjaciół.

- Pewnie sąsiedzi albo współpracownicy. Niech pan im powie, że zobaczą się z nimi później. Muszę pana o coś zapytać.

- Ci ludzie bardzo nalegają - powiedział Sanchez. - Podkreślili, że są pana starymi przyjaciółmi; bardzo starymi przyjaciółmi. Twierdzą, że nazywają się Hal i Ben.

- Hal i...? - Decker starał się ukryć zaskoczenie. - Tak. - Zaczął kontrolować swoje odruchy. - Znam ich. Niech ich pan wpuści. Hal i Ben to byli dwaj agenci, którzy rok temu, po nieoczekiwanej rezygnacji Deckera, zajęli się nim w recepcji hotelu St Regis. Wypytywali go wtedy o motywy jego decyzji, w końcu doszli do wniosku, że Decker nie stanowi zagrożenia dla bezpieczeństwa i pozwolili mu udać się do Santa Fe, z wyraźnym ostrzeżeniem, żeby nie roztaczał opowieści z dawnego podwórka. Teraz Decker uznał, że są przedstawicielami, których przysłał jego dawny pracodawca, w odpowiedzi na jego alarmujący telefon w sprawie zamachu na dom. Gdy pojawili się w drzwiach, zauważył, że nie zmienili się za bardzo od czasu, gdy widział ich po raz ostatni. Mieli na sobie kurtki, spodnie khaki i solidne buty. Rozejrzeli się po salonie, zmierzyli wzrokiem Esperanzę i zwrócili się do Deckera.

- Co się dzieje? - spytał Hal. - Dlaczego przed domem stoi policjant? Co tam się stało, u wylotu ulicy?

- To długa historia. To jest sierżant Esperanza. Sierżancie, proszę poznać Hala Webbera i Bena Eiseleya. - Nazwiska były fałszywe, zgodne z używanymi przez nich fałszywymi dowodami tożsamości. - Trzymaliśmy ze sobą, gdy pracowałem w Wirginii. Mówili mi, że mają zamiar wpaść tutaj któregoś weekendu, ale widocznie zapomniałem, że to miało być podczas fiesty.

- Jasne - powiedział Esperanza, wyraźnie nie dając się zwieść tej historyjce. Podał im rękę, porównując ich sylwetki o wąskich biodrach i szerokich barkach z sylwetką Deckera. - Czy to też są pośrednicy handlu nieruchomościami, którzy wiedzą wszystko na temat zdalnego detonowania ładunków wybuchowych? Hal miał zdziwiony wyraz twarzy.

- Ładunków wybuchowych? Czy to właśnie stało się obok? Dom eksplodował?

- Sierżancie, pozwoli pan, że na chwilę zostanę sam ze swoimi przyjaciółmi? - Decker poprowadził Hala i Bena w stronę drzwi.

- Nie - stwierdził Esperanza. Decker zatrzymał się i spojrzał na niego.

- Przepraszam?

- Nie. Nie pozwolę, żeby pan został z nimi na chwilę sam. - Rysy smagłej twarzy Esperanzy wyostrzyły się jeszcze bardziej. - Od samego początku jest pan wykrętny i niechętny do współpracy. Dłużej nie mam zamiaru tego tolerować.

- Wydawało mi się, że FBI poleciło panu trzymać się od tej sprawy z daleka.

- Od sprawy ataku na pański dom. Nie od sprawy eksplozji w domu obok.

- FBI? - spytał Ben, zdumiony.

- Cokolwiek zamierza pan powiedzieć tym ludziom, zrobi pan to w mojej obecności - zażądał Esperanza. - Ja też chcę wiedzieć, o co chodzi.

- FBI? - spytał ponownie Ben. - Nie rozumiem. A co FBI ma z tym wspólnego?

- Sierżancie, naprawdę muszę porozmawiać z tymi ludźmi na osobności - upierał się Decker.

- Zaresztuję pana.

- Pod jakim zarzutem? Dobry prawnik do wieczora wyciągnie mnie z aresztu - odparł Decker. - W najgorszym wypadku wyjdę za kaucją.

- W sobotę, w czasie fiesty? Pański prawnik miałby wiele kłopotów, żeby znaleźć sędziego, który by go wysłuchał - odparł ostro Esperanza. Nie wyszedłby pan z więzienia do jutra, może do poniedziałku, a nie sądzę, żeby chciał pan marnować tyle czasu. Więc udajmy, że mnie tu nie ma. Co pan chce powiedzieć tym panom? Czas, pomyślał niecierpliwie Decker. Muszę natychmiast zacząć szukać Beth. Nie mogę sobie pozwolić na stratę dwóch dni. Zdesperowany, poczuł się rozdarty między dwiema sprawami. Do tej pory był zdecydowany chronić swego dawnego pracodawcę przed wmieszanym go w

dochodzenie, ale teraz pojawiła się ważniejsza sprawa musi znaleźć Beth. Musi się dowiedzieć, kto chciał ją zabić.

- Pracowałem kiedyś dla rządu Stanów Zjednoczonych.
- Hej, uważaj - odezwał się Ben do Deckera.
- Nie mam wyboru.
- Dla rządu? - zainteresował się Esperanza. - Mówi pan o...
- Wszystkiego mogę się wyprzeć - powiedział Decker. - Ci panowie byli moimi współpracownikami. Przyjechali tu, żeby dowiedzieć się, czy atak zeszłej nocy miał coś wspólnego z delikatnymi sprawami, którymi się zajmowałem.
- Nie rozpędzaj się - odezwał się Hal.
- Jedynie tyle mogę powiedzieć - oświadczył Decker Esperanzie. Rysy szczupłej twarzy detektywa powoli się rozluźniły. Skinął głową.
- Przyjechaliście wcześniej, niż oczekiwałem - zwrócił się Decker do Hala.
- Byliśmy w Dallas. Mieliśmy do dyspozycji samolot firmy. To niecałe dwie godziny lotu.
- Dzięki, że przyjechaliście.
- To było chyba jedyne wyjście - stwierdził Ben. - Powiedziano nam, że kontakt telefoniczny z tobą nie jest bezpieczny. Chcieliśmy sami się przekonać, wyjaśnić pewne sprawy, które zaniepokoiły nas w twoim sprawozdaniu na temat zamachu, i skontaktować się z miejscowymi federalnymi.
- To już zrobiliście - wtrącił Esperanza. - Rozmawialiście z FBI.
- Nie - powiedział Hal z niepokojem.
- Nie osobiście, ale drogą telefoniczną - oświadczył Esperanza.
- Nie - powtórzył Hal, a jego niepokój nasilił się jeszcze bardziej.
- Ale szef miejscowego oddziału FBI rozmawiał ze mną dziś rano i osobiście zwrócił się do mnie, że chce przejąć dochodzenie w sprawie zamachu zeszłej nocy - oświadczył Esperanza.
- Wspominał pan o tym wcześniej, ale nie wiedziałem, o czym pan mówi - powiedział Ben. - Jeszcze nikt z naszej strony nie rozmawiał z federalnymi. Przed podjęciem decyzji, czy musimy ich w to mieszać, chcieliśmy najpierw sami przyjrzeć się sprawie. Decker poczuł narastające ostrzeżenie, jakby ożywienie w całym systemie nerwowym. Esperanza wyprzedził pytanie, na które Decker koniecznie chciał znaleźć odpowiedź.
- Skoro więc nie wy prosiliście federalnych o interwencję, to kto, na Boga?

Sanchez prowadził wóz policyjny w tłoku towarzyszącym fieście, tak szybko, jak mógł bez włączania syreny. Skręcił ostro z Old Santa Fe Trail na Paseo de Peralta. Hal, z nieprzeniknioną twarzą, usadowił się z przodu, obok Sancheza. Decker siedział z tyłu, wciśnięty między Bena i Esperanzę. Esperanza skończył szybką rozmowę przez telefon komórkowy, nacisnął guzik i się rozłączył.

- Czeka na nas.
- A jeśli nam nie powie tego, co chcemy wiedzieć? - spytał Decker.
- W takim wypadku będę musiał zadzwonić do paru miejsc w Wirginii - oświadczył Ben.
- Wcześniej czy później powie nam, zapewniam cię.
- Wcześniej - stwierdził Decker. - Lepiej, żeby wcześniej. Minęły już dwie godziny od momentu, kiedy Beth zbiegła po zboczu i wsiadła do tego samochodu. Do tej pory już może być w Albuquerque. Do diabła, jeśli pojechała prosto na lotnisko, może już lecieć samolotem w dowolnym kierunku.
- Zaraz się dowiemy. - Esperanza wciskał klawisze telefonu komórkowego.
- Do kogo pan dzwoni?
- Do służb bezpieczeństwa na lotnisku w Albuquerque.
- A jeśli skorzystała z lotniska w Santa Fe? - spytał Hal.

- Tam też zaraz zadzwonię. Z miejscowego lotniska odlatuje tylko kilka małych samolotów dziennie. Turbośmigłowych. Łatwo będzie nam dowiedzieć się, czy znalazła się na pokładzie któregoś z nich. Ktoś odezwał się po drugiej stronie słuchawki. Esperanza zaczął rozmawiać. W tym czasie Decker odwrócił się do Bena. Przez niepokojącą chwilę nie dawało mu spokoju coś w rodzaju podwójnego postrzegania. Miał wrażenie, że wszystko odbywa się rok wcześniej, nadal jadą samochodem przez Manhattan, a Ben i Hal zadają mu pytania. A może tamto przesłuchanie nigdy się nie skończyło i to, co teraz się działo, to tylko senna mara?

- Ben, jak przyjechaliście do mojego domu, powiedziałeś, że chcesz wyjaśnić coś, co was zaniepokoiło, gdy zdawałem relacje z zamachu ubiegłej nocy. O co chodziło? Ben wyjął z kieszeni kartkę papieru.

- To jest przesłany faksem transkrypt fragmentu twojej relacji telefonicznej. - Ben przesunął palec w dół strony. - Oficer dyżurny, z którym rozmawiałeś, powiedział: „Nie jesteście już za siebie odpowiedzialni”. Ty odrzekłeś: „Nie mówiliście tak, gdy odchodziłem. Obstawiliście mnie ze wszystkich stron. Myślałem, że wasze obserwacje ze względów bezpieczeństwa nigdy się nie skończą. Do diabła, dwa miesiące temu wciąż jeszcze mnie śledziliście”. Decker przytaknął, odnosząc wrażenie deja w, gdy odczytywano mu jego własne słowa.

- Na czym polega problem?

- Wtedy oficer dyżurny tego nie skomentował, ale nie miał pojęcia, co masz na myśli mówiąc to ostatnie zdanie. Ponownie przejrzał twoje akta. Nikt z naszej organizacji cię nie obserwował.

- Ależ to nieprawda - zaprotestował Decker. - Widziałem ekipę dwa miesiące temu. Ja...

- Na początku, kiedy tylko przyjechałeś do Santa Fe, mieliśmy cię na oku, zgadza się - powiedział Ben. - Ale potem łatwiej i taniej było nam obserwować twoje dane finansowe. Jeśli nagle zarobiłbyś więcej pieniędzy, niż mogło ci dać twoje nowe zajęcie, dopadlibyśmy cię, żeby sprawdzić, czy nie sprzedajesz za gotówkę naszych tajemnic. Ale z twoimi dochodami wszystko grało. Wydawało nam się, że przyjąłeś właściwy stosunek do problemów, przez które odszedłeś. Nie było potrzeby bezpośredniej obserwacji. Z pewnością nie śledził cię nikt z naszej ekipy.

- Czy mam uwierzyć, że Brian McKittrick zdecydował się mnie obserwować w wolnym czasie, gdy nie pracuje dla was?

- Brian McKittrick? - spytał ostro Hal. - O czym ty mówisz?

- Mówiłem wam, że go widziałem.

- Dwa miesiące temu?

- McKittrick dowodził zespołem obserwacyjnym - powiedział Decker.

- McKittrick nie pracuje u nas od lutego. Decker zaniemówił.

- W grudniu zmarł jego ojciec - wyjaśnił Ben. - Gdy nie miał go kto bronić, twoje zarzuty pod jego adresem zaczęły się potwierdzać. Nawalił podczas dwóch innych misji. Organizacja pozbyła się go. Esperanza zasłonił dłonią mikrofon telefonu komórkowego.

- Czy moglibyście rozmawiać trochę ciszej? Ledwo słyszę. Luis? - Pochylił się do przodu, w stronę Sancheza. - Policja z Albuquerque chce wiedzieć, czy mamy opis samochodu, którym odjechała Beth Dwyer. Czy naoczny świadek go opisał?

- Ta starsza pani nie wiedziała za wiele o samochodach - odparł Sanchez. - Powiedziała, że był duży, wyglądał na nowy i miał szary kolor.

- Tylko tyle?

- Obawiam się, że tak.

- Multum. Po prostu multum - zdenerwował się Esperanza. - A kierowca? Czy przyjrzała mu się, gdy wkładał walizki Beth Dwyer do bagażnika?

- Jeśli chodzi o ludzi, ta kobieta ma idealny wzrok. Facet miał lekko ponad trzydzieści lat. Wysoki. Potężnie zbudowany. Wyglądał jak piłkarz. Kwadratowa szczęka, blond włosy.

- Kwadratowa szczeka? Blond...? - Decker zmarszczył brwi.

- Coś nie gra?

- Wyglądał jak piłkarz? Brzmi jak...

- Znasz pan kogoś o takim wyglądzie?

- To niemożliwe. - Deckerowi zabrakło tchu. To, co przed chwilą usłyszał, nie miało sensu. Nic nie miało sensu. - Brian McKittrick. Ten opis pasuje do Briana McKittricka. Ale skoro nie pracuje dla was - Decker zwrócił się do Bena - to dla kogo on pracuje? Decker nie czekał, aż Sanchez całkowicie zatrzyma samochód w strefie, gdzie obowiązywał zakaz postojów, tylko wyskoczył z wozu policyjnego i popędził do długiego, trzykondygnacyjnego biurowca w kolorze gliny. Razem z Esperanza, Halem i Benem wbiegł po betonowych schodach. Na zewnątrz przed rzędem szklanych drzwi czekał na nich mężczyzna w wieku około czterdziestki, średniej wagi i wzrostu, o krótko przyciętych włosach i krótkich bakach. Mężczyzna był ubrany w bawełniane spodnie i sportową kurtkę. Przy pasku miał przypięty pager oraz telefon komórkowy.

- Mam nadzieję, że to ważne. Byłem na zabawie z okazji fiesty - Mężczyzna wyjął pęk kluczy i zabrał się do otwierania jednych z drzwi. Trzeźwym wzrokiem zmierzył Esperanzę, który nie miał okazji zmienić swoich pokrytych sadzą dżinsów i koszuli. - Co się panu stało? Powiedział pan przez telefon, że ma to coś wspólnego z rozmową, jaką przeprowadziliśmy rano.

- Nie mamy czasu iść na górę, do pańskiego gabinetu - odezwał się Decker. - Proszę nam tutaj wyjaśnić wszystko, co chcemy wiedzieć. Mężczyzna wyjął klucz z drzwi i zmarszczył brwi.

- A kim pan jest?

- Stephen Decker - to właśnie jego dom zaatakowano - powiedział Esperanza. - Panie Decker, to jest starszy agent FBI, John Miller. Decker zapytał natychmiast:

- Dlaczego odebrał pan sierżantowi Esperanzie prowadzenie dochodzenia w sprawie zamachu? Miller był zaskoczony i dopiero po chwili odpowiedział:

- To poufne.

- Wygląda na to, że atak nie był skierowany przeciwko mnie, ale przeciwko kobiecie, z którą się spotykałem - mojej sąsiadce. Nazywa się Elizabeth Dwyer. Używa imienia Beth. Czy to nazwisko coś panu mówi? Tym razem Miller nie zastanawiał się długo.

- Nie jestem przygotowany do rozmowy na ten temat - odparł.

- Jej dom wyleciał w powietrze dziś po południu. Miller zareagował, jakby ktoś wymierzył mu policzek.

- Co?!

- Czy w końcu zaczął pan przejawiać jakieś zainteresowanie? Czy teraz jest pan gotów rozmawiać na ten temat? Dlaczego wtrącił się pan do śledztwa w sprawie zamachu na mnie?

- Dom Elizabeth Dwyer wyleciał w powietrze? - Miller, zszokowany, odwrócił się w stronę Esperanzy. - Czy była tam? Czy zginęła?

- Najwyraźniej nie - powiedział Esperanza. - Nie znaleźliśmy ciała. Widziano kobietę podobną do niej, jak wsiadała do samochodu na Fort Connor Lane, kilka sekund przed eksplozją.

- Dlaczego nie poinformował mnie pan o tym, gdy pan dzwonił?

- Mówię teraz. Miller patrzył groźnym wzrokiem.

- Nie lubię, gdy się mną manipuluje.

- A ja nie lubię, gdy się do mnie strzela - wtrącił Decker. - Kto usiłuje zabić Beth Dwyer? Co pan wie o mężczyźnie nazwiskiem Brian McKittrick? Co pana łączy z tym wszystkim?

- Bez komentarza - odezwał się Miller beznamiętnym głosem. - Koniec tej rozmowy.

- Nie, dopóki nie udzieli mi pan kilku odpowiedzi.

- A jeśli nie? - spytał Miller. - Co pan zrobi, jeśli nie udzieli panu odpowiedzi?

- Nie jest dla pana ważne, że życie Beth znalazło się w niebezpieczeństwie?

- To nie pańska sprawa, czy jest to dla mnie ważne, czy nie. Decker poczuł, że robi mu się gorąco. Spojrzał na agenta równie groźnym wzrokiem i miał ochotę przygwoździć Millera do drzwi. Beth! - myślał wciąż. Ten, kto chciał ją zabić, mógł już do tej pory ją dopaść. Ale tego sukinsyna to najwyraźniej nie obchodziło.

- No i co? - spytał Miller. Decker zrobił krok do tyłu. Próbował się uspokoić. Wytłumaczył sobie, że to w niczym nie pomoże Beth, jeśli da się zaarrestować za napad na agenta FBI. Uspokój się, powtarzał sobie. Pierś mu falowała.

- Rozsądnie - powiedział Miller.

- Musimy o tym porozmawiać - odezwał się Esperanza.

- Nie - zaproponował Miller - nie musimy. Przepraszam. Muszę zadzwonić w kilku ważnych sprawach. - Otworzył drzwi i wszedł do budynku. Spojrzał gniewnym wzrokiem przez szybę, zamknął drzwi na klucz i odwrócił się tyłem.

- Porozmawiam sobie z nim, kiedy to się już skończy - oświadczył Decker.

Decker wysiadł z samochodu policyjnego na podjeździe swojego domu i spojrzał smętnie wzdłuż Camino Lindo, w stronę wozów strażackich i dymiących ruin domu Beth. Na skraju ulicy tłoczyli się gapie. Ktoś z ekipy telewizji wycelował kamerę na zgłiszcza.

- Przepraszam. - Esperanza siedział w samochodzie i machnął ręką zrezygnowany. " Decker był tak pograżony w myślach, że nie odpowiedział.

- Spróbuję nad nim popracować - zaczął Esperanza. - Może uda mi się coś z niego wyciągnąć.

- Jasne - zgodził się Decker bez przekonania. Nigdy nie czuł się tak bezradny. Hal i Ben stali obok niego.

- Będę dalej naprzykrzał się policji w Albuquerque i służbom bezpieczeństwa na lotnisku - obiecał Esperanza.

- Może Beth i McKittrick pojechali do Denver lub Flagstaff zasugerował Decker. - Trudno odgadnąć, w którą stronę się udali.

- Jeśli czegoś się dowiem, przekażę wam informacje. Tylko obiecacie mi, że wy zrobicie to samo. Tu jest moja wizytówka. - Esperanza napisał coś na niej. - Podaję wam mój numer domowy. Decker skinął głową. Granatowy samochód policyjny ruszył, skręcił, żeby ominąć zbiorowisko wozów strażackich i gapiów koło domu Beth, i odjechał, skąd przybył. Decker, mrużąc oczy przed słońcem świecącym od zachodu, przyglądał się, jak nad Camino Lindo unosi się kurz wzniesiony przez radiowóz.

- Nic nam nie musi powiedzieć - stwierdził Hal. - Właściwie to powinien być podejrzliwy w stosunku do nas. Z całą pewnością nie może nam uwierzyć na słowo, że jesteśmy w jakiś sposób powiązani z wywiadem.

- Zgadza się - dodał Ben. - Teraz zrobi co w jego mocy, żeby nas sprawdzić. I tak niczego się nie dowie.

- Przynajmniej był na tyle rozsądny, że nie przedstawił nas agentowi FBI jako pracowników wywiadu - zauważył Decker. - Biorąc pod uwagę ciche wojny, jakie FBI prowadzi z innymi organizacjami rządowymi, Miller powiedziałby nam jeszcze mniej.

- Jeszcze mniej? Przecież niczego się nie dowiedzieliśmy - odezwał się Hal.

- Nieprawda. - Decker popatrzył za znikającym samochodem policyjnym, po czym odwrócił się, żeby otworzyć furtkę prowadzącą na dziedziniec swojego domu. - Zainteresowanie Millera Beth potwierdza, że to ona była prawdziwym celem, a kiedy wspomniałem Briana McKittricka, zobaczyłem w oczach Millera, że wie, o kim mówię. Z całą pewnością on coś wie. Chociaż nam to szczególnie nie pomaga. Hal i Ben wyglądali nieswojo.

- O co chodzi? spytał Decker.

- O nas - odparł Hal.

- Co masz na myśli?

- Wysłano nas tutaj, żebyśmy sprawdzili, czy to, co zaszło ubiegłej nocy, wiąże się z którąś z twoich dawnych operacji - oświadczył Ben.

- I co?

- Nie wiąże się. - Ben spojrzał pod nogi, szurając butem po zwirowanym podjeździe. - Niezależnie od tego, na czym polegają kłopoty Beth Dwyer, twoje kłopoty są czysto osobiste. Nie mamy polecenia, żeby ci pomóc. Decker milczał.

- Kiedy tylko złożymy raport, odwołają nas - powiedział Ben. Decker nadal się nie odzywał.

- Naprawdę - potwierdził Hal - to nie leży w naszej mocy.

- Więc, do cholery, wsiadajcie do samochodu i wynocha - rozłościł się Decker. - Załatwię to bez was.

- Jak?

- Musi istnieć jakiś inny sposób. Cokolwiek by to było, wymyślę go. Wynoście się teraz.

- Nie gniewasz się? - spytał Hal.

- Czy mówię, jakbym się gniewał? - spytał Decker gorzko. Wszedł na dziedziniec i rozsiadł się na ławce pod portalem. Myślał. Mruczał przygnębiony; jeśli Esperanza nie dowie się niczego z lotniska w Albuquerque lub jeśli zdecyduje się zatrzymać dla siebie to, co mu powiedzą... Przez umysł Deckera przeleciał zwrot: martwy punkt. Automatycznie słowo „martwy” skierowało jego myśli ku Beth. Czy w tej chwili coś jej grozi? Dlaczego była z McKittrickiem? Dlaczego kłamała? Musi być coś. Decker niecierpliwie pukał prawą ręką w ławkę. Musi być coś, co przegapiłem, coś co można z nią jakoś powiązać, myślał gorączkowo. Decker usłyszał kroki przy wejściu na dziedziniec. Podniósł wzrok i zobaczył przed sobą Hala.

- Czy kiedykolwiek wspominała, że chciałyby pojechać w jakieś określone miejsce? - spytał Hal.

- Nie. Chciała tylko zerwać z dotychczasowym życiem na wschodzie. Myślałem, że wyjeżdżacie.

- Nie ma pośpiechu.

- Nie ma? - Decker bezsilnie wyobraził sobie, jak Brian McKittrick wiezie Beth po Fort Connor Lane i jak docierają do niej eksplozje, które rozsadzają jej dom. Żeby ta staruszka, która widziała, jak samochód odjeżdżał, zapamiętała numery rejestracyjne. Numery, rozmyślał. Może lista rozmów telefonicznych, które Beth prowadziła ze szpitala, wskazałyby kierunek poszukiwań. Albo rozmów, które przeprowadziła z telefonu domowego, pomyślał Decker. Będę musiał przypomnieć Esperanzie, żeby to sprawdził. Ale Deckera niepokoił sceptycyzm, z jakim odnosił się do Esperanzy, A jeśli Esperanza nie zechce mu przekazać zdobytych informacji?

- Musi być jakiś inny sposób - powiedział znowu Decker. - Jakie są możliwości, żeby ją wytropić? Przez obrazy się nie da. Nigdy mi nie powiedziała, jak nazywa się jej galeria w Nowym Jorku. Tam są setki galerii. Mamy za mało czasu, by skontaktować się ze wszystkimi. Poza tym zdaje mi się, że galeria była kłamstwem i że Beth nigdy nie sprzedała żadnego obrazu. Jedyne ogniwo to handlarz dziełami sztuki, Dale Hawkins, ale mógł wcale nie być tym, za kogo Beth go podała. Szkoda, że nie przyszło mi do głowy, by zapisać numer rejestracyjny samochodu, który stał zaparkowany przed jej domem. Ale nie miałem powodów do podejrzeń. Gdy Decker podniósł wzrok, Hal i Ben przyglądali mu się dziwnie.

- Nic ci nie jest?

- Co macie na myśli?

- Gestykulujesz i mruczysz pod nosem

- Samochód - odezwał się Decker.

- Słucham?

- Samochód, którym jeździł Hawkins. To jest to!

- O czym ty mówisz?

- Dale Hawkins jeździł wynajętym samochodem. - Decker wstał podekscytowany. - Kiedy mijalem jego auto, zajrzałem do środka i zauważyłem na przednim siedzeniu kopertę z umową wynajmu. Jestem niemal pewien, że to była firma Avis. I jestem zupełnie pewien, że wszystko działo się pierwszego września, bo właśnie wtedy Beth sfinalizowała zakup domu. Niebieski chevrolet cavalier. Jeśli Dale Hawkins przyleciał do Albuquerque, jak twierdził, na pewno wynajął samochód na lotnisku. Musiał pokazać swoje prawo jazdy i kartę kredytową. Będę mógł sprawdzić jego adres domowy. - Nagle podniecenie Deckera przygasło. - Przyjmując, że Esperanza powie mi, czego się dowiedział w agencji wynajmu samochodów. Decker przyjrzał się uważnie Halowi i Benowi.

- Pewnie będę tego żałował - odezwał się Hal.

- O czym mówisz?

- Chyba mogę trochę poczekać z poinformowaniem bazy, że wydarzenia ostatniej nocy nie miały nic wspólnego z pracą.

- Pomożecie mi?

- Pamiętasz, jak we trójkę pracowaliśmy w Bejrucie? - spytał nagle.

- Jak mógłbym zapomnieć? Szesnastego marca 1984 szyicka grupa terrorystyczna Hezbollah porwała szefa oddziału CIA, Williama Buckleya. Decker, Hal i Ben byli członkami zespołu, który miał się dowiedzieć, gdzie Buckley jest przetrzymywany. Decker brał udział w poszukiwaniach aż do września, po czym przeniesiono go do zadań antyterrorystycznych w Niemczech. W pamięci rozpalily musie wspomnienia napięcia i determinacji zespołu, jakie towarzyszyły im podczas tych gorących, letnich miesięcy. Nigdy nie udało im się odszukać Buckleya. Rok później, jedenastego października 1985, Hezbollah ogłosił, że Buckley nie żyje. 141

- Przy tej samej ulicy co nasza baza, kawalek dalej, znajdowało się niewielkie zoo - powiedział Hal. - To też pamiętasz?

- Oczywiście. Nie wiem, ile w tym zoo było zwierząt, zanim wybuchła wojna domowa, ale kiedy tam przyjechaliśmy, został już tylko lampart, żyrafa i niedźwiedź. Niedźwiedź nie przyzwyczaił się do klimatu. Wyglądał żałośnie.

- Snajper z jednego z ugrupowań zaczął zabawiać się strzelaniem do każdego, kto szedł nakarmić zwierzęta. Zabił opiekuna. W ciągu następnych kilku dni zastrzelił kilku ochotników. Zwierzęta zaczęły głodować.

- To też pamiętam. - Decker poczuł, że coś go dusi za gardło.

- Pewnej nocy zniknąłeś. Gdy wróciłeś rano, oznajmiłeś, że spróbujesz zanieść zwierzętom pożywienie i wodę. Chciałem cię powstrzymać. Ostrzegłem cię, że snajper będzie szczególnie zadowolony, jeśli nawinie mu się Amerykanin. Odparłeś, że już się zająłeś snajperem i nie będzie nam dokuczał. Oczywiście mógł go zastąpić inny snajper i strzelić do ciebie, ale wydawałeś się tym nie przejmować. Byłeś zdecydowany, że zwierzęta nie mogą cierpieć. Na dziedzińcu zapanowała cisza.

- Dlaczego to wspominasz? - spytał Decker.

- Bo ja też myślałem o tym, żeby pójść i wytropić tego snajpera - powiedział Hal. - Ale nie miałem dość ikry. Zazdrościłem ci, że zrobiłeś to, co sam powinienem zrobić. Śmieszne, co? Bejrut był padołem ludzkiej niedoli, a my się martwiliśmy o te trzy zwierzaki. I tak nie miało to żadnego znaczenia. Na drugi dzień zginęły od pocisku moździerzowego.

- Ale umarły najedzone - powiedział Decker.

- Racja. Ty zawsze potrafisz stanąć na wysokości zadania. Pokaż mi, gdzie jest najbliższy automat telefoniczny - poprosił Hal. - Powiem centrali, że wciąż badamy sprawę. Poproszę ich o możliwość wykorzystania ich sieci komputerowej, żeby sprawdzić, kto wynajął niebieskiego chevroleta cavalier w Avisie, na lotnisku w Albuquerque, pierwszego września. Pewnie mieli więcej takich samochodów. Na szczęście to nie jest duże lotnisko.

- Hal?

- Co?

- ...Dziękuję. Decker wyglądał przez tylną szybę forda taurusa, którego Hal i Ben wypożyczyli wcześniej tego dnia, żeby przyjechać z lotniska w Albuquerque, i walczył z bolesnymi odczuciami. Wydawało mu się, że zdarzenia na lotnisku miały miejsce całą wieczność temu. Przez tylną szybę samochodu widział panoramę gór Sangre de Cristo, żółtawe osiki w kotlinie narciarskiej, domy z glinianych cegieł wtulone w przedgórze, pinie i jałowce, i karmazynową poświatę słońca nad pustynnym płaskowyżem. Po raz pierwszy od czasu, kiedy tu przyjechał ponad rok temu, opuszczał Santa Fe. Oczywiście udawał się czasami poza granice miasta - gdy wybierał się na ryby albo na spływ pontonowy, albo na wycieczkę krajoznawczą do Taos. Ale te jednodniowe wypadki jakoś zdawały się przedłużeniem Santa Fe, a poza tym były krótkie i wiedział, że niedługo wraca. Teraz jednak wyjeżdżał naprawdę - nie miał pojęcia na jak długo ani czy wróci. Oczywiście chciał wrócić, z całego serca, im prędzej tym lepiej, nie wiedział jednak, czy będzie mógł. Czy też w czasie poszukiwań, jakie przedsięwziął, napotka zasadzki, które nie pozwolą mu wrócić? Czy przeżyje? Podczas licznych misji w wojskowych zadaniach specjalnych, a potem jako agent wywiadu, utrzymał się przy życiu po części dlatego, że posiadał profesjonalną umiejętność odróżniania ryzyka, które miało szansę powodzenia, od szaleństwa. Ale profesjonalizm wymagał czegoś więcej niż jedynie dokonywania osądów opartych na wyszkoleniu, doświadczeniu i możliwościach. Wymagał specjalnego podejścia - zachowania równowagi między oddaniem sprawie i obiektywizmem. Decker zrezygnował z pracy wywiadowczej, ponieważ przestał być oddany sprawie i niedobrze mu się robiło od obiektywizmu, który izolował go od wszystkiego wokół. Teraz jednak, bardziej niż kiedykolwiek przedtem, chciał doprowadzić rzecz do końca. Był absolutnie, zapalczywie, obsesyjnie zdecydowany odnaleźć Beth. Kochał ją miłością nieskończoną. Ona stanowiła sens jego życia. Zaryzykowałby wszystko, żeby ją odszukać. Wszystko? - zadał sobie pytanie i odpowiedział natychmiast. Tak. Ponieważ gdyby nie zdołał odnaleźć Beth i rozładować ogromnego napięcia, które nim zawładnęło, nie mógłby sobie z niczym poradzić. Jego życie byłoby pozbawione jakiegokolwiek znaczenia. Przepadłby. Gdy tak spoglądał posępnie przez okno taurusa, patrząc jak intensywny, niemal krwisty stał się karmazyn zachodzącego słońca, usłyszał, że Hal mówi coś do niego.

- Słucham?

- Czy ludzie tutaj zawsze jeżdżą jak wariaci, czy to dlatego, że jest fiesta?

- Nie. Ruch zawsze jest taki szalony - odparł Decker, nie włączając się do rozmowy.

- Uważałem, że w Nowym Jorku i w Los Angeles kierowcy są okropni. Ale czegoś takiego jeszcze nie widziałem. Podjeżdżają mi tuż pod tylny zderzak z szybkością sześćdziesięciu pięciu mil. Widać ich w lusterku wstecznym, jak patrzą na mnie ze złością, że nie jadę osiemdziesiąt. Wskakują bez kierunkowskazu na pas do wyprzedzania, po czym pojawiają się z powrotem na moim pasie, znowu bez kierunkowskazu, tym razem niemal ocierając się o mój przedni zderzak. I pędzą dalej, żeby przepychać się z następnym samochodem. Oczywiście w Nowym Jorku i w Los Angeles też jeżdżą zderzak przy zderzaku, ale to dlatego, że tam jest straszna ciasnota. Tutaj jest masa miejsca przede mną i za mną, a i tak się pchają. O co im, do diabła, chodzi? Decker nie odpowiedział. Znowu wyjrzał przez tylne okno i zauważył, że pagórki i domy z glinianej cegły stały się jeszcze mniejsze. Za oknem mignął tor wyścigowy. Taurus zaczął się wspinać na szczyt wzgórza La Bajada, które znaczyło początek zjazdu na południe, dwa tysiące stóp w dół, do Albuquerque.

- Sobotni wieczór - zauważył Hal. - Faceta może nie być w domu.

- To poczekam, aż wróci - odparł Decker.

- Wszyscy poczekamy - sprostował Ben. Ze wzruszenia Decker miał kłopoty z mówieniem.

- Dzięki. Doceniam to.

- Ale nie wiem, jak długo będę mógł zwodzić centralę - powiedział Hal.

- I tak już bardzo mi pomogłeś.

- Może. Wkrótce się dowiemy, czy to, co uzyskałem, naprawdę do czegoś się przyda. Wcześniej Hal podjechał do automatu telefonicznego w Santa Fe i poprosił o dane z systemu komputerowego pracodawcy. System miał tajny dostęp do każdego cywilnego banku danych w Stanach Zjednoczonych i niezwykle szybko Hal dowiedział się, że mimo iż w wypożyczalni na lotnisku w Albuquerque było kilka niebieskich chevroletów cavalier, wszystkie zostały wynajęte przed czwartkiem, pierwszego września. Ostatniego cavaliara wypożyczył pierwszego września, o 10.13, tak jak Decker sądził, nie Dale Hawkins, lecz Randolph Green, z Albuquerque.

- Randolph Green powiedział Hal, oddalając się od Santa Fe, dojeżdżając niemal do grani wzgórza. - Jak sądzisz, kim on jest?

- I dlaczego człowiek, który mieszka w Albuquerque, jedzie na lotnisko, żeby wynająć samochód? - Decker odwrócił się od malejącego, karmazynowego zachodu słońca. - Właśnie dlatego myślę, że jesteśmy na właściwym tropie.

- A przynajmniej na jedynym tropie, który wygląda obiecująco - stwierdził Ben.

- Ale dlaczego Beth miałaby kłamać co do jego nazwiska? - Decker potrząsnął głową. Pytanie było w pewien sposób naiwne. Już częściowo znał odpowiedź. Beth skłamała z tego samego powodu, dla którego nie powiedziała mu, że sądzi, iż to ona jest prawdziwym celem zamachu ubiegłej nocy, i z tego samego powodu, dla którego nie powiedziała mu, że Brian McKittrick będzie na nią czekał na Fort Connor Lane. Ukrywała coś przez cały okres związku ze mną. Cały ten związek to kłamstwo. Nie! - wmawiał sobie. To nie było kłamstwo. Jak coś tak potężnego mogłoby okazać się błagą? Czyż nie dojrzałbym oszustwa w jej oczach? Czyż nie zauważyłbym wahania lub wyrachowania, czegoś w jej postępowaniu, co by ją zdradziło? Sam byłem kiedyś mistrzem wyrachowania. Nie udałoby jej się mnie zwieść. Okazywała mi prawdziwą czułość, namiętność, troskę... Decker miał użyć słowa miłość, kiedy uprzytomnił sobie, że nie pamięta sytuacji, w której Beth mówiła, że go kocha. On często jej to powtarzał. Ale czy ona kiedykolwiek mu to powiedziała lub czy powtórzyła to po nim? Starał się usilnie, ale nie mógł sobie przypomnieć. Szybko nasunęły mu się inne wspomnienia kiedy pierwszy raz się kochali; jak padli na ceglana podłogę jej pracowni, niepewni, badawczy, oszołomieni, pragnący, odkrywcy. To też wydarzyło się pierwszego września, po tym jak poznał „Dale'a Hawkinsa”, po tym jak Beth pokazała Deckerowi swoje obrazy. Lawina wzbudzających wątpliwości pytań zdawała się miażdżyć zdrowy rozsądek Deckera. Czy Beth sama je namalowała? Czy naprawdę nazywała się Beth Dwyer? Czy jej mąż naprawdę zmarł? Czy w ogóle miała kiedyś męża? Co ją łączyło z Brianem McKittrickiem? Przecież to nie mógł być przypadek, że McKittrick znał zarówno Deckera, jak i Beth. Szaleństwo, pomyślał Decker. Na górnej wardze pojawił mu się pot. Nic nie było takie, jak przypuszczał. Wszystko, co uznawał za pewnik, stało się wątpliwe. Ogarnęło go nieodparte uczucie spadania i niemal zaczął żałować, że zrezygnował z pracy w wywiadzie. Wtedy przynajmniej znał zasady. Oszustwo było czymś powszednim i nigdy nie dał się nikomu zwieść. Teraz, gdy postanowił się przekonać, że życie nie musi opierać się na kłamstwie, w końcu go oszukano. Więc dlaczego, pytał sam siebie, tak mu zależy na odnalezieniu Beth? Żeby ochronić kobietę, którą kocha? A może chciał usłyszeć wyjaśnienia od kobiety, która go okłamała? Wiedział jedynie, że czuje się zdezorientowany i niezależnie od tego, co nim kieruje, nie spocznie, dopóki nie znajdzie Beth. Będzie próbował do śmierci. Ben znowu coś do niego mówił.

- Kiedy ten detektyw... jak on się nazywa? Esperanza?... zauważy, że opuściłeś miasto, chyba się wścieknie. Każe cię szukać policji stanowej.

- Każe szukać nas wszystkich - dodał Hal. - Widział ten wypożyczony samochód, jak stał przed domem Steve'a. Może go opisać.

- Tak ~ zgodził się Decker. - Będzie mnie szukał. Taurus wjechał na szczyt wzgórza i zaczął długi zjazd do Albuquerque. Gdy Santa Fe zniknęło z pola widzenia, Decker odwrócił się, żeby wpatrywać się w ciemną niepewność, która roztaczała się z przodu.

* * *

Rozdział siódmy

Po budynkach Santa Fe wznoszonych w stylu latynoskiego pueblo, spadziste dachy i ceglane lub drewniane elewacje konwencjonalnych budowli w Albuquerque wydawały się niezwykle. W Santa Fe niewiele było domów wiktoriańskich, w Albuquerque z kolei znajdowało się ich dużo i one też wydały się Deckerowi niezwykle. A jeszcze bardziej niezwykle wydały mu się liczne bungalowy, z których jeden należał do Randolpha Greena. Godzinę zajęło im odnalezienie właściwego adresu. Decker, Hal i Ben musieli się zatrzymać na trzech różnych stacjach przy szosie międzystanowej 25, zanim na jednej z nich znaleźli plan Albuquerque. Plan nie był tak dokładny, jak by chcieli, i musieli jechać powoli, sprawdzając nazwy ulic, ale w końcu dotarli do celu na równinie, po zachodniej stronie miasta. Chama Street była zabudowana skromnymi bungalowami, z trawnikami, drzewkami i żywopłotami, i Decker poczuł się, jakby go ktoś przeniósł do jakiejś dzielnicy podmiejskiej na Środkowym Zachodzie. Znowu zakręciło mu się w głowie i poczuł, że traci poczucie rzeczywistości.

- To tutaj - powiedział Hal, mijając dom, który niczym nie wyróżniał się z pozostałych. Było po 22.00. Słońce zaszło już dość dawno temu. Poza latarniami, stojącymi w znacznym oddaleniu od siebie, i kilkoma oświetlonymi oknami w domach, okolica była ciemna. Widocznie mieszkańcy wyszli zabawić się w sobotni wieczór. W domu Greena paliło się światło w pokoju z tyłu i na ganku.

- Może jest w domu, a może nie - powiedział Ben. - Mógł zostawić zapalone światła, żeby odstraszały włamywaczy.

- Objedź ten kwartał uliczny - poprosił Decker. - Upewnimy się, czy nie ma niespodzianek. Nie było. Dzielnica wydawała się równie zwyczajna, jak dom Greena.

- Może się pomyliliśmy - zastanawiał się Hal. - Nie wygląda to za bardzo na zbójckie siedlisko.

- To nasz jedyny trop. - Decker starał się nie tracić nadziei. - Chcę spytać Greena, dlaczego musiał jechać aż na lotnisko, żeby wynająć samochód. Hal zaparkował kawałek dalej. Decker wysiadł dopiero, gdy zgasły światła taurusa. Chciał pozostać ukryty w ciemności. Ale gdy ruszył w stronę domu Greena, Hal otworzył bagażnik.

- Poczekaj. - Hal powstrzymał go cicho i coś mu wręczył. Decker rozpoznał po dotyku etui z wytrychami. Następnie Hal podał mu coś jeszcze. Decker i tym razem nie musiał pytać, co to jest. Dotyk tego przedmiotu był mu znany aż za dobrze - półautomatyczny pistolet.

- Dziewięć milimetrów - powiedział Hal jeszcze ciszej. - Beretta. Tu masz do niego tłumik. - Hal wyciągał przedmioty z walizki. Ben brał je również dla siebie.

- Jak przeszliście przez bramki bezpieczeństwa na lotnisku?

- Nie musieliśmy przez nie przechodzić. Decker przytaknął.

- Teraz pamiętam. W domu wspominaliście, że przylecieliście samolotem służbowym.

- Wszystko gotowe? - spytał Ben. Decker rozejrzał się, żeby się przekonać, czy nikt go nie widzi, sprawdził, czy pistolet jest załadowany, i nie zawracając sobie głowy zabezpieczeniem go, wepchnął broń pod beżową wiatrówkę. Mimo że zmienił ubranie i jak najlepiej starał się zmyć sadze z włosów i ze skóry, zimna woda nie spełniła dobrze zadania. Wciąż unosił się od niego lekki zapach dymu.

- Gotów.

- Jak chcesz to zrobić? - spytał Ben. - Jeśli Green jest w domu, może być z rodziną. Może jest niewinny. Albo siedzi w towarzystwie bandy facetów, którzy lubią się bawić bronią maszynową. W każdym razie nie powinniśmy tam po prostu wtargnąć.

- Obserwujcie stąd dom. Ja się rozejrzę - powiedział Decker.

- Ale może ci być potrzebna osłona.

- Sam mówiłeś, że to nie jest w ramach pracy. Skoro to moje przedstawienie, ja biorę na siebie ryzyko.

- Nie robimy tego dla pieniędzy.

- Wierz mi, jeśli będę potrzebował pomocy, dam wam znać. Hal zamknął bagażnik, a Decker poszedł z udawanym spokojem mrocznym chodnikiem, uważnie przyglądając się budynkom po obydwu stronach ulicy i zbliżając się do posesji Greena. Minał ją, skręcił w lewo na podwórko domu, który stał obok - nie paliło się tam żadne światło - i schylony przeszedł wzdłuż drewnianego ogrodzenia na tył domu. Obawiał się, że tu albo u Greena może być pies, ale nigdzie nie dostrzegł budy i nie słyszał szczekania. Noc była spokojna. Gdy czekał chwilę, żeby opanować napięcie, poczuł zapomniany słodki zapach świeżo ściętej trawy. Światło z tyłu domu Greena padało z okna, oświetlając mroczne podwórko świetlistym prostokątem. Wewnątrz nie poruszały się żadne postacie. Ze swojego miejsca Decker miał widok na tył garażu Greena. Poruszając się powoli, żeby zminimalizować jakikolwiek hałas, wszedł na sięgający pasa płot i zeskoczył na trawnik po drugiej stronie. Natychmiast przylgnął do tylnej ściany garażu i wtopił się w cień. Gdy nic nie zasygnalizowało jego wejścia na podwórko, zajrzał do garażu przez tylne okienko i w świetle padającym z domu Greena ujrzał, że wewnątrz jest puste. Natychmiast dopełzył do krzaków za domem i znieruchomiał pod ciemnym oknem, nasłuchując głosów, muzyki, programu telewizyjnego, czegokolwiek, co by mogło wskazywać, że ktoś jest w środku. Cisza. Zadowolony, że żywopłot i kilka drzew osłaniają go od sąsiedniego domu, wyszedł z cienia i zaczął uważnie nasłuchiwać przy drzwiach. Ze środka nie dochodziły żadne dźwięki. Stał pod oświetlonym oknem i posłuchał. Nic. Jeśli Green mieszka sam, to pusty garaż świadczy o tym, że wyszedł. Ale jeśli mieszka tu jeszcze ktoś i nie wszyscy wyszli? Albo Green nie ma samochodu i właśnie dlatego wynajął cavaliera pierwszego września? Cholera, nie mam czasu, żeby znowu wszystko przemyśleć, powiedział Decker do siebie. Muszę znaleźć Beth! Dawniej wycofałby się i nadal obserwowałby dom, czekając, aż będzie miał okazję spotkać się z Greenem w sprzyjających okolicznościach. Ale to się działo teraz i serce mu łomotało ze strachu, że Beth jest w niebezpieczeństwie, że potrzebuje jego pomocy. Musi być jakieś wytłumaczenie, dlaczego go okłamywała. W każdym razie, w tej właśnie chwili, groziło mu, że zostanie zabity w domu Greena. Nie zauważył żadnych znaków, które ostrzegalyby potencjalnych włamywaczy, że dom jest wyposażony w system alarmowy. Na ogół umieszcza się takie znaki w widocznych miejscach. Na żadnym z okien z tyłu nie było nalepki z napisem: STRZEŻONE ELEKTRONICZNIE. Z nikłą nadzieją, że Green zapomniał zamknąć tylne drzwi, Decker przekręcił klamkę. Nic z tego. Sięgnął do kieszeni kurtki, wyjął etui z wytrychami i trzydzieści sekund później otworzył zamek. Mógł to zrobić znacznie szybciej, ale musiał pracować ostrożnie, czyniąc jak najmniej hałasu, żeby nie zaalarmować kogoś, kto mógł się znajdować w środku. Wyciągnął berettę, przykucnął, otworzył drzwi i wycelował w stronę niewielkiej kuchni. Światło, które widział, paliło się nad zlewem. Pochylony, tak szybko, jak tylko mógł, zachowując ciszę, obszedł cały ciemny dom. Sprawdził wszystkie pokoje, zadowolony, że jest tylko jedna kondygnacja i że dom nie jest podpiwniczony. Nikogo nie znalazł. Nie zauważony wyszedł przez tylne drzwi na mroczny chodnik przed domem i pięć minut później był z powrotem w środku, tym razem w towarzystwie Hala i Bena. Zamknął za sobą drzwi i powiedział:

- No to dowiedzmy się, kim, u diabła, jest Randolph Green. Gdy przeglądałem dom, nie widziałem żadnych dziecięcych ubrań ani zabawek. Nie znalazłem też żadnych sukienek. Green mieszka sam albo z innym mężczyzną. Przejrzą główną sypialnię - zaferował się Hal. Jeśli jest druga sypialnia, ja się nią zajmę - dodał Ben. Jest - odparł Decker. - A ja sprawdzę pracownię. Może nie. - Hal zmarszczył brwi. Coś nie tak? Na podjeździe pojawiły się światła samochodu. Decker zamarł. Przez boczne okno kuchni dostrzegł błysk zbliżających się świateł i usłyszał silnik samochodu. Pojazd był za daleko, żeby ktoś, kto się w nim

znajdował, mógł zajrzeć do kuchni, ale za kilka sekund podjedzie wystarczająco blisko. Decker, Hal i Ben przycupnęli pod oknem i rozglądali się wokół.

- Ja się tym zajmę. Dopóki da się tego uniknąć, nie pokazujcie nikomu swoich twarzy - powiedział Decker. - Jeśli się okaże, że to fałszywy trop, nie chcę, żebyście byli oskarżeni o włamanie i wtargnięcie. - Skrył się w ciemnościach salonu. Hal i Ben poszli korytarzem w lewo, który prowadził do pracowni i do sypialni. Na zewnątrz rozległ się jakiś dźwięk, podobny do odgłosu otwieranych drzwi garażu. Kilka sekund później silnik samochodu zgasł. Drzwi garażu wydały jeszcze jeden odgłos. Decker przywarł w salonie do półki z książkami, czuł, jak pot spływa mu po piersi. Usłyszał zgrzyt klucza w tylnych drzwiach, które po chwili otworzyły się i do środka wszedł jeden człowiek. Decker wkroczył do kuchni z bronią gotową do strzału. Kiedy ujrzał twarz mężczyzny, skonstatował z mieszaniną ulgi, zdziwienia i złości, że jego determinacja kazała mu ważyć się na ryzyko, którego dawniej nigdy by nie podjął. Istniało bowiem duże prawdopodobieństwo, że Randolph Green jest żyjącym w pełnej zgodzie z prawem obywatelem, i że jedynie przez przypadek człowiek ten wynajął pierwszego września, na lotnisku w Albuquerque, niebieskiego chevroleta cavaliera. W takiej sytuacji co by się stało, gdyby Greena przestraszył widok pistoletu Deckera? Co by było, gdyby sprawy potoczyły się jak najgorzej i Green zostałby ciężko ranny? Nawet gdyby Green nie poniósł żadnej szkody, Decker złamał prawo wdzierając się do jego domu i jeśliby został złapany, nie mógł liczyć na to, że jego dawny pracodawca przekona miejscową policję, żeby przymknęła oko na to przestępstwo. Wyrzuty sumienia zniknęły, gdy zaskoczony mężczyzna, odwracając się gwałtownie, sięgnął prawą ręką pod kurtkę. Decker dopadł go, zanim tamten zdołał wyciągnąć rewolwer. Kopnięciem zwałił go z nóg i jednocześnie odbijając jego prawą rękę do góry, wykręcił mu nadgarstek i wytrącił rewolwer z dłoni. Mężczyzna jęknął z bólu, uderzając o podłogę. Decker odepchnął rewolwer i przyciskając mężczyźnie do czoła berettę, szybko go przeszuwał. Gdy już się upewnił, że tamten nie ma żadnej innej broni, wziął portfel mężczyzny i cofnął się, cały czas mierząc do niego z beretty. W tej samej chwili usłyszał szybkie kroki w korytarzu z tyłu i do pokoju wpadli Hal i Ben.

- Nic ci nie jest? - Ben celował ze swojej beretty.

- Oprócz tego, że jestem cholernie wkurzony, to nie. - Decker wskazał gestem szczupłego mężczyzny około pięćdziesiątki, o delikatnych rysach i rzednących siwiejących włosach. Jedynym szczegółem, jaki uległ zmianie od czasu, kiedy Decker widział go po raz ostatni, było to, że blada przed kilkoma dniami skóra mężczyzny teraz nabrała trochę koloru od pustynnego słońca. - Pozwólcie, że wam przedstawię marszanda, który twierdzi, że sprzedaje obrazy Beth, Dale'a Hawkinsa. Dawno się nie widzieliśmy. Dale. Jak tam interesy? Hawkins, rozciągnięty na podłodze, spojrzał na niego wściekłym wzrokiem.

- Co ty, do cholery, robisz? Czy masz pojęcie... Decker kopnął go. Gdy Hawkins przestał jęczeć, Decker powiedział:

- Zadałem ci pytanie, Dale. Jak tam interesy? Pewnie niezbyt dobrze, skoro musiałeś zostawić swoją galerię w Nowym Jorku. A może naprawdę nazywasz się Randolph Green? Trudno mi się w tym połapać, Dale, a jak się w czymś nie mogę połapać, to się złoścę. A jak się złoścę, to... Decker wyciągnął szufladę kuchenną i wysypał na mężczyznę sztucce. Hawkins jęknął i złapał się za ramię.

- Pogadaj ze mną, Dale. I tak w końcu zechcesz rozmawiać, więc mógłbyś oszczędzić sobie sporo bólu.

- Nie wiesz, co... Decker rzucił w Hawkinsa opiekaczem do grzanek, który uderzył mężczyznę w udo. Twarz wykrzywił mu grymas bólu. Nie wiedział, za którą część ciała się trzymać.

- Nie zmuszaj mnie, żebym stracił cierpliwość. - Decker nalał wody do garnka, postawił go na kuchence i włączył palnik. - Gdybyś się przypadkiem zastanawiał, to nie gotuję wody na kawę. Miałeś kiedyś poparzenia trzeciego stopnia? Podobno strasznie boli. Nie żartuję.

Dale. Uważaj teraz. Co... cię... łączy... z... Beth... Dwyer? Hawkins nadal rozcierał bolące udo.

- Zajrzyj do mojego portfela.

- Co?

- Mój portfel. Masz go w dłoni. Zajrzyj do niego.

- Jest tutaj coś na temat Beth? - Decker nie chciał spuszczać Hawkinsa z oka. Rzucił portfel do Bena. - Sprawdź, o czym on mówi. Ben otworzył portfel, przejrzał jego zawartość i zmarszczył brwi.

- No i co? - spytał Decker. - Kłamał? Nie ma tam nic na temat Beth?

- Nic takiego nie mogę znaleźć. - Ben wyglądał na strasznie zmieszanego. - Ale przyjmując, że ten dowód tożsamości nie jest lewy, to naprawdę nazywa się Randolph Green.

- No i co? Co z tego?

- To znaczy - Ben wyciągnął odznakę - że jest agentem rządowym Stanów Zjednoczonych. Agentem rządowym? Myśli Deckera kotłowały się. - Nie. To nie ma sensu. Co amerykański agent rządowy mógłby mieć wspólnego z...

- Cicho - powiedział Ben.

- Co...

- Coś słyszałem. - Ben rzucił się do okna w drzwiach kuchennych. Chryste! - Podniósł pistolet. - Na podłogę! Ktoś jest na zewnątrz! - Po chwili odrzuciło go do tyłu od siły wystrzału, a z czoła trysnęła mu krew. Decker zrobił unik. W uszach dzwoniło mu od brzęku tłuczonej szyby w tylnych drzwiach. Ha! rzucił się na podłogę i on uczynił to samo, celując w tylne drzwi, po czym rozpaczliwie wycelował w okno nad zlewem kuchennym i znowu w stronę okien po obydwu stronach pokoju. Szok nie pozwolił mu na okazanie smutku z powodu śmierci Bena. Owładnięty jedną myślą: nie dać się zabić - działał z profesjonalizmem. Wycofując się w nadziei znalezienia osłony w mroku salonu, Decker krzyknął do mężczyzny, który dla niego wciąż był Dalem Hawkinsem.

- Kto do nas strzela? Każ im wstrzymać ogień! Ale na twarzy Hawkinsa malował się obraz absolutnego zaskoczenia. Decker usłyszał gniewne głosy za tylnymi drzwiami. Gdy odwrócił się, żeby wycelować w tamtą stronę, bębunki niemal popękały mu od potężnych eksplozji. Raz, dwa, trzy, cztery. Decker przycisnął ręce do uszu, a następnie do oczu, próbując je osłonić. Hukom towarzyszyły oślepiające błyski, które ogniem wdarły się Deckerowi do mózgu. Jęknął, nie będąc w stanie opanować odruchowej reakcji systemu nerwowego na tak potężny ból, i padł na podłogę, bezsilny wobec granatów świetlnowobuchowych, które miały obezwładniać, ale nie ranić. W rozdygotanych zakamarkach świadomości Decker zdał sobie sprawę, co się dzieje. Sam używał takich granatów przy wielu okazjach. Ale ta wiedza nie ustrzegła go przed paniką. Zanim udało mu się przezwyciężyć ból i zacząć przytomnie myśleć, ktoś wykopał mu pistolet z ręki. Ogluszonego i oślepionego poderwano go na nogi. Wypchnięto za drzwi. Upadł na chodnik i znowu ktoś go podciągnął na nogi, spychając z krawężnika. W końcu, bezwładnego, pchnięto go na prawo. Wylądował na twardej metalowej podłodze, poczuł, jak obok ładowane są inne ciała, i z trudem uświadomił sobie, że to furgonetka. Metalowa podłoga zadudniła, gdy weszli na nią ludzie. Drzwi zamknęły się z trzaskiem. Furgonetka ruszyła szybko.

- Przeszukałeś ich? - spytał gruby głos.

- W domu.

- Przeszukaj jeszcze raz.

- Ale mamy całą ich broń.

- Powiedziałem, przeszukaj ich jeszcze raz. Nie życzę już sobie żadnych niespodzianek. Decker, dezorientowany, poczuł, że obmacują go jakieś dłonie, przewracają na bok,

naciskają, szukają. Jego porażony wzrok zaczął wracać do normy. W uszach dzwoniło mu boleśnie i głosy, które słyszał, wydawały się docierać z wielkiej odległości.

- Jest czysty - oznajmił inny, gruby głos.

- Pozostali też.

- W porządku - odezwał się pierwszy głos. Brzmiał, jakby ktoś usiłował mówić trzymając żwir w ustach. - Czas na prezentację. Hej! Furgonetką zakołysało, pewnie skręcała. Silnik zawarczał głośnie. Decker poczuł, że prędkość auta wzrosła.

- Hej! - powtórzył żwirowy głos. Decker poczuł obok siebie jakiś ruch.

- Właśnie. Ty. Do ciebie mówię. Decker zacisnął powieki i otworzył je mrugając. Wzrok wracał do normy. Zaczęły znikać białe plamy. Dostrzegł zbliżające się światła reflektorów błyszczących za szybą - mnóstwo świateł. Autostrada. Decker słusznie przypuszczał, że jest w furgonetce. Tylna część samochodu, gdzie leżał, była pozbawiona siedzeń. Naprzeciwko niego siedziało trzech mężczyzn z karabinami. Kucali z przodu furgonetki, tyłem do kierowcy, obok którego siedział jakiś mężczyzna, cały czas przyglądając się więźniom.

- Tak, ty - powtórzył mężczyzna o żwirowym głosie. Był otoczony uzbrojonymi ludźmi, krzepki, o gęstych ciemnych włosach i żółtawej, oliwkowej cerze. Miał około trzydziestki. Ubrany w drogie buty, dobrze skrojone spodnie, firmową koszulę i szytą na miarę kurtkę; wszystko w ciemnych barwach. Decker zauważył, że pozostali mężczyźni w furgonetce wyglądali podobnie. Z bronią przygotowaną do strzału, mężczyzna nachylił się i szturchnął kogoś, kto leżał obok Deckera. Gdy Decker spojrział w tamtym kierunku, zauważył, że był to człowiek, którego uważał za Dale'a Hawkinsa.

- Ty, na miłość boską - odezwał się mężczyzna. - Siadaj. Uważaj teraz. Hawkins, oszołomiony, podciągnął się do pozycji siedzącej i oparł bezwładnie o bok furgonetki. Mimo że dzwonienie wciąż jeszcze było bolesne, Decker nie miał już tak przytępionego słuchu. Usłyszał, jak kierowca skarży się:

- Jeszcze jeden! Chryste, ci kierowcy to wariaci. Czy oni się popili? Czy im się wydaje, że to wyścigi w Indianapolis? Wpychają się tuż przede mną. Jeszcze trochę i mój przedni zderzak zostanie im na pamiątkę. Mężczyzna, który wydawał się szefem, nie zwracał uwagi na kierowcę. Przyglądał się Hawkinsowi, który siedział na lewo od Deckera. Na prawo powoli siadał Hal.

- A więc to tak działa - odezwał się krzepki mężczyzna. - Wiemy, że Decker nie ma pojęcia, gdzie jest kobieta. W przeciwnym razie nie latałby w kółko próbując ją znaleźć. Ale pewnie mu się wydaje, że ty wiesz, gdzie ona jest. - Mężczyzna wskazał ręką w stronę Hawkinsa. - W przeciwnym razie nie przyjechałby z Santa Fe aż do Albuquerque, żeby włamać się do twojego domu i zadać ci parę pytań, jak wrócisz. Decker miał kłopoty z oddechem i był zdenerwowany sytuacją, w której nie dało się ani walczyć, ani uciekać. Wszystko działo się niezwykle szybko, ale mimo zawrotów głowy i mdłości starał się zachować przytomność umysłu i zwracać uwagę na jak największą liczbę szczegółów. Nadal frapowały go ciemne oczy, wyraziste rysy i oliwkowa cera mężczyzny. Włoch, zdecydował. Cała grupa to Włosi. Tak samo jak tej ostatniej nocy. Rzym. To wszystko jest powiązane z wydarzeniami w Rzymie, pomyślał z przerażeniem. Ale jakim cudem?

- Ułatwię ci to - zwrócił się szef do Hawkinsa. - Powiedz mi to, co Decker chciał usłyszeć. Znowu jakiś samochód wepchnął się tuż przed furgonetkę. Kierowca zaklął i szarpnął ostro.

- Gdzie jest Diana Scolari? spytał szef. Przez chwilę Decker był przekonany, że podrażnione bębniaki płatają mu figla i zniekształcają dźwięk słów. Beth Dwyer. Ten mężczyzna na pewno o to pytał. Gdzie jest Beth Dwyer? Ale ruch ust mężczyzny nie pasował do imienia Beth. Diana Scolari. Zapytał o kogoś o tym imieniu i nazwisku. Ale kim, do diabła, była Diana Scolari?

- Nie wiem - powiedział Hawkins. Skóra poszarzała mu ze strachu. Zmuszał się do mówienia, jakby mu zaschło w ustach. - Nie mam pojęcia, gdzie jest. Szef, zawiedziony, potrząsnął głową.

- Mówiłem, że chcę ci to ułatwić. Zadałem pytanie. Powinieneś mi udzielić odpowiedzi. Nie chcesz, to ci pomogę. Mężczyzna wziął obręcz koła, uniósł i trzasnął nią w gołęń Hawkinsa. Hawkins wrzasnął i chwycił się za nogę.

- Jeśli zrobisz, co ci się każe, to nie będzie bólu - oznajmił szef. - Ale nie jesteś skory do współpracy. Czy naprawdę chcesz, żebym uwierzył, że agent rządowy USA - wyciągnął odznakę Hawkinsa - który miał dopilnować, żeby Diana Scolari osiedliła się w Santa Fe, nie wie, dokąd zbiegła? Mężczyzna uderzył obręczą obok drugiej nogi Hawkinsa. Podłoga zahuczała, a Hawkins się skrzywił. - Czy sądzisz, że jestem aż taki głupi?

- Nie byłem sam. Wyznaczono całą ekipę. Sprawdzaliśmy ją na zmiany, żeby nikt nie rzucał się za bardzo w oczy. Nie widziałem jej od pierwszego września. Krzepki mężczyzna ponownie walnął obręczą w metalową podłogę.

- Ale wiedziałeś, że dzisiaj uciekła.

- Tak. - Hawkins z trudem przełknął ślinę. Bum! Obręcz znowu uderzyła o podłogę.

- A to znaczy, że jesteś w kontakcie z pozostałymi członkami ekipy. Czy mam ci uwierzyć, że nie powiedziano ci, gdzie reszta ją zadekowała?

- Takie informacje są przekazywane tylko wtedy, jeśli jest to absolutnie niezbędne. Powiedzieli mi, że nie muszą mnie o tym informować.

- Och, naprawdę tak powiedzieli? To bardzo niedobrze dla ciebie. Skoro nic nie wiesz, jesteś dla nas bezużyteczny i właściwie mogę cię zabić. - Mężczyzna skierował pistolet w stronę Hala. - Wiem, kim jest Decker. A ty kim jesteś?

- Nikim.

- Więc nie potrzebujemy cię? Broń mężczyzny była wyposażona w tłumik. Pistolet wydał cichy dźwięk i Hal upadł do tyłu, po czym zastygł w bezruchu. Deckerowi serce podskoczyło do gardła. Nagłą ciszę w furgonetce podkreślał szum ruchu na zewnątrz. Kierowca skrzywił gwałtownie, unikając zderzenia z samochodem, który zmienił pas ruchu bez kierunkowskazu.

- Co za dupki. Nie do wiary. Czy im się wydaje że to wyścigi? Poszaleli? Krzepki mężczyzna nadal nie zwracał uwagi na kierowcę i znowu zwrócił się do Hawkinsa.

- Czy teraz słuchasz mnie uważnie? Jeden już z głowy. Następny będzie Decker. A potem, zgadnij kto?

- I tak mnie zabijesz - powiedział Hawkins. - Dlaczego miałbym ci cokolwiek mówić?

- Jeśli będziesz współpracował, zwiążemy cię i zostawimy w jakimś baraku. Musimy ci zamknąć usta tylko do poniedziałku. Potem to już bez znaczenia.

- Skąd mam mieć pewność, że mogę ci wierzyć?

- Przyjrzyj się mojej twarzy. Czyja mógłbym skłamać?

- Co ma się wydarzyć w poniedziałek? - spytał Decker. Przypomniawszy sobie, że Beth w niedzielę chciała polecieć na wschód.

- Czy ktoś cię zapraszał do rozmowy? - spytał krzepki mężczyzna. Decker potrząsnął głową.

- Już jesteś na mojej liście - powiedział zamachowiec. - Gdyby nie ty, dopadlibyśmy tę sukę zeszłej nocy. Do tej pory już byśmy byli z powrotem w Jersey. Szef nie wkurzyłby się na nas, że znowu spudłowaliśmy dziś po południu. Nie musielibyśmy spędzać sobotniego wieczoru, wożąc was po tym cholernym Albuquerque. Wspomnienie New Jersey wzmogło palenie w żołądku Deckera. Było dla niego absolutnie jasne, że zamachowiec nie zdradziłby żadnych szczegółów, gdyby, mimo obietnic, nie zamierzał zabić Deckera i Hawkinsa. Mężczyzna przystawił pistolet do skroni Hawkinsa.

- Może ty jeszcze nie zdążyłeś się zorientować w sytuacji. Może nie zdajesz sobie sprawy, co robi ze mną mój szef, jeśli nie rozwiążę tego problemu.

- Proszę - odezwał się Hawkins. - Posłuchaj mnie. Nie wiem, co ci powiedzieć. Pod koniec sierpnia przeniesiono mnie z Filadelfii do Albuquerque. Ochrona Diany Scolari była moim pierwszym zadaniem na tym terenie. Zaangażowano do tego już wcześniej innych

agentów. Oni znali szczegóły. Ja pozostawałem poza obiegiem. Nagle Decker pomyślał, że chyba wie, jak odwlec egzekucję.

- Ja znam ją lepiej niż Hawkins. Zamachowiec skierował pistolet w twarz Deckera.

- Czy nie mówiłem ci, że masz się nie wtrącać? Decker przytaknął.

- Skoro wiesz o niej tak cholernie dużo, to dlaczego nie masz pojęcia, dokąd zwiła?

Mieliśmy polecenie, żeby cię śledzić. Kiedy cała wasza banda opuściła dom, żeby pojechać do biura FBI, Rudy założył nadajnik pod tylny zderzak samochodu, który wynajęli twoi przyjaciele; tego samochodu, którym dziś wieczorem przyjechaliście do Albuquerque.

Śledziliśmy was. To było oczywiste, że jeździcie po okolicy, żeby ją znaleźć. Decker zamilkł.

- Powiedz coś - warknął zamachowiec.

- Gdybym wiedział, o co tutaj chodzi, może mógłbym przypomnieć sobie coś, co mówiła, coś z czym się niechcący zdradziła, coś co mogłoby wskazać, dokąd pojechała - odparł Decker.

- I tak, z dobrego serca, byś mi to powiedział?

- Żeby ująć z tego z życiem. Jestem na nią równie wkurzony jak wy stwierdził Decker.

- Wątpię w to. Furgonetką znowu rzuciło.

- Okłamywała mnie - rozżośćił się Decker. - Diana Scolari? Powiedziała mi, że nazywa się Beth Dwyer, a jej mąż zmarł w styczniu na raka. Ona zaś przyjechała do Santa Fe, żeby zacząć nowe życie.

- Zgadza się, jej mąż zmarł - powiedział gorzko zamachowiec. - Ale nie na raka.

Rozwaliła mu łeb. Decker otworzył usta ze zdziwienia.

- Co?

- Strzela lepiej ode mnie. Nic dziwnego. Joey ją uczył. Joey? - pomyślał Decker. Chciał natychmiast spytać, kim był Joey, ale się nie odważył. Musiało wyglądać to tak, jakby raczej przekazywał informacje, a nie zdobywał je.

- A co ci powiedziała, skąd mogła sobie pozwolić na ten dom? - spytał zamachowiec.

- Z polisy ubezpieczeniowej męża. Zamachowiec roześmiał się gniewnie.

- Jasne, Joey oczywiście miał polisę ubezpieczeniową. W postaci studolarowych banknotów w kilku workach, w sejfie, w domu. Ponad dwa miliony dolarów. Kiedy rozwaliła mu łeb, wszystko zabrała. Furgonetką rzuciło ostro i wszyscy się przechylili.

- Hej! - zamachowiec z wściekłością odwrócił się do kierowcy. - Jak nie potrafisz prowadzić, to Frank znajdzie sobie innego kierowcę.

- Mówię ci - usprawiedliwiał się mężczyzna za kierownicą - nigdy nie widziałem takich kierowców. Wszyscy mają te wielkie auta półciężarowe i zajeżdżają mi drogę, jakby to była jakaś zabawa, która polega na tym, żeby zobaczyć, jak bardzo mogą się do mnie zbliżyć bez stłuczki. Przy tym jazda autostradą na Long Island wygląda jak przejażdżka po wiejskiej okolicy.

- Rób, co ci się każe. Mam już dosyć partactwa. Od początku cała ta zaszra robotą to partactwo. Jedno wielkie partactwo. Gdy zamachowiec odwrócił się z powrotem do Deckera, Decker nie dał po sobie poznać, że ze zdziwieniem wyczuł lekki ruch obok siebie, po prawej stronie. Hał, skryty w cieniu, z tyłu furgonetki, przyłożył palec do kostki Deckera, żeby dać mu znać, że strzał go nie zabił. Hał chciał go zapewne ostrzec, że ma zamiar podjąć jakieś działanie. Zamachowiec wymierzył pistolet w Deckera.

- Dobra, kochasiu. Jestem rozsądnym facetem. Jeden z jego towarzyszy parsknął śmiechem.

- Jasne że jestem - powiedział zamachowiec. - Uwierzcie mi. Oto moja propozycja. Ponieważ miałaś pewne podejrzenia i chciałaś, aby ten agent rządowy je potwierdził, możesz w ciągu trzydziestu sekund podzielić się ze mną swoimi przypuszczeniami, gdzie ona teraz jest. I niech te przypuszczenia będą trafne. Bo jeśli mnie nie zainteresują, to papa. Może ten agent rządowy zda sobie sprawę, że mówię poważnie. Po twarzy Deckera spływał pot.

- Powiedziała mi, że w niedzielę leci do Nowego Jorku.

- Oczywiście, żeby w poniedziałek złożyć zeznanie pod przysięgą. Masz jeszcze dwadzieścia pięć sekund.

- Więc wiesz, gdzie ją można dopaść - tam gdzie złoży zeznanie.

- Po dwóch próbach zamachu na życie Diany Scolari, federalni nie zaryzykują, nie pokazują, dopóki nie będzie miała takiej obstawy jak prezydent. Chodzi o to, żeby się do niej dostać teraz, kiedy wciąż jeszcze są zdezorientowani. Dwadzieścia sekund. Muszę coś zrobić, pomyślał rozpaczliwie Decker. Nie mogą dać im się zabić. Muszę... Twarz zamachowca stężała. Pod jego kurtką zapiszczał telefon komórkowy. Zamachowiec wymamrotał coś, wyjął mały, płaski aparat i wcisnął guzik.

- Tak, kto mówi? - Zamachowiec słuchał. - Cholera, Nick będzie wściekły. Znowu nam się wymknęła. W radio policyjnym mówili, że opuściła dom, zanim wyleciał w powietrze. Próbuje ją znaleźć... Ty? Przyszła do ciebie? Dokąd ją zabrałeś? Niech mnie... To blisko domu. Dzwoniłeś do Nicka? Zajmie się tym? Przyznam ci się, że zaczynałem się denerwować... Wsiądziemy w pierwszy samolot. W tym czasie rozmawiałem sobie z twoim starym przyjacielem, czy ma jakieś ostatnie życzenie. Chcesz mu coś przekazać? ...Dobrze. - Zamachowiec z uśmiechem wręczył słuchawkę Deckerowi. Decker wziął ją zdziwiony.

- ...Słucham? Nie słyszał tego głosu od ponad roku, ale natychmiast rozpoznał jego posępny ton.

- Decker, na Boga, żałuję, że mnie tam nie ma, żebym mógł sobie popatrzeć, jak dostajesz za swoje.

- McKittrick?

- Zrujnowałeś mi życie - stwierdził tamten.

- Posłuchaj mnie.

- Zniszczyłeś moją karierę.

- Nie. To nieprawda. Powiedz tym facetom, żeby mnie do ciebie zawieźli. Musimy się spotkać. Musimy o tym porozmawiać - powiedział Decker.

- Mój ojciec byłby ze mnie dumny.

- McKittrick, muszę się dowiedzieć o Beth.

- Ale ty musiałeś się wtrącić. Musiałeś udowodnić, jaki jesteś świetny.

- Gdzie ona jest?

- Chciałeś, żeby tobie przypisano wszystkie zasługi.

- Dlaczego uciekła z tobą? Co z nią zrobiłeś?

- Nic w porównaniu z tym, co zamierzam zrobić. A co ci faceci zrobili tobie...? Mam nadzieję, że trochę się z tobą pobawią.

- McKittrick!

- No i kto teraz jest taki cholernie sprytny? Decker usłyszał szcęk, martwą ciszę, ciągły sygnał. Zrozpaczony, powoli opuścił telefon. Zamachowiec ciągle się uśmiechał.

- Zanim oddałem ci słuchawkę, twój stary przyjaciel kazał ci powiedzieć Arrivederci, Roma. - Roześmiał się i uniósł pistolet. - Gdzie to ja byłem? Piętnaście sekund? Dziesięć? Och, do diabła z tym. Ale gdy palec zamachowca naciskał na spust, Hal zebrał dosyć sił, żeby wykonać swój ruch. Mimo rany, kopnął mężczyznę i wytrącił mu pistolet. Rozległ się stłumiony wystrzał i pocisk przebił dach furgonetki. Decker z całej siły rąbnął zamachowca telefonem między oczy. W tej samej chwili rzucił się po pistolet, przewracając krzepkiego mężczyznę, szarpiąc się pomiędzy dwoma innymi, którzy złapali go z dwóch stron. W ciasnocie furgonetki objęli się o siebie.

- Co tam się dzieje z tyłu? - Kierowca spojrzął przez ramię na kotłowaninę. Furgonetką rzuciło. Decker, walcząc o pistolet krzepkiego mężczyzny, kopnął jednego z zamachowców w krocze. Natychmiast zauważył, że jeszcze ktoś walczy obok niego. Hawkins. Agent uderzył jednego z zamachowców w twarz i usiłował mu wydrzeć broń. Mężczyzna siedzący na miejscu dla pasażera zaczął przelazić przez niską barierkę, żeby dostać się do tyłu. Krzepki mężczyzna znowu wystrzelił i znowu pocisk przebił dach. Decker popchnął go i cała grupa

poleciała przed siebie. Zamachowiec z siedzenia dla pasażera, pod naporem ciała, znowu wylądował obok kierowcy. Walczący poleciełi jeszcze dalej przed siebie, przewalając się przez barierkę i przygniatając kierowcę.

- Nie! - wrzasnął tamten, a furgonetka uderzyła w tył ciężarówki. Wcisnął pedał hamulca i usiłował skrócić kierownicą, żeby uniknąć ponownego zderzenia, ale ciężar kilku kotłujących się mężczyzn uniemożliwił mu jakikolwiek manewr. Bez możliwości kontroli kierowca mógł jedynie patrzeć z przerażeniem, jak furgonetka wpada na sąsiedni pas, uderza w bok jakiegoś samochodu, przewraca się, przekręca na bok, ślizgiem sunie dalej, ociera się o inny pojazd i przechylona wpada gwałtownie na pobocze autostrady, uderzając o becзки, rozbijając barierkę, tłukąc przednią szybę. W końcu zatrzymała się po przyprawiającym o zawrót głowy wstrząsie. Deckerowi zaparło dech. Oszołomiony, leżał bez ruchu pośród płataniny innych, nieruchomych ciał. Przez chwilę dwoiło mu się w oczach. Zastanawiał się, dlaczego ma przed oczami lewą ścianę, a nie sufit furgonetki, i w końcu dotarło do niego, że furgonetka przewróciła się na bok i lewa strona znajduje się teraz na górze. Zdawało się, że czas stanął w miejscu. Nagle sekundy ruszyły znowu. Decker z przerażeniem wyczuł benzynę i zabrał się do działania. Opary były niezwykle gęste. Boże, pomyślał, musiał pęknąć bak. Wydobył się ślamazarnie spod jakiegoś ciała. Popędzał go strach. Przez potłuczoną przednią szybę świeciły reflektory. Hal. Muszę wydostać stamtąd Hala i znaleźć Hawkinsa. W tej samej chwili uświadomił sobie, że to właśnie Hawkinsa zepchnął z siebie i że pusty wzrok i groteskowe położenie głowy agenta nie pozostawia wątpliwości, iż ma złamany kark. Hal! Gdzie jest... Jeden z zamachowców zajęczał. Gdy Decker szukał Hala, umysł rozjaśnił mu się na tyle, że zauważył, iż przednie drzwi zablokowane są ciałami, a furgonetka upadła na boczne drzwi. Czując się jak w pułapce, modlił się, żeby tylne drzwi nie były zablokowane. Opary benzyny obezwładniały go. Jęknął inny zamachowiec. Jeden z nich powoli podniósł rękę. Decker podczołgał się do tyłu i zobaczył Hala, którego usta - oświetlone światłem reflektorów przesuwanymi szybko za potłuczoną szybą - były otwarte i sączyła się z nich strużka krwi. Oczy również miał otwarte, niewiążące. Ale może tylko stracił przytomność! Może żyje! Decker usiłował wyczuć jego puls, ale bezskutecznie. Jeden z zamachowców zaklął i zebrał więcej siły. W tej samej chwili Decker poczuł oprócz benzyny jakiś inny zapach. Dym. W furgonetce było od niego aż siwo i Decker zakaszłał. Uświadomił sobie, że pojazd zaraz wyleci w powietrze, ruszył więc do tylnych drzwi. Gwałtowne ruchy Deckera sprawiły, że furgonetka przechyliła się do tyłu. Dlaczego? Dotarł do tylnych drzwi. Ponieważ furgonetka leżała na boku, drzwi otwierało się poziomo. Złapał za dolną zasuwkę, przekręcił ją energicznie i odetchnął z ulgą, gdy się poruszyła, szczęśliwy, że nie jest zablokowana. Popchnął dolne skrzydło drzwi, otworzył je, wyczołgał się na nie i znowu poczuł, że furgonetka się przechyliła. Nagle ześlizgnął się w dół. Rozpaczliwie złapał krawędź tylnych drzwi, gdy już niemal spadał w stronę światła samochodów pędzących poniżej. Jęknął, gdy zdał sobie sprawę, że furgonetka musiała przelecieć przez barierki na remontowanym odcinku autostrady. Ten odcinek znajdował się na estakadzie. Tylne części pojazdu zawisła w powietrzu, balansując delikatnie na pozbawionym barierki brzegu wiaduktu. Decker wisiał nad ruchliwą autostradą, która przebiegała poniżej. Przewalające się samochody huczały donośnie. Jeśli się puści, prawdopodobnie połamie sobie nogi, gdy uderzy o jezdnię dwadzieścia stóp niżej. Nie chodzi o ból. Chwilę później i tak zginie pod kołami jakiegoś pojazdu. Usiłował podciągnąć się z powrotem, ale furgonetka kołysała się przy każdym ruchu. Auto mogło w każdej chwili spaść wraz z nim na autostradę i zmiażdżyć go. Serce łomotało mu tak szybko, że aż zrobiło mu się niedobrze. Zaprzeszał swoich szaleńczych prób wdrapania się z powrotem do przewróconej furgonetki. Zwisiał bez ruchu rozważając, czy udałoby mu się chwycić estakady. Czy zdołałby utrzymać się krawędzi i przesunąć w bok? Pod spodem jeden z pasów ruchu blokowały odłamki z wiaduktu. Rozlegało się trąbienie. Samochody z zablokowanego pasa w ostatniej chwili włączały się do ruchu na sąsiednim pasie. W tej samej chwili

furgonetka znowu się zachwiała i Decker aż drgnął, gdy usłyszał nad sobą jakiś odgłos. Ktoś ciężko oddychał. Ktoś pełził na tył furgonetki. Krzepki mężczyzna, który go wcześniej przesłuchiwał, spojrzał oszołomiony na dół. Twarz miał umazaną krwią. Był najwyraźniej zdezorientowany. Wtem zobaczył Deckera wiszącego na tylnych drzwiach i najwyraźniej wróciła mu świadomość. Obmacał swoje ubranie, szukając pistoletu. Gdy sobie zdał sprawę, że go upuścił, ruszył do wnętrza furgonetki. Samochód znowu się zakołysał. Z przodu pojawiło się drgające, jasne światło. Ogień! - pomyślał Decker. Zapaliła się benzyna. Bak może eksplodować w każdej chwili. Furgonetka rozleci się w płomieniach. Krzepki mężczyzna pojawił się znowu, poganiany przez ogień, który szybko rozprzestrzenił się w jego stronę. W panice zaczął wychodzić na otwarte drzwi i nagle chyba zdał sobie sprawę, że drzwi nie utrzymają ich obu. Krzycząc coś, uniósł odnaleziony pistolet i wycelował w Deckera. Nie mam wyboru, pomyślał Decker. Spojrzał na dół, zobaczył, że pod spodem przejeżdża wielka ciężarówka, zwolnił uchwyt i dał nurka w chwili, gdy zamachowiec naciskał spust. Zaraz potem bak z benzyną wyleciał w powietrze. Wtedy już jedyną rzeczą, jaką Decker widział, była ciężarówka pod nim. Kierowca ciężarówki musiał zwolnić, gdy zobaczył przeszkodę na jednym z pasów, i wcisnął się między pojazdy na sąsiednim pasie. Decker uderzył w dach szesnastokołowego pojazdu i instynktownie ugiął kolana, jak go uczono na kursie skoków. Gdyby się nie potoczył, gdyby jakimś cudem pozostał w wyprostowanej pozycji, głową i piersią wyrzwałby w estakadę. Przestał się turlać, co nie było łatwe przy sile upadku i przyspieszeniu ciężarówki, przyłgnął dłońmi do dachu pojazdu i palcami starał się znaleźć jakiś uchwyt czy krawędź, cokolwiek, co by go powstrzymało przed ześlizgnięciem się na jezdnię. Hucząca ciemność tunelu jeszcze pogłębiła zawroty głowy. Poczul, jak stopy ześlizgują mu się z tyłu ciężarówki. Za nim spadło na jezdnię płonące ciało zamachowca. Odezwały się klaksony. Decker w błyskawicznym tempie ześlizgiwał się z tyłu ciężarówki. Przycisnął palce mocniej do dachu, poczuł, że zaraz pofrunie w powietrze, wyobraził sobie, jak uderzy o jezdnię, a chwilę potem zmiążdży go nadjeżdżający z tyłu pojazd... i w tym momencie trafił na górną krawędź tylnych drzwi auta. Lewa dłoń natychmiast straciła uchwyt. Jeszcze bardziej rozpaczliwie wpiął się prawą, po chwili trzymał się już obiema dłońmi, podeszwą lewego adidasa wyczuł ogromną zasuwę. Ciężarówka pędem wyjechała z tunelu. Decker usłyszał za sobą odgłos zderzenia połączony z wybuchem. Nawet bez odwracania się wiedział, co się stało. Płonąca furgonetka stoczyła się z estakady i rozbiła się na jedynym czynnym pasie autostrady. Zatrąbiły klaksony. Metal uderzył o metal. Posypało się szkło. Ciężarówka wytracała prędkość. Kierowca odbił z autostrady w stronę pasa awaryjnego. Musiał zobaczyć w lusterkach płomienie i eksplozję na pasie poza nim. Zatrzymywał się, żeby zobaczyć, co się stało. Im bardziej auto wytracało prędkość, tym łatwiej Deckerowi było się utrzymać. W chwili gdy ciężarówka zatrzymała się, Decker zwolnił uchwyt i opadł na żwir na poboczu autostrady. Przeskoczył przez barierkę i zniknął w ciemnościach obok placu z używanymi samochodami, zanim kierowca doszedł na tył samochodu i zaczął wpatrywać się w lunę.

- Zapłacę, jeśli zawieziecie mnie do Santa Fe. Decker stał przed sklepem na stacji benzynowej. Rozmawiał w ostrym blasku świetlówek z trzema chłopakami, którzy właśnie wrócili z kartonem dwunastu piw do swojego czerwonego sportowego forda o przyciemnianych szybach.

- Człowieku, jesteście zajęci - powiedział jeden z nich.

- Tak, mamy imprezę - odezwał się drugi dzieciak.

- Właśnie, jeździmy sobie i nieźle się bawimy - dodał trzeci. Cała trójka parsknęła zgodnym śmiechem.

- Będziecie mogli się zabawić znacznie lepiej, jeśli wam zapłacę za podwiezienie do Santa Fe sto dolarów - stwierdził Decker.

- Stówę? - spytał pierwszy dzieciak.

- Przecież słyszałeś.
- To za mało - odezwał się drugi.
- A ile nie jest za mało?
- Dwie stowy - rzucił trzeci. Znowu trzech chłopaków zaniósło się śmiechem.
- Zgoda - powiedział Decker. Trzy dzieciaki zawyły jeszcze głośniej.
- Hej, co ci się stało? - spytał pierwszy chłopak.
- Miałem wypadek samochodowy.
- Wygląda raczej, jakbyś się bił - stwierdził drugi.
- I jakbyś przegrał - dorzucił trzeci. Aż się zatoczyli ze śmiechu.
- Pokaż forszę - powiedział pierwszy. Decker pokazał mu gotówkę, którą wyciągnął z bankomatu, zanim wyjechał z Santa Fe.
- No więc, podwieziecie mnie czy nie?
- Tak, jasne, podwieziemy cię - zgodził się drugi chłopak. Jednak w połowie drogi do Santa Fe zjechali z szosy międzystanowej w ciemną boczną drogę.
- Co jest?
- Objazd.
- Skrót.
- Postój. Zanosząc się od śmiechu wyciągnęli noże.
- Dawaj forszę, frajerze - zażądał pierwszy chłopak.
- Nie tylko te dwie stowy - dodał drugi.
- Wszystko - domagał się trzeci.
- Wybraliście najgorszy moment - stwierdził Decker. Połamał im ręce, nogi i szczęki.

Zostawił ich, nieprzytomnych, w ciemności pustyni, wsiadł do samochodu, włączył wsteczny bieg, z wyciem silnika wjechał z powrotem na szosę międzystanową i pognął w stronę Santa Fe. Beth. Decker zgarbił się za kierownicą ford. Trzymał ją kurczowo i wpatrywał się intensywnie przed siebie, w stronę ciemnej szosy. Beth. Ciężką stopą wciskał pedał gazu. Mimo że zdecydował nie ściągać na siebie uwagi policji i nie przekraczać przepisowych sześćdziesięciu pięciu mil na godzinę, za każdym razem gdy spojrzął na prędkościomierz, ze zdziwieniem stwierdzał, że jedzie siedemdziesiąt pięć. Musi zwolnić. Gdyby go zatrzymali w kradzionym samochodzie... Beth, powtarzał bez przerwy. Dlaczego mnie okłamałaś? Kim jesteś? Kim, do licha, jest Diana Scolari? Zegar na desce rozdzielczej mówił Deckerowi, że minęła pierwsza nad ranem, ale czuł się, jakby było znacznie później. Głowa bolała go od zmęczenia. Oczy miał podrażnione, jakby ktoś cisnął w nie piaskiem. Bolały go siniaki i zadrapania. Nie tylko podczas walki w furgonetce, ale też przy upadku na ciężarówkę poobijał się mocno. Przez ostatni rok wmawiał sobie, że przez regularne ćwiczenia - na przykład jogging i grę w tenisa - utrzymuje się w dobrej kondycji fizycznej. Ale teraz przekonał się, że się zaniedbał. Po co? - zapytał samego siebie z furją. Porzuciłem to życie. Wykreowałem się na nowo. Do czego miałem się przygotowywać? Do wszystkiego! - odpowiedział sobie, wyprzedzając ciężarówkę na długich światłach. To było szaleństwo, tak się odsłonić! Beth! - krzyknął w myślach. A może wykrzyknął imię Beth na głos? Gardło miał obolałe, napięte struny głosowe. Dlaczego mnie okłamałaś? Zastrzeliłaś męża? Zabrałaś dwa miliony dolarów z sejf, które twój mąż miał w domu? Co za...? Czy ten zamachowiec mówił prawdę? Czy ktokolwiek mówił prawdę? A McKittrick? Co on miał z tym wspólnego? Teraz już z całą pewnością wykrzykiwał na głos imię Beth. W małym wnętrzu ford. Wybuch gniewu Deckera wydawał się jeszcze potężniejszy. Pędził wzdłuż długiego, ciemnego łuku wzgórza La Bajada. Emocje, wycieńczenie i ból nie dawały mu spokoju. Nie wiedział, czy to jest miłość, ta pewność, że musi istnieć jakieś logiczne wytłumaczenie i że Beth mu je przedstawi, kiedy tylko ją znajdzie? Czy też przeciwnie - nienawiść, gniew, zdrada? Czy chce ocalić Beth? Czy może chce ją odnaleźć i ukarać? Ford wjechał pędem na szczyt wzgórza i Decker nagle ujrzał przed sobą światła Santa Fe. Angielskie tłumaczenie tej hiszpańskiej

nazwy uderzyło go gorzką ironią; „święta wiara”. Właśnie wiary było mu trzeba. Modlił się o nią.

* * *

Rozdział ósmy

Jego dom wyglądał obco. Gdy Decker już wytarł swoje odciski palców ze skradzionego samochodu i zostawił go na bitej drodze Old Pecos Trail, pobiegł zmęczonym krokiem przez mrok, do swojego domu, ale dziś, zrozpaczony, w ogóle się z tym domem nie utożsamiał. Przez minionych piętnaście miesięcy była to jego świątynia, symbol nowego życia, a teraz stał się po prostu miejscem, takim samym jak mieszkanie, które opuścił w Aleksandrii, w Wirginii. Uważnie sprawdził, czy dom nie jest obserwowany. Niczego nie zauważył, ale gdy zbliżał się do niego po zboczach z tyłu, lawirując pomiędzy drzewkami piniowymi, tak jak to robili zamachowcy zeszłej nocy, wciąż odczuwał potrzebę zachowania ostrożności. Pogmerał kluczem w zamku, otworzył tylne drzwi i wsunął się do środka. Nie chciał, żeby przejeżdżająca ewentualnie policja zobaczyła zapalone światła, nie sięgnął więc do włącznika, tylko szybko zamknął drzwi za sobą i poszedł do zdewastowanej sypialni, wiedziony światłem księżyca, które wpadało przez okna. Wszędzie poniewierały się odpadki. Nadal unosił się odór kordytu. Teraz to był symbol jego życia. Po raz trzeci w ciągu niecałych dwunastu godzin wziął zimny prysznic i przebrał się; tym razem spakował niewielką torbę podróżną. Zebrał kilka przedmiotów ze swojej nielicznej biżuterii - złotą bransoletę i łańcuch, sygnet z jadeitu. Nigdy ich nie nosił. Były pozostałościami dawnego życia, przedmiotami, które mógł wykorzystać dla handlu wymiennego, gdyby zabrakło mu pieniędzy w nagłym wypadku. To samo dotyczyło dwunastu złotych monet, spoczywających w sakiewce, którą, gdy się wprowadzał, wrzucił z niesmakiem do szuflady. Miał zamiar je sprzedać albo umieścić w sejfie depozytowym, ale zapomniał. Teraz dołożył biżuterię do sakiewki z monetami i umieścił ją pomiędzy ubraniami w torbie podróżnej. Był prawie gotów. Zaniósł torbę do drzwi kuchennych, które prowadziły do garażu. Zatrzymał się, bez zapalu otworzył lodówkę, zrobił sobie i pochłonął kanapkę z szynką i serem, wypił z kartonu resztkę chudego mleka. Ocierając krople kapiące mu z ust, poszedł do pracowni i sprawdził automatyczną sekretarkę w nadziei, że będzie jakaś wiadomość od Beth. Zamiast tego usłyszał reporterów, którzy chcieli porozmawiać z nim na temat ataku na dom i zamachu bombowego obok. Było też kilka wiadomości od kolegów z pracy, zdziwionych informacjami, które usłyszeli w dzienniku. Było chyba z sześć wiadomości od Esperanzy. „Decker, zadzwoń do mnie jak najszybciej. Usiłuję się z tobą skontaktować. Na Boga, jeśli wyjechałeś z miasta...” Decker wrócił do kuchni z kamienną twarzą, wziął torbę i poszedł do garażu. Potężny silnik jepa cherokee zastartował natychmiast i po chwili warkot samochodu ucichł w mroku.

- Hmm. Chwilę... Która godzina? Decker prowadził samochód trzymając przy uchu słuchawkę telefonu.

- Esperanza? - spytał.

- Decker? zaspany głos detektywa natychmiast zabrzmiał przytomnie. - Gdzie...?

- Musimy porozmawiać.

- Żebyś, cholera, wiedział, że musimy.

- Na wizytówce, którą mi dałeś, jest twój domowy numer telefonu, ale nie ma adresu.

Jak do ciebie dojechać? - Decker słuchał. - Tak, wiem, gdzie to jest Osiem minut później Decker wjechał w słabo oświetlone osiedle przyczep mieszkalnych z południowej strony miasta. Była to raczej niezbyt reprezentacyjna dzielnica, której istnienia turyści, przewalający się po głównym placu, nawet nie podejrzewali. Obok przyczepy, na zacięzionym piaszczystym podjeździe, zaparkowana była półciężarówka i motocykl. Żwirowany plac przed domem otaczały juki. Do przedniej ściany przytulił się ogródek kwiatowy. Esperanza, ubrany w czarne spodnie i bluzę od dresu, z długimi włosami opadającymi na ramiona, siedział pod bladym żółtym światłem, na betonowych stopniach, prowadzących do metalowych drzwi frontowych. Gdy Decker stanął, Esperanza gestem dał mu znak, żeby pozostał na miejscu, podszedł, wsiadł do środka i zamknął drzwi.

- Obudziłeś swoim telefonem moją żonę.

- Przepraszam.

- Też ją przeprosiłem. To jednak nie pomogło w rozwiązaniu problemów, jakie mamy ze sobą. Osobiste zwierzenie Esperanzy było zaskakujące. Deckera tak pochłaniały własne problemy, że nawet nie pomyślał, jakie życie Esperanza wiezie poza pracą. Detektyw zachowywał się tak rzeczowo i profesjonalnie, że sprawiał wrażenie, iż jest taki dwadzieścia cztery godziny na dobę. Deckerowi nigdy nie przyszłoby do głowy, że ten człowiek ma swoje kłopoty.

- Powtarza mi bez przerwy, że jak na ryzyko, które ponoszę, i czas, jaki spędzam w pracy, za mało zarabiam - powiedział Esperanza. - Chce, żebym odszedł z policji. Wiesz, kim chce, żebym został? Pewnie ci się spodoba ten zbieg okoliczności. Decker zastanowił się przez chwilę.

- Pośrednikiem handlu nieruchomościami?

- Zgadłeś. Czy do ciebie wydzwaniałą w środku nocy? Decker zaprzeczył ruchem głowy.

- Ale założę się, że w twojej poprzedniej pracy wydzwaniali. I jestem cholernie pewien, że dziś w nocy też. Byłem u ciebie kilka razy. Ciągle dzwoniłem. Ale włączała się tylko sekretarka. To śmieszne, jak pochopnie można wyciągnąć wnioski. Sądziłem, że wyjechałeś z miasta. Gdybyś się nie pojawił do rana, miałem rozesłać za tobą list gończy. Gdzieś ty, do diabła, się podziewał?

- Byłem na spacerze.

- Od czwartej po południu?

- Chwilę posiedziałem sobie na ławce.

- Niezłą chwilę.

- Musiałem wiele przemyśleć.

- Na przykład co? Decker spojrzał prosto w oczy Esperanzie.

- Jadę jej szukać. Wzrok Esperanzy był równie wyzywający.

- Mimo że chcę, żebyś został, w razie gdybym miał do ciebie więcej pytań?

- Powiedziałem ci wszystko, co mogłem. To jest wizyta towarzyska. Żeby nie było żadnych niedomówień. Żebyś wiedział dokładnie, co postanowiłem. Jadę jej szukać.

- A jak sądzisz, dokąd ona właściwie pojechała? Decker zignorował pytanie.

- Informuję cię o moich planach, ponieważ nie chcę, żebyś rozesłał list gończy. Nie chcę mieć dodatkowych kłopotów z policją.

- A co w zamian? Dlaczego miałbym, do licha, na to przystać? To pytanie Decker również zignorował.

- Czy z lotniska w Albuquerque dotarły jakieś wieści, czy widzieli Beth i McKittricka? Esperanza przyglądał mu się zafascynowany i wybuchnął gorzkim śmiechem.

- Naprawdę sądzisz, że ci pomogę? Od samego początku mówisz mi tylko to, co musisz, a ja mam się z tobą dzielić moimi informacjami?

- Zrobisz, jak chcesz.

- Żebyś wiedział. Teraz akurat chcę, byś wszedł do domu. Decker wyprostował się.

- Mam poczekać, a ty zadzwonisz po wóz patrolowy, który zawiezie mnie na posterunek?

- Nie. Masz poczekać, aż się ubiorę. Pojadę z tobą. Czy ci się to podoba, czy nie, masz towarzystwo. Nie dam się już robić w konia. Najwyraźniej wiesz znacznie więcej, niż mówisz. Od tej pory będziemy jak bliźniaki syjamskie, dopóki nie uzyskam od ciebie kilku odpowiedzi.

- Wierz mi, sam chciałbym je znać.

- Wsiadaj. - Esperanza otworzył drzwi od strony pasażera.

- Naprawdę nie nazywa się Beth Dwyer - powiedział Decker. - Nazywa się Diana Scolari. Esperanza zamarł, wysiadając.

- Czy to nazwisko coś ci mówi? - spytał Decker.

- Nie.

- Pilnowali jej amerykańscy agenci rządowi. Miała lecieć do Nowego Jorku i w poniedziałek złożyć jakieś zeznanie pod przysięgą. Pasuje mi do tego tylko jedno wyjaśnienie.

- Rządowy program ochrony świadków?

- Tak. Esperanza wsiadł z powrotem do jeepa.

- Kiedy się tego dowiedziałeś?

- Dzisiejszej nocy.

- Jak?

- Lepiej, żebyś nie wiedział. Ale jeśli naprawdę chcesz mi pomóc, to może wiesz, gdzie znaleźć pewnego faceta?

Decker po raz czwarty wcisnął dzwonek, zastukał mocno w drzwi i z zadowoleniem zobaczył, że w domu zapaliło się światło. Wraz z Esperanzą próbowali telefonować, ale po czterech sygnałach włączała się automatyczna sekretarka. Przyjęli, że człowiek, z którym Decker chciał się zobaczyć, nie wyjechał z miasta od czasu, kiedy go ostatnio widzieli dwanaście godzin temu. Zdecydowali, że odwiedzą go w domu. Odszukali skromny dom z glinianej cegły, położony w bocznej uliczce, odchodzącej od Zia Road. Starannie utrzymane krzewy otaczał niski murek. Jak w wielu dzielnicach Santa Fe, nie było latarni. Gdy zapaliło się światło na ganku, Decker i Esperanza odsunęli się o krok, żeby gospodarz mógł ich zobaczyć, i czekali, aż drzwi się otworzą.

- Kto tam? Czego chcesz? - odezwał się z mroku agent FBI, John Miller.

- Sierżant Esperanza.

- Esperanza? Co, do... Jest niemal czwarta nad ranem. Co pan tu robi?

- Musimy porozmawiać.

- Czy to nie może poczekać do bardziej przyzwoitej pory?

- To pilne.

- Tak samo mówił pan wczoraj po południu. Jeszcze nie zapomniałem, jak próbował mnie pan zrobić.

- Jeśli pan tym razem nie posłucha, sam się pan wrobi.

- Kto tam jest z panem?

- Człowiek, który towarzyszył mi wczoraj po południu.

- Cholera. W domu zapaliło się więcej światła. Rozległ się zgrzyt przekręcanego zamka i Miller otworzył drzwi frontowe. Miał na sobie spodenki i podkoszulek, które odsłaniały jego dobrze umięśnione, choć szczupłe ramiona i nogi. Z potarganymi włosami i nie ogolonym zarostem wyglądał krańcowo różnie niż minionego popołudnia w urzędowo schludnym garniturze.

- Mam gościa - powiedział. Zasłaniając sobą wejście do domu, wskazał na zamknięte drzwi na końcu korytarza. Esperanza powiedział wcześniej Deckerowi, że Miller jest rozwiedziony. - Nie jest przyzwyczajona, aby ktoś dobijał się do drzwi o czwartej nad ranem. Lepiej, żeby to było coś ważnego.

- Co wiesz o Dianie Scolari? - zapytał Decker.

- O kim?

- O Dianie Scolari. Miller udawał, że nie wie, o kogo chodzi.

- Nigdy o niej nie słyszałem. - Chciał zamknąć drzwi. - Jeśli tylko po to tutaj przyjechaliście... Decker przytrzymał drzwi stopą.

- Diana Scolari, to prawdziwe nazwisko Beth Dwyer. Miller popatrzył na stopę Deckera blokującą drzwi.

- Nie wiem, o kim mowa.

- Podlega pod rządowy program ochrony świadków. Wzrok Millera zmienił się, stał się ostrzejszy, bardziej czujny.

- O to właśnie chodziło w tym ataku na mój dom i w eksplozji w jej domu - powiedział Decker.

- Wciąż nie wiem, do czego zmierzacie.

- Zważywszy, że FBI nie jest tak bezpośrednio zaangażowane w program ochrony świadków jak niegdyś - powiedział Decker - zajmuje się nim przede wszystkim agencja rządowa USA. Ale współpracujecie ze sobą na tyle ściśle, że wiedziałyby pan, iż przenoszą do Santa Fe ważnego świadka. Z drugiej strony nie poinformowano by o tym miejscowej policji. Oni nie muszą wiedzieć. Im mniej ludzi jest wtajemniczonych, tym lepiej. Rysy twarzy Millera wyostrzyły się.

- Przypuśćmy, że ma pan rację, dlaczego miałbym panu cokolwiek wyjawić?

- Brian McKittrick. - Miller zaprzestał prób zamknięcia drzwi.

- To on zabrał Beth, gdy uciekła ze swojego domu chwilę przed wybuchem - oświadczył Decker.

- Skąd pan zna tego człowieka?

- Kiedyś z nim pracowałem.

- To już przesada. Chce mi pan wmówić, że był pan amerykańskim agentem rządowym?

- Agentem rządowym? - Decker nie rozumiał odniesienia Millera. Nagle doznał olśnienia. - McKittrick jest agentem rządowym? Miller zachnął się, że wyjawiał niechcący informację.

- Nie - odpowiedział Decker. - Nigdy nie pracowałem dla agencji rządowej. - Z braku czasu musiał czymś Millera zaskoczyć. - Poznałem McKittricka, gdy pracowaliśmy razem w CIA. Efekt był taki, jak oczekiwał. Miller, zdezorientowany, spojrzał na Deckera w inny sposób. Odwrócił się do Esperanzy, znowu spojrzał na Deckera i gestem zaprosił ich do środka.

Podobnie jak elewacja domu, salon Millera był skromny; prosta kanapa i fotel, mała ława, dwudziestocalowy telewizor. Wszystko uporządkowane i lśniące czystością. Na półce Decker zauważył rewolwer kaliber .38 i domyślił się, że Miller trzymał go, gdy wyglądał przez okno, żeby sprawdzić, kto się dobija do drzwi.

- Pewnie nie może mi pan udowodnić, że pracował pan dla CIA stwierdził Miller.

- Nie w tej chwili. Nie sądzi pan chyba, że nosiliśmy identyfikatory i wizytówki.

- Więc dlaczego miałbym panu uwierzyć? - Miller zmarszczył czoło i spojrzał na Esperanzę. - Czy pan mu wierzy? Esperanza przytaknęła.

- Dlaczego?

- Przebywałem z nim prawie od dwudziestu czterech godzin. Sposób, w jaki radzi sobie w sytuacjach kryzysowych, nie pozostawia wątpliwości, że jest profesjonalistą, i to nie w handlu nieruchomościami.

- Zobaczymy. - Miller z powrotem spojrzał na Deckera. - Co pan wie o Brianie McKittricku?

- Jest najbardziej popieprzonym agentem, z jakim kiedykolwiek pracowałem. Miller przysunął się bliżej.

- Nie słucha rozkazów - powiedział Decker. - Wydaje mu się, że inni członkowie ekipy knują coś przeciwko niemu. Podejmuje działania bez pozwolenia. Przekracza swoje kompetencje przy każdej okazji. Misja, w której brałem z nim udział, skończyła się przez niego tragicznie. Było wiele ofiar. Zrobiła się z tego niemała afera międzynarodowa. Miller przyglądał mu się, jakby zastanawiał się, na ile szczeroci może sobie pozwolić. W końcu westchnął i usiadł w fotelu naprzeciwko Deckera.

- Nie będzie to zdradą ważnych sekretów, jeśli przyznam, że słyszałem pogłoski na temat McKittricka. Nie miały one nic wspólnego z CIA. O tym nic nie wiedziałem. Dotyczyły jego pracy jako agenta rządowego. Jest porywczy. Wydaje mu się, że wie wszystko lepiej od

przełożonych, Nie słucha wydawanych poleceń. Sprzeciwia się przyjętym procedurom. Nigdy nie mogłem pojąć, jak dostał się do agencji rządowej.

- Chyba się domyślam - powiedział Decker. - Gdy odchodził z CIA, prawdopodobnie wystawiono mu doskonale referencje. W zamian za to, że nie będą musieli się za niego wstydić, gdyby odsłonił szczegóły na temat tej tragicznej misji, w której brał udział.

- Ale skoro to McKittrick był przyczyną jej niepowodzenia, gdyby o tym rozpowiadał, działałby na swoją szkodę.

- Nie, ponieważ jest przekonany, że to stało się nie z jego winy - powiedział Decker. - McKittrick ma kłopoty z postrzeganiem rzeczywistości. Gdy coś spartaczy, zawsze udaje mu się przekonać samego siebie, że ktoś inny zawinił. Esperanza pochylił się do przodu.

- Mówisz to szczególnie gorzko.

- To na mnie zrzucił odpowiedzialność. Przez niego zrezygnowałem z pracy dla rządu - a teraz ten sukinsyn znowu pojawił się w moim życiu.

- Przez przypadek.

- Nie. Nie wierzę, że to przez przypadek Beth kupiła dom akurat obok mojego. Nie, jeśli McKittrick był odpowiedzialny za jej ochronę. Ten scenariusz układa się w logiczną całość, jeśli się przyjmie, że McKittrick miał mnie na oku, gdy odszedłem z wywiadu. Wiedział, że jestem w Santa Fe. Otrzymał zadanie, żeby gdzieś umieścić świadka. Powąszył trochę i dowiedział się, że dom obok mojego jest na sprzedaż. Doskonale. Dlaczego by nie ulokować Beth obok mnie? Miałaby sąsiada, który by jej zapewniał dodatkową ochronę; nieświadomego goryla. Miller przemysłał to.

- Taka taktyka może jest cyniczna, ale brzmi sensownie.

- Cyniczna, to mało powiedziane. Zostałem wykorzystany - stwierdził Decker. - I, jeśli się nie mylę, Beth również wykorzystano. Wydaje mi się, że McKittrick przeszedł na drugą stronę.

- Co? Decker doskonale pamiętał swoją rozmowę telefoniczną z McKittrickiem.

- Sądzę, że McKittrick zdradził szajce poszukującej Beth, jak ją znaleźć, pod warunkiem że w zamian za to zabiją też mnie. Mam wrażenie, że wini mnie za to, że wyleciał z CIA. Jest stukniętym sukinsynem, który od chwili, gdy przydzielono go do ochrony Diany Scolari, obrał sobie jednocześnie za cel zniszczyć mi życie. W małym salonie zapadła cisza.

- To poważne oskarżenie. - Miller przygryzł dolną wargę. - Czy może pan coś udowodnić?

- Nie. - Decker nie ośmielił się mu powiedzieć, co zaszło w furgonetce.

- Jak się pan dowiedział, że prawdziwe nazwisko Beth Dwyer brzmi Diana Scolari?

- Nie mogę tego wyjawiać.

- Dlaczego nie? Decker nie odpowiedział.

- Niech pan posłucha uważnie. - Miller wstał. - Stan pańskiej wiedzy wskazuje, że nastąpiło poważne załamanie bezpieczeństwa w ochronie ważnego świadka rządowego. Żądam od pana wyjawienia, skąd uzyskał pan te informacje.

- Nie wolno mi tego powiedzieć. Miller spojrział ze złością.

- Ja pana nauczę, co panu wolno. - Podniósł telefon. - Na jakiś czas będzie pan pozbawiony wszelkiej wolności, aż powie mi pan to, co chcę wiedzieć.

- Nie. Robi pan błąd - odparł Decker. Miller spojrział z jeszcze większą złością.

- To nie ja robię Mad.

- Proszę odłożyć słuchawkę. Ważne jest jedynie ocalenie życia Beth. Miller odwrócił się do Esperanzy.

- Słyszysz pan te bzdury?

- Tak. Ze mną zabawia się tak już od dwudziestu czterech godzin powiedział Esperanza.

- Martwi mnie jednak, że to zaczyna mieć sens. Bezpieczeństwo Beth Dwyer jest w tej chwili najważniejsze. Jeśli Decker nadużył prawa, żeby zdobyć te informacje, jestem gotów zająć się tym później jeśli nie zaszkodzi to mnie.

- Zawór bezpieczeństwa - stwierdził Decker.
- Co?
- Tak to określaliśmy w wywiadzie.
- A może lepiej odda to określenie: wstęp do przestępstwa? - zasugerował Miller.
- Niech mi pan powie, co miała zeznawać Beth Dwyer? Miller nie był przygotowany na nagłą zmianę tematu.
- Czy naprawdę wsadziła mężowi kulkę w łeb i uciekła z dwoma milionami brudnych pieniędzy? - spytał Decker. Miller zamachał energicznie rękami.
- Gdzie, do diabła, się pan tego wszystkiego dowiedział? Decker zignorował ten wybuch. Pochłonęło go coś, co zamachowiec powiedział przez telefon: „Cholera, Nick będzie wściekły”.
- Jest w to wmieszany człowiek o imieniu Nick - dodał. - Wie pan, kto to jest? Jak brzmi jego nazwisko? Miller zamrugął zaskoczony.
- Jest gorzej, niż myślałem. Trzeba będzie zupełnie zrewidować procedury związane z bezpieczeństwem przenoszenia świadków.
- Beth grozi poważne niebezpieczeństwo - powiedział Decker z naciskiem. - Jeśli podzielimy się swoimi informacjami, może uda nam się ocalić jej życie.
- Diana Scolari.
- Nic nie wiem o Dianie Scolari. Kobieta, na której mi zależy, nazywa się Beth Dwyer. Niech mi pan powie, co pan o niej wie. Miller ruszył w stronę mroku panującego za oknem. Spojrzał na swoje dłonie. Popatrzył na Deckera.
- Diana Scolari jest żoną - a raczej była żoną, dopóki ktoś nie strzelił temu sukinsynowi w łeb - Joeya Scolari, jednego z przywódców nowojorskiej rodziny Scolari. Oceniamy, że podczas swego dziesięcioletniego panowania Joey był odpowiedzialny za około czterdzieści egzekucji mafijnych. Miał masę roboty. Ale nie narzekał. To dawało wspaniałe dochody i, co równie ważne, Joey uwielbiał swoje zajęcie. Decker słuchał strapiiony.
- Trzy lata temu Joey poznał kobietę znaną panu jako Beth Dwyer. Nazywała się Diana Berlanti. Pracowała jako kierowniczką od spraw kulturalnych na statku wycieczkowym, na Morzu Karaibskim. Na tymże właśnie statku pewnego dnia pojawił się Joey. Zapewniał sobie w ten sposób alibi, podczas gdy jeden z jego przybocznych eliminował problemy w Nowym Jorku. Diana przyciągnęła uwagę Joeya. Oczywiście był przystojnym facetem, elegancko się ubierał, wiedział, jak rozmawiać z kobietami. Na ogół lgnęły do niego, więc nie był zaskoczony, że Diana również nie dała mu kosza, gdy zaczął się do niej zalecać. Sprawy potoczyły się dalej. Po trzech miesiącach zostali małżeństwem. Statek wycieczkowy to dobre alibi. Bez przerwy wracali na Karaiby. Dzięki temu Joey miał naturalnie wyglądający powód odwiedzania różnych wysp, na których istnieją banki z kontami cyfrowymi. Te banki nie mają obiekcji co do prania brudnych pieniędzy. Miodowy miesiąc również spędzili na Karaibach. Deckerowi zrobiło się niedobrze.
- Ważne jest, że Diana, jak twierdzi, nie miała pojęcia o prawdziwym zajęciu swojego męża. Utrzymuje, iż powiedział jej, że ma kilka restauracji co nie odbiegało daleko od prawdy; Joey był właścicielem kilku restauracji, które również stanowiły pralnię brudnych pieniędzy. W każdym razie czas mijał, a ponieważ zainteresowania Joeya były zwykle krótkotrwałe - zaczął mieć jej dosyć. Przez jakiś czas mieszkali w eleganckim mieszkaniu w centrum, ale gdy potrzebował lokum dla spotkań pozamałżeńskich, umieścił Dianę w wielkim domu otoczonym murem, po drugiej stronie rzeki, w jednej z tych sypialnianych dzielnic w New Jersey. Było tam mnóstwo strażników. Twierdził, że to dla jej bezpieczeństwa. Naprawdę mieli pilnować, żeby nie pojechała do nowojorskiego mieszkania i nie przyłapała Joeya z jego panienkami. Równie ważnym zadaniem straży było uniemożliwienie Dianie ucieczki, gdyby przyszło jej to do głowy, po którymś z powtarzających się regularnie pobić. Deckerowi łomotało w skroniach.

- A bił ją porządnie - powiedział Miller. - Za to, że Diana zaczęła zadawać pytania, nie tylko na temat jego wierności, ale również na temat interesów. Wie pan, jak bardzo jest inteligentna. Niewiele czasu potrzebowała, żeby się zorientować, czym Joey się naprawdę zajmuje, jakim jest potworem. Miała więc wielki kłopot. Gdyby próbowała uciec - a przy takiej liczbie strażników nie miała na to wielkich szans - zabiłby ją. Gdyby została, a Joey zauważyłby, że żona za dużo podejrzewa, również by ją zabił. Tymczasowo przyjęła taką taktykę, że przestała zajmować się jego kochankami oraz interesami; udawała, że jest uległa. Spędzała dni robiąc to, co w innych okolicznościach sprawiałoby jej wiele radości - malowała. Joeyowi nawet się to spodobało. Czasami, gdy ją pobił, rozpalał w szopie wielkie ognisko i zmuszał ją, żeby patrzyła, jak płoną jej ulubione obrazy.

- Chryste! jęknął Decker. - Po co ten sukinsyn się z nią ożenił?

- Pewnie dla przyjemności posiadania kogoś, kogo można krzywdzić. Jak powiedziałem, Joey był potworem. Aż do stycznia, dziewięć miesięcy temu, gdy ktoś rozwiązał problem Diany, rozwalając łeb jej mężowi. A może zrobiła to sama? Są dwie sprzeczne wersje. Diana twierdzi, że gdy usłyszała strzał, znajdowała się na tyłach posiadłości i malowała zimowy pejzaż. Ostrożnie, nie wiedząc czego się spodziewać, bardzo powoli wróciła do domu. Sądziła, że cokolwiek się tam zdarzyło, Joey i jego strażnicy się tym zajmą. Zdziwiło ją jednak to, że strażnicy zniknęli. Zaraz po tym z zaskoczeniem zobaczyła, że Joey leży martwy, z mózgiem rozpryśniętym na biurku, w swoim gabinecie i że sejf jest otwarty. Wiedziała, że w tym sejfie na ogół znajduje się spora suma pieniędzy. Czasami widziała, jak je przywożono w workach. Podejrzała, że Joey je tam odkłada. Słyszała, o jakich sumach wspominali. Stwierdziła, że orientacyjnie musiały być tam dwa miliony dolarów. Znaczenie tego faktu wówczas jej nie zastanowiło. Skupiła się jedynie na możliwości ucieczki. Nawet nie zawracała sobie głowy pakowaniem. Po prostu zarzuciła na siebie płaszcz, wzięła kluczyki Joeya i odjechała.

- Do Departamentu Sprawiedliwości - domyślił się Decker.

- Jaki miała inny wybór? Wiedziała, że gdy zniknie, mafia zacznie jej szukać. Ale sądziła, że ich motywem będzie chęć powstrzymania jej od mówienia. Dopiero później dowiedziała się, że ojciec chrzestny Joeya wini ją za śmierć chrześniaka; mafia zaś doszła do wniosku, że to ona go zabiła i zabrała pieniądze. Teraz sprawa stała się kwestią dumy rodzinnej. Dumy krwi. Zemsty. Decker przytaknął. ~ Departament Sprawiedliwości przesłuchiwał ją przez kilka miesięcy, umieścił z nową tożsamością w Santa Fe, a w końcu wezwał ją z powrotem do Nowego Jorku' żeby złożyła zeznanie pod przysięgą.

- Pod ścisłą ochroną.

- To znaczy pod ochroną McKittricka.

- Niestety.

- Co za cholerny bałagan - stwierdził Esperanza.

- Wciąż mi pan nie powiedział, kim jest Nick - zauważył Decker.

- Nick Giordano, głowa rodziny, ojciec chrzestny Joeya. Naturalny ojciec Joeya był najlepszym przyjacielem Nicka. Gdy rodzice Joeya zginęli w mafijnych potyczkach, w których chodziło o usunięcie Nicka, Nick wychował Joeya jak własnego syna. Właśnie to mam na myśli, mówiąc o dumie krwi. Dla Nicka jest to sprawa osobistego honoru - honoru rodziny - żeby znaleźć i ukarać Dianę Scolari. Teraz pana kolej - powiedział Miller. - Jak to, co właśnie panu opowiedziałem, może pomóc ocalić życie Diany Scolari? Decker przez chwilę się nie odzywał.

- Chyba mam tylko jedno wyjście.

- O czym pan mówi? Jakie wyjście?

- Nagle poczułem się bardzo zmęczony. Jadę do domu.

- A jak to, do licha, ma pomóc pańskiej przyjaciółce?

- Zadzwoń do pana, kiedy się obudzę. Może będzie miał pan do tej pory więcej informacji. - Decker odwrócił się w stronę Esperanzy. - Podrzucę cię.

- Nie musisz mnie zawozić do domu - powiedział Esperanza, gdy Decker włączył bieg i spieszenie wyprowadził jeepa z podjazdu przed domem Millera.

- Więc dokąd mam cię zawieźć? - Decker skręcił za ciemny róg.

- Przyjmij, że jadę z tobą na przejażdżkę.

- I co to, uważasz, da?

- Może utrzymam cię z dala od kłopotów - stwierdził Esperanza. Gdzie są twoi przyjaciele?

- Przyjaciele? - Myśl o Halu i Benie sprawiła, że Decker znowu poczuł w ustach smak popiołu.

- Mówisz, jakbyś nie miał ich zbyt wielu.

- Mam masę znajomych.

- Miałem na myśli tych dwóch facetów, którzy pojawili się wczoraj po południu u ciebie w domu.

- Wiem, kogo miałeś na myśli. Wyjechali. - Do smaku popiołu dołączyło uczucie bólu w piersi i oczach.

- Tak szybko? - spytał Esperanza. - Po tym, jak zadali sobie tyle trudu, żeby tak prędko tu przyjechać?

- Mój dawny pracodawca doszedł do wniosku, że to, co się tutaj dzieje, nie jest ich sprawą. - Ciemne ulice były niemal opustoszałe. Decker wcisnął mocniej pedał gazu.

- Czy sądzisz, że to dobry pomysł przekraczać dozwoloną prędkość, gdy się wiezie oficera policji?

- Chyba nie ma lepszej osoby, w towarzystwie której można by przekroczyć prędkość. Jeśli zatrzyma nas patrol, pokażesz odznakę i wyjaśnisz, że to nagła sprawa.

- Okłamałem cię - powiedział Esperanza. - Kazałem cię szukać policji stanowej i policji z Albuquerque. Decker poczuł zimno wzdłuż kręgosłupa.

- Podąłem im numer rejestracyjny i opis taurusa, którym poruszali się twoi przyjaciele. Odnaleźli ten samochód obok miejsca przestępstwa na Chama Street w Albuquerque, wczoraj, około 23.00. Sąsiedzi zadzwonili, że wydaje im się, iż słyszeli strzały i wybuchy. Okazało się, że się nie mylili. W domu, o którym wspominali, na podłodze w kuchni znaleziono zastrzelonego mężczyznę, który zgodnie z dokumentami nazywał się Ben Eiseley. Nie mamy pojęcia, gdzie jest Hal. Przez moment Decker nie był w stanie dłużej tłumić swojego smutku. Przypomniawszy sobie zdezorientowany wyraz twarzy Bena, gdy przeszył go pocisk; krew tryskająca z głowy przyjaciela. Nagle poczuł się, jakby nigdy nie przyjechał do Santa Fe, jakby nigdy nie próbował odciąć się od dawnego życia. Przypomniawszy sobie, jak Hal został postrzelony w pierś, a jeszcze znalazł dość siły, żeby kopnąć człowieka, który do niego strzelał. To nie była ich sprawa! - pomyślał Decker. Powinienem się uprzeć, żeby się wycofali. A ja poprosiłem ich o pomoc. Zginęli przeze mnie. To moja wina!

- Widocznie gdy tam byli, przydzielono im nowe zadanie - powiedział Decker najciszej, jak mógł.

- Nie wydajesz się poruszony tym, co się przytrafiło Benowi.

- Na swój sposób.

- Nigdy jeszcze nie spotkałem kogoś takiego jak ty - stwierdził Esperanza. - Nie ciekawi cię, co Ben tam robił i gdzie się podziewajego partner?

- Pozwól, że teraz ja ci zadam pytanie - odezwał się Decker ze złością. - Dlaczego tak długo zwlekałeś, żeby mi powiedzieć, że powiadomiłeś o mnie policję?

- Czekałem na właściwy moment. Teraz udało mi się przekonać cię, że jestem ci potrzebny - powiedział Esperanza. - Służby bezpieczeństwa na lotnisku w Albuquerque mają twoje nazwisko. Policjanci szukają mężczyzny odpowiadającego twojemu rysopisowi. Kiedy tylko spróbujesz kupić bilet, zatrzymają cię. Jeśli chcesz lecieć do Nowego Jorku, potrzebujesz mnie, żebym odwołał alert, a to będzie cię kosztowało. Musisz się zgodzić, żebym pojechał z tobą.

- Do Nowego Jorku? A niby dlaczego uważasz, że...
- Decker, chociaż raz, na miłość boską, przestań prowadzić ze mną rozgrywki umysłowe, dobrze?
- Dlaczego chcesz jechać do Nowego Jorku?
- Powiedzmy, że jutro mam wolny dzień i przyda mi się rozłaka z żoną. - Esperanza w uniesieniu machnęła ręką. - Albo powiedzmy, że przebywając z tobą można się wiele nauczyć i nie mam zamiaru opuszczać zajęć. A może, powiedzmy... i to już jest naprawdę mocno naciągane... powiedzmy, że jestem gliną, ponieważ cholernie lubię pomagać ludziom. Nie przychodzi mi do głowy nikt, kto potrzebuje pomocy bardziej niż Beth Dwyer. Chcę ci pomóc ją ocalić. I mam przecucie, że jesteś jedyną osobą, która wie, jak tego dokonać.

Kabina samolotu lecącego na wschód wibrowała od huku silników. Słońce świeciło ostro przez okno i kłuło zmęczone oczy Deckera. Gdy stewardesy zaczęły rozdawać kawę i słodkie bułki, Decker poczuł ból brzucha, który przypominał mu o dolegliwościach żołądkowych, na jakie cierpiał, gdy pracował jako agent wywiadu. Wszystko wraca na stare miejsce, powiedział do siebie. Obok niego siedział Esperanza, jedyny oprócz Deckera pasażer w tym rzędzie.

- Żałuję, że nigdy nie poznałem Beth Dwyer. Musi być niezwykła powiedział. Decker patrzył przez okno na krajobraz pustynnego płaskowyżu; na góry, arroyos, Rio Grandę, zieleń drzewek piniowych na tle żółtej, pomarańczowej i czerwonej ziemi. Nie mógł pozbyć się wspomnień. Miał mieszane uczucia, gdy przybył tu po raz pierwszy. Obawiał się, że może robi błąd. Teraz, ponad rok później, kiedy odlatywał stąd, znowu zastanawiał się, czy nie popełnia pomyłki.

- Tak - stwierdził Decker. - Bardzo niezwykła.
- Chyba bardzo ją kochasz.
- To zależy. Może jej nienawidzę. - Decker miał problemy z mówieniem.
- Nienawidzisz?
- Powinna mi opowiedzieć o sobie - powiedział Decker.
- Na początku sądziła pewnie, że to nie twoja sprawa.
- A później, kiedy już coś się zaczęło między nami? - nie ustępował Decker.
- Może bała ci się powiedzieć, bała się, że zareagujesz tak, jak reagujesz teraz.
- Gdyby mnie kochała, ufałaby mi.
- Aha - mruknął Esperanza. - Zaczynam rozumieć. Martwisz się, że może ona ciebie nie kocha.

- Zawsze sprawy zawodowe były dla mnie ważniejsze niż życie osobiste - powiedział Decker. - Nigdy tak naprawdę nie byłem zakochany. Zanim spotkałem Beth Dwyer, nigdy nie dane mi było doświadczyć takiej... - Decker zawahał się przez chwilę. - Namiętności. Esperanza zmarszczył czoło.

- Gdy się w końcu zaangażowałem, gdy się oddałem, było to oddanie całkowite. Beth stała się sensem mojego życia. Jeśli ja byłem dla niej tylko wygodnym dodatkiem... - Decker urwał, rozgoryczony.

- Powiedzmy, że dowiesz się, że jej na tobie nie zależało, i naprawdę byłeś jedynie nieświadomym ochroniarzem. Co zrobisz? Decker nie odpowiedział.

- Czy w takiej sytuacji i tak byś ją ocalił? - nie ustępował Esperanza.
- Mimo wszystko?
- Tak.
- Mimo moich podejrzeń, całego strachu, że mnie zdradziła? Mimo gniewu spowodowanego tym strachem?
- Tak.
- Przeszedłbym dla niej przez piekło. Boże drogi, wciąż ją kocham.

* * *

Rozdział dziewiąty

Gdy Decker przyjechał do Nowego Jorku, padał deszcz - silna, jednostajna ulewa. Niemal można było fizycznie dotknąć wilgoci, od której zupełnie odwykł. Manhattan po suchym klimacie Nowego Meksyku stał się dla niego obcy. Przez piętnaście miesięcy mieszkał na wysokości niemal półtorej mili nad poziomem morza i teraz dawało mu się we znaki ciśnienie atmosferyczne, które potęgowało jeszcze bardziej jego wewnętrzną presję emocjonalną. Przyzwyczyił się do tego, że widok rozciąga się na setki mil, i czuł się stłamszony przez drapacze chmur. I przez ludzi. Liczba mieszkańców Nowego Meksyku wynosiła półtora miliona. Tyle samo osób mieszkało na dwudziestu dwóch milach kwadratowych samego Manhattanu, nie licząc setek tysięcy ludzi, którzy codziennie dojeżdżali na wyspę do pracy. Decker uświadomił sobie konsekwencje takiego stanu rzeczy, z których nie zdawał sobie sprawy, zanim doświadczył spokoju i przestrzeni Nowego Meksyku - uporczywy hałas i ciasnotę Nowego Jorku. Zafascynowany Esperanza wyglądała przez pokryte kroplami deszczu okno taksówki.

- Nie byłeś tu nigdy? - spytał Decker.

- Jeśli mowa o dużych miastach, to widziałem tylko Denver, Phoenix i Los Angeles. Tam zabudowa jest niska. Są rozległe. Tutaj wszystko jest stłoczone, budowane jedno na drugim.

- Tak, to nie są już otwarte przestrzenie. Wysiedli z taksówki przy hali targowej na Essex Street, w dzielnicy Lower East Side. Wielki ceglany budynek był zamknięty. Decker zaniósł swoją torbę pod zadaszenie jednej z bram. Głowa bolała go coraz bardziej. Przespał się trochę w samolocie i mimo że ta ilość snu nie wystarczyła, żeby zlikwidować zmęczenie, sił dodawał mu strach o Beth. Esperanza zajrzał do opustoszałej hali targowej, po czym zerknął na sklepy po drugiej stronie ulicy.

- Czy nasz hotel jest w tej okolicy?

- Nie mamy hotelu. Nie mamy czasu na hotel.

- Ale dzwoniłeś z lotniska. Sądziłem, że robisz rezerwację. Decker potrząsnął głową; ruch ten pogłębił ból, ale Decker zbyt był zatopiony w myślach, żeby to zauważyć. Odczekał, aż taksówka zniknie im z oczu, po czym wyszedł na deszcz z bramy hali targowej i ruszył na północ.

- Umawiałem się z kimś.

- Daleko?

- Kilka przecznic stąd.

- To dlaczego nie podjechaliśmy tam od razu taksówką?

- Bo nie chciałem, żeby taksówkarz mieszał się w moje sprawy. Wiesz co, to chyba nie ma sensu. Za dużo trzeba ci wyjaśniać, a na to nie ma czasu - zniecierpliwiał się Decker. - Bardzo mi pomogłeś. Odwołałeś moje poszukiwania na policji w Nowym Meksyku. Przeprowadziłeś mnie przez kontrolę bezpieczeństwa na lotnisku w Albuquerque. Bez ciebie bym tu nie dotarł. Dziękuję. Szczerze. Ale musisz zrozumieć - tutaj nasza współpraca się kończy. Jedź taksówką na środkowy Manhattan. Naciesz się miastem.

- W deszczu?

- Idź na jakiś spektakl. Zjedz smaczny obiad.

- Wątpię, żeby w Nowym Jorku serwowali do posiłków czerwoną i zieloną salsę.

- Zrób sobie małe wakacje. A jutro rano leć z powrotem. Na posterunku pewnie zastanawiają się, gdzie zniknąłeś.

- Nie wiedzą, że wyjechałem. Mówiłem ci, że dzisiaj mam wolne.

- A jutro?

- Zadzwoń, że jestem chory.

- To niezgodne z prawem - zauważył Decker. - Zrób sobie przysługę. Jak najszybciej wracaj do Nowego Meksyku.

- Nie.

- Nie dasz rady mnie śledzić. Za dwie minuty nie będziesz nawet wiedział, jak ci się wymknąłem.

- Nie zrobisz tego.

- Ach tak? A niby dlaczego?

- Bo nie masz pewności, czy mnie nie będziesz potrzebował.

Bar przy Pierwszej Alei, obok Delancey, wyglądał, jakby stał na skraju bankructwa. Reklamy alkoholi na wystawie wyblakły i niemal nie można ich było odczytać. Okna zaś wydawały się tak brudne, że nie dało się przez nie patrzeć. W neonie nie paliło się kilka liter i zamiast: BENNIE'S, świeciło BE E's. Na chodniku przed wejściem rozłożył się jakiś pijaczyna z butelką whisky w papierowej torbie. Ulewa w ogóle mu nie przeszkadzała. Decker, zdenerwowany szybko upływającym czasem, przeszedł przez ulicę i skierował się do baru. Za nim podążał Esperanza, który zamienił kowbojski kapelusz na nie wzbudzającą podejrzeń czapkę baseballową drużyny Yankees. Kupił ją po drodze, na straganie z pamiątkami. Długie włosy związał z tyłu, żeby również nie rzucały się w oczy. Tuż przed wejściem do baru Decker zatrzymał Esperanzę przed drzwiami, a pijaczyna, który tak naprawdę nie był pijaczyną, przyjrzał im się dokładnie.

- Bennie nas oczekuje - powiedział Decker. Pijak skinął głową. Decker i Esperanza weszli do baru, siwego od dymu papierosów. Jak na przybytek tak zaniedbany na zewnątrz, w lokalu znajdowało się zadziwiająco dużo ludzi. Było głośno, gdyż w telewizorze nadawano mecz futbolowy. Decker podszedł prosto do potężnego barmana.

- Jest tu gdzieś Bennie?

- Nie widziałem go.

- Dzwoniłem wcześniej i się umawiałem.

- Niby kto? Decker posłużył się pseudonimem.

- Charles Laird.

- To czemu nie mówisz tak od razu? - Barman wskazał gestem w stronę końca blatu. - Bennie czeka na ciebie u siebie w gabinecie. Torbę zostaw tutaj. Decker podał mu niewielki neseser i położył na ladzie dwadzieścia dolarów.

- To za piwo, którego nie piliśmy. Poprowadził Esperanzę do zamkniętych drzwi przy końcu baru i stanął.

- Co się stało? - spytał Esperanza. - Czemu nie pukasz?

- Najpierw musimy załatwić pewną kwestię formalną. Mam nadzieję, że nie masz nic przeciwko temu, żeby zostać obmacanym? Czterech mężczyzn o szerokich barach przerwało grę w bilard przy stole niedaleko drzwi. Brutalnie i dokładnie przeszukali Deckera i Esperanzę. Na zakończenie sprawdzili obydwu kostki, a ponieważ nie znaleźli żadnej broni ani mikrofonów, jeden z nich skinął głową na znak, że skończyli, po czym wrócili do bilarda. Nie znaleźli nic podejrzanego, ponieważ Decker uparł się, żeby Esperanza zamknął swoją odznakę policyjną i pistolet w jeepie pozostawionym na lotnisku w Albuquerque. Decker obawiał się, że gdyby zdarzyła się sytuacja, iż musieliby z Esperanza strzelać, to detektyw nie powinien używać broni, po której można by ich obydwu wytropić. Dopiero teraz Decker zapukał do drzwi. Usłyszał za nimi przytłumiony głos, otworzył i ujrzał przed sobą wąski, zagracony gabinet, gdzie przy biurku siedział gruby mężczyzna w koszuli w paski, muszce i szelkach. Mężczyzna był w starszym wieku. Łysy z posiwiałym wąsikiem. Przed nim na biurku leżała wypolerowana, mosiężna laseczka.

- Jak się masz, Bennie? - spytał Decker.

- Jestem na diecie. Muszę jakoś stracić trochę kilogramów. Rozkaz lekarza. A ty, Charles?

- Mam kłopot. Bennie pokiwał mądrze głową. Przy każdym kiwnięciu marszczył mu się podwójny podbródek.

- Bez kłopotu nikt nigdy do mnie nie przychodzi.

- To jest jeden z moich przyjaciół. - Decker wskazał Esperanzę. Bennie obojętnie podniósł dłoń.

- Musi zadzwonić.

- Może stamtąd. - Bennie wskazał stojący w kącie aparat na monety.

- Wciąż jest połączony z automatem w Jersey City?

- Jeśli ktoś będzie chciał się dowiedzieć, skąd przeprowadzana była rozmowa, to tam właśnie zaprowadzi go trop - potwierdził Bennie. Decker dał znak Esperanzie, że może zatelefonować. Już wcześniej ustalili, że zadzwoni do Millera w Santa Fe, żeby się dowiedzieć, czy są jakieś nowe wieści o Beth i o McKittricku. Decker dzwonił do Millera po drodze już kilka razy, chcąc przekonać się, czy Beth jeszcze żyje. Jak dotąd nie było żadnych informacji.

- Siadaj - powiedział Bennie do Deckera, gdy Esperanza wrzucał monety do automatu. Decker usadowił się w fotelu naprzeciwko Benniego, przekonany, że pod oddzielającym ich biurkiem znajduje się pistolet.

- Dziękuję. Ilekroć potrzebowałem pomocy, zawsze byłeś chętny do współpracy.

- Traktowałem to jako dobrą zabawę - odparł Bennie. - Czasami dobrze jest zmienić tempo i zrobić coś dla swojego rządu. Decker zrozumiał. Mimo że powszechnie sądzono, iż działanie CIA ogranicza się do misji zagranicznych, w rzeczywistości wywiad miał swoje biura w różnych głównych miastach amerykańskich i czasami zajmował się zadaniami krajowymi, choć, teoretycznie, najpierw musiał zastosować się do polecenia prezydenta i skonsultować się z FBI. To właśnie dzięki współpracy z FBI Decker trzy lata temu skontaktował się z Benniem i otrzymał fałszywą tożsamość, jako członek mafii Benniego. Miało to pomóc Deckerowi przedostać się do zagranicznej siatki terrorystycznej, która usiłowała zakłócić spokój w Stanach Zjednoczonych i w ramach zorganizowanej przestępczości chciała zalać kraj fałszywymi banknotami studolarowymi.

- Jestem pewien, że rząd okazał wdzięczność - powiedział Decker.

- Cóż, nie nachodzą mnie już i nie przysparzają mi kłopotów. - Bennie wzruszył obojętnie ramionami. A poza tym, to leżało w moim własnym interesie. Co nie jest dobre dla gospodarki kraju, również nie jest dobre dla moich interesów. - Uśmiechnął się lekko.

- Tym razem, obawiam się, nie mogę zaoferować ci korzyści.

- Ach tak? - Bennie spojrzał podejrzliwie.

- Obecnie nie mam już nic wspólnego z rządem. Chcę cię prosić o przysługę osobistą. - Przysługę? - Bennie wykrzywił twarz. W tle Decker usłyszał, jak Esperanza rozmawia przez telefon.

- Jaką przysługę? - Bennie najwyraźniej bał się odpowiedzi.

- Muszę się dowiedzieć, jak skontaktować się z Nickiem Giordano. Policzki Benniego na ogół miały lekko różowy odcień. Teraz pobrały.

- Nie. Nic mi więcej nie mów. Nie chcę się plątać w żadne układy między tobą i Nickiem Giordano.

- Przysięgam ci, że to nie ma nic wspólnego z rządem. Apatyczne do tej pory gesty Benniego teraz stały się bardzo ożywione.

- Nic mnie to nie obchodzi! Nie chcę nic na ten temat wiedzieć! Decker pochylił się do przodu.

- I ja też nie chcę, żebyś cokolwiek o tym wiedział. Bennie zatrzymał się nagle w połowie gestu.

- Nie chcesz, żebym ja wiedział?

- Proszę jedynie o prostą informację. Jak mogę skontaktować się z Nickiem Giordano? Nie z właścicielem restauracji, w której lubi jadać. Nie z jego ludźmi. Nie z jego adwokatem. Z nim. Nie będziesz musiał nas sobie przedstawiać. W żaden sposób nie będziesz w to bezpośrednio wmieszany. Ja wezmę na siebie odpowiedzialność za nawiązanie tego

kontakty. Giordano nigdy się nie dowie, kto mi powiedział, jak go znaleźć. Bennie wpatrywał się w Deckera, jakby próbował zrozumieć coś z obcego języka.

- A niby dlaczego miałbym zrobić coś takiego? Esperanza skończył rozmawiać przez telefon. Odwrócił się w stronę Deckera.

- Jakież nowości? - Decker poczuł skurcz żołądka.

- Nie.

- Dzięki Bogu. Przynajmniej może ona jeszcze żyje. Jeszcze wciąż mam nadzieję.

- Ona? - Bennie uniósł swoje gęste brwi.

- Moja przyjaciółka. Próbuje ją odnaleźć. Jest w tarapatach.

- A Nick Giordano może ją z tych tarapatów wyciągnąć? - spytał Bennie.

- Na pewno leży to w jego mocy - odparł Decker. - Właśnie o tym muszę z nim porozmawiać.

- Wciąż jeszcze nie podałeś mi powodu, dla którego powinienem ci pomóc.

- Kocham te kobiety, Bennie. Chcę, żebyś to zrobił, bo ją kocham.

- Żartujesz, prawda?

- Czy się śmieję?

- Wybacz, jestem człowiekiem interesów.

- Jest jeszcze inny powód. Nick Giordano jest szczególnie zainteresowany tą kobietą. Sądzi, że zabiła Joeya Scolari. Bennie aż się cofnął.

- Mówisz o Dianie Scolari? O żonie Joeya? Chryste! Nick wszystkim kazał jej szukać.

- Może mógłbym mu ją pomóc znaleźć.

- Myśl rozsądnie. Skoro ją kochasz, niby dlaczego miałbyś ją wydać Nickowi?

- Żeby nie musiała uciekać przez resztę życia.

- Jasne. Nie musiałaby. Już by nie żyła. Wciąż nie myślisz logicznie.

- Może to zabrzmiało logicznie - powiedział Decker. - Jeśli Nick Giordano będzie zadowolony z przebiegu rozmowy ze mną, może zechce wynagrodzić tego, kto okazał się na tyle rozsądny, że ją umożliwił? Bennie zastanawiał się z nachmurzoną miną.

Telefon zadzwonił tylko raz i natychmiast odezwał się chrapliwy męski głos:

- Lepiej, żebyś miał cholernie dobry powód, żeby dzwonić pod ten numer. Decker usłyszał sygnał automatycznej sekretarki i podyktował wiadomość.

- Mówi Steve Decker. Sądzę, że moje nazwisko nie jest wam obce. Wasi ludzie obserwowali mnie w Santa Fe. Jest coś ważnego, o czym chciałbym porozmawiać z panem Giordano. Dotyczy to Diany Scolari i zabójstwa jej męża. Dotyczy to również agenta rządowego nazwiskiem Brian McKittrick. Zadzwońię za trzydzieści minut. Decker odłożył słuchawkę na widelki i wyszedł z zaśmieconej szklanej budki w ciemność i deszcz. Ruszył w kierunku Esperanzy, który stał w wejściu zamkniętego sklepu ze sprzętem domowym.

- Masz już dosyć pilnowania mnie?

- Nie, przecież zabierasz mnie w takie ciekawe miejsca.

Kwiaciarnia znajdowała się przy Grand Street. Napis na drzwiach informował: OTWARTE W NIEDZIELĘ I ŚWIĘTA. Gdy Decker otworzył drzwi i wszedł do środka, rozległ się dźwięk dzwonka. Otoczył go zapach kwiatów charakterystyczny dla domów pogrzebowych. Zaciekawiony Esperanza spojrzął na kamery umieszczone nad bogatymi, kolorowymi wystawami, usłyszał kroki i odwrócił się szybko. Z zaplecza wyszła stateczna kobieta w średnim wieku, w rękawiczkach ogrodniczych i fartuchu.

- Przykro mi. Już prawie siódma. Moja asystentka miała właśnie zamknąć drzwi. Już nieczynne.

- Chyba straciłem poczucie czasu - powiedział Decker. - Już dość dawno nie robiłem z panią interesów. - Wziął z lady długopis i wizytówkę, napisał coś na niej i pokazał kobiecie. - To jest numer mojego konta, a tak pisze się moje nazwisko.

- Chwileczkę, sprawdzę naszą kartotekę. Kobieta wróciła na zaplecze i zamknęła za sobą drzwi. Decker wiedział, że przez lustro wiszące obok tych drzwi można patrzeć, co dzieje się w sklepie. Wiedział również, że zza tego lustra przygląda mu się uzbrojony mężczyzna, a dwóch innych uzbrojonych ludzi obserwuje w piwnicy monitory kamer wewnętrznych. Skrywając swe niespokojne myśli, udawał, że zainteresowały go różne atrakcyjne kwiatki do butonierki, wystawione za szklanymi drzwiami chłodni. Był zaskoczony, z jaką łatwością wraca do swojego dawnego stylu życia. Esperanza spojrział na zegarek.

- Za dziesięć minut musisz zadzwonić. Kobieta wróciła do sali sprzedaży.
- Panie Evans, według naszej kartoteki pozostawił pan u nas depozyt dwa lata temu.
- Tak. Przyszedłem, ponieważ chciałbym zamknąć swoje konto.
- Według kartoteki zawsze zamawiał pan szczególny rodzaj kwiatów.
- Dwa tuziny żółtych róż.

Na lewo od lady znajdowało się niewielkie pomieszczenie. Na ścianach wisiały fotografie różnych wiązanek, oferowanych przez kwiaciarnię. Stał tam również mały stolik i dwa drewniane krzesła. Decker zamknął drzwi, przekręcił zamek. Esperanza rozchylił usta, żeby coś powiedzieć, ale przerwało mu wejście kobiety, która pojawiła się tym razem w innych drzwiach. Położyła na stoliku aktówkę i wyszła. Gdy tylko drzwi się zamknęły, Decker otworzył walizeczkę. Esperanza pochylił się i przyjrzał się przedmiotom ułożonym w wyściełanych wgłębieniach: był tam pistolet walther .380, zapasowy magazynek, pudełko pocisków i dwa małe elektroniczne przedmioty o niejasnym przeznaczeniu. Decker nie potrafił ukryć wstępu.

- Miałem nadzieję, że nie będę już tego musiał dotykać.

- Lepiej, żebyś miał cholernie dobry powód, żeby dzwonić pod ten numer. Sygnał.

- Tu ponownie Steve Decker. Jest coś ważnego, o czym chciałbym porozmawiać z panem Giordano. Dotyczy to Diany Scolari i... Po drugiej stronie telefon odebrał jakiś mężczyzna. W jego głosie słychać było arogancki ton osoby przyzwyczajonej do wydawania poleceń.

- Co wiesz o Dianie Scolari?

- Chcę rozmawiać z panem Giordano.

- Ja jestem panem Giordano - powiedział mężczyzna ze złością.

- Nie Nickiem Giordano. Twój głos brzmi zbyt młodo.

- Mój ojciec nie przyjmuje telefonów od osób, których nie zna. Powiedz mi o Dianie Scolari.

- I o Brianie McKittricku.

- Czy to nazwisko powinno mi coś mówić?

- Chcę rozmawiać z twoim ojcem.

- Jeśli masz do powiedzenia coś na temat Diany Scolari, możesz to powiedzieć mnie.

Decker odłożył słuchawkę, odczekał dwie minuty, wrzucił do automatu kolejną monetę i wystukał ten sam numer. Tym razem nie odezwała się automatyczna sekretarka. Zamiast niej w połowie pierwszego sygnału zadźwięczał ochryply, starszy męski głos:

- Nick Giordano.

- Właśnie rozmawiałem z pańskim synem o Dianie Scolari.

- I o Brianie McKittricku. - W głosie brzmiało napięcie. - Mój syn twierdzi, że wspominałeś również Briana McKittricka.

- Zgadza się.

- Skąd mam wiedzieć, że nie jesteś gliną?

- Gdy się spotkamy, możesz mnie przeszukać, żeby sprawdzić, czy nie mam podsłuchu.

- To wciąż nie będzie znaczyło, że nie jesteś gliną.

- Skoro masz na tym punkcie obsesję, może nie ma sensu umawiać się na spotkanie.

Przez chwilę trwała cisza.

- Gdzie jesteś?
- W południowym Manhattanie.
- Stań na Piątej Alei po stronie gmachu Flatiron. Za godzinę odbierze cię stamtąd samochód. Po czym kierowca pozna, że to ty? Decker spojrzał na Esperanzę.
- Będę trzymał dwa tuziny żółtych róż.

W kawiarni przy Piątej Alei, niedaleko gmachu Flatiron, Decker nie odzywał się, dopóki kelner nie przyniósł im zamówienia i nie odszedł. Wybrali stolik w odległym kącie. W kawiarni było niewiele osób. Mimo to Decker najpierw upewnił się, że nikt nie patrzy w ich stronę, schylił się, otworzył torbę i wyjął niewielki przedmiot, który wcześniej wy dostał z aktówki w kwiaciarni. Przedmiot był metalowy, wielkości pudełka zapalek.

- Co to jest? - spytał Esperanza.

- Nadajnik, który wysyła sygnał. A to - Decker sięgnął do torby i wyjął metalowe pudełko wielkości paczki papierosów - ten sygnał odbiera, jeśli jest nadawany z odległości poniżej mili. Piąta Aleja przy gmachu Flatiron jest jednokierunkowa w stronę południa. Będziesz czekał w taksówce na północ stąd - przy Madison Square Park. Kiedy już wsiądę do samochodu, który przyśle po mnie Giordano, daj mi piętnaście sekund, żeby nie rzucało się w oczy, że nas śledzisz. Odbiornik działa na zasadzie wizualnej. Igła wskazuje na lewo, na prawo lub prosto, zależnie skąd dochodzi sygnał. Ten wskaźnik informuje, według skali od jednego do dziesięciu, jak blisko jest nadajnik. Dziesięć znaczy najbliżej. - Decker przesunął przełącznik i przesunął odbiornik przed nadajnik. - Tak. System działa. Weź odbiornik. Jeśli coś by poszło nie tak, umawiamy się przed tą kawiarnią o każdej pełnej godzinie. Jednak jeśli nie pojawię się do jutra, do szóstej wieczorem, jak najszybciej wracaj do Santa Fe. - Decker spojrzał na zegarek. - Już czas. Chodźmy.

- A co z twoją torbą?

- Weź ją. - W torbie był pistolet, zapasowy magazynek i pudełko z amunicją. Decker wiedział, że go przeszukają. Nie było mowy, żeby udało mu się przechytryć Giordano i zabrać na spotkanie z nim broń. - Dziesięć minut po tym, jak dojadę do celu, zadzwoń pod numer, który dał mi Bennie. Poproś ze mną. Niech to zabrzmii tak, że jeśli nie podejść do telefonu, staną się jakieś straszne rzeczy.

- I co?

- Przez telefon powiem ci, co masz zrobić. Doszli do wyjścia z kawiarni.

- Tutaj nie będziesz miał żadnych problemów ze złapaniem taksówki.

- Decker.

- Co?

- Jesteś tego pewien?

- Nie.

- Więc może jest jakiś inny sposób?

- Pójdźcie tam to ostatnia rzecz, na jaką mam ochotę. Ale kończy mi się czas. Może już się skończył. Nie mam pojęcia, gdzie jeszcze mógłbym się udać, jeśli nie prosto do jaskini lwa. Esperanza zawahał się.

- Powodzenia.

- Beth potrzebuje go bardziej niż ja.

- A jeśli...

- Już ją zabili?

- Tak.

- Wtedy to, co stanie się ze mną, nie ma znaczenia. Minutę później Decker wyszedł w zacinający deszcz, skręcił w prawo i ruszył w stronę gmachu Flatiron. Miał nadzieję, że Esperanza zdołał przez ten czas złapać taksówkę. Decker martwił się, co McKittrick może zrobić Beth, i ciągle przypominało mu się, że tej nocy, gdy McKittrick postrzelił swojego ojca, w Rzymie padał podobny deszcz. Doszedł do gmachu Flatiron pięć minut przed

umówionym czasem i schronił się w jakiejś bramie, trzymając przed sobą żółte róże. Targały nim mieszane uczucia: różne odcienie wątpliwości, strachu i obaw. Myślał o Beth, nękały go obawy, co jej się mogło przytrafić. Ale przede wszystkim był zdecydowany. Po raz pierwszy zaangażował się w misję, która znaczyła dla niego więcej niż życie. Przypomniał sobie coś, co Beth mu powiedziała dwa dni temu, w piątek, podczas fiesty, gdy wyszli z przyjęcia producenta filmowego i pojechali do domu Deckera. To była ich ostatnia chwila normalności, choć Decker zdał sobie teraz sprawę, że w ich znajomości nic nie było normalne. Gdy się kochali, przez okna sypialni padał na nich blask księżyca, przez co ich ciała przypominały kość słoniową - to słodkie i gorzkie zarazem wspomnienie sprawiło, że Decker poczuł pustkę. Później, gdy leżeli obok siebie, otaczał Beth ramionami, piersią dotykał jej pleców, pachwinami pośladków, kolanami jej kolan. Leżeli tak, z podkurczonymi nogami, zwinięci w kłębek. Beth nie odzywała się przez tak długą chwilę, że Decker pomyślał, iż zasnęła. Przypomniał sobie, jak wdychał aromat jej włosów. Kiedy się odezwała, jej niepewny głos brzmiał bardzo cicho, ledwo słyszalnie.

- Gdy byłam małą dziewczynką - wymamrotała - moi rodzice kłócili się strasznie. Znowu zamilkła. Decker czekał.

- Nigdy nie wiedziałam, o co się kłóca ciągnęła cicho napiętym głosem. - Do dzisiaj nie wiem. Niewierność. Problemy finansowe. Alkohol. Nie wiem. Co noc wrzeszczeli na siebie. Czasami nie tylko wrzeszczeli. Rzucali różnymi rzeczami. Bili się. Te kłótnie były najgorsze w święta - w święto Dziękczynienia albo w Boże Narodzenie. Matka przygotowywała wielki posiłek. Tuż przed obiadem z jakiegoś powodu zaczynali na siebie wrzeszczeć. Ojciec wybiegał z domu. Jadłyśmy obiad same, a matka ciągle mi mówiła, jaki z ojca jest cholerny drań. Znowu cisza. Decker wiedział, że nie należy Beth ponaglać.

- Kiedy te kłótnie stały się dla mnie nie do zniesienia, błagałam rodziców, żeby przestali. Popchnęłam ojca, usiłując mu przeszkodzić w biciu matki. Osiągnęłam jedynie tyle, że zwrócił się przeciwko mnie - powiedziała w końcu Beth. - Wciąż w mojej świadomości tkwi obraz zbliżającej się do mnie pięści ojca. Bałam się, że mnie zabije. To się zdarzyło w nocy. Uciekłam do sypialni i usiłowałam wymyślić, gdzie się ukryć. Krzyki w salonie stały się głośniejsze. Ułożyłam pod kołdrą poduszki, żeby wyglądało, jakbym spała. Pewnie widziałam taką sztuczkę w telewizji albo gdzieś indziej. Potem wsunęłam się pod łóżko i tam spałam, w nadziei że to mnie ocali przed ojcem, gdyby przyszedł mnie zakłuć nożem. Od tej pory spędzałam tak każdą noc. Ramiona poruszyły się jej lekko i Decker domyślił się, że Beth płacze.

- Czy też miałeś takie dzieciństwo? - spytała.

- Nie. Mój ojciec był zawodowym żołnierzem. Człowiekiem rzeczowym, przekonany, że najważniejsze są dyscyplina i posłuch. Ale nigdy nie stosował wobec mnie przemocy.

- Szczęściarzu. - Beth wytarła w ciemności oczy. - Kiedyś czytałam bajki o rycerzach i księżniczkach, o królu Arturze i tym podobnych bohaterach. Marzyłam, że żyję w tych bajkach, że mam swojego rycerza, który mnie chroni. Nawet jako dziecko nieźle rysowałam. Szkicowałam podobizny tego księcia. - Zaszleściła kołdra. Beth odwróciła się do niego, księżyc oświetlił jej twarz i na jej policzkach zalśniły łzy. - Gdybym znów mogła narysować tego rycerza, wyglądałby jak ty. Przy tobie czuję się bezpiecznie. Już nie muszę spać pod łóżkiem. Dwie godziny później zamachowcy włamali się do domu. Deszcz zacinający Deckerowi w twarz wyrwał go ze wspomnień. Szarpany emocjami przyglądał się pojazdowi pędzącym przez kałuże obok gmachu Flatiron. Męczyły go sprzeczne pytania. Czy historia, którą opowiedziała mu Beth, była prawdziwa, czy wymyśliła ją, żeby jeszcze mocniej połknął haczyk? Czy kłamała, żeby wydobyć od niego więcej współczucia? Czy ustawiała go, żeby ją chronił przed wszelkim zagrożeniem? Sprowadzało się to do kwestii, którą roztrząsał od wczoraj, kiedy dowiedział się, że go oszukała co do swojej przeszłości. Czy go kochała, czy wykorzystywała? Musi się dowiedzieć. Musi ją znaleźć i poznać prawdę, nawet jeśli prawda okaże się nie taka, jakiej oczekiwał. Nie miał pojęcia, co wówczas zrobi. Mimo wszystko

kochał ją bezgranicznie. Deszcz przecięły światła reflektorów. Ze sznura samochodów wysunął się szary oldsmobile i zatrzymał się przed Deckerem przy krawężniku. Otworzyły się tylne drzwi samochodu i wysiadł jeden z przybocznych Giordano, dając znak sztywnym ruchem głowy, żeby Decker wsiadł do środka. Decker napiął mięśnie i zbliżył się do mężczyzny, w każdej ręce trzymając bukiet róż.

- W porządku. - Mężczyzna o potężnym torsie, szerokich barkach, ubrany w przyciasny garnitur, uśmiechnął się z przymusem. - Trzymaj ręce na tych kwiatkach, przeszukam cię.

- Na ulicy? A jak nadjedzie wóz policyjny?

- Wsiadaj do samochodu. Decker zobaczył, że jest dwóch mężczyzn z przodu i jeszcze jeden z tyłu. Czwarty mężczyzna popchnął go do środka i wsiadł za nim. W dłoni, razem z kwiatami, Decker trzymał nadajnik wielkości pudełka zapalek. Kierowca ruszył od krawężnika, koła rozprysnęły kałuże, a człowiek siedzący z przodu, po prawej stronie, wycelował w Deckera pistolet. Dwaj mężczyźni z tyłu przeszukali go.

- Jest czysty.

- A kwiaty? Mężczyźni wyszarpnęli Deckerowi kwiaty. Byli tak pochłonięci tą czynnością, że nie zauważyli niewielkiego nadajnika, który Decker wciąż ukrywał w prawej dłoni.

- Lepiej żeby ta sprawa, którą masz do szefa, okazała się ważną powiedział jeden z mężczyzn. - Jeszcze nigdy nie widziałem Nicka tak wkurzonego.

- Hej, co tu tak śmierdzi? - spytał inny mężczyzna.

- To te kwiaty. Cuchną jak tani pogrzeb.

- Może to pogrzeb tego faceta. - Mężczyzna siedzący po lewej stronie Deckera zachichotał, opuścił szybę i wyrzucił wędnącą różę. Decker nie odzywał się przez całą drogę. Mężczyźni też zupełnie nie zwracali na niego uwagi. Rozmawiali między sobą o futbolu, kobietach i kasynach w rezerwatach Indian - bezpieczne tematy, nic co mogłoby ich obciążać. Decker zastanawiał się, czy Esperanzie udało się ich śledzić taksówką, czy nadajnik i odbiornik działają, czy kierowca zorientuje się, że ktoś za nim jedzie. Decker powtarzał sobie, że nie wolno mu tracić wiary. Było tuż po 20.00. Deszcz stał się bardziej rześisty, zmierzch zamienił się w noc. Światła cięły ulewę. Kierowca objechał, dla zmylenia ewentualnego pościgu, kilka ulic, ruszył na północ zatłoczoną Henry Hudson Parkway i w końcu skręcił na zachód, na most George'a Washingtona. Po stronie New Jersey znów skierował się na północ Palisades Parkway. Godzinę później wjechali do sennego miasteczka Alpine. Mężczyźni w samochodzie wyprostowali się z napięciem, a kierowca minął małe centrum, jeszcze pokręcił się po sennych uliczkach i w końcu dotarł do cichego, gęsto zadrzewionego, efektownie i ze smakiem oświetlonego osiedla okazałych domów na półakrowych działkach. Działki były pooddzielane wysokimi, ostro zakończonymi ogrodzeniami z kutego żelaza. Samochód wjechał na podjazd i zatrzymał się przed imponującą metalową bramą. Kierowca wychylił się na deszcz i odezwał do domofonu.

- To Rudy. Mamy go. Brama otworzyła się na obie strony i kierowca przejechał przez szczelinę między jej skrzydłami. Decker spojrzął za siebie przez pokryte kropelkami deszczu okno i zauważył, że brama zamknęła się, jak tylko oldsmobile ją minął. Nie dostrzegł reflektorów taksówki, która miała ich śledzić. Oldsmobile pojechał wijącym się podjazdem i zatrzymał się przed ceglany trzykondygnacyjnym domem o licznych szczytach i kominach. Decker przyzwyczał się do niskich domów z glinianej cegły, które miały zaokrąglone narożniki i płaskie dachy, i teraz ta willa wydała mu się surrealistyczna. Teren oświetlały światła jarzeniowe. Decker zauważył, że drzewa rosną w sporej odległości od domu, a krzewy są niskie. Gdyby jakiś intruz zdołał przedrzeć się przez ogrodzenie, gdzie, jak Decker się domyślał, zainstalowane były świetlne detektory, nie miałby gdzie się skryć próbując zbliżyć się do domu.

- Zaczynamy przedstawienie - odezwał się mężczyzna po lewej stronie Deckera. Otworzył drzwi, wysiadł i czekał na Deckera. - Ruszaj się. Nie każ mu czekać. Schwycił

Deckera za ramię, ale Decker nie zareagował ani słowem. W gruncie rzeczy ucieszył się z tego gestu. Gdy go wleczono przez deszcz w stronę szerokich kamiennych schodów prowadzących do domu, udał, że się potknął. Upadł koło jakiegoś krzaczka i wrzucił pod niego nadajnik, po czym pozwolił, żeby prowadzący go mężczyzna poderwał go na nogi i zaciągnął do domu. Czuł mróz w okolicy serca. Najpierw w mroku obszernego holu o marmurowej posadzce zauważył uzbrojonego strażnika z groźnym pitbullem przy nodze. Potem już niewiele miał czasu, żeby się rozglądać, gdyż poprowadzono go korytarzem z dębową boazerią, przez podwójne drzwi, do gabinetu, wyłożonego grubym dywanem. Na ścianie na wprost Deckera ustawione były oprawione w skórę książki. Po prawej stronie wisiały w ramach zdjęcia rodzinne. Pod ścianą z lewej strony stały oszklone gabloty z wazami. Środek pokoju zajmowało szerokie, zabytkowe biurko, za którym siedział niewysoki, ubrany w drogi granatowy garnitur mężczyzna w wieku około siedemdziesięciu lat. Wypuszczał dym z cygara i patrzył na Deckera spod przymrużonych powiek. Człowiek ten miał ascetyczne rysy twarzy, dołek w brodzie i bruzdy na obydwu policzkach. Głęboka opalenizna podkreślała jego gęste siwe włosy. Przed biurkiem, odwrócony tak, żeby widzieć Deckera, siedział mężczyzna po trzydziestce. Ci dwaj różnili się nie tylko wiekiem. Młodszy był ubrany w modne rzeczy, które w zestawieniu z konserwatywnym garniturem starszego wydawały się krzykliwe. Młodszy miał na sobie rzucającą się w oczy biżuterię, natomiast starszy nie nosił jej w ogóle. Młodszy wyglądał na człowieka o gorszej kondycji fizycznej niż starszy. Był lekko pucołowaty, jakby ostatnio zrezygnował z gimnastyki na rzecz picia.

- Przeszukaliście go? starszy mężczyzna spytał strażników, którzy przyprowadzili Deckera. Jego chrapliwy głos brzmiał jak głos człowieka, który w rozmowie przez telefon przedstawił się, że jest Nickiem Giordano.

- Jak go zabieraliśmy - odparł strażnik.

- To mi nie wystarcza. Facet ma przemoczone ubranie. Dajcie mu jakiś szlafrok.

- Tak, proszę pana. Giordano przyjrzał się Deckerowi.

- No, na co czekasz?

- Nie rozumiem.

- Ściągaj ubranie.

- Co?

- Niedosłyszysz? Rozbierz się. Chcę się upewnić, czy nie masz na sobie podsłuchu.

Guziki, sprzączki, eklery - nie mam zaufania do takich rzeczy. Szczególnie jeśli mam do czynienia z facetem, który był tajniakiem.

- Brian McKittrick musiał ci dużo o mnie opowiadać.

- Ty skurwielu - odezwał się młodszy mężczyzna.

- Frank - powiedział Giordano ostrzegawczo. - Zamknij się, dopóki nie nabierzemy pewności, że nie ma podsłuchu.

- Mówisz poważnie o tym rozbieraniu? - spytał Decker. Giordano nie odpowiedział, tylko patrzył gniewnie.

- Jeśli to cię podnieca.

- Hej. - Młodszy wstał ze złością. - Wydaje ci się, że możesz przyjść do domu mego ojca i go obrażać?

- Frank - ostrzegł go znowu Giordano. Młodszy mężczyzna zebrał się do uderzenia Deckera w twarz. Spojrzał na ojca i zrezygnował. Decker zdjął kurtkę. Giordano skinął głową.

- Dobrze. To rozsądne, że chcesz podjąć współpracę. Gdy Decker zdjął koszulę, Giordano podszedł do waz w szklanych gablotach.

- Wiesz coś o porcelanie? - spytał Giordano. Pytanie było tak zaskakujące, że Decker potrząsnął głową.

- Na przykład o porcelanie kostnej? Decker z posepnym wyrazem twarzy ściągnął buty i skarpetki.

- To jeden z jej rodzajów. Nazywa się porcelaną kostną, ponieważ wytwarza się ją ze zmielonych kości. Decker rozpiął pasek i suwak, zdjął spodnie. Jego obnażone ciało pokryło się gęsią skórką.

- Wszystko - rozkazał Giordano. Decker zsunął majtki. Jądra skurczyły mu się w pachwinach. Stał tak, z rękoma opuszczonymi wzdłuż tułowia, starając się zachować resztki godności.

- Co teraz? Przeszukanie otworów fizjologicznych? Robisz to osobiście? Młodszy mężczyzna miał wściekły wyraz twarzy.

- Chcesz zarobić, pyskaczu?

- Frank - rzucił ponownie Giordano ostrzegawczo. Wszedł strażnik z białym szlafrokiem frotte.

- Podaj mu go. - Giordano machnął cygarem. - I zabierz jego ubranie do samochodu. Człowiek wykonał polecenie, a Decker włożył szlafrok. Jego dolna krawędź sięgała mu do kolan, a rękawy zaledwie poniżej łokci. Gdy zawiązywał pasek, przypomniało mu się kimono, które nosił, gdy trenował walki Wschodu. Giordano podniósł wazon w formie czapli z zadartą głową i rozchylonym dziobem.

- Popatrz," jak światło wydaje się przez nią przeświecać. Posłuchaj. Kiedy postuka się w nią palcem, dźwięczy niemal jak kryształ.

- Fascynujące - stwierdził Decker bez entuzjazmu.

- Znacznie bardziej, niż sądzisz. Te wazy to moje trofea - powiedział Giordano. - Ostrzegają moich wrogów - twarz mu się zaczerwieniła - żeby nie próbowali mnie wkurwić. Kostna porcelana. Zmielone kości. - Giordano przysunął wazon blisko Deckera. - Przywitaj się z Luigim. On próbował mnie wkurwić, więc spaliłem jego ciało kwasem, zmieliłem kości i zrobiłem to. Umieściłem go w gablotce z trofeami. Jak wszystkich innych, którzy próbowali mnie wkurwić. Giordano cisnął wazon w stronę dużego kominka. Porcelana rozsypała się na drobne kawałki.

- Teraz Luigi to zwykłe śmieci! - stwierdził Giordano. - A ty, jeśli też będziesz usiłował mnie wkurwić, skończysz dokładnie tak samo jak on. Więc przemyśl sobie dobrze moje pytanie. Co masz mi do powiedzenia na temat Diany Scolari? Napięcie panujące w pokoju przerwał ostry dzwonek telefonu. Giordano wymienił z synem niespokojne spojrzenie.

- Może to McKittrick - powiedział Frank.

- Dobrze bym mu radził, żeby to, cholera, był on. - Giordano podniósł słuchawkę. - Mówić. - Zmarszczył brwi. - Kto, do diabła... - spojrzał na Deckera. - Z kim? A niby dlaczego...

- To pewnie do mnie - odezwał się Decker. - To mój przyjaciel, sprawdza, jak się miewam. - Odebrał od Giordano słuchawkę i powiedział do niej: - A więc trafiłeś?

- Z trudnością odparł Esperanza ponurym głosem po drugiej stronie. - Niełatwo było trzymać się za wami na tyle daleko, żeby kierowca nie zauważył świateł taksówki. Telefonu też szukałem długo.

- Gdzie jesteś?

- Przed pocztą - w miejscu, które uchodzi za główną ulicę.

- Zadzwoń znowu za pięć minut. - Decker odłożył słuchawkę na widelki i odwrócił się do Giordano. - Takie środki ostrożności.

- Sądzisz, że jeśli zdecyduję, iż nie mam z ciebie pożytku, jakiś facet zdoła ocalić ci przez telefon tylek?

- Nie. - Decker wzruszył ramionami. - Ale przed śmiercią będę miał satysfakcję, że mój przyjaciel skontaktuje się z innymi przyjaciółmi i wkrótce do mnie dołączysz. W pokoju zaległa cisza. Zdawało się, że nawet deszcz tłukący w okna przycichł nagle.

- Nikt nie grozi mojemu ojcu - powiedział Frank.

- Ta gadka o Luigim bez wątpienia brzmiała, jakby twój ojciec groził mnie - odparł Decker. - Przybyłem tutaj w dobrej wierze, żeby omówić nasz wspólny problem. Zamiast potraktować mnie z szacunkiem, zmuszono mnie do...

- Wspólny problem? - spytał Giordano.

- Dianę Scolari. - Decker zawiesił głos i spróbował opanować emocje. Wszystko zależało od tego, co teraz powie. - Chcę ją dla ciebie zabić. Giordano wytrzeszczył oczy. Frank zrobił krok do przodu.

- Za to, co zrobiła Joeyowi, wielu z nas chce ją zabić. Decker nie zmienił wyrazu twarzy. Nie ośmielił się okazać ulgi, jaka go ogarnęła. Frank użył czasu teraźniejszego. Beth wciąż żyła.

- Mam uwierzyć, że chcesz ją zabić, mimo że ją pieprzyłeś? - spytał Giordano.

- Okłamała mnie i wykorzystała.

- To, cholera, fatalnie.

- Dla niej. Znajdę ją. Dam jej to, na co zasługuje.

- I mamy ci powiedzieć, gdzie ona jest? - spytał Frank.

- I gdzie jest Brian McKittrick. On też mnie wykorzystał. Wrobił mnie. Nie pierwszy raz. Zapłaci za to.

- Jeśli o niego chodzi, też możesz przyłączyć się do całej rzeszy - powiedział Frank. - Wielu z nas szuka ich obojga.

- Szuka...? Myślałem, że on dla was pracuje.

- My też tak myśleliśmy. Miał się wczoraj skontaktować. Ani słowa. Może znowu pracuje dla agencji rządowej? Jeśli ona pojawi się jutro w tym sądzie...

- Frank - odezwał się Giordano - ile razy mam ci powtarzać, żebyś się zamknął?

- To nie jest dla mnie tajemnicą - powiedział Decker. - Wiem, że ma jutro zeznawać.

Gdybym mógł się dowiedzieć, gdzie ona jest, rozwiązałbym wasz problem. Pozwoliłaby mi podejść na tyle blisko, żeby... Znowu zadzwonił telefon. Tym razem Giordano i Frank skoncentrowali całą swoją uwagę na Deckerze. tem.

- To pewnie znowu twój przyjaciel - stwierdził Giordano. - Spław go. Decker odebrał telefon.

- Daj mi Nicka - zażądał zadowolony głos z nowoangielskim akcentem Brian McKittrick. 10 Czas jakby stanął w miejscu. Puls Deckera stracił rytm. Szybko zniżył głos, w nadziei że McKittrick go nie pozna.

- Czy kobieta jeszcze żyje?

- Żebyś wiedział. I tak zostanie, jeśli do północy nie otrzymam miliona dolarów. Jeśli nie dostanę tych pieniędzy, ona pojawi się jutro w sądzie.

- Gdzie jesteś?

- Kto mówi? Jeśli za dziesięć sekund nie usłyszę głosu Nicka, odkładam słuchawkę.

- Nie! Poczekaj. Nie rób tego. Już jest. Decker oddał słuchawkę Giordano, który pytająco podniósł brwi.

- To McKittrick.

- Co? - Giordano złapał słuchawkę. - Ty sukinsynu, miałeś do mnie zadzwonić wczoraj. Gdzie... Stop. Nie odpowiadaj od razu. Czy twój telefon jest bezpieczny? Użyj tego szyfratora głosu, który ci dałem. Włącz go. Giordano przesunął jakiś przełącznik w czarnej skrzynce obok telefonu szyfrator głosu prawdopodobnie dostroił się do urządzenia, które miał McKittrick. - Teraz mów, skurwielu. Decker odsunął się od biurka. Frank i strażnicy zamarli na widok wściekłego wyrazu twarzy Giordano, który wrzasnął do telefonu:

- Milion dolarów?! Czyś ty oszalał? Zapłaciłem ci już dwieście tysięcy... To mało? A czy twoje życie wystarczy? Mówiłem ci, co robię z cwaniakami, którzy próbują mnie przechytrzyć. To jest najlepsza oferta, jaką kiedykolwiek otrzymałeś. Wykonaj robotę, którą nam obiecałeś. Daj mi dowód, że sprawa jest załatwiona. Ja za to zapomnę, że ta rozmowa w ogóle miała miejsce. Decker stał na prawo od strażników, równoległe do nich. Rozejrzał się

po pokoju i popatrzył na kominek, nie cofnął się jednak, by przyjrzeć mu się dokładniej. To mogłoby wzbudzić podejrzenia gwardzistów. Giordano, zaszokowany, słuchał przez telefon.

- Ty tępy skurwielu, ty nie żartujesz. Naprawdę chcesz wyciągnąć ode mnie milion dolców... Nie musisz mi przypominać, że jej zeznanie może mnie wsadzić do pudła na całe życie. - Twarz Giordano przybrała jeszcze wściekleszy wyraz. - Tak. Wiem, gdzie to jest. Ale o pomocy to zbyt wcześnie. Potrzeba mi więcej czasu. Muszę... Nie zwodzę cię. Nie chcę cię przechytrzyć. Chcę jedynie rozwiązać swój problem. Mówię prawdę. Nie jestem pewien, czy do północy uda mi się zgromadzić pieniądze... Ale mogę ci okazać gest dobrej woli. Facet, który odebrał telefon, to ten sam gość, którego w ramach naszej umowy mieliśmy zlikwidować w Santa Fe. Twój kumpel, Steve Decker. Giordano i wszyscy zgromadzeni w pokoju spojrzeli na Deckera. Zamarł w bezruchu.

- Złożył nam wizytę. Zadzwoił do mnie i chciał się ze mną spotkać, żeby przeprowadzić rozmowę od serca. Stoi tu przede mną. Chcesz przyjechać i się z nim zobaczyć?... Nie? Nie ufasz mi?... W porządku, oto moja propozycja. Załatwimy go za ciebie. Udowodnisz nam, że kobieta nie żyje. Ja dam ci dowód, że Decker jest martwy. Dostaniesz ten milion. Ale nie mogę dostarczyć ci pieniędzy przed północą. - Giordano spojrzął spode łba. - Nie. Poczekaj - rzucił słuchawkę na widelki. - Ten skurwiel odłożył słuchawkę. O północy. Mówi: „O północy albo nie robimy interesu”. Myśli, że jak będę miał więcej czasu, to go wyroluję.

- Gdzie mamy się z nim spotkać? - spytał Frank ze złością.

- W punkcie widokowym, dwie mile na północ stąd.

- W parku stanowym Palisades? Giordano przytaknął.

- Ten skurwiel jest gdzieś tutaj w okolicy. Mamy zostawić pieniądze i Deckera za kioskiem spożywczym.

- A McKittrick zostawi kobietę?

- Nie. Mówi, że nie wykona roboty, dopóki nie upewni się, że nie próbujemy go śledzić, jak będzie odjeżdżał z pieniędzmi.

- Cholera. Giordano odwrócił się do ściany z oprawionymi w skórę książkami. Nacisnął fragment muru i zwolnił zapadkę.

- Naprawdę masz mu zamiar dać te pieniądze? - spytał Frank.

- A jaki mam wybór? Za mało czasu, żeby go rozpracować. Diana Scolari nie może pojawić się jutro w tym sądzie. Z McKittrickiem policzę się później. Nie może ukrywać się wiecznie. Ale teraz... - Giordano pociągnął i wielki regał odsunął się od ściany, odsłaniając sejf. Giordano szybko wprowadził szyfr, otworzył drzwi i wyjął pliki banknotów. Zaczął układać spięte gumkami paczki na biurku. - W tamtej szafie jest teczka.

- A jeśli McKittrick weźmie pieniądze i mimo to pozwoli jej zeznawać? - Frank poszedł po teczkę. - Albo jeśli rano zażąda więcej gotówki?

- To mu dam więcej gotówki! Nie spędzę reszty życia w więzieniu!

- Możemy spróbować go śledzić - powiedział Frank. - Albo możemy go schwytać, kiedy przyjdzie po pieniądze. Uwierz mi, już ja go zmuszę, żeby powiedział, gdzie jest kobieta.

- A jeśli umrze, zanim nam to wyjawia? Nie mogę ryzykować. Mam siedemdziesiąt lat. Więzienie by mnie zabiło. Telefon zadzwonił po raz trzeci.

- Może to znowu McKittrick. - Giordano złapał słuchawkę. - Mówić. - Zmarszczył brwi w stronę Franka. - Nie rozumiem ani słowa. Pewnie wyłączył szyfrator. - Giordano, wściekły, wyłączył swój szyfrator i wycedził do telefonu: - Mówiłem ci... Z kim? Z Deckerem? Na litość boską, już go tu nie ma. Przestań do niego wydzwaniać. Nie ma go. Jeden z moich ludzi odwiózł go do miasta... Zamknij się i posłuchaj. Nie ma go. Giordano rzucił słuchawkę i zwrócił się do Deckera.

- To mniej więcej tyle, jeśli chodzi o twoją polisę ubezpieczeniową. Sądziłeś, że mnie można zastraszyć, co? - Odwrócił się do strażników. Wyprowadźcie tego kutasa na urwisko i załatwcie go. Decker poczuł mróz w żołądku.

- Tuż przed północą rzućcie go za kiosk spożywczy przy punkcie widokowym. Do tego czasu Frank będzie tam z pieniędzmi - powiedział Giordano.

- Ja mam tam jechać? - spytał Frank zdziwiony.

- A komu innemu mam powierzyć pieniądze?

- Myślałem, że razem je zabierzemy.

- Czyś ty zgłupiał? To przecież nie tobie grozi jutro oskarżenie. Gdyby mnie przyłapano, że mam z tym coś wspólnego... Hej! - Giordano zwrócił się do strażników. - Na co czekacie? Powiedziałem, zabierzcie go i załatwcie. Decker zobaczył, że jeden ze strażników sięga pod marynarkę, żeby wyciągnąć pistolet, i poczuł jeszcze silniejszy ucisk w piersi. Jego ciało było jak ciasno zwinięta sprężyna. Teraz nagle sprężyna rozwinęła się gwałtownie. Gdy Giordano rozmawiał z McKittrickiem przez telefon, Decker mniej więcej zaplanował dalszy bieg wypadków. Obok kominka zauważył zestaw przyborów kominkowych. W mgnieniu oka chwycił długi, cienki, ciężki pogrzebacz i zaczął nim wymachiwać, uderzając strażnika w gardło. Krtań strażnika zachrzącała głośno. Mężczyzna nie mógł oddychać, gdyż obrzęk zablokował mu tchawicę. W męczarniach upuścił pistolet i chwycił się za gardło. Upadł do tyłu, na innego strażnika, już martwego, powalonego ciosem, który Decker wymierzył mu ciężkim narzędziem w czubek czaszki. Gdy trzeci ze strażników próbował wyciągnąć spod marynarki pistolet, Decker rzucił pogrzebaczem z taką siłą, że metalowy pręt przebił strażnikowi pierś. Decker padł na podłogę, chwycił pistolet, który upuścił pierwszy strażnik, strzelił do ostatniego ze strażników, strzelił do Giordano, strzelił... Ostatnim celem miał być Frank, ale Frank zniknął. Używając kotar, żeby osłonić się przed tłukącym się szkłem, Frank rzucił się przez okno i zniknął w burzy za firankami. Decker strzelił, ale spuścił. Ledwie zdążył zauważyć, że z biurka zniknęła teczka, kiedy strażnik z przebitą pierśią zdołał oprzeć się o krzesło i wycelować w niego pistolet. Decker zastrzelił go. Zastrzelił również strażnika i pitbulla, którzy wcześniej pilnowali frontowych drzwi, a teraz wpadli do pokoju. Deckerem nigdy nie opanowała taka furia. Zatrzymał się tylko na sekundę, żeby zgasić światła, i pobiegł do okien. Wiatr wiał przez potłuczone szyby i szarpał firankami w pokoju. Decker pomyślał o jarzeniowym oświetleniu na zewnątrz i o braku kryjówek obok domu. Wyobraził sobie, że Frank celuje zza jednego z kilku wielkich drzew, rosnących z dala od domu. Nawet gdyby Deckerowi udało się zestrzelić jarzeniówki, jego biały szlafrok byłby w ciemności łatwym celem. Ściągnął go i rzucił na podłogę. Jednak skóra, mimo że opalona, również odcinała się w mroku nocy. Ciało też stanowiłoby w ciemności wyraźny cel. Co mam zrobić? Wkrótce będzie pomoc. Muszę się dostać do tego punktu widokowego. Decker zaopatrzył się w jeszcze jeden pistolet upuszczony przez któregoś ze strażników i ruszył korytarzem. W tym samym momencie przez tylne drzwi wbiegł następny człowiek z ochrony Giordano. Decker zastrzelił go. Przez otwarte drzwi wlewał się deszcz. Decker dotarł do wyjścia, przycisnął się do ściany obok drzwi i spojrzał w stronę oświetlonego jarzeniówkami terenu za domem. Nie widząc śladu Franka, Decker skulił się w chwili, gdy nadlatujący pocisk wyrwał kawał framugi i, pochylony, usunął się z pola widzenia. Zauważył rząd przełączników światła i wcisnął je wszystkie, nagle zrobiło się ciemno. Natychmiast rzucił się przez otwarte drzwi i popędził przez przemoczoną deszczem trawę w stronę rzędu niskich krzewów, które zauważył, zanim zgasił jarzeniówki. Czuł na swojej nagiej skórze odrętwiający chłód deszczu. Padł za pierwszym krzakiem i skulił się, gdy pocisk zorał trawnik tuż za nim. Dopadł do kolejnego krzewu i spostrzegł, że leży teraz na grządce kwiatowej i czołga się wśród lody i błota. Badyle drapały mu skórę. Błoto. Pomazał sobie nim twarz. Wytarzał się w nim, starając się skryć białą skórę. Wiedział, że deszcz prędko zmyje ten kamuflaż. Musiał szybko działać. Teraz! Poderwał się na nogi i, niemal przewracając się na śliskiej glebie i podpierając rękoma, ruszył ku wielkiemu drzewu. Nagle odniósł wrażenie, że drzewo się rozrasta, a jego pień się rozdwa. Jakaś postać odwróciła się zaskoczona. Decker padł na rozmokły trawnik, a postać strzeliła w to miejsce, gdzie stał jeszcze przed chwilą. Pocisk przeleciał mu nad głową. Decker strzelił trzy razy, zobaczył, że postać upadła, i podbiegł

bliżej, kryjąc się za drzewem. Czy trafił Franka? Nie. Ten człowiek miał garnitur, a Frank nie. Gdzie on jest? Strzały zaalarmują sąsiadów. Zaraz będzie tu policja. Jeśli nie zdążę wcześniej dopaść Franka, już nigdy nie nadarzy mi się okazja. Usłyszał hałas z drugiej strony domu. Ktoś otwierał drzwi od garażu. Frank nie czai się tutaj, żeby mnie zastrzelić! - dotarło do Deckera. Pobiegnął do garażu! Decker wiedział, że może być więcej strażników, którzy do niego celują z ciemności, ale to nie było w stanie go powstrzymać. Nie miał czasu na ostrożność. Skoro ojciec Franka nie żył. Frank nie musiał się podporządkować planom starego Giordano i oddawać pieniędzy McKittrickowi. Po co? Beth nie miała przecież zeznawać przeciwko Frankowi. Mógł zatrzymać pieniądze i powiedzieć McKittrickowi, że może zrobić z Beth, co mu się podoba. Już się nie liczyła. McKittrick nie miałby innego wyboru, musiałby zastrzelić Beth, aby nie wydała go władzom. Decker usłyszał silnik samochodu i popędził ku otwartym tylnym drzwiom domu. Gdy wpadał do środka, ktoś strzelił z ciemności. Pocisk przeleciał tuż obok niego, ale Decker nie odwzajemnił ognia. Chciał tylko zdążyć wybiec przed dom, w momencie gdy Frank będzie przejeżdżał obok bramy, i wtedy do niego strzelić. Zamaszyście otworzył drzwi, ukucnął i wycelował. Błysnęły światła. Wielka ciemna limuzyna, cadiiac, przemknęła obok, rozmazując się w deszczowej nocy. Decker strzelił i usłyszał brzęk tłuczonego szkła. Samochód z wyciem silnika zbliżył się do bramy. Decker wystrzelił ponownie i usłyszał, jak pocisk przeszył metal. Nagle usłyszał jeszcze inny dźwięk: brzęk bramy, która zaczęła się otwierać. I jeszcze inny: odległe wycie syren. Oldsmobile stał przed domem, tam gdzie gangsterzy go zostawili, gdy przywieźli Deckera z Manhattanu. Gdy światła cadiiaca zniknęły w bramie, Decker rzucił się w dół po schodach, w kierunku oldsmobile'a. Szarpnięciem otworzył drzwi od strony kierowcy, spojrzął z desperacką nadzieją i zobaczył, że kluczyki tkwią w stacyjce. Światło w środku samochodu wystawiło go na cel. Usłyszał za sobą kroki. Odwrócił się, zaskoczony, i wycelował w otwarte drzwi frontowe, gdzie nagle pojawiły się wielkie cienie dwóch strażników z uniesionymi pistoletami. W tym samym momencie z przerażeniem stwierdził, że po drugiej stronie oldsmobile'a jest jeszcze jeden strażnik! Decker znalazł się w pułapce. Strażnik po drugiej stronie samochodu strzelił, jego pistolet huknął raz, drugi, pociski przeleciały Deckerowi nad głową i Decker nie zdążył nawet pociągnąć za spust swojej broni, a dwaj strażnicy przed otwartymi drzwiami frontowymi rzucili się do tyłu. Jeszcze dwa strzały i upadli, a do oniemiałego Deckera dotarło, że człowiek po drugiej stronie oldsmobile'a nie był strażnikiem. To był...

- Nic ci nie jest?! - krzyknął Esperanza.

- Nie! Wsiadaj! Prowadzisz!

- Gdzie masz ubranie?

- Nie ma czasu na wyjaśnienia! Wsiadaj i jedź! Słyszac szybko zbliżające się syreny, Decker popędził w stronę krzewu po prawej stronie od schodów.

- Dokąd idziesz?! - krzyknął Esperanza, wrzucając do oldsmobile'a torbę podróżną Deckera i wsuwając się za kierownicę. Decker macał pod gałęziami. Grzebał palcami, żeby znaleźć to, czego szukał. W końcu trafił na malutki nadajnik, który ukrył pod krzakiem w chwili sfingowanego upadku, gdy go prowadzono do domu. Otworzył tylne drzwi oldsmobile'a i wskoczył do środka wrzeszcząc:

- Frank Giordano jest w tym samochodzie, który przed chwilą odjechał! Musimy go dogonić! Zanim Decker zatrzasnął za sobą drzwi, Esperanza zastartował silnik, włączył bieg i wdepnął pedał gazu, zakręcając na podjeździe w stronę bramy frontowej. Brama właśnie się zamykała. Za nią w ciemności niknęły światła cadiiaca. Po lewej stronie coraz głośniejszy slychać było syreny. Przed samochodem malała przestrzeń pomiędzy lewym i prawym skrzydłem bramy.

- Trzymaj się! - wrzasnął Esperanza. Oldsmobile z rykiem silnika wjechał w szczelinę. Lewe skrzydło bramy zarysowało bok samochodu. Prawe uderzyło w drugą stronę auta i przez chwilę Deckerowi zdawało się, że samochód utknie. Jednak kiedy Esperanza jeszcze

mocniej wcisnął gaz, oldsmobile przeleciał przez szczelinę z taką siłą, że dwa skrzydła bramy wygięły się i wyrwały z zawiasów. Decker usłyszał, jak wrota zabrzęczały za nimi na mokrej jezdni. Esperanza szarpnęła kierownicą. Opony poślizgnęły się w kałużę, wzbily wodę, oldsmobile wjechał bokiem na ciemną drogę, wyprostował się i popędził za cadiiakiem.

- Cholernie dobrze! - stwierdził Decker. Trzęsąc się, przypomniał sobie, że Giordano kazał ochroniarzowi włożyć jego ubranie do samochodu. Znalazł je na tylnym siedzeniu.

- To dlatego, że uczyłem się jeździć na górskich drogach - powiedział Esperanza pędząc za cadiiakiem. - Kiedy miałem trzynaście lat. Decker włożył slipy i spodnie; ich wilgoć przeszła go chłodem. Jednocześnie patrzył przez tylną szybę, wypatrując migających świateł samochodów policyjnych. Mimo bliskości syren, noc pozostawała ciemna. Mrok stał się jeszcze ciemniejszy, gdy Esperanza nagle zgasił reflektory oldsmobile'a.

- Nie ma sensu, żeby nasze tylne światła wskazywały policji, dokąd pojechaliśmy - stwierdził. Pół przecznicy przed nimi zaświeciły światła stopu cadiiaca. Frank ostro skręcił w lewo. Kiedy tylko zniknął, za nimi pojawiły się migające koguty. Samochody policyjne z wyciem syren podjechały do posiadłości Giordano.

- Jeszcze nas nie zauważyli, ale zauważą powiedział Decker, w pośpiechu wkładając koszulę. - Zobaczą nasze światła stopu, jak zwolnisz, żeby skręcić za ten róg.

- Kto mówił coś o zwalnianiu? - Esperanza wjechał ślizgiem na skrzyżowanie. Kręcąc wściekle kierownicą, niemal przeokoziółkował na krawężniku, wyprostował wóz i zniknął policjantom z oczu. - Kiedyś trochę się ściagałem. Jak miałem czternaście lat.

- A co robiłeś, jak miałeś piętnaście? Brałeś udział w rajdach połączonych z niszczeniem pojazdów? - Decker sięgnął po buty i skarpetki. - Chryste, nic nie widzę oprócz świateł cadiiaca. Lepiej włącz teraz reflektory. Esperanza o mały włos nie zawadził samochodu zaparkowanego na poboczu.

- Zgoda. - Wysapał. Zabłyśły światła. - To niewiele daje. Jak tu się włącza wycieraczki? Czy to ten przycisk? Nie. A może ten? - Wycieraczki zaczęły pracować. Cadiiac znowu z impetem skręcił w lewo. Esperanza przyspieszył, przyhamował w ostatniej chwili i łukiem minął skrzyżowanie. W połowie zakrętu, przejeżdżając przez kałużę, opony straciły przyczepność na oleistym kawałku jezdni. Odbił się od krawężnika, otarł o latarnię, która urwała prawe lusterko, i wpadł z powrotem na drogę.

- Nie, jak miałem piętnaście lat, kradłem samochody, a nie ściagałem się nimi - wyjaśnił Esperanza.

- Skąd się wzięłaś koło domu Giordano?

- Gdy ten facet powiedział mi przez telefon, że cię nie ma, wiedziałem, że wpadłeś w kłopoty. Sprawdziłem odbiornik, który mi dałeś. Sygnał nadawczy nie zmieniał się, więc doszedłem do wniosku, że ten facet kłamał i wciąż jesteś w domu Giordano. Ale nic nie mogłem zrobić, siedząc w tej kabinie telefonicznej. Podjechałem więc taksówką pod dom. Wtedy usłyszałem w środku strzały.

- Kiedy wyjeżdżaliśmy, nie widziałem na zewnątrz taksówki.

- Kierowcy wydawało się, że jest we mnie coś podejrzanego. Zauważył odbiornik i dopytywał się, czy kogoś śledzę. Jak tylko usłyszał strzały, kazał sobie zapłacić, wysiadać taksówki i pędem odjechał. Jedyna rzecz, jaka przyszła mi do głowy, to przejść przez płot i sprawdzić, co się dzieje.

- I wyjąć pistolet z mojej torby.

- Całe szczęście dla ciebie.

- Mam wobec ciebie dług.

- Nie martw się wymyślę, jak będziesz mógł go spłacić. Powiedz mi, co się działo w domu. Decker nie odpowiedział. Esperanza nie ustępował.

- Jak doszło do strzelaniny?

- Wciąż nie wolno mi zapominać, że jesteś policjantem - odparł Decker. - Nie wiem, czy to najlepszy pomysł wdawać się w szczegóły. Po kolejnym ostrym zakręcie cadiiac wjechał

na opuszczonej głównej ulicy. Pędzili przez deszcz, mijając kilka sklepów w ciemnej dzielnicy handlowej.

- Za chwilę włączy się do ruchu na autostradzie - powiedział Decker.

- Nie dam rady dogonić go wcześniej. - Esperanza próbował przyspieszyć, ale niemal stracił panowanie nad samochodem. - Czy Nick Giordano nie żyje?

- Tak. - Deckerowi wyschły usta.

- Samoobrona?

- Ja to z pewnością tak traktuję.

- No to o co chodzi? Boisz się, że policja pomyśli, że pojechałeś tam z zamiarem zabicia go? A z Santa Fe wyruszyłeś już z gotowym planem sprzątnięcia mafiosa?

- Skoro taka myśl przyszła ci do głowy, to i oni mogą wysnuć podobne wnioski - stwierdził Decker.

- Z pewnością byłby to bezpośredni sposób rozwiązania problemów Diany Scolari.

- Beth Dwyer. Ona się nazywa Beth Dwyer. Staram się ocalić Beth Dwyer. Uważaj. -

Decker wskazał nerwowo na szybko przemieszczający się potok błyszczących świateł. - To jest wjazd na autostradę. Zabłyśły światła stopu cadiiiaca. Frank Giordano zwolnił, próbując wziąć zakręt, który miał go doprowadzić do wjazdu na autostradę. Zahamował zbyt mocno i stracił panowanie nad samochodem. Cadiiiac obrócił się gwałtownie.

- Jezu! - powiedział Esperanza. Oldsmobile pędził w stronę obracającego się cadiiiaca w zastraszającym tempie. - Uderzymy w niego! Esperanza lekko nadepnął hamulec. Nagle w oldsmobile'a uderzył podmuch wiatru i Esperanza stracił panowanie na śliskiej od deszczu nawierzchni. Samochód wpadł w poślizg. Decker miał przed oczami wirujący obraz coraz większego, kręcącego się cadiiiaca, który pojawiał się przez przednią szybę oldsmobile'ajak w błyskach flesza. W końcu zniknął. Musiał zjechać z drogi, pomyślał Decker zdezorientowany. W tej samej chwili oldsmobile przechylił się. Nawierzchnia pod samochodem stała się miękka i błotnista. Trawa! Prawy błotnik uderzył o coś. Decker poczuł wstrząs i usłyszał zgrzyt metalu. Oldsmobile zatrzymał się nagle.

- Nic ci nie jest? - zapytał drżącym głosem Esperanza.

- Nie! Gdzie jest Giordano?

- Widzę tylne światła cadiiiaca! - Cofnął wóz od drzewa, na którym się zatrzymał, i przejechał po skraju błotnistej polny, kierując się w stronę autostrady. Cadiiiac przed nimi wyjechał z rowu i także popędził w stronę autostrady.

- Zabiłeś ojca. - Esperanza oddychał ze świstem. - Jeśli zabijesz też syna, to skończą się problemy Beth Dwyer. Ludzie Giordano przestaną ją ścigać.

- Mówisz, jakbyś nie aprobował moich metod.

- Po prostu czynię obserwacje. Cadiiiac wpadł na autostradę przed nimi, zmuszając inne pojazdy do ustąpienia mu miejsca. Zatrąbiły klaksony.

- Giordano ma w tym samochodzie milion dolarów - powiedział Decker.

- Co?

- To wypłata dla Briana McKittricka. Cena za głowę Beth. Oczekuje, że mu dostarczą te pieniądze za dziewięćdziesiąt minut. Esperanza popędził autostradą za cadiiiakiem.

- A jeśli ich nie dostarczą? Może ją puścić?

- Nie. McKittrick jest na tyle szalony, że zabije ją ze złości - stwierdził Decker. - Musi dostać te pieniądze. Może będę mógł je wykorzystać, żeby McKittrick doprowadził mnie do Beth. W obecnej sytuacji Frank najwyraźniej nie ma ochoty dostarczyć mu forsy. Jedzie na południe. Miejsce przekazania okupu znajduje się kilka mil na północ stąd. Mimo ulewy Esperanza zaryzykował przyspieszenie do siedemdziesięciu mil na godzinę, zjechał na lewy pas i popędził do przodu, zbliżając się do cadiiiaca. Giordano gnał prawym pasem. Dzielilo ich pięć samochodów. Deszcz walił w szyby. Wycieraczki ledwo nadążały. Giordano nie mógł poruszać się szybciej, gdyż drogę blokował samochód przed nim, zjechał więc na lewy pas i przyspieszył. Detektyw klnąc wpasował się w sznur samochodów na prawym pasie, teraz

dzieliły ich od Giordano jedynie cztery samochody. Nagle Giordano zwolnił. Po chwili cadiiiac zrównał się z oldsmobilem. W cadiiiacu było opuszczone okno od strony pasażera. Giordano uniósł prawą rękę.

- Będzie strzelał! - wrzasnął Decker. Esperanza lekko przyhamował. Gdy Giordano strzelił, oldsmobile cofnął się na tyle, że pocisk przeleciał przed szybą. Giordano zwolnił jeszcze bardziej, ustawiając się do kolejnego strzału. Decker schylił się, żeby schwycić pistolet, który wrzucił do samochodu, gdy wyjeżdżali z domu Giordano. Pocisk wybił dziurę w oknie od strony kierowcy, przeleciał Deckerowi koło głowy i rozbił szybę z tyłu po prawej stronie. Z przodu kawałki szyby rozprysły się i posypały na twarz Esperanzy.

- Nic nie widzę! - krzyknął Esperanza. oldsmobile zachybotał się. Giordano znowu celował. Decker wystrzelił. Huk wystrzału w zamkniętej przestrzeni był tak obezwładniający, jakby ktoś dłońmi uderzył Deckera w uszy. Pocisk wybił dziurę w szybie, przeleciał przez otwarte okno cadiiiaca i odstrzelił następny kawałek jego przedniej szyby. Giordano skulił się. Nie mógł strzelać. Musiał użyć obydwu rąk, żeby opanować samochód. oldsmobilem znowu rzuciło. Esperanza usiłował coś zobaczyć. Decker, zdesperowany, przechylił się na przednim siedzeniu i złapał kierownicę. Już mieli uderzyć w samochód przed nimi, kiedy Decker szarpnął ostro w lewo, wjechał na lewy pas i uderzył w cadiiiaca Giordano.

- Trzymaj nogę na gazie! krzyknął do Esperanzy.

- Co robisz? - Oślepiony Esperanza wyjmował sobie z twarzy wokół oczu kawałki szkła. Przechylony nad przednim siedzeniem Decker bardziej zdecydowanie skręcił w stronę cadiiiaca i uderzył w niego. Wydawało mu się, że usłyszał krzyk Giordano. Za trzecim razem, gdy Decker uderzył w cadiiiaca, samochód Giordano wyleciał z drogi. Giordano, przerażony, odbił na pas trawy pośrodku autostrady, zjechał po śliskim obrzeżu i potoczył się pod górę, w stronę zbliżających się świateł z przeciwnej strony. Decker ruszył, niemal równoległe z cadiiiakiem. Poczuł wstrząs, gdy oldsmobile zjechał z autostrady. A zorientowawszy się, że na przemoczonyj deszczem trawie traci panowanie nad kierownicą, skulił się w sobie. Deckerowi żołądek podjechał do gardła, gdy oldsmobile poderwał się do góry i prostopadle przeciął drogę światłom pędzącym w ich stronę.

- Hamuj! - wrzasnął do Esperanzy. - Mocno! Zanim zadziałały hamulce, oldsmobile przeciął dwa pasy ruchu. Koła poślizgnęły się, piszcząc na mokrym asfalcie, wyrzucając z całą mocą żwir. Samochody przemknęły obok, wyjąc klaksonami. Giordano przed nimi wpadł w poślizg boczny, połamiał krzaki, przeleciał przez zagajnik i zniknął na zmytym deszczem zbocz. Decker szarpnął kierownicą w szaleńczym wysiłku, żeby nie zjechać prosto w dół zbocza. Nie miał pojęcia, jak stromy jest ten stok ani co znajduje się na dole. Wiedział tylko, że musi zmniejszyć prędkość.

- Nie puszczaj nogi z hamulca! - krzyknął do Esperanzy. oldsmobile ześlizgnął się bliżej urwiska. Pochylając się, Decker jeszcze bardziej skręcił kierownicę. Posypał się żwir. Decker przestraszył się, że oldsmobile może się wywrócić na dach albo uderzy czołowo w drzewo. Samochód obrócił się tyłem do zbocza, po którym zjechał cadiiiac, i zatrzymał się raptownie. Decker uderzył żebrami o siedzenie, nad którym się pochylał.

- Chryste! jęknął Decker. - Nic ci nie jest?

- Chyba nie. - Esperanza wydłubywał resztki szkła z zakrwawionej twarzy. - Zaczynam widzieć. Na szczęście nie pocięło mi oczu.

- Ruszam za nim! - Decker złapał pistolet i wyskoczył z oldsmobile'a. Ogarnął go zimny, przesywający deszcz. Ledwo dotarło do niego, że za nim na autostradzie nieruchomieją światła i kierowca wysiada z jakiegoś samochodu, żeby sprawdzić, co to za straszny wypadek. Zignorował to i wpatrywał się w ciemny, zalesiony stok. Światła cadiiiaca świeciły do góry, jakby samochód przekręcił się, zjeżdżając w dół, i opierał teraz na tylnym zderzaku. Decker nie ośmielił się schodzić po prostej i pokazać w światłach cadiiiaca. Wystawiłby się w ten sposób na cel. Pospieszył na prawo, skrył się w mroku złanych deszczem drzew i zszedł

ostrożnie po stromym, śliskim zboczu. Po przebyciu jakichś trzydziestu stóp pokonał stromiznę, skrzył w lewo i z pistoletem w dłoni zakradł się w stronę cadiiaca.

Trzasnęły gałęzie. Deszcz padający z szumem przez gęste listowie drzew zagłuszył ten dźwięk. Decker wsłuchiwał się intensywnie. Tam! Znowu trzasnęła gałąź. Obok samochodu. Przykucnął, starając się zlać z tłem poszycia. Pomiędzy drzewami przesuwiał się jakiś cień. Mężczyzna wszedł w pole widzenia, częściowo oświetlony światłami cadiiaca. Jęcząc trzymał się za brzuch i potykał. Pochylony do przodu stracił równowagę i upadł na prawo od Deckera, poza zasięgiem świateł samochodu. Postać zniknęła w mroku lasu, ale Decker zdążył wcześniej zauważyć, że mężczyzna nie trzymał się za brzuch, ale ścisnął walizkę. Decker przeczołgał się za nim pomiędzy drzewami. Mimo że nie miał dużo czasu, nie działał w pośpiechu. Nie mógł sobie pozwolić na popełnianie błędów. Nagle usłyszał głosy z tyłu, na szczycie zbocza. Zerknął w tamtą stronę i zobaczył światło kilku latarek skierowanych w stronę cadiiaca. Jakiś samochód zatrzymał się, gdy zjeżdżali po zboczu. Potem musiało nadjechać ich więcej. Deckerowi pozostawało się jedynie modlić, żeby żaden z nich nie był samochodem policyjnym. Wsunął się głębiej w las i podążył drogą, którą, jak sądził, obrał Giordano. Z tyłu ludzie niezgrabnie schodzili po zboczu, przedzierając się przez krzaki, gnąc gałęzie, rozmawiając głośno. Zamieszanie, jakie robili, przeszkadzało Deckerowi zlokalizować Giordano. Musiał unikać światła latarek. Schylił się, starał się wtopić w poszycie. Szukał. Pieniądze, pomyślał. Nie dotrę do Beth, jeśli nie będę miał tych pieniędzy. Postawił w ciemności kolejny krok i nagle poczuł pustkę pod butem. Znowu zbocze. Stracił równowagę, zawisł na jakimś drzewie, po czym z wysiłkiem wrócił na śliską skałę. Po szyi spływał mu deszcz, a zimne ubranie przykleiło się do ciała. Oddychał głęboko, starając się uspokoić. Nie mógł sprawdzić, jak głęboko opada urwisko, ale wiedział, że jest bardzo strome. Jeśli Giordano spadł, nie da się zejść na dół i odszukać go w ciemności. Z tyłu, koło cadiiaca, latarki oświetlały drzewa. Pewnie się rozproszą i zaczną szukać kierowcy, pomyślał Decker. Jeśli Giordano nie wpadł w przepaść i jeszcze żyje, będzie się starał odejść jak najdalej od świateł latarek. Ale którą? Decker postanowił pójść na prawo. Gdyby nie sięgająca piersi gałąź, pod którą Decker musiał się schylić, Giordano trafiłby go kamieniem w czaszkę, a nie w zgięte plecy. Ból uderzenia był równie silny jak zaskoczenie. Oszołomiony Decker upadł na ziemię, upuszczając pistolet. Giordano, jak oszalały, zaatakował z ciemności. Decker wyczuł szybki ruch powietrza i potoczył się, gdy Giordano ponownie próbował go uderzyć trzymanym w ręce kamieniem. Napastnik chybił i kamień ze stłumionym łoskotem uderzył w ziemię. Decker kopnął i zwałił Giordano z nóg. Tamten upadł na niego całym ciężarem ciała, aż Deckerowi zapało dech w piersiach. Decker, wjąc się, wyczuł obok siebie skraj urwiska. Gdy Giordano uniósł kamień, żeby uderzyć go w twarz, Decker złapał go za nadgarstek, próbując powstrzymać cios. W tym samym momencie poczuł, jak ziemia się pod nim zapada. Obaj nagle znaleźli się w powietrzu, spadali w ciemność, uderzyli w zbocze, potoczyli się, znów zaczęli spadać. Zatrzymali się z nagłym wstrząsem. Deckerowi zabrakło tchu, zebrał się jednak w sobie i uderzył Giordano, który leżał obok niego, ale w ciemności cios ześlizgnął się po ramieniu. Giordano wciąż trzymał kamień i mimo że mrok przesłaniał mu cel, zdołał zawadzić o żebra Deckera. Ten nieoczekiwany ból rozwścieczył go. Wstał i wymierzył cios kantem dłoni, ale Giordano uchylił się do tyłu, unikając uderzenia i rzucił kamieniem. Decker poczuł pęd powietrza, gdy kamień niemal musnął jego twarz. Chcąc zablokować następny cios, popchnął Giordano do tyłu i usłyszał, jak przeciwnik jęknął, gdy o coś uderzyli. Giordano zeszytywniał i rozłożył ręce. Drżał. Oddychał tak, jakby powietrze uciekało z przebitej dętki. Ramiona mu opadły, ciało znieruchomiało i słychać było już tylko szum deszczu. Decker nie rozumiał, co się dzieje. Z trudem łapiąc oddech, zebrał siły, żeby walczyć dalej. Powoli dotarło do niego, że Giordano nie żyje. Ciało jednak w jakiś sposób nadal stało.

- Mówiłem ci, że coś słyszałem! - krzyknął ktoś. Światło latarek przebiło się przez spowite ulewą drzewa. Na brzegu urwiska, z którego Decker spadł, słychać było odgłos kroków. Nie mogą go zobaczyć! - pomyślał Decker. Pospieszył do miejsca, gdzie Giordano jakimś cudem nadal stał pionowo. Pociągnął go, poczuł opór i niemal go zemdlilo, gdy pojął, iż Giordano nadział się na ostrą pozostałość ułamanej gałęzi. Głosy i kroki przybliżyły się szybko. Muszę go ukryć, pomyślał Decker. Opuścił bezwładne ciało na ziemię i właśnie miał je wciągnąć głębiej, pomiędzy mroczne drzewa, kiedy sparaliżowało go światło latarki, padające z góry urwiska. Zaskoczyli Deckera całkowicie.

- Hej! - wrzasnął jakiś mężczyzna.

- Znalazłem go! - krzyknął Decker. - Wydawało mi się, że słyszę tu jakiś hałas! Udało mi się zejść! Znalazłem go.

- A niech mnie...! - krzyknął drugi, celując latarką. Zobacz, ile tu krwi!

- Wyczuwasz puls? Żyje? - krzyknął ktoś inny.

- Nie wiem! - odwrzasnął Decker. Blask latarki raził go w oczy. - Wydaje mi się, że słyszałem, jak spadał. Upadek chyba go zabił.

- Ale jest jakaś szansa, że żyje! Musimy wezwać karetkę!

- Może ma złamaną szyję! Nie powinniśmy go ruszać! - Deszcz ściekał Deckerowi po twarzy. - Czy ktoś tam na górze jest lekarzem?

- Potrzebna jest karetka! Kilku mężczyzn z trudem schodziło po błotnistym zboczu, omijając drzewa.

- Po co on laź w tę stronę? - Jakiś mężczyzna zsunął się na dół. - Nie widział tam autostrady?

- Musiał uderzyć się w samochodzie w głowę! - stwierdził Decker. Pewnie był w szoku!

- Jezu, spójrz na niego. - Jeden z mężczyzn odwrócił się.

- Chyba w coś uderzył, jak spadał!

- A co się stało z kobietą, która z nim była? - spytał Decker.

- Kobieta?

- Słyszałem jej głos! - powiedział Decker. - Jakby była ranna! Gdzie ona jest?

- Ludzie! - wrzasnął mężczyzna. - Szukać dalej! Jeszcze kobieta! Grupa rozproszyła się znowu. Świecąc latarkami, przeszukiwali szybko teren. Decker wykorzystał zamieszanie i wycofał się w ciemność. Wdrapał się po zboczu, ślizgając w błocie, chwytając się korzeni drzew, opierając stopy na wystających skałach. Grupa poszukiwawcza zaraz zaczęła się zastanawiać, gdzie się podział, pomyślał. Muszę uniknąć, zanim zorientują się, że nie jestem członkiem ich ekipy. Ale nie mogę odjechać bez teczki Giordano. Nie miał jej ze sobą, kiedy spadał. Gdzie ona się podziała? Jeśli ktoś z szukających położy łapę na pieniądzech, nie mam szans na ocalenie Beth. Z łomoczącym sercem Decker doszedł na szczyt i zauważył obok rozbitego cadillaca jeszcze więcej świecących latarek. Na razie skrywały go krzaki, ale poszukujący wkrótce mogli zacząć przeczesywać ten rejon. Ukucnął, oddychając ciężko i próbował zebrać myśli. Gdzie Giordano mnie zaatakował? Czy to było bardziej na prawo, czy na lewo? Decker wychylił się, żeby spojrzeć na ciało Giordano, ledwo widoczne w ciemności. Odtworzył przebieg szarpaniny u podnóża zbocza. Obliczył, gdzie spadli. Żeby tam dotrzeć, musieli zacząć spadać na lewo od Deckera. Giordano musiał zaatakować z... Decker przedarł się na czworakach przez zarośla. Jednocześnie latarki zaczęły przesuwac się w tym samym kierunku. Nie! - pomyślał Decker. Nigdy nie czuł tak silnego przypływu adrenaliny. Serce chyba też nigdy nie biło mu tak szybko. Poczuł ucisk za uszami. Teczka. Muszę znaleźć teczkę. Bez teczki nie mogę ocalić Beth. Niemal przeczołgał się koło niej, nie zdając sobie sprawy, czego dotknął. Odetchnął z ulgą. Chwycił teczkę. W tym samym momencie natrafił stopą na twardy przedmiot leżący na skraju urwiska. Pistolet. Upuścił go, gdy Giordano rzucił kamieniem. Włożył pistolet za kurtkę i nieśmiało pomyślał, że może się uda. Wciąż jeszcze miał szansę na uratowanie Beth. Ale światła latarek zbliżały się coraz bardziej. A jeśli któraś z nich należy do policjanta? Ubranie Deckera było umazane błotem. Popęzł dalej

przez zarośla, starając się nie robić hałasu. Doszedł do miejsca gdzie, jak mu się wydawało, zaczął schodzić w stronę drzew. Spojrzał za siebie i poczekał, aż latarki przesuną się w inny rejon. Przy pierwszej sposobności szybko wdrapał się po zalesionym zboczu i zatrzymał na skraju autostrady. Samochody pędziły przez deszcz, szumiały opony, błyskały światła. Na poboczu zatrzymało się kilka aut. Większość stała pusta, ich właściciele prawdopodobnie poszli do lasu w poszukiwaniu ofiar wypadku. Jeden z samochodów okazał się wozem policyjnym, jednak on też był pusty. Pewnie nie na długo. Obok samochodu policyjnego Decker zobaczył oldsmobile'a. Esperanza siedział zgarbiony za kierownicą. Nawet z daleka widać było, że ma pokrwawioną twarz. Nie mogę dłużej czekać, pomyślał Decker. Szybko wyszedł z za drzew i spieszonym krokiem ruszył wzdłuż autostrady, starając się skryć teczkę przed kimś, kto ewentualnie mógł go obserwować z lasu. Gdy Decker wsiadł do oldsmobile'a, Esperanza wyprostował się gwałtownie.

- Widzisz na tyle dobrze, żeby prowadzić?
- Tak.
- Jedź. Esperanza uruchomił silnik, wrzucił bieg i szybko włączyli się do ruchu.
- Wyglądasz okropnie.
- Nie stroiłem się specjalnie na tę okazję. - Decker patrzył za siebie, żeby przekonać się, czy nikt za nimi nie jedzie. Wydawało się, że nie.
- Nie byłem pewien kiedy, i czy w ogóle, wrócisz - powiedział Esperanza.
- A ja nie byłem pewien, czy poczekaasz z samochodem. Dobrze zrobiłeś.
- Całkiem nieźle daję sobie radę z ucieczką przed pościgami. Właściwie to kiedyś się tym zajmowałem. Decker spojrzał na niego.
- Jak miałem szesnaście lat - dodał Esperanza. - Masz teczkę"?
- Tak.
- A co z Frankiem Giordano? Decker nie odpowiedział.
- A więc Beth Dwyer ma jeden kłopot mniej?
- To była samoobrona - odparł Decker.
- Nic innego w ogóle nie przyszłoby mi na myśl.
- Potrzebna mi była teczka.
- Milion dolarów. Z takimi pieniędzmi niektórzy w ogóle nie myśleliby, żeby próbować kogoś ocalić.
- Bez Beth moje życie nie ma sensu.

* * *

Rozdział dziesiąty

- Jezu, Decker, to szaleństwo. Jeśli nie będziesz ostrożny, to się w końcu zabijesz - wymamrotał Esperanza spiętym głosem, cichszym od szeptu. - Albo McKittrick cię w tym wyręczy. - Od godziny dyskutowali na temat zamiarów Deckera i Decker nie pozostawił Esperanzie cienia wątpliwości co do tego, jak bardzo jest zdeterminowany. McKittrick oczekiwał, że przekazanie pieniędzy odbędzie się w określony przez niego sposób, więc, na Boga, w taki właśnie sposób zostaną mu przekazane. Decker usłyszał, że Esperanza pochyła się w stronę tylnego siedzenia oldsmobile'a. Detektyw złapał go za ramiona i wyciągnął na deszcz. Wcześniej Decker przykazał Esperanzie, żeby nie próbował robić tego delikatnie, żeby obchodził się z nim tak brutalnie, jak gangster ze zwłokami człowieka, którego przed chwilą zabił. Esperanza zastosował się do tych wskazań i nie złagodził upadku. Decker poczuł nieznośny ból, ale nie okazał tego. Pozostał bezwładny, gdy Esperanza ciągnął go przez kałużę. Mimo że Decker miał zamknięte oczy, wyobrażał sobie otoczenie: poobijany oldsmobile zaparkowany obok kiosku spożywczego przy punkcie widokowym. Tuż przed północą, w deszczu, istniało niewielkie prawdopodobieństwo, żeby jakiś kierowca zatrzymał się w celu podziwiania widoków z Palisades. Przy dobrej pogodzie panorama z punktu widokowego obejmowała światła statków na rzece Hudson i rozległą poświatę Hastings i Yonkers po drugiej stronie rzeki, ale podczas złej pogody, jak dzisiejsza, dookoła panował jedynie mrok. Biorąc pod uwagę szansę, że jakiś kierowca zatrzyma się tu, aby odpocząć przez kilka minut, Esperanza zaparkował oldsmobile'a bokiem do wjazdu, uniemożliwiając komukolwiek na autostradzie obserwację tej scenki. Wyglądało to, jakby ktoś ciągnął trupa za kiosk spożywczy. Decker usłyszał jęk Esperanzę. Poczuł uderzenie, gdy detektyw wrzucił go do błotnistej kałuży. Potoczył się bezwładnie i zatrzymał w wodzie, na lewym boku. Usłyszał, jak Esperanza biegnie przez kałużę do samochodu, po czym spiesznie wraca. Zobaczył, że detektyw postawił teczkę przy ścianie budynku. Po chwili Esperanza zniknęła. Moment później Decker usłyszał odgłos zamykanych drzwi, warkot silnika, wodę tryskającą spod opon i Esperanza odjechała. Odgłos silnika stawał się coraz słabszy. Potem Decker słyszał już tylko daleki szum pojazdów na autostradzie i stukanie deszczu w foliowy worek, który miał zawiązany na głowie.

- Giordano umówił się z McKittrickiem, że dostanie pieniądze i moje zwłoki - upierał się wcześniej Decker, gdy jeździł nerwowo wraz z Esperanzą od miasteczka do miasteczka, martwiąc się, że czas ucieka. Rozpaczliwie usiłowali znaleźć sklep nocny. Zaczęli poszukiwania o 22.30. Wkrótce zrobiła się 23.00, potem 23.15. - Musimy tam być przed północą. - Dwa razy znaleźli otwarty sklep, ale nie było w nim wszystkich artykułów potrzebnych Deckerowi. O 23.30 w końcu dostali wszystko, co chcieli. Esperanza zatrzymał samochód na opustoszałej wiejskiej drodze i zrobił, co należało.

- Dlaczego nie mogę zostawić pieniędzy z notką, niby od Giordano, mówiącą, że cię nie zabije, dopóki McKittrick nie spełni obietnicy? - Esperanza związał sznurkiem na bieliznę kostki Deckera.

- Bo nie chcę, żeby cokolwiek obudziło jego podejrzania. Zrób tak, żeby węzły były dobrze widoczne. Tam, za budynkiem, w ciemności nie chcę, żeby miał wątpliwości, że jestem związany.

- Ale w ten sposób, jeśli poweźmie jakieś podejrzania, nie będziesz miał szans się bronić. - Esperanza związał Deckerowi ręce z tyłu.

- Dlatego mam nadzieję, że go to przekona. Nie będzie przypuszczał, że dobrowolnie zdałem się całkowicie na jego łaskę i niełaskę.

- Czy ten węzeł cię nie uwiera?

- To nie ma znaczenia, czy uwiera. Ma wyglądać, jakby to było naprawdę, jakbym był na pewno nieżywy i zupełnie bym nie reagował na sposób, w jaki zostałem związany. On musi uwierzyć, że jestem martwy.

- Jak się do ciebie dorwie, naprawdę możesz stać się martwy. Decker, ten foliowy worek mnie przeraża jak diabli.

- To dobrze. Może jego też przerazi. Liczę na to, że to będzie jak taki końcowy retusz. Pomaluj mnie. Pospiesz się. Decker potrzebował czegoś, co by udawało krew, i wykorzystał materiały, o których patolog kiedyś powiedział mu, że są najłatwiejszymi do zdobycia artykułami imitującymi krew - bezbarwny syrop kukurydziany i czerwony barwnik spożywczy.

- Zrób to tak, jakby bicie mnie naprawdę sprawiało im przyjemność nalegał Decker.

- Rozkwasili ci usta. Zmiażdżyli szczękę. - Esperanza nakładał mieszanke.

- Pospiesz się. Mamy tylko piętnaście minut, żeby dojechać na miejsce przekazania okupu. Esperanza szybko zawiązał worek wokół szyi Deckera i wymamrotał coś po hiszpańsku. Gdy Decker odetchnął, worek przylgnął mu do głowy, przywarł do twarzy, przykleił się do skóry, wdarł się do ust i nozdrzy. Esperanza natychmiast przebił małą dziurkę w miejscu, gdzie Decker miał usta, i szybko wetknął w nią odcięty kawałek słomki do napoi. Decker ścisnął ją między zębami. Pozwoliła mu oddychać bez pozbywania się próżni, dzięki której foliowy worek przylegał do twarzy.

- Boże, Decker, czy to działa? Masz dosyć powietrza? Decker zdołał skinać lekko głową.

- Ta torba tak ci przylega do głowy, że naprawdę wyglądasz jak trup. To dobrze, pomyślał Decker, gdy leżał w błotnistej kałuży, w ciemności za kioskiem spożywczym. Wsłuchiwał się w deszcz stukający w plastikowy worek. Jeśli będzie oddychał płytko, powoli i spokojnie, niewielka ilość powietrza, jaka napływała przez słomkę, wystarczy mu, żeby utrzymać się przy życiu. Ale przy każdym lekkim wdechu przerażenie próbowało złamać zdecydowane postanowienie Deckera. Z każdym niezauważalnym wydechem serce chciało bić szybciej, domagając się więcej tlenu. Sznurek, którym worek był przymocowany do szyi, wrzynał się w skórę - tego Decker też się domagał. Absolutnie wszystko musiało wyglądać przekonująco. Nawet skóra miała sprawiać wrażenie lodowatej jak u nieboszczyka, który traci ciepłotę ciała z pomocą przyszedł mu zimny deszcz. Gdyby McKittrick choć przez chwilę zwątpił, że Decker jest trupem, bez wahania strzeliłby mu w głowę, żeby załatwić sprawę do końca. Istniało niebezpieczeństwo, że McKittrick i tak do niego strzeli, ale Decker liczył na to, że groteskowy wygląd jego twarzy sprawi, iż McKittrick dojdzie do wniosku, że dalsza przemoc jest niepotrzebna. Gdyby McKittrick chciał wyczuć puls na nadgarstku Deckera, nie znalazłby go. Ciasne sznurki znacznie obniżyły przepływ krwi. Mógłby spróbować znaleźć puls na szyi Deckera, ale żeby to zrobić, musiałyby odwiązać sznurek, który przytrzymywał foliowy worek - czasochłonna i nieprzyjemna czynność. Pozostawało jeszcze przyłożenie dłoni do żeber nad sercem Deckera, ale było mało prawdopodobne, żeby McKittrick to zrobił, ponieważ Decker leżał na lewym boku - żeby pomacać żebra nad sercem, McKittrick musiałby przewrócić ciało i przyłożyć dłoń do błota, które przylgnęło Deckerowi do ubrania. Wciąż było to bardzo ryzykowne.

- Wariactwo - powtarzał mu bez przerwy Esperanza. - Zabijesz się. Ale jaki miał wybór? Jeśli przekazanie okupu nie przebiegnie dokładnie tak, jak McKittrick tego oczekiwał, jeśli nie będzie tam, zgodnie z umową, ciała Deckera, McKittrick może stać się na tyle podejrzliwy, że nie odbierze pieniędzy, obawiając się, że teczka to pułapka. A na pieniądzach zasadał się cały plan Deckera. Na pieniądzach i nadajniku, który Decker w nich ukrył. Gdyby McKittrick nie zabrał pieniędzy, Decker nie mógłby wytropić miejsca, w którym była przetrzymywana Beth. Decker uważał, że nie ma wyboru. McKittrick musi znaleźć jego zwłoki.

- Tak bardzo kochasz Beth? - spytał Esperanza, zanim owinał głowę Deckera foliowym workiem. - Żeby aż tak desperacko ryzykować dla niej życie?

- Poszedłbym za nią do piekła.

- Żeby przekonać się, jakie żywi wobec ciebie uczucia? - Esperanza spojrzał na niego dziwnie. - Tu nie chodzi o miłość. Tu chodzi o dumę.

- Raczej o nadzieję. Jeśli nie mogę zaufać miłości, nic nie ma znaczenia. Wsadź mi słomkę do ust. Zawiąż worek.

- Decker, jesteś najbardziej niezwykłym człowiekiem, jakiego znam.

- Nie. Jestem głupcem. Decker leżał w kałuży, oddychał delikatnie i walczył z przerażeniem oraz pokusą, aby przemyśleć to posunięcie jeszcze raz. Płuca domagały się więcej powietrza. Decker rozmyślał: Może był inny sposób? Czy to możliwe, że zależy mi jedynie na tym, aby pokazać Beth, na co potrafię się zdobyć, żeby jej udowodnić, jak bardzo ją kocham? Koniecznie musi zmienić tok myśli. Przypomniał sobie ich pierwsze spotkanie, dwa miesiące temu w biurze pośrednictwa handlu nieruchomości. Czy to mogło być tak niedawno? Zdawało mu się, że ta znajomość trwała wiecznie. Kiedy Beth odwróciła się do niego, jego serce zmieniło rytm. Nigdy wcześniej nie zauroczył go nikt tak szybko. Znowu zobaczył ją w wyobraźni. W jej bujnych kasztanowych włosach odbijało się światło, opalona skóra lśniła zdrowo. Widział wysportowaną sylwetkę Beth z wyraźnie zarysowanymi piersiami i pośladkami. Był oczarowany jej kształtnym podbródkiem, ostrymi kośćmi policzkowymi, idealnym czołem. Wyobraził sobie, że zbliża się do niej, i nagle stanął mu przed oczami wieczór, kiedy kochali się po raz pierwszy. Jej szaroniebieskie oczy i zmysłowe usta tak blisko, że ich obraz aż się rozmywał. Całował jej szyję, przesuwając językiem po skórze, smakował sól, słońce i jakiś pierwotny aromat. Czuł jej zapach. Gdy w nią wszedł, odniósł wrażenie, jakby przez całe życie był tylko połówką człowieka. Teraz stał się całością, nie tylko fizycznie, ale również emocjonalnie, duchowo. Przepęniała go rozkosz. W końcu miał cel - zbudować z Beth wspólne życie. Dzielić się z nią i jednoczyć zarazem. Nagle jego zmysły wróciły do rzeczywistości. Oprócz odległego szumu samochodów i stukotu deszczu usłyszał jakieś dźwięki dochodzące z urwiska z tyłu. Mimo że przez foliowy worek gorzej słyszał, niebezpieczeństwo wyostriło mu zmysły. Usłyszał czyjś zmęczony oddech, kroki ślizgające się na mokrych skałach i trzask gałęzi. Boże! Oczekiwał, że z autostrady zjedzie samochód i zatrzyma się w tej części punktu widokowego. Ale McKittrick był tu przez cały czas, za barierką; ukrywał się na zboczu. Na pewno widział, jak Esperanza wciągał mnie za kiosk, pomyślał Decker. Na pewno widział, jak mnie rzucił do kałuży, zostawił teczkę i odjechał. Gdyby Esperanza odezwał się chociaż jednym słowem, gdyby spróbował złagodzić mój upadek, McKittrick natychmiast zorientowałby się, że to zasadzka. Zastrzeliliby nas. Decker zdrzął. Zrozumiał, jak blisko otarł się o śmierć. Trząsł się też z zimna i natychmiast skoncentrował się, żeby zapanować nad tym odruchem. Nie ośmielił się poruszyć. Musiał wyglądać jak nieboszczyk. Dawniej, gdy miał wziąć udział w niebezpiecznej misji, dla uspokojenia stosował medytacje. Teraz znowu odwołał się do nich. Zapadł w siebie pozbywając się emocji, strachu, tęsknoty, odczuć, potrzeb. Nie mógł jednak przestać sobie wyobrażać, jak McKittrick zerka znad zalanego deszczem urwiska i obserwuje ciemność. McKittrick na pewno jest zdenerwowany, przemoczony, zmarznięty, zniecierpliwiony. Chce jak najszybciej załatwić sprawę i uciec. Na pewno ma broń i przy najmniejszej prowokacji jest gotów strzelać. Może ma latarkę. Może ją zapali i skieruje na sznurki na nogach i rękach Deckera. Jeśli tak robi, na pewno dłużej przytrzyma snop światła na foliowym worku, okrywającym głowę Deckera. Na mokrym żwirze rozległy się kroki, jakby McKittrick przeszedł przez barierkę. Decker wiedział, że to właśnie jest chwila, kiedy McKittrick może strzelić, żeby nabrać pewności, że jego przeciwnik naprawdę nie żyje. W tym samym momencie Decker wstrzymał oddech. Płuca od razu zaczęły domagać się więcej powietrza. W piersiach zaczął narastać ucisk. Spragnione tlenu mięśnie bolały z narastającą siłą. Usłyszał, że kroki zatrzymały się obok niego. Jakiś but kopnął go w odkryte ramię i przewrócił na plecy. Był na to przygotowany i nie zareagował. Przez zamknięte powieki był w stanie dostrzec słumiony blask latarki. McKittrick przyglądał się plastikowemu workowi na twarzy Deckera. Decker zdążył przesunąć kawałek słomki do kącika ust i wciągnąć nieznacznie powietrze, tak że worek przyssał się jeszcze bardziej do skóry. Poczul zawrót głowy. Rozpaczliwie pragnął oddechu, wyobraził sobie, że całuje Beth. Zawirowało mu w

głowie i poczuł, jak Beth go pochłania. McKittrick sieknął, pewnie z zadowolenia. Nagle zgasił latarkę. Decker miał wrażenie, że płuca mu eksplodują. Usłyszał szybkie kroki rozbryzgujące wodę. McKittrick prawdopodobnie pospieszył w stronę teczki. Nagle Deckera zaniepokoiły inne odgłosy - stuknięcia, szmery. Co to za dźwięki? Co on tam robi? Nagle zrozumiał. McKittrick przekładał pieniądze do innego pojemnika, podejrzewając, że Giordano mógł zainstalować w teczce nadajnik. Dobre posunięcie, ale Decker je przewidział. Nadajnik nie był przyczepiony do teczki. Decker wyciął nożem środek jednego z plików banknotów, włożył nadajnik do powstałego w ten sposób otworu i ponownie owinał plik gumką tak, że ten zwitek pieniędzy niczym się nie różnił od pozostałych. Decker znowu usłyszał sieknięcie McKittricka, tym razem spowodowane wysiłkiem. Coś poleciało w powietrzu i stoczyło się po zboczu. Teczka, domyślił się Decker. McKittrick ją wyrzucił. Nie chciał pozostawiać żadnych śladów, że teren ten posłużył jako miejsce przekazania okupu. Ale skoro wyrzucił teczkę... Chryste! Ze mną zrobi to samo. Decker z trudem powstrzymał się, by nie wpaść w panikę. McKittrick złapał go za ramiona, pociągnął gwałtownie do tyłu, poderwał brutalnie i przerzucił przez barierkę. Nie! - krzyknął w myślach Decker. Przez następną chwilę znalazł się w stanie nieważkości. Uderzył o coś ciałem. Odbił się i znowu ten stan nieważkości i kolejne uderzenie. Nie był w stanie opanować odruchu i jęknął z bólu. Czy McKittrick go usłyszał? Przewrócił się, potoczył, znów o coś rąbnął i pomyślał, że teraz zacznie swój długi, śmiertelny lot do rzeki Hudson. Nagle zatrzymał się, boleśnie waląc o coś głową. Poczul w worku jakąś ciecz. Krwawie! Ciepły, lepki płyn lał się z rozcięcia na czole i zaczynał napełniać foliowy worek. Nie! Deckera przestało obchodzić, czy McKittrick zauważy, że „trup” się porusza. Nie miał wyboru. Musi oddychać. Plan był taki, że McKittrick weźmie pieniądze, zostawi Deckera i szybko odjedzie. W tym momencie Decker wsadzi kawałek słomki z powrotem do dziurki w worku i będzie przez nią oddychał, dopóki Esperanza - zaalarmowany ruchem wskazówki na odbiorniku, że pieniądze zostały zabrane - przyjedzie i oswobodzi go. Ale Decker nigdy nie pomyślał, że McKittrickowi może przyjść do głowy, żeby pozbyć się ciała. Gdyby Decker wpadł na tę przerażającą myśl, nigdy nie przedsięwzięłby takiego planu. Umrę. Sznurek, który przytrzymywał foliowy worek, wrzynał mu się w skórę i dusił go. Desperacko pragnąc powietrza, chciał wsunąć kawałek słomki znowu do dziurki w worku... ale nie mógł znaleźć otworu. Nie był w stanie dłużej kontrolować ciała. Gwałtownie wypuścił powietrze z płuc, nadymając torbę i, z jednakową siłą, zupełnie bezwolnie, wziął wdech. Torba wdarła mu się do nosa i ust. Jak żywy organizm przykleiła się mocno do pokrwawionej i wymazanej słodkim syropem skóry. Esperanza nigdy nie zdołał tu znaleźć na czas! Miotając się, Decker przewrócił się w deszczu na brzuch i potarł twarzą o podłoże. Szukał czegoś ostrego, jakiejś gałęzi, chropowatego wyłomu skały, czegokolwiek o co mógłby rozedrzeć foliowy worek. Podłoże było mokre i gładkie. Uderzył w coś głową - w skałę - zignorował ból i nadal nie dawał za wygraną, ale czuł, jakby się poruszał w zwolnionym tempie. Krew, która nieprzerwanie zalewała mu twarz i napełniała foliowy worek, sprawiała, że miał wrażenie, jakby tonął. Zdawał sobie sprawę, że poruszając się tak gwałtownie może zlecieć w przepaść. Co to miało za znaczenie? I tak był zgubiony, jeśli nie... Kiedy Decker już tracił świadomość, torba foliowa zahaczyła o jakiś wystający przedmiot. Słabo szarpnął głową w lewo, poczuł, jak worek rozdziera się, i zebrał wszystkie siły, żeby odwrócić głowę jeszcze bardziej w lewą stronę. Otwór powiększył się. Decker poczuł na czole zimny wiatr i lodowaty deszcz. Jednak folia nadal przywierała mu do nosa i ust. Zaczął się dławić kawałkiem słomki do napojów, który nadal miał w ustach. Muszę ściągnąć ten worek z głowy! Ostatnim wysiłkiem spróbował zahaczyć workiem o ostry przedmiot, zadrapał sobie prawy policzek i wreszcie rozerwał torbę. Gdy wypłuł kawałek słomki i odetchnął, wiatr zaświszczał mu w gardle. Zimne powietrze, które dostało mu się do płuc, było niewypowiedzianie słodkie. Pierś Deckera poruszała się konwulsyjnie w górę i w dół. Leżał na plecach, trzęsąc się, oddychając głęboko. Próbował oswoić się z myślą, że żyje. " Żyję, ale na jak długo? - pomyślał Decker z przerażeniem.

Esperanza może mnie nie znaleźć. Jeśli jeszcze trochę poleżę w zimnym deszczu, dostanę hypotermii. Umrę z zimna. Odwrócił się tak, żeby leżeć twarzą do czarnego nieba. Oddychał łapczywie, starając nie przejmować się siłą dreszczy i sznurkiem uciskającym mu spętane nogi i ręce. Jak długo już tu leżę? Czy McKittrick odjechał? Czy słyszał, jak jęknąłem, gdy spadłem? Czekał przerażony, że ciemny kształt zejdzie do niego po urwisku, że McKittrick zapali latarkę, uśmiechnie się szeroko i wyceluje pistolet. Nagle Decker ujrzał światło latarki na szczycie urwiska. Jej blask przemieszczał się w stronę kiosku spożywczego, w stronę barierki, znowu w stronę kiosku. W Deckerze wezbrała nadzieja i krzyknął, lub przynajmniej usiłował krzyknąć:

- Esperanza! - głos zabrzmiał chrapliwie, jakby Decker przełykał żwir. Spróbował jeszcze raz, donośniej. - Esperanza! Tym razem snop światła latarki zatrzymał się na barierce, chwilę później zjechał w dół urwiska i Decker zauważył, że spadek w tym miejscu był stopniowy, układał się w serię platform porośniętych krzakami i drzewami, które schodziły ku ostatniej, pionowej stromiźnie opadającej do rzeki.

- Tutaj! - krzyknął Decker. Światło latarki błędziło po urwisku. - Tutaj! - W końcu zlokalizował go. Esperanza? Wiara, pomyślał Decker. Trzeba wierzyć.

- Decker? Esperanza! Dziękując Bogu, Decker poczuł, że serce przestało walić mu jak szalone. Znajoma, wysoka, chuda postać przeszła przez barierkę i zaczęła schodzić szybko.

- Ostrożnie - przestrzegł Decker. Kowbojskie buty Esperanzy poślizgnęły się na skale.

- Do jasnej... - Złapał równowagę, pospieszył niżej, ukucnął i przyjrzał się twarzy Deckera w świetle latarki. - Jesteś cały we krwi. Nic ci się nie stało?

- Nie ma takiej możliwości. Esperanza szybko przeciął sznurek, którym wcześniej spętał Deckerowi ręce i nogi. Mimo że Deckera bolały mięśnie, z rozkoszą zaczął się poruszać.

- Nie wierć się, muszę rozwiązać te węzły - powiedział Esperanza. Do licha, sznurek nasiąknął wodą i napęczniał. Nie mogę...

- Nie mamy czasu - przerwał mu Decker. - Musimy dotrzeć do samochodu. Sygnał z nadajnika można odbierać tylko w odległości jednej mili. Pomóż mi wstać. Esperanza z wysiłkiem, starając się samemu nie stracić równowagi, pomógł mu się podnieść.

- Prawie nie mam krążenia w stopach i w dłoniach. Będziesz musiał mnie tam wciągnąć - powiedział Decker. Stękając i męcząc się, wdrapywali się po zboczu.

- Zaparkowałem jakieś sto jardów stąd, na skraju autostrady - poinformował go Esperanza. - Żaden samochód nie skręcał w stronę punktu widokowego. Było już po północy. Zaczynałem sądzić, że się nie pojawi. Ale nagle poruszyła się wskazówka na odbiorniku nadajnik zaczął się przemieszczać. Przejechałem na wstecznym wzdłuż autostrady, żeby dotrzeć do ciebie jak najszybciej.

- McKittrick schował się nad urwiskiem. - Decker chwycił się barierki dysząc z wysiłku i przekroczył ją. - Musiał się oddalić dyskretnie pomiędzy drzewami. Jego samochód pewnie był zaparkowany na południe stąd albo na północ, ale dalej niż twój. Pospiesz się. Rozchlapując kałuże, Esperanza dotarł do oldsmobile'a przed Deckerem. Chwycił odbiornik leżący na przednim siedzeniu.

- Wciąż odbieram sygnał - powiedział podekscytowany. - Według wskazówki, McKittrick jedzie na północ. Decker opadł na przednie siedzenie, zdołał zatrzasnąć za sobą drzwi i poczuł, jak jego ciało wciska się w fotel, gdy Esperanza wdepnął gaz. Oldsmobile wyrzucił żwir spod kół, zachwiało się na zalanym parkingu i popędził w kierunku rozmytych deszczem świateł na autostradzie.

- Sygnał słabnie! - Decker wpatrywał się w podświetlony czytnik odbiornika. Mokre ubranie przyłgnęło mu do ciała. Esperanza przyspieszył jeszcze bardziej. Ledwo zdążył włączyć wycieraczki, zauważył przerwę w sznurze pojazdów, wpadł pędem na autostradę i zaczął wyprzedzać inne samochody.

- Chryste, chyba zamarznę. - Decker majstrował przy pokrętle ogrzewania. Zgrabiłymi palcami prawej ręki, w których prawie nie miał czucia, usiłował przetrząsnąć nożem Esperanzy

węzeł, który przytrzymał sznurek na lewym nadgarstku. Wpatrywał się w czytnik na odbiorniku. - Sygnał stał się silniejszy. - Wskazówka przesunęła się. - Uważaj! Zjechał z autostrady. Jest przed nami, na lewo! Prędzej niż się spodziewali, w światłach oldsmobile'a ukazał się zjazd z autostrady i drogowskaz na drogę numer 24.

- Ta droga biegnie równolegle do autostrady - powiedział Decker. Według wskazówki, McKittrick zawrócił! Kieruje się na południe. - Decker o mały włos by się skaleczył, gdy nóż przeciął wreszcie sznurek na nadgarstku. W żyły jego lewej dłoni wpłynęła krew. Masował obolały przegub.

- Sam kazałeś mi zrobić tak, żeby wszystko wyglądało, jakby to było naprawdę - tłumaczył się Esperanza.

- Hej, wciąż żyję. Wcale się nie skarzę. Przy końcu zjazdu Esperanza odbił w lewo, przemknął przez estakadę nad autostradą, jeszcze raz szybko skręcił w lewo na drogę numer 25 i pospieszył na południe, zbliżając się do sznura tylnych świateł samochodów.

- Sygnał jest jeszcze silniejszy! - powiedział Decker. - Zwolnij. On może być w którymś z tych samochodów przed nami. - Rozciął sznurek na drugim nadgarstku. Krew spłynęła mu do dłoni i palce stały się trochę zręczniejsze. Mógł teraz mocniej i szybciej ciąć pęta wokół kostek. Mimo gorącego powietrza, płynącego z dmuchawy samochodu, Decker nadal się trząsał. Męczyły go niespokojne myśli. A jeśli McKittrick już zabił Beth? Albo domyśli się, że jest śledzony, odkryje nadajnik i go wyrzuci? Nie! Przecież nie mogłem przejść przez to wszystko na próżno! Beth musi żyć.

- Według wskazówki, on znowu skręca. W prawo. Kieruje się na zachód. Esperanza skinął głową.

- Cztery samochody przed nami ktoś skręca. Zwolnię, żeby nie widział, że jedziemy za nim. Decker przetarł czoło i spojrzał na swoją rękę, zaniepokojony czerwienią na dłoni. To nie był syrop kukurydziany, zmieszany z czerwonym barwnikiem spożywczym, lecz prawdziwa krew, charakterystycznie pachnąca miedzią.

- Nie wiem, na ile ci to pomoże, ale masz tu czystą chusteczkę, którą znalazłem w schowku w samochodzie - powiedział Esperanza. - Spróbuj zatamować krwawienie. Skręcili za McKittrickiem na prawo i zjechali z drogi numer 25. Obok znaku z napisem ROCKMAN ROAD Esperanza zatrzymał się na chwilę i wyłączył światła.

- Nie ma sensu tak się reklamować. Ledwo widzę w deszczu jego światła, więc mam pewność, że on nas nie widzi w ogóle.

- Ale jedziesz po omacku.

- Tylko przez chwilę. - Esperanza skręcił w lewo, w jakąś uliczkę, włączył znowu światła, zawrócił, wjechał ponownie na Rockman Road, jeszcze raz skręcił w lewo i ruszył dalej za McKittrickiem. - Jeśli obserwuje wsteczne lusterko, czego jestem pewien, zobaczy, że światła pojawiły się na drodze z lewej strony, to znaczy z kierunku przeciwnego, niż mógłby się pojawić ktoś, kto śledziłby go na autostradzie. Nie będzie miał podejrzeń.

- Jesteś w tym naprawdę dobry - pochwalił go Decker.

- Muszę być dobry. Jako dzieciak, zadawałem się z gangami młodzieżowymi. Mam ogromną praktykę w śledzeniu, wiem też, kiedy ktoś mnie śledzi.

- Co cię sprowadziło na drogę prawa?

- Trafiłem na policjanta, który przemówił mi do rozsądku.

- Pewnie teraz jest z ciebie dumny.

- Umarł w ubiegłym roku. Zastrzelił go jakiś pijak. Pojawił się oślepiający błysk, a zaraz po nim grzmot, który zatrzęsł samochodem.

- Teraz mamy jeszcze błyskawice i pioruny. Burza robi się coraz gorsza - powiedział Decker.

- Cholera! - zaklął Esperanza. Decker zastanawiał się, czy przekleństwo dotyczyło burzy, czy wspomnień Esperanzy. Przy następnej błyskawicy Esperanza wskazał ręką.

- Widzę samochód przed nami.

- Sygnał na odbiorniku jest silny. Igła ustawiła się na wprost - poinformował go Decker.
- To musi być McKittrick.

- Czas usunąć się z drogi. Nie chcę, żeby nabrał podejrzeń. - Za drogowskazem do miasteczka Closter McKittrick pojechał prosto, a Esperanza skręcił w prawo, okrążył jeden kwartał domów i wjechał z powrotem na Rockman Road. Do tego czasu inne samochody zapełniły przestrzeń pomiędzy oldsmobilem i autem McKittricka.

- Według odbiornika nadal jest przed nami. - Zimne, mokre ubranie Deckera sprawiało, że wciąż się trząsał. Mięśnie go rwały. Plecy i tors, poobijane podczas upadku z urwiska, spuchły i bolały mocno. To jednak nie miało znaczenia. Ból się nie liczył. Liczyła się tylko Beth. - Nie. Poczekaj. Wskazówka się rusza. McKittrick skręca w prawo,

- Tak, widzę światła. Zjeżdża z drogi - potwierdził Esperanza. - Nie chcę trzymać się zbyt blisko, żeby się nie przestraszył. Miniemy miejsce, gdzie skręcił, i przyjrzymy się, dokąd jedzie. Może robi uniki na wypadek ewentualnego pościgu. Ze spokojnego centrum miasteczka dotarli do jeszcze spokojniejszego przedmieścia. W pewnym momencie zajaśniała błyskawica i ujrzeli miejsce, gdzie skręcił McKittrick - skromny, parterowy motel. Czerwony neonowy napis obwieszczał: ZAJAZD PALISADES. Szeregowo ustawione segmenty mieszkalne Decker ocenił, że było ich około dwudziestu ciągnęły się w stronę mrocznego terenu z dala od ulicy. Kiedy mijali motel, Decker pochylił się, na wypadek gdyby McKittrick obserwował nieliczne samochody, które za nim jechały. Motel znalazł się za nimi i Decker wyprostował się nieco.

- Według wskazówki odbiornika, McKittrick już się zatrzymał.

- Jak chcesz to załatwić?

- Zaparkuj gdzieś w pobliskiej ulicy. Wrócimy tam i popatrzymy, co robi. Decker wziął pistolet, który zabrał jednemu ze strażników w posiadłości Giordano. Esperanza zaś wsadził sobie do kieszeni walthera.

- Lepiej weźmy odbiornik ze sobą. Na wypadek gdyby to była tylko zmyłka i gdyby miał ruszyć dalej.

- A co wtedy? - spytał Esperanza.

- Cholernie dobre pytanie. - Decker wysiadł z samochodu i natychmiast zaatakowała go ulewa. Przypomniawszy sobie zimny deszcz, który padał tamtej nocy, gdy podążał za McKittrickiem w stronę dziedzińcapułapki w Rzymie. Esperanza pojawił się obok niego. Z czapeczki baseballowej kapłała mu woda, przesiąknięte długie włosy przylepiły się do szyi detektywa. W blasku światła mijających ich samochodów twarz Esperanzy wyglądała jeszcze szczuplej niż zwykle, szczęka i nos stały się jeszcze bardziej wydatne i przywodziły Deckerowi na myśl drapieżnego ptaka. Nie poszli od frontu, tylko ostrożnie skradali się zaułkiem od tyłu. Decker zauważył, że segmenty mieszkalne są zbudowane z wypalanych cegieł i że nie mają tylnych wyjść. Jedyne okna, jakie wychodziły na zaułek, były niewielkie i sporządzone z nieprzezroczystych szklanych kafli, które niezwykle trudno jest potłóć. Decker i Esperanza okrążyli motel od tyłu, ukryli się za skrzynią na śmieci i obserwowali front segmentów. Według wskazówki odbiornika, nadajnik nadal się nie poruszał. Mimo że przed ośmioma z dwudziestu segmentów stały zaparkowane samochody, tylko w czterech oknach zza zasłon pobłyskiwało światło. Dwa z tych segmentów obok skrzyni na śmieci, za którą skrył się Decker, sąsiadowały ze sobą. Decker nie potrzebował odbiornika, żeby stwierdzić, że McKittrick jest w jednym z tych właśnie pokoi. Zaparkowany przed domem samochód, niebieski pontiac, wydawał od czasu do czasu lekkie stuknięcia stygnącego silnika. Deszcz, bębniący o ciepłą maskę pontiaca, parował mgiełką. Trzeba się spieszyć, pomyślał Decker. Jeśli Beth jest w którymś z tych pokoi, McKittrick może chcieć ją zabić, kiedy tylko wróci z pieniędzmi. Albo jeśli przejrzy pieniądze i znajdzie nadajnik, może wpaść w panikę i zabić Beth, zanim podejmie ucieczkę.

- Poczekaj tutaj - szepnął Decker do Esperanzy. - Oslaniaj mnie. Najciszej jak potrafił, przeszedł przez kałuże i zatrzymał się przy łagodnie oświetlonym oknie ostatniego

segmentu. Nagle Deckera oświetliło światło błyskawicy. Zauważył, że zasłony nie są dokładnie zaciągnięte i można zajrzeć przez wąską szparę do pokoju - podwójne łóżko, tania toaletka, telewizor przytwierdzony do ściany. Gdyby nie walizka na łóżku, pokój wydawałby się nie zamieszkały. Pośrodku ściany, po lewej stronie, znajdowały się otwarte drzwi, które prawdopodobnie prowadziły do pokoju obok. Znowu zajaśniała błyskawica i rozległ się kolejny grzmot. Decker zeszytniał, po czym przesunął się w stronę sąsiedniego okna. Mimo burzy słyszał głosy, ale nie był w stanie zrozumieć słów. Najpierw odezwał się mężczyzna, następnie kobieta. Może to McKittrick i Beth. Trudno było zdecydować. Może to tylko jakiś dialog z telewizji? Nagle odezwał się ktoś trzeci, mężczyzna o mocno zniekształconym, głębokim, chrapliwym głosie. Decker zdziwił się, po chwili domyślił się jednak, że jeśli była tam Beth, ktoś przecież musiał jej pilnować, gdy McKittrick pojechał po pieniądze. Wyobraził sobie Beth przywiązaną do krzesła, z luźnym kneblem zwisającym z ust. A potem pomyślał, że ktoś wpycha knebel głębiej, że McKittrick dusi ją, aż oczy wychodzą na wierzch. Zrób coś! - Decker powiedział do siebie w myśli. Zapamiętał numer pokoju widoczny na drzwiach, wrócił szybko do Esperanzy i wyjaśnił mu, co ma zamiar zrobić. Następnie, pozostając w cieniu, popędził na ulicę, gdzie, jak pamiętał, na zamkniętej stacji benzynowej naprzeciwko motelu widział wcześniej automat telefoniczny. Szybko wrzucił monety i wybrał numer.

- Informacja - odezwała się jakaś kobieta. - Dla jakiego miasta?

- Dla Closter, stan New Jersey. Potrzebny mi numer do zajazdu Palisades. Po chwili monotony, komputerowy głos powiedział:

- Numer brzmi... Decker zapamiętał numer, odwiesił słuchawkę, wrzucił więcej monet i ponownie wybrał cyfry. Po trzech sygnałach odezwał się z westchnieniem zmęczony męski głos.

- Zajazd Palisades.

- Z pokojem dziewiętnaście. Recepcjonista nie odpowiedział. Decker usłyszał tylko lekki trzask i sygnał. Cekał na połączenie. Wyobraził sobie, jak McKittrick odwraca się gwałtownie w stronę telefonu, jak na jego tęgiej twarzy maluje się zaskoczenie i zdziwienie. Kto też może do niego dzwonić? Kto może wiedzieć, że jest w tym motelu? McKittrick pewnie zastanawiał się, czy rozsądnie jest odebrać ten telefon. Telefon nadal dzwonił. Dziesięć razy. Jedenaście. W końcu włączył się recepcjonista.

- Proszę pana, nikt tam nie odpowiada. Może ich nie ma.

- Proszę jeszcze spróbować.

- Ale może oni chcą spać?

- To nagła sprawa. Recepcjonista wydał znużone westchnienie. Decker znowu usłyszał trzask. Telefon po drugiej stronie zadzwonił. Jeszcze jeden sygnał.

- Słucham - odezwał się McKittrick niepewnym, przyciszonym głosem, jakby sądził, że jeśli będzie mówił cicho, nikt go nie rozpozna.

- Jeśli nie zrobisz żadnego głupstwa - odezwał się Decker - masz jeszcze szansę wyjść z tego z życiem. Po drugiej stronie zapadła cisza. Decker słyszał jedynie odgłos deszczu uderzającego w budkę telefoniczną.

- Decker? - McKittrick zapytał takim tonem, jakby nie był pewien, czy jest przy zdrowych zmysłach.

- Dawno nie rozmawialiśmy, Brian.

- To niemożliwe. Ty nie żyjesz. Jak...

- Dzwonię, żeby porozmawiać nie o swojej śmierci, Brian.

- Chryste!

- Wzywanie Boga to dobry pomysł, aleja chyba jestem bardziej władny ci pomóc niż Chrystus.

- Gdzie jesteś?

- Przestań, Brian. Przecież napisałem książkę o zasadach postępowania w naszym rzemiośle. Nie udzielam za darmo informacji. Zaraz zapytasz, jak się dowiedziałem, gdzie jesteś, i ilu mam ludzi. Ale jedyna rzecz, która powinna cię obchodzić, to że ty masz pieniądze, a ja chcę Beth Dwyer. Po drugiej stronie znów zapanowała cisza.

- Jeśli ona nie żyje, Brian, nie masz żadnej możliwości prowadzenia ze mną pertraktacji.

- Nie. - Brian głośno przełknął ślinę. - Ona żyje. Decker poczuł, jakby się zapadał.

Ogarnęło go uczucie ulgi.

- Chcę z nią rozmawiać.

- To jest bardzo skomplikowane, Decker.

- Było. Ale teraz stało się prostsze. Nick i Frank Giordano nie żyją.

- Jak, u diabła...

- Uwierz mi, Brian. Już się nie liczą. Nikt nie ściga Beth Dwyer. Możesz zatrzymać pieniądze i wypuścić ją. To, jak dostałeś te pieniądze, pozostanie naszą tajemnicą. McKittrick zawahał się, słychać było jego nerwowy oddech.

- Dlaczego mam ci wierzyć?

- Pomyśl, Brian. Gdyby Giordano jeszcze żył, nie rozmawiałbym z tobą. Naprawdę leżałbym martwy w miejscu odebrania okupu. McKittrick oddychał coraz mocniej.

- I to nie ja byłbym teraz przy telefonie - powiedział Decker. - Tylko oni. Wyłamywaliby właśnie drzwi twojego pokoju. Decker usłyszał, jak McKittrick zasłonił dłonią słuchawkę. Dotarły do niego przytłumione głosy. Czekał, trzęsąc się od przemoczonego ubrania i ze strachu, że McKittrick zrobi coś Beth. Po drugiej stronie coś otarło się o słuchawkę i znowu odezwał się McKittrick.

- Musisz mnie przekonać.

- Bujasz, Brian. Będziesz próbował uciec, podczas gdy ja tu z tobą gadam. Nie jestem sam. Kiedy tylko pojawisz się w drzwiach, zaczniesz się strzelanina i gwarantuję ci, jeśli coś się stanie Beth, w bolesny sposób dowiesz się, jak mało przydatny jest w piekle milion dolarów. Cisza. Znowu przytłumiona rozmowa. Gdy McKittrick odezwał się ponownie, jego głos był napięty.

- Skąd mam mieć pewność, że mnie puścisz, jeśli ci oddam Dianę Scolari?

- Beth Dwyer - powiedział Decker. - To może być dla ciebie coś nowego, Brian.

Dotrzymanie słowa. Nigdy nie wycofuję się z czynionych obietnic. Kiedy pracowałem dla Langley, właśnie dzięki temu mogłem ubijać różne interesy. Ludzie wiedzieli, że mogą na mnie liczyć. A to jest najważniejszy interes, jaki kiedykolwiek chciałem ubić. Decker ze swojego dogodnego miejsca w budce telefonicznej widział po drugiej stronie ulicy okna motelu. Widział Esperanzę, który ukrywał się za skrzynią na śmieci i obserwował dwa segmenty. Widział, jak w obydwóch oknach zgasło światło.

- Dlaczego zgasił światło, Brian?

- Jezu, jesteś tak blisko?

- Nie próbuj robić głupstw. Masz zamiar wykorzystać Beth jako tarczę i liczysz, że nie zaryzykuję strzelaniny. Nawet jeśli pozwolę ci z nią uciec, czy sądzisz, że będziesz mógł jej używać jako tarczy przez resztę swojego życia? Ten plastikowy worek, który miałem na głowie, gdy odebrałeś pieniądze, powinien ci udowodnić, że jestem gotów podjąć dla niej każde ryzyko. Nigdy nie przestanę cię ścigać. Żadnej odpowiedzi. ~ Pomyśl o tym milionie dolarów, Brian. Nikt nie może udowodnić, skąd je masz. Nikt nie będzie ci chciał ich odebrać. Możesz je wydać, kiedy tylko stąd odjedziesz.

- Jeśli pozwolisz mi odjechać.

- Tak. Jeśli zostawisz Beth. Ta rozmowa nie ma sensu, dopóki nie udowodnisz mi, że ona żyje. Chcę z nią mówić. Decker tak intensywnie wsłuchiwał się w telefon, że nie słyszał bębnienia deszczu. Dotarł za to do niego grzmot, który wstrząsnął szybami budki, jednak w sercu Deckera szalała jeszcze potężniejsza burza. Usłyszał dźwięk, jakby przenoszono telefon.

- Steve? Decker poczuł słabość w kolanach. Zdał sobie sprawę, że mimo całej swojej determinacji nie do końca wierzył, że jeszcze kiedyś usłyszy głos Beth.

- Dzięki Bogu - wyjąkał.

- Nie mogę uwierzyć, że to ty. Jak...

- Nie ma teraz czasu na wyjaśnienia. Czy nic ci nie jest?

- Jestem śmiertelnie przerażona. Ale nic mi nie zrobili. - Jej głos był nikły i słaby, drżał z podniecenia, ale Decker nie miał wątpliwości, że rozpoznał go bezbłędnie. Przypomniawsobnie, jak Beth rozmawiała z nim pierwszy raz, i przyszedł mu na myśl dzwoneczki poruszane wiatrem i szampan.

- Kocham cię - powiedział Decker. - Wyciągnę cię stamtąd. Ilu jest z tobą ludzi? Nagle telefon uderzył o coś i znów odezwał się McKittrick.

- Teraz już wiesz, że ona jeszcze żyje. A jak ja mam się stąd wydostać żywy?

- Zapal światło. Rozsuń zasłony.

- Co?

- Ustaw Beth przy oknie, żeby była dobrze widoczna. Wyjdź z pieniędzmi. Wsiądź do samochodu. Przez cały czas celuj w nią z pistoletu. W ten sposób będziesz miał pewność, że nie uczynię w twoją stronę żadnego ruchu.

- Dopóki nie znajdę się na ulicy i będę za daleko, żeby do niej strzelić. Wtedy będziesz próbował mnie zabić.

- Musisz mi zaufać - powiedział Decker.

- Pieprzysz.

- Ponieważ ja ufam. Pokażę ci, jak bardzo ufam. Będziesz bezpieczny, jeśli zostawisz Beth w pokoju, gdyż ja poczekam na ciebie w samochodzie. Jako twój zakładnik. Gdy odjedziemy i upewnisz się, że nikt cię nie śledzi, wypuścisz mnie i będziemy kwita. Znowu cisza. Grzmot.

- Żartujesz - odezwał się McKittrick.

- Nigdy nie mówiłem poważniej.

- Skąd wiesz, że cię nie zabiję?

- Nie wiem - odparł Decker. - Ale jeśli mnie zabijesz, wytropią cię moi przyjaciele. Jestem skory przyjąć, że chcesz tę sprawę zakończyć raz na zawsze. Mówię serio, Brian. Oddaj mi Beth. Zatrzymaj pieniądze. Nigdy więcej o mnie nie usłyszysz. McKittrick nie odzywał się przez chwilę. Decker wiedział, że się zastanawia. Przytłumionym głosem McKittrick rozmawiał z kimś innym w pokoju.

- W porządku - zgodził się. - Daj nam pięć minut. Wyjdziemy. Masz czekać z podniesionymi rękoma przy moim samochodzie.

- Umowa stoi, Brian. Ale gdyby coś cię podkusiło, żeby się z niej wycofać, pamiętaj - ktoś będzie cię miał na muszce. Decker odwiesił słuchawkę i wyszedł na deszcz. Usta miał spieczone ze strachu. Było mu coraz zimniej. Kryjąc się w cieniu, przeszedł szybko przez ulicę na ciemny parking motelu. Szeptem wyjaśnił Esperanzie, jaki zawarł układ.

- Cholernie ryzykujesz - powiedział Esperanza.

- To nic nowego.

- Cojones, chłopie.

- Nie zabije mnie. Nie chce spędzić reszty życia uciekając.

- Przed twoimi zmyślonymi przyjaciółmi?

- Pomyślałem sobie, że gdyby mnie zabił, ty ścigałbyś go dalej.

- Tak - zastanowił się Esperanza. - Ścigałbym. W segmencie ., za zaciągniętymi zasłonami, zapaliło się światło.

- Nie może znaleźć przy mnie broni. Trzymaj mój pistolet - powiedział Decker. - Jeśli sprawy przybiorą niewłaściwy obrót, nie wahaj się strzelać.

- Z przyjemnością - odparł Esperanza.

- Jak ci powiem, weź tę pustą butelkę, którą masz koło nóg, i rzuć ją w stronę motelu. Rzuć wysoko, żeby McKittrick nie wiedział, gdzie jesteś. Aby nie zdradzić kryjówki Esperanzy, Decker przekradł się do innej części parkingu i wyłonił się z cienia dopiero tam. Z podniesionymi rękami stąpał przez kałuże w stronę pontiaca przed segmentem. Zasłony rozsunięły się jak kurtyna w teatrze. Gdy Decker zobaczył Beth, poczuł, że jego ciało niepokojąco wypadło z rytmu. Była przywiązana do krzesła, miała zakneblowane usta, włosy poplątane w nieładzie i twarz bladą z przerażenia. Szaroniebieskie oczy błędziły tu i tam, oszalałe ze strachu. Nagle zobaczyła Deckera przez okno. Poruszyła go miłość, która zajęła w jej oczach miejsce strachu, i pełne ufności spojrzenie. Na jego widok odczuła wyraźną ulgę. Zaufanie Beth do Deckera wydawało się bezgraniczne. Wierzyła, że jest bohaterem, o jakim marzyła będąc dzieckiem; jej bohaterem, który ją ocali. Z lewej strony, zza filaru z wypalanej cegły, pomiędzy oknem i drzwiami, ktoś wyciągnął dłoń w kierunku skroni Beth. W dłoni tkwił odbezpieczony rewolwer. Decker usłyszał jakiś odgłos przy drzwiach; otwierany zamek, przekręcaną klamkę. Z wąskiej szpary wyszło światło.

- Decker? - McKittrick się nie pokazał.

- Jestem przy twoim samochodzie - tak jak obiecałem. Drzwi otworzyły się szeroko. Ukazał się McKittrick. Jego wielkie ramiona, sylwetka trzydziestoletniego gracza futbolowego, oświetlone od tyłu, wydawały się jeszcze potężniejsze, niż wówczas kiedy Decker widział go ostatnim razem. Blond włosy ściały jeszcze krócej, co podkreślało ostre, kanciaste rysy twarzy McKittricka. Jego oczy przypominały Deckerowi oczy świni. McKittrick wycelował pistolet i uśmiechnął się złośliwie. Przez jedną, przerażającą chwilę Decker pomyślał, że McKittrick strzeli. Ale McKittrick ruszył od drzwi, chwycił Deckera i pchnął go na jeszcze ciepłą maskę pontiaca.

- Lepiej, żebyś nie był uzbrojony, stary druhu. McKittrick przeszukał go brutalnie, cały czas przyciskając lufę pistoletu do karku Deckera.

- Nie mam broni - powiedział Decker. - Zawarliśmy umowę. Trzymam się jej. - Z policzkiem przyciśniętym do mokrej maski pontiaca, Decker był w stanie zerknąć w bok, w stronę oświetlonego okna i rewolweru wycelowanego w Beth. Mrugał nieustannie, żeby ochronić oczy przed deszczem, który bębnił mu w twarz. Beth skuliła się z przerażenia. McKittrick zakończył brutalne przeszukiwanie i odsunął się.

- Proszę, proszę, naprawdę to zrobiłeś. Poddałeś się. Taki pewny siebie. Co ci pozwala sądzić, że ci nie strzelę w głowę?

- Mówiłem ci - mam osłonę.

- Tak, z pewnością. Czyją? FBI? To nie w ich stylu. Langley? Ta sprawa nie ma nic wspólnego z bezpieczeństwem państwa. Co ich by to miało obchodzić?

- Mam przyjaciół.

- Hej, obserwowałem cię, pamiętasz? W Santa Fe nie masz żadnych przyjaciół. Nie takich, którzy mogliby cię osłaniać.

- To przyjaciele z dawnych czasów.

- Jak diabli.

- Rzuć butelką! - krzyknął Decker do Esperanzy ukrytego w ciemności. McKittrick poruszył się gwałtownie, gdy pusta butelka poleciała na chodnik obok wejścia do motelu. Szkło się rozprysło. McKittrick rozejrzał się i nadal celował w Deckera.

- Domyślam się, że to jakiś dupek, któremu zapłaciłeś za ten rzut butelką.

- To się źle domyślasz - odparł Decker. - Dlaczego miałbym ryzykować?

- Z cholernie wielką przyjemnością pozbędę się ciebie z mojego życia. Przez jedną przerażającą chwilę Decker przestraszył się, że McKittrick pociągnie za spust. Jednak McKittrick krzyknął w stronę drzwi:

- Ruszamy! Pokazała się jakaś postać - średniego wzrostu, ubrana w zbyt duży czarny prochowiec i gumowy kapelusz przeciwdeszczowy, którego szerokie rondo opadało i kryło rysy twarzy. Ktokolwiek to był, w lewej ręce trzymał walizkę i nie przestawał celować z

rewolweru w Beth widoczną w oknie. McKittrick otworzył tylne drzwi pontiaca, żeby mężczyzna w prochowcu mógł wrzucić walizkę do samochodu. Dopiero gdy tamten w prochowcu wsiadł do tyłu, McKittrick otworzył drzwi od strony kierowcy i kazał Deckerowi przesunąć się do końca siedzenia. Człowiek z tyłu siedział za Deckerem przystawiając mu do głowy pistolet, a McKittrick zajął miejsce za kierownicą, cały czas celując w Beth.

- Jak po maśle - zachichotał McKittrick. - Bez zbędnego zamieszania. A teraz, stary druhu, masz, czego chciałeś. - Ton jego głosu stał się poważny. - Zabierzemy cię na przejażdżkę. McKittrick włączył światła i ruszył na wstecznym biegu. Reflektory ostro oświetliły Beth. Poprzez deszcz ściekający po przedniej szybie Decker widział jej rozmyty obraz. Widział, jak Beth usiłuje wydostać się z więzów i odwraca głowę, żeby osłonić oczy przed oślepiającymi światłami. Pontiac cofał, a Beth stawała się coraz mniejsza. McKittrick wrzucił bieg, zakręcił kierownicą i oddalił się od motelu. Deckerowi ulżyło, że Beth jest bezpieczna, ale jednocześnie sam poczuł się samotny i pusty. Odwrócił się, żeby jeszcze ostatni raz spojrzeć, jak Beth szamoce się ze sznurami, którymi była przywiązana do krzesła. Patrzyła w jego stronę ze smutkiem, który chwycił za serce. Teraz ona bała się o niego.

- Kto by pomyślał? - McKittrick wjechał w mroczną ulicę przed motelem i skierował się na prawo. - Romantyk. Decker się nie odezwał.

- Naprawdę musiała ci zawrócić w głowie - zauważył McKittrick. Decker nadal milczał.

- Hej! McKittrick odwrócił wzrok od jezdni i wycelował pistolet w twarz Deckera. - To ma być, do cholery, rozmowa.

- Tak - powiedział Decker. - Zawróciła mi w głowie. McKittrick mruknął z zadowoleniem i zerknął do tyłu na drogę. Wpatrywał się w lusterko wsteczne.

- Nie widzę żadnych świateł. Nikt za nami nie jedzie.

- Czy wiedziała, kim jestem, gdy spotkałem ją po raz pierwszy?

- Co?

- Wykorzystywała mnie tylko dla dodatkowej ochrony?

- Niesamowity jesteś. Ta cała poza profesjonalisty, że niby wszystko masz pod kontrolą, a tu nagle rujnujesz sobie życie przez kobietę.

- Mylisz się.

- A co, do cholery, uważasz?

- Nie zrujnowałem sobie życia - odparł Decker. - Odzyskałem je.

- Nie na długo. Chcesz porozmawiać na temat czyjegoes zrujnowanego życia? - rzucił ze złością McKittrick. - Zrujnowałeś moje. Gdyby nie ty, nadal pracowałbym dla wywiadu. Awansowałbym. Mój ojciec byłby ze mnie dumny. Nie musiałbym przyjąć tej dziadowskiej pracy w agencji rządowej, żeby ochraniać gangsterów. - McKittrick podniósł głos. - Mógłbym wciąż jeszcze być w Rzymie! Człowiek na tylnym siedzeniu powiedział coś - bełkoczące, gardłowe dźwięki były tak zniekształcone, że Decker nic nie zrozumiał. Decker słyszał już wcześniej ten niezwykle, groteskowy głos - kiedy podsłuchiwał pod oknem McKittricka. Ale było w nim coś uderzająco znajomego, jakby słyszał go jeszcze kiedyś wcześniej. McKittrick najwyraźniej od razu zrozumiał, co zostało powiedziane.

- Nie zamknę się! - odparł McKittrick. - Niczego nie zdradzam! On o tym wie równie dobrze jak ja. Nie mógł znieść, że odnoszę sukcesy! Nie powinien się do tego mieszać! Gdyby pozwolił mi postępować, tak jak chciałem, byłbym bohaterem!

- Bohaterowie nie zadają się z takimi szumowinami jak Giordano.

- Skoro dobrzy faceci mnie wykopali, pomyślałem, że sprawdzę, jak potraktują mnie źli. Okazało się, że odnieśli się do mnie o niebo lepiej. Zaczyna mi się zdawać, że nie ma między nimi specjalnie dużej różnicy. McKittrick roześmiał się. - A pieniądze na pewno są dużym plusem.

- Ale jednak zwróciłeś się przeciwko Giordano.

- W końcu zdałem sobie sprawę, że w obydwu wypadkach liczę się tylko ja. A ty jesteś po stronie przeciwnej. Teraz nadszedł czas spłaty długu. - McKittrick wziął jakiś przedmiot.

Decker przez chwilę myślał, że to broń. Zaraz jednak rozpoznał nadajnik. - Nie jestem taki niedbały, jak sądzisz. Gdy zadzwoniłeś, zadawałem sobie ciągle pytanie, jak mnie znalazłeś? W miejscu przekazania pieniędzy wyrzuciłem torbę, na wypadek gdyby był w niej nadajnik. Ale nie pomyślałem o pieniądzach. Więc przejrzałem każdy plik i zgadnij, co w nich znalazłem? McKittrick nacisnął guzik i opuścił szybę od swojej strony. Z wściekłością cisnął nadajnik do rowu, obok którego pędzili.

- No i kto teraz jest sprytniejszy? Ktokolwiek z tobą jest, nie będzie mógł mnie wytropić. Jesteś mój. McKittrick skręcił w boczną drogę, zjechał na porośnięte drzewami pobocze, zatrzymał się i wyłączył światła pontiaca. Deszcz stukał w ciemności o dach. Szybkie łopotanie wycieraczek zgrało się z biciem serca Deckera. Rozbłysł grom i Decker zobaczył, że McKittrick mierzy do niego z pistoletu.

- Z milionem dolarów mogłbym się ukrywać dość długo - stwierdził. Ale jeśli nie zaczniesz mnie ścigać, w ogóle nie będę się musiał ukrywać. McKittrick oparł palec na spuście.

- Zawarliśmy układ - przypomniał Decker.

- Tak, i założę się, że miałeś zamiar dotrzymać ze swej strony umowy. Wsiadaj z samochodu. Decker zamarł.

- Wsiadaj z samochodu - powtórzył McKittrick. - Natychmiast. Otwieraj drzwi. Decker odsunął się od McKittricka i położył dłoń na drzwiach. Wiedział, że w chwili kiedy pociągnie za klamkę i wysiądzie, McKittrick go zastrzeli. Przerażony, usiłował obmyślić jakiś sposób ucieczki. Mógł spróbować odwrócić uwagę McKittricka i odebrać mu pistolet, ale wciąż pozostawał człowiek na tylnym siedzeniu, który strzeliłby w chwili, gdy Decker poruszyłby się. Jeśli się rzucę do rowu, pomyślał, w nocy i w deszczu może we mnie nie wcelują. Z zeszywniałymi mięśniami, zwolnił zamek drzwi, gotów do wysiadania.

- Czy ona naprawdę cię kocha? - spytał McKittrick. - Czy wiedziała, kim jesteś? Czy cię wykorzystywała?

- Tak, tego właśnie chcę się dowiedzieć - powiedział Decker.

- Spytaj ją.

- Co?

- Wracaj i spytaj ją.

- O czym ty mówisz? W głosie McKittricka znów pojawiło się samozadowolenie. Zabawiał się, ale Decker nie miał pojęcia, co to za gra.

- Dotrzymuję umowy. Jesteś wolny. Wracaj do niej. Przekonaj się, czy Diana Scolari jest warta ceny, jaką chciałeś zapłacić.

- BethDwyer.

- Naprawdę jesteś cholernie romantyczny. W momencie gdy buty Deckera dotknęły przesiąkniętego deszczem pobocza, McKittrick wdepnął pedał gazu i pontiac z warkotem oddalił się, omal nie przejeżdżając Deckerowi po stopach. Słychać było śmiech McKittricka, gdy drzwi pontiaca zamknęły się od pędu. Tylne światła samochodu oddaliły się szybko. Decker pozostał sam pośród ciemności i deszczu.

* * *

Rozdział jedenasty

Do Deckera nie od razu dotarło, co się właśnie wydarzyło. Zdawało mu się, że śni. Otrząsając się z odrętwienia spowodowanego szokiem, że wciąż żyje, powątpiewał w realność tej sytuacji. McKittrick puścił go wolno. W głowie rozbrzmiewał mu denerwujący śmiech McKittricka. Coś tu się nie zgadza. Ale Decker nie miał czasu o tym myśleć. Ruszył pędem w stronę przyćmionych świateł Closter. Mimo wyczerpania spowodowanego tym, że ostatnio mało spał i jadł, mimo bólu po różnych urazach i chłodu od przemoczonego ubrania, który jeszcze bardziej pozbawiał go sił, chyba nigdy nie biegł szybciej. Burza atakowała go podmuchami, ale nie zwracał na nią uwagi, pędząc przez ciemność. Wyciągał nogi, jak mógł najbardziej. Nic nie mogło go powstrzymać przed spotkaniem z Beth. Szalonym pędem dotarł do granicy miasta. Mignął mu niewyraźnie oldsmobile, którego Esperanza zaparkował przy ulicy w pobliżu motelu. Następnie wyłonił się motel z błyszczącym czerwonym neonem. Decker wybiegł zza rogu, zdobył się na ostatni wysiłek i przemknął obok zaciemnionych segmentów w stronę światła sączącego się z otwartych drzwi pokoju. Wewnątrz Beth siedziała zgarbiona na brzegu łóżka. Esperanza trzymał jej przy ustach szklankę z wodą. Knebel i liny leżały na podłodze. Poza tymi szczegółami każdy inny przedmiot w pokoju mógł dla Deckera równie dobrze być niewidzialny. Patrzył tylko na Beth. Jej długie kasztanowe włosy były potargane, oczy zapadnięte, policzki wymizerowane. Podbiegł do niej, padł na kolana i delikatnie uniósł dłonie do jej twarzy. Gdzieś w zakamarkach świadomości zdał sobie sprawę, jak niesamowicie wygląda. Przemoczone włosy przylegały płasko do czaszki, z zadrapań na twarzy sączyła się krew, a z podartego ubrania kapąła woda i błoto. Ważne było tylko to, że Beth jest bezpieczna.

- Czy...? Zdumiało go brzmienie własnego głosu ochryplego, ściśniętego ze wzruszenia. - Czy nic ci nie jest? Czy cię zranili?

- Nie. - Beth zadrżała. Wyglądało, jakby nie była pewna swoich zdrowych zmysłów. - Krwawisz. Twoja twarz jest... Decker poczuł ból w oczach i gardle, i zdał sobie sprawę, że szlocha.

- Połóż się, Decker - powiedział Esperanza. - Jesteś w gorszym stanie niż Beth. Decker poczuł słony smak swoich łez. Objął Beth ramionami i przytulił ją delikatnie. Czekał na ten właśnie moment. Cała jego determinacja i cierpienie służyły tej jednej chwili.

- Jesteś ranny - zauważyła Beth.

- To nieważne. - Pocałował ją. Pragnął już nigdy jej nie puścić. - Nie masz pojęcia, jak się martwiłem. Na pewno nic ci nie jest?

- Nie. Nie bili mnie. Najgorszy był sznur i knebel. I pragnienie. Wciąż chciało mi się pić.

- Ja nie żartuję, Decker - powiedział Esperanza. - Wyglądasz okropnie. Lepiej się połóż. Ale zamiast go posłuchać, Decker wziął szklankę z wodą i zachęcił Beth, żeby wypila jeszcze kilka łyków. Jakby w najciemniejszych zakątkach duszy nie dowierzał, że naprawdę uda mu się ją ocalić, bezustannie powtarzał z niedowierzaniem:

- Żyjesz...

- Tak się bałam.

- Nie myśl o tym. - Decker z miłością głaskał jej splątane włosy. - Już po wszystkim.

McKittrick odjechał.

- A ta kobieta?

- Kobieta?

- Była przerażająca. Decker odchylił się do tyłu i przyjrzał się Beth zdziwiony.

- Jaka kobieta?

- Ta, która była z McKittrickiem. Decker poczuł, że robi mu się zimno w żołądku.

- Ależ widziałem tylko mężczyznę.

- W prochowcu. W kapeluszu przeciwdeszczowym. Jego i tak przemarznęte ciało przeszył jeszcze większy chłód.

- To była kobieta?

- Była piękna. Ale miała groteskowy głos. Coś nie w porządku z gardłem. Zarośnięty otwór. Bliznę. Teraz do Deckera dotarło, dlaczego ten odpychający, gardłowy głos wydawał mu się znajomy. Mimo że był zniekształcony, dało się w nim wyczuć obcy akcent. Włoski akcent.

- Posłuchaj mnie uważnie. Czy była wysoka? Miała wąskie biodra? Krótkie ciemne włosy? Wyglądała na Włoszkę?

- Tak. Skąd to...

- Mój Boże, czy McKittrick zwrócił się do niej kiedyś po imieniu? Czy używał imienia...

- Renata.

- Musimy się stąd wynosić. - Decker wstał, poderwał Beth na nogi, rozglądając się z przerażeniem po pokoju.

- Co się stało?

- Czy ona coś zostawiła? Jakaś walizkę? Pakunek? Kiedy szykowali się do wyjścia, zaniósł do pokoju obok torbę na zakupy.

- Musimy się stąd wynosić! - wrzasnął Decker, popychając Beth i Esperanzę w stronę otwartych drzwi. - Ona jest specem od środków wybuchowych. Boję się, że to bomba! Wypchnął ich na zewnątrz, na deszcz, ze strachem przypominając sobie inną burzę, piętnaście miesięcy temu, kiedy kuczał za skrzynią na dziedzińcu w Rzymie. Renata nie umarła, Decker zdał sobie z tego sprawę z przerażeniem. W ciągu następnych tygodni i miesięcy McKittrick musiał jej szukać. Czyżby ona i McKittrick dogadali się? Czyżby go przekonała, że nie jest jego wrogiem, że CIA wykorzystało go bardziej niż ona? Czyżby to ona wszystko wyreżyserowała?

- Uciekajcie! - wrzasnął Decker. - Schowajcie się za skrzynią na śmieci! - Popędzając przed sobą Beth, słyszał, jak Esperanza biegnie obok niego. Nagle poczuł, że podmuch powietrza o gigantycznej sile podrywa go z nóg. Wybuch światła i huk, jaki go ogarnął, sprawiły wrażenie, jakby wpadł w jądro burzy elektrycznej. Poczul, że leci. Nie widział, nie słyszał, nie odczuwał, aż do chwili kiedy z oszalełymi impetem uderzył o mokry asfalt za skrzynią na śmieci. Przekreślił się na Beth, żeby osłonić ją przed spadającymi wokół odłamkami. Coś upadło mu na ramiona. Skulił się. Coś uderzyło obok jego głowy. Wszędzie wokół rozprysło się szkło. Fala uderzeniowa minęła i dotarło do niego bolesne dzwonięcie w uszach, deszcz, ludzie nawołujący z pobliskich budynków, Beth ruszająca się pod nim. Zakaszła i przestraszył się, że ją przyduśli. Zebrał siły, żeby się z niej stoczyć. Ledwo widział porzucane dookoła kawałki wypalanych cegieł.

- Jesteś ranna?

- Moja noga. Zbadał ją trzęsącymi się rękami. W świetle ognia padającego z pozostałości pokoju motelowego widać było gruby odłamek drewna wystający z prawego uda Beth. Wyciągnął go i przeraził się, jak dużo krwi wypływa z rany.

- Opaska zaciskająca. Trzeba... - Zdjął pasek i zacisnął go wokół nogi Beth ponad wyszarpaną dziurę. Ktoś jęknął. Za skrzynią na śmieci poruszył się jakiś cień. Powoli postać usiadła i Decker zadrzał z ulgą, gdy dotarło do niego, że Esperanza przeżyła.

- Decker! To nie był głos Esperanzы. Deckerowi tak dzwoniło w uszach, że miał problem z określeniem kierunku, z którego nawoływał głos.

- Decker! Wtedy Decker pojął. Rozejrzał się ponad płomieniami, które odbijały się w kałużach stojących na parkingu. W ulicy naprzeciwko warczał cicho pontiac McKittricka. Gruz odgradzał go od wjazdu na parking. Samochód był ustawiony tak, że okno od strony kierowcy wychodziło na motel. McKittrick musiał wrócić za Deckerem do miasta. Jego twarz, wykrzywiona wściekłością, wychylała się przez otwarte okno. Trzymał detonator i wrzeszczał:

- Mogłem go zdetonować, kiedy byłeś w środku! Ale to zbyt łatwe! To dopiero początek! Oglądaj się zawsze za siebie! Pewnej nocy, kiedy będziesz się tego najmniej spodziewał,

wysadzimy ciebie i tę twoją sukę w powietrze! Gdzieś daleko zawyła syrena. McKittrick uniósł jakiś przedmiot i Deckerowi wystarczyło siły, żeby przetoczyć się z Beth w stronę osłony pojemnika na śmieci. McKittrick wypalił z broni maszynowej. Pociski uderzyły o metalowy pojemnik. Esperanza, schowany za śmietnikiem, wyciągnął pistolet i strzelił. Następną rzeczą, jaką Decker pamiętał, był pisk opon na mokrym asfalcie, gdy pontiac McKittricka odjeżdżał pędem. Do dźwięku pierwszej syreny dołączyła druga.

- Musimy się stąd wynieść - powiedział Esperanza.

- Pomóż mi przenieść Beth. Obydwaj mężczyźni chwycili Beth za ramiona, unieśli ją z wysiłkiem i spiesznie udali się w stronę ciemności za motelem. Zaczynał się zbierać tłum. Decker otarł się o dwóch mężczyzn, którzy wybiegli z budynku mieszkalnego za motelem.

- Co się stało?! - krzyknął jeden z nich.

- Wyleciała w powietrze butla z propanem! - odparł Decker.

- Potrzebujecie pomocy?

- Nie! Zabieramy tę kobietę do szpitala. Niech pan szuka innych ofiar! - Decker czuł, jak Beth zwija się z bólu przy każdym szybszym kroku. Zanim doszli do ulicy, zatrzymali się na chwilę w mrocznym zaułku po drugiej stronie motelu i odczekali, aż minie ich kilka osób biegnących w stronę pożaru. Po chwili, nie widziani przez nikogo, zanieśli Beth do oldsmobile'a.

- Prowadź! - powiedział Decker. - Ja zostanę z nią z tyłu! Esperanza zatrzaskał drzwiczki i przekręcił kluczyk w stacyjce. Decker na tylnym siedzeniu przytrzymał Beth, żeby nie stoczyła się na podłogę. oldsmobile ruszył pędem.

- Jak z nią? - spytał Esperanza.

- Opaska powstrzymała krwawienie, ale muszę teraz ją poluzować. Jeśli krew nie będzie krążyła w nodze, Beth dostanie gangreny. - Decker rozluźnił pasek i z przestrachem zobaczył, jak trysnęła krew. Szybko sięgnął do swojej torby leżącej na podłodze, złapał koszulę i przyłożył do rany, robiąc z niej opatrunek uciskowy. Przyniósł się do Beth leżącej na tylnym siedzeniu. - Łaskocze cię w żołądku? Widzisz podwójnie?

- Mam zawroty głowy.

- Trzymaj się. Zawieziemy cię do lekarza.

- Dokąd? - spytał Esperanza.

- Z powrotem na Manhattan. Gdy jechaliśmy do Closter, kierowaliśmy się na zachód. Skręć w następną w lewo i później znowu w lewo.

- Na wschód. W stronę autostrady - zrozumiał Esperanza.

- Tak. A dalej na południe. - Decker pogładził Beth po policzku. - Nie bój się. Jestem przy tobie. Wszystko będzie dobrze. Beth ścisnęła mu dłoń.

- McKittrick jest chory psychicznie.

- Jeszcze bardziej niż w Rzymie - powiedział Decker.

- W Rzymie? - Esperanza zmarszczył brwi, spoglądając na Deckera. O czym ty mówisz? Decker wahał się przez chwilę. Nie chciał nikomu opowiadać o Rzymie. Ale Beth i Esperanza pośrednio niemal stali się ofiarami tego, co się tam wydarzyło. Mieli prawo znać prawdę. Od tego mogło zależeć ich życie. Decker opowiedział im... o dwudziestu trzech zabitych Amerykanach... o Renacie, o McKittricku i o tym zalanym deszczem dziedzińcu, na którym Renata została postrzelona.

- Ona jest terrorystką? spytał Esperanza.

- McKittrick się w niej zakochał - wyjaśnił Decker. - Po tym, jak misja w Rzymie wzięła w łeb, nie chciał uwierzyć, że Renata go oszukała. Sądzę, że odnalazł ją, żeby zmusić do powiedzenia prawdy, ale wyjaśniła mu, że naprawdę jest w nim zakochana i teraz znowu go wykorzystuje. Po to, żeby dobrać się do mnie. Żeby zagarnąć pieniądze, które dał mu Giordano.

- Ona cię nienawidzi. - Beth ledwie mówiła. - Bez przerwy powtarzała coś na temat rewanżu. Jest opętana chęcią sprawienia ci cierpienia.

- Spokojnie. Nic nie mów.

- Nie. To jest ważne. Posłuchaj. Ciągłe wygłaszała tyrady na temat czegoś, co zrobiłeś jej braciom. Co im zrobiłeś?

- Braciom? - Decker szarpnął głową do tyłu. Znowu nawiedziły go koszmarne wspomnienia wydarzeń, które zaszły na dziedzińcu w Rzymie.

- To zemsta krwi - powiedział Decker, przerażony. Nawiedziła go fala mdłości, gdy zdał sobie sprawę, że Renata nienawidzi go jeszcze bardziej niż McKittrick. Wyobraził sobie, jak podsycają nawzajem swoją nienawiść, jak się nią upajają, jak coraz bardziej ogarnia ich obsesja zemsty. Ale jak wyrównać rachunki? Musieli o tym dyskutować bez końca. Co da im najwięcej satysfakcji? Mogli mnie po prostu zastrzelić z samochodu, pomyślał Decker. Ale zwykłe zabicie mnie by im nie wystarczyło. Chcieli, żebym się bał. Chcieli, żebym cierpiał. Zdziwiony wyraz twarzy Beth dał Deckerowi do zrozumienia, że wypowiedział swoje myśli na głos. Nie mógł się opanować.

- Nic by się nie wydarzyło w Santa Fe, gdyby Renata i McKittrick mnie nie śledzili. McKittricka wyrzucono z CIA, ale oficjalnie odszedł na własną prośbę. Jego dossier wyglądało na tyle ciekawie dla Amerykańskiej Agencji Rządowej, że go przyjęli. Cały czas obserwował, gdzie mieszkam. Gdy zostałaś mu przydzielona i gdy się dowiedział, że ten dom obok mojego jest na sprzedaż, powziął plan. Decker splótł ramiona. Chciał ocalić Beth i zadać jej trudne pytanie. Musiał się dowiedzieć.

- Czy wiedziałaś o mojej przeszłości, gdy spotkaliśmy się po raz pierwszy? Beth wciąż miała zamknięte oczy, nie odpowiedziała. Jej pierś uniosła się gwałtownie.

- Czy zanim przyszedł do mojego biura, McKittrick powiedział ci, że pracowałem dla CIA? Czy polecił ci, że masz mi się przypodobać, postarać się, żebym chciał spędzać z tobą cały wolny czas, i w rezultacie stał się twoim sąsiademochroniarzem? Beth nie odzywała się, oddychała z trudem.

- To miała być ich zemsta - powiedział Decker. - Tak mną manipulować, żebym się w tobie zakochał, a potem zdradzić cię mafii. Niszcząc twoje życie, mieli nadzieję zniszczyć także moje. A mafia jeszcze zapłaciłaby im za tę przyjemność.

- Widzę światła - przerwał Esperanza, skręcając szybko za róg. Przed nimi autostrada.

- Muszę to wiedzieć, Beth. Czy McKittrick kazał ci mnie uwieść? Wciąż nie odpowiadała. Jak skłonić ją do powiedzenia prawdy? Nagle, gdy dojechali do autostrady, blask mijających reflektorów oświetlił tylne siedzenie i Decker zobaczył, że Beth ma zamknięte oczy nie dlatego, że unika jego wzroku. Jej ciało było bezwładne, oddech płytki. Zemdląca.

Była 2.30 rano, gdy Esperanza, jadąc według wskazówek Deckera, zatrzymał się przed jednym z budynków na Manhattanie, przy Osiemdziesiątej Drugiej Zachodniej. O tak późnej porze ta zamożna dzielnica spała spokojnie, a zalana deszczem ulica wydawała się pusta. Nikt nie widział, jak Decker i Esperanza przenoszą Beth z samochodu do holu budynku. Decker, zmartwiony pogłębiającym się osłabieniem Beth, nacisnął domofon mieszkania numer 17. Tak jak sądził, nie musiał czekać długo, aż zaspany głos spyta, czego przybysz chce. Odpowiedź była natychmiastowa. Osoba znajdująca się na górze została zaalarmowana wcześniej telefonicznie. Decker zadzwonił z parkingu przy autostradzie. Odezwał się brzęczyk - sygnał, że zamek wewnętrznych drzwi holu został elektronicznie zwolniony. Decker i Esperanza minęli je szybko, zobaczyli, że winda już na nich czeka, i pojechali na czwarte piętro, denerwując się powolnym tempem jazdy dźwigu. W chwili kiedy drzwi windy otworzyły się, jakiś człowiek w pogniecionym, prawdopodobnie włożonym w pośpiechu ubraniu wyszedł szybko z mieszkania i pomógł wnieść Beth do środka. Mężczyzna był wysoki i niezwykle szczupły, miał wypukłe czoło i przyprószone siwizną wąsy. Decker usłyszał z tyłu jakiś odgłos, odwrócił się i zobaczył, że postawna kobieta o siwych włosach i zatroskanym wyrazie twarzy zamyka za nimi drzwi i przekręca zasuwkę. Mężczyzna poprowadził Deckera i Esperanzę na lewo, do jasno oświetlonej

kuchni, gdzie na stole leżała duża cerata. Ceraty były również rozpostarte na podłodze. Na odgrodzonym barierką bufecie czekały przygotowane narzędzia chirurgiczne. Na kuchence gotowała się woda. Kobieta, ubrana w zielony szpitalny kitel, wymamrotała do Deckera:

- Umyj ręce. Decker wykonał polecenie, tłocząc się z mężczyzną i z kobietą przy zlewie. Zdezynfekowali dłonie płynem o gorzkawym zapachu. Kobieta pomogła mężczyźnie założyć maskę chirurgiczną i gumowe rękawiczki, po czym dała znak Deckerowi, żeby pomógł jej założyć maskę i rękawiczki. Wprawnie rozcięła nożyczkami pokrwawione spodnie Beth, odsłaniając jej prawą nogę aż do bielizny. Teraz, gdy został usunięty opatrunek uciskowy, z poszarpanej dziury trysnęła krew.

- Kiedy to się stało? - Lekarz przycisnął odziany w rękawiczkę palec do ciała obok rany. Krwawienie ustało.

- Czterdzieści minut temu - odparł Decker. Woda deszczowa skapywała z niego na ceratę na podłodze.

- Jak szybko zatamowałeś krwotok?

- Niemal natychmiast.

- Ocaliłeś jej życie. Podczas gdy kobieta gąbkami chirurgicznymi wycierała ranę z krwi, lekarz potarł ranną nogę Beth wacikiem nasączonym alkoholem i zrobił jej zastrzyk. Objął ją, że jest to środek znieczulający, ale mimo to, gdy za pomocą szczypiec chirurgicznych badał wewnątrz rany, czy w środku nie pozostały jakieś odłamki, Beth zajęczała.

- Nie ręczę za to. Trzeba szybko zszyć i niezbyt dokładnie, żeby zatrzymać krwawienie. Potrzebne jej będzie prześwietlenie. Kroplówka. Może nawet zabieg mikrochirurgiczny, jeśli naruszona została arteria udowa. - Zrobił Beth kolejny zastrzyk. Tym razem dał antybiotyk.

- Kiedy już stąd wyjdzie, trzeba jej będzie podawać ten antybiotyk w regularnych odstępach czasu. Kobieta przetarła ranę brązowym środkiem dezynfekującym. Lekarz założył specjalne okulary, do jednego okularu dokręcił niewielką dodatkową soczewkę i przyjrzał się ranie dokładnie. Kiedy kobieta skończyła dezynfekować ranę, przyłożyła palec w odpowiednim miejscu, żeby lekarz mógł zacząć zszywać.

- Nie powinieneś do mnie dzwonić - doktor, pracując, złościł się na Deckera.

- Nie miałem wyboru. - Decker przyglądał się Beth. Jej twarz, wilgotna od deszczu i potu, miała szary kolor owsianki.

- Nie jesteś już w organizacji - powiedział lekarz.

- Nie wiedziałem, że o tym słyszałeś.

- To oczywiste. Inaczej nie przyszedłoby ci do głowy, żeby się ze mną skontaktować.

- Powiedziałem, jak było. Nie miałem wyboru. Poza tym, skoro wiedziałeś, że nie działam służbowo, nie musiałeś się zgodzić mnie przyjąć. Decker ujął Beth za rękę. Jej palce zacisnęły się na jego dłoni, jakby tonęła.

- Jeśli o to chodzi, to ja nie miałem wyboru. - Lekarz nie przerywał szycia. - Jak to mi obrazowo wyjaśniłeś przez telefon, gdybym ci nie pomógł, narobiłbyś zamieszania w tym budynku.

- Wątpię, by sąsiedzi zaaprobowali twoją postawę. Kobieta gniewnie podniosła wzrok.

- Skalałeś nasz dom. Wiesz, gdzie jest klinika. Mogłeś...

- Nie było czasu - usprawiedliwił się Decker. - Kiedyś mnie tu leczyliście.

- To był wyjątek.

- Znam inne wyjątki, które uczyniliście. Za słoną opłatę. Domyślam się, że to jest kolejny powód, dla którego zdecydowaliście się pomóc.

- Jak dużą opłatę masz na myśli?

- W swojej torbie mam łańcuch z osiemnastokaratowego złota, złotą bransoletę, sygnet z jadeitu i tuzin złotych monet.

- Nie pieniądze? - Lekarz zmarszczył brwi.

- To wszystko jest warte około dwunastu tysięcy dolarów. Włóżysz do skarpetki na cięższe czasy. Wierz mi, przydadają się, jeśli trzeba w pośpiechu wyjechać z kraju i nie można bezpiecznie udać się do banku.

- Nie miewam takich problemów.

- Na razie - stwierdził Decker. - Sugerowałbym, żebyś wykonał swoją pracę najlepiej, jak tylko potrafisz.

- Grozisz mi?

- Chyba źle zrozumiałeś. Tylko cię zachęcam. Lekarz srogo zmarszczył brwi i skupił się na zakładaniu kolejnych szwów.

- Biorąc pod uwagę okoliczności, moje honorarium za ten zabieg wynosi dwadzieścia tysięcy dolarów.

- Co?

- Uważam wspomniane przez ciebie przedmioty za przedpłatę. - Lekarz wyprostował się, przerywając pracę. - Czy moje honorarium stanowi problem? Decker spojrzał na w połowie zszytą dziurę w nodze Beth.

- Nie.

- Tak myślałem. - Lekarz wrócił do pracy. - Gdzie są te precjoza?

- Tutaj. W mojej torbie. - Decker sięgnął po torbę.

- A co z pozostałą kwotą? Otrzymasz ją.

- Skąd mam mieć pewność?

- Masz moje słowo. Jeśli to nie wystarczy... Esperanza przerwał spięcie.

- Wiecie co, czuję się bezużyteczny tak tutaj stojąc. W czymś pewnie mógłbym pomóc.

- Krew w holu i windzie - odezwała się kobieta. - Jeśli sąsiedzi zobaczą, wezwą policję.

Posprzątaj to. Jej apodyktyczny ton wskazywał, iż zdawało jej się, że rozmawia z latynoskim Służącym, ale mimo że ciemne oczy Esperanzy zabłysły, odpowiedział jedynie:

- Czego mogę użyć?

- Pod zlewem jest wiadro, ścierki i płyn dezynfekujący. Nie zapomnij założyć gumowych rękawiczek. Gdy Esperanza zebrał potrzebne mu rzeczy i wyszedł, kobieta założyła Beth na ramię rękaw do mierzenia ciśnienia. Wpatrywała się we wskaźnik. Ustał syk powietrza ulatującego z mankietu.

- Jakie ciśnienie? - spytał Decker.

- Sto na sześćdziesiąt.

- Niskie, ale w bezpiecznym przedziale.

- Ma dużo szczęścia - stwierdziła kobieta.

- Jasne, wystarczy na nią spojrzeć i widać samo szczęście.

- Sam nie wyglądasz zbyt dobrze. Zadzwoił telefon. Dzwonek był tak zaskakujący, że Decker, lekarz i jego żona zamarli, wpatrując się w aparat. Wisiał na ścianie obok zamrażarki. Znowu zadzwonił.

- Kto może telefonować o takiej porze?

- Mam pacjenta na oddziale intensywnej terapii. - Lekarz nie przerwał pracy. -

Powiedziałem w szpitalu, żeby mnie poinformowali, gdyby jego stan się pogorszył. Kiedy ty dzwoniłeś, też pomyślałem, że to w tej sprawie. Podniósł uwalane krwią dłonie i gestem przywołał żonę. - Nie mogę w rękawiczkach podnieść słuchawki. Telefon znowu zadzwonił.

- A ja nie chcę, żebyś przerywał to, co robisz. - Decker podniósł słuchawkę. - Halo?

- To było bardzo łatwe do przewidzenia, Decker. Na dźwięk zadowolonego głosu McKittricka Decker wstrzymał oddech. Ścisnął słuchawkę z taką siłą, że aż mu pobieleły kostki.

- Co się stało? - spytał McKittrick po drugiej stronie. - Nie jesteś nastrojony towarzysko? Nie chcesz rozmawiać? Nie ma sprawy. Będę mówił za nas obu.

- Kto to? - spytał lekarz. Decker podniósł rękę, dając mu znak, żeby się nie odzywał.

- Może nie jestem takim idiotą, za jakiego mnie miałeś, co? - spytał McKittrick. - Kiedy zobaczyłem, jak zaciskasz tej kobiecie pasek na nodze, pomyślałem sobie, dokąd, myśląc logicznie, ją zawiezie? I, na Boga, nie myliłem się. Kiedy przyjechałeś, obserwowałem cię z bramy kawałek dalej. Pewnie zapomniałeś, że mnie też poinformowano o tym miejscu. Nagle twoje ruchy są cholernie łatwe do przewidzenia. Wiesz, co myślę? Decker nie odpowiedział.

- Zadałem ci pytanie - domagał się McKittrick. - Lepiej ze mną rozmawiaj albo narobię ci więcej kłopotów, niż planowałem.

- Dobrze. Co myślisz?

- Myślę, że wychodzisz z wprawy.

- Mam tego dosyć - powiedział Decker. - Słuchaj mnie. Nasz układ pozostaje w mocy. Zostaw nas w spokoju. Nigdy więcej nawet o tobie nie pomyślę.

- Czy to pewne?

- Nie będę cię ścigał.

- Wydaje mi się, stary druhu, że nie rozumiesz, o co tu chodzi. To ja ścigam ciebie.

- Chciałeś powiedzieć: ty i Renata.

- A więc domyśliłeś się, kto był w samochodzie?

- Kiedyś nie byłeś tak dobry w tym rzemiośle. Dużo cię nauczyła.

- Tak? Ciebie też chce czegoś nauczyć, Decker. Chce cię nauczyć, jak to jest, gdy się traci kogoś bliskiego. Wyjrzyj przez okno. Przed budynkiem. Decker usłyszał trzask słuchawki i połączenie zostało przerwane.

- Kto to był? - dopytywał się lekarz. Wyjrzyj przez okno? - zastanawiał się z przerażeniem Decker. Po co? Żeby się pokazać? Żeby się wystawić na cel? Aż zrobiło mu się słabo, gdy uświadomił sobie, że Esperanza nie ma w pokoju. Detektyw wyszedł z mieszkania, aby posprzątać krew z holu i z windy. Czy zaczął przy wejściu? Czy McKittrick..

- Esperanza! - Decker rzucił się pędem z kuchni. Z impetem otworzył drzwi wyjściowe i wypadł do korytarza w nadziei, że zobaczy Esperanzę, jednak nikogo tam nie było. Wskazówka nad drzwiami windy pokazywała, że kabina znajduje się na parterze. Decker już miał wcisnąć przycisk przywołujący Ja, kiedy przypomniał sobie, jaka jest powolna. Rzucił się po schodach w dół.

- Esperanza! - Decker zbiegał po trzy stopnie naraz, odgłos jego kroków odbijał się echem w klatce schodowej. Dobiegł do trzeciego piętra, następnie do drugiego. - ESPERANZA! - Zdawało mu się, że słyszy stłumiony głos. - Decker wrzasnął: - Uciekaj z holu! Skryj się! - po czym zeskoczył sześć stopni na najniższą kondygnację. Usłyszał ciężki łoskot, jakby ktoś upuścił wiadro. - Na dole jest McKittrick i Renata! Szybko na górę! - Dotarł na półpiętro, odwrócił się znowu i zobaczył, że Esperanza stoi nieruchomo i patrzy na niego w górę. Decker zeskoczył z ostatnich stopni i uderzył Esperanzę w pierś, popychając go w stronę niszy w holu. W tym samym momencie hol wypełnił oślepiający grzmot. Ogłuszający wybuch z ulicy rozniósł szklane drzwi wejściowe. Padli na podłogę. Nad nimi latały kawałki drewna, metalu i szkła. Nagle hol zamarł w nienaturalny sposób, jakby wysysano z niego powietrze. Decker poczuł się podobnie, zabrakło mu oddechu. Leżąc w niszy obok Esperanzę, starał się znowu zacząć wdychać powietrze. Powoli, z bólem, udało mu się to. Spojrzał poprzez dym i dostrzegł odłamki szkła tkwiące w ścianach. Odważył się zerknąć w stronę ziejącego dziurą wejścia, gdzie przed budynkiem, w strefie zakazu postojów, w pośpiechu zaparkowali oldsmobile'a. Samochód, źródło eksplozji, był teraz pogiętym, rozbebeszonym, płonącym wrakiem.

- Jezu! - odezwał się Esperanza.

- Szybko. Na górę. Wstali z trudem. Gdy Decker rzucił się w stronę schodów, spojrział na bok i zobaczył jakąś postać z niewielkim przedmiotem w ręku, wbiegającą przez wyrwę w wejściu. Decker usłyszał, jak przedmiot, ciśnięty z dużą siłą, upada na podłogę. Ruszyli z Esperanzą pędem po schodach w górę. Kiedy dotarli do półpiętra, metalowy przedmiot

uderzył o drewno. Wpadł do windy? Jej drzwi były otwarte. Czyżby granat został wrzucony do... Fala uderzeniowa powaliła Deckera i Esperanzę na podłogę. Jeszcze bardziej spotęgowała ją ograniczona przestrzeń szybu windy. Klatka schodowa zadrżała i popękały zewnętrzne ściany szybu. Posypał się tynk. Hol wypełniły płomienie, dym unosił się do góry. Z jeszcze większym wysiłkiem Decker i Esperanza ruszyli dalej. Na następnym piętrze drzwi windy były wyrwane. Gdy przebiegali obok otwartego szybu, Decker zauważył w nim płomienie i dym. Odwrócił się gwałtownie, gdy z impetem otworzyły się drzwi jakiegoś mieszkania. Starszy mężczyzna w piżamie wybiegł, żeby zobaczyć, co się dzieje. Zaszokowany, szeroko otworzył oczy, gdy ujrzał płomienie i dym. Zaczął wyć alarm.

- Był wybuch! - wrzasnął Decker. - Hol się pali! Czy jest jakieś inne wyjście z budynku? Zanim mężczyzna zdołał wydać jakiś dźwięk, jego usta poruszyły się trzykrotnie.

- Wyjście przeciwpożarowe z tyłu.

- Uciekaj tamtędy! Decker pognął wyżej, za Esperanzą, który się nie zatrzymał. Na kolejnym piętrze wylegli inni mieszkańcy budynku, przerażeni kłębiącym się dymem.

- Zadzwońcie po straż pożarną! - wrzasnął Decker, mijając ich. - Winda wyleciała w powietrze! Klatka schodowa się pali! Uciekajcie wyjściem przeciwpożarowym! Drzwi mieszkania lekarza były otwarte. Decker wpadł do kuchni, gdzie Esperanza sprzeczał się z lekarzem.

- Nie wolno jej ruszać! - protestował lekarz. - Szwy się rozejdą!

- Do licha ze szwami! Jeśli tu zostanie, spłonie! Wszyscy spłoniemy! Podobno jest tu wyjście przeciwpożarowe! Gdzie ono jest? Lekarz wskazał w głąb korytarza.

- Trzeba wyjść przez okno w sypialni gościnniej. Decker pochylił się nad Beth.

- Musimy cię podnieść. Obawiam się, że to będzie bolało.

- Jest tam McKittrick?

- Nie żartował w motelu. Ściga mnie wraz z Renatą. Prędzej niż się spodziewałem.

- Rób, co trzeba. - Beth oblizła wyschnięte wargi. - Wytrzymam ból.

- Otworzę okno - powiedział Esperanza.

- Pomóżcie nam. - Decker zwrócił się do lekarza i jego żony. Telefon zadzwonił ponownie, zaskakując Deckera. Tym razem Decker nie miał wątpliwości, kto dzwoni. Chwył słuchawkę i wrzasnął:

- Już się wystarczająco zabawiłeś! Na miłość boską, przestań!

- Przecież dopiero zaczęliśmy - odezwał się McKittrick. - Urozmaić trochę swoje zachowanie. Na razie robisz dokładnie to, co przewidzieliśmy. Kto teraz jest idiotą? - McKittrick wybuchł donośnym śmiechem. Decker rzucił słuchawkę, odwrócił się do Beth i przyjrzał się grubej ceracie, na której spoczywała.

- Czy to pod nią wytrzyma?

- Można się przekonać tylko w jeden sposób. - Esperanza wszedł z powrotem przez okno w pokoju gościnnym. - Złap od góry. Ja wezmę za nogi. - Wykorzystując ceratę, unieśli Beth ze stołu i wynieśli z kuchni. Lekarz wszedł na klatkę schodową i przerażony szybko wrócił.

- Płonie korytarz i szyb windy.

- Prosiłem o pomoc! - Esperanza spojrzał gniewnie przez ramię, niosąc część ceraty, na której spoczywały nogi Beth.

- Weź biżuterię - lekarz zwrócił się do swojej żony i wybiegł z pokoju.

- I nie zapomnij złotych monet, ty sukinsynu! - krzyknął Decker. Schyłony, posuwając się tyłem i trzymając część ceraty, na której spoczywały barki Beth, wkroczył do sypialni. Uderzył boleśnie o ścianę za sobą, odwrócił się i wyjrzał przez otwarte okno. Skryte w mroku schody przeciwpożarowe prowadziły na tył budynku, do miejsca, które mogło być patio. Usłyszał, jak przerażeni mieszkańcy budynku schodzą nieporadnie po metalowych schodach.

- Łatwe do przewidzenia - powiedział Decker. - McKittrick i Renata spodziewają się, że tędy właśnie pójdziemy.

- O czym ty mówisz? - spytał Esperanza.
- To pułapka. McKittrick zna to miejsce. Miał czas, żeby sprawdzić rozkład budynku.
Będzie czekał z Renatą na nas na dole.
- Ale nie możemy tu zostać! Utkniemy w ogniu!
- Jest inna droga.
- Na górę - domyśliła się Beth.
- Właśnie. Esperanza patrzył z niedowierzaniem.
- Na dach - powiedział Decker. - Przejdziemy kilka budynków, dotrzemy do innych schodów przeciwpożarowych przy końcu ulicy i znieśliśmy Beth tamtędy. McKittrick nie będzie wiedział, dokąd poszliśmy.
- A jeśli płomienie rozprzestrzenia się na sąsiednie budynki i odetną nam drogę? - spytał Esperanza.
- Nie mamy wyboru - odparł Decker. - Jeśli spróbujemy znieść Beth po schodach przeciwpożarowych, będziemy łatwym celem. - Wysunął Beth głowę do przodu przez okno. Jej plecy spoczęły na parapecie. Następnie przecisnął się obok niej i wyciągnął ją dalej przez otwór okienny. Po chwili Beth leżała na śliskim metalowym podeście, a deszcz smagał jej twarz. Decker dotknął jej czoła.
- Jak się czujesz?
- Nigdy nie czułam się lepiej.
- No pewnie.
- Nie jestem ciebie warta.
- Mylisz się. - Decker pocałował ją w policzek. Esperanza wyszedł przez okno i dołączył do nich.
- Cokolwiek było w tej bombie, miało ogromną siłę rażenia. Płomienie rozprzestrzeniają się szybko. Wejście do mieszkania już się pali. Decker spojrział poprzez deszcz w stronę dachu budynku, niedaleko ponad nimi.
- Lepiej dostańmy się tam, zanim płomienie ogarną dach. - Gdy podnosili Beth, Decker usłyszał zbliżające się syreny.
- Przyjedzie nie tylko straż pożarna, ale również policja. - Esperanza podążał za Deckerem po schodach przeciwpożarowych. - McKittrick i Renata nie podejmą żadnych działań przeciwko nam w obecności policji.
- Albo będą liczyli, że w tym zamieszaniu policja nie zorientuje się, co się dzieje. Z okna poniżej buchnęły płomienie i oświetliły ich na metalowych schodach.
- Jezu, teraz nas widzieli. - Decker stęzał, oczekując uderzenia pocisku w pierś.
- Może nie. - Esperanza z pośpiechem podążał na górę. - A nawet jeśli widzieli, mogli nie zauważyć, że posuwamy się do góry, a nie w dół. Doszli do podestu. Beth jęknęła, gdy Decker był zmuszony odwrócić ją nieporadnie, żeby pokonać ostatni odcinek na dach. Buty poślizgnęły mu się na mokrym metalu i potknął się, niemal ją upuszczając.
- Jesteśmy blisko. Ogień huczał.
- Jeszcze troszkę. Syreny po drugiej stronie budynku rozbrzmiewały już niezwykle głośno. Idąc tyłem, Decker uderzył pośladkami o niewysoki murek okalający dach. Ostatkiem sił przełożył jedną, potem drugą nogę ponad murkiem, podciągnął Beth, poczekał, aż dołączy do nich Esperanza, i w końcu opuścił Beth na ziemię. Opadł bez sił, oddychając ciężko.
- Nic ci nie jest? - Esperanza pochylił się nad nim.
- Muszę tylko chwilę odpocząć.
- Nie mam pojęcia po czym. - Esperanza zmrużył oczy przed deszczem. - Ten murek przynajmniej nas osłania przed strzałem. Decker miał drętwe ze zmęczenia ramiona i nogi.
- McKittrick i Renata będą się zastanawiali, dlaczego nie schodzimy. Musimy się stąd wynieść, zanim domyślą się, co robimy.
- Odpocznij jeszcze chwilę - powiedziała Beth.

- Nie ma czasu. Beth spróbowała się podnieść.

- Może dam radę iść.

- Nie. Porozrywasz szwy. Wykrwawiłabyś się na śmierć. Na lewo było zaledwie kilka budynków do końca ulicy. Należące do nich schody przeciwpożarowe znajdowały się zbyt blisko miejsca, gdzie na dole czekał McKittrick i Renata. Na prawo jednak domy ciągnęły się daleko i to dawało im szansę, że wydostaną się z tego rejonu. Decker ukucnął i uniósł Beth. Począł, aż Esperanza zrobi to samo, i ruszył tyłem.

- Za tobą ostrzegł Esperanza. - Szyb wentylacyjny. Decker ominął sięgającą pasa przeszkodę, odwracając głowę, żeby nie wdychać wydobywającego się stamtąd gęstego dymu.

- Nadbudówka szpuli windy - ostrzegł Esperanza. Decker ominął również tę przeszkodę, zaniepokojony, że w szczelinach nadbudówki zauważył płomień.

- Pożar rozprzestrzenia się coraz szybciej. Przed budynkiem zaryczało jeszcze więcej syren. Decker spojrzął za siebie i zauważył, że sąsiedni budynek jest o piętro wyższy.

- Jak zdołamy...

- Po mojej prawej - powiedział Esperanza. - Metalowa drabinka przytwierdzona do ściany. Decker dobrnął tyłem do drabinki.

- Jedyne sposoby, jaki przychodzi mi do głowy, żeby ją pokonać to... Z trudem łapał oddech. - Beth, nie mam siły przenieść cię na ramieniu. Czy sądzisz, że dasz radę ustać na zdrowej nodze?

- Oczywiście.

- Ja wejdę na górę, a Esperanza będzie cię podtrzymywał. Kiedy się wychylę w dół, podasz mi dłonie. Podciągnę cię za ręce. Gdy wraz z Esperanza pomogli Beth wstać, opierając ją o ceglana ścianę, Decker zebrał siły, żeby wspiać się na sąsiedni budynek. Na górze, gdzie w plecy bębnił mu deszcz, wychylił się znad krawędzi.

- Gotowa? Wyteżył siły, żeby ją wciągnąć. Niemal wpadł w panikę, gdy zorientował się, że nie da rady. Nagle Beth stała się nieco lżejsza.

- Opieram zdrową nogę o szczebel drabiny - powiedziała. - Wciągaj mnie stopniowo. Decker wykrzywił się z wysiłku i pociągnął mocniej. Powoli, szczebel po szczeblu, Beth dotarła na górę. Decker chwycił ją teraz za bark i wciągnął wyżej. Ujrzał ciemny zarys przemoczonej głowy, wsunął ręce pod ramiona Beth, wciągnął ją na dach i delikatnie posadził, po czym położył się obok. Buty Esperanzy zastukały na metalowej drabince. Szybko dotarł na górę z ceratą zwiniętą pod pachą. Za nim z przewodów wentylacyjnych i z nadbudówki szpuli windy buchał ogień. Schody przeciwpożarowe spowijał dym.

- Nawet gdybyśmy chcieli, nie możemy tamtędy wrócić - stwierdził Decker. Rozłożyli ceratę, ułożyli Beth i podnieśli ją, posuwając się pośród kolejnych szybów wentylacyjnych i nadbudówek. Decker potknął się o rurę. Uderzył o antenę telewizyjną. W blasku płomieni zobaczyli krawędź budynku i dach sąsiedniego domu nieco niżej.

- Już niedługo - powiedział Decker. Nagle potężny impet powietrza zwałił go z nóg. Nie był w stanie utrzymać Beth, upadł obok niej i usłyszał jej krzyk. Dopiero wtedy dotarło do niego... To nie był grom, lecz kolejna bomba. Odgłos wybuchu odbił się echem pośród nocy. Decker położył się na brzuchu, wyciągnął pistolet i wpatrywał się przed siebie, w stronę gdzie została zmieciona niewielka nadbudówka na dachu. Nagle usłyszeli donośny głos:

- Znów łatwo przewidzieć, co zrobisz! Jezu, pomyślał Decker. McKittrick jest na dachu!

- Znowu wpadłeś jak śliwka, co?! - wrzasnął McKittrick. - Ostrzegłem cię, a postąpiłeś tak, jak się spodziewałem! Nie jesteś tak cholernie bystry, jak ci się zdaje!

- Przestań! - krzyknął Decker. - Nasze wspólne sprawy są już zakończone!

- Nie są, dopóki żyjesz! Głos dobiegał gdzieś z lewej strony. Brzmiał, jakby McKittrick ukrywał się za nadbudówką windy. Decker ukucnął z palcami zaciśniętymi na pistolecie, gotów do ataku.

- Policja słyszała ten wybuch, McKittrick! Teraz wiedzą, że to nie jest zwykły pożar! Obstawiają teren i będą sprawdzać każdego, kto zechce go opuścić! Nie uciekniesz!

- Będą sądzili, że wyleciały w powietrze jakieś materiały palne przechowywane w budynku! Materiały palne? Nie było wątpliwości - Renata go szkoliła. I była gdzieś w pobliżu.

- Puszki z farbą! terpentyna! Środki czyszczące! - wrzasnął McKittrick. - W czasie pożaru policja bardzo się przejmuje takimi rzeczami! Teraz ze strachu, że jeszcze coś wybuchnie, będą się trzymali z daleka! Za Deckerem z dachu położonego poniżej buchnęły płomienie. Nie możemy wrócić, a jeśli tu zostaniemy, płomienie szybko nas osiągną, pomyślał.

- Esperanza? - szepnął.

- Jestem gotów, jeśli ty jesteś. W którą stronę?

- W lewo.

- Będę cię osłaniał.

- Teraz. - Decker popędził przez kałuże w stronę dużego szybu wentylacyjnego i dalej, ku następnemu. Właśnie miał ruszyć do nadbudówki windy, gdy nagle przestała istnieć. Z oślepiającym hukiem rozprysła się na kawałeczki. Deckera rzuciło na plecy. Nad jego głową poszybowały kawałki odłamków i rozsypały się wokół.

- Źle wybrałeś, Decker! Tam mnie nie ma! I na prawo od ciebie też mnie nie ma! Tam gdzie próbują zacziąć się na mnie twoi przyjaciele! Chwilę później wybuch w tamtej części wyrwał wielki kawał dachu. Deckerowi wydawało się, że usłyszał krzyk, ale nie był pewien, czy był to krzyk Esperanzy, czy mieszkańców budynku. Poczul się sparaliżowany, nie był pewien, w którą stronę powinien się ruszyć. McKittrick musiał podłożyć ładunki na całym tym dachu i na sąsiednich, pomyślał. Ale kiedy miał na to czas, skoro dzwonił z automatu? Zatrważająca odpowiedź była natychmiastowa i oczywista. McKittrick nie korzystał z automatu. Dzwonił z telefonu komórkowego. Z dachu. Gdy podłączał ładunki. To Renata musiała wysadzić w powietrze oldsmobile'a przed domem i wrzucić bombę samozapalającą do holu. To ona jest na dole, na podwórku. W ten sposób, w którąkolwiek stronę byśmy się udali, w górę czy w dół, bylibyśmy w pułapce. Jesteśmy w pułapce, poprawił się w myślach Decker. Za nami jest pożar. Przed nami McKittrick. A schody przeciwpożarowe tego budynku? Decker zastanawiał się rozpaczliwie. Huk płomieni stawał się coraz głośniejszy. Jeśli udałoby nam się do nich dotrzeć... To zbyt oczywiste. Muszę przyjąć, że McKittrick również na nich podłożył ładunki. Nawet jeśli nie, wciąż znajdowałibyśmy się w potrzasku pomiędzy Renatą na podwórku i McKittrickiem na dachu. Decker poderwał się, żeby zaryzykować kolejny, szaleńczy atak. Ale kiedy tylko się ruszył, wybuch zachwiało dachem przed nim i zwałił Deckera z nóg, robiąc w poszyciu następną ogromną wyrwę.

- Oj niegrzeczny, niegrzeczny dupek! Nie spytałeś: „Czy mogę?” Gdzie on jest? - zastanawia) się przerażony Decker. Gdyby McKittrick był na tym dachu, nie detonowałyby bomb, które tu ukrył. Nie miałby pewności, że nie wyleci w powietrze razem ze mną. Więc gdzie? Znowu odpowiedź nadeszła niespodziewanie. Na sąsiednim dachu. W blasku płomieni zobaczył, że sąsiedni dach jest położony niżej. McKittrick musi stać na drabince przytwierdzonej do ściany, na jakiejś kracie albo na technicznym elemencie konstrukcji budynku. Ukryty, może spoglądać ponad krawędzią ściany i kryć się, gdy detonuje bomby. Decker wycelował, zobaczył coś, co mogło być głową wystającą nieznacznie z ciemności za budynkiem, chciał już pociągnąć za spust, gdy zdał sobie sprawę, że jest to tylko poruszający się cień, powstały od płomieni. Z tyłu pożoga przybliżała się szybko. Ulewa tylko nieznacznie powstrzymywała jej postęp.

- No i co będzie?! - wrzasnął McKittrick. - Masz zamiar czekać, aż się upieczesz? Czy masz dość ikry, żeby spróbować mnie dopaść? Tak, dopadnę cię, pomyślał Decker ze złością. McKittrick sam ułatwił Deckerowi zadanie. Ostatnia bomba wyrwała w dachu dużą dziurę. Decker ruszył w tamtą stronę przez kałuże, czując obezwładniający podmuch gorąca z dachu

za sobą, dopadł do ciemnej wyrwy i wskoczył do środka. Spadł na stół, który załamał się pod siłą upadku, stoczył się na wyściełane krzesło, które nie utrzymało jego ciężaru, i Decker poturlał się na zasłaną gruzem podłogę. Kotary w pokoju były zaciągnięte i panowała niemal absolutna ciemność - tak mu się przynajmniej wydawało. Poprzez dziurę w dachu usłyszał, jak McKittrick krzyczy:

- Decker, niech ci się nie wydaje, że możesz się przede mną schować! Decker obolały podniósł się i ruszył po omacku, próbując znaleźć wyjście. Wyły alarmy przeciwpożarowe. Nie ośmielił się zapalić światła - nagła jasność w wyrwie w dachu nie pozostawiłaby wątpliwości, dokąd się udał. Z zawrotnym biciem serca dotknął klamki, przekręcił ją i otworzył drzwi, ale kiedy ruszył przed siebie, zaplątał się w cierpko pachnących ubraniach i domyślił się, że otworzył garderobę.

- Decker? - krzyknął McKittrick z góry. - Jeśli jesteś za tym szybem wentylacyjnym... Mieszkaniem wstrząsnął wybuch, posypał się tynk. Decker odszukał drugie drzwi, otworzył je i poczuł gwałtowny przypływ nadziei, kiedy dojrzał przyćmione światła za oknami. Znajdował się na końcu korytarza. Popatrzył na dół przez pokryte kroplami deszczu okno i zobaczył przed budynkiem zamieszanie spowodowane przez wozy strażackie, samochody policyjne i pracowników służb specjalnych. Błyskały światła, warczały silniki, zawodziły syreny. Odziani w piżamy mieszkańcy sąsiednich budynków wychodzili z nich w pośpiechu, choć bram nie wypełniły jeszcze płomienie. Wszędzie kłębił się dym. Decker, nie mogąc sobie pozwolić na chwilę odpoczynku, odwrócił się i pobiegł korytarzem, żeby dostać się do tylnej części mieszkania. Minął otwarte drzwi, które prowadziły na ciemne schody, i domyślił się, że właściciele tego lokalu opuścili go w pośpiechu. Ta dogodna droga ucieczki dla niego była bezużyteczna. Nie myślał o sobie. Musiał ocalić Beth i Esperanzę. Zanim ostrzegł go zapach świeżej emalii, wpadł na puszki z farbą i drabinę. Potykając się dotarł na tył budynku i odkrył, że schody przeciwpożarowe nie znajdują się za oknem pokoju gościnnego, ale przy końcu korytarza. Szarpnięciem podciągnął okno i wypełził na śliski metalowy podest. Płomienie buchające z okien budynku na prawo odbijały się w schodach przeciwpożarowych. Modlił się, żeby Renata nie zauważyła go z dołu, gdy sunął w stronę schodów przeciwpożarowych nie naruszonej kamienicy po lewej stronie. Liczył na to, że te dwa ciągi schodów przeciwpożarowych będą na tyle blisko siebie, że przeskoczy z jednych na drugie. Z rozpaczą stwierdził, że drugie schody przeciwpożarowe są oddalone o co najmniej dwadzieścia stóp. Nawet przy najbardziej sprzyjających okolicznościach - w świetle dziennym, w szczytowej formie - nie udałooby mu się ich dosięgnąć. Beth umrze tam na górze, zastanawiał się, musi być jakiś sposób, by wydostać się stąd. Wślizgnął z powrotem do mieszkania. Dym zgęstniał. Decker zaczął kaszleć i musiał się schylić. Wszedł do sypialni odchodzącej od korytarza, otworzył okno i wyjrzał przez nie. Był teraz bliżej schodów przeciwpożarowych sąsiedniego budynku. Odległość wydawała się nie większa niż dziesięć stóp, ale wciąż nie mógł liczyć, że uda mu się skoczyć z okna i dosięgnąć podestu. Musi być jakiś sposób! Z dreszczem uświadomił sobie jaki. Pobiegł z powrotem do korytarza. Płomienie zaczęły przegryzać się przez ściany. Omijając puszki z farbami, wziął drabinę, o którą przedtem się potknął, i wniósł ją do pokoju. Boże, błagam, niech będzie wystarczająco długa. Resztkami sił wysunął drabinę przez otwarte okno w stronę schodów przeciwpożarowych sąsiedniego budynku. Błagam! Drgnął, gdy wierzchołek drabiny zazgrzytał, przesuwając się nad barierką podestu schodów. Czy McKittrick usłyszał? Coś zagrzmiało. Kolejny wybuch? Czy Beth i Esperanza jeszcze żyją? Nie ma czasu! Decker wyczołgał się przez okno i położył się płasko na szczeblach drabiny. Zrobiła się już śliska od deszczu. Wygięła się pod jego ciężarem. Zaczęła się kołysać. Wyobraził sobie, że drabina nie wytrzyma jego ciężaru. Odpędził koszmarnie myśli i skupił uwagę całkowicie na schodach przeciwpożarowych, do których się zbliżał. Trzęsły mu się ręce. Deszcz zalewał mu oczy. Wiatr szarpał drabinę. Nie. Wyciągnął lewe ramię do granic możliwości, wysilił się, żeby dosięgnąć barierki, i nagle silniejszy podmuch wiatru popchnął drabinę. Jej koniec zsunął

się ze zgrzytem z poręczy. W chwili gdy Decker zaczął spadać wraz z drabiną, rzucił się w ciemność. Lewą ręką dosięgnął poręczy. Ledwie utrzymał się na mokrym metalu. Podciągnął się do góry, zacisnął drugą rękę wokół Barierek i zawisł bez tchu. Drabina połamała się na bruku. Ktoś krzyknął na dole. Czy McKittrick domyślił się, co oznaczają te dźwięki? Czy przyjdzie sprawdzić? Decker powoli, z wysiłkiem podciągnął się do góry. Deszcz smagał go po twarzy. Wreszcie przechylił się i upadł na podest. Skulił się od wibrującego dźwięku metalu, jaki wywołał upadkiem. Drżąc zerwał się na nogi i z kieszeni spodni wyciągnął pistolet. Gotowy do strzału, pokonał chyłkiem ostatni ciąg schodów. Nigdy nie czuł się tak wyczerpany, jednak jego determinacja okazała się silniejsza. Dotarł na szczyt i rozejrzał się wokół. McKittrick stał na drabinie, która prowadziła na dach, gdzie była uwięziona Beth i Esperanza. Tkwił w połowie wysokości drabinki i spoglądał ponad krawędzią muru. Mógł używać zdalnie sterowanego detonatora i wysadzać bomby bez obawy, że jakiś odłamek go zrani. Decker podkrał się poprzez deszcz w kierunku McKittricka.

- Gdzie, u diabła, jesteś?! - wrzasnął McKittrick w stronę sąsiedniego dachu. - Odpowiedz mi albo wysadzę tę kobietę w powietrze, tak że będzie fruwać nad całym Manhattanem! Leży tuż obok pakunku! Wystarczy, że nacisnę guzik! Decker bardzo chciał strzelić, pociągając za spust raz po razie, ale nie odważył się, ze strachu, że McKittrickowi wystarczy siły, żeby nacisnąć detonator i zabić Beth. A był już tak blisko ocalenia jej. Usłyszał ciężki odgłos kroków na schodach przeciwpożarowych i padł szybko za szybem wentylacyjnym. Na szczycie metalowych schodów pojawiły się nagle ciemne postacie. McKittrick odwrócił się gwałtownie w stronę trzech strażaków. Teraz było ich widać już wyraźnie. Z kasków kapala im woda, w ciężkich, gumowanych pelerynach i w butach błyszczących od deszczu odbijały się płomienie. McKittrick lewą ręką trzymając się drabinki, prawą wyciągnął zza paska pistolet. Zastrzelił całą trójkę. Dwóch padło na miejscu. Trzeci cofnął się chwiejnym krokiem i spadł z krawędzi dachu. Huk płomieni zagłuszył odgłos strzałów i krzyk strażaka spadającego na dół. Wciąż przytrzymując się lewą ręką drabinki i jednocześnie ściskając w niej detonator, McKittrick niezdarnie usiłował zatknąć pistolet z powrotem za pasek. Korzystając z nieuwagi McKittricka, Decker wyskoczył zza szybu wentylacyjnego, dopadł drabinki i skoczył, starając się chwycić detonator. Złapał go i spadając wyrwał McKittrickowi z dłoni, niemal zrzucając przeciwnika z drabinki. McKittrick zaklął i spróbował znów unieść pistolet, ale broń zahaczyła o pasek. Decker strzelił za późno - McKittrick zrezygnował z wydostania pistoletu i zdążył zeskoczyć z drabinki. Pocisk uderzył w ścianę, McKittrick powalił Deckera na dach i potoczyli się przez kałuże. Decker miał zajęte ręce - w lewej trzymał detonator, w prawej pistolet. Był w zbyt niewygodnej pozycji, żeby dobrze wycelować broń. McKittrick spadł na niego, uderzył i spróbował odebrać detonator. Decker kopnął go kolanem i odtoczył się, żeby znaleźć się w odległości odpowiedniej do strzału, jednak cios wymierzony w krocze McKittricka nie był wystarczająco mocny i nie powstrzymał go od rzucenia się za Deckerem. McKittrick wytrącił Deckerowi pistolet z dłoni. Broń z chłapnięciem wpadła w kałużę. McKittrick rzucił się za nią, ale Decker zdołał wymierzyć mu mocnego kopniaka. McKittricka odrzuciło od broni. Decker zachwiał się do tyłu. Uderzył w obmurówkę i niemal wypadł poza nią. McKittrick znów usiłował wyciągnąć pistolet zza paska. Decker nie miał pojęcia, gdzie upadła jego broń. Ściskając kurczowo detonator, obrócił się szybko, żeby skryć się na schodach przeciwpożarowych, poślizgnął się na czymś, co upuścił jeden ze strażaków, domyślił się, co to jest, wolną ręką podniósł toporek strażacki i cisnął nim w stronę McKittricka w tym samym momencie, kiedy McKittrick wyszarpnął pistolet zza paska. Decker usłyszał śmiech McKittricka. Następnie do jego uszu dotarł odgłos toporka uderzającego w twarz McKittricka. Początkowo Decker pomyślał, że McKittricka uderzyła tępa rękojeść. Ale toporek nie upadł. Ugodził McKittricka w czoło. McKittrick zatoczył się, jakby był pijany, i runął. Decker jednak nie był pewien efektu. Rzucił się przed siebie, podniósł pistolet

McKittricka i z nadzieją, że huk ognia zagłuszy odgłos wystrzałów, strzelił McKittrickowi trzy razy w głowę.

- Decker! Był tak oszołomiony, że w pierwszej chwili nie usłyszał, że Esperanza krzyczy do niego.

- Decker! Odwrócił się i zobaczył Esperanzę na dachu, gdzie McKittrick porozmieszczał ładunki wybuchowe. Za Esperanza podniosły się płomienie, sycząc na deszczu. Decker zrobił krok, ale się zachwiał. Szok i zmęczenie w końcu zaczynały zwyciężać. Jednak nie mógł się zatrzymać. Nie wtedy, gdy był tak bliski ocalenia Beth. Na wpeł przytomnie dotarł do drabinki. Nie wiedział, w jaki sposób się na nią wdrapał. Wraz z Esperanza ominęli zięjące wyrwy w dachu i odnaleźli Beth, która czołgała się w desperackim wysiłku uciekając przed ogniem. Cerata, na której leżała, zaczęła się palić. Gdy Decker pomagał Esperanzie podnieść Beth, powiedział:

- McKittrick nie żyje.

- Dzięki Bogu - zamruczała Beth.

- Ale zostaje jeszcze Renata. - Podpierając Beth z dwóch stron, Decker i Esperanza oddalili się od pożogi i skierowali w stronę drabinki. Decker znów poczuł, że traci świadomość. Nie pamiętał, jak sprowadzili Beth w dół po drabince, ale zachował dość przytomności umysłu, żeby się zatrzymać i oprzeć Beth o Esperanzę i pochylić nad zwłokami McKittricka.

- Co się stało? - spytał Esperanza. - Dlaczego się zatrzymujesz? Decker, zbyt zmęczony, żeby wyjaśnić, przeszukał mokre ubranie McKittricka i znalazł to, czego szukał: kluczyki od samochodu. McKittrick chwalił się przez telefon, że obserwował z końca ulicy, jak Decker przyjechał do lekarza. Mieli spore szansę na znalezienie pontiaca, którego McKittrick używał. Ale Decker musiał znaleźć coś jeszcze. McKittrick wytrącił mu z ręki pistolet. Broń nie może tu zostać. Spróbował odtworzyć przebieg bijatyki i potknął się o pistolet w kałuży. Włożył go za pasek. Zachwiał się od zawrotów głowy.

- To jeszcze nie koniec.

- O czym ty mówisz?

- McKittrick. Nie możemy go tak zostawić. Nie chcę, żeby go zidentyfikowano. Ponieśli nieporęczne, bezwładne ciało McKittricka w stronę drabinki. Esperanza wdrapał się na dach. Decker z wysiłkiem podźwignął ku niemu trupa i wszedł za nim. Złapali McKittricka za ręce i nogi i przysunęli się jak najbliżej płomieni. Po chwili ciało zniknęło w ogniu. Decker rzucił za nim toporek. Przez cały czas obawiał się Renaty. Ostrożnie wrócili z Esperanza do miejsca, gdzie posadzili Beth. Przeszli z nią przez dach, ale kiedy spróbował otworzyć drzwi, okazało się, że są zamknięte.

- Odwróćcie się powiedział Esperanza. Stojąc pod kątem, tak żeby pociski nie poleciały rykoszetem w jego stronę, odstrzelił zamek, kopnął drzwi i już mogli ruszać dalej. Wewnątrz, poza zasięgiem deszczu, widniała słabo oświetlona klatka schodowa. Nie było słyhać mieszkańców zbiegających po schodach.

- Nie mogli nie słyszeć syren. Pewnie wszyscy się już ewakuowali stwierdził Decker.

- Ale ogień nie dotarł aż tak daleko. Możemy bezpiecznie skorzystać z windy - powiedział Esperanza. Zjechali windą na parter. Gdy weszli w tłok i chaos na ulicy, gdzie warczały silniki, słyhać było szum lanej wody i krzyki ludzi, zaczęli z trudem przeciskać się przez tłum. Mrużyli oczy przed migoczącymi światłami.

- Mamy ranną kobietę - powiedział Esperanza. - Proszę nas przepuścić. Przecisnęli się chodnikiem w prawo, minęli wóz strażacki i udało im się uniknąć pielęgniarzy, którzy biegli do kogoś po drugiej stronie wozu. Decker czuł, jak Beth kuli się z bólu przy każdym ruchu.

- Jest pontiac - powiedział Esperanza. Stał blisko skrzyżowania, nowy model, niebieski, najprawdopodobniej należał do McKittricka. Decker wsadził kluczyk do stacyjki. Kluczyk pasował. Pół minuty później Beth leżała na tylnym siedzeniu, Decker klęczał obok niej na podłodze, a Esperanza siedział za kierownicą. Drogę zagroziła im karetka pogotowia.

- Przytrzymaj Beth - powiedział Esperanza.

- Co masz zamiar zrobić?

- Mały objazd. - Esperanza zapalił silnik, włączył bieg i zakręcił mocno kierownicą w prawo. Wciskając gaz, wjechał pędem na chodnik. Beth jęknęła. Decker pochylił się, usiłując powstrzymać ją od ześlizgnięcia się z siedzenia. Piesi rozpięzchli się, a Esperanza poprowadził pontiaca chodnikiem, dojechał do rogu i zjechał z krawężnika. Beth znowu sieknęła. Bolało ją coraz bardziej.

- Wystarczy. - Esperanza spojrział w lusterko wsteczne, popędził do następnego rogu i skręcił. - Nikt za nami nie jedzie. Teraz, ludziska, możecie się odprężyć. Delektujcie się przejażdżką. Deckera nikt nie musiał do tego zachęcać. Był tak wyczerpany, że oddychanie sprawiało mu trudność. Co gorsza, nie mógł opanować drgawek, częściowo na skutek nadmiernej dawki adrenaliny, ale przede wszystkim, ponieważ przemarzył do szpiku kości przebywając tak długo na deszczu.

- Esperanza?

- Co?

- Znajdź jakieś miejsce, gdzie moglibyśmy odpocząć. Szybko.

- Czy coś...

- Chyba zaczynam mieć... - Decker mówił słabym głosem - ...hypotermię.

- Boże.

- Muszę zdjąć to mokre ubranie.

- Włóż dłonie pod pachy. Nie zasypiaj. Czy jest tam z tyłu jakiś koc albo coś?

- Nie. - Decker szczykał zębami.

- Jedyne, co na razie mogę zrobić, to włączyć ogrzewanie - powiedział Esperanza. - Znajdę jakiś bar i kupię gorącą kawę na wynos. Trzymaj się, Decker.

- Trzymaj się? Jasne. Stulam się tak mocno, że...

- Przytul mnie odezwała się Beth. Mocniej. Spróbuj ogrzać się moim ciepłem. Przytulił się do niej mocno, ale jej głos docierał gdzieś z bardzo daleka.

* * *

Deckerowi śniła się Renata; wysoka, szczupła, ciemnowłosa kobieta o groteskowym głosie, z ziejącą dziurą w gardle. Wydawało się, że pochyła się nad nim, że za chwilę zmiażdży mu głowę kamieniem. Już był gotów wymierzyć jej cios, gdy zdał sobie sprawę, że to nie Renata się nad nim pochyła, lecz Beth, i że przedmiot nie jest kamieniem, ale ściereczką. Był z nią jeszcze ktoś - Esperanza. Przytrzymał go.

- Spokojnie. Jesteś bezpieczny. Chcemy ci pomóc. Decker zamrugał kilka razy, otumaniony, jakby miał kaca, próbując zrozumieć, co się dzieje. Bolało go całe ciało. Szczypały ręce i twarz. Rwały mięśnie. Dokuczał mu najgorszy ból głowy, jaki miał w życiu. Z tyłu błdy świt z trudem przeświecał między brzegami zsuniętych kotar.

- Gdzie...?

- W motelu na przedmieściach Jersey City. Decker rozejrzał się po ponurym wnętrzu i z niepokojem przypomniał sobie motel, gdzie McKittrick przetrzymywał Beth.

- Jak długo...? Która godzina...?

- Prawie siódma wieczorem. - Beth, która siedziała koło niego z ciężarem ciała wspartym na zdrowej nodze, położyła mu ściereczkę na czole. Kompres był zamoczony w gorącej wodzie. Decker natychmiast wchłonął ciepło.

- To jest takie miejsce, gdzie nie zadają pytań, gdy ktoś się wprowadza - oświadczył Esperanza. - Segmenty mieszkalne znajdują się z tyłu recepcji. Recepcjonista nie widzi, kto wchodzi do pokoi. Jak w motelu, gdzie McKittrick przetrzymywał Beth, pomyślał znowu Decker z niepokojem.

- Dotarliśmy tu około szóstej rano - powiedziała Beth. - Licząc czas spędzony w samochodzie, spałeś niemal trzynaście godzin. Bałam się, że się nie obudzisz. Esperanza wskazał na łazienkę.

- Miałem masę kłopotu z rozebraniem cię i wsadzeniem do wanny. Przy hypotermii trzeba zacząć od lekko ciepłej wody. Kiedy już nabrałeś trochę rumieńców, wyciągnąłem cię, wytarłem, wsadziłem do łóżka i przykryłem wszystkimi trzema kocami, które znalazłem na półce. Beth położyła się koło ciebie, żeby ci było jeszcze cieplej. Wlewałem w ciebie gorącą kawę. Człowieku, nigdy nie widziałem kogoś tak wycieńzonego. Beth przecierała Deckerowi twarz.

- Ani tak posiniaczonego i pokaleczonego. Twarz nie chce przestać ci krwawić.

- Miewałem łatwiejsze noce. - Deckerowi zaschło w ustach. - Przydałoby mi się... trochę wody do picia.

- Ale gorącej - powiedział Esperanza. - Przykro mi, ale muszę mieć pewność, że temperatura ciała wróciła do normalnego stanu. - Nalał z termosu wody do kubka i przysunął go do ust Deckera. - Ostrożnie, prawie wrzątek. Smakowało gorzej, niż się spodziewał.

- Włóż do niej torebkę herbaty. Skąd wziąłeś...? - Decker wskazał na termos.

- Nie leniuchowałem. Kiedy odpoczywałeś, dokonałem paru zakupów: żywność, ubranie, kule dla Beth i...

- Zostawiłeś nas samych? - spytał Decker przerażony.

- Beth miała twój pistolet. Nadal boli ją noga, ale była w stanie siedzieć w tym fotelu i obserwować drzwi. Wydawało mi się, że nie ma żadnego powodu, żeby nie kupić tego, co nam jest potrzebne. Decker spróbował usiąść.

- Renata. To jest powód.

- Nie mogła nas śledzić - powiedział Esperanza. - Podjąłem szczególne środki ostrożności. Ilekroć miałem najmniejsze wątpliwości, objeżdżałem kwartał uliczny albo skręcałem w jakiś zaułek. Zauważyłbym za sobą światła, gdyby ktoś nas śledził.

- Nam udało się wyśledzić McKittricka - przypomniał Decker.

- Ponieważ mieliśmy odbiornik. Czy wydaje ci się to prawdopodobne, żeby McKittrick i Renata zainstalowali nadajnik w swoim własnym samochodzie? Nawet nie miała samochodu, którym mogłaby za nami jechać.

- Mogła jakiś ukraść.

- Jeśli przyjmujemy, że wiedziała, iż nie ma nas już na dachu i ukradliśmy jej samochód, zanim zwinęłaby auto, byłibyśmy daleko. Nie mogła widzieć, w którą stronę pojechaliśmy. Uspokój się, Decker. Nie jest dla nas groźna.

- Na razie nie - wtrąciła się Beth - ale będzie.

- Tak - zgodził się Decker. - Jeśli Renata zadała sobie tyle trudu, żeby wyrównać ze mną rachunki za to, że zabiłem jej dwu braci, nie zrezygnuje teraz. Stanie się jeszcze bardziej zdecydowana.

- Szczególnie że mamy te pieniądze - powiedziała Beth. Decker był tak zdezorientowany, że zabrakło mu słów. Spojrzał na Esperanza.

- Gdy dotarliśmy do tego motelu - powiedział Esperanza - a ty i Beth odpoczywaliście, zajrzałem do bagażnika pontiaca. Znalazłem w nim materiały wybuchowe w ilości wystarczającej do wysadzenia w powietrze Statuy Wolności oraz to. - Esperanza wskazał wypchaną torbę lotniczą na podłodze koło łóżka. - Milion dolarów.

- Jasna... - Deckerowi od zmęczenia znów zakołowało się w głowie.

- Nie próbuj siadać - ostrzegła go Beth. - Robisz się błąd. Nie podnoś się. ,

- Renata na pewno będzie nas szukać. - Decker zamknął oczy, poddając się słabości.

Wyciągnął dłoń, żeby dotknąć Beth, i nie czuł, że ręka mu opadła. Gdy obudził się następnym razem, pokój był zupełnie ciemny. Nadal czuł się oszołomiony. Wciąż miał obolałe ciało. Jednak musiał się ruszyć, aby skorzystać z łazienki. Nie obeznany z rozkładem motelowego pokoju, uderzył w ścianę i obił sobie ramię, wszedł do łazienki, zamknął drzwi i dopiero wtedy zapalił światło, gdyż nie chciał obudzić Beth. Spojrzał w lustro i doznał szoku. Miał nie tylko liczne siniaki i zadrapania, ale także sine kręgi pod oczami i wymizerowane, zarośnięte policzki. Załatwił się, mając nadzieję, że odgłos spuszczonej wody nie przeszkodzi Beth. Kiedy jednak zgasił światło i otworzył drzwi, zobaczył, że w głównym pokoju pali się lampa. Beth siedziała w łóżku, gdzie spali razem. Esperanza opierał się na poduszce na łóżku obok.

- Przepraszam - powiedział Decker.

- Nie obudziłeś nas - stwierdził Esperanza.

- Czekaliśmy, aż się obudzisz - dodała Beth. - Jak się czujesz?

- Tak jak wyglądam. - Decker pokuśtykał w jej stronę. - A ty? Jak ty się czujesz? Beth zmieniła pozycję i wykrzywiła się z bólu.

- Spuchła mi noga. Rwie mnie. Ale rana nie wygląda na zainfekowaną.

- To przynajmniej jedna rzecz, która nie obróciła się przeciwko nam. Decker opadł na łóżko i owinał się kocem. Potarł skronie. - Która godzina?

- Druga. - Esperanza włożył spodnie i wstał z łóżka. - Czy czujesz się na tyle przytomny, żeby omówić kilka spraw?

- Strasznie zaschło mi w gardle. - Decker zdołał unieść dłoń, jakby się bronił. - Ale nie chcę tej cholernej ciepłej wody.

- Kupiłem napój gatorade. Chcesz?

- Świetnie. Napój miał smak pomarańczowy i Decker wypił duszkiem ćwierć butelki.

- A co byś powiedział na coś do jedzenia? - spytał Esperanza.

- Żołądek mi nie pracuje, ale lepiej będzie, jeśli coś spróbuję w siebie wmusić. Esperanza otworzył niewielką przenośną lodówkę.

- Mam gotowe kanapki - z tuńczykiem, z kurczakiem, z salami.

- Z kurczakiem.

- Łap. Decker sam się zdziwił, że udało mu się schwycić zawiniątko. Zdjął foliowe opakowanie i wbił zęby w kanapkę; biały chleb i kurczak miały smak tektury.

- Pyszne.
- Żadna inna potrawa nie zrobiłaby ci lepiej.
- Musimy zdecydować co dalej. - Poważny ton Beth kontrastował z żartami Esperanzy.
Decker spojrzał na nią i delikatnie ujął ją za rękę.
- Tak. Departament Sprawiedliwości nie będzie zadowolony, że nie pojawiłaś się, aby złożyć zeznanie. Będą cię szukać.
- Załatwiłam to - powiedziała Beth.
- Załatwiłaś...? - zdziwił się Decker. - Nie rozumiem.
- Esperanza podwiózł mnie do automatu telefonicznego. Zadzwoiłam pod numer kontaktowy do Departamentu Sprawiedliwości i dowiedziałam się, że nie muszę zeznawać. Ława przysięgłych zbierała się, żeby postawić w stan oskarżenia Nicka Giordano, ale skoro on nie żyje, Departament Sprawiedliwości twierdzi, że nie ma sensu posuwać się dalej. - Beth zawahała się. - Franka Giordano też ty zabiłeś? Decker nie odpowiedział.
- Dla mnie?
- Nie zapominaj, że znajdujemy się w obecności oficera policji - powiedział Decker.
Esperanza spojrzał na swoje dłonie.
- Może powinienem się trochę przejść.
- Nie miałem na myśli...
- Macie sobie dużo do powiedzenia. Przyda wam się trochę czasu sam na sam. -
Esperanza włożył buty, złapał koszulę, skinął głową i wyszedł. Beth odczekała, aż zamkną się drzwi.
- Esperanza powiedział mi pokrótce, przez co przeszedłeś zeszłej nocy. Sięgnęła po dłoń Deckera. - Nigdy nie będę w stanie ci za to podziękować.
- Wystarczy, że mnie będziesz kochać. Beth, zaskoczona, przekrzywiła głowę.
- Mówisz, jakby to było coś, do czego powinnam się zmuszać. Kocham cię. Nigdy wcześniej mu tego nie powiedziała. Te wymarzone słowa wstrząsnęły nim i zalały go ciepłem. Przyglądał się jej z miłością. Niewiele było podobieństwa między ponętą kobietą, którą znał w Santa Fe, i tą bladą osobą o wychudłych policzkach, zapadniętych oczach i zmierzwionych włosach, która siedziała przed nim teraz. To była kobieta, dla której cierpiał. Kilkakrotnie. Dla której gotów był zrobić wszystko, żeby ją ocalić. Miał ściśnięte gardło.
- Jesteś piękna. Na policzkach wystąpiły jej lekkie rumieńce.
- Nie potrafiłbym żyć bez ciebie - powiedział Decker. Beth odetchnęła głośno. Spojrzała na niego, jakby nigdy go naprawdę wcześniej nie widziała, i przytuliła.
- Nie jestem ciebie warta. Beth powiedziała mu to wcześniej, gdy Decker pomagał jej dostać się na schody przeciwpożarowe w mieszkaniu lekarza. Czy „nie jestem warta” było pewnym sposobem wyrażenia uczucia, czy też ma na myśli dosłowny brak poczucia własnej wartości - ponieważ go wykorzystwała i teraz jest jej wstyd?
- Co się stało? - spytała Beth.
- Nic.
- Ale...
- Jest masa drobiazgów, którymi musimy się zająć - oświadczył Decker szybko. - Czy człowiek, z którym kontaktowałaś w Departamencie Sprawiedliwości, pytał o McKittricka?
- Oczywiście. - Beth była zaskoczona nagłą zmianą tematu, tym jak intymność nagle ustąpiła praktyczności. - Powiedziałam mu, że wydaje mi się, iż to McKittrick powiadomił rodzinę Giordano, że się ukrywam w Santa Fe. Powiedziałam też, że od samego początku McKittrick zachowywał się podejrzanie, i że mu się wymknęłam, gdy przyjechaliśmy do Nowego Jorku. Oświadczyłam, że nie mam pojęcia, gdzie jest.
- I trzymaj się tej wersji - powiedział Decker. - Kiedy ciało McKittricka zostanie odnalezione w pogorzeliisku, władze będą miały problem ze zidentyfikowaniem go. Ponieważ nie wiedzą, czyich danych dentystycznych użyć dla porównania uzębienia denata, może nigdy nie uda im się go zidentyfikować. Jego zniknięcie pozostanie tajemnicą. Będzie

wyglądało, jakby uciekł, żeby uniknąć kary więzienia. Zawsze trzymaj się historyjki, że nie wiesz, co się z nim stało, nie możesz się wahać.

- Będę musiała zdać relację z tego, gdzie byłam od sobotniego popołudnia, kiedy wyjechałam z Santa Fe - powiedziała Beth.

- Zadzwoń w pewne miejsce. Na Manhattanie mieszka mój dawny współpracownik i jest mi winien przysługę. Jeśli Departament Sprawiedliwości potrzebuje wyjaśnień, on ci zapewni alibi. Będą chcieli wiedzieć, co cię z nim łączy. Powiedz im, że wspominałem ci o nim w Santa Fe, że jest moim starym przyjacielem i że chciałem, żebyś go odwiedziła, kiedy przyjedziesz do Nowego Jorku. Było to dla ciebie naturalne, że pobiegłaś do niego, gdy uciekłaś od McKittricka.

- Wciąż jeszcze zostaje jeden problem... Ty.

- Nie rozumiem.

- Esperanza i ja nie musimy się martwić, że zidentyfikują nasze odciski palców. Oldsmobile spłonął. Również pokój hotelowy w Closter i mieszkanie lekarza na Manhattanie. Ale co z twoimi odciskami palców? Gdy spałeś, włączyliśmy telewizję, żeby się dowiedzieć, jaka jest reakcja władz na to, co zaszło ubiegłej nocy. Dochodzeniem w sprawie śmierci członków rodziny Giordano zajęło się FBI. Są doniesienia, że znaleźli odciski palców na broni, którą znaleziono w domu Nicka Giordano. Na pogrzebaczu. Beth wydawała się zdenerwowana brutalnym wykorzystaniem tego przedmiotu.

- I co?

- Władze twierdzą, że były to porachunki mafijne, wojna pomiędzy rywalizującymi gangami. Ale kiedy zidentyfikują twoje odciski...

- Dowiedzą się, że odciski należą do człowieka, który nie żyje od piętnastu lat. Beth spojrzała szeroko otwartymi oczami.

- Gdzie chciałabyś zamieszkać? - spytał Decker.

- Zamieszkać? - zaskoczyła ją ponowna, nagła zmiana tematu. Z powrotem w Santa Fe, oczywiście.

- Ze mną?

- Tak.

- Wydaje mi się, że to nie jest dobry pomysł - powiedział Decker.

- Ale mafia już mnie nie szuka.

- Renata nas szuka. - Decker przerwał, pozwalając ciszy podkreślić znaczenie tych słów.

- Dopóki żyję, Renata może cię wykorzystać, żeby się do mnie dobrać. Będziesz zagrożona. Beth zbladła jeszcze bardziej.

- Nic się nie zmieniło - powiedział Decker. - Więc jeszcze raz zadam ci pytanie, gdzie chciałabyś zamieszkać. W oczach Beth coś jakby umarło.

- Gdy się rozstaniemy - dokończył Decker.

- Rozstaniemy? - Beth była zupełnie zaskoczona. - Niby dlaczego mielibyśmy...

- Gdy wrócimy do Santa Fe, mogłoby dojść między nami do publicznej kłótni, na przykład w południe w Escalera czy w jakiejś innej popularnej restauracji. Gdyby poszła plotka, że nie jesteśmy już ze sobą, Renata mogłaby dojść do wniosku, że nie ma sensu robić ci krzywdy, gdyż zabijając kogoś, na kim mi już nie zależy, nie torturowałaby mnie. Beth patrzyła na niego z jeszcze większym niedowierzaniem.

- Właściwie - powiedział Decker, dając Beth możliwość wycofania się z układu między nimi, a jednocześnie pragnąc poznać prawdę im więcej o tym myślę, tym bardziej jestem przekonany, że Renata rzeczywiście pozostawiłaby cię w spokoju, gdybyśmy ze sobą zerwali.

- Ale... - Głos odmówił Beth posłuszeństwa. Nie mogła wydobyć z siebie żadnego dźwięku.

- Musiałoby to wyglądać przekonująco - kontynuował Decker. - Mógłbym cię oskarżyć, że od początku naszej znajomości wiedziałaś, kim jestem. Mógłbym urządzić scenę o to, że jedynie udawałaś, iż mnie kochasz, że mamiałaś mnie seksem, pragnęłaś tylko mieć

ochroniarza, który mieszkałby obok, a czasami w twoim domu. W twoim łóżku. Beth zaczęła szlochać.

- Mogłbym wszystkim powiedzieć, że byłem głupcem, i na próżno ryzykowałem życie. Renata znów zacznie mnie obserwować i na pewno usłyszałaby o tej kłótni. Uwierzyłyby w nią. Szczególnie jeśli wyjechałbym z Santa Fe, a ty byś została. Beth płakała coraz gwałtowniej.

- Kto zabił twojego męża? - spytał Decker. Beth nie odpowiedziała.

- Sądzę, że moglibyśmy ułożyć historyjkę - powiedział Decker - że ktoś z organizacji, być może jeden z jego strażników zastrzelił go, zabrał pieniądze i zwałił wszystko na ciebie. Może powstać inna historyjka, że syn Nicka Giordano, Frank, był tak zazdrosny o sympatię, jaką jego ojciec darzył twojego męża, że sam zdecydował się załatwić sprawę. - Decker czekał. Którą historyjkę wolisz? Beth wytarła oczy.

- Żadną.

- Więc..?

- Ja to zrobiłam - odparła Beth. Decker oniemiał.

- Ja zastrzeliłam mojego męża - powtórzyła Beth. - Ten drań już nigdy nie będzie mnie bił.

- Ty zabrałaś pieniądze?

- Tak.

- Dzięki temu mogłaś sobie pozwolić na kupno domu w Santa Fe?

- Tak. Pieniądze są na cyfrowym koncie w banku na Bahamach. Departament Sprawiedliwości nie mógł się do nich dostać, więc pozwolili mi je wykorzystać - szczególnie że zależało im na moim zeznaniu.

- Czy wiedziałaś, kim jestem, zanim mnie poznałaś?

- Tak.

- Czy więc mnie wykorzystywałaś?

- Przez jakieś czterdzieści osiem godzin. Nie wiedziałam, że tak mnie zauroczysz. Na pewno nie spodziewałam się w tobie zakochać. Z jednej z otwartych szram na twarzy Deckera popłynęła strużka krwi.

- Chciałbym ci wierzyć.

- Zawsze chciałam mieszkać na południu Francji - powiedziała nieoczekiwanie Beth.

Teraz Decker był zaskoczony.

- Co takiego?

- Nie na Riwierze. W głębi kraju - uściśliła Beth. - W południowozachodniej Francji. W Pirenejach. Kiedyś przeczytałam o nich artykuł w czasopiśmie krajoznawczym. Zdjęcia dolin, z pastwiskami, lasami i strumieniami spływającymi z gór, były niezwykle piękne. Myślę, że mogłabym tam namalować kilka niezłych obrazów... Jeśli pojechałbyś ze mną.

- Mimo iż to byłoby zagrożeniem dla twojego życia, i Renata może chcieć cię wykorzystać, żeby dostać się do mnie?

- Tak.

- Do końca swoich dni zawsze oglądać się za siebie?

- Bez ciebie... - Beth dotknęła krwi spływającej mu z rany na twarzy nie miałabym po co patrzeć przed siebie.

- W takim razie - powiedział Decker - wracamy do Santa Fe.

- Jesteś pewien, że to dobry pomysł? - spytał Esperanza

- Nie. Ale lepszy niż wszystkie inne - odparł Decker. Znajdowali się w hałaśliwej, zatłoczonej hali lotniska międzynarodowego w Newark. Decker właśnie wrócił do Esperanzы i Beth, którzy czekali na niego w niszy obok toalet i monitorów z rozkładem lotów, od kontuaru United Airlines. Wręczył im bilety. - Załatwiłem miejsca na lot o ósmej trzydzieści.

W Denver zmieniamy samolot i przylatujemy do Albuquerque o dwunastej czterdzieści osiem po południu.

- Te miejsca nie są obok siebie.

- Dwa z nich są. Jedno z nas będzie musiało siedzieć dalej z tyłu.

- Ja tam usiądę - powiedział Esperanza. - Upewnię się, czy żaden z pasażerów nie interesuje się wami zanadto.

- Obawiam się, że z tymi kulami jestem łatwa do zidentyfikowania powiedziała Beth.

- A zadrapania, które mam na twarzy, z pewnością zwróciły uwagę kobiety za ladą stanowiska United Airlines. - Decker rozejrzał się, by się upewnić, iż nikt ich nie podsłuchuje. - Nie sądzę jednak, żeby Renata mogła w jakiś sposób przewidzieć, z jakiego lotniska będziemy odlatywać. Nie martwię się, że jest tu gdzieś w pobliżu. Zaczniemy się martwić, kiedy wrócimy do Santa Fe.

- Jesteś przekonany, że będzie tam na nas czekała? - spytała Beth.

- A jaki ma inny wybór? Gdzieś musi zacząć, żeby nas znaleźć, a Santa Fe jest najpewniejszym ruchem. Wie, że jeśli powziąłem decyzję, że tam nie wracam, będę musiał sprzedać dom i przenieść konto bankowe. Na pewno zechce przekonać pośrednika handlu nieruchomościami albo dyrektora banku, żeby powiedział jej, dokąd zostaną wysłane pieniądze. Beth spojrzała z ukosa na spieszących obok niej pasażerów, jakby obawiała się, że Renata nagle wyskoczy z tłumu.

- Przecież takie informacje są tajne. Nie może po prostu pójść do agencji handlu nieruchomościami czy do banku z nadzieją, że ktoś poda jej twój nowy adres.

- Miałem raczej na myśli sytuację, kiedy pośrednik lub dyrektor banku wraca wieczorem do domu i ktoś przystawia mu do głowy pistolet - stwierdził Decker. - Renata jest specjalistką od terroryzowania. Oprócz tego, że mnie nienawidzi, ponieważ zabiłem jej braci, ma jeszcze bodziec w postaci miliona dolarów, które mam w tej podręcznej torbie. Zrobi wszystko co w jej mocy, żeby się odegrać. Na jej miejscu czekałbym w Santa Fe, aż dowiedziałbym się, w którą stronę skierować nagonkę. Esperanza spojrzał na zegarek.

- Lepiej chodźmy już do stanowiska odpraw. Z niepokojem, że muszą wyjść z ukrycia, opuścili niszę i ruszyli poprzez tłum. Mężczyźni szli po obydwóch stronach Beth, żeby nikt jej nie potrafił. Szła jednak bardzo pewnie. Mimo że nie miała zbyt wielu okazji, żeby potrenować chodzenie o kulach, jej naturalne możliwości fizyczne pozwalały się poruszać dość szybkim krokiem. Decker poczuł dla niej podziw. Wyglądała na zdecydowaną, nie zwracała uwagi na ból, była gotowa zrobić wszystko co konieczne. A ty? - Decker zadał sobie pytanie. Przeszedłeś cholernie wiele. Czy ty jesteś przygotowany? Na wszystko. Ale nie był ze sobą do końca szczery. Teraz, gdy już zostały dopracowane wszystkie szczegóły techniczne, nic nie odwracało jego uwagi od własnych odczuć. Nie mógł przywyknąć do faktu, że Beth jest obok niego. Gdy zostawał sam, gnębiło go trapiące poczucie niedoskonałości. Nawet ta krótka chwila, kiedy poszedł kupić bilety na samolot, była dla niego niemiła. Przygotowany na wszystko? - ponownie zadał sobie pytanie, gdy szedł z Beth i Esperanzą w kierunku kolejki do bramki bezpieczeństwa. Niezupełnie na wszystko. Nie jestem przygotowany na to, żeby ktoś ponownie zranił Beth. Nie jestem przygotowany na to, żeby się dowiedzieć, że jednak kłamie, że mnie kocha. Nie jestem przygotowany, żeby się przekonać, że jestem głupcem. Przy bramce bezpieczeństwa zwolnił i pozwolił Esperanzie i Beth przejść jakąś minutę wcześniej, na wypadek gdyby dziesięć tysięcy studolarowych banknotów w podręcznej torbie wzbudziło podejrzenia strażnika wpatrującego się w monitor rentgena. Gdyby kazali Deckerowi otworzyć torbę, ciężko byłoby mu wytłumaczyć władzom, skąd w jego posiadaniu znalazł się milion dolarów. Oficerowie bezpieczeństwa natychmiast założyliby, że pieniądze mają coś wspólnego z narkotykami, i dlatego nie chciał, żeby Beth i Esperanza kręcili się blisko niego. Na monitorze rentgena widać było kontury wszystkich przedmiotów, nie tylko metalowych, więc żeby nadać banknotom mniej podejrzany wygląd, Decker wsypał je luzem do dużej torby, usuwając z plików gumki, dorzucił brudną koszulę,

notes i długopis, kosmetyczkę, talię kart, gazetę i książkę w miękkiej obwolucie. Przy odrobinie szczęścia kontroler monitora rentgenowskiego nie zwróci uwagi na ten nieład, zadowolając się faktem, że w torbie nie ma broni. Kobieta stojąca przed Deckerem położyła torebkę na taśmociągu maszyny prześwietlającej i bez problemu przeszła przez wykrywacz metalu. Decker, z przyspieszonym biciem serca, ruszył za nią, stawiając ciężką torbę na ruchomym pasie. Kontroler monitora spojrzął na niego dziwnie. Nie zwracając uwagi na jego zainteresowanie, Decker włożył swój wodoszczelny zegarek i kluczyki od samochodu do pudełka, które odebrała od niego funkcjonariuszka obsługująca wykrywacz metalu. Nie martwił się, że wykrywacz metalu zlokalizuje u niego broń - wraz z Esperanzą przed udaniem się na lotnisko rozłożyli swoje pistolety i wrzucili je do studzienki ściekowej. Niemniej jednak nie chciał prowokować, żeby jakiś metalowy przedmiot, nawet zupełnie niewinny, włączył wykrywacz i zwrócił na niego baczniejszą uwagę kontrolerów.

- Co się panu stało z twarzą? - spytała strażniczka.

- Miałem wypadek samochodowy. - Decker przeszedł przez wykrywacz metalu. Maszyna nie zadzwoniła.

- Pewnie boli - powiedziała strażniczka.

- Mogło być gorzej. - Decker wziął zegarek i kluczyki od samochodu. Pijak, który przejechał na czerwonym świetle i uderzył we mnie, skończył w kostnicy.

- Szcześciarz z pana. Niech pan lepiej uważa.

- Niech mi pan wierzy, próbuję. - Decker podszedł do taśmociągu i zamarł, gdy zobaczył, że pas taśmociągu nie przesuwają się dalej. Strażnik obserwujący monitor przyglądał się z poważną miną zamazanemu obrazowi zawartości podręcznej torby Deckera. Decker czekał. Przyjął pozę podróżnego, który musi zdążyć na samolot, ale stara się być wyrozumiały dla procedury związanej z bezpieczeństwem, mimo że to oczywiste, iż w tej podręcznej torbie nie może znajdować się nic podejrzanego. Strażnik ze srogą miną przyjrzał się dokładniej monitorowi. Decker usłyszał łomotanie za uszami. Strażnik wzruszył ramionami i uruchomił taśmociąg. Podręczna torba wyjechała z maszyny.

- Boli mnie od samego patrzenia na pana twarz - powiedział strażnik.

- Dokuczają mi bardziej, niż się może wydawać. - Decker wziął milion dolarów i wraz z innymi pasażerami poszedł korytarzem. Zatrzymał się przy automacie telefonicznym, zadzwonił do informacji i poprosił o numer na lotnisko, po czym wybrał go szybko.

- Ze służbą bezpieczeństwa lotniska, proszę. Cisza.

- Służba bezpieczeństwa odezwał się po chwili jakiś mężczyzna o gładkim głosie.

- Odszukajcie na swoim parkingu pontiaca, tegoroczny model, ciemno niebieski. -

Decker podał numer rejestracyjny. - Zrozumiał pan wszystko? Zapisał pan?

- Tak, ale...

- W bagażniku znajdziecie materiały wybuchowe.

- Co?

- Nie podłączone do detonatora. Samochód jest bezpieczny, ale jednak zachowajcie ostrożność.

- Kto...

- To nie stanowi zagrożenia dla lotniska. Po prostu wpadła mi w ręce większa ilość C- i nie mogę wymyślić bezpieczniejszego sposobu przekazania go komuś.

- Ale...

- Życzę miłego dnia. - Decker przerwał połączenie. Zanim zostawili pontiaca na parkingu, wytarł ściereczką z mydłem wszystkie miejsca, gdzie mogli pozostawić odciski palców. W innych okolicznościach zostawiłby samochód tam, gdzie szybko ukradłyby go uliczne dzieciaki, ale nie chciał, żeby grzebały przy materiałach wybuchowych. Zanim pontiac i C- zostaną odnalezione, Decker będzie już w drodze do Denver. Ruszył szybko do wyjścia do samolotu, gdzie zaniepokojeni Beth i Esperanza czekali na niego.

- Tyle to trwało, że zaczęłam się martwić - powiedziała Beth. Decker zauważył spojrzenie, jakie skierowała na podręczną torbę. A może jej chodzi tylko o pieniądze? - pomyślał.

- Sam już się trochę zacząłem denerwować.

- Zaczęli wpuszczać pasażerów na pokład - zauważył Esperanza. Wyczytali mój numer miejsca. Lepiej już pójdę. Decker przytaknął. Przez ostatnich kilka dni spędził z Esperanzą tyle czasu, że czuł się dziwnie, gdy byli rozdzieleni.

- Do zobaczenia w Denver.

- Jasne. Gdy Esperanza poszedł za innymi pasażerami, Beth uśmiechnęła się czule do Deckera.

- Nigdy jeszcze razem nie podróżowaliśmy. To będzie dla nas początek mnóstwa nowych doświadczeń.

- Żeby tylko okazały się lepsze niż te, których doznaliśmy od piątkowej nocy.

- Wszystko byłoby lepsze.

- Miejmy nadzieję. - A jeśli stanie się coś jeszcze gorszego? - pomyślał Decker. Beth spojrzała w stronę stanowiska odpraw.

- Wywołują nasze numery miejsc.

- Chodźmy. Na pewno chcesz trochę odpocząć od tych kul. - Czy dobrze robię, że wracam do Santa Fe? - zastanawiał się. Czy jestem zupełnie pewien, że to się powiedzie? Przy wejściu do rękawa agent United Airiines wziął bilet Beth i zapytał:

- Czy potrzebuje pani pomocy przy wchodzeniu na pokład?

- Przyjaciel mi pomoże. - Beth spojrzała czule na Deckera.

- Damy sobie radę - powiedział Decker agentowi i wręczył swoją kartę pokładową.

Ruszył za Beth. Jeszcze nie jest za późno, żeby zmienić plany, ostrzegł sam siebie. Dwie minuty później siedzieli w połowie długości samolotu. Stewardesa odebrała od Beth kule i umieściła je w szafce samolotu przeznaczonej na torby z odzieżą. Decker i Beth zapięli pasy. U stóp umieścili milion dolarów. Jeszcze wciąż mogą zmienić decyzję, pomyślał. Może Beth miała rację. Może naprawdę powinniśmy pojechać na południe Francji. Ale wracała do niego bez przerwy rozmowa z Beth w pokoju hotelowym. Kiedy zapytał ją, czy chce z nim zostać wiedząc, że zagraża to jej życiu i przez cały czas będzie musiała oglądać się za siebie, Beth odparła: „Bez ciebie nie miałabym po co patrzeć przed siebie”. Sprawdzimy, czy mówi szczerze, pomyślał Decker. Chcę się przekonać teraz. Boeing oddalił się od budynku lotniska i kołował w stronę pasa startowego. Beth ścisnęła dłoń Deckera.

- Tęskniłam za tobą - szepnęła. Decker delikatnie ścisnął jej palce.

- Nigdy się nie dowiesz, jak ja tęskniłem za tobą.

- Mylisz się odparła Beth. Za oknem wyły silniki. - To, co zrobiłeś w ciągu ostatnich kilku dni... Chyba doskonale zdaję sobie sprawę, co do mnie czujesz. - Beth przytuliła się do Deckera i wystartował. Zanim samolot wzbił się na wysokość przelotową trzydziestu dwóch tysięcy stóp, Deckera zdziwił fakt, że ma kłopoty z prowadzeniem z Beth rozmowy na błahe tematy. Zdarzyło się to po raz pierwszy w czasie ich znajomości. Gadali o bzdurach, choć pragnął omówić z nią wiele poważnych tematów. Nie mógł jednak tego zrobić, gdyż obawiał się, że ich konwersację usłyszą inni pasażerowie. Był wdzięczny, że stewardesa przyniosła śniadanie, omlet z serem i z grzybami. Pochłonął je łapczywie. Podczas jedzenia nie musiał przynajmniej podtrzymywać rozmowy. Po posiłku podziękował za kawę i stwierdził, że czuje się zmęczony.

- Nie masz obowiązku mnie zabawiać - powiedziała Beth. - Należy ci się odpoczynek.

Zdrzemnij się trochę. Zresztą chyba zrobię to samo. Podobnie jak on, odchyliła oparcie fotela i położyła Deckerowi głowę na ramieniu. Skrzyżował ramiona i zamknął oczy, jednak sen nie nadchodził. Nadal wstrząsały nim dwojakie uczucia. Intensywność długich zmagania, które miał za sobą, sprawiła, że czuł się niespokojny. Jego ciało było wyczerpane, ale nerwy wyostrome, jakby pod wpływem adrenaliny wystąpiły u niego symptomy uzależnienia od

działania. Te doznania przypomniały mu, jak czuł się niegdyś po misjach wojskowych i operacjach CIA. Działanie mogło stać się nałogiem. Kiedy był młody, pożywał aktywności. Emocje, jakich dostarczały misje, sprawiały, że powszednie życie było nie do przyjęcia, że narastała wtedy chęć wzięcia udziału w kolejnych przedsięwzięciach, przewyciężenia strachu, żeby ponownie przeżyć euforię, że wraca żywy. W końcu uświadomił sobie samoniszczący wpływ tej zależności. Kiedy osiedlił się w Santa Fe, był przekonany, że pragnie jedynie spokoju. Tym bardziej dziwiło go, że chce doprowadzić do konfrontacji z Renatą. Z jednej strony nie było sensu przedłużać napięcia związanego z oczekiwaniem, kiedy zostanie zaatakowany. Gdyby miał wpływ na okoliczności, w jakich Renata wykona swój ruch, ściagałby ją podobnie, jak ona ściagała jego. Im szybciej stawi jej czoło, tym lepiej. Z drugiej strony zaś jego zapal niepokoił go. Decker martwił się, że znowu staje się taki jak dawniej.

- Nie powiedziałbym, że nasz powrót do Nowego Meksyku jest dyskretny. Skąd mamy pewność, że Renata nie będzie obserwowała, kto wysiada z samolotu? - spytał Esperanza. Dołączył do Deckera i Beth, którzy siedzieli na swoich miejscach czekając, aż wysiądą pozostali pasażerowie na lotnisku w Albuquerque. Nikogo nie było w pobliżu. Mogli rozmawiać bez obawy, że ktoś ich usłyszy.

- Ona nie załatwiłaby tego w taki sposób - wyjaśnił Decker. - Na takim małym lotnisku jak to, ktoś walęszający się tu codziennie i przyglądający się przylatującym pasażerom ściągnąłby uwagę służb bezpieczeństwa.

- Ale Renata wcale nie musiałaby tego robić sama. Mogłaby kogoś wynająć, żeby z nią obserwował. Mogliby się zmieniać - powiedział Esperanza.

- Z tym się zgadzam. Pewnie do tej pory już sobie załatwiła pomocnika. Kiedy wykorzystywała McKittricka - Decker spojrzał w stronę Beth, zastanawiając się, czy ona wykorzystywała go w podobny sposób - Renata z pewnością odsunęła swoich przyjaciół, żeby nie wzbudzać w McKittricku zazdrości. Ale skoro on już wypadł z gry, na pewno ściągnęła z Rzymu resztę swojej grupy terrorystycznej. - Decker wziął torbę podręczną z szafki pod nogami. - Jej wysiłek jest wart miliona dolarów. To jasne, że są tutaj, i jasne że się zmieniają, ale nie obserwują przylatujących samolotów.

- To co robią? Przerwała im stewardesa, która przyniosła kule Beth. Beth podziękowała jej i cała trójka ruszyła do przodu.

- Wyjaśnię wam, kiedy zostaniemy sami. - Decker odwrócił się do Beth. - Ktoś będzie musiał obejrzyć twoje szwy. Najpierw musimy zawieźć cię do lekarza. - Potrząsnął głową. - Nie, źle. Najpierw musimy wynająć samochód.

- Wynająć? - zdziwił się Esperanza. - Przecież na parkingu przy lotnisku zostawiłeś swojego jeepa cherokee.

- I przez jakiś czas tam pozostanie - powiedział Decker. Odczekał, aż w rękawie nie było nikogo poza nimi, i zwrócił się do Esperanzy: - W moim samochodzie jest zamknięta twoja odznaka policyjna i twój pistolet służbowy. Czy możesz obyć się bez nich jeszcze przez jeden dzień?

- Im szybciej je odzyskam, tym lepiej. Dlaczego nie możemy pojechać twoim samochodem? - Esperanza natychmiast sam odpowiedział sobie na pytanie. - Renata zna twojego jeepa. Sądzisz, że mogła podłożyć w nim materiały wybuchowe?

- I zaryzykować wysadzenie w powietrze miliona dolarów? Nie wydaje mi się to prawdopodobne. Bardzo pragnie zemsty, ale zemsta musi być słodka. Nie dopuści do tego, aby wyrównanie rachunków miało ją coś kosztować - a już na pewno nie tak wiele. Mój samochód jest zupełnie bezpieczny... tylko że z pewnością umieściła w nim nadajnik. Gdy Decker wyprowadzał wynajętego szarego buicka skylarka z parkingu Avisa w pobliżu lotniska w Albuquerque, paliło południowe słońce. Poprowadził samochód krętą drogą obok czterokondygnacyjnego parkingu i spojrzał na sylwetki dwóch wielkich metalowych koni

wyścigowych na trawniku przed lotniskiem, przypominając sobie swoje obawy, z jakimi po raz pierwszy przyglądał się tym koniom ponad rok temu, gdy rozpoczynał swoją pielgrzymkę do Santa Fe. Teraz jego odczucia były znacznie bardziej złożone. Wziął następny zakręt, dojechał do szerokiej, przedzielonej pasem zieleni arterii, która łączyła miasto z lotniskiem, i wskazał na prawo, na czternastopiętrowy hotel Best Western, pokryty szkłem i stiukami, odcinający się na tle gór Sandia. Gdzieś w tym hotelu Renata lub ktoś z jej przyjaciół obserwuje odbiornik i czeka, aż poruszy się igła i da im znać, że mój samochód rusza z parkingu. Ktokolwiek to jest, popędziłby wtedy na dół, do samochodu, który stoi zaparkowany u wylotu parkingu hotelowego. Ruszyłby za moim samochodem, gdy mijalbym hotel. Osoba w samochodzie, wyposażona w telefon komórkowy, przekazałaby wiadomość reszcie grupy. Część bez wątpliwości czeka na stanowiskach w Santa Fe. Osoba, która by mnie śledziła, przyjęłaby za pewnik, że rozmowy prowadzone przez telefon komórkowy mogą zostać podsłuchane przez niewłaściwych ludzi, więc konwersacja byłaby prowadzona kodem, w regularnych odstępach czasu, przez całą drogę do Santa Fe. Kiedy już dotarłbym do punktu przeznaczenia, podjęliby szybkie działania, żeby mnie dopaść. W ten sposób nie miałbym czasu na zorganizowanie żadnej obrony. Natychmiastowe działanie byłoby ich najlepszą strategią. Jeśli miałbym przy sobie pieniądze, nie musieliby mnie torturować, żeby uzyskać informację, gdzie ukryłem milion. Chociaż i tak torturowaliby mnie. Dla samej przyjemności. A raczej to Renata by mnie torturowała. Nie wiem, od czego chciałaby zacząć - od moich jaj czy od gardła. Przypuszczam, że od jaj, ponieważ jeśli zajęłaby się najpierw moim gardłem, a jestem pewien, że na nim zależy Renacie najbardziej, ominęłaby ją radość słuchania mojego wrzasku. Beth siedziała na tylnym siedzeniu z wyciągniętą chorą nogą. Esperanza zajmował miejsce z przodu. Popatrzyli na Deckera, jakby udręka jego niedawnych przeżyć wpłynęła na jego zachowanie.

- W twoich ustach brzmi to zbyt obrazowo - stwierdziła Beth.

- I skąd masz pewność co do systemu nadawczoodbiorczego i do hotelu Best Western? - spytał Esperanza.

- Bo sam bym postąpił w ten sposób - odparł Decker.

- A dlaczego nie Airport Inn czy Village Inn lub któryś z innych moteli dalej przy trasie?

- Są zbyt małe. Trudno jest w nich nie zwracać na siebie uwagi. Jeśli ktoś obserwuje nadajnik urządzenia naprowadzającego, nie będzie chciał wzbudzać podejrzeń.

- Jeśli jesteś tak tego pewien, mogę poprosić policję w Albuquerque, żeby sprawdziła pokoje w Best Western.

- Bez nakazu rewizji? I z zaskoczenia? Ten, kto obserwuje odbiornik, na pewno ma „drugie oczy” - kogoś przed hotelem, kto patrzy, czy nie nadjeżdża policja. Renata i jej przyjaciele zniknęliby natychmiast. Straciłbym swoją najlepszą szansę przewidzenia ich poczynąń.

- Martwisz mnie - powiedziała Beth.

- Dlaczego? - Decker zjechał z głównej trasy i ruszył ulicą Gibson, zbliżając się do wjazdu na autostradę międzystanową .

- Jesteś jakiś odmieniony Mówisz, jakbyś chętnie przyjmował to wyzwanie, jakbyś się nim cieszył.

- Może wracam do swojego dawnego życia.

- Co?

- Jeśli mamy to przetrwać, będę musiał wrócić do swoich dawnych zwyczajów. Nie mam innego wyjścia. Muszę stać się tym, kim byłem kiedyś - zanim przyjechałem do Santa Fe. Przecież to dlatego McKittrick wybrał mnie jako twojego najbliższego sąsiada, prawda? - spytał Decker. Dlatego zamieszkałaś obok mnie. Ponieważ byłem kiedyś tym, kim byłem. Gdy wynajęty buick wspiał się na wzgórze La Bajada i nagle przed Deckerem rozpostarło się Santa Fe, z górami Sangre de Cristo dominującymi w tle, nie poczuł żadnego przyływu podniecenia, żadnej przyjemności z powrotu. Ogarnęła go natomiast nieoczekiwana pustka.

Tyle mu się przytrafiło od czasu wyjazdu. Latynoskie budynki Santa Fe, utrzymane w stylu pueblo, o płaskich dachach, w kolorze gliny, wydawały się równie egzotyczne jak przedtem. Domy z glinianych cegieł, o zaokrąglonych krawędziach, zdawały się jaśnieć ciepło. Wrześniowe popołudnie było nadzwyczaj przejrzyste i jasne, bez smogu, z widocznością na setki mil; kraina tańczącego słońca. Ale Decker czuł się od tego wszystkiego odseparowany, wyobcowany. Nie miał wrażenia, że wraca do domu. Po prostu odwiedzał miasto, w którym akurat przyszło mu mieszkać. To uczucie obojętności przypominało mu czas gdy pracował dla CIA i wracał z misji do swojego mieszkania w Wirginii. Był to ten sam rodzaj obojętności, który odczuwał tyle razy przedtem, w Londynie, Paryżu i Atenach, w Brukseli, Berlinie i Kairze, ostatnim razem w Rzymie - ponieważ podczas wszystkich misji, gdziekolwiek podróżował, nie ośmielał się identyfikować z otoczeniem z obawy, że opuści gardę. Jeśli miał przetrwać, nie mógł sobie pozwolić na odwrócenie uwagi. Postrzegając świat w ten sposób, wrócił do domu.

- Szwy są dobrze założone - powiedział rudowłosy lekarz o przygarbionych ramionach.
- Cieszę się - odparł z ulgą Decker. Lekarz był jego dawnym klientem, z którym od czasu do czasu utrzymywał kontakty towarzyskie. - Dziękuję, że zgodziłeś się nas przyjąć bez umówionej wizyty. Lekarz wzruszył ramionami.
- Nie zgłosiło się dzisiaj dwóch pacjentów. - Nie przerywał badania rany na udzie Beth. - Nie podoba mi się to zaczerwienienie wokół szwów. W jaki sposób została pani zraniona?
- Wypadek samochodowy - wyjaśnił Decker, zanim Beth zdążyła odpowiedzieć.
- Byłeś z nią? Stąd te twoje skaleczenia na twarzy?
- Mieliśmy fatalne zakończenie wakacji.
- Ty przynajmniej nie musiałeś mieć zakładanych szwów. - Lekarz spojrział znowu na Beth. - Sądząc po zaczerwienieniu, w ranę wdało się zakażenie. Zrobiono pani zastrzyk przeciw tężcowi?
- Nie byłam na tyle przytomna, żeby pamiętać.
- Tamten lekarz chyba o tym zapomniał - powiedział Decker zgorzkniałym głosem.
- Więc trzeba to zrobić. - Lekarz dał Beth zastrzyk i ponownie zabandażował jej ranę. - Wypiszę receptę na antybiotyk. Potrzebuje pani coś przeciwbólowego?
- Chętnie.
- Proszę. To powinno pomóc. - Lekarz skończył pisać i wręczył jej dwie recepty. - Może pani wziąć prysznic, ale proszę nie moczyć rany w wannie. Jeśli tkanka stanie się zbyt miękka, szwy mogą wypaść. Niech pani się ze mną skontaktuje za trzy dni. Chcę mieć pewność, że zakażenie się nie rozprzestrzeni.
- Dziękuję. - Krzywiąc się z bólu, Beth zeszła ze stołu lekarskiego, wciągnęła luźne spodnie i zapięła je. Żeby nie wzbudzać podejrzeń, nie wspomnieli nic na temat jej rany postrzałowej w ramię. Ta rana nie była zaczerwieniona, ale jeśli tam też rozwijało się zakażenie, antybiotyki zaradzą mu również.
- Cieszę się, że mogłem pomóc, Steve. Szukam innych domów do wynajęcia. Masz jakieś, które mogłyby mnie zainteresować? Jestem wolny w sobotę po południu.
- Mogę nie mieć czasu. Odezwę się do ciebie. - Decker otworzył drzwi gabinetu i podał Beth kule, żeby poszła przodem do holu, w którym czekał Esperanza.
- Wracam za minutę - powiedział do nich Decker, zamknął drzwi i zwrócił się do lekarza: - Jeff?
- O co chodzi? Chcesz, żebym obejrzał te twoje rany na twarzy?
- Nie o nie mi chodzi.
- Więc...?
- To pewnie zabrzmiało nieco melodramatycznie, ale czy mógłbyś zachować naszą wizytę u ciebie w tajemnicy?
- Niby dlaczego...?

- To delikatna sprawa. Właściwie żenująca. Moja przyjaciółka jest w trakcie załatwiania rozwodu. Mogłaby mieć nieprzyjemności, gdyby jej mąż usłyszał, że się spotykamy. Może się tu ktoś pokazać, mówiąc, że jest jej mężem albo prywatnym detektywem czy kimś takim, i chce uzyskać informację na temat pomocy lekarskiej, jakiej jej udzieliłeś. Bardzo bym nie chciał, żeby ten ktoś się dowiedział, że byłem tutaj razem z nią.

- W moim gabinecie na ogół nie mówi się o takich rzeczach - odparł Jeff sztywno.

- Tak sądziłem. Ale mąż mojej przyjaciółki potrafi być bardzo przekonujący. - Decker podniósł torbę z pieniędzmi.

- Ode mnie na pewno nie uzyska żadnych informacji.

- Dzięki, Jeff. Jestem ci za to wdzięczny. - Gdy opuścił gabinet, miał poczucie, że lekarz nie pochwałał sytuacji, którą Decker mu opisał. Zatrzymał się przed kontuarem rejestratorki. - Zapłacę gotówką.

- Nazwisko pacjentki?

- Brenda Scott. Było bardzo mało prawdopodobne, że Renata będzie próbowała sprawdzić każdego lekarza w Santa Fe, żeby się przekonać, czy Beth otrzymała pomoc lekarską, jakiej, zgodnie z podejrzeniami Renaty, mogła potrzebować. Jednak dokładność zawsze stanowiła wizytówkę Deckera. Specjalnie nie zaprowadził Beth ani do swojego osobistego lekarza, ani na pogotowie w szpitalu St Vincent, ani do gabinetu Systemu Zdrowotnego Lovelace'a. To były miejsca, gdzie Renata z łatwością mogła zlecić komuś obserwację, czy Beth i, co się z tym łączy, Decker wrócili do miasta. Ostrożność Deckera wydawała się przesadna, ale poddał się znowu starym zwyczajom. Przyczepa mieszkalna z wysadzonym jukami podwórkiem wyglądała jakoś inaczej, niż kiedy Decker widział ją kilka dni wcześniej. Błąd, poprawił się Decker. Kilka nocy. Widział ją w środku nocy. Nic dziwnego, że wygląda teraz inaczej. Zaparkował wynajętego buicka przy krawężniku i spojrzał na karłowate margaretki w wąskim ogródku kwiatowym, przytulonym do frontowej ściany.

- Sądzisz, że to bezpieczne dla ciebie pokazywać się tutaj? - spytał Esperanza. - Renata lub ktoś z jej przyjaciół może obserwować moje mieszkanie.

- Zupełnie niemożliwe - odparł Decker. - Renata nie widziała cię dobrze tamtej nocy. Esperanza również przyglądał się przyczepie, jakby było w niej coś dziwnego. Czym się tak denerwuje? - zastanawiał się Decker. Czy naprawdę sądzi, że Renata jest w pobliżu? A może to z powodu...? Decker przypominał sobie, że Esperanza wspominał sprzeczki, jakie ma z żoną. Może Esperanza był podenerwowany powrotem do żony.

- Bardzo ryzykowałeś jadąc ze mną. Wiele ci zawdzięczam. - Decker wyciągnął dłoń.

- Tak. - Beth pochyliła się do przodu. - Ocaliłeś mi życie. Nigdy nie będę ci się w stanie zrewanżować. Słowo „dziękuję” nawet w części nie wyraża mojej wdzięczności. Esperanza nadal wpatrywał się w przyczepę.

- To ja powinienem dziękować. Decker zmarszczył czoło.

- Nie rozumiem, co masz na myśli.

- Spytałeś mnie, dlaczego chcę jechać. - Esperanza odwrócił się i utkwił w nim wzrok. - Powiedziałem ci, że chcę spędzić trochę czasu z dala od żony. Powiedziałem ci też, że jestem naiwny, bo chcę wyciągać ludzi z kłopotów.

- Pamiętam - odparł Decker.

- Powiedziałem ci jeszcze, że nigdy nie spotkałem kogoś takiego jak ty, a przebywanie z tobą jest dobrą nauką.

- To też pamiętam.

- Ludzie popadają w rutynę. - Esperanza zawahał się. - Już od jakiegoś czasu czułem się martwy wewnątrz. Decker był zaskoczony.

- Kiedy zadawałem się z gangami, wiedziałem, że w życiu musi być coś więcej niż wieczna pogoń i wszczynanie awantur, jednak nie miałem pojęcia co. Wtedy ten policjant, o którym ci opowiadałem, zmienił mój sposób postrzegania pewnych spraw. Wstąpiłem do

policii, żeby stać się taki jak on, żeby mieć na coś wpływ, żeby czynić dobro. - Głos Esperanzy był napięty od emocji. - Ale czasami, żebyś próbował czynić nie wiadomo ile dobra, masz dość całego tego gówna, w którym pławi się świat, i tego niepotrzebnego cierpienia, jakie ludzie zadają sobie wzajemnie.

- Wciąż nie...

- Wydawało mi się, że już nic nie zdoła mnie zainteresować. Ale gdy przez kilka ostatnich dni próbowałem dotrzymać ci kroku... Coś się stało... Poczułem, że żyję. Och, to, co robiliśmy, napędzało mi potwornego stracha. Część tych rzeczy była po prostu cholernie wariacka i samobójcza. Ale wtedy...

- Wydawało się, że tak właśnie trzeba postąpić.

- Tak. - Esperanza uśmiechnął się szeroko. - Wydawało się, że tak właśnie trzeba postąpić. Może jestem taki jak ty? Może wracam do dawnego życia? - Ponownie spojrzął na przyczepę i spoważniał. - Chyba już czas. Otworzył drzwi od swojej strony i opuścił nogi w kowbojskich butach na zwir. Gdy Decker przyglądał się, jak chudy, długowłosy detektyw idzie w zamyśleniu w stronę trzech stopni prowadzących do drzwi przyczepy, zdał sobie po części sprawę, dlaczego ta przyczepa wydała mu się inna. Kilka dni temu na podjeździe stał motocykl i półciężarówka. Teraz został tylko motocykl. Gdy Esperanza zniknął w środku, Decker odwrócił się do Beth.

- Dziś będzie ciężki wieczór. Musimy cię ulokować w jakimś hotelu za miastem. Mimo kontuzji Beth wyprostowała się zatrwożona.

- Nie, nie chcę być sama.

- Dlaczego? Beth, zakłopotana, nie odpowiedziała.

- Chcesz powiedzieć, że gdy nie jesteś przy mnie, nie czujesz się bezpieczna? - Decker potrząsnął głową. - Tak mogło się dziać, gdy mieszkałaś obok mnie, ale musisz się od tego odzwyczaić. W tej chwili będzie znacznie mądrzej, jeśli pozostaniesz jak najdalej ode mnie.

- Wcale tak nie myślę - odparła Beth.

- A jak myślisz?

- Wpadłeś w te wszystkie tarapaty przeze mnie. Nie pozwolę, żebyś sam musiał sobie teraz radzić.

- Będzie strzelanina.

- Potrafię strzelać.

- To już mi wyjaśniłaś. - Pamiętając, że Beth zabiła swojego męża i opróżniła sejf w ścianie, Decker spojrzął za siebie, na torbę, która zawierała milion dolarów. Czy chodzi jej o pieniądze? Czy to jest jej motyw, żeby nie dać się odsunąć?

- Dlaczego jesteś na mnie zły? - spytała Beth. Decker nie był przygotowany na to pytanie.

- Zły? Dlaczego sądzisz, że jestem...

- Gdybyś stał się dla mnie jeszcze odrobinę chłodniejszy, chyba bym dostała odmrożeń. Decker spojrzął na przyczepę Esperanzy, potem na swoje dłonie, wreszcie na Beth.

- Nie powinnaś mnie okłamywać.

- Że jestem objęta programem ochrony świadków? Miałam wyraźny rozkaz, żeby ci o tym nie mówić.

- Rozkaz od McKittricka?

- Posłuchaj. Wielokrotnie już, gdy mnie postrzelili, gdy wyszłam ze szpitala, gdy rozmawialiśmy u mnie na dziedzińcu, chciałam ci dać do zrozumienia, w jakiej jestem sytuacji. Błagałam cię, żebyśmy wyjechali i się gdzieś schowali. Ale upierałeś się, żebym jechała bez ciebie.

- Doszedłem do wniosku, że to będzie dla ciebie najbezpieczniejsze, w razie gdyby urządzili na mnie kolejny zamach - odparł Decker. - Gdybym wiedział, że jesteś objęta programem ochrony świadków, poprowadziłbym sprawę inaczej.

- Inaczej? Jak?

- Wtedy pojechałbym z tobą - powiedział Decker. - Żeby pomóc cię chronić. W takim wypadku natknąłbym się na McKittricka, domyśliłbym się, co się dzieje, i oszczędziłbym nam obojgu tego koszmaru, przez jaki przeszliśmy.

- Więc to wciąż moja wina? Czy to właśnie chcesz powiedzieć?

- Chyba nie użyłem słowa wina. Ja...

- A co z kłamstwami, którymi ty mnie karmiłeś, o tym co robiłeś wcześniej, dlaczego przyjechałeś do Santa Fe i skąd masz te blizny po pociskach? Wydaje mi się, że obydwie strony mówiły nieprawdę.

- Nie mogę opowiadać wszystkim dookoła, że pracowałem dla CIA.

- Ja to nie wszyscy dookoła - stwierdziła Beth. - Nie miałeś do mnie zaufania?

- Cóż...

- Czy nie kochałeś mnie na tyle, żeby mi zawierzyć?

- Byłem odbiciem siebie z dawnych czasów. Nigdy specjalnie nie ufałem ludziom.

Zaufanie może zabić. Ale tobie mógłbym zarzucić to samo. Ty najwyraźniej nie kochałaś mnie na tyle mocno, żeby powierzyć mi prawdę o twojej przeszłości. W głosie Beth brzmiało zniechęcenie.

- Może masz rację. Może było za mało miłości. - Oparła się, wyczerpana. - Czego oczekiwałam? Że spędzimy razem dwa miesiące. Przy tym zostaliśmy kochankami zaledwie osiem dni przed... - wzruszyła ramionami. - Życie ludzkie nie zmienia się w ciągu ośmiu dni.

- Czasami się zmienia. Moje zmieniło się w ciągu kilku minut, gdy postanowiłem przenieść się do Santa Fe.

- Przecież się nie zmieniło.

- O czym ty mówisz?

- Sam to powiedziałaś. Wróciłeś do punktu wyjścia. Do tego, kim byłeś kiedyś. - Po policzkach Beth potoczyły się łzy. - Przeze mnie. Decker nie mógł się opanować. Chciał przechylić się przez oparcie i ująć Beth za rękę, a potem ją przytulić. Ale zanim zdążył zadziałać pod wpływem tego impulsu, powiedziała:

- Jeśli chcesz zakończyć nasz związek, powiedz mi to otwarcie.

- Zakończyć? - Decker nie był na to przygotowany. - Nie jestem pewien... Nie byłem...

- Ponieważ nie zniosę twoich oskarżeń, że cię wykorzystywałam. Okłamałam cię, jeśli chodzi o moją przeszłość, ponieważ miałam wyraźny rozkaz utrzymania jej w tajemnicy. Nawet mimo to kusilo mnie, żeby ci powiedzieć, ale bałam się, że mnie zostawisz, gdy dowiesz się prawdy.

- Nigdy bym cię nie zostawił.

- To się okaże. To jest jedyne wyjaśnienie, jakie ode mnie uzyskasz. Czy ci ono wystarczy, czy nie. Jedno jest pewne - nie mam zamiaru siedzieć w jakimś pokoju hotelowym, kiedy ty będziesz stawiał czoło Renacie. Ty ryzykowałeś swoje życie dla mnie. Jeśli muszę uczynić to samo, żeby udowodnić swoją wartość, jestem na to gotowa. Decker poczuł się zakłopotany.

- Więc jak będzie? - spytała Beth. - Czy mi wybaczysz, że cię okłamałam? Ja tobie jestem gotowa wybaczyć. Chcesz zacząć od nowa?

- Jeśli to możliwe. - Uczucia rozdzierały Deckera.

- Jeśli się postarasz, wszystko jest możliwe.

- Jeśli oboje się postaramy. - Deckerowi załamał się głos. - Tak. Nagle uwagę Deckera przyciągnął dźwięk otwieranych drzwi domu Esperanzy. Esperanza wyszedł na zewnątrz. Detektyw włożył czyste dżinsy, płócienną koszulę i kapelusz stetson. Do prawego biodra miał przytwierdzoną kaburę z półautomatycznym pistoletem. Ale w jego wyrazie twarzy było coś, co wskazywało, że od czasu kiedy wszedł do domu, zmienił się nie tylko jego wygląd zewnętrzny. Buty Esperanzy zgrzytały na żwirze, gdy zbliżał się do buicka.

- Nic ci nie jest? - spytał Decker. - Twoje oczy wyglądają...

- Nie ma jej.

- Twojej żony? To znaczy, jest w pracy, czy...?

- Niema.

- Co?

- Odeszła. Przyczepa jest pusta. Meble. Naczynia i garnki. Jej ubrania. Wszystko zniknęło. Nawet kaktus, który stał na bufecie kuchennym. Zabrała wszystko, z wyjątkiem moich dżinsów i kilku koszul.

- Boże! - powiedział Decker.

- Nie wychodziłem przez jakiś czas, ponieważ musiałem zadzwonić w kilka miejsc, żeby się dowiedzieć, dokąd pojechała. Zatrzymała się u swojej siostry w Albuquerque.

- Naprawdę mi przykro. Esperanza zdawał się go nie słyszeć.

- Nie chce mnie widzieć. Nie chce ze mną rozmawiać.

- To wszystko dlatego, że nie zamierzasz porzucić swojej pracy policjanta?

- Ciągłe mówiła, że ożeniłem się ze swoją posadą. Oczywiście mieliśmy problemy, ale nie musiała wyjeżdżać. Mogliśmy te sprawy jakoś rozwiązać. Dopiero teraz Esperanza zauważył napięty wyraz twarzy Deckera i Beth.

- Chyba nie tylko ja muszę rozwiązać pewne sprawy.

- Bawiliśmy się w uaktualnianie wiadomości - powiedziała Beth. „Prawda i jej konsekwencje”.

- Tak, to dobre stare powiedzenie z Nowego Meksyku. - Esperanza wsiadł do samochodu. - No to do dzieła.

- Do dzieła? - spytał Decker zmieszany.

- Trzeba skończyć, co zaczęliśmy z Renatą.

- Ale to starcie już nie należy do ciebie. Zostań tutaj i spróbuj jakoś załatwić sprawę z twoją żoną.

- Nie zostawiam przyjaciół. Przyjaciół? Decker poczuł bolesny wyrzut sumienia, gdy przypomniał sobie, jaką cenę zapłacili Hal i Ben za okazanie mu przyjaźni. Próbował jeszcze odwieść Esperanzę od tego zamiaru.

- Nie. Pracujesz tutaj. Jesteś tu znany. To szaleństwo. Jeśli będą kłopoty, nie będziemy mogli ich zatuszować, jak to robiliśmy w Nowym Jorku i w New Jersey. Powstaną plotki. W najlepszym wypadku stracisz pracę.

- Może nawet tego chcę. Dalej, włączaj silnik. Renata czeka. Gdy Decker wszedł do sklepu, odezwał się brzęczyk. W powietrzu wisiał mdlący słodki zapach oliwy do broni palnej. Przed Deckerem ciągnęły się stojaki z karabinami, strzelbami i innym sprzętem myśliwskim. Sklep nazywał się The Frontiersman i był to pierwszy sklep, jaki Decker odwiedził po swoim przyjeździe do Santa Fe piętnaście miesięcy temu. Po lewej stronie, za szklaną gablotą z pistoletami, pojawił się sprzedawca. Chyba ten sam potężny, opalony, ubrany w tę samą czerwoną koszulę roboczą, z tym samym półautomatycznym pistoletem colt . przy boku, ekspedient, który obsługiwał go poprzednim razem. Podszedł, żeby zająć się Deckerem. Przyjrzał się klientowi.

- Słucham pana? Decker podszedł bliżej.

- Chciałbym wybrać się z przyjaciółmi na polowanie. Muszę kupić kilka rzeczy.

- Cokolwiek pan potrzebuje - na pewno to mamy albo możemy zamówić. Decker nie miał czasu czekać pięć dni na obowiązkowe sprawdzenie przeszłości osoby kupującej pistolet. Karabinek można było kupić na miejscu. Gdyby nie istniał zakaz sprzedaży pewnych rodzajów broni, Decker wybrałby po prostu kilka sztuk cywilnej wersji amerykańskich wojskowych M6-. Przed wprowadzeniem zakazu broń ta była powszechnie sprzedawana w większości sklepów z bronią palną. Teraz wybór nie był taki prosty.

- Samopowtarzalny remington ..

- Mam.

- Winchester .. Z krótką lufą - dwadzieścia cztery cale.

- Nie ma problemu.

- Dwie dubeltówki, dziesiątki.
- Nie da rady. Najcięższe dubeltówki jakie mam to dwunastki. Produkcji Stoegera.
- Może być. W dubeltówkach muszę mieć ulepszony tłumik.
- Z tym też nie będzie problemu. - Ekspedient spisywał listę.
- Mają być z krótkimi lufami.
- Aha. Jeszcze coś?
- Karabinek półautomatyczny ..
- Może być roger? Z dziesięciopistołowym magazynkiem?
- Ma pan trzydziestopistołowe?
- Trzy. Niech je pan bierze, póki są. Rząd straszy, że zakaze ich sprzedaży.
- Niech mi pan da wszystkie trzy. Dwa pudełka amunicji do każdego rodzaju broni.

Gruby śrut do dubeltówek. Trzy dobre noże myśliwskie. Trzy ubrania w barwach ochronnych; dwa duże, jedno średnie. Trzy pary długiej bielizny z polipropylenu. Trzy pary ciemnych bawełnianych rękawiczek. Tubkę pasty do kamuflażu. Dwie składane łopaty. Tuzin menażek - tych metalowych, wojskowych. Najlepiej się nadają na apteczkę.

- Tuzin menażek? Musi pan mieć wielu przyjaciół. Chyba zamierzacie się nieźle zabawić. Nie zapomniał pan chyba o niczym oprócz łuku i strzał zażartował ekspedient.

- Dobra myśl - powiedział Decker. W sumie musiał zapłacić niemal tysiąc siedemset dolarów. Decker obawiał się, że Renata miała kontakty, dzięki którym mogła uzyskać pewne informacje od firm komputerowych albo od firm zajmujących się rozliczaniem kart kredytowych, więc nie użył karty Visa. W ten sposób dałby Renacie znać, że znowu jest w mieście i kupuje broń. Wymyślił historyjkę, że wygrał sporą sumkę w blackjacka w Las Vegas i zapłacił gotówką. Nie musiał się martwić, że siedemnaście studolarowych banknotów ściągnie na niego uwagę. To był Nowy Meksyk. Jeśli chodziło o broń, nikt się nie interesował, jak za nią płacono i do czego jej używano. Ekspedient nawet nie przyglądał się zadrapaniom na twarzy Deckera.

- Chryste, Decker, to wygląda, jakbyś chciał rozpocząć wojnę. A to co? Łuk i strzały?

- A jeśli to nie wystarczy, aby się pozbyć Renaty i jej gangu, to ich oleję równym sikiem.

Esperanza zaczął się śmiać.

- To już cały sprzęt. Spokojnie - powiedział Decker. Zamknęli bagażnik i wsiedli do samochodu. Beth czekała na tylnym siedzeniu. Oczy wciąż miała zaczerwienione po rozmowie z Deckerem. Wyraźnie starała się odzyskać humor i stać się częścią drużyny.

- Z czego się śmiaлиście?

- Z głupiego żartu. - Decker powtórzył jej, co powiedział. Beth zachichotała.

- Męskie dowcipy.

- Po co kupiłeś tyle menażek? - spytał Esperanza. - Po jednej dla każdego, ale po co pozostałe dziewięć?

- Napelnimy wszystkie nawozem dla roślin i olejem napędowym.

- A to, u licha, po co?

- W ten sposób powstają diabelnie dobre bomby. - Decker spojrzął na zegarek i włączył silnik samochodu. - Lepiej jedźmy. Już niemal wpół do piątej. Niedługo zapadnie zmierzch. Godzinę później, po dokonaniu jeszcze kilku zakupów, Decker wyjechał z Cerrillos Road na autostradę międzystanową numer 9, ale tym razem skierował się na północ, w stronę przeciwną niż Albuquerque.

- Dlaczego wyjeżdżamy z miasta? - Beth, poruszona, przechyliła się do przodu. - Mówiłam, że nie pozwolę się zamknąć w jakimś motelu za miastem. Nie dam się z tego wyłączyć.

- Nie dlatego wyjeżdżamy. Czy słyszałaś kiedyś powiedzenie „Na zachód od Pecos nie panuje prawo”? Beth nie mogła pojąć, jakie znaczenie może mieć ta uwaga.

- Chyba tak... W starych westernach albo na lekcjach historii Południowego Zachodu.

- Pecos, o które chodzi w tym powiedzeniu, to nazwa rzeki i właśnie tam jedziemy. " Dwadzieścia minut później skręcił w lewo, na drogę stanową i wkrótce przybył do miasteczka Pecos. Ponownie skręcił w lewo. Minał Jezioro Klasztorne, gdzie łowił pstrągi pierwszego lata, jakie spędził w tej okolicy, minął klasztor, od którego jezioro wzięło swoją nazwę, i pojechał coraz bardziej stromą, krętą drogą wśród wysokich sosen. Słońce schowało się za potężne zachodnie urwiska, pogrążając surowy krajobraz w cieniu.

- Jedziemy do Rezerwatu Przyrody Pecos - powiedział Decker. - Po prawej stronie płynie rzeka Pecos. Miejscami ma tylko dwadzieścia stóp szerokości. Nie zawsze jest widoczna z powodu drzew i skał, ale za to zawsze ją słyhać.

- Na tej drodze niemal nikogo nie ma - zauważyła Beth. - Po co tu wjechaliśmy?

- To teren wędkarski. Pewnie zauważyliście pomiędzy drzewami kilka domków letniskowych. Po Święcie Pracy większość z nich jest pusta. - Decker wskazał przed siebie. - A od czasu do czasu ktoś decyduje się wystawić taki domek na sprzedaż. Po prawej stronie za zakrętem pojawiła się na słupku tabliczka z napisem: POŚREDNICTWO HANDLU NIERUCHOMOŚCIAMI EDNY FREED, a pod spodem mniejszymi literami: KONTAKTOWAĆ SIĘ ZE STEPHENEM DECKEREM i numer telefonu. Tuż za tablicą Decker skręcił z szosy, wjechał w przecinkę wśród jodeł, przeprowił się przez wąski drewniany mostek nad rzeką i dotarł szutrową dróżką do polany przed szarym drewnianym domkiem ze spadzistym dachem z zardzewiałej blachy. Niewielki budynek, otoczony gęsto drzewami i zaroślami, wzniesiono na zaciętej skarpie, nieco ponad polanką. Stał przodem do zjazdu z szosy. W skarpie były wykute stopnie, obłożone drewnianymi balami. Stopnie prowadziły do podniszczonych drzwi frontowych.

- Taka namiastka domu z dala od domu - skomentowała Beth.

- Od sześciu miesięcy usiłuję sprzedać tę posiadłość - powiedział Decker. - Klucz jest w skrytce na drzwiach. Beth wysiadła z samochodu, wsparła się na kulach i zadrżała.

- W mieście było mi ciepło, ale tutaj po zachodzie słońca robi się bardzo zimno.

- I wilgoć ciągnie od rzeki - dodał Decker. - Właśnie dlatego kupiłem dla nas termiczną bieliznę. Zanim ruszymy, lepiej się w nią ubierzmy.

- Termiczną bieliznę? Przecież nie będziemy przebywać na zewnątrz aż tak długo, nieprawdaż?

- Być może przez całą noc. Na twarzy Beth pojawiło się zdziwienie.

- Mamy mnóstwo rzeczy do zrobienia. - Decker otworzył bagażnik buicka. - Załóż te bawełniane rękawiczki i pomóż nam załadować broń. Uważaj, żeby na niczym nie zostawić odcisków palców. To dotyczy również amunicji. Wiesz, jak się posługiwać dubeltówką?

- Wiem.

- Kiedyś będziesz musiała mi opowiedzieć, jak się tego nauczyłaś. Twoje ranne ramię oczywiście nie wytrzyma odrzutu broni. Miałybyś również kłopoty z repetowaniem karabinku. Dlatego kupiłem dubeltówki. Połączone szyną lufy są szerokie i na tyle płaskie, że będą stabilne, jeśli oprzesz je na jakimś pniu. Możesz położyć się za nim i strzelać bez konieczności dźwigania strzelby, żeby wycelować. Z każdej broni będziesz mogła oddać dwa strzały. Łamanie dubeltówki, by ją załadować, nie jest trudne.

- A o jakim pniu mówiłaś? - spytała Beth przebiegle.

- Nie jestem pewien. Przejdziemy się z Esperanzą, żeby trochę poznać teren. Zastanów się, co może robić Renata i jej przyjaciele, gdy przyjadą tutaj dziś wieczorem. Jaką przyjmą taktykę? Jaka osłona wyda im się najlepsza? A potem pomyśl, jakie miejsce dałoby ci nad nimi przewagę. Za godzinę będzie ciemno. A kiedy już poskładamy nasz sprzęt, zaczniemy próby. Denerwująco szybko nadszedł czas wyjazdu. Tuż przed dziewiątą, w gęstniejącej ciemności, Decker powiedział do Esperanzы:

- Niedługo na lotnisko wAlbuquerque przybędą ostatnie, wieczorne samoloty. Nie możemy dłużej czekać. Sądziysz, że dasz radę sam dokończyć przygotowania? Chłodne nocne powietrze oziębiało oddech Esperanzы i widać było, jak z jego ust wydobywa się para.

- Ile czasu ci to zajmie?
- Możesz nas oczekiwać około północy.
- Będę gotów. Lepiej nie zapomnij tego. Esperanza wręczył mu podręczną torbę, która niegdyś zawierała milion dolarów, ale teraz wypełniona była starymi gazetami. Pieniądze znajdowały się w worku na ubrania leżącym u stóp Esperanzy.
- Racja - powiedział Decker. - Cały plan weźmie w łeb, jeśli Renata będzie sądziła, że nie mam pieniędzy.
- I że mnie nie ma z tobą - dodała Beth.
- Z tym też masz rację - zgodził się Decker. - Jeśli Renata nie zobaczy nas razem, będzie się zastanawiała, dlaczego się rozstaliśmy. Zacznie podejrzewać, że chronię cię przed niebezpieczeństwem, a ją samą prowadzę w pułapkę.
- Nie do wiary - powiedziała Beth. - A ja przez cały czas sądziłam, że przywiozłeś mnie tutaj, ponieważ moje towarzystwo sprawia ci przyjemność. Ta uwaga sprawiła, że Decker poczuł jakby ukłucie igły. Czy jej żart oznaczał, że ma dobry humor, czy...! Nie wiedząc co odpowiedzieć, pomógł jej usiąść na przednim siedzeniu samochodu, odsunął fotel do tyłu, żeby miała więcej miejsca dla rannej nogi, i ulokował na tylnym siedzeniu jej kule. W końcu, kiedy usiadł obok niej i zatrzasnął drzwi, przyszło mu do głowy, co powinien powiedzieć.
- Jeśli uda nam się to przetrwać... Jeśli się wzajemnie poznamy...
- Myślałam, że już mnie poznałeś.
- Ale kogo? Czy jesteś Beth Dwyer, czy Dianą Scolari?
- Czy ty nigdy nie posługiwałaś się fałszywymi nazwiskami? Tym razem Decker również nie wiedział, co odpowiedzieć. Uruchomił buickę, skinął nerwowo głową w stronę Esperanzy i zawrócił na polance. Oświetlając reflektorami gęste sosny przejechał przez most i skręcił na opustoszałą drogę do Pecos. Żadne z nich się nie odezwało do chwili, kiedy wyjechali na autostradę stanową, minęli Santa Fe i skierowali się w stronę Albuquerque.
- Pytaj - odezwała się wreszcie Beth.
- Pytaj...?
- O cokolwiek. O wszystko. - Głos jej wibrował od emocji.
- To odważny rozkaz.
- Do cholery, spróbuj. Zanim dojedziemy na lotnisko, chcę wiedzieć, w jakim punkcie się znajdujemy, jeśli chodzi o nasze sprawy. Decker przyspieszył i wyprzedził półciężarówkę, starając się nie przekraczać siedemdziesięciu pięciu mil na godzinę.
- Układ między ludźmi nie trwa sam z siebie - powiedziała Beth. Trzeba nad nim pracować.
- Dobrze. - Decker zawahał się i skupił uwagę na ciemnej autostradzie. Poczł się jak w tunelu. - Kiedyś opowiedziałas mi, że między twoimi rodzicami dochodziło do tak ostrych kłótni, że bałaś się, że twój ojciec wpadnie do sypialni i zabije cię, gdy będziesz spać. Układałaś wtedy poduszki, żeby wyglądały, jakbyś to ty leżała pod kołdrą. Spałaś zaś pod łóżkiem, by ojciec zaatakował poduszki, ale nie dosięgnął ciebie... Czy ta opowieść była prawdą?
- Tak. Czy sądziłaś, że kłamałam, żebyś poczuł potrzebę chronienia mnie? Decker nie odpowiedział.
- Czy ty naprawdę tak myślisz - że ludzie bez przerwy usiłują tobą manipulować?
- Kiedyś tak myślałem. Zanim przyjechałem do Santa Fe.
- A teraz wróciłeś do starych zwyczajów.
- Przeżyłem dzięki temu, że byłem podejrzliwy. Właściwie, gdybym pozostał przy swoich starych zasadach, gdybym się nie odsłonił... - Nie podobał mu się ten wniosek, do jakiego doprowadziło go logiczne rozumowanie, więc nie dokończył zdania.
- Nie zakochałbyś się we mnie. Czy żałujesz, że tak się nie stało?

- Tego nie powiedziałem. Nie wiem, co chciałem powiedzieć. Gdybym się w tobie nie zakochał, Renata i tak by mnie ściagała. To by się nie zmieniło. Ja... - Męczył go chaos myśli. - Ale zakochałem się w tobie i gdybym mógł zmienić przeszłość...

- To co? - w głosie Beth zabrzmiała obawa.

- Niczego bym nie zmienił. Beth odetchnęła głośno.

- Więc mi wierzysz?

- Wszystko sprowadza się do zaufania.

- I do wiary - dodała Beth. Deckera zabolęły dłonie, które zaciskał na kierownicy.

- I do ogromnej wiary. Rozglądając się wokół, Decker zostawił buicka na jasno oświetlonym parkingu dla wynajętych samochodów obok lotniska w Albuquerque i udał się z Beth do budynku dworca lotniczego. Na drugim piętrze, w pobliżu miejsca odbioru bagażu, oddał kluczyki urzędnikowi Avisa, poinformował go, ile mil przejechał oraz ile zostało paliwa w samochodzie, zapłacił gotówką i schował rachunek do kieszeni.

- Chcą państwo złapać jeden z ostatnich samolotów? - spytał urzędnik.

- Tak. Staraliśmy się maksymalnie wydłużyć wakacje.

- Powróćcie kiedyś do naszej Krainy Oczarowania.

- Na pewno wrócimy. Gdy znaleźli się poza zasięgiem wzroku urzędnika Avisa, Decker poprowadził Beth w stronę tłumy, który schodził z górnych pięter dworca, gdzie przylatywały ostatnie tego dnia samoloty. Starali się wyglądać tak, jakby dopiero co przylecieli. Zjechali z tłumem ruchomymi schodami na parter lotniska i wyszli na parking.

- No to zaczynamy - mruknął Decker. Lampy sodowe w garażu parkingowym rzuciły niesamowite żółte światło. Mimo że Decker był przekonany, że nikt z zespołu Renaty nie wałęsa się bez przerwy w pobliżu stanowisk przylotowych, aby nie ściągnąć na siebie uwagi służb bezpieczeństwa lotniska, nie mógł być równie pewien, że ktoś nie czyha w garażu parkingowym i nie obserwuje jeepa. Garaż nie był tak dokładnie strzeżony jak lotnisko. Od czasu do czasu przejeżdżał tędy samochód patrolowy, ale obserwatorzy widzieliby, że policja nadjeżdża, i udawaliby, że ładują bagaże do kufra samochodu. Jeśli nawet drużyna obserwacyjna była w garażu, wydawało się wątpliwe, żeby zaatakowali Deckera i Beth w miejscu publicznym, które do tego ma tylko jeden wyjazd z lotniska. Podróżni, wsiadający do pojazdów stojących obok, zauważiliby napad i zaalarmowaliby służbę bezpieczeństwa, a ci załatwiliby telefonicznie blokadę drogi prowadzącej z lotniska. Nie, przy tak wielkim ryzyku, że zamierzony atak się nie uda, drużyna obserwacyjna będzie wołała poczekać. W tym czasie przez telefon komórkowy powiadomią Renatę, że widzieli Deckera z torbą, w której był milion dolarów. Renata dojdzie do wniosku, że Decker nie zdaje sobie sprawy z niebezpieczeństwa, w przeciwnym razie bowiem ukryłyby torbę z pieniędzmi. Jeep cherokee stał zaparkowany po lewej stronie, przy schodach, na drugiej kondygnacji parkingu. Decker otworzył samochód, pomógł Beth usiąść na przednim siedzeniu, wrzucił jej kule i torbę do tyłu, wsiadł szybko, zamknął drzwi i wsadził kluczyk do stacyjki. Zawahał się chwilę.

- Na co czekasz? - spytała Beth. Decker wpatrywał się w swoją prawą dłoń, którą właśnie miał przekręcić kluczyk. Na czoło wystąpiły mu krople potu.

- Teraz przekonamy się, czy się myślę, czy nie. Zaraz się okaże, czy Renata nie podłączyła do samochodu ładunków wybuchowych.

- Jeśli się pomyliłeś, i tak nigdy się nie dowiemy - powiedziała Beth. Do diabła z tym. Rozmawialiśmy, że trzeba wierzyć. Dalej. Przekręcaj kluczyk. Zamiast eksplozji usłyszał głos silnika.

- Udało się! - Wycofał auto ze stanowiska parkingowego i pojechał tak szybko, na ile pozwalały przepisy. Mijał podróżnych, którzy upychali walizki do bagażników. Każdy z nich mógł być wrogiem. Pół minuty później Decker wyjeżdżał z garażu. Zatrzymał się przy jednej z kas, zapłacił obsługującemu i włączył się w szereg samochodów pędzących od strony lotniska. Błyskały reflektory. Serce łomotało mu z furją, gdy minął zakręt i wskazał na światła błyszczące niemal w każdym oknie czternastopiętrowego hotelu Best Western.

- W tej chwili w jednym z tych pokoi panuje ogromne poruszenie. Wskazówka na monitorze ich urządzenia śledczego pokazuje, że samochód jest w ruchu. - Chciał zwiększyć prędkość, ale zwalczył ten odruch, gdy zobaczył przed sobą światła na dachu samochodu policyjnego.

- Jestem strasznie zdenerwowana. Trzęsą mi się kolana i nie mogę nad tym zapanować - powiedziała Beth.

- Spróbuj opanować strach.

- Nie mogę.

- Musisz. Samochód policyjny przed nimi skręcił za róg. Decker otworzył wieszak skrytki, która oddzielała przednie siedzenia. Wziął pistolet służbowy, który Esperanza zostawił w samochodzie, kiedy lecieli do Nowego Jorku.

- Pewnie już wypadli z pokoju i biegają na parking hotelowy.

- Jak to robisz, że zwalczasz strach?

- Nie zwalczam.

- Ale przed chwilą powiedziałeś...

- Żeby opanować strach, a nie go zwalczyć. Strach jest pewnym mechanizmem przetrwania. Dodaje siły. Może ocalić życie, ale tylko jeśli potrafisz go opanować. Jeśli to on ciebie opanuje, zabije cię. Beth przyjrzała mu się uważnie.

- Jeszcze dużo muszę się o tobie dowiedzieć.

- Ja też. To tak jakby wszystko, co się z nami działo przed zamachem na mój dom w nocy zeszłego piątku, było naszym miodowym miesiącem. A teraz zaczęło się prawdziwe małżeństwo. - Decker wjechał na autostradę. - Już zdążyli dotrzeć na hotelowy parking. Wsiadają do swoich samochodów.

- Miodowy miesiąc? Małżeństwo?... Czy to, co przed chwilą powiedziałeś, było propozycją?

- ...a czy to zły pomysł?

- Przeżywałbyś rozczarowanie, że nie jestem tą idealną kobietą, dla której ryzykowałeś życie.

- To stawia nas na równi. Ja z pewnością nie jestem idealnym mężczyzną.

- Jesteś niezłą imitacją tego bohatera, o którym marzyłam jako mała dziewczynka.

- Bohaterowie to głupcy. Bohaterowie dają się zabić. - Decker zwiększył prędkość, żeby dotrzymać tempa reszcie pojazdów, co znaczyło, że jechał sześćdziesiąt pięć mil na godzinę. - Renata i jej przyjaciele teraz pewnie pędzą w stronę autostrady. Monitor nadajnika wskaże im, w jakim kierunku się udałem. Muszę trzymać się odpowiednio daleko przed nimi. Nie mogę dać się wyprzedzić ani dopuścić do tego, by mnie zmusili do zjechania na pobocze na jakimś pustym odcinku autostrady.

- Czy przeszkadza ci rozmowa?

- Teraz?

- Odwraca twoją uwagę? Jeśli nie, to rozmowa pomaga mi opanować strach.

- W takim razie rozmawiaj.

- Jaka jest twoja największa przywara?

- Co takiego?

- Nadszakiwałeś mi przez całe lato i pokazywałeś się od najlepszej strony. A jaka jest najgorsza?

- Ty mi powiedz o swojej. - Decker ze zmrużonymi oczami zerkał w stronę światła w lusterku wstecznym, wypatrując samochodu, który zbliżałby się szybciej niż inne.

- Ja spytałam pierwsza.

- Pytasz poważnie?

- Bardzo. Decker z ociąganiem zaczął mówić. Powiedział jej, że jego ojciec był zawodowym oficerem i że rodzina mieszkała w różnych bazach wojskowych w całych Stanach Zjednoczonych. Przeprowadzali się często.

- Gdy byłem mały, nauczyłem się, że nie należy przywiązywać się do ludzi ani do miejsc. Ojciec nigdy nie był wylewny, a nawet żenowało go okazywanie uczuć, wszystko jedno, gniewu, smutku czy radości. Nauczyłem się skrywać, co czuję. Kiedy wstąpiłem do wojska, co było logicznym wyborem dla syna zawodowego oficera, trening do zadań specjalnych jeszcze bardziej umocnił moją zdolność kontrolowania własnych emocji. Miałem nauczyciela, który mnie polubił i często ze mną rozmawiał po zajęciach. Wdawaliśmy się w dyskusje filozoficzne, często jak przetrwać nieludzkie sytuacje i samemu nie stać się nieludzkim. Na przykład, jak reagować na zabicie kogoś. Albo jak sobie poradzić z widokiem zabitego kolegi. Pokazał mi w podręczniku coś na temat umysłu i uczuć, czego nigdy nie zapomnę. Decker nie przestawał spoglądać uważnie w stronę świateł widocznych w lusterku wstecznym. Ruch się przersedzał. Niemniej jednak Decker pozostał na lewym pasie, nie chcąc, by wstrzymał go któryś z wolniej jadących samochodów.

- Co takiego ci pokazał? - spytała Beth.

- Kiedy podejmujemy rozstrzygające decyzje, i tak nie uciekniemy przeznaczeniu. Wszyscy mamy uczucia. Same uczucia nas nie osłabiają. Ale jeśli nie jesteśmy w stanie kontrolować myśli o nich, zniewolą nas. Przez ćwiczenia możemy się nauczyć kontrolować te myśli. Myślami kontrolujemy uczucia.

- Chyba chciał osaczyć twoje uczucia takimi zaporami, żebyś ich niemal w ogóle nie przejawiał.

- To miał być filtr. Chodziło o to, żebym tak interpretował swoje uczucia, aby zawsze okazywały się moimi sprzymierzeńcami. Na przykład - Decker poczuł gorycz - w sobotę w nocy zginęło dwóch moich przyjaciół.

- Gdy pomagali ci mnie znaleźć? - Beth pobrała.

- Niemal pozwoliłem, żeby zawładnął mną żal, ale powiedziałem sobie, że nie mam na to czasu. Musiałem odsunąć żal do momentu, kiedy będę mógł naprawdę go przeżyć. Gdybym wtedy nie skupił się na samoobronie, skończyłbym jak oni. Wciąż jeszcze nie znalazłem czasu, żeby ich opłakiwać. Beth powtórzyła zdanie z cytatu, który jej przytoczył.

- „Myślami kontrolujemy uczucia”.

- Tak żyłem. - Decker ponownie spojrzął w lusterko wsteczne. Z niepokojącą szybkością zbliżały się jakieś światła. Decker opuścił szybę od swojej strony. Zjechał na prawy pas, przytrzymał kierownicę lewą ręką, prawą chwycił pistolet Esperanzy i przygotował się do oddania strzału, jeśli pojazd nadjeżdżający z lewej będzie próbował staranować go bokiem na tym odludnym odcinku autostrady. Pojazd miał włączone długie światła. Ich ostre odbicie w lusterku niemal oślepiło Deckera. Decker gwałtownie zmniejszył prędkość, tak żeby samochód przeleciał obok niego, zanim kierowca zdąży nacisnąć hamulec. Samochód przemknął i popędził dalej. Zobaczyli kontur przypominający półciężarówkę. Jej czerwone światła tylne oddaliły się w ciemność.

- Jedzie chyba z dziewięćdziesiąt - powiedział Decker. - Jeśli trochę odczekam i pojedę z podobną prędkością, ta półciężarówka skryje mnie na radarze każdego samochodu policyjnego zaparkowanego przy drodze. Policja najpierw zatrzyma półciężarówkę. A ja zdążę wytracić prędkość i się przemknąć. Wewnątrz samochodu zapanowała cisza.

- Więc - odezwała się w końcu Beth - uczucia sprawiają, że tracisz pewność? Niezłe to przede mną zamaskowałeś minionego lata.

- Ponieważ świadomie starałem się zmienić. Otworzyć się i poddać uczuciom. Gdy tego pierwszego dnia weszłaś do mojego biura, byłem gotów, po raz pierwszy w życiu, się zakochać.

- A teraz czujesz się zdradzony, ponieważ kobieta, w której się zakochałeś, nie jest tą, za którą się podawała. Decker nie odpowiedział. Beth ciągnęła dalej:

- Wydaje ci się, że może bezpieczniej będzie wrócić do punktu wyjścia, nabrać dystansu i nie pozwolić sobie na żadne uczucia, które mogłyby odsłonić twoje słabe punkty.

- Zaświtała mi taka myśl.

- I co?

- Do licha z moją dumą. - Decker ścisnął jej dłoń. - Spytałaś mnie, czy chcę zacząć od początku. Tak. Ponieważ to drugie rozwiązanie śmiertelnie mnie przeraża. Nie chcę cię stracić. Oszalałbym, gdybym nie mógł spędzić z tobą reszty życia... chyba mimo wszystko nie wracam do starych zwyczajów. Lepiej wróć do nich, powiedział do siebie w myśli. Musisz nas oboje utrzymać przez tę noc przy życiu. Napięcie spowodowało znajome, bolesne uczucie nacisku w żołądku, które odczuwał często, gdy pracował dla CIA. Omlet, który zjadł rano w samolocie, gniótł go i palił jak kwas, podobnie jak hamburgery z frytkami na wynos, które kupił dla wszystkich, gdy kompletował po południu sprzęt. Jak za dawnych czasów, pomyślał. Zastanawiał się, jak blisko niego był pościg i jakie podejmowali decyzje. Czy mieli jakichś ludzi, którzy czekali w Santa Fe? Może tylko kilkoro z przyjaciół Renaty było ulokowanych w hotelu Best Western - za mało, żeby ryzykować atak. Może porozumieli się przez telefon komórkowy i załatwili posiłki. A może Decker się mylił i w jego samochodzie nie zainstalowali nadajnika. Może jego plan okaże się bezużyteczny. Nie, powiedział do siebie z naciskiem. Param się tym od wielu lat. Wiem, jak to się robi. Wiem, jak zachowałyby się Renata w takich okolicznościach. Cóż, pomyślał smętnie, czy to nie miłe uczucie mieć pewność? Kiedy minął trzy zjazdy do Santa Fe i pędził dalej autostradą, rozbawiło go, gdy sobie wyobraził, jaki zamęt musiało to wywołać wśród jego prześladowców, jakie prowadzą nerwowe dyskusje, próbując się domyślić, dlaczego się nie zatrzymał w mieście i dokąd jedzie. Teraz także ci z Santa Fe jadą za mną, pomyślał. Tego był pewien, podobnie jak tego, że największe niebezpieczeństwo jeszcze ma przed sobą ogromnym ryzykiem była jazda odludną drogą stanową numer 13. Była ciemna, wąska i kręta. Od czasu do czasu mijało się małe wioski, ale głównie była otoczona cienistymi zaroślami i drzewami. Dawała ścigającym doskonałą szansę, żeby zepchnąć Deckera z drogi, tak że nikt nie zauważyłby, co się dzieje. Nie mógł w żaden sposób jechać tak szybko jak na autostradzie. Dachowałyby na pierwszym zakręcie. W niektórych miejscach nawet czterdzieści pięć mil stanowiło maksimum. Zgarbił się i wpatrywał w ciemność, starając się nadrobić każdą sekundę na prostych odcinkach. Ograniczał prędkość, brał ostro zakręty i przyspieszał znowu.

- Nie mogę odwrócić wzroku od szosy, żeby spojrzeć we wsteczne lusterko - odezwał się do Beth. - Spójrz do tyłu. Widzisz jakieś światła?

- Nie. Czekał... teraz widzę.

- Co?

- Wyłaniają się zza ostatniego zakrętu. Jeden... Nie... Wygląda jak dwa samochody. Drugi właśnie wyjechał zza zakrętu.

- Chryste!

- Chyba się do nas nie zbliżają. Dlaczego się wstrzymują? Może to nie oni? - powiedziała Beth.

- Albo może chcą się dowiedzieć, w co się pchają, zanim poczynią jakiś ruch. Spójrz przed nami.

- Światła.

- Tak. Dojechaliśmy do Pecos. Tuż przed północą, w czwartkową noc, niemal nic się nie działo. Decker zmniejszył lekko prędkość, skręcił w lewo w spokojną główną ulicę i skierował się na północ, w stronę gór.

- Nie widzę już świateł - powiedziała Beth. - To musiały być samochody ludzi, którzy mieszkają w miasteczku.

- Może. - Gdy tylko poświata sennego miasteczka została z tyłu, Decker znowu przyspieszył i zaczął wdrapywać się po ciemnej i wąskiej drodze w dzikie rejony. - A może to są samochody Renaty i jej gangu i zwolnili trochę, ponieważ nie chcą się zdemaskować, że nas śledzą. Pewnie się zastanawiają, co tu robimy. Gęste sosny w ciemności wydawały się tworzyć jednolitą ścianę.

- Krajobraz nie wygląda zbyt zachęcająco - powiedziała Beth.

- To dobrze. Renata pomyśli, że ktoś może tutaj przyjechać tylko po to, żeby się ukryć. Dojeżdżamy. Już niemal jesteśmy na miejscu. Jeszcze tylko kilka... Niemał przejechał obok znaku pośrednictwa handlu nieruchomościami napisem: KONTAKTOWAĆ SIĘ ZE STEPHENEM DECKEREM, zanim zdążył zredukować prędkość na tyle, żeby skręcić w ledwo widoczną przecinkę pośród jodeł. Z nękającą go świadomością, że usiłując wpędzić Renatę w pułapkę, równie dobrze może sam w nią wpaść, przeleciał z hukiem przez drewniany most ponad rwącą, wąską rzeką Pecos, wjechał na mroczną polankę, zaparkował przed schodami prowadzącymi do domu i zgasił silnik. Dopiero wtedy przycisnął wyłącznik światła pozostawiając funkcję, dzięki której światła miały się palić jeszcze przez dwie minuty. Wydobyl z tylnego siedzenia kule Beth i torbę podręczną. Coś go nakłaniało do pośpiechu, ale nie ośmielił się poddać temu odczuciu. Gdyby Renata i jej szajka przejeżdżając zobaczyli, jak pędzi do domku, natychmiast zaczęliby podejrzewać, że wiedział, iż za nim jadą, i oczekiwał ich przybycia, że zostali zwabieni w potrzask. Siłą woli narzucił sobie pozę człowieka zmęczonego, i tak się naprawdę czuł. Poszedł za Beth po drewnianych schodach i sięgnął do metalowej skrzynki, przymocowanej do klamki domku. Reflektory samochodu dawały akurat dość światła, żeby mógł kluczem otworzyć skrzynkę. Uniósł pokrywkę, wyjął klucz od domku, otworzył drzwi i pomógł Beth wejść do środka. Natychmiast kiedy tylko zamknął i zaryglował drzwi, zapalił światło, dając upust narastającej w nim potrzebie szybkiego działania. W domku były już spuszczone żaluzje, więc nikt nie mógł widzieć, jak pomagał ubrać się Beth, która odrzuciła kule i podniosła maskujący kombinezon. Naciągnęła kombinezon na spodnie i bluzkę. Kiedy już była gotowa, Decker włożył swój kombinezon. Długą bieliznę z polipropylenu mieli już na sobie, zanim opuścili domek, żeby udać się na lotnisko. Teraz Decker posmarował twarz Beth, a następnie swoją, ciemną pastą maskującą. Kiedy wcześniej wieczorem przeprowadzali próby, czynności te zabierały im niecałe dwie minuty, ale teraz Deckerowi zdawało się, że trwa to znacznie dłużej. Szybko, pomyślał. Żeby nie zostawiać odcisków palców, włożyli ciemne bawełniane rękawiczki, na tyle cienkie", aby można w nich było strzelać, ale na tyle grube, by dawały trochę ciepła. Decker włączył małe radio i jakiś piosenkarz zaczął zawodzić w stylu countryandwestem o "życiu, kochaniu, opuszczeniu i tak dalej". Decker zostawił zapalone światła, pomógł Beth wyjść przez tylne drzwi, zamknął je za sobą i zaryzykował zatrzymanie się w mroźnej ciemności. Poglądził ramię Beth gestem wsparcia i uczucia. Drżała, ale zrobiła to, co miała zrobić; co wcześniej ćwiczyli. Znikła na lewo od domku. Decker, na którym odwaga Beth wywarła niemałe wrażenie, poszedł na prawo. Przed domkiem zgasły światła samochodu. Ciemność gęstniała, im bardziej oddalał się od blasku okien domku. Wzrok przyzwyczajał mu się do ciemności. Księżyc i niewyobrażalna ilość gwiazd, jasnych, jak zwykle w górach, rozświetlała noc delikatną poświatą. Gdy Decker i Esperanza wcześniej obeszlili działkę, oceniając ją z taktycznego punktu widzenia, zdecydowali wykorzystać ścieżkę, używaną przez zwierzynę leśną, skrytą w gęstych chaszczach za domkiem. Beth, nie widziana z drogi, w tej chwili posuwała się tą ścieżką i wkrótce zapewne dojdzie do grubego drzewa, które ścieżka omijała. Tam położy się na poszyciu, przeczołga przez krzaki w dół zbocza i dotrze do płytkiego rowu, który wykopał Esperanza, gdzie wsparte na pniu leżą, przygotowane dla niej, dwa karabinki o podwójnych lufach. W tym czasie Decker przedarł się przez ciemność do podobnego płytkiego rowu, który sam wykopał, używając jednej z łopatek zakupionych w sklepie z bronią. Nawet mając na sobie trzy warstwy odzieży, czuł wilgoć ziemi. Położył się za pniem, skryty za krzakami, i macał dookoła, ale nie mógł znaleźć tego, czego szukał. Puls podskoczył mu nerwowo, aż w końcu dotknął winchestera .. Ta potężna broń była przeznaczona do użytku na średnią odległość w zarośniętym terenie, takim jak ten. Miała sześć pocisków w magazynku i jeden w komorze i można z niej było strzelać tak szybko, jak na to pozwalało przesuwanie w przód i w tył dobrze naoliwionej dźwigni za cynglem. Obok karabinu leżał akumulator samochodowy, kolejna rzecz, którą Decker kupił przed wyjazdem z Santa Fe. A obok

akumulatora dwanaście par przewodów elektrycznych z odsłoniętymi końcówkami. Przewody biegły do menażek wypełnionych olejem napędowym i pewnym rodzajem nawozu do roślin. Po zmieszaniu w odpowiednich proporcjach, ze składników tych otrzymywało się środek wybuchowy. Żeby były jeszcze bardziej skuteczne, Decker rozciął kilka nabojów do dubeltówki i wsypał do mieszaniny śrut i proch strzelniczy. Detonatory wykonał tłukąc szklane osłonki z dwunastu stuwatowych żarówek tak, żeby nie zniszczyć drucika żarowego wewnątrz. Każdą z żarówek uchwycił za metalowy gwint i powtykał druciki żarowe do wszystkich menażek. Menażki były zakopane w strategicznych punktach i przykryte liśćmi. Pary przewodów, ukryte w ten sam sposób, prowadziły do akumulatora samochodowego obok Deckera. Przewody były ułożone od lewej ku prawej, w sposób odpowiadający rozlokowaniu menażek. Gdy Decker wybierze którąś z par i przytknie jedną końcówkę przewodu do dodatniego bieguna akumulatora, a drugą do ujemnego, zamknie obwód, spowoduje zapalenie drucika żarowego i detonację bomby. Był gotów. Dalej w dół dróżki, na przeciwnym brzegu rzeki Pecos, po drugiej stronie drogi w lesie krył się Esperanza. Na pewno widział, jak Decker wjeżdża na teren posiadłości, i czekał, aż dotrze tu Renata i jej przyjaciele. Zdrowy rozsądek dyktował, że gdy ich odbiornik wskazał, iż Decker skręcił z drogi, nie powinni od razu jechać za nim leśną dróżką, dopóki nie sprawdzą, jakie kłopoty mogą ich tam czekać. Raczej powinni minąć przecinając, zaparkować w jakimś bezpiecznym miejscu i wrócić ostrożnie do dróżki. Pewnie będą chcieli uniknąć przewężenia wjazdu, ale nie będą mogli, ponieważ mieli do wyboru jedynie przeprawienie się przez rwącą rzekę, a w ciemności byłby to manewr zbyt ryzykowny. W chwili gdy Renata i jej drużyna zeszliby z drogi i ruszyli dróżką, Esperanza miał wyłonić się z kryjówki i unieruchomić ich pojazdy, na wypadek gdyby zaczęli coś podejrzewać, chcieli wrócić do samochodów i uciec. Prawdopodobnie w grę wchodziły dwa samochody - jeden należący do zespołu obserwacyjnego z lotniska, a drugi do ekipy z Santa Fe. Esperanza miał unieruchomić pojazdy wtykając szpikulce w wentyle opon. Huk rzeki stłumiłby lekko słyszalny syk uciekającego powietrza. Następnie detektyw miał w momencie rozpoczęcia strzelaniny zaatakować ich od tyłu, wykorzystując półautomatyczny karabin . z trzydziestonabojowym magazynkiem i dwoma magazynkami zapasowymi. Kaliber 9, mimo że lekki, posiadał kilka zalet - był stosunkowo cichy, miał dużą pojemność magazynka i mógł strzelać z ogromną szybkością. Takie cechy były bardzo pożyteczne w przypadku zadania, gdzie strzela się na średnią odległość i gdy należy szybko opuścić miejsce akcji. Oprócz tego przygotowali do eksplozji menażki, Beth miała strzelać z dubeltówki, Decker prowadzić ostrzał z winchestera i samopowtarzalnego remingtona. Jeśli wszystko poszłoby zgodnie z planem, Renata i jej gang byłiby martwi w ciągu trzydziestu sekund. Problem polega na tym, pomyślał Decker, że plany często niweluje tak zwane prawo Murphy'ego: „Jeśli coś może się nie udać, na pewno się nie uda”. A w tym planie było wiele znaków zapytania. Czy Renata i cały jej zespół pójdzie dróżką jednocześnie, w tym samym czasie? Czy przypadkiem nie wyczują pułapki i nie sprawdzą, czy ktoś się nie skrada za nimi? Czy Beth będzie w stanie opanować swoje reakcje i strzelać we właściwym momencie, tak jak to ustalili podczas prób? Czy też może strach sparaliżuje ją tak, że w ogóle nie będzie mogła strzelać? Czy...? Decker usłyszał odgłos, który brzmiał, jakby trzasnęła gałąź. Nerwowo wstrzymał oddech chcąc, żeby nawet jego delikatny odgłos nie zakłócał mu słuchu. Przyglnął mocno do wilgotnej ziemi i nasłuchiwał, starając się zignorować ledwo słyszalną muzykę countryandwestem dolatującą z domku i stłumiony nurt rzeki. Czekał, aż dźwięk rozlegnie się ponownie. Zdawało mu się, że dobiegł on skądś w pobliżu dróżki, ale nie był pewien, czy wywołał go człowiek. W takiej bliskości rezerwatu żyło wiele zwierząt. Odgłos mógł wcale nie oznaczać zagrożenia. Zastanawiał się, jak zareagowała na niego Beth. Czy będzie w stanie zapanować nad strachem? Starał się sobie wmówić, że jej obecność jest niezbędną. Gdyby nie przyjechała, Renata mogłaby podejrzewać, że Decker planuje zasadzkę i nie chce narażać Beth na niebezpieczeństwo. Jednocześnie Decker polemizował ze sobą, że może obecność Beth nie

była absolutnie niezbędna. Może nie powinien jej w to mieszać. Może wymagał od niej zbyt wiele. Nie musi mi niczego udowadniać. Ale dałeś jej wyraźnie do zrozumienia, że musi. Przestań, nakazał sam sobie. Powinieneś się skupić wyłącznie na jednej rzeczy, żeby przeżyć tę noc. I zapewnić Beth przeżycie tej nocy. Nie usłyszał już więcej tego odgłosu i powoli odetchnął. Domek znajdował się po prawej stronie. Z okien sączyło się światło. Uważał, żeby nie spoglądać w tamtą stronę, by nie musieć się znów przyzwyczajać do ciemności. Obserwował drogę, most, dróżkę i polankę. Światła z domku miały stanowić wskazówkę dla kogoś, kto chciałby się podkraść, i utrudnić tej osobie zlustrowanie terenu wokół domku. Z drugiej strony blask tych światel, które Decker widział kątem oka, w połączeniu z jaśniejącą poświatą księżyca i gwiazd, był dla Deckera korzystny. Miał wrażenie, jakby spoglądał przez ogromną soczewkę skupiającą światło. Cykały świerszcze. W radio, w domku, ktoś śpiewał cicho kolejną, żalonną piosenkę o otwartych drzwiach i pustych sercach. Nagle Decker zeszywniał. Ponownie usłyszał odgłos łamanej gałęzi. Tym razem nie miał wątpliwości, że docierał on z okolic dróżki, od drzew i krzaków po jej prawej stronie. Czyżby Renacie i jej szajce udało się przejść przez most tak, że Decker nie widział ich sylwetek? To wydawało się mało prawdopodobne chyba że zdążyli przejść przez most, zanim dotarł do swojego płytkiego wykopu. Ale most pozostawał poza zasięgiem jego wzroku zaledwie przez kilka minut. Czy możliwe, żeby Renacie starczyło czasu, aby minąć podjazd (Decker nie widział żadnych świateł przejeżdżających samochodów), zatrzymać się w bezpiecznej odległości, zbadać teren i przejść przez most, zanim Decker i Beth opuścili domek? Renata i jej grupa musieliby działać z niemal brawurowym pośpiechem. To nie było w jej stylu. Jednak kiedy Decker usłyszał odgłos po raz trzeci, chwycił winchestera. Nagle uświadomił sobie, że Beth na pewno robi to samo, bierze dubeltówkę, ale czy wystarczy jej samokontroli, żeby nie pociągnąć za spust, dopóki nie będzie to absolutnie konieczne? Gdyby się przestraszyła i wypaliła zbyt wcześnie, zanim cel znajdzie się w zasięgu strzału, popsułaby zasadzkę i prawdopodobnie zginęłaby. Gdy jechali z Albuquerque, Decker zwrócił Beth uwagę na takie niebezpieczeństwo i przypomniał z naciskiem, że dubeltówka jest bronią o średnim zasięgu, i umówili się, że nie będzie strzelała, dopóki on nie zacznie ostrzału i dopóki na polance nie pojawią się dobrze widoczne cele. Niszczący rozprysk śrutu skoryguje problemy, jakie Beth mogła mieć z celowaniem z powodu rannej ręki, szczególnie jeśli odda wszystkie cztery strzały szybko, jeden po drugim. Pamiętaj, co ci mówiłem, Beth. Nie strzelaj za wcześnie. Decker czekał. Nic. Odgłos łamanej gałęzi nie powtórzył się znowu. Minęło, jak sądził, około pięciu minut i nadal było cicho. Decker nie mógł spojrzeć na zegarek. Miał go w kieszeni. Zanim przyjechali do domku, dopilnował, żeby zdjęli z Beth zegarki i schowali je, aby fluoroscencyjne tarcze nie zdradziły w ciemności ich pozycji. Oceniał, że minęło już dziesięć minut. Opowiadał Beth, jak to jest, gdy się leży bez ruchu całymi godzinami. Jak tłumić zniecierpliwienie. Trzeba wejść w chwilę i w niej pozostać. Trzeba sobie wmówić, że to takie zawody, że przeciwnik poruszy się pierwszy. Na lotnisku w Albuquerque Decker nalegał, żeby oboje skorzystali z toalety, mimo że żadne z nich nie odczuwało takiej potrzeby. Pouczył Beth, że w nocy, kiedy się leży w lesie, pełny pęcherz czasem przeszkadza tak bardzo, że można stracić koncentrację. Ukucnięcie, żeby się załatwić, nie wchodziło w rachubę - ruch ściągnąłby uwagę przeciwnika. Jedynym rozwiązaniem było załatwienie się w majtki, a skutkiem tego niewątpliwa utrata koncentracji. Piętnaście minut. Dwadzieścia. Żadnych innych podejrzanych dźwięków. Żadnych ruchów na skąpanej światłem księżyca dróżce ani w mrocznych krzakach obok niej. Cierpliwości, pomyślał Decker. Ale gdzieś głęboko w głowie zaczęły pojawiać się wątpliwości, czy jego sposób myślenia jest w pełni logiczny. Może Renata nie ukryła w jego samochodzie nadajnika. Może Renaty wcale nie ma w pobliżu. Chłód nocy owionął Deckera, ale zrobiło mu się jeszcze bardziej zimno, kiedy las poruszył się nagle. Jakaś cząstka gęstwiny, coś niskiego, mniej więcej wysokości pochylonej osoby, przemykała ostrożnie od krzaka do krzaka. Ale nie od strony dróżki, jak Decker się spodziewał. Postać znajdowała się już w połowie obwodu obrośniętej drzewami polany i

zakradała się w stronę domku. Jak udało jej się zejść tak daleko i jej nie zauważyłem? pomyślał Decker zdenerwowany. Gdzie są pozostali? Obok pierwszej postaci zobaczył następną i poczuł jeszcze głębszy chłód. Druga postać nie skradała się brzegiem polany, tylko wyłoniła się z lasu, jakby zbliżyła się raczej od południa, a nie od zachodu, od strony mostu. Jedyne wyjaśnienie mogło być takie, że terroryści w jakiś inny sposób przepравили się przez rzekę. Ale jak? Zlustrowałem rzekę na sto jardów w górę drogi. Prawdopodobnie właśnie tak daleko mogła pojechać grupa Renaty, zanim się zatrzymali. Na rzece nie było żadnych bali, żadnych kładek, żadnych głazów, po których można by ją przekroczyć. Kiedy z lasu w połowie polany wyłoniła się trzecia postać, Decker zrozumiał, co się musiało wydarzyć, i z wysiłkiem powstrzymał falę mdłości. Po zaparkowaniu samochodu grupa pewnie się rozproszyła. Część udała się na południe, wzdłuż drogi, żeby pilnować wylotu dróżki i mieć pewność, że Decker nie ucieknie. Pozostali udali się na północ, w kierunku, którego Decker nie przewidział. Doszli do następnej posiadłości przy drodze i wykorzystali tamtejszy most, żeby przejść na drugą stronę rzeki. Posiadłości w tej okolicy były oddalone od siebie o ćwierć mili. Deckerowi nigdy nie przyszłoby do głowy, że w nocy, w takim napięciu, Renata i jej drużyna zawędruje tak daleko. Dlatego tyle czasu zajęło im dotarcie na polanę. Musieli przedzierać się w kierunku południowym przez gęsty las, poruszając się w niezwykle wolnym tempie, żeby stwarzać jak najmniej hałasu. Członkowie gangu na pewno wyłonią się również za domkiem. Będą starali się go okrążyć. Za mną. Za Beth. Decker wyobraził sobie, jak przeciwnik skrada się w stronę Beth. Oboje są zaskoczeni, ale morderca reaguje szybciej i strzela do Beth, zanim ta ma szansę się obronić. Decker już chciał wypełznąć z kryjówki, żeby dotrzeć do Beth i ją obronić, ale opanował emocje i nie poddał się temu impulsowi. Jeśli zacznie działać zbyt wcześnie, wystawi siebie i Beth na niebezpieczeństwo. Bał się tylko, aby nie ruszyć do ataku za późno. To wahanie ocaliło mu życie, gdyż za nim, obezwładniająco blisko, trzasnęła gałązka. Usłyszał odgłos buta miażdżącego opadłe igły sosnowe i poczuł, jak serce podeszło mu do gardła. Powoli, po ćwierć cala naraz, odwrócił głowę - ostrożnie, ze śmiertelną rozważą. Wiedział, że najprawdopodobniej ktoś w niego celuje z broni, ale nie mógł zaryzykować nagłego ruchu, żeby spojrzeć w tamtą stronę. Jeśli jeszcze nie został zauważony, gwałtowny ruch głową wystawiłby go na cel. Pot wystąpił mu na czoło. Stopniowo objął wzrokiem ciemny las za sobą. Skulił się, gdy usłyszał kolejny krok naciskający na łamliwe igły sosen. Zakołowało mu się w głowie od uderzeń serca. Dziesięć stóp od siebie zobaczył jakąś postać. Renata? Nie. Zbyt ciężka. Za szerokie plecy. To mężczyzna. Trzymał karabin i był odwrócony plecami do Deckera. Mężczyzna stanął przodem do domku. Nagle opadł i w tajemniczy sposób zniknął pomiędzy krzakami. Decker wyobraził sobie, co musiał odbierać ten człowiek. Muzykę docierającą z domku. Światła za zamkniętymi okiennicami. Część planu Deckera obejmowała podłączenie zegarów do lamp i do radia, tak że w ciągu najbliższej godziny miały się powylaczać, jedno po drugim. Taki realistyczny element powinien utwierdzić Renatę i jej przyjaciół w przekonaniu, że Decker jest w środku otoczonego domu. Trzy postacie po drugiej stronie polanki przestały być widoczne. Prawdopodobnie rozproszyły się, otaczając domek. Przygotowywali się do jednoczesnego ataku. Czy poczekają, aż zgasną światła i będą sądzili, że śpiemy, czy od razu wrzucą przez okna granaty ogłuszające i włamią się do środka? Kiedy ruszą naprzód pomiędzy drzewami, czy natkną się na Beth? Plan Deckera polegał na tym, że cała grupa miała być zaskoczona po przekroczeniu mostu, gdy będą próbowali zakraść się dróżką, i zdziękowana ogniem ostrzału, dochodzącym jednocześnie z trzech miejsc. Teraz jedyny sposób, jaki przychodził mu na myśl, żeby utrzymać element zaskoczenia, polegał na...

Powoli wyczołgał się z dołu. Macając przed sobą, starał się znaleźć wszystko, co mogło spowodować hałas. Jego ruchy były niemal tak powolne, jak wówczas gdy odwracał głowę. Przepchnął się przez wąski przesmyk pomiędzy dwoma krzakami, zbliżając się do miejsca, w

którym opadła skradająca się postać. Na pewno skupia uwagę na domku. Pozostali również wpatrują się w domek i nie spoglądają w tę stronę. Decker już od dwunastu lat nie zabił nikogo nożem. Wyjął jeden z noży myśliwskich, które kupił w sklepie z bronią i ułożył wcześniej w wykopie obok winchestera. Dalej czołgał się przez zarośla. Jest. Pięć stóp przed nim. Wsparty na jednym kolanie. Trzyma karabin. Obserwuje dom. Kiedy podejmujemy rozstrzygające decyzje, i tak nie uciekniemy przed przeznaczeniem - powtórzył sobie w myślach. Decker rzucił się bez zastanowienia. Lewą dłonią wykonał zamach przed terrorystą, chwytając jego nos i usta. Bawełniana rękawiczka pomogła stłumić wszelkie odgłosy, jakie wydał mężczyzna, kiedy Decker szarpnął go do tyłu i poderżnął mu gardło, otwierając tętnicę szyjną i krtań. Same uczucia nas nie osłabiają. Ale jeśli nie jesteśmy w stanie kontrolować myśli o nich, zniewolą nas. Trysnęła krew, gorąca, lepka. Mężczyzna zeszywniał... zadrżał... opadł bezwładnym ciężarem. Decker cicho opuścił trupa na ziemię. W świetle księżyca przy rozciętym szeroko gardle mężczyzny pojawiła się smużka pary. Doświadczenie może nas nauczyć kontrolować myśli. A myślami kontrolujemy uczucia. Decker przykłęknął za krzakami, starając się pochwycić jakiś dźwięk, który by zdradził, jaki będzie kolejny ruch pozostałych terrorystów. Czy byli jeszcze jacyś, o których nie wiedział? Na pewno ktoś jest na drodze i pilnuje wyjazdu na polanę. A co z posiadłością ćwierć mili na południe stąd? Prześladowcy Deckera musieli ją widzieć po drodze jadąc za jego jeepem. Czy część grupy Renaty wróciła tam, przeszła przez mostek i zbliżyła się do domku od tamtej strony? Może martwy mężczyzna leżący u stóp Deckera w ten właśnie sposób dostał się na tę stronę polany. „Jeśli coś może się nie udać, na pewno się nie uda”. Tamci musieli wszystko zaplanować, zanim podeszli do domku. Ale jak się porozumiewali, żeby zgrać poszczególne czynności w czasie? W grę wchodziły mikrofony wpięte w kołnierz i odbiorniki w postaci słuchawek wtykanych do ucha, ale jeśli chcieli podejść go bezszelestnie, musieli z tego zrezygnować. Decker sprawdził uszy i kurtkę trupa i nie znalazł żadnych miniaturowych urządzeń nadawczych. W jaki inny sposób mogą zgrać atak? Decker obmacał lewy nadgarstek trupa i znalazł zegarek, który nie miał fluoroscencyjnych wskazówek, mogłyby bowiem zdradzić pozycję. Zamiast szkiełka zegarek był wyposażony w metalową klapkę. Decker uniósł ją i żeby określić w ciemności godzinę, zdjął rękawiczki, dotknął długiej wskazówki minutowej, krótkiej, określającej godzinę i wyczuwalnych cyfr ułożonych wzdłuż ponacinanego obrzeża. Deckerowi nieobce były zegarki tego typu. Poczł, jak wskazówka minutowa przeskoczyła do przodu, i szybko ustalił, że jest za pięć pierwsza. Czy zaatakują domek o pierwszej? Deckerowi pozostało niewiele czasu, żeby się przygotować. Założył rękawiczkę, starł z zegarka odciski palców i przekradł się z powrotem przez krzaki na tyle szybko, jak tylko mógł, aby zachować ciszę. Wrócił do wilgotnego, płytkiego wykopu, który coraz bardziej przywodził mu na myśl grobowiec. Wymacał rząd przewodów i wybrał dwie pary z prawego brzegu. Rozdzielił je; w lewej ręce trzymał jedną parę, w prawej drugą. Był gotów, żeby przytknąć jedną odsłoniętą końcówkę przewodu każdej z par do dodatniego bieguna akumulatora, a przeciwną do bieguna ujemnego. Mimo chłodnego nocnego powietrza z maskującej pasty na czole Deckera spływał pot. Obserwował domek, myśląc z niechęcią, że światła w oknach niweczą szansę na oswojenie się wzroku z ciemnością. Liczył od momentu, gdy dotknął zegarka na nadgarstku trupa, i oszacował, że minęły cztery minuty i trzydzieści sekund, że atak na domek zacznie się za około... Pomylił się o piętnaście sekund. Posypały się szyby. Oślepiające błyski i ogłuszający huk granatów wstrząsnęły domkiem. Ciemne postacie trzymające karabiny wypełzły z ukrycia w krzakach, dwie wpadły przez frontowe drzwi, jedna przez tylne. Prawdopodobnie człowiek, którego zabił Decker, miał dołączyć do pojedynczej postaci szturmującej tylne drzwi, ale ta pojedyncza postać (może to była Renata?) była tak pochłonięta atakiem, że chyba nie zauważyła, że współtowarzysz się nie pojawił. Decker zobaczył z wykopu szybko poruszające się cienie, które światła domku rzucały na żaluzje okienne. Wściekłe ruchy. Krzyki. Zamachowcy, nie znalazłszy nikogo w środku, domyślili się, że są w pułapce. Będą chcieli jak najszybciej

wydostać się na zewnątrz. Jeszcze jedno przekleństwo. Cienie wycofywały się w popłochu. Decker przesunął wzrok tam i z powrotem, na przednie i tylne drzwi domku. Czy wszyscy wypadną tym samym wyjściem, czy się rozdziela, tak jak przy szarzy do środka? Wybrali tę drugą wersję. Decker zobaczył samotną postać wybiegającą przez tylne drzwi i natychmiast przyłożył przewody do biegunów akumulatora. Noc zamieniła się w dzień. Grunt pod biegnącą postacią rozstał się i wybuchnął ognistym gromem, wyrzucając w górę ziemię, śrut i odłamki metalu z menażki. Postać zatoczyła łuk w powietrzu. Dwaj mordercy wybiegający przez frontowe drzwi natychmiast zatrzymali się na widok eksplozji. Decker przytknął do biegunów akumulatora drugą parę przewodów, a wybuch, który nastąpił, był jeszcze potężniejszy niż poprzedni; ognisty huk, który wyrwał w ziemi krater i zrzucił krzyczące postacie ze schodów, w stronę samochodu Deckera. Okna w domku były potłuczone. Płomienie spowijały zewnętrzną ścianę. Mrużąc oczy przed szalejącym ogniem, Decker rzucił przewody i chwycił winchestera. Tak szybko, jak tylko mógł przesunąć dźwignię, strzelał w stronę postaci, którą powalił pierwszy wybuch. Poznał po charakterystycznym błysku dubeltówki, że Beth strzela w stronę ludzi, którzy byli na polanie w pobliżu jej stanowiska strzelniczego. Następnym błyskiem. I jeszcze jeden. Jeśli w okolicy znajdowali się inni napastnicy, odgłos dubeltówek, nie wspominając o błyskach z lufy, odsłonił pozycję Beth. Decker poinstruował ją wcześniej, że ma złapać obie dubeltówki i przetrzaskać się piętnaście stóp w prawo, gdzie był wykopany drugi dół. Tam czekało na nią pudełko naboju. Mogła szybko załadować broń i znowu wystrzelić, co chwila zmieniając pozycję. Jednak Decker nie miał czasu o tym myśleć. Musiał wierzyć, że Beth postępuje według planu. Wystrzelił siódmy, ostatni nabój z winchestera, rzucił karabinek, wyciągnął dziewięciomilimetrową berettę Esperanzy i, starając się pozostać w cieniu, zakradł się przez krzaki w kierunku, gdzie upadła samotna postać. Im bardziej zbliżał się do płonącego domku, tym trudniej było mu skrywać się w ciemności. Ale światło płomieni miało tę zaletę, że oświetlało postać leżącą na ziemi. Decker strzelił. Postać szarpnęła, gdy pocisk przeszył jej głowę. Słyszając kolejne wystrzały z dubeltówki Beth, Decker rzucił się do przodu, celując w dół przewrócił trupa nogą, lecz niestety nie zobaczył tego, na co liczył. Twarz u jego stóp nie była twarzą Renaty, lecz jednego z jej braci, z którym Decker rozmawiał w kawiarni w Rzymie piętnaście miesięcy temu, kiedy to McKittrick przedstawił mu Renatę. Decker obrócił się szybko. Czuł się odsłonięty. Spieszył się, żeby wrócić z płonącego domku w ciemność lasu. W tym samym momencie zawładnęła nim chęć dotarcia do Beth, żeby jej pomóc, chciał się też dowiedzieć, czy udało jej się zabić któregoś z napastników - może Renatę. Zastanawiał się nerwowo, co się dzieje z Esperanzą. Czy Esperanza pozbył się strażników, którzy, jak Decker przypuszczał, byli ustawieni na drodze, po drugiej stronie mostu, przy końcu dróżki? Decker przypuszczał, że Esperanza sam o siebie zadba, natomiast Beth, mimo że zachowywała się tak wspaniale, mogła być bliska paniki. Mimo ryzyka" Decker przebiegł obok ściany płonącego domku, planując znalezienie jakiejś osłony przed domkiem, skąd mógłby strzelać w stronę ludzi, którzy upadli na polanie koło samochodu Deckera. Jeśli jeszcze żyli, obserwowali miejsce, z którego strzelała Beth. Decker mógł ich zaskoczyć. Ale przelatujący ze świstem pocisk, który wpadł do domku, zaskoczył Deckera. Nadleciał z lewej strony, z fragmentu lasu, gdzie Decker wcześniej się ukrywał. Mężczyzna, którego Decker zabił, musiał mieć towarzysza, który pojawił się później. Decker rozpląszczył się na ziemi i poturlał w stronę grubej sosny. Pocisk rozerwał ziemię za nim. Błysk z lufy zajaśniał na lewo od drzewa. Decker popęzł w prawo, okrążając drzewo. Strzelił w stronę miejsca, w którym widział błysk. Szybko rzucił się dalej na prawo, zobaczył kolejny błysk i wycelował w jego stronę, ale zanim zdążył nacisnąć spust, usłyszał czyjś krzyk. To był krzyk Beth. Mimo huku płomieni w palącym się domku, Decker usłyszał za sobą, na skraju polany, jakieś zamieszanie; szelest krzaków, trzask gałęzi, odgłosy walki. Beth znowu krzyknęła. Nagle ktoś, tym razem nie Beth, wrzasnął coś, co mogło być nazwiskiem Deckera. Głos był groteskowy, głęboki, szorstki i zniekształcony. Znowu wydał dźwięk, który mógł być

nazwiskiem Deckera. Teraz był już zupełnie pewien, że to Renata. Uważając na strzelców pośród mrocznych drzew przed sobą, ryzykując spojrzenie w tył, potwierdził swoje najgorsze obawy. Kobieta, odziana w czarny kombinezon, z włosami ściętymi krótko, jak u chłopaka, o wysokiej, szczupłej, zmysłowej sylwetce, stała na polance i trzymała Beth jako jeńca. Lewa ręka przy gardle Beth, w prawej pistolet, z lufą przyłożoną do jej skroni. Renata. Nawet z odległości trzydziestu stóp widać było wściekłość w jej ciemnych oczach. Lewą ręką tak mocno ścisnęła gardło Beth, że aż zniekształcała jej twarz. Usta Beth, wykrzywione grymasem, z trudem chwyciły powietrze. Wpiła się w rękę Renaty, usiłując się uwolnić, ale rany prawej nogi i ramienia pozbawiły ją siły. Prawa noga ugięła się pod nią i Beth niemal bezwładnie zwieszała się z uścisku Renaty, co groziło, że się udusi. - Decker! - krzyknęła Renata głosem tak okropnym, że z trudem mógł zrozumieć słowa. - Rzuć broń! Chodź tutaj! Natychmiast! Albo ją zabiję! Sparaliżowała go rozpacz. - Dalej! - wrzasnęła chrapliwie Renata. - Już! Decker przestał się wahać, gdy Renata odwiodła kurek pistoletu. Mimo hałasu ognia zdawało mu się, że słyszy tylko jeden dźwięk - odgłos odciąganej iglicy. Oczywiście nie mógł tego usłyszeć. Renata była zbyt daleko. Ale w wyobraźni Deckera dźwięk ten rozległ się zatrważająco wyraźnie, jakby to jemu ktoś przystawił pistolet do głowy. - Nie! Poczekaj! - wrzasnął Decker.

- Jeśli chcesz, żeby żyła, rób, co ci każe! Beth zdołała wykrztusić kilka zdławionych słów. - Steve, ocal siebie!

- Zamknij się, do diabła! - Renata mocniej zacisnęła ramię wokół gardła Beth. Twarz Beth wykrzywiła się jeszcze bardziej, oczy wyszły jej na wierzch, pociemniała na twarzy. Renata krzyknęła do Deckera: - Zrób, jak mówię, albo nawet nie zadam sobie trudu, żeby ją zastrzelić! Złamię jej kark! Będzie sparaliżowana przez resztę życia! Decker, z obawą myśląc o zamachowcu, który znajdował się gdzieś za nim w lesie, rozważał szansę zastrzelenia Renaty. Z pistoletu? Przy świetle pożogi? Z rozdygotaną ręką? Nie ma mowy. Nawet gdyby spróbował, w chwili gdy uniósłby pistolet, Renata miałaby dosyć czasu, żeby pociągnąć za spust i rozwalić Beth głowę. - Masz trzy sekundy! - krzyknęła Renata. - Raz! Dwa! Decker zobaczył, jak Renata poruszyła prawą ręką. Wyobraził sobie, że jej palec zaciska się na cynglu. - Czeka! - krzyknął znowu.

- Już!

- Wychodzę! Mimo że ogień w domku grzał Deckera z prawej strony, gdy pomyślał o zamachowcu w lesie, który pewnie mierzył do niego, podczas gdy on sam wychodził z cienia sosny, poczuł niesłychany ziąb pomiędzy łopatkami. Podniósł rękę. - Rzuć pistolet! - krzyknęła Renata groteskowym głosem. Decker wykonał polecenie; pistolet upadł głucho na poszycie lasu. Podszedł bliżej, czując jak uginają się pod nim nogi, z lękiem oczekując uderzenia, które go powali, gdy zamachowiec z tyłu strzeli mu w plecy. Jednak własna śmierć wydawała mu się lepsza, niż oglądanie śmierci Beth. Bez niej nie chciał żyć. Z podniesionymi rękoma dotarł do zbocza opadającego ku polanie, zsunął się po nim bokiem, minął swój samochód i zobaczył ciała dwóch ludzi, których dosięgnął wybuch przed domkiem. Zatrzymał się przed Renatą. - Patrz, ty skurwysynu - warknęła Renata, wskazując na trupy. - Zobacz, co zrobiłeś. Popatrz na to. Jej niegdyś urodziwa twarz stała się odpychająca. Wykrzywiła ją nienawiść. - Zobacz, co zrobiłeś! - Uniosła brodę, tak że w świetle płonącego domku Decker mógł dojrzeć brzydko pofałdowaną bliznę po ranie postrzałowej z przodu szyi Renaty, tuż przy krtani. Decker ledwo mógł ją zrozumieć. Umysł pracował mu gorączkowo, żeby nadążyć z tłumaczeniem. - Zabiłeś moich braci! Jak ci się wydaje, co powinnam z tobą zrobić? Decker niewiedział, co odpowiedzieć. - Czy też powinnam wystrzelić ci dziurę w gardle? A może to jej powinnam wystrzelić dziurę w gardle? Gdzie są moje pieniądze? - W podręcznej torbie, którą znalazłem w twoim samochodzie w Nowym Jorku. - A gdzie jest ta przeklęta torba? Kiedy przejeżdżałam obok drożki, widziałam, jak wносиłeś ją do domku. Decker skinął głową. - Tam ją zostawiłem. - Spojrzał na płonący domek.

- Nie wyniosłeś jej ze sobą?
- Nie.
- Zostawiłeś ją tam?
- Przecież powiedziałem.
- Mój milion dolarów?
- Minus kilka tysięcy, które wydałem na sprzęt.
- Kłamiesz. Decker znowu spojrział w stronę płomieni, starając się przeciągnąć rozmowę.
- Obawiam się, że nie.
- Więc mi to udowodnij - rzuciła Renata.
- O czym ty mówisz? Jak mogę to udowodnić?
- Przynieś pieniądze.
- Co?
- Wejdz tam i przynieś moje pieniądze.
- W ogień? Nie miałbym szans.
- Chcesz pogadać na temat szans? To jest twoja jedyna szansa. Idź do domku i... przynieś... moje... pieniądze. Płomienie huczały głośno. - Nie - odparł Decker.

- Więc zmuszę ją, żeby poszła. - Renata przeciągnęła Beth przez polanę w kierunku schodów do domku. Jednocześnie krzyknęła w stronę ciemnego lasu za płonącym domkiem: - Pietro! Chodź tutaj! Pilnuj go! Beth ruszała szybko powiekami. Jej ręce przestały walczyć o rozluźnienie ucisku Renaty. Twarz przybrała zatrważający kolor. Beth zwisała bezwładnie. Ucisk wokół szyi był tak silny, że straciła przytomność. - Pietro! - Renata wciągnęła Beth po kilku drewnianych stopniach. - Gdzie jesteś? Powiedziałam, chodź tutaj! Płomienie buchnęły wyżej, obejmując ściany domku, wypełniając wnętrze kłębiącym się dymem i ostrą, szkarłatną poświatą. Renata szarpnięciem wciągnęła Beth na szczyt schodów i zatrzymała się, odepchnięta gwałtownością płomieni. Decker nie mógł się już dłużej wstrzymać. Mimo że wiedział, iż go zastrzelą, rzucił się w stronę schodów, zdecydowany pomóc Beth. - Pietro! Decker dopadł pierwszego stopnia.

- Zastrzel go, Pietro! Decker był w połowie drogi. Renata, popychając Beth w stronę płomieni, jednocześnie odwróciła się, żeby wymierzyć broń w Deckera. Lufa znajdowała się już na wysokości twarzy Deckera, kiedy z tyłu jakaś dłoń silnie uderzyła w pistolet. Była to dłoń Beth, która tylko udawała, że straciła przytomność. Gdy Renata ją popchnęła, Beth poleciała w stronę płomieni, złapała równowagę, odwróciła się szybko i rzuciła całym ciałem na Renatę. Wetknęła kciuk pomiędzy kurek pistoletu i iglicę na chwilę przedtem, nim Renata pociągnęła za spust. Mocna sprężyna zwolniła się i kurek uderzył w palec Beth. Nieoczekiwany ciężar ciała Beth sprawił, że Renata straciła równowagę. Dwie kobiety potoczyły się po schodach, turlając się, zwijając, podskakując. Uderzyły w Deckera i porwały go ze sobą. Zatrzymali się na dole, cała trójka rozłożona na ziemi. Kciuk Beth wciąż tkwił pod kurkiem pistoletu. Próbowwała wytrącić go z uchwytu Renaty, ale nie miała dość siły. Renata szarpnęła mocno bronią i wyrwała ją, rozdzierając kciuk Beth. Decker, rozciągnięty na ziemi, z ramionami wepchniętymi pomiędzy dwie kobiety, nie mógł się ruszyć. Renata zamaszystym ruchem skierowała pistolet w jego stronę. Z wyrazem bólu na twarzy Beth przeturlała się przez Deckera, złapała pistolet i szamotała się próbując odepchnąć broń. Ziemia zafalowała, gdy wybuchła któraś z menażek. Ognisty huk doleciał z odległego krańca polany. Drugi wybuch, nieco bliżej, wyrwał krater. Fala uderzeniowa trzeciej eksplozji, w połowie polany, odrzuciła do tyłu Beth i Renatę. Czwarta, bliżej niż w połowie, ogłuszyła Deckera. Ktoś po kolei detonował menażki, powodując eksplozje na całym terenie. Nad Deckerem unosił się dym. Był oszołomiony i dopiero po chwili otrząsnął się z zaskoczenia. Zdesperowany, przeturlał się poprzez dym, żeby znaleźć Beth i pomóc jej. Nie był jednak dostatecznie szybki. Usłyszał strzał pośród dymu; drugi, trzeci. Krzyknął i rzucił się przed siebie. Usłyszał czwarty strzał, piąty, szósty. Rozbrzmiewały tuż przed nim. Siódmy. Ósmy. Wiatr rozwiał nieco dym i gdy Decker usłyszał dziewiąty strzał, ruszył ku Renacie i Beth

zwartych w uścisku. - Beth! Dziesiąty. Decker z wściekłością rzucił się na Renatę i odciągnął ją, gotów złamać jej ramię, żeby upuściła pistolet, połamać żebra, rozwalić nos i wydrapać oczy. Chciał ją ukarać, za to, że zabiła Beth. Ale Decker trzymał bezwładny ciężar. Z dziur w ciele Renaty sączyła się krew. Ściekała jej z ust. Zrozumiał, jak bardzo się pomylił. To nie Renata strzelała, lecz Beth. Oczy Beth wyrażały emocje bliskie histerii. Miała strzelić jedenasty raz, ale dotarło do niej, że to Decker stoi przed nią. Powoli opuściła broń i osunęła się na ziemię. Decker, otoczony dymem, upuścił Renatę i pospieszył do Beth. - Lewe ramię mam całkiem sprawne - wymamrotała Beth niemal triumfującym głosem. - Czy jesteś ranna? spytał Decker.

- Wszystko mnie boli. Boże, mam nadzieję, że nie ma ich już więcej. - Był jeszcze jeden w lesie. Do tej pory już powinien nas zaatakować. - On nie żyje - odezwał się jakiś głos z drugiej strony dryfującego dymu. Decker podniósł wzrok. - Wszyscy nie żyją. - Esperanza, oświetlony od tyłu przez płomienie padające z domku, wyłonił się z dymu jak widmo. Przez ramię miał przewieszony karabin. W prawej ręce trzymał kupiony przez Deckera łuk, w lewej kołczan ze strzałami. - Kiedy rozległy się eksplozje obok domku, zabiłem dwóch mężczyzn pilnujących wylotu dróżki - powiedział Esperanza. - To było na tyle daleko, że przy tym całym zamieszaniu . nie była słyszalna. Nie mogłem nią jednak załatwić tego faceta, którego Renata nazywała Pietro. Byliśmy zbyt blisko polany. Te strzały mogłyby usłyszeć, domyślić się, że nie jesteś sam, wystraszyć się i zabić was oboje wcześniej, niż zamierzała. - Esperanza wyciągnął łuk. - Więc użyłem tego. Żadnych hałasów. Dobrze, że to kupiłeś. - Dobrze, że wiesz, jak tego używać.

- Miałem ci o tym powiedzieć. Każdej jesieni, podczas sezonu łuczniczego, wybieram się w góry na polowanie. Od kiedy skończyłem czternaście lat, nigdy nie wróciłem bez ładnej sarny. - To ty detonowałeś ładunki? - spytał Decker.

- Renata by cię zastrzeliła. Nie mogłem wymyślić nic innego. Nie mogłem do niej strzelić, ponieważ ty i Beth staliście na linii strzału. Nie mogłem podbiec do was na tyle szybko, żeby ją złapać. Musiałem czymś odwrócić uwagę, czymś, co by wszystkich zaskoczyło i dało ci szansę, że ochłoniesz szybciej niż ona. - To Beth ochłonęła pierwsza. - Decker spojrział na nią z podziwem. - Pomóż mi ją posadzić w samochodzie. Gdy już leżała na tylnym siedzeniu, Esperanza przewidział, co Decker miał zamiar powiedzieć. - Oczyszczyć teren?

- Musimy pozbierać wszystko, co się da. Władze z Pecos przyjadą tutaj, żeby przeprowadzić dochodzenie w sprawie eksplozji. Ogień doprowadzi ich prosto do tej działki. Nie mamy wiele czasu. Decker pobiegł przynieść dubeltówki Beth, a Esperanza wrzucił ., łuk i kołczan do bagażnika jeepa. Broń była ważna, ponieważ według numerów seryjnych trop mógł doprowadzić do sklepu, w którym Decker ją kupował, a dalej do niego. Gdy Decker powrócił z dubeltówkami, Esperanza zniknął właśnie w lesie, żeby przynieść winchestera i akumulator samochodowy. Decker wykopał pozostałe menażki. Wyciągnął druciki od żarówek, pozbierał przewody i umieścił to wszystko z tyłu samochodu. W tym czasie Esperanza wrócił ze sprzętem z kryjówki Deckera. - Wezmę pieniądze z miejsca, gdzie je zakopałem - powiedział Esperanza. - Co jeszcze? - Samopowtarzalny remington. Leży w rowie, który wykopaliliśmy obok mostu. - Też go przyniosę - powiedział Esperanza.

- Kule Beth. Noże myśliwskie.

- Trzeba sprawdzić, czy pozabieraliśmy wszystkie pudełka z amunicją. I strzałę, którą wystrzeliłem. - ...Esperanza.

- Co?

- Musiałem strzelić z twojego pistoletu. Gdzieś tam w krzakach leżą dwie niski. - Chryste! - Esperanza pobladł w świetle ognia. - Załadowałem je, zanim to wszystko się zaczęło dziać. Nie miałem na sobie rękawiczek. Na łuskach będą moje odciski palców. - Zrobię, co będę mógł, żeby je znaleźć - powiedział Decker. - Tu są kluczyki od mojego samochodu. Weź pieniądze, noże, remingtona i amunicję. I, do diabła, odjedźcie stąd z Beth.

Będę szukał do ostatniej chwili, do momentu kiedy samochody policyjne pojawią się na dróżce. Esperanza nie odpowiedział, tylko mu się przyglądał. - Ruszaj - powiedział Decker i popędził po zboczu w stronę drzew i krzaków na prawo od płonącego domku. Jeden ze strażaków z pistoletu Esperanzę Decker oddał obok wielkiej sosny, tuż obok... Tutaj! - pomyślał. Starał się odtworzyć swoje ruchy, jak upadł na ziemię, gdy zamachowiec strzelił do niego z głębi lasu, jak podpełzł na prawą stronę drzewa, jak przyklęknął, pociągnął za spust i... Wyrzucona łuska poleciała w powietrzu i upadła jakieś trzy, cztery stopy od... Światło pożaru odbiło się od czegoś niewielkiego, metalicznego. Z przyspieszonym oddechem Decker upadł na kolana i znalazł jedną z dziewięć milimetrowych łusek. Jeszcze tylko jedna. Gdy zerwał się na nogi, zobaczył, że Esperanza biegnie w jego stronę. - Odjeżdżaj - powiedział Decker.

- Nie bez ciebie.

- Ale...

- Pokaż, gdzie mam szukać - powiedział Esperanza. Omijając płomienie, rzucili się na tyły domku. Nie zwracali uwagi na zwłoki mężczyzny, któremu Decker strzelił w głowę, całkowicie pochłonięci poszukiwaniem drugiej łuski. - To mogło być tam lub tam. - Deckerowi falowała pierś.

- Poszycie jest zbyt bujne. - Esperanza ukucnął. Pełzał na kolanach, przeczesując dłońmi ziemię. - Nawet przy świetle ognia jest zbyt dużo cieni. - Musimy ją znaleźć!

- Słuchaj.

- Co?

- Syreny.

- Cholera.

- Są słabe. Jeszcze dosyć daleko.

- Nie na długo. - Decker jeszcze intensywniej zaczął szukać pod krzakami, grzebiąc na oślep w wilgotnej ziemi. - Idź. Wsiadaj do samochodu. Odjeżdżaj. Nie ma sensu, żeby złapali nas wszystkich. - Nie ma sensu, żeby złapali kogokolwiek z nas. Zostaw tę łuskę - powiedział Esperanza. - Wracaj ze mną do samochodu. - Jeśli znajdą łuskę, jeśli uda im się z niej zdjąć odciski palców... - Szczątkowe odciski. Prawdopodobnie zamazane.

- To tylko nadzieja. Nigdy nie będziesz w stanie wyjaśnić, co robią tu łuski z twoimi odciskami palców. - Decker szukał pomiędzy suchymi liśćmi. - Zznam, że ktoś ukradł mi pistolet.

- A ty byś uwierzył w taką opowieść?

- Raczej nie.

- Więc...

- Wszystko mi jedno. - Esperanza wczuł się pod krzaki. - Tylko dlatego, że ja mogę zostać oskarżony, nie znaczy, że musisz być również oskarżony ty i Beth. Wynośmy się... - Znalazłem! O słodki Chryste, znalazłem ją. - Decker zerwał się na nogi i pokazał Esperanzie drogocenną łuskę. - Nigdy nie sądziłem, że... Wypadli z krzaków i rzucili się pędem do samochodu, zbiegając po zboczu tak szybko, że niemal stracili równowagę. Esperanza miał kluczyki od samochodu. Wsunął się na siedzenie kierowcy, a Decker dał nura do tyłu, koło Beth. Zanim Decker zdążył zamknąć drzwi, Esperanza wrzucił bieg i wykonał wiraż na polance, wzbijając tuman kurzu. W okamgnieniu włączył światła, popędził dróżką, podskoczył na moście i wyjechał szybko na ciemną wiejską drogę. - Wszystko mamy? Pieniądze? Całą broń? - spytał Decker głosem na tyle donośnym, żeby zagłuszyć łomoczące bicie serca.

- Nie przychodzi mi do głowy nic, co mogliśmy zostawić. - Esperanza wcisnął pedał gazu. - Więc się nam udało - oznajmił Decker.

- Tylko że... - Esperanza wskazał w stronę wznoszącego się wycia syren w ciemności przed nimi. Zwolnił i wyłączył światła. - Co robisz? - spytał Decker.

- Przypominam sobie, jak to było, gdy byłem nastolatkiem. - Esperanza skręcił ostro na dróżkę prowadzącą do posiadłości ćwierć mili przed płonącym domkiem. Płomienie były tak wysokie, że widać je było z daleka. Esperanza ukrył samochód w zaroślach, wyłączył silnik i spoglądał pomiędzy ciemnymi drzewami w stronę drogi. Obok przemknęły reflektory i błyskające koguty wozu strażackiego i kilku samochodów policyjnych; ich zarys rozmyty, syreny wyjące przenikliwym dźwiękiem. - Jak za dawnych czasów - powiedział Esperanza. Natychmiast ponownie zapalił silnik samochodu, wyjechał tyłem na drogę i włączył światła dopiero, jak już było to możliwe. Jeszcze dwukrotnie musieli skręcać na dróżkę dojazdową, żeby nie zostać zauważonymi przez mijające ich samochody służb specjalnych. Za drugim razem Decker i Esperanza zatrzymali się na tyle długo, żeby wysiąść z samochodu i ściągnąć z siebie stroje maskujące. Beth skrzywiła się z bólu, gdy Decker zdjął jej kombinezon. Wewnętrzną stroną ubrań starli pastę maskującą z twarzy, po czym rozłożyli ubrania na broni z tyłu i przykryli wszystko kocem z samochodu. Teraz, gdy dojadą do Pecos albo kiedy dotrą do Santa Fe, gdyby zatrzymał się obok nich samochód policyjny, nie będą zwracali na siebie uwagi. Decker pogłaskał Beth po głowie. - Lepiej się czujesz?

- Strasznie mi zaschło w ustach.

- Jak tylko będzie to możliwe, skombinujemy ci trochę wody. Pokaż te powyciągane szwy... Krwawisz, ale tylko trochę. Nie musisz się martwić. Wszystko skończy się dobrze. - Od powyciąganych szwów będę miała brzydsze blizny.

- Z przykrością przyznaję ci rację.

- Ale moje blizny będą większe od twoich - powiedziała Beth. - Jesteś niesamowita - stwierdził Decker. a Czterdzieści minut później Esperanza zjechał z autostrady na Old Pecos Trail i skręcił w Rodeo Road, kierując się w stronę bocznej ulicy, gdzie stała jego przyczepa mieszkalna. Była niemal 3.20. Ulice późną nocą opustoszały. - Rano pojedę na pustynię i spalę broń, rękawiczki i nasze stroje maskujące. Również olej napędowy i nawóz z menażek - powiedział Decker. Kupiłem remingtona do strzelania na duże odległości, ale nie korzystaliśmy z niego. Możemy go zatrzymać. Weź go, Esperanza. Weź też łuk i strzały. - I połowę pieniędzy - dodała Beth.

- Nie mogę - odparł Esperanza.

- Dlaczego nie? Jeśli nie wydasz pieniędzy od razu, jeśli będziesz z nich korzystał po trochu, nikt nie domyśli się, że je masz - powiedział Decker. - Nie będziesz musiał się tłumaczyć, skąd masz pół miliona dolarów. - To brzmi naprawdę cudownie - przyznał Esperanza.

- Mogę ci załatwić cyfrowe konto bankowe na Bahamach - powiedziała Beth. - Nie wątpię.

- Więc weźmiesz pieniądze?

- Nie.

- Dlaczego nie? - spytał ponownie zaskoczony Decker.

- W ciągu ostatnich kilku dni zabiłem z ważnych, jak mi się wydaje, powodów kilkoro ludzi. Ale gdybym wziął te pieniądze, gdybym odniósł z tego korzyść finansową, chyba na zawsze czułbym się skalany. W samochodzie zapanowała cisza, - A ty, Decker? - spytał Esperanza. - Czy ty zatrzymasz te pieniądze? - Mógłbym je nieźle spożytkować.

- Na przykład?

- Jeśli wypowiem to na głos, może się nie udać.

- To brzmi tajemniczo - zauważyła Beth.

- Wkrótce się dowiecie.

- Czekaając na to, chciałbym uspokoić swoje nerwy w pewnej kwestii. Decker spojrzał zaciekawiony. - W jakiej?

- Ten sprzedawca broni, u którego byłeś. Gdy w laboratorium kryminalnym ustalą, że metalowe odłamki z bomb pochodzą z menażek, jeśli przeczyta o tym w gazecie, czy nie

przypomni sobie faceta, który kupił kilka sztuk broni i dwanaście menażek na dzień przed zamachem? - Być może - zgodził się Decker.

- Więc dlaczego się tym nie przejmujesz?

- Ponieważ mam zamiar skontaktować się z moim dawnym pracodawcą i poinformować go, że sprawa Renaty w końcu została załatwiona - dzięki zastosowaniu ostrego cięcia, jak McKittrick lubił to określać. Biorąc pod uwagę tragedię, jaką Renata spowodowała w Rzymie, mój dawny zwierzchnik będzie chciał mieć pewność, że tamte wydarzenia nie zostaną powiązane z tym, co zaszło w domku letniskowym, i że nikt ich nie skojarzy ze mną. Mój dawny pracodawca wymówi się bezpieczeństwem narodowym i zniechęci miejscowych przedstawicieli prawa do przeprowadzania dochodzenia. - Miejscowi przedstawiciele prawa z pewnością nie odmówią współpracy - zgodził się Esperanza. - Ale na wypadek gdyby się trochę opóźnili, to ja z pewnością zostałbym przydzielony do przeprowadzenia dochodzenia u sprzedawcy broni. Już teraz mogę ci powiedzieć, że jakiegokolwiek powiązanie ciebie z wydarzeniami w Pecos nie jest możliwe. - Skoro już rozmawiamy o miejscowych procedurach prawnych... Decker przechylił się z tylnego oparcia, żeby otworzyć skrytkę pomiędzy przednimi fotelami. - Tu jest twoja odznaka. - W końcu.

- I twój pistolet.

- Z powrotem na właściwym miejscu. - Ale gdy zaparkowali przed przyczepą mieszkalną Esperanzy, beztraska w jego głosie zmieniła się w przygnębienie. - Pozostaje pytanie, gdzie jest moje miejsce? To miejsce już nie jest jak dom. Wygląda strasznie pusto. - Przykro mi, że twoja żona odeszła. Żałuję, że nie mogę ci w jakiś sposób pomóc - powiedziała Beth. - Zadzwońcie od czasu do czasu. Chcę wiedzieć, że u was wszystko w porządku. - Nie tylko będziemy dzwonić - powiedział Decker. - Będziesz nas często widywał. - Jasne. - Ale Esperanza zdawał się pochłonięty własnymi myślami. Zostawił kluczyk w stacyjce i wysiadł z samochodu. - Powodzenia. Esperanza nie odpowiedział. Przeszedł powoli przez zwirowany podjazd przed przyczepą. Dopiero kiedy zniknął w środku, Decker przesiadł się na fotel kierowcy i uruchomił silnik. - Jedźmy do domu - powiedział. Dopiero teraz Decker czuł się jak w domu. Gdy zatrzymał się na podjeździe, objął wzrokiem ciemny, niski, rozległy zarys murku z glinianych cegieł, otaczającego podwórko i pomyślał: To jest moje. Musiał to powiedzieć na głos. - Oczywiście, że to jest twoje - odezwała się Beth, zaskoczona. Mieszkasz tu od piętnastu miesięcy. - Trudno to wytłumaczyć - powiedział rozbawiony. - Obawiałem się, że podjąłem niewłaściwą decyzję. Decker pomógł Beth wysiąść z jeepa. Oparła się o niego. - A co ze mną? Co do mnie też podjąłeś niewłaściwą decyzję? Na górze Słońce wyły kojoty. - Wieczorem, w dzień, kiedy cię poznałem - powiedział Decker - stałem tutaj, słuchałem tych kojotów i pragnąłem, żebyś była obok mnie. - Teraz jestem.

- Teraz jesteś. - Decker pocałował ją. Po chwili otworzył tylne drzwi, zapalił światło w kuchni i pomógł Beth wejść do środka, przytrzymując jej kule. - Wykorzystamy pokój gościnny. Główna sypialnia wciąż wygląda jak ruiny po niewielkiej wojnie. Czy coś ci podać? - Herbatę. Gdy gotowała się woda, Decker znalazł torebkę herbatników z czekoladą i ułożył je na talerzyku. W tych okolicznościach herbatniki wyglądały żałośnie. Nikt nie jadł. - Obawiam się, że nie ma gorącej wody do kąpieli - powiedział Decker. Beth przytaknęła zmęczonym ruchem głowy. - Pamiętam, bojler został zniszczony podczas zamachu w piątek w nocy. - Założę ci na szyję czysty bandaż. Na pewno przyda ci się też tabletki przeciwbólowa. Beth znowu przytaknęła, wycieńczona. - Dobrze się będziesz czuła, kiedy zostaniesz tu sama?

- Dlaczego? - Beth wyprostowała się nerwowo. - Dokąd jedziesz? - Chcę się pozbyć tych rzeczy, które mam z tyłu w samochodzie. Im szybciej, tym lepiej. - Pojadę z tobą.

- Nie. Odpocznij.

- Ale kiedy wrócisz?

- Może dopiero rano.

- Nie chcę być z dala od ciebie.

- Ale...

- Nie ma o czym mówić - powiedziała Beth. - Jadę z tobą. W szarości wczesnego świtu Decker wrzucił ubrania maskujące i rękawiczki do płytkiego rowu na pustyni, dwadzieścia mil na zachód od Santa Fe i spojrzął na Beth. Oparła się o przednie drzwi jeepa z rękoma skrzyżowanymi na swetrze, który Decker jej dał, i przyglądała się uważnie. Wrócił po menażki wypełnione olejem napędowym i nawozem do roślin i wylał ich za wartość na ubrania. Ostry zapach podrażnił ich nozdrza. Wrzucił strzałę, którą Esperanza zabił mężczyznę w lesie. Dołożył rugera ., winchestera i dubeltówkę, oszczędzając jedynie remingtona, ponieważ nie korzystali z niego. Ogień nie zniszczy numerów seryjnych na broni, ale nie będzie można ich wykorzystać. Jeśli ktoś przez przypadek znalazłby broń w jakimś nie uczęszczanym miejscu, gdzie Decker miał zamiar ją zakopać, zostałaaby potraktowana jako śmieci. Decker ostrą końcówką młotka wybił dziury w menażkach, tak żeby w środku nie pozostały opary i nie spowodowały wybuchu. Jako że olej napędowy pali się powoli, polał stos benzyną. Następnie potarł zapalną, podpalił całe ich pudełko i rzucił je na stos. Benzyna i olej napędowy zapaliły się z sykiem, objęły płomieniami ubrania i broń i wyrzuciły słup ognia i dymu ku jaśniejącemu niebu. Decker podszedł do Beth, objął ją ramieniem i patrzył na ogień. - Co to była za przypowieść z mitologii greckiej? O ptaku powstającym z popiołów? - spytała Beth. - O feniksie. - O powtórnych narodzinach - powiedział Decker.

- Właśnie to oznacza imię Renata, prawda? Powtórne narodziny? - Też o tym pomyślałem.

- Ale czy naprawdę to znaczy? - spytała Beth. - Powtórne narodziny? - Jeśli tego chcemy. Za nimi słońce wstawało nad górami Sangre de Cristo. - Jak dajesz sobie z tym radę? - spytała Beth. - Z tym, co musieliśmy zrobić zeszłej nocy. - Właśnie to usiłowałem ci wcześniej wytłumaczyć. Żeby przetrwać, nauczono mnie odsuwać wszelkie uczucia, które nie są przydatne. - Ja tego nie potrafię. - Beth zadrżała. - Gdy zabiłam swojego męża... mimo że zasługiwał na śmierć... przez trzy dni wymiotowałam. - Zrobiłaś to, co musiałaś. Zrobiliśmy to, co musieliśmy. W tej chwili nie mogę uwierzyć w fakt, że tu jesteśmy, że otaczam cię ramieniem... - Że żyjemy - dodała Beth

- Tak.

- Pytałeś, jak nauczyłam się posługiwać bronią.

- Nie musisz mi nic opowiadać o swojej przeszłości - uspokoił ją Decker. - Ale chcę. Muszę. Joey kazał mi się nauczyć - powiedziała Beth. - Po całym domu miał pochowaną broń, w piwnicy urządził strzelnicę. Kazał mi schodzić na dół i patrzeć, jak strzela. Płomienie i dym sięgnęły wyżej. - Joey wiedział, jak tego nienawidziłam. Mimo że miałam słuchawki ochronne, kulilałam się przy każdym wystrzale. To go rozśmieszało. Potem przyszło mu do głowy, że naprawdę zabawne byłoby, gdyby mnie zmusił do strzelania - z magnum Z najpotężniejszych pistoletów. Kończąc na magnum... Czasami wydaje mi się, że nauczył mnie strzelać, gdyż świadomość, że otaczają mnie te wszystkie naładowane pistolety, że mnie kuszą, wołają, by użyć któregoś z nich przeciw niemu, sprawiała mu dreszcz przyjemności. Zadał sobie wiele trudu, żeby mi uświadomić, jakie zafundowałby mi piekło, gdyby kiedykolwiek przyszła mi do głowy taka niemądra myśl, żeby spróbować. Potem nauczył mnie strzelać z dubeltówek. Były głośniejsze. Odbijały bardziej boleśnie. Tym właśnie go zabiłam powiedziała Beth. - Dubeltówką. - Cichutko.

- O podwójnej lufie. Takiej samej jak ta, z której strzelałam dzisiaj. - Cichutko. - Decker pocałował łzę spływającą jej po policzku. - Od tej chwili przeszłość nie istnieje. - Czy to znaczy, że twoja przeszłość również nie istnieje? - Do czego zmierzasz?

- Czy przestałeś być szczery? Czy naprawdę wróciłeś do starych zwyczajów? Czy znów się zasklepiłeś i chcesz się od wszystkiego izolować? - Nie od ciebie - powiedział Decker. - I nie od tego. - Wykonał ruch ręką w stronę słońca nad górami, w stronę osiki, która zaczynała żółknąć w kotlinie narciarskiej, w stronę zieleni drzewek piniowych na przedgórzu i

musztardowej bylicy na tle czerwieni i pomarańczy jaśniejącego, pustynnego płaskowyżu. - Ale są rzeczy w moim życiu, od których chcę się odizolować, o których nie chcę, żebyś wiedziała, i których nie chcę pamiętać. - Wierz mi, czuję to samo.

- Nigdy nie będę cię o nie pytał - obiecał Decker. - Mogę sobie tylko wyobrazić strach i zagubienie, które musiałaś odczuwać, gdy przyjechałaś do Santa Fe, starając się ukryć przed mafią, wiedząc, że jestem w stanie ci pomóc. Ujrzałaś we mnie zbawienie i chwyciłaś się mnie. Czy mnie wykorzystywałaś? Jeśli tak, to cieszę się - ponieważ w przeciwnym wypadku nigdy bym cię nie poznał. Nawet gdybym wiedział, że mnie wykorzystujesz, chciałbym, żebyś to robiła. Decker sięgnął do tyłu samochodu i wydobył torbę z milionem dolarów. - Przez moment, po tym jak cię wyciągnąłem z opałów, sądziłem, że zostajesz ze mną z powodu tego. Decker poniósł torbę w stronę ognia. Beth patrzyła oniemiała. - Co masz zamiar zrobić?

- Powiedziałem ci, że wiem, co z nimi zrobić. Chcę zniszczyć przeszłość. - Chcesz spalić te pieniądze?

- Esperanza miał rację. Jeśli je wydamy, zawsze będziemy się czuli splamieni. Decker przytrzymał torbę nad ogniem. - Milion dolarów? - spytała Beth.

- Pieniądze uwalane krwią. Czy naprawdę zależy ci, żebym ich nie spalił? - Sprawdzasz mnie? Spód torby zaczął się tlić.

- Chcę się pozbyć przeszłości - powiedział Decker. Beth zawahała się. Płomienie zaczęły lizać dno torby. - Ostatnia szansa - powiedział Decker.

- Spal je - powiedziała Beth.

- Jesteś pewna?

-Wrzuć je do ognia. - Beth podeszła do niego. - W tej chwili przeszłość przestaje dla nas istnieć. Pocałowała go. Decker wrzucił torbę w płomienie. Żadne z nich nie spojrzało w tamtą stronę. Pocałunek był bardzo długi. Deckerowi zabrakło tchu.

* * *

KONIEC

